



95/5501

k

Brud

ALEXANDRE DUMAS  
FILS

DWADZIESCIA LAT  
POZNIEJ

TRZECI MISTERYJUSZOWICZ

POWIEŚĆ

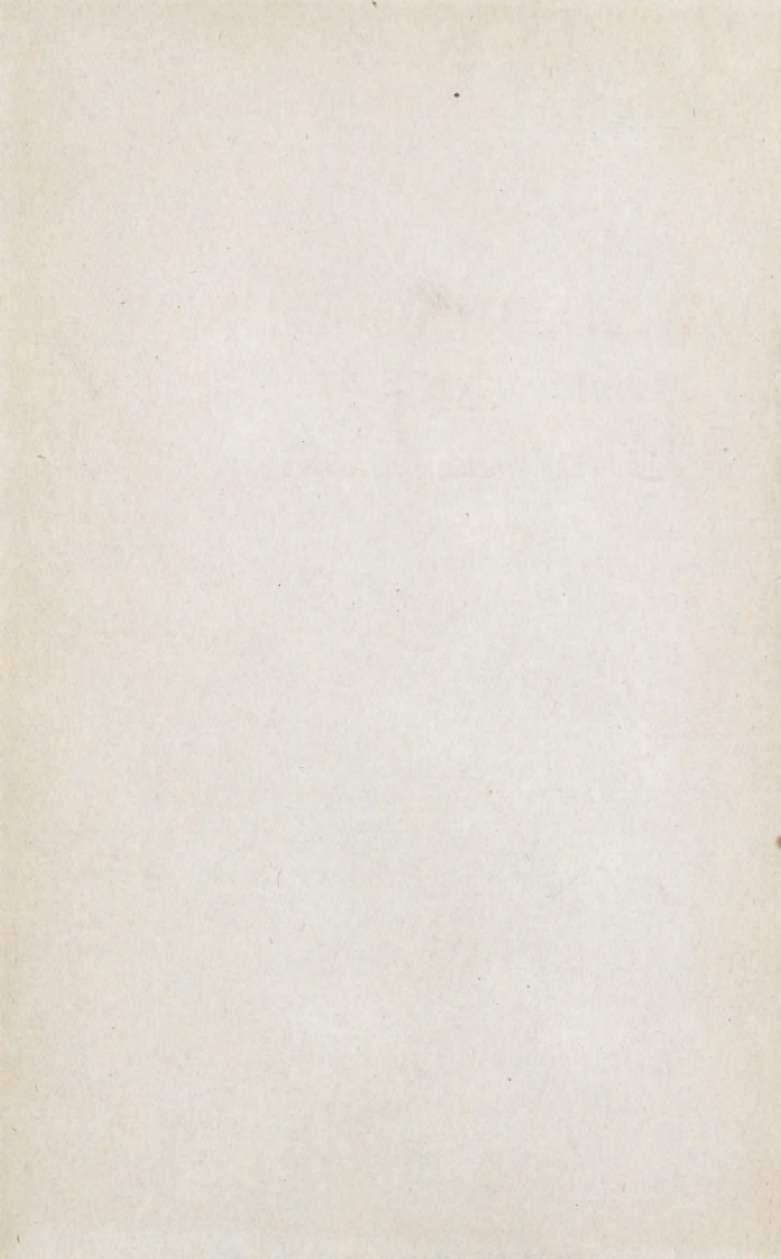
WYDAWCA



WARSZAWA

WYDAWCA WILKINSKI I SPOŁECZNI

1884



ALEKSANDER DUMAS  
(OJCIEC)

DWADZIEŚCIA LAT  
PÓŹNIEJ

(TRZEJ MUSZKIETEROWIE)

POWIEŚĆ

TOM II



WARSZAWA  
NAKŁADEM BIBLIOTEKI RODZINNEJ  
1928

K 71 369  
862 316 T

D-95/5501



10.10.

3,00 zł

DRUKARNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, ŻŁOTA 719.

## ROZDZIAŁ I

### OJCOSTWO

Podczas gdy straszna ta scena rozgrywała się u lorda de Winter, Athos, siedząc w swoim pokoju przy oknie, z łokciem, wspartym na stole a głową na dłoni, chłonał w siebie wzrokiem i słuchem opowiadanie Raula o przygodach podróży jego i szczegółach bitwy.

Piękne i szlachetne oblicze słuchającego wyrażało szczęście niewysłowione, wywołane opowiadaniem tych wrażeń tak świeżych i czystych; jak harmonijna muzyką, rozkoszował się tym głosem chłopięcym, unoszącym się namiętnością dla wzniosłych uczuć. Zapomniał ponurych stron przeszłości i mglistej przyszłości swojej. Rzechy można, iż powrót ukochanego dziecięcia, nawet obawy w nadzieje zamienił. Athos czuł się szczęśliwy, szczęśliwy, jak nigdy.

— Brałeś więc udział w tej bitwie, Bragelannie?... — zapytał były muszkieter.

— Tak, panie.

— I była nielada, powiadasz?...

— Książę osobiście przypuszczał atak jedenaście razy.

— Wielki z niego wojownik, Bragelannie!

— Panie, to bohater!... Ani na chwilę nie straciłem go z oczu. O!... jak to pięknie nazywać się Kondeuszem i imię to z taką godnością nosić!...

— Spokojny, a świetny, nieprawdaz?...

— Spokojny, jak podczas parady, świetny, jak w czasie uczty; gdyśmy zbliżali się do nieprzyjaciela, jechaliśmy stępą; zabroniono nam pierwszym dać strzału, i szliśmy tak prosto na hiszpanów, którzy stali na wzgórzu z muszkietami przy nogach. Gdy na trzydzieści kroków już od nich byliśmy, książę odwrócił się do żołnierzy, mówiąc:

— „Dzieci!.. okrutny ogień wytrzymać wam przyjdzie, a potem, bądźcie spokojni, nie zażyjecie trudu z tym ludem!..“

— Taka cisza nastąpiła, iż obydwie strony słyszały te słowa. Potem, wznosząc szpadę do góry, zawołał:

— „Uderzcie w trąby!..“

— Przepyszni!.. Ale i tybyś tak zrobił, Raulu, wszak prawda?..

— Nie jestem pewny, panie, bo mi się to zbyt piękne i wielkie wydaje. — Gdyśmy na dwadzieścia kroków kroków już byli, ujrzelśmy wszystkie te muszkiety, ku nam zwrócone, jak jedną linię błyszczącą, gdyż słońce odbijało się w lufach. „Naprzód!.. dzieci, naprzód!.. — zakomenderował księżę — madeszła już chwila“.

— Bałeś się, Raulu?.. — zapytał hrabia.

— Tak, panie — odparł młodzieniec naiwnie — dziwny chłód w sercu uczułem, a kiedy rozległ się w szeregach nieprzyjacielskich okrzyk: „Ognia!..“ przymknąłem oczy i pomyślałem o tobie!..

— Doprawdy, Raulu?.. — odezwał się Athos, ściskając mu rękę.

— Tak, panie. Naraz taki huk się rozległ, jak gdyby piekło się rozwarło, a ci, co pozostali przy życiu, czuli gorący oddech wystrzałów. Otworzyłem oczy z podziwem, że n nie zabity, lub conajmniej raniony; trzecia część oddziału leżała na ziemi poszarpana i skrwawiona. Wtedy spotkałem spojrzenie księcia; zapomniałem naraz o wszystkim, prócz tego, że on patrzy na mnie. Spiałem konia ostrogami i znalazłem się pośród nieprzyjacielskich szeregów.

— A księżę zadowolony był z ciebie?..

— Tak mi powiedział przynajmniej, gdy mi dawał zlecenie towarzyszenia do Paryża panu Chatillon, który przybył z wieścią i zdobytymi sztandarami do królowej.

Athos przyciągnął młodzieńca ku sobie, i ucałował w czoło, jak młode dziewczętko.

— A zatem, Raulu, zawód twój rozpoczęty; księżęta są twymi przyjaciółmi, marszałek Francji ojcem chrzestnym, za wodza masz księcia krwi, a w pierwszym dniu powrotu, przyjęty zostałeś przez dwie królowe; to bardzo pięknie, jak na nowicjusza.

— A!.. panie — nagle odezwał się Raul — przypom-



niałeś mi jedną rzecz, która mi wyszła z pamięci, tak mi pilno było opowiedzieć ci wyprawy moje: oto, zastałem u Jej Królewskiej Mości królowej Anglii jakiegoś dostojnego pana, który, gdy nazwisko twoje wymówiłem, wykrzyknął z podziwu i radości; mienił się przyjacielem twoim, zapytał mnie o adres i przyjdzie niebawem cię odwiedzić. Po akcencie poznałem, że musi być Anglikiem.

— A!... — odezwał się Athos.

I pochylił głowę, jakby szukając w dawnych wspomnieniach. Podniósł się nareszcie, a wzrok jego padł na mężczyznę, stojącego w napół otwartych drzwiach, który przypatrywał mu się z rozrzewnieniem.

— Lord de Winter!... — wykrzyknął hrabia.

— Athosie, przyjacielu mój!...

Rzucili się sobie w ramiona, nareszcie Athos, ująwszy obie jego ręce, rzekł, pilnie się w niego wpatrując:

— Co, tobie?... milordzie, smutny mi się wydajesz!

— To prawda, mój przyjacielu; więcej ci jeszcze opowiem, widok twój, podwaja moje obawy.

Raul zrozumiał, że dwaj przyjaciele mieli do pomówienia za sobą i usunął się nieznacznie.

— A teraz, skoro jesteśmy sami — rzekł Athos — pomówmy o tobie, milordzie.

— Dopóki jesteśmy sami, pomówmy o nas — odparł de Winter. — On jest tutaj...

— Kto?...

— Syn milady.

Na odgłos tych słów — Athos zmarszczył brwi i rzekł głosem spokojnym:

— Wiem o tem.

— Wiesz?...

— Tak. Grimaud spotkał go pomiędzy Béthune i Arras i co tchu powrócił, aby uprzedzić mnie o tem.

— Więc Grimaud znał go?...

— Nie, lecz był przy łożu śmierci człowieka, który go znał.

— Kata z Béthune!... — wykrzyknął de Winter.

— Ty wiesz o tem, milordzie?... — zagadnął zdziwiony Athos.

— On rozstał się ze mną przed chwilą — odparł de Winter — i wszystko mi opowiedział. A! co za straszna scena! Czemuż razem z matką nie zdusiliśmy dziecięcia!...

— Czego się lękasz, milordzie? — zapytał Athos — wszak wszyscy jesteśmy, aby się bronić. Czyż młody ten człowiek stał się mordercą z rozmysłu? mógł on zabić kanta z Béthune, pod wpływem uniesienia, lecz obecnie wściekłość jego została nasycona.

De Winter ze smutnym uśmiechem potrząsnął głową.

— Zapomniałeś, iż ma on to we krwi swojej? — rzekł.

— A! — odparł Athos, siląc się także na uśmiech; — wściekłość straciła na mocy w drugim pokoleniu. Wreszcie wierzaj mi, przyjacielu, Opatrzność daje nam przestrożę, abyśmy mieli się na baczności. Pozostaje nam tylko czekać. Czekałmyż więc. Lecz wracam do swego... pomówmy o tobie. Cóż cię sprowadza do Paryża?

— Niektóre sprawy bardzo ważne... Ale cóż to słyszałem u królowej angielskiej? Pan d'Artagnan należy do Mazariniego? Przyjacielu!... wybac otwartość moją, nie zarzucam nic kardynałowi, ani nie mam nienawiści do niego, a przekonania twoje nie przestaną być dla mnie święte. Byłżebyś i ty po stronie tego człowieka?

— Pan d'Artagnan jest w służbie — rzekł Athos — posłuszny więc jest władzy ustanowionej. Nie jest bogaty, a stopień porucznika potrzebny mu jest do życia. Tacy miljonerzy, jak ty, rzadko się we Francji trafiają.

— Niestety! — rzekł Winter z westchnieniem — dziś jestem uboższy od niego. Ale powróćmy do ciebie, hrabio.

— Chcesz zatem wiedzieć, czy jestem stronnikiem Mazariniego?... Nie, po tysiąc razy nie.

— Dzięki ci, hrabio — dzięki za szczęśliwą nowinę. Pocieszony i odmłodzony się czuję. A! nie jesteś więc mazarinistą?... wybornie! Lecz wybac mi jeszcze: czy wolny jesteś?

— Co przez to rozumiesz?

— Pytam, czy nie jesteś żonaty.

— A! co to, to nie — odparł z uśmiechem Athos.

— Bo widzisz ten młodzieniec, taki piękny, gładki i miły...

— To jest dziecię, które wychowuję... nie zna on nawet swego ojca.

— Zawsze ten sam, Athosie, wspaniałomyślny i szlachetny.

— Słucham, milordzie, czego żądasz ode mnie?...

— Czy stosunek twój przyjazny trwa jeszcze z panami Porthosem i Aramisem?

— Milordzie, dodaj jeszcze i d'Artagnana. Dziś, jak dawniej, jesteśmy czterema wiernymi przyjaciółmi, lecz, gdy idzie o pomoc kardynałowi, lub walkę przeciw niemu, czy o to, ażeby być mazarińczykiem lub frondystą, dwóch nas jest tylko.

— Czy Aramis jest z d'Artagnanem? — zagadnął lord Winter.

— Nie — odparł Athos — pan Aramis zaszczyca mnie podzieleniem moich przekonań.

— A mógłbyś, hrabio, odnowić naszą znajomość z tym przyjacielem tak miłym i dowcipnym?

— Bezwątpienia, skoro ci to przyjemność zrobić może.

— Czy zaszła w nim jaka zmiana?

— Przywdział suknię duchowną tylko.

— Przestraszasz mnie pan — stan jego duchowny skłania mnie do zrzeczenia się wszelkich przedsięwzięć.

— Przeciwnie — rzekł Athos z uśmiechem — on jest dziś muszkietierem bardziej, niż kiedykolwiek! Może chcesz, milordzie, bym posłał po niego Raula?

— Nie, hrabio, dziękuję! Lecz, jeżeli z takim przekonaniem ręczysz mi za niego, czy możesz zobowiązać się przyprowadzić mi go jutro o dziesiątej na most du Lore?

— A! masz pojedynek — rzekł z uśmiechem Athos.

— Tak, hrabio, jeden z najpiękniejszych, pojedynek, od którego i ty się nie usuniesz, jak się spodziewam.

— Dokąd pójdziemy stamtąd, milordzie?

— Do Jej wysokości królowej Anglii, która poleciła mi, by was jej przedstawić.

— Więc Jej wysokość mnie zna?

— Ja znam cię, hrabio.

— Zagadka to — odezwał się Athos — lecz mniejsza, skoro ty posiadasz jej rozwiązanie, to mi zupełnie wystarcza. Milordzie, czy zrobisz mi zaszczyt pozostania u mnie na kolacji?

— Dziękuję, hrabio, muszę się przyznać, że odwiedziny tego młodego człowieka odjęły mi apetyt i prawdopodobnie snu mnie pozbawią. Co on tu robi w Paryżu? Wszak nie przybył dla spotkania się ze mną, bo o podróży mojej

nie wiedział. Hrabio, ten człowiek przeraża mnie; przy-  
szłość jego jest krwawa.

— Co on robi w Anglii?

— Jest sekciarzem i najwierniejszym człowiekiem Oli-  
viera Cromwella.

— Cóż mogło zjednoczyć go z tą sprawą? sądzę, iż ma-  
tka jego i ojciec byli katolikami.

— Nienawiść przeciw królowi, który ogłosił, że pocho-  
dzi z nieprawego łoża, odsądził go od majątku i zabronił  
nosić nazwisko Winter.

— A teraz jak się nazywa?

— Mordaunt.

— Purytanin, a za mnicha przebrany, sam jeden podró-  
żujący po gościach Francji.

— Za mnicha, powiadasz pan?

— Nie wiedziałeś o tem? W ten sposób usłyszał on spo-  
wiedź kata z Béthune.

— Teraz wszystko mi się wyjaśnia: on tu przybył, wy-  
słany przez Cromwella do Mazariniego; słusznie stwier-  
dziła królowa, uprzedzono nas; obecnie i ja to pojmuję.  
Żegnaj, hrabio, do jutra.

— Hola! Olivian, Grimaud, Blaisois, zabrać muszkiety  
i wezwać pana wice-hrabiego.

W pięć minut po wydaniu rozkazu, wszedł Raul.

— Wicehrabio — rzekł Athos — odprowadzisz z eskor-  
tą milorda aż do jego mieszkania i nikomu nie dasz przy-  
stąpić do niego.

— A! hrabio — odezwał się de Winter — za kogóż  
mnie bierzesz?

— Za cudzoziemca, który nie zna Paryża i któremu  
wice-hrabia pokaże drogę.

De Winter uściśnął mu rękę w odpowiedzi.

— Grimaud, trzymaj się na czele eskorty, a baczność  
na mnicha!

Grimaud zadrżał, skinął głową i czekał odjazdu, gładząc  
w milczeniu wymownem kolbę swojego muszkietu.

Mały poczet wyruszył ku ulicy St. Louis. De Winter  
i Raul rozmawiali, jadąc obok siebie. Grimaud, stosując  
się do rozkazu Athosa, postępował na czele orszaku, z po-  
chodnią w jednej, a muszkietem w drugiej ręce; przy-  
bywszy przed dom Wintera, pięścią we drzwi uderzył,  
i, skoro je otworzono, w milczeniu pożegnał milorda.

Powrót odbył się w tym samym porządku: przenikliwe oko Grimauda nie dostrzegło nic podejrzanego, prócz niewyraźnego cienia, zaczajonego na rogu ulicy Guéneaud, a zdawało mu się, iż, gdy jechano w tamtą stronę, ten sam nocny człowiek wpadł mu już w oko. Podjechał ku niemu, cień zniknął szybko w ciemnym zaułku, dokąd roztropny Grimaud wołał się już nie zapuszczać.

Nazajutrz, skoro tylko hrabia oczy ze snu otworzył, ujrzał Raula, siedzącego przy łóżku.

Był już zupełnie ubrany i czytał książkę pana Chapelain, która świeżo się ukazała.

— Wstałeś już, Raulu?

— Tak, panie! — Żle spałem tej nocy.

— Ty, Raulu! ty źle spałeś! głowę czemś sobie nabiłeś widocznie? — pytał Athos.

— Panie!... powiesz, iż pilno mi cię pożegnać, skoro zaledwie przybyłem, lecz...

— Czyż nawet dwudniowego nie dostałeś urlopu?...

— Przeciwnie, panie, na dziesięć dni mi go dano; wcale też nie do obozu pragnąłbym się udać. Życzyłbym sobie tylko jeden dzień chociaż w Blois przepędzić. Patrzysz na mnie, panie, i śmiać się ze mnie będziesz.

— Wcale nie — mówił Athos, tłumiąc westchnienie — nie śmieję się, wicehrabio. Pragniesz odwiedzić Blois, rzecz bardzo prosta!

— A zatem, pozwalasz mi, panie?... — wykrzyknął uradowany Raul.

— Z wszelką pewnością, Raulu.

— Panie!... powiedz mi z ręką na sercu, czy nie gniewasz się wcale?...

Athos otworzył mu ramiona.

— Mogę więc zaraz jechać?...

— Kiedy zechcesz, Raulu.

Zerwał się do odejścia.

— Panie!... — rzekł, zatrzymując się — myślałem sobie właśnie, iż księżnej de Chevreuse i jej dobroci dla mnie zawdzięczam wstęp mój do księcia.

— I że winienesz jej podziękowanie, wszak tak, Raulu?...

— Tak mi się zdaje, panie; zrobię jednakże, jak każesz.

— Przejeżdżając około pałacu de Luynes, zatrzymaj się i każ zapytać, czy księżna może cię przyjąć. Cieszy

mnie, iż nie zapominasz o konwenansach. Weźmiesz ze sobą Grimauda i Olivana.

Patrząc za odchodzącym i słysząc radośnie rozbrzmiewający głos, nawołujący Grimauda i Olivana, Athos westchnął.

— Pilno mu rozstać się ze mną. — myślał, wstrząsając głową — lecz idzie za prawem ogólnem. Właściwością natury jest patrzeć przed siebie. Niewątpliwie, on kocha to dziecię; lecz czyż uczucie jego dla mnie straci na sile, gdy innych kochać będzie?...

Uszczęśliwienie Raula rozprędziło chmurę smutku ze szlachetnego czoła Athosa. O dziesiątej wszystko było gotowe do odjazdu.

Tymczasem zjawił się lokaj z pokłonem od pani de Chevreuse, a miał przytem polecone powiedzieć hrabiemu de la Fère, iż pani dowiedziała się o powrocie jego protegowanego oraz o odznaczeniu się jego w bitwie i że bardzoby jej było miło powinszować mu osobiście.

— Powiedz księżnej — odpowiedział Athos — że wieczerabia siada właśnie na konia, aby udać się do pałacu de Luynes.

I, powtórzywszy raz jeszcze przestrogi Grimaudowi, skinął ręką Raulowi na znak, że może już z miejsca wyruszyć. Po niejakej rozwadze, przyszło Athosowi na myśl, iż może dobrze się stało, że Raul oddalił się z Paryża w tym czasie.

## ROZDZIAŁ II

### JESZCZE JEDNA KRÓLOWA, POTRZEBUJĄCA RATUNKU.

Tegoż dnia raniutko Athos wysłał Blaisois, jedyne go pacholka, który mu pozostał, z listem uwiadamiającym do Aramis.

Punktualnie o dziesiątej Athos czekał na moście Luwru. Niebawem ujrzał nadchodzącego lorda de Winter. Upłynęło dziesięć minut. Miłorda poczęła zdejmować obawa, że Aramis nie przyjdzie.

— Cierpliwości — odezwał się Athos — widzę właśnie duchownego, który wyciął nauczkę jakiemuś mężczyźnie, a w tej chwili wita uprzejmie damę, musi to być Aramis.

On to był w istocie; uderzeniem pięści odtrącił o dziesięć kroków mieszczanina, który, zagapiwszy się, obryzgał go błotem. Jednocześnie przechodziła jedna z penitentek jego, a że była młoda i ładna, powitał ją najwdzięczniejszym ze swoich uśmiechów. W chwilę potem był przy nich. Łatwo sobie wyobrazić uściski, jakie towarzyszyły powitaniu jego z lordem de Winter.

— Dokąd idziemy?... — odezwał się Aramis — biją się może gdzie, sacrébleu! a ja nie mam szabli przy sobie dzisiaj, muszę zająć po nią do domu.

— Nie — odparł de Winter — złożymy wizytę Jej Królewskiej Mości królowej Anglii.

— A! bardzo dobrze — rzekł Aramis — ale w jakim celu?... ciągnął dalej, pochylając się do ucha Athosa.

— Daję słowo, że nie wiem; może jakiego zeznania od nas żądają.

— Miałoby to być w tej sprawie przeklętej?... — zauważył Aramis. — W takim razie, nie zależy mi na tem.

aby tam iść; ja — odkąd innym prawie reprimendy, — sam ich odbierać nie lubię.

— Gdyby tak miało być — odpowiedział Athos — nie byłibyśmy prowadzeni przez lorda de Winter, i jemu bowiem oberwałoby się... wszak z nami trzymał.

— A! prawda. Więc chodźmy.

Przybywszy do Luwru, zauważyli straszliwe ubóstwo tej siedziby, której skąpe miłosierdzie udzieliło nieszcześliwej królowej. Wielkie sale bez sprzętów, odrapane mury, świecące gdzieniegdzie resztkami złocień, które oparły się zniszczeniu, okna, niedomykające się i szyb pozbawione miejscami; ani kobierców, ani służby, ani straży.

— Mazarini lepsze ma mieszkanie — zauważył Aramis.

— On jest nieledwie królem, a pani Henryka nie jest już prawie królową.

Widocznie królowa oczekiwała ich z niecierpliwością, gdyż, usłyszawszy kroki w sali, poprzedzającej jej pokój, postąpiła ku drzwiom na spotkanie.

— Witajcie, panowie, wejdźcie, proszę — wyrzekła.

Weszli i zatrzymali się, stojąc, lecz na skinienie królowej, aby usiedli, Athos pierwszy dał przykład posłuszeństwu. Poważny był i spokojny, Aramis zaś wściekły; królewska ta nędza do rozpacz go doprowadzała.

— Przyglądasz się, panie, zbyt kowi mojemu — odezwała się Henryka, smutnem wejrzeniem wiodąc dokoła.

— Pani — rzekł Aramis — raczy mi Wasza wysokość przebaczyć, lecz nie jestem w stanie ukryć oburzenia, widząc, iż na dworze francuskim obchodzą się w ten sposób z córką Henryka IV.

— Ten pan nie jest rycerzem?... — zagadnęła lorda de Winter królowa.

— Ten pan to opat d'Herblay — odpowiedział tenże. Aramis się zaczęwienił.

— Pani — rzekł — coprawda opatem jestem, lecz wbrew mojej woli; nigdy nie miałem powołania do pelearnki, a sutanna zaledwie na jednym guziku trzyma się na mnie teraz, i gotów jestem w każdej chwili zostać nanowo muszkietierem. Dzisiaj, ponieważ nie wiedziałem, iż spotka mnie zaszczyt widzenia Waszej wysokości, przybrałem się w tę suknię, lecz niemniej jestem człowiekiem, w którym Wasza wysokość znajdzie najwierniejszego sługę, gotowego na wszelkie jej rozkazy.



— Kawaler d'Herblay — przerwał de Winter — jest jednym z owych najdzielniejszych muszkieterów króla Ludwika XIII-go, o których wspomniałem ci, pani.

— Co zaś do tego pana — ciągnął dalej, wskazując na Athosa — jest to ów szlachetny hrabia de la Fère, którego piękna opinja znana jest Waszej wysokości.

— Panowie — odezwała się królowa — lat temu kilka otoczona byłam szlachtą, skarbami, wojskiem; na jedno ręki skinienie — wszystko to było na moje usługi. Dzisiaj do spełnienia zamiaru, który stanowić ma o ocaleniu mojego życia, pozostaje mi jeden lord de Winter, przyjaciel od lat dwudziestu, i wy, panowie, których nie znam osobiście, a znam tylko, jako współziomków moich.

— To dostateczne, pani — odezwał się z głębokim ukłonem Athos — jeżeli życie twoje trzech ludzi może okupić.

— Dzięki wam, panowie. Król, mój małżonek, w Anglii wlecze żywot bolesny... Patrzcie, oto list, który mi przesyła przez lorda de Winter. Czytajcie.

Athos i Aramis poczęli się wymawiać.

— Czytajcie — nalegała królowa.

Athos przeczytał głośno list, który znamy, a w którym król Karol zapytywał, czy będzie mu udzielona gościnność we Francji.

— Otóż — rzekła królowa — odmówił.

Dwaj przyjaciele zamienili wzgardliwy uśmiech.

— A teraz, pani, co począć?... — odezwał się Athos.

— Macieź współczucie dla tego nadmiaru nieszczęścia? — rzekła wzruszona królowa.

— Miałem zaszczyt pytać Waszą wysokość, czego żąda, abyśmy, pan d'Herblay i ja, uczynili dla niej; czekamy tylko rozkazu.

— O! panie, masz serce szlachetne!... — zawołała królowa z wybuchem wdzięczności.

— A pan? .. — zapytała królowa Aramisa.

— Pani — odrzekł tenże — wszędzie, gdzie hrabia idzie, choćby na śmierć, to i ja z nim idę, nie pytając dlaczego; lecz, kiedy idzie o usłużenie Waszej wysokości — dodał, spoglądając na królową — wtedy wyprzedzam hrabiego.

— A zatem, skoro tak, panowie — mówiła królowa — oto, co uczynić dla mnie zda się. Król sam jeden jest z kilku szlachty, których lada dzień obawia się utracić, pośród

szkotów, którym nie dowierza, jakkolwiek sam jest szkotem. Odkąd lord de Winter rozstał się z nim, umieram z obawy. Otóż, może nie mam prawa żądać od was tyle, ale przedostańcie się do Anglii, połączcie się z królem, bądźcie mu przyjaciółmi, strażą jego, w bitwie go nie odstępujcie, wewnątrz domu jego stójcie obok niego, tam bowiem zasadzki co dnia czychają nań, a wzamian za poświęcenie wasze przyrzekam wam — nie wynagrodzenie. bo sądzę, iż słowo to raniłoby godność waszą, — ale kochać was, jak siostra, przekładać nad wszystko, co nie będzie małżonkiem moim i dziećmi, przysięgam przed Bogiem!

— Pani — odezwał się Athos — kiedy mamy wyruszyć?

— Więc przystajecie?... — radośnie wykrzyknęła królowa.

— Tak, pani. Tylko, zdaje mi się, za daleko posuwa się Wasza wysokość, zamierzając nas obdarzyć przychylnością, o wiele przewyższającą zasługi nasze.

— O! panowie — rzekła do łez rozrzewniona królowa — oto pierwsza chwila radości i nadziei, jakiej od lat pięciu doznaję. Ocalcie mi małżonka, ocalcie króla i, jakkolwiek nie dbacie o zysk, jaki za ten dobry uczynek możecie mieć na tej ziemi, zostawcie mi nadzieję, iż zobaczę was jeszcze dla podziękowania wam osobiście.

Królowa wyciągnęła ku nim rękę, którą ucałowali, a potem cichutko szepnęła Winterowi:

— Jeżeli zbraknie wam pieniędzy, nie wahaj się ani chwili, połam dane ci klejnoty, powyjmuj z nich djamenty i sprzedaj żydowi: przyniosą ci one pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy liwów; wydaj je, skoro okaże się potrzeba, aby ci panowie traktowani byli, jak na to zasługują, inaczej mówiąc, po królewsku.

Królowa przygotowała dwa listy: jeden sama napisała, a drugi córka jej, księżniczka Henryka. Obydwa nosiły adres króla Karola. Jeden z nich dała Athosowi, a drugi Aramisowi, aby mogli dać się poznać królowi, w razie gdyby rozdzielił ich wypadek. Nareszcie odeszli.

— Idźmy każdy w swoją stronę, panowie — rzekł de Winter — aby nie wzbudzić podejrzenia, a o dziewiątej wieczorem zbierzmy się u bramy św. Djonizego. Pojedziemy na moich koniach, dopóki nie ustaną, następnie weźmiemy pocztę. Jeszcze raz dziękuję wam, zacni przyjaciele, dziękuję w mojem i królowej imieniu.

Trzej panowie uścisnęli sobie ręce.

— I cóż — odezwał się Aramis, gdy pozostali sami — co mówisz o tej sprawie, kochany hrabio?

— Zła — odparł Athos — bardzo niedobra!

— Ale podjąłeś się jej z zapalem!

— Jak podjąłbym się zawsze obrony panującego, drogi d'Herblay. Królowie przez szlachtę jedynie mogą być silni, a szlachta może być wielka także przez królów. Podtrzymując monarchję, siebie podtrzymujemy.

— Zobaczysz, że nas tam pomordują — mówił Aramis. — Nie cierpię anglików, są grubijanami, jak wszyscy ludzie, co piją piwo.

— A czyżby opłaciło się zostawać tutaj, aby się przejechać do Bastylji lub wieży Vincennes — za pomaganie w ucieczce panu de Beaufort? Wierzaj mi, Aramisie, nie ma tutaj czego żałować. Unikamy więzienia i działamy, jak bohaterowie, łatwy więc wybór.

— To prawda, lecz, pominąwszy wszystko, mój drogi, wypada zająć się kwestją najważniejszą — mocno głupią, wiem, — lecz mocno palącą: czy masz pieniądze?

— Coś około setki pistolów, które mój dzierżawca odeśłał mi wprzeddzień wyjazdu z Bragelonne. Połowę jednak muszę zostawić dla Raula. — A ty?

— Ja więcej nad dziesięć ludwików nie znajdę u siebie. Zdałby się teraz baron Porthos...

— A jaka mi szkoda d'Artagnana!... mówił Athos.

— Przeciągnijmy ich na swoją stronę.

— Nie nasza to tajemnica, Aramisie; słuchaj mnie: nie zwierzejmy się z niej nikomu. Wreszcie, postępując w ten sposób, czynilibyśmy, jakbyśmy o sobie zwątpili. Możemy w duchu żałować, ale o tem nie mówmy.

— Masz słuszność. Co robisz z resztą dnia? Ja muszę dwie rzeczy odłożyć na później.

— A cóż to takiego?

— Najpierw chciałem pchnąć szpadą koadjutora, którego spotkałem wczoraj wieczorem u pani de Rambouillet, dziwnie względem mnie nastrojonego.

— Wstydź się! kłótnia pomiędzy księżmi! pojedynk sprzymierzonych!

— Cóż chcesz, mój drogi?... on jest szermierzem, i ja także. On odwiedza buduary, i ja też. Jemu sutanna ciąży, i ja mam dosyć już swojej; zdaje mi się czasem, że on

jest Aramisem, a ja koadjutorem, takie podobieństwo zachodzi pomiędzy nami. Nudzi mnie ten mój sobotwór i zawadza mi; wreszcie to warchoł, co zgubi naszą sprawę. Przekonany jestem, że, gdybym mu dał policzek, jak dziś temu mieszczuchowi, co błotem mnie obryzgał, wpłynęłoby to na zmianę stanu rzeczy.

— Ja zaś sędzę, drogi Aramisie — odparł spokojnie Athos, iż żaden z was nie należy do siebie. Ty należysz do królowej angielskiej, a on do Frondy. — Zatem, jeżeli ta druga rzecz nie jest od pierwszej ważniejsza...

— O! tamta jest nadzwyczaj ważna.

— To załatw ją na oczekaniu.

— Kiedy godzina nie ode mnie zależy, na nieszczęście. To miało być późnym wieczorem.

— Rozumiem — rzekł Athos z uśmiechem — o północy. — Trudna rada, mój drogi, są to rzeczy, które można odkładać, i ty tak zrobisz, tembardziej, że po powrocie masz tłumaczenie.

— Tak, jeżeli wrócę.

— Jeżeli nie wrócisz, cóż cię to może obchodzić? Zastanówże się trochę. Słuchaj, Aramisie, nie masz już przecie dwudziestu lat.

— Mocno tego żałuję, mordieu! O! gdybym je miał!

— Zapewne, niezłe robiłbyś szaleństwa; lecz teraz musimy się rozstać: ja muszę złożyć kilka wizyt i napisać jeden list; zajdź więc po mnie o ósmej, a może wolisz, abym o siódmej czekał na ciebie z kolacją?

— Bardzo dobrze; ja mam dwadzieścia wizyt do oddania i tyleż listów do napisania.

Pożegnali się. Athos poszedł odwiedzić panią de Vendôme, zostawił kartę u pani de Chevreuse i napisał do d'Artagnana list następujący:

„Drogi przyjacielu! wyjeżdżam z Aramisem w sprawie nader ważnej. Chciałbym pożegnać się z tobą, lecz mało mam czasu. Pamiętaj, iż piszę do ciebie, aby powtórzyć, iż cię kocham.

Raul jest w Blois i nie wie nic o moim wyjeździe. Czuwaj nad nim podczas mej nieobecności, jak tylko możesz, a jeśli wypadkiem nie będziesz miał wiadomości ode mnie, licząc od dziś za trzy miesiące, powiedz mu niech otwórzy zaadresowany dla niego pakiecik, który znajdzie

w Blois w mojej szkatułce brązowej, od której klucz ci dołączam.

Uściskaj Porthosa ode mnie i od Aramis. — Do widzenia, a może żegnaj na zawsze“.

O umówionej godzinie stawił się Aramis.

— Wiesz co! zdaje mi się, iż to źle z naszej strony, że wyjeżdżamy, nie zostawiwszy ani słówka pożegnania dla Porthosa i d'Artagnana.

— To załatwione już, przyjacielu — rzekł Athos — przesłałem im uściśnienia od nas obu.

— Niezrównany z ciebie człowiek, drogi mój hrabio, o wszystkim myślisz.

Pod koniec kolacji powrócił Blaisois, posłany z listem do d'Artagnana.

— Panie — rzekł — jest odpowiedź od pana d'Artagnana.

I podał Athosowi woreczek okrągły i miłe wydający dźwięki. Athos otworzył go i dobył bilecik tej treści:

„Drogi mój hrabio!

„Gdy się jest w podróży, zwłaszcza trzymiesięcznej, nie zawadzi mieć więcej pieniędzy; przypominam sobie tedy nasze czasy niedoli i posyłam ci połowę mej kasy: są to pieniądze, które wydusiłem od Mazariniego. Nie róbże więc zbyt złego z nich użytku, błagam cię o to.

Do widzenia zatem, ale nie żegnaj się z tobą.

Z dniem, w którym poznałem Raula, pokochałem go, jak własne dziecko; wierzaj mi jednak, iż szczerze proszę Boga, aby ojcem jego nie przyszło mi zostać, choć czułbym się dumny z takiego syna.

Twój d'Artagnan“.

„P. S. Rozumie się, że dołączone tu pięćdziesiąt luidorów zarówno są Aramis, jak twoje i twoje, jak Aramis“.

Athos uśmiechnął się, a piękne jego oczy iza przesłoniła. D'Artagnan kochał go niezmiennie, pomimo, iż był mazarinczykiem.

— To mi ładne luidory, na honor — rzekł Aramis, włożywszy na stół zawartość woreczka — wszystkie z podobizną króla Ludwika XIII-go. Hrabio, co zamyślasz zrobić z temi pieniędzmi? Zatrzymasz je, czy też odeślesz?

— To, co ofiarowano serdecznie, również serdecznie

przyjęte być winno. Zabierz z nich połowę. Aramisie, a drugą dla mnie pozostaw.

— Najchętniej, cieszy mnie mocno, że jesteś mojego zdania. No, a teraz, ruszajmy w drogę.

Na rogu bulwaru spotkali Bazina, pędzącego co tchu.

— Pan Porthos tylko co od nas odszedł i to oto dla pana zostawił, mówiąc, że rzecz pilna i przed wyjazdem winna być panu oddana.

— Dawaj — rzekł Aramis, biorąc podany sobie przez Bazina woreczek — co to takiego?

— Niech pan opat zechce poczekać, jest i list.

— Mówiłem ci już, że tylko kawalerem wolno ci mnie nazywać, inaczej kości ci połamię. — Zobaczmy, co tam w tym liście. — Aramis jął czytać:

„Drogi mój d'Herblay!

„Dowiaduję się od d'Antagnana, który mi przesyła uściski od ciebie i hrabiego de la Fère, że przedsięwzrasz wyprawę, mającą potrwać dwa do trzech miesięcy, a że wiem, iż prosić nie lubisz nawet swoich przyjaciół, ja pierwszy odzywam się do ciebie: oto dwieście pistołów do rozporządzenia twego, które przy sposobności mi zwrócisz. Nie miej obawy sprawienia mi kłopotu; jak będę potrzebował pieniędzy, każę sobie przysłać, z którego z moich zamków; w Bracieux mam dwadzieścia tysięcy liwrow w złocie. Jeżeli więc posyłam ci tę sumkę, to jedynie z obawy, abyś nie wzbraniał się przyjąć większej.

Do ciebie się z tem odnoszę, gdyż wiadomo ci, że hrabia de la Fère, sam nie wiem dlaczego, zawsze onieśmiela mnie trochę, pomimo iż kocham go z całego serca; wszakże rozumie się, że to, co ofiarowuję tobie, jest i dla niego jednocześnie.

Jestem, o czem — mam nadzieję — nie wątpisz, oddany ci sercem całym

*du Vallon de Bracieux de Pierrefonds*“.

— I cóż ty na to, hrabio?... — odezwał się Aramis.

— Powiadam ci, drogi d'Herblay, że świętokradztwem jest prawie wątpić o Opatrzności, mając takich przyjaciół.

Poczem, skuteczniejszy przy świetle stoczka Bazina podział, wyruszyli w dalszą drogę. W kwadrans później spotkali się z lordem de Winter przy bramie św. Djoniego.

## ROZDZIAŁ III

### GDZIE POWIEDZIANO, ŻE PIERWSZE NATCHNIENIE JEST ZAWSZE DOBRE

Trzej panowie jechali tak dobrze im znaną drogą, prowadzącą ku Pikardji; przywodziła ona Athosowi i Aramisowi wspomnienia ich najbardziej malowniczej młodości.

Nareszcie, po dwóch dniach i jednej nocy podróży, przybyli pod wieczór przy wspaniałej pogodzie do Boulogne, natenczas miasta pustego nieledwie.

— Gdy już do bram miasta dotrzemy, panowie, postąpmy tak samo, jak w Paryżu: rozdzielimy się dla uniknięcia podejrzeń; ja znam oberżę, mało uczęszczaną, której właściciel jest mi zupełnie oddany. Udam się tam, gdyż spodziewam się zastać pewne listy; wy stańcie w zajezdzie „pod Szpadą Henryka Wielkiego“ naprzykład; posilcie się, a za dwie godziny bądźcie u tamy, tam, panowie, łódź nasza czeka.

Tak się też stało; lord de Winter pojechał dalej wzdłuż bulwarów zewnętrznych, aby wjechać inną bramą, gdy tymczasem dwaj przyjaciele wjechali tą, pod którą się zatrzymali; wkrótce natrafili na wskazaną oberżę.

Nierozsiodłane konie dostały obroku, służącym dano kolację, a ponieważ panom pilno było odpłynąć, poszli więc naprzód, zostawiwszy im polecenie, aby podążali za nimi do tamy, nie wdając się z nikim w żadną gawędę.

Athos i Aramis zmierzali do przystani. Spostrzegli, iż na jednym szczególnie przechodniu zjawienie się ich widoczne sprawiło wrażenie.

To też i oni zwrócili na niego uwagę; przechadzał się

po tamie, pogrążony w smutnej zadumie. Skoro ich tylko zobaczył, jął przypatrywać się uporczywie, zdradzając chęć nieprzepartą wdania się z nimi w rozmowę.

Był to młody człowiek o bladym obliczu; oczy miał jasne i tak nieokreślonej barwy, iż zdawały się mienić, jak u tygrysa; chód jego, jakkolwiek powolny, był sztywny i śmiały; ubrany był czarno, a u boku zwieszała mu się długa szpada.

Gdy weszli na tamę, Athos i Aramis stanęli aby przypatrzeć się łodzi, przymocowanej do pala, wyglądającej, jakby na nich tylko czekała.

— To nasza z pewnością — odezwał się Athos.

— Tak sędzę — odparł Aramis — a jednomasztowiec, który tam zawija do portu, zapewne zawieźć ma nas do miejsca przeznaczenia; byle tylko de Winter nie dał na siebie czekać. Wyczekiwanie tutaj bynajmniej nie jest zabawne; ani jednej kobiety nie widać.

— Cicho!... — szpnął Athos — podsłuchują nas.

W istocie, czarno ubrany młodzieniec odbył poza ich plecami kilkakrotną przechadzkę tam i napowrót, a usłyszawszy nazwisko de Winter, stanął, jak wryty; twarz jego jednak pozostała bez wyrazu, więc mogło to być tylko dziełem przypadku.

— Panowie — przemówił, składając im swobodny i grzeczny ukłon — wybaczcie mojej ciekawości, lecz widzę, że z Paryża przybywacie, a conajmniej, nie pochodzicie z Boulogne.

— Tak, panie, przybywamy z Paryża — równie uprzejmie odpowiedział Athos. — Co pan rozkaże?...

— Czy zechciałby pan łaskawie mi powiedzieć, azali prawdą jest, iż kardynał Mazarini nie jest już ministrem?...

— Jest nim i nie jest — odparł Athos — bo jedna połowa Francji wypędza go, a drugą połowę zapomocą intryg i obietnic zmusza do podtrzymywania go na stanowisku. Taki stan rzeczy, jak pan pojmuje, długo trwać nie może.

— Ale — rzekł nieznajomy — nie był zmuszony uciekać, ani też nie dostał się do więzienia?

— Jak dotąd nie jeszcze, panie.

— Panowie, zechciejcie przyjąć podziękowanie moje za uprzejmość waszą, — powiedział młodzieniec, odchodząc.



— Co powiesz na tego nudziarza?... — zagadnął Aramis.

— Że to parafjanin jakiś, albo szpieg, co bada.

— I ty odpowiedziałeś mu w ten sposób?...

— Nic mnie nie upoważniało, by odpowiedzieć mu inaczej. Grzeczny był, odplaciłem mu tą samą monetą.

— A jednak, gdyby to był szpieg...

— Cóżby on miał tu do roboty? Nie żyjemy już w czasach Richelieugo, który, za najłżejszem podejrzeniem, porty kazał zamykać.

— To wszystko jedno, w każdym razie źle zrobiłeś, dając mu taką odpowiedź — mówił Aramis i powiódł oczami za znikającym młodzieńcem.

— A ty — rzekł Athos — zapominasz, iż popełniłeś stokroć większą nieostrożność, wymieniając nazwisko lorda de Winter. Czy nie zauważyłeś, iż ono to zatrzymało go na miejscu.

— Tembardziej należało mu dać odprawę, kiedy cię zagadnął.

— Sprzeczkę miałem rozpocząć? — rzekł Athos.

— Odkądże nabawia cię ona strachu?

— Obawiam się jej zawsze, gdy na mnie gdzieś czekają, a sprzeczka może mi przeszkodzić w przybyciu do celu. Przyznam ci się wreszcie, że i ja byłem ciekawy przypatrzeć mu się zbliska.

— Dlaczego?

— Gotów jesteś mnie wyśmiać, Aramisie, ale muszę powiedzieć, iż ze strachu podlegam przywidzeniom... — Do kogo podobny wydaje ci się ten młody człowiek?

— W pięknem, czy w brzydkim? — zapytał Aramis ze śmiechem.

— W brzydkim o tyle, o ile mężczyzna podobny do kobiety być może.

— A! przebóg, dajesz mi do myślenia — wykrzyknął Aramis. — Nie, drogi przyjacielu, to nie przywidzenie, przyznaję ci słuszność zupełną: te usta drobne i zaciśnięte, wejrzenie, zdające się podlegać rozkazom rozumu, a nigdy serca... To jakiś naturalny syn miłady.

— Ty się śmiejesz, Aramisie.

— Z przyzwyczajenia poprostu, — gdyż zaręczam ci, iż równie, jak i ty, nie życzyłbym sobie spotkać na mojej drodze tego młodego węża.

— A! otóż i de Winter nadchodzi — odezwał się Athos.

— Nicby nie brakowało już teraz, gdyby tylko służba nasza nie kazała czekać na siebie.

— Niema obawy — rzekł Athos — widzę ich o dwaście kroków, postępujących za lordem de Winter.

— Do diabła — ciągnął Aramis — za dnia nie przepadam wcale za morzem, a nocą tembardziej; ryk bałwanów, huk wichru, przeraźliwe kołysanie statku!... przyznam się, iż wolę klasztor w Noisy.

Athos smutno się uśmiechnął, gdyż o czym innem myślał już widocznie, idąc na spotkanie Wintera. — Aramis skierował się za nim.

— Co się stało naszemu przyjacielowi? — odezwał się Aramis. Na co on, u diabła, ogląda się tak poza siebie?

— Co tobie, milordzie, co cię tak tchu pozbawia? — spytał Athos.

— Nic, nic — odparł tenże — przechodząc wybrzeżem około wzgórz piaszczystych, zdawało mi się...

I znowu się obejrzał. Athos z Aramisem zamienili spojrzenie.

— Ale siadajmy — ciągnął de Winter — siadajmy. Łódź musi na nas czekać, a oto nasz jednomasztowiec na kotwicy; chciałbym już stać na jego pokładzie. — Raz jeszcze spojrzął za siebie.

— Widział go — szepnął Athos do Aramisa.

Znaleźli się nareszcie u schodków, prowadzących do łodzi; de Winter rozkazał służbie, by pierwsza zstąpiła; sam począł schodzić za nimi.

Tymczasem Athos zobaczył mężczyznę, idącego brzegiem morza, równoległe z tamą; przyśpieszał on kroku, jakby chciał być obecny po drugiej stronie przystani, w miejscu ich odbijania od brzegu. Wydało mu się, iż to ten sam, który go wypytywał.

— O! — pomyślał — miałaby to być szpieg, chcący przeszkodzić nam w odplynięciu?

Athos skoczył do łodzi, która uwolniona z więzów, poczęła się oddalać pod wysiłkiem czterech dzielnych wioślanzy. Lecz młodzieniec ów pobiegł w tym samym kierunku, wyprzedzając ich nawet. Właśnie łódź miała przepływać pomiędzy szpicem tamy, nad którym górowała latarnia morska, zapalona przed chwilą, a między skałą,

wystrzelającą z głębi morza. Widać było zdaleka, jak wdzierał się na tę skałę, by górować nad przepływającymi.

— To szpieg niezawodnie! — odezwał się Aramis do Athosa.

— Kto taki? — zapytał, oglądając się de Winter.

— Ten, co nas śledzi, rozmawiał z nami, a teraz czeka tam na nas, patrz!

De Winter spojrział w kierunku, wskazanym przez Aramis. Latarnia zalewała potopem światła małą cieśninę, którą przepływać mieli, i skałę, na której stał młodzieniec z głową odkrytą i rękami, skrzyżowanymi na piersiach.

— To on! — wykrzyknął de Winter, chwytając Athosa za ramię — to on! nie omyliłem się, poznaję go.

— Co za on? — zapytał Aramis.

— Syn milady — odparł Athos.

— Mnich! — krzyknął Grimaud.

Młody człowiek dosłyszał te słowa: zdawało się, iż rzuci się na nich, tak stał na skraju, pochylony nad morzem.

— Tak, to ja, mój stryju, ja, syn milady, ja, mnich, ja, sekretarz i przyjaciel Cromwella, — i znam ciebie i towarzyszków twoich.

W łodzi było trzech ludzi odważnych, których męstwu niktby nie śmiał zaprzeczyć, a jednak na odgłos tych słów, na widok tej postawy, uczyli oni dreszcz grozy.

— A! — odezwał się Aramis — to ten synowiec, ów mnich, syn milady, jak sam powiada. Kiedy tak, czekajcie!

I z przerażającą zimną krwią, nieodstępującą go w żadnej ostateczności, wziął muszkiet z rąk Tony'ego, odwiódł kurek i mierzył do człowieka, stojącego na skałę, który, jak anioł mściciel wiódł oczami i ręką za nimi.

— Pal! — wykrzyknął zgorączkowany Grimaud.

Athos pociągnął za lufę muszkietu i powstrzymał wystrzał.

— Niech cię djabli porwą!... — wrzasnął Aramis — miałem go na końcu lufy, w samo serce kulębym mu wpakował.

— Dość, że zabiliśmy mu matkę — głucho odezwał się Athos.

— Matka była zbrodniarką, która i nam dopiekała i tym, co drodzy nam byli.

— Tak, lecz syn nic nam nie winien.

Grimaud, który powstał z siedzenia dla obserwowania skutku wystrzału, opadł zniechęcony na ławkę.

— A! więc to wy jesteście, to wy, znam was już teraz! — zawołał młodzieniec.

Ostry śmiech jego i słowa, pełne groźby rozbrzmiały ponad łodzią, pędzoną powiewem morskim, i zamilkły w przestrzeniach widnokągu.

— Spokojnie — odezwał się Athos. — Co, u diabła! przestaliśmy być mężczyznami? czy co?

— Wcale nie — odparł Aramis — lecz to szatan wcielony. O!... słuchaj, zapytaj stryja, czy popełniłbym błąd, uwalniając go od tak miłego synowca.

De Winter westchnął z głębi piersi.

— Wszystkoby się skończyło — mówił dalej Aramis. — O!... Athosie, obawiam się wielce, czy nie popełniłem przez ciebie nieodżałowanego głupstwa.

— Patrz, Athosie — znowu odezwał się Aramis — jeszcze dość czasu!... Patrz, on ciągle tam stoi.

— Co on tu robi w Boulogne?... — pytał Athos, szukający wszędzie przyczyny.

— Trop w trop szedł za mną — odezwał się nareszcie de Winter, usłyszawszy te słowa Athosa, odpowiadające jego myślom.

— Gdyby tak być miało, przyjacielu drogi — odparł Athos — musiałby wiedzieć o twoim odjeździe; wreszcie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wyprzedził nas tutaj.

— Aramisie — odezwał się Athos — teraz nie przeczę, iż zbłądziłem, przeszkodziwszy ci w spełnieniu zamiaru.

Grimaud wyrzucił z piersi głuchy ryk wściekłości. W tejże chwili z jednomasztowca odezwał się do nich głos nawołujący. Żeglarz, siedzący u steru, odpowiedział, i łódź przybiła do statku. Panowie, służba i bagaże znaleźli się na pokładzie. Statek ruszył w kierunku Hastings, gdzie miano wylądować.

Trzej przyjaciele, raz jeszcze spojrzeli ku skale, na której wyraźnie zarysowywał się cień straszny, zdający się podążać za nimi. Potężny głos przeszył powietrze, śląc im pełne groźby słowa:

— Do zobaczenia, w Anglii!...

## ROZDZIAŁ IV

### TE DEUM NA CZĘŚĆ ZWYCIĘSTWA POD LENS

Ciągły ruch na mieście wywołany był zwycięstwem pod Lens, o którym książę Kondeusz zawiadomił stolicę, przez księcia de Chatillon. Oprócz radosnego poselstwa miał on polecenie zawiesić u sklepień kościoła Notre-Dame, dwadzieścia dwa sztandary, zdobyte na lotaryńczykach i hiszpanach.

Wiść ta miała znaczenie wielkie, decydujące, przecinała bowiem spór, wszczęty pomiędzy parlamentem a dworem królewskim.

Wszystkie nowe podatki, jakim parlament się przeciwstawił, wnoszone były przez stronników dworu, jako niezbędne dla utrzymania honoru Francji i w błogiej a ryzykownej nadziei pokonania wroga. Ponieważ jednak od walki pod Nordlingen, klęski spadały jedna po drugiej, parlament miał zatem prawo interpelować Mazariniego, gdzie są owe wiecznie obiecywane zwycięstwa.

Teraz za to nie można było zaprzeczyć zwycięstwa i to nie bylejakiego. Ogólnie też zgadzano się, iż był to triumf podwójny dla rządu: triumf nazewnętrzny i triumf wewnętrzny. Nawet młodociany król, gdy go ta wieść doszła, wykrzyknął z zapałem:

— A! panowie radcy parlamentu, zobaczmy, co teraz powiecie!

Usłyszawszy to, Anna Austriacka, przycisnęła do łona dziecię królewskie, którego charakter dumny i nieugięty odpowiadał w zupełności jej uczuciom.

Zwołano radę tego samego wieczora.

Nic nie wyszło na jaw, co postanowiono na tej radzie. Dowiedziano się jedynie, iż następnej niedzieli odśpiewane zostanie *Te Deum* w kościele Notre-Dame, na cześć zwycięstwa pod Lens.

Owóż tej niedzieli paryżanie zbudzili się, pełni wesela: w owej epoce *Te Deum* miało wielkie znaczenie. Nie nadużyto jeszcze wtedy tego rodzaju nabożeństwa, dlatego sprawiało ono wrażenie olbrzymie. Słońce, jakby pragnęło brać udział w święceniu dnia uroczystego, świeciło jasno, złocąc ciemne wieże katedry, przepelnionej od rana masą ludu. Ciasne uliczki w okolicy kościoła wyglądały świątecznie; jak okiem zajrzeć, bulwarami rzeki ciągnęli mieszczanie, rzemieślnicy, kobiety i dzieci, płynący do Notre-Dame, jak fale wody do źródła. Sklepy opustoszały, domy pozamykano; wszyscy pragnęli zobaczyć młodego króla z matką i okrzyczanego kardynała Mazariniego, znenawidzonego przez ogół.

Wolność i swoboda panowały pomiędzy nagromadzonym ludem; wygłaszano opinie, jakie kto wyznawał, czuć było w powietrzu wzburzenie, a głosy ludzkie dźwięczały na podobieństwo dzwonów, które ze wszystkich kościołów Paryża zlewały się w jedno uroczyste *Te Deum*. Policja składała się z mieszczan, nic więc nie mąciło swobody w okazywaniu wzgardy i miotaniu pogroźek na znenawidzonego kardynała.

Jednakowoż o ósmej zrana pułk gwardji królowej, pod dowództwem Guitaut'a i Comminges'a, z muzyką na czele, rozwinął się dwoma szeregami od Palais-Royal aż do Notre-Dame. Paryżanie manewr ten przyjęli spokojnie, ciekawo, jak zawsze, muzyki wojskowej i świetnych mundurów.

Friquet wystrojony postarał się o chwilową fluksję, wypchawszy policzek niezliczoną masą pestek od wisien, i z tego powodu uwolniony został na cały dzień przez Bazina, swego przełożonego.

We drzwiach kościoła Friquet pozbył się puchliny twarzy, przez proste wyplucie pestek, a Bazinowi posłał jeden z tych gestów uliczników paryskich, jakie dają im pierwszeństwo nad łobuzami wszystkich miast europejskich. W gospodzie zaś, gdzie posługiwał, powiedział, że idzie służyć do mszy w Notre-Dame.

Friquet był zatem swobodny i, jak to widzieliśmy,

przywdział najparadniejsze swe szaty. A najbardziej podnosiło strój jego nakrycie głowy. Było to coś niby beret średniowieczny, niby kapelusz z czasów Ludwika XIII-go. To arcydzieło sztuki kapeluszniczej siedemnastego wieku, z jednego boku miało kolor żółty i zielony — z drugiego zaś biały i czerwony. Opuściwszy Bazina, Friquet pobiegł do Palais-Royal; właśnie wtedy wychodził stamtąd pułk gwardji, a ponieważ Friquetowi dlatego tylko tak śpieszno było, aby napaść oczy widokiem mundurów, a uszy muzyką, zaczął tedy iść przed kompanją gwardji, naśladując bęben za pomocą dwóch uderzanych o siebie dachówek, a potem naśladując ustami trąbkę.

Lecz, gdy pułk się rozwinął i zajął stanowiska aż do końca ulicy św. Krzysztofa, w bliskości ulicy Cocatrix, gdzie mieszkał Broussel, wtedy Friquetowi przypomniało się, że był na czczo jeszcze i począł rozmyślać, w którąby się stronę udać, ażeby dostać śniadanie. Po długim namyśle zdecydował, że radca Broussel powinien go dziś nakarmić. Ruszył też z kopyta i zdyszany zaczął dobijać się do drzwi pana radcy. Stara służąca Broussela, a matka Friqueta, — otworzyła przerażona.

— A ty tu co robisz, nicponiu?... — zawołała — dlaczego nie jesteś w kościele?

— Byłem już, matko Naneto — rzekł Friquet — lecz dzieją się tam rzeczy niesłychane, o jakich pan Broussel powinien wiedzieć, więc za pozwoleniem pana Bazina, zakrystjanina... pobiegłem, aby pomówić z panem Broussel.

— Powiedz-że mi — czego chcesz od pana Broussela?

— Chcę mu powiedzieć — zaczął Friquet, krzycząc z całych sił — że pułk gwardji idzie w tę stronę. Słyszałem także, jak mówią, że u dworu źle jest widziany i że coś knuje się przeciw niemu. Przychodzę zatem ostrzec go, niech się ma na baczności.

Broussel posłyszał krzyk chłopaka i kontent z wiernego sprzymierzeńca, zeszedł na pierwsze piętro.

— E! mój przyjacielu — rzekł — co mnie obchodzi straż królewska; czy ci się w głowie pomieszało, żeby takie krzyki wyprawiać z tego powodu? Czyż nie wiesz, że to już taki zwyczaj, że ten pułk tworzy szpaler podczas przejazdu króla?

Friquet udał zdziwienie i obracał nową czapkę w palcach:

— Bóg świadkiem, nie wiedziałem, co to znaczy i sądziłem, iż powinienem ostrzec pana. Nie gniewaj się na mnie, panie Broussel...

— Ależ nie gniewam się, mój chłopcze, przeciwnie, podoba mi się twoja gotowość do usług. Moja Naneto, zajrzyj-no do brzoskwiń, które przysłała nam wczoraj z Noizy pani de Longueville, i daj z pół tuzina twemu synkowi, a także kawałek świeżego chleba.

— O! bardzo dziękuję — rzekł — ja, proszę pana, właśnie lubię okropnie brzoskwinie.

Broussel poszedł do żony i kazał podać śniadanie. Było pół do dziesiątej. Pan radca usiadł przy oknie i wyglądał. Pusto było na ulicy, lecz w dali, jak szum morza, rozlegał się szmer ludzkich głosów w stronie kościoła Notre Dame.

Głośniejsze jeszcze zrobiło, gdy d'Artagnan z kompanją muszkietierów stanął na warcie przy drzwiach katedry. Powiedział był Porthosowi, aby skorzystał z okazji i przyjrzał się zbliska ceremonji. Porthos też w ubraniu galowem dosiadł najpiękniejszego konia ze swej stajni i z dobrej woli pełnił służbę muszkietera.

O dziesiątej wystrzałem z armaty oznajmiono wyjazd króla z Luwru. Tłumy narodu, jak wierzchołki drzew, wiatrem pochylone, chwiały się poza nieruchomemi muszkietami straży. Nakoniec ukazał się król z królową i matką w karecie złoconej.

— Niech żyje król! — wołano dokoła.

Młody monarcha wyjrzał oknem karety, uśmiechnął się nieznacznie i — lekko, a poważnie skłonił głowę, co podwoiło zapal i okrzyki tłumów.

Orszak sunął pomału; blisko pół godziny przebywał przestrzeń pomiędzy Luwrem a kościołem. Gdy nareszcie stanął u celu, wszyscy wysiedli i udali się pod ciemne sklepienia olbrzymiej katedry. Nabożeństwo się zaczęło.

W chwili, gdy dwór zajmował miejsca przed ołtarzem, jedna z karet z herbami Comminges'ów, wysunęła się z szeregu dworskiego i stanęła na rogu zupełnie pustej ulicy św. Krysztofa. Czterech żołnierzy z gwardji i policjant, którzy dotąd szli za powozem, wsiedli do niego,



pozapuszczali firanki i zpoza nich patrzeli w ulicę Cocatrix, jak gdyby kogoś stamtąd oczekiwali.

Friquet tymczasem, dostawszy brzoskwiń, poszedł na plac naprzeciw drzwi katedry i, zając owoc, patrzył na króla, królową i Mazariniego, zupełnie, jak gdyby do mszy służył.

Gdy nabożeństwo miało się ku końcowi królowa zwróciła się do Comminges'a, stojącego obok i czekającego na potwierdzenie rozkazu, jaki otrzymał od niej przed wyjazdem z Luwru, i rzekł półgłosem:

— Idź już, Comminges, niech ci Bóg pomaga!

Comminges wyszedł natychmiast z kościoła i udał się na ulicę św. Krysztofa.

Friquet zobaczył pięknego oficera, a za nim dwóch gwardzistów, nie wiele więc myśląc, poszedł za nimi, tembardziej, że nic go już nie zatrzymywało na miejscu, ponieważ król opuścił świątynię i wsiadł do karety.

Skoro tylko policjant, siedzący w powozie, spostrzegł Comminges'a, ukazującego się na rogu ulicy Cocatrix, szepnął parę słów woźnicy, a ten zaciął konie i podjechał pod drzwi domu, gdzie mieszkał Broussel. Comminges pukał już do drzwi, gdy wehikuł przed niemi się zatrzymał. Friquet czekał za oficerem, aż drzwi się otworzą.

Oficer wybadał lokaja, i dowiedział się, że Broussel siedzi obecnie przy stole. Comminges udał się za lokajem, a Friquet szedł tuż za nim. Broussel jadł obiad z rodziną. Naprzeciw niego siedziała żona, po bokach dwie córki, przy końcu stołu syn, Loviere. Zaczny ojciec rodziny, zdrowy zupełnie, zjadał piękne owoce, przysłane przez panią Longueville.

Comminges zatrzymał lokaja, chcącego anonsować wizytę, otworzył drzwi i stanął wpośród zgromadzonej rodziny. Na widok wojskowego Broussel zmieształ się trochę, lecz widząc, że tenże kłania się grzecznie, powstał i także się uklonił. Pomimo jednak zamienionych grzeczności na twarzach kobiet małowiał się niepokój. Loviere zbladł, jak ściana, i czekał niecierpliwie na odezwanie się oficera.

— Panie — rzekł Comminges — przynoszę rozkaz królewski. — Polecono mi aresztować pana — i wierzaj mi pan, oszczędź sobie trudu czytania tego długiego listu tylko zbieraj się i chodź ze mną.

Gdyby piorun był padł pośród tych spokojnych ludzi, nie byłby w stanie okropniejszego uczynić wrażenia. Broussel cofnął się, drżąc cały. Straszna to była rzecz w owej epoce, być uwięzionym z rozkazu króla... Loviere rzucił okiem na szpadę, leżącą na krześle w kącie pokoju; lecz spojrzenie zacnego Broussela, który pomimo wszystkiego nie stracił głowy, powstrzymało go od tego kroku desperackiego. Pani Broussel, oddzielona od męża szerokością stołu, zalewała się łzami; dziewczęta ścisnęły i całowały ojca.

— Dalej, panie — rzekł Comminges — spieszmy się, trzeba być posłusznym królowi.

— Nie jestem zdrow, mój panie — przemówił Broussel — nie mogę w tym stanie iść do więzienia, upraszam o zwłokę.

— To niemożliwe — odparł Comminges — rozkaz jest wyraźny i musi być spełniony w tej chwili.

— To niemożliwe!... — odezwał się głos silny z głębi pokoju.

Oficer odwrócił się i ujrzał starą Nanetę z miotłą w ręku z oczami, ciskającymi błyskawice.

— Poczciwa Naneto, uspokój się — rzekł Broussel — proszę cię bardzo!

— Ja! mam być spokojna, gdy mego pana aresztują! podporę, oswobodziciela, ojca biednego narodu! O! to mnie pan jeszcze nie znałeś!... No! wynoś się pan za drzwi!... — krzyknęła do oficera.

Comminges się uśmiechnął.

— Panie radco — rzekł — bądź łaskaw, ucisz tę kobietę i chodź za mną.

— On chce, żebym ja była cicho! ja!... — wrzeszczała Naneta — doskonały! nie potrafisz tego dokazać, piękny ptaszku królewski. Zobaczysz natychmiast...

Pani Naneta skoczyła, otworzyła okno i na całe gardło zaczęła wołać, że ją było słyhać na całym placu przed katedrą:

— Na pomoc! ratujcie pana Broussela! aresztują go, ponieważ bronił ludu; na pomoc!

Comminges złapał wpół służącą, chcąc ją odciągnąć od okna; lecz w tejże chwili drugi głos, wychodzący z poddasza, niemniej przenikliwy rozległ się po placu:

— Mordują! pali się! trzymajcie mordercę! Zabijają pana Broussel! gardło podrzynają panu Broussel!

To Friquet tak krzyczał. Naneta, słysząc tę pomoc, zaczęła na nowo wołać z całych sił.

W oknach ukazały się głowy ciekawych. Ludzie zaczęli się zbiegać całymi masami. Friquet zbiegł z góry i wskoczył na koziół powozu.

— Aresztują pana Broussela!... — zawołał — dwóch gwardzistów siedzi w karecie, a oficer jest na górze.

Tłum zaczął szemrać, otoczono konie. Dwóch ze straży, pozostałych przy bramie, poszło na górę do pana Comminges, ci zaś, co byli w karecie, otworzyli drzwiczki i skrzyżowali lance.

— Czy widzicie ich?... — krzyknął Friquet. — To oni!

Wóznicę śmignął batem Friqueta, aż zawył z bólu.

— A ty djabelski furmanie!... — zawołał chłopak — ty się w to mieszasz? Poczekaj!

Skoczył znów na poddasze i stamtąd obrzucił wóznicę całym słownikiem wymysłów ulicznikowskich.

Pomimo wojowniczych demonstracyj straży, a może właśnie dlatego, tłumy coraz ciasniej opasywały powóz. Gwardziści cofnęli najodważniejszych, koląc pikami. Nic to nie pomogło, zbiegowisko powiększało się z każdą chwilą; ciekawi ze wszystkich stron napływali, nie mogąc się zmieścić w ulicy; nacisk zmniejszał coraz bardziej przestrzeń wolną pomiędzy tłumem i kareta, jaką jeszcze starano się utrzymać długością lanc. Żołnierze dostawali się już pod koła powozu.

Wołanie: W imieniu króla! — ze dwadzieścia razy powtarzane przez policjanta, — nie miało wpływu na pospólstwo, owszem zdawało się je drażnić jeszcze. Aż naraz, właśnie na krzyk: W imieniu króla! przypadł jeździec jakiś i, widząc mundury w poniewierce, rzucił się w tłum ze szpadą w ręku, niosąc niespodziewaną pomoc gwardzistom.

Był to zaledwie szesnastoletni młodzieniec, błydy z oburzenia. Zsiadł z konia, oparł się plecami o dyszel powozu, wyjął z olster pistolety, zatknął je za pas i począł wymachiwać szpadą z wprawą człowieka, oswojonego z podobnemi rzeczami. Przez dziesięć minut sam jeden powstrzymywał napór ludu. Ujrzano wtedy Comminges'a, pchającego Broussela przed sobą.

— Rozszarpać karetę!... — wrzeszczał lud.

— Na pomoc!... — krzyczała stara sługa.

— Biją! mordują! zabijają!... — wołał Friquet, ciskając wszystkim, co miał pod ręką, na strażników.

— W imieniu króla!... — powtarzał Comminges.

— Pierwszemu, co się zbliży, w łeb palną!... — zawołał Raul — i właśnie kolnął szpadą jakiegoś olbrzyma, chcącego go przydusić, który, poczuwszy, że jest raniony, cofnął się z przekleństwem.

Bo młodzieńcem tym był Raul; wracając z Blois, chciał zobaczyć uroczystość *Te Deum* i pojechał w stronę katedry. W bliskości uliczki Cocatrix pociągnięty został przez tłum, a słowa: W imieniu króla! przypomniały mu, co powiedział Athos: Służ wiernie królowi. Przybiegł też walczyć za króla, którego gwardję poniewierano.

Comminges wpakował Broussela do karety i sam za nim wskoczył. W tejże chwili rozległ się strzał; kula przeszła kapelusz Commingesesa i strzaskała rękę gwardziście. Comminges obejrzał się i zobaczył wśród dymu groźne oblicze Loviera w oknie drugiego piętra.

— Dobrze, panie — rzekł Comminges — usłyszysz jeszcze o mnie...

— I ty także, mój panie — odparł Loviere — zobaczymy, kto będzie miał ostatnie słowo.

— Śmierć oficerowi! zabić go!... — wrzeszczała tłuszcza.

— Jeden krok jeszcze — zawołał Comminges, odsłaniając firanki, aby było widać, co się dzieje w powozie, i przykładając koniec szpady do piersi Broussela — jeden krok jeszcze, a przebiję więźnia. Mam rozkaz dostawić go żywego lub umarłego; dostawię trupa, to na jedno wyniesie.

Krzyk straszny się rozległ: żona i córki Broussela wyciągały do ludu ręce błagalnie. Tłum pojął, że ten oficer błądy i stanowczy dotrzyma słowa: nie przestano odgrażać się, lecz ustąpiono z drogi.

Pojechali tedy, przerywając tłumy, lecz na bulwarze stanęli. Kareta się przewróciła, lud obstał konie. Straż zaczęła już zabierać się do obrony ostrzami lanc. Ostateczna ta i krwawa obrona rozjątrzyła lud do reszty. Ukazały się w tłumie lufy muszkietów, zabłysły rapiry, strzelano w powietrze wprawdzie, lecz echo wystrzałów odbijało się w sercach ludu; z okien ciskano na straż róż-

żne przedmioty. Wołanie: śmierć oficerowi! śmierć gwardzistom! do Sekwany z oficerem! słyhać było coraz częściej.

Raul w kapeluszu zgniecionym, z twarzą zakrwawioną, czuł, że siła, a nawet przytomność go opuszczają; mgła wzrok mu przesłoniła, a przez tę mgłę widział sto rąk podniesionych, gotowych spaść na niego. Comminges w przewróconej karecie rwał włosy z wściekłości. Straż nie mogła pomóc nikomu, zmuszona bronić się sama. Wszystko zdało się skończone: powóz, konie, straż, a może i więzień, wszystko miało być roztratowane, zmiądzzone.

Naraz rozległ się głos, dobrze znany Raulowi, a szeroka szpada błysnęła w powietrzu. Oficer muszkieterów, siekąc na prawo i lewo, dopadł Raula i wziął go w ramiona właśnie w chwili, gdy ten miał runąć na ziemię.

— Na krew Chrystusa!... — krzyknął oficer — czyżby go zamordowali? O! w takim razie, biada im!...

Odwrocił się z tak strasznym wyrazem twarzy, iż najodważniejsi z buntowników cofnęli się, pchając jeden drugiego, a niektórzy wpadli do Sekwany.

— Pan d'Artagnan!... — wyszeptał Raul.

— Tak! na Boga! to ja we własnej osobie, i jak mi się zdaje, bardzo w porę dla ciebie, mój młody przyjacielu. Hola! do mnie tu, wy tam, wszyscy — zawołał, stając w strzemiionach, podnosząc szpadę i przywołując głosem i gestami muszkieterów, którzy pozostali w tyle. — Wymieść te śmiecie. Do muszkietów! Przyłożyć broń! Odwieść kurki! Złożyć się!...

Na taką komendę — tłum cały przypadł do ziemi gwałtownie, głowy się pochyliły; d'Artagnan nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Dzięki ci, d'Artagnan — rzekł Comminges, wyłaząc do połowy z karety przewróconej — dziękuję i tobie także, młody szlachcicu! Jak się nazywasz?... abym mógł królowej powiedzieć.

Raul miał już wymienić nazwisko, gdy d'Artagnan szepnął mu do ucha:

— Cicho bądź, pozwól mnie odpowiedzieć.

— Nie trać czasu, Comminges — powiedział — wyleż z karety, jeżeli możesz, i każ inną sprowadzić.

— Ale jaką i skąd?

— A na Boga, pierwszą lepszą, jadącą przez Nowy-Most. Ci, co w niej siedzieć będą, ustąpią z radością, aby się królowi przysłużyć. Spiesz się, bo za pięć minut będzie już zapóźno, wszyscy napastnicy powrócą ci na kark z muszkietami i ze szpadami. Zabiją cię, a więźnia uwolnią. Spójrz-no! jakaś karetą nadjeżdża.

Następnie szepnął znów do Raula:

— Przedewszystkiem, nie mów, jak się nazywasz.

Młody człowiek spojrział na niego zdziwiony.

— Dobrze, dobrze, biegnę już — rzekł Comminges — a jeżeliby powrócili tu napastnicy, daj do nich ognia.

— O! tego nie zrobię — odrzekł d'Artagnan — zachowam się spokojnie; jeden strzał, dany w tej chwili, drogo by nas jutro kosztował.

Comminges z czterema gwardzistami i tyluż muskietierami pobiegł naprzeciw jadącego powozu. Kazał wysiąść tym, którzy jechali i sprowadził ekwipaż. Gdy przyszło przeprowadzić Broussela z wehikułu połamanego, gdy lud ujrzał tego, którego zwał swoim oswobodzicielem, wszczęły się znów krzyki, pogroźki i całe masy waliły znów na karetę.

— Odjeżdżaj coprędzej — rzekł d'Artagnan. — Masz oto dziesięciu muskietierów do eskorty, a dwudziestu zostawiam dla powstrzymania ludu. Jedź, nie trać ani minuty. Dziesięciu ludzi do pana Comminges!

Dziesięciu odłączyło się od kolumny; otoczyli nową karetę i pojechali galopem. Wrzawa się podwoiła; z górą dziesięć tysięcy ludzi cisnęło się na bulwarze, zalewało Nowy - Most i przyległe ulice. Strzelano kilkakrotnie. Jeden z muskietierów został ranny.

— Naprzód!... — zakomenderował d'Artagnan, doprowadzony do ostateczności.

I z dwudziestoma ludźmi zaatakował masy ludu, które cofały się przerażone. Jeden tylko człowiek nie ruszył się z miejsca; stał z bronią w ręku.

— A!... — powiedział ten człowiek — ty już raz chciałeś go zamordować! i wycelował do d'Artagnana, który w pełnym galopie najeżdżał na niego.

D'Artagnan położył głowę na szyi konia, młody człowiek dał ognia; kula oberwała pióro na kapeluszu muskietera. Rozwścieczony koń wpadł na niebacznego, który sam jeden chciał burzę powstrzymać, i przyparł go do

mur. D'Artagnan osadził konia na miejscu i, gdy jego muszkietierowie dobiegli doń, podniósł szpadę i szedł na tego, którego obalił.

— Panie!... — zawołał Raul, poznając młodego człowieka z ulicy Cocatrix. Panie, oszczędź go, to jego syn.

D'Artagnan zatrzymał rękę gotową uderzyć.

— Panie, poddaję się — rzekł Loviere, oddając oficerowi wystrzeloną fuzję.

— Nie poddawaj się, do licha, a zmykaj cociędeż; jak cię zaborą, będziesz wisiał.

Młodzieniec nie czekał, aż mu powtórzą ten rozkaz, przemknął pod szyją konia i zniknął w ulicy Guégoud.

— Na honor — rzekł d'Artagnan do Raula — czas był wielki, ażebyś mnie powstrzymał; ten człowiek był już prawie nieboszczykiem. A słowo daję, że, gdybym się później dowiedział, kto to taki, miałbym wieczny wyrzut sumienia.

— A! panie — odezwał się Raul — podziękowawszy ci za tego biednego chłopca, pozwól, że ci i za siebie wdzięczność mą wynurzę. Ja także już umierałem, gdyś ty, panie, przybył.

— Czekaj, młodzieńcze, nie męcz się rozmową.

Następnie wyjął z olster butelkę wina hiszpańskiego.

— Wypij no parę łyków — powiedział.

Raul napił się i chciał znowu dziękować.

— Kochanku — przerwał d'Artagnan — pomówimy o tem później.

Potem, zobaczywszy, że muszkietierowie oczyścili już bulwar od Mostu-Nowego aż do bulwaru Ś-go Michała i że powracają, podniósł szpadę na znak, aby się pospieszyli. Podjechali klusem; jednocześnie z drugiej strony nadjeżdżała eskorta, którą d'Artagnan dał Commines'owi.

— Hola!... — zawołał d'Artagnan — czy przytrafiło się znów co nowego?...

— E... panie — odparł sierżant — karetka znów się polamała; jakieś prawdziwe przekleństwo zawisło nad nami.

D'Artagnan wzruszył ramionami.

— To głupcy, niezręczni — powiedział — nie umieją wybrać mocnego powozu. Karetka, którą wywozi się Broussela, powinna utrzymać dziesięć tysięcy ludzi?...

— Jakie rozkazy... dowódco?...

— Zabierz oddział i zaprowadź go na kwaterę.

— Pan sam zostanie?...

— Sam. Czy sądzisz, że potrzebuję eskorty?...

— Jednak...

— Ruszaj, marsz...

Muszkietierowie odjechali, d'Artagnan został sam z Raulem.

— Powiedz mi teraz, co cię boli?... — rzekł do niego.

— Głowa mi cięży i pali mię.

— Cóż się tej głowie stało?... — powiedział d'Artagnan, podnosząc kapelus. — Aha!... kontuzję dostaliśmy!

— Tak, przypominam sobie, że rzucono mi na głowę doniczkę z kwiatem... Zsiadłem, aby bronić pana Comminges, i zabrano mi konia. Ale patrz pan, oto mój koń!...

W tej chwili właśnie Friquet nadjechał galopem na koniu Raula; wywijał swoją czapkę czterokolorową i krzyzczał:

— Broussel!... Broussel!...

— Hola!... stój, łotrze jakiś!... — zawołał d'Artagnan — dawaj tu tego konia.

Friquet udawał, że nie słyszy i próbował jechać dalej. D'Artagnan wyjął pistolet z olster i wycelował. Friquet posiadał bystre oko i słuch doskonały; dostrzegł ruch d'Artagnana, posłyszał odwodzenie kurka, przystanął i obejrzał się.

— A!... to pan, panie oficerze, — zawołał, kierując się do d'Artagnana — bardzo się cieszę, że pana spotkał.

D'Artagnan przypatrzył się Friquetowi i poznał w nim chłopca z ulicy Colandre.

— To ty, urwisie — rzekł — chodź-no tu. Zmieniłeś zajęcie, czy co?... nie należysz już do chóru kościelnego?... nie posługujesz w szynku?... zostałeś koniokradem?...

— A!... panie oficerze, co pan mówi?... — zawołał Friquet — szukałem właśnie szlachcica, do którego koń należy, ślicznego kawalera, walecznego, jak Cezar!... (udawał, że dopiero spostrzegł Raula). A!... jeżeli się nie mylę — ciągnął — to ten sam. Panie, odbierając konia, spodziewam się, że nie zapomnisz o tym. co ci go przyprowadził, wszak prawda?...

Raul włożył rękę do kieszeni.

— Co chcesz zrobić?... — zapytał d'Artagnan.



— Chcę dać dziesięć liwrów pocziwemu chłopakowi— odparł Raul, wyjmując pieniądze z kieszeni.

— Dziesięć kopnięć w brzuch nogą należy się temu łotrowi — rzekł d'Artagnan. — Wynoś się, błaznie, i pamiętaj, że wiem, gdzie mieszkasz...

Friquet, który nie spodziewał się, że mu tak ujdzie na sucho, dał susa w ulicę Delfina i przepadł bez śladu. Raul dosiadł swego konia i obydwaj z d'Artagnanem pojechali wolno w stronę ulicy Tiquetonne. Muszkieter pilnował młodzieńca, jak własnego syna. Przez całą drogę słyszeli głucho szemrania i groźby; lecz na widok oficera o postaci marsowej, na widok szerokiej szpady, zwieszającej się u boku, rozstępowano się wszędzie, i żaden wypadek nie spotkał dwóch jeźdźców.

Dojechali szczęśliwie do hotelu „pod Kozą“. D'Artagnan kazał przywołać Plancheta; wołano go i szukano wszędzie, lecz napróżno. Planchet się ulotnił.

— To, podajcie wina!... — rzekł d'Artagnan.

Gdy wino podano i gdy został sam z Raulem, rzekł, patząc mu w oczy:

— Jesteś z siebie zadowolony, wszak prawda?...

— O!... tak — odrzekł Raul — zdaje mi się, iż spełniłem moją powinność. Czyż nie broniłem króla?...

— A kto ci kazał walczyć za króla?...

— Hrabia de la Fère.

— Tak, za króla, rozumiem; lecz dzisiaj nie króla broniłeś, lecz Mazariniego, to zupełnie inna rzecz.

— Ależ, panie...

— Postąpiłeś nierozważnie, młodzieńcze... wmieszałeś się do rzeczy, która do ciebie nie należy...

— A jednak, pan sam także...

— O!... ja, to co innego... ja słuchać muszę dowódcy. Twoim dowódcą jest książę pan, innego nie znasz. Czy kto widział — ciągnął d'Artagnan — podobnie zapaloną głowę, walczy za Mazariniego, pomaga aresztować Broussela!... Milczże przynajmniej o tej awanturze, bo, jak się wygadasz, hrabia de la Fère wściekły będzie na ciebie.

— Sądzisz pan, że hrabia de la Fère będzie się na mnie gniewał?...

— Pewien tego jestem; gdyby nie to, podziękowałbym ci, boć przecie dla nas pracowałeś. Otóż ja cię wyłaję

na jego miejscu; wierzaj mi, że nie taka burza spadłaby na ciebie od niego. W dodatku — ciągnął d'Artagnan — używam władzy i przywileju, jakie otrzymałem od twego opiekuna, moje dziecię.

D'Artagnan podniósł się, podszedł do biurka, wziął list i podał Raulowi.

— O!... mój Boże!... — rzekł Raul, wznosząc w niebo piękne łzami zwilżone oczy — pan hrabia wyjechał z Paryża, nie zobaczywszy się ze mną?

— Od czterech dni już wyjechał.

— Z tego listu można mniemać, że narażony jest na utratę życia?...

— On? na śmierć narażony?... o nie, bądź spokojny; wyjechał dla załatwienia pewnych interesów i powróci niedługo. Czy nie masz nic przeciw temu, abym został przez ten czas twoim opiekunem?...

— O nie, panie d'Artagnan, jesteś zacnym i walecznym szlachcicem, a hrabia de la Fère kocha pana bardzo.

— O, mój Boże!... to i ty mnie kochaj; nie będę ci dokuczał, lecz pod warunkiem, że pozostaniesz stronnikiem Frondy i to arcystronnikiem nawet.

— Czy mogę widywać się z panią de Chevreuse?...

— I owszem!... i z panem koadjutorem, i z panią de Longueville; gdyby poczciwy Broussel był w domu. Broussel, któregoś dopomógł uwięzić tak nierozważnie, powiedziałbym ci: Idź coprędzej, przeproś go, i ucałuj w oba policzki.

— Będę posłuszny, choć nic pana nie rozumiem.

— Nie trzeba, żebyś mnie rozumiał. Otóż widzisz — ciągnął d'Artagnan, do drzwi się zwracając — o!... pan du Vallon przybywa, jakże podarte ma ubranie!...

— Tak, lecz wzamian — rzekł Porthos, cały potem złany i kurzem okryty — wzamian nadarłem dużo skóry ludzkiej. Te łotry chcieli mi szpadę odebrać!... Do diabła!... co za wzburzenie ogólnel... — ciągnął olbrzym z miną spokojną — utłukłem przeszło dwudziestu rękojęścią Balizardy... Kapeczkę wina daj mi, d'Artagnan...

— Zdaję się na twój sąd — rzekł gaskończyk, napełniając szklanekę Porthosa po brzegi — jak wypijesz wino, powiesz mi swoje zdanie.

Porthos wychylił szklanekę jednym haustem; poczem zapytał:

— O czym chcesz usłyszeć moje zdanie?...

— Słuchaj — podjął d'Artagnan — oto jest pan de Bragelonne, który wszelkimi siłami pomagał aresztować Broussela, i któremu ledwie przeszkodziłem stanąć w obronie pana Comminges'a, cóż powiesz na to?...

— Do licha!... — rzekł Porthos — coby powiedział opiekun, gdyby wypadkiem dowiedział się o tem?...

— A widzisz!... — przerwał d'Artagnan. Potem zwrócił się do towarzysza.

— Pójdiesz ze mną, Porthosie?...

— A to dokąd?... — zapytał Porthos, napełniając szklanę.

— Złożyć uszanowanie kardynałowi.

Porthos połknął drugą szklanę równie spokojnie, jak pierwszą, wziął z krzesła kapelusz i poszedł za d'Artagnanem. Raul został sam, oszołomiony tem, co widział. D'Artagnan zabronił mu wychodzić z pokoju, dopóki wzburzenie uliczne nie będzie stłumione.

## ROZDZIAŁ V

### ŻEBRAK OD Ś-go EUSTACHEGO

D'Artagnan umyślnie nie stawiał się natychmiast w Palais - Royal: chciał, aby Comminges wprzód się tam znalazł i miał czas opowiedzieć kardynałowi, jaką to niezmierną przysługę, on, d'Artagnan, oddał tego rana stronictwu królowej.

To też kardynał przyjął obydwu bardzo uprzejmie, nagadał mnóstwo komplementów i oznajmił, że są już na połowie drogi do celu: to jest d'Artagnan do naczelnego dowództwa, a Porthos do tytułu barona. D'Artagnan wolałby być gotówkę, niż to wszystko, wiedział bowiem, że Mazarini z łatwością obiecuje, a dotrzymuje obietnic bardzo ciężko. Cenił też te nadzieje, jak gruszki na wierzbie, lecz udawał bardzo zadowolonego, aby nie zniechęcać Porthosa.

Tymczasem i królowa kazała poprosić ich do siebie. Mazarini osądził w duchu, że podziękowanie osobiste królowej podwoi zapal obrońców; skinął też na nich, aby się za nim udali.

Dwór Anny Austrjackiej, liczny był i wesoły, obecnie jeszcze więcej znać to było, bo po zwycięstwie nad Hiszpanją, odniesiono niemniejsze nad ludem. Broussel, bōżyszczce ludu, wywieziony z Paryża, siedział już zapewne w tej chwili w więzieniu w Saint - Germain; a Blancmesnil aresztowany jednocześnie, tylko pocichu, w tajemnicy, był już osadzony pod kluczem w wieży Vinceńskiej.

Comminges stał blisko królowej, a ona wypytywała go o szczegóły rannej wyprawy; wszyscy słuchali uważnie opowiadania, gdy naraz ujrzano we drzwiach, poza kardynałem d'Artagnana i Porthosa.

— Najjaśniejsza pani — rzekł Comminges, biegnąc naprzeciw d'Artagnana — oto nadchodzi ten, co może lepiej, niż ja, wszystko opowiedzieć, bo jest to mój wybawca. Bez jego pomocy, byłbym zapewne w tej chwili w sieci pod Saint - Cloud; gdyż ni mniej ni więcej, chodziło tylko o wrzucenie mnie do rzeki. Mów, d'Artagnanie, proszę cię, opowiadaj.

— No cóż, mój panie, po oddaniu mi tak wielkiej przysługi, milczysz teraz?... — rzekła Anna Austrjacka.

— Najjaśniejsza pani — odparł d'Artagnan — nie mam nic do powiedzenia, chyba to, że życie moje jest na usługę Waszej Królewskiej Mości, i że nazwę się prawdziwie szczęśliwy w dniu, w którym będę mógł zginąć w jej obronie.

— Wiem o tem, panie, wiem dobrze oddawna — rzekła królowa. — Bardzo mi zatem przyjemnie, że mogę publicznie dać ci dowód mego szacunku i wdzięczności.

— Pozwól, Najjaśniejsza pani — rzekł d'Artagnan — niech część twej łaski spłynie na mojego przyjaciela, tak jak i ja (położył nacisk na te słowa), dawnego muszkietera z kompanji de Tréville; dokazał on cudów waleczności.

— Nazwisko tego pana?... — zapytała królowa.

— Gdy służył w muszkietarach — rzekł d'Artagnan — nazywał się Porthos (królowa zadrżała), lecz prawdziwe jego nazwisko, kawaler du Vallon.

— De Bracieux, de Pierrefonds — dodał Porthos.

— Za liczne to imiona, abym je zapamiętała wszystkie, chcę tylko pamiętać o pierwszym — rzekła królowa uprzejmie.

Porthos się uklonił. D'Artagnan cofnął się o dwa kroki. W tej chwili zaanonsowano koadjutora. Okrzyk zdziwienia rozległ się w otoczeniu królowej. Pomimo, że pan koadjutor mówił z ambony dziś właśnie zrana, wiadano, iż skłania się do Frondy.

Mazarini, żądając od arcybiskupa paryskiego, aby jego siostrzeniec miał kazanie, pragnął, jako chytry włoch, uszyć buty panu de Retz i cieszył się z tego tajemnie. Koadjutor, wychodząc z katedry, dowiedział się o awanturze ulicznej.

Był on istotnie związany z przewódcami Frondy, nie dotyla jednak, aby nie mógł ich opuścić, gdyby dwór ofiaro-

wał mu korzyści, o jakich marzył, a do których koadjutorstwo torowało mu drogę. Pan de Retz pragnął zostać arcybiskupem na miejsce wuja swojego i kardynałem, jak Mazarini. A partja ludowa z trudnością mogłaby ofiarować mu te zaszczyty iście królewskie.

Udał się do pałaca powinszować królowej zwycięstwa pod Lens, zdecydowawszy z góry działać z tem stronnictwem, lub z tamtem, zależnie od tego, czy jego wizyta źle czy też dobrze zostanie przyjęta.

Za ukazaniem się jego, cały dwór, dotychczas triumfujący, uciszył się i czekał ciekawie, co usłyszy z ust dostojnika kościelnego.

Koadjutor posiadał więcej rozumu, niż wszyscy zebrani, którzy zamyślali z niego żartować. Mówił zręcznie, rozumnie i pomimo najszczerzych chęci otaczający nie mogli nic znaleźć do wyśmiania. Zakończył ofiarowaniem słabych swych usług i zdolności do rozporządzenia królowej.

Zdawało się, że królowej bardzo podobała się mowa koadjutora; słuchała z wielką uwagą, lecz gdy zakończył frazesem o usługach dla królowej, jedynym, w którym można było coś znaleźć do wyśmiania, Anna odwróciła się, rzuciła okiem na faworytów, a ci zrozumieli, iż oddaje im na pastwę koadjutora. Zaraz też żartownisie jęli dowcipkować.

Nogent - Beautin, buffon domowy, zawołał, że królowa bardzo jest szczęśliwa, znalazłszy pomoc religijną w takiej chwili. Cały dwór wybuchnął wielkim śmiechem. Hrabia de Villeroy dodał, jak można było przerazić się nawet na chwilę, mając do obrony dworu od parlamentu i mieszczan paryskich koadjutora, na którego skinienie może powstać armja księży, szwajcarów kościelnych i zakrystjanów.

Gondy, wobec tej burzy, którą mógł być jednym słowem uśmierzyć, pozostał spokojny i surowy. Królowa zapytała, czy ma co dodać jeszcze do pięknej przemowy, jaką miał do niej.

— Tak, pani — rzekł koadjutor — mam prosić właśnie, aby Wasza Królewska Mość dobrze się zastanowiła, zanim rzuci kraj w okropności wojny domowej.

Królowa odwróciła się, śmiech powstał na nowo. Koadjutor złożył ukłon i wyszedł, ciskając na kardynała je-

dno z tych spojrzeń, które tylko śmiertelni wrogowie rozumieją. Spojrzenie tak było wymowne, że przeszło nawskroś serce Mazariniego; uczuł on, że jest to wypowiedzenie wojny, wziął za rękę d'Artagnana i rzekł doń:

— Czy w razie potrzeby poznasz człowieka, który stąd wyszedł obecnie?

— Tak, Eminencjo, poznam.

— O!... — mruzczał Gondy, przestępując próg pałacu — dworze królewski, szajko niewdzięczna, przewrotna i podła!... jutro pokażę ci, co mogę, śmiać się będziecie, lecz innym tonem.

Podczas gdy w Palais-Royal oddawano się wesołości niepohamowanej, gdy jedni przez drugich sadzili się, aby królową bawić kosztem nieobecnego, — Mazarini, wloch mądry i przebiegły, a przytem tchórzem podszyty, nie tracił czasu na próżne a niebezpieczne żarty. Poszedł do siebie, zebrał rachunki i najważniejsze papiery, złoto i kosztowności przeróżne, przywołał robotników zaufanych i rozkazał im w ścianach mieszkania swego porobić skrytki tajemne.

Koadjutor, powróciwszy od królowej, dowiedział się, iż jakiś młody człowiek czeka na niego. Gdy mu powiedziano, że nazywa się Loviere, zacny prałat zadrzał z radości. Pobiegł do swego gabinetu i rzeczywiście zastał tam Loviera, wzburzonego jeszcze i pokrwawionego po walce z pachółkami królewskimi. Koadjutor przywitał go podaniem ręki.

— Kochany panie Loviere — odezwał się koadjutor — wierz mi, że szczerze współczuję twojej niedoli.

— W takim razie powiem Eminencji, że czas słów przeminął, godzina czynu nadeszła; jeżeli zechcesz, to ojca mego za trzy dni wypuszczą z więzienia, a za sześć miesięcy ty, Eminencjo, zostaniesz kardynałem.

Koadjutor zadrzał i zbladł śmiertelnie.

— Mówmy otwarcie — ciągnął Loviere — nie grajmy w zakryte karty. Nikt przecie nie rozrzuca trzydziestu tysięcy dukatów na jałmużny, z czystego miłosierdzia chrześcijańskiego, to byłoby za piękne; za wzniosłe... Pan robisz to przez ambicję, to bardzo proste; jesteś człowiekiem genialnym i czujesz swoją wartość. Ja zaś cały pałam zemstą. Połącz wpływem swoim duchowieństwo z ludem, ja obiecuję dodać mieszczaństwo i parla-

ment: z czterema temi żywiołami — Paryż w tydzień do mas będzie należeć. Wierz mi, panie koadjutorze, królowa ze strachu odda ci to, czegooby z dobrej woli nigdy nie dała.

Teraż koadjutor patrzył na Loviera przenikliwie.

— Czy wiesz, że to, co mi proponujesz, panie Loviere, to ni mniej ni więcej tylko wojna domowa.

— Oddawna już ją przygotowujesz, monsiniorze, i rad jej będziesz z całej duszy.

— Zawsze to wymaga namysłu.

— Ile godzin potrzeba panu do namysłu?

— Dwanaście, mój panie. Czyż to za wiele?

— Południe teraz; o północy stawię się po odpowiedź.

— Dobrze; do widzenia, kochany panie Loviere.

Gondy tymczasem wezwał wszystkich znajomych księży. We dwie godziny zgromadził trzydziestu proboszczów z najludniejszych parafij Paryża. Gondy opowiedział im, co go spotkało w Palais Royal, powtórzył żarty de Beautin'a, hrabiego Villeroy i marszałka Milleraie. Proboszczowie, wysłuchawszy, zapytali, co mają robić.

— Zaraz wam powiem; kierujecie sumieniem ludu, więc otwórzcie mu oczy na słabość królowej; niech wiedzą, że wszelkie nieszczęścia spadają na Francję z winy Mazariniego, jej kochanka, że on buntuje i demoralizuje; zaczynajcie od dziś .. od tej zaraz chwili... za trzy dni czekam was, powiecie mi, coście zrobili. Jeżeli zaś który z was może mi dobrej udzielić rady, niech pozostanie, wysłucham go z przyjemnością.

Trzech księży nie wyszło: od św. Merri, od św. Sulpicjusza i od św. Eustachego.

— Czy sądzicie, że więcej wiecie, niż wasi koledzy? ..— zapytał Gondy.

— Tak, sądzimy... — odparli księża.

— Zobaczymy tedy; zaczynaj, proboszczu od św. Merri.

— Proszę Waszej wielbności, jest w mojej parafji człowiek, bardzo dla was przydatny.

— Co to za jeden?

— Kupiec z ulicy Lombard, posiadający wielki wpływ na drobnych handlarzy w tej dzielnicy.

— Jak się nazywa?

— Niejaki Planchet: sam on jeden zrobił zaburzenie nie dawniej, jak sześć tygodni temu. Po tej awanturze,





*Królowa usiadła na krześle, wzięła pióro i podpisała.*



szukano go wszędzie, aby go powiesić, lecz przypadł bez wieści.

— Czy myślisz go odnaleźć?...

— Mam nadzieję; wątpię, aby go zdołano przyaresztować, a ponieważ jestem spowiednikiem jego żony, to, jeżeli ona co wie o nim, i ja będę wiedział.

— Dobrze, kochany proboszczu, odszukaj tego człowieka, a gdy znajdziesz, przyprowadź go do mnie.

Proboszcz oddalił się.

— A pan co mi powiesz?... — rzekł Gondy, zwracając się do proboszcza od św. Sulpicjusza.

— Ja, Wasza wielbność, znam człowieka, który oddał ogromną przysługę pewnemu księciu, wielce popularnemu. Z tego człowieka byłby znakomity wódz malkontentów, a ja mogę go oddać na wasze usługi.

— Jak się nazywa?

— Hrabia de Rochefort.

— O! znam go dobrze; niestety niema go w Paryżu.

— Jest, mieszka przy ulicy Cassette.

— Dlaczegoż do mnie nie przyszedł?

— Powiedziano mu... Wasza wielbność wybaczy...

— Mów, mów, nic nie szkodzi.

— Że Wasza wielbność układa się z Mazarinim...

Gondy zagryzł usta.

— Oszukano go; przyprowadź go do mnie o godzinie ósmej, i niech cię Bóg błogosławi, jak ja to czynię!

Drugi proboszcz nisko się uklonił i wyszedł.

— Na pana kolej — rzekł koadjutor, zwracając się do ostatniego księdza. Czy masz dla mnie coś równie dobrego, jak twój poprzednicy?

— O! coś znacznie lepszego, Ekscelencjo.

— Do diabła! zastanów się, mój panie, za wiele obiecujesz: jeden dał mi kupca, drugi hrabiego; czyż ty chcesz mi ofiarować księcia?

— Nie... tylko żebraka.

— Aha! — rzekł Gondy, zamyślając się — masz rację, panie proboszczu, chcesz mi dać jednego z tych, co poruszają legjony biedaków, zalegających zaułki Paryża, i który każe im wołać głośno, aż cała Francja usłyszy, że to Mazarini przywiódł ich do nędzy...

— Tak, tak, właśnie.

— Brawo! a cóż to za jeden?

— Prosty żebrak, jak to wspomniałem, prosi on o jałmużnę, podając wodę święconą na schodach kościoła św. Sulpicjusza; od sześciu lat prawie siedzi tam ciągle. Wiadomo, że żebractwo to armja dobrze zorganizowana, rodzaj stowarzyszenia biednych przeciw posiadaczom; tam każdy członek ma swoje znaczenie, a wszyscy słuchają naczelnego wodza.

— Słyszałem coś o tem...

— Otóż człowiek, o którym mówię, jest syndykiem całego żebractwa w Paryżu.

— Czy wiesz co o nim?

— Nie, Ekscelencjo, zdaje mi się tylko, że dręczy go straszny wyrzut sumienia. 28-go każdego miesiąca, każe mi odprawiać mszę za duszę osoby zmarłej śmiercią gwałtowną; wczoraj mszę taką odprawiłem.

— Jak go nazywasz?

— Maillard; pewny jestem jednak, że to nie jest prawdziwe jego nazwisko.

— Czy o tej godzinie zastaniemy go na miejscu?

— Z wszelką pewnością.

— Chodźmy więc poznać twego żebraka, panie proboszczu; jeżeli jest taki, jak opowiadasz, masz rację, znaleźć prawdziwy skarb.

Gondy zrzucił suknie duchowne, włożył kaftan, duży kapelusz z piórem czerwonym, przypasał szeroką szpadę, przypiął ostrogi do butów, zarzucił płaszcz szeroki i poszedł za proboszczem. Przeszli tak wszystkie ulice od pałacu arcybiskupiego aż do kościoła św. Eustachego, obserwując pilnie usposobienie ludności. Lud był wzburzony, jak rój pszczoł wylękłych, co to nie wiedzą, gdzie osiąść; widoczne było, że jeśli nie dostanie przewodcy, lud ten poprzestanie na cichem szemraniu.

Gdy się już znaleźli na ulicy Prouvaires, ksiądz wskazał ręką plac przed kościołem.

— Oto jest — rzekł — siedzi na swoim miejscu.

Gondy spojrział w stronę wskazaną, gdzie siedział żebrak na krześle pod murem; przy nim stał dzbanek, w ręku trzymał żebrak kropidło.

— Czy on z urzędu tam siedzi?... — zapytał Gondy.

— Nie, Ekscelencjo, ułożył się ze swoim poprzednikiem o miejsce rozdawacza wody święconej.

— Jakto ułożył się?

— Tak, bo podobne miejsca kupuje się; zdaje mi się, że za nie zapłacił sto pistolów.

— To widać bogaty żebrak?

— Niektórzy zostawiają po sobie niekiedy do trzydziestu tysięcy i więcej.

— Hm — rzekł Gondy — nie sądziłem, że tak dobrze umieszczam moje jałmużny.

Zbliżyli się przed kościół, a w chwili, gdy wchodzili na schody, żebrak wstał z krzesła i podał im kropidło. Był to człowiek przeszło sześćdziesięcioletni, mały, gruby, o włosach siwych i oczach płowych. Fizjognomja jego przedstawiała walkę dwóch sprzecznych charakterów; znać było w niej złą naturę, pokonywaną silną wolą, a może żalem za popełnione zbrodnie. Zobaczywszy księdza w towarzystwie nieznanego mężczyzny, zadrzał lekko i patrzył wzrokiem niepewnym. Ksiądz i koadjutor dotknęli kropidła końcami palców, przeżegnali się, a Gondy cisnął pieniądze srebrny w kapelusz, leżący na ziemi.

— Maillard — odezwał się proboszcz — przyszliśmy tu z panem, aby z tobą pomówić.

— Ze mną! — odparł żebrak — wielki to honor dla tak nędznej istoty.

Mówił z ironją, co nie uszło uwagi koadjutora.

— Otóż chcieliśmy się dowiedzieć — ciągnął proboszcz, przyzwyczajony do sposobu mówienia żebraka — co też myślisz o wypadkach dzisiejszych i co słyszałeś o nich od osób, przychodzących do kościoła.

Żebrak pokręcił głową.

— Smutne to wypadki, panie proboszczu, i, jak zawsze bywa, lud za nie będzie odpowiedzialny. O ile słyszałem, ogół jest niezadowolony, wszyscy narzekają, lecz, mówiąc wszyscy, nie wymieniam nikogo.

— Wytłumacz się, przyjacielu — rzekł koadjutor.

— Otóż powiadam, że wszystkie te skargi, przekleństwa, stworzą burzę i błyskawice, lecz piorun spadnie wtedy dopiero, gdy masy dostaną wodza.

— Mój przyjacielu — rzekł Gondy — wydajesz się zręcznym człowiekiem; otóż pytam cię, czy przyjąłbyś udział w niewielkiej wojnie domowej w razie, gdyby do niej doszło, — i, czy oddałbyś do dyspozycji wodza, jeżeli go znajdziemy, władzę i wpływ, jaki posiadasz nad towarzyszami?

— Z chęcią, panie, byle tylko wojna była uznana przez kościół, a, co za tem idzie, mogła mnie zaprowadzić do celu, jaki pragnę osiągnąć, to jest do zmazania moich grzechów.

— Wojna ta nietylko będzie uznana, ale kierowana będzie przez kościół. A co do odpuszczenia grzechów twoich, mamy przecie arcybiskupa, który ma z Rzymu nadaną wielką władzę, a nawet koadjutor posiada odpusty zupełne. Polecimy cię jego łasce i względom.

— A czy rzeczywiście posiadasz władzę nad towarzyszami?... — rzekł Gondy.

— Mają dla mnie szacunek — odrzekł dziad z dumą — i nietylko zrobią, co im rozkażę, lecz pójdą wszędzie, gdzie ja pójdę.

— Czy możesz mi zaręczyć za pięciuset ludzi zdecydowanych na wszystko, próżniaków niespokojnych, krzykaczy, zdolnych wstrząsnąć murami Palais - Royal wrzaskiem: „Precz z Mazarinim!“... Jak swego czasu obalono mury Jerycho?...

— Zdaje mi się — rzekł żebrak — że mógłbym doka-  
zać o wiele trudniejszych rzeczy.

— Hm!... — rzekł Gondy — czy podjąłbyś się w prze-  
ciągu jednej nocy postawić z dziesięć barykad?...

— Nawet pięćdziesiąt!... w nocy ustawić, a w dzień  
bronić!...

— Mówisz z przekonaniem — rzekł Gondy — które  
mi się podoba, a ponieważ proboszcz ręczy za ciebie...

— Ręczę i odpowiadam — przerwał proboszcz.

— Masz tutaj woreczek, a w nim pięćset pistolów  
w złocie, przygotuj, co potrzeba, i powiedz, gdzie mogę  
cię znaleźć dziś o dziesiątej wieczorem.

— Trzebaby wybrać jakieś miejsce wzniesione, z któ-  
rego sygnał mógłby być widziany w całym Paryżu.

— Jeżeli chcesz, napiszę słówko do wikarjusza od Ś-go  
Jakóba?... zaprowadzi cię do izby na wieży — rzekł pro-  
boszcz.

— Dobrze, proszę pana — rzekł żebrak.

— A więc dziś wieczorem o 10-ej; jeżeli dobrze się spr-  
awisz, drugi worek z pięciuset pistolami czeka na ciebie.

Oczy żebraka zabiliśmy, lecz natychmiast zwalczył wzru-  
szenie.

— Dziś wieczorem, proszę pana, wszystko będzie go-  
towe — odpowiedział.

## ROZDZIAŁ VI

### WIEŻA KOŚCIOŁA Ś-GO JAKOBA

O trzy kwadranse na szóstą pan de Gondy powrócił już do pałacu arcybiskupiego. O szóstej oznajmiono mu przybycie proboszcza z Saint-Merri. Proboszcz wszedł z Planchetem.

— Oto jest osoba, o której mówiłem Waszej Eminencji — wyrzekł.

Planchet uklonił się z miną człowieka, obytego w świecie.

— Czy masz zamiar służyć sprawie ludu przeciw Mazariniemu?... — zapytał Gondy.

— A naturalnie — odparł Planchet — należę do Frondy całą duszą. Skazany nawet jestem na szubienicę, proszę Waszej łaskowości.

— Z jakiego powodu?...

— Odbiłem z rąk zbirów Mazariniego szlachetnego i zacnego pana, którego złapali i odprowadzali do Bastylji, gdzie siedział już przez pięć lat.

— Jak się nazywał?...

— Hrabia de Rochefort.

— Przypominam sobie, mówiono mi już o tej sprawie; podobno całą dzielnicę zbuntowałeś przeciw mazarincom?... Czemże się tudnisz?...

— Mam cukiernię przy ulicy Lombard.

— A skąd przy zajęciu tak spokojnem, jesteś usposobienia tak bardzo wojowniczego?...

— A dłaczego, Wasza wielbność, będąc sługą kościoła, przyjmuje mnie w ubraniu świeckiem, przy szpadzie i ostrogach?...

— Wcale dobrze powiedziane, daję słowo!... — rzekł

Gondy, śmiejąc się serdecznie — trzeba ci wiedzieć, że i ja pomimo sutanny, mam żyłkę wojowniczą.

— Otóż ja, Eminencjo, zanim zostałem cukiernikiem, byłem trzy lata sierżantem w pułku piemonckim. a przedtem dwa lata w służbie pana d'Artagnana.

— Ależ to mazarińczyk zagorzał!...

— Pan d'Artagnan jest w służbie; Mazarini mu płaci, więc broni go z obowiązku, jak my, mieszczanie, spełniany powinność naszą, napadając Mazariniego, bo nas obdziera.

— Widzę, mój przyjacielu, że masz rozum. Czy można liczyć na ciebie?...

— Można rachować na mnie, Eminencjo, gdy chodzi o zaburzenie w mieście.

— Właśnie o to chodzi. Ilu ludzi jesteś w stanie zebrać tej nocy?...

— Dwieście muszkietów i pięćset halabard...

— Niech tylko w każdej dzielnicy znajdzie się człowiek, co tyle zrobi, a jutro będziemy mieli silną armję. Czy masz ochotę iść pod rozkazy hrabiego Rocheforta?...

— Pójdę za nim do piekła; a to, co mówię, dużo znaczy, gdyż pewny jestem, że on zdolny jest atakować samego diabła.

— Brawo!...

— Po czem jutro odróżnimy przyjaciół od wrogów?...

— Niechaj frondziści przypną do kapeluszy kokardę ze słomy.

— Dobrze.

— Potrzebujesz pieniędzy?...

— To nigdy nie zaszkodzi, Eminencjo. Jeśli niema, to obejdzie się; jeżeli zaś są, wszystko pójdzie prędzej i lepiej.

Gondy podszedł do skrzyni i wyjął woreczek.

— Masz tu pięćset pistolów — powiedział — jeśli dobrze pójdzie jutro, drugie tyle dostaniesz.

— Zdam wiernie rachunek z całej sumy, Eminencjo — rzekł Planchet, kładąc worek pod pachę.

— Dobrze; polecam ci kardynała.

— Bądź pewny, Eminencjo, że w dobrych rękach jego losy.

Planchet opuścił pokój, proboszcz pozostał na chwilę.

— Czy Wasza wielbność zadowolony?... — powiedział.



— Bardzo, twój protegowany wydaje się odważny i na wszystko zdecydowany.

— O!.. ja ręczę, że więcej nawet zdziała, niż przyrzeka.

Proboszcz udał się za Planchetem, czekającym na schodach. Po upływie dziesięciu minut oznajmiono proboszcza od Ś-go Sulpicjusza.

Po otwarciu drzwi gabinetu, wpadł gwałtownie hrabia de Rochefort.

— Co widzę!... to ty, hrabio kochany?... — rzekł Gondy, podając mu rękę.

— Zdecydowałeś się nareszcie, monsiniorze? — zapytał Rochefort — toż sprawimy bal Mazariniemu.

— Mam nadzieję.

— Kiedyż się taniec rozpocznie?...

— Zaproszenia rozesłane na noc dzisiejszą, — rzekł koadjutor — lecz muzyka zagra dopiero jutro rano.

— Rachuj na mnie, mam przyobiecanych pięćdziesięciu żołnierzy, przez kawalera d'Humieres, w razie gdybym ich potrzebował.

— Dobrze, kochany Rochefortcie; ale to nie wszystko jeszcze. Coście zrobili z panem de Beaufort?...

— Jest w okolicy Vendôme, gdzie oczekuje na moje wezwanie, aby wrócić do Paryża.

— Pisz do niego, że nadszedł czas... lecz niech się śpieszy; bo, jak tylko lud paryski zbuntuje się przeciw Mazariniemu, dziesięciu najmniej książąt znajdzie się na dowódców; jeżeli będzie się ociągał, zostanie miejsce zajęte.

— Czy mogę pisać w waszem imieniu?...

— Możesz.

— Oddasz mu władzę?...

— Podczas wojny tak; — lecz w polityce...

— Nie uznajesz go za zdolnego?...

— Musi mi pozwolić samemu wytargować kapelusz kardynalski.

— Koniecznie tego pragniesz?...

— Ponieważ zmuszono mnie nosić kapelusz, którego kształt przeciwny jest mojej naturze — rzekł Gondy — pragnę, aby przynajmniej ten kapelusz był czerwony.

— Nie trzeba sprzeczać się o gusty i kolory — rzekł Rochefort ze śmiechem — pewny jestem, że przystanie.

- Kiedyż może przybyć?...
- Za pięć dni.
- A ty zbierz swoich ludzi i bądź gotów na wszystko.
- Czy jest oznaka dla stowarzyszonych?...
- Kokarda ze słomy przy kapeluszu.
- O!... signor Mazarini!... — rzekł Rochefort, wychodząc z proboszczem, który nie odzywał się wcale podczas całej rozmowy — pokażę ci, czym za stary do działania!...

Było pół do dziewiątej; koadjutor w pół godziny przebył drogę od pałacu arcybiskupiego do kościoła Ś-go Jakóba. W oknie wieży błyszczało światło.

— Oho!... pomyślał koadjutor, — nasz syndyk już na stanowisku.

Zapukał, otworzono mu natychmiast. Wikary czekał na niego i, świecąc na schodach, zaprowadził na szczyt wieży. Gdy doszli do celu, wskazał małe drzwiczki. Klucz tkwił w zamku, jednak koadjutor zapukał.

— Proszę wejść — usłyszał.

Gondy pchnął drzwi i wszedł. Zastał leżącego na ławie podawacza wody święconej od Ś-go Eustachego. Spozstrzegł koadjutora i zerwał się na nogi. Dziesiąta godzina wybiła na wieży.

— Co słyhać?... — zapytał Gondy — dotrzymałeś słowa?...

— Niezupełnie — odparł żebrak.

— Dlaczego?...

— Żądałeś pan pięciuset ludzi, wszak prawda?...

— Tak.

— Otóż daję panu dwa tysiące.

— Przesadzasz!...

— Chce się pan przekonać?...

— I owszem.

Trzy świece stały zapalone, każda w innem oknie. Jedna od strony placu, druga naprzeciw Pałacu Królewskiego, trzecia od strony ulicy Ś-go Djonizego.

Żebrak podszedł i pogasił wszystkie z kolei.

Znaleźli się w ciemności, pokój oświecał jedynie księżyc blaskiem niepewnym.

— Coś zrobił?... — zapytał koadjutor.

— Dałem znak umówiony.

— Jaki znak?...

— Co do barykad.

— Aha!...

— Wyszedłszy stąd, ujrzysz, panie, ludzi moich przy robocie. Proszę iść ostrożnie i nie złamać nogi o jaki łańcuch, lub nie wpaść w dół głęboki.

— Dobrześ się sprawił. Masz oto drugą połowę przyobiecanej sumy. A teraz pamiętaj; jesteś wodzem, i nie wolno ci pić, ani być pijanym.

— Od dwudziestu lat wodę tylko piję.

Żebrak odebrał worek z rąk koadjutora i słychać było, jak przebierał palcami w złocie.

— Oho!... — rzekł koadjutor — toś ty chciwy i skąpiec, mój kochany!...

Żebrak westchnął głęboko i cisnął worek.

— Czyż zawsze będę jednaki — zajęczał — nigdy nie pozbędę się dawnych namiętności?... O biada mi!... biada!...

— A jednak przyjmujesz złoto.

— Tak, lecz czynię ślub przed panem, że, co mi pozostanie, użyję na dobre uczynki.

Twarz miał bladą i ściągniętą boleśnie, znać na niej było walkę wewnętrzną.

— Szczególny człowiek!... — mruknął Gondy.

Żebrak złożył ręce i padł na kolana.

— Eminencjo!... — zawołał — zanim odejdziesz, pobłogosław mnie, błagam cię o to!...

— Eminencjo?... — rzekł Gondy — za kogóż mnie bierzesz, przyjacielu, jesteś w błędzie!...

— O!... ja się nie mylę, wiem, kim pan jesteś!... jesteś koadjutorem... poznałem to odrazu.

Gondy roześmiał się.

— Chcesz mego błogosławieństwa?...

— Proszę i potrzebuję go...

Żebrak powiedział to z taką pokorą i żalem głębokim, że Gondy podniósł rękę do góry i dał mu błogosławieństwo z całym namaszczeniem, do jakiego był zdolny.

— A teraz, wstań — rzekł koadjutor — pobłogosławiłem i jesteś nietykalny dla mnie, jak i ja dla ciebie. Otwórz mi serce twoje, powiedz, czy ciąży na tobie przestępstwo, za które boisz się sprawiedliwości ludzkiej i czy mógłbym cię przed nią zasłonić?...

Żebrak smutnie pokiwał głową.

— To, co zrobiłem, nie podlega wcale wyrokowi sprawiedliwości ludzkiej, a ty, ojczy duchowny, możesz mi jedynie ulżyć, błogosławiąc często, jak to dziś zrobiłeś.

— Powiedz mi szczerze, wszak nie zawsze byłeś tem, co obecnie?...

— Od sześciu lat dopiero trudnię się wodą święconą.

— Gdzie byłeś przedtem?...

— W Bastylji.

— A jeszcze dawniej.

— Powiem ci, ojczy wiewelbny, gdy raczysz wysłuchać spowiedzi mojej.

— W którejkolwiek godzinie dnia czy nocy przyjdiesz do mnie, pamiętaj, że gotów będę dać ci rozgrzeszenie.

— Dziękuję — wyszeptał żebrak — lecz nie czuję się godny jeszcze twojej łaski.

— Do widzenia, zatem.

— Do widzenia, Eminencjo — odparł żebrak, otwierając drzwi i pochylając się do ziemi.

Koadjutor wziął świecę i opuścił wieżę, myśląc o dziwnym żebraku.

## ROZDZIAŁ VII

### ZABURZENIA ULICZNE

Zaledwie Gondy uszedł sto kroków, a już oczy jego uderzyła nadzwyczajna zmiana na ulicach Paryża. Miasto wydawało się zaludnione istotami fantastycznymi; cienie jakieś snuły się cicho, wrywając kamienie z bruku; inne znów ciągnęły i przewracały wozy, lub kopały rowy i doły, zdolne pochłonąć pułki kawalerji. — Wszyscy ci ludzie wyglądali, jak złe duchy, dokonywujące jakiegoś dzieła piekielnego: a byli to tylko żebracy z legji, podwładnej podawaczowi wody święconej z przed kościoła Ś-go Eustachego; przygotowywali barykady na dzień następny.

Gondy patrzył na tych pracowników nocnych z pewną trwogą. Zapytywał siebie, czy, wezwawszy do czynu te istoty, żyjące w jaskiniach rądy i zepsucia, znajdzie dość siły, by je w porę powstrzymać. Gdy który z tych ludzi zbliżył się do niego, gotów był prawie przeżegnać się, jak przed szatanem. Przebył ulicę Ś-go Honorjusza i skierował się na ulicę Ferronnerie. Tu zastał zupełnie co innego: kupcy biegali od sklepu do sklepu; drzwi i okiennice niby pozamykano, a ludzie w opończach wchodzili i wychodzili, niosąc jakieś przedmioty w ukryciu. To kupcy, którzy posiadali broń, rozdawali tym, co jej nie mieli.

Jakiś człowiek upadający pod ciężarem pęku pałaszy i muszkietów, rozdawał je innym wysuwającym się cicho z zaułków. Przy świetle latarni koadjutor poznał Plancheta.

Koadjutor dotarł do bulwaru przez ulicę Monnaie; tu spotkał ludzi, stojących grupami. Byli to mieszczanie

w czarnych i szarych płaszczach, z pod których wyglądały szpady i lufy karabinów. Gdy doszedł do Mostu Nowego, jakiś nieznajomy zbliżył się do niego.

— Kto idzie? zawołał; — odpowiadaj, — bo chyba do nas nie należysz!...

— Nie poznajesz przyjaciół, kochany panie Loviere — rzekł koadjutor, podnosząc kapelusz.

Loviere skłonił się i odstąpił. Gondy szedł dalej, aż do wieży de Nesle. Tu znów zobaczył szeregi ludzi, nękających pod murami. Rzekłbyś korowód duchów, albowiem wszyscy okryci byli w białe płaszcze. Gondy przeczaił się za węglem i widział ich, przepędających od pierwszego do przedostatniego. Ostatni obejrzał się, czy kto nie śledzi i pomimo ciemności spostrzegł Gondy'ego. Poszedł prosto do niego i przyłożył mu pistolet do piersi.

— Hola! panie Rochefort, — rzekł Gondy, śmiejąc się — nie żartuj z bronią...

Rochefort poznał go po głosie.

— A! to pan koadjutor! powiedział.

— Tak to ja... Cóż to za ludzi, tak pakujesz?

— Pięćdziesięciu rekrutów kawalera d'Humieres, przeznaczonych do lekkiej jazdy, którzy za całe umundrowanie dostali jedynie białe płaszcze.

— Dokąd się udajecie?

— Do jednego z łożnic przyjaciół, rzeźbiarza; tylko zamiast drzwiami, wchodzimy podziemiem, w którym jest skład marmurów.

— Dobrześ się urządził, — rzekł Gondy.

Uściskał dłoń Rocheforta, a ten wszedł za swoją czeredą i zamknął podziemie za sobą. Koadjutor wrócił do domu o pierwszej po północy, otworzył okno, wychylił się i nasłuchiwał. Szum dziwny, niepojęty dołatywał z miasta; czuć było, że w ciszy nocnej przygotowuje się coś strasznego. Czasami odgłosy fali morskiej, uderzającej o brzegi, lub głuchego grzmotu podziemnego, jak przed trzęsieniem ziemi, przynosił wiatr z oddali.

I tak było noc całą. Z brzaskiem dnia Paryż zadrżał. Rzekłbyś miasto oblężone. Na barykadach stali ludzie z groźnym obliczem, z muszkietami w ręku; słychać było hasła, chodziły patrole, aresztowano co chwila. Zatrzymywano panów w kapeluszach z piórami i przy szpadach złotych i kazano im wołać: *Niech żyje Broussel! prece*

*z Mazarinim!* każdego, kto się opierał, zmuszano do tego i bito. Krew się jeszcze nie lała, lecz znać było, że i to może nastąpić.

Barykady podsunęto pod sam Pałac Królewski. Od ulicy Dobrych Dzieci aż do ulicy Ferronnerie, od Ś-go Tomasza do Mostu Nowego, ulicy Richelieu i bramy Ś-go Honorjusza — stało przeszło dziesięć tysięcy ludu zbrojnego urągając straży kardynalskiej. Pośród tłumu przeciągały gromady ludzi wynędzniałych, obdartych, ze sztandarami w rękę, na których było wypisane: *Przypatrzcie się nędzy ludu paryskiego!* A wszystko to krzyczało, wyło, wygrażało, czyniąc tumult piekielny.

Anna Austrjacka i Mazarini nie mogli wyjść z podziwu, gdy rano doniesiono im, iż miasto, wczoraj jeszcze ciche i spokojne, dziś powstało i miota się, jak w konwulsjach; ani królowa ani kardynał nie chcieli wierzyć wcale, dodając, że własnym uszom i oczom dopiero uwierzą.

Otworzono okna: ujrzeni, usłyszeli i przekonali się narzeczcie. Mazarini wzruszył ramionami, udając pogardę dla motłochu, lecz zbladł widocznie i cały drżący pobiegł do gabinetu swojego, pozamykał złoto i kosztowności w kufry, a najdroższe pierścienie z brylantami pokładł na palce.

Królowa zaś, wściekła z oburzenia, pozostawiona samej sobie, rozkazała przywołać marszałka de la Meilleraie, i poleciła zebrać natychmiast ludzi i dowiedzieć się, co znaczą te *šarty*.

Marszałek posiadał sporą dozę zarozumiałości i nigdy nie wątpił o sobie, pogardzał też mieszczaństwem, jak zwykle ci, co noszą szpady; zebrał naprędce stu pięćdziesięciu ludzi i chciał wyjść na miasto przez most z Luwru; napotkał tu jednak Rocheforta z pięćdziesięcioma jeźdźcami, a za nimi przeszło półtora tysiąca ludzi.

Nie było sposobu przebić się przez tę zaporę, marszałek nie próbował nawet i zawrócić bulwarem nad rzeką. Przy Nowym Moście zastał Loviera z mieszczanami. Tym razem marszałek przypuścił atak, przywitano go muszkietami, a kamienie, jak grad, z okien poleciały. Cofnął się do dzielnicy targowej... tu przyjął go Planchet z halabardnikami. Halabardy pochyliły się groźnie; chciał strącić szare płaszcze, lecz trzymały się one dobrze, i marszałek odparty cofnął się znów ku ulicy Ś-go Honorjusza,

zostawiwszy na placu czterech ze straży, zabitych białą bronią.

Posunął się w ulicę; tu znów trafił na barykady żebraka od Ś-go Eustachego, obstawione nietylko ludem zbrojnym, lecz kobietami i dziećmi. Friquet dostał od Loviera pistolet i pałasz, i tak uzbrojony zorganizował bandę łobuzów sobie podobnych; hałasowali też, jak potępieńcy.

Marszałek sądził, że punkt ten jest najsłabiej broniony i chciał go rozbić w puch.

Rozkazał dwudziestu ludziom zsiąść z koni i przebić się przez barykadę, a reszcie konnych osłaniać atakujących. Dwudziestu ludzi poszło prosto na barykadę, lecz zpoza kup kamieni, jednocześnie dano ognia. Usłyszawszy kanonadę, Planchet z halabardnikami ukazał się od strony cmentarza Niewiniątek, a Loviere z mieszczaństwem na rogu ulicy Monnaie.

Marszałek dostał się we dwa ognie. La Meilleraie był odważny, postanowił też zginąć, a nie poddać się... Strzelał bez przestanku, a jęki boleści rozlegały się w tłumach.

Straż, wprawna i wyćwiczona, strzelała celnie, mieszczanie za to mieli przewagę w ilości i zasypywali literalnie żołnierzy ogniem z muszkietów. Ludzie padali, jak pod Rocroy lub Lérida. Fontrailles, adjutant marszałka, miał już rękę przestrzeloną, koń dostał kulą w szyję i rwał się z bólu, jak wściekły. Nastąpiła chwila, kiedy najmężniejszy czuje dreszcze trwogi i zimny pot na czole; na az tłum się rozstał od ulicy l'Arbresec, krzycząc: *Niech żyje koadjutor!*

Ukazał się Gondy w szatach pontyfikalnych; idąc spokojnie pomiędzy strzałami, błogosławił lud na prawo i lewo z taką powagą i przejęciem, jak podczas procesji Bożego Ciała. Wszyscy padli na kolana. Marszałek podbiegł ku niemu.

— Na miłość Boską, ratuj mnie pan, bo zginę tu razem z moimi ludźmi.

Hałas piekielny i wrzawa zagłuszyłyby nawet grzmoty z nieba. Gondy podniósł rękę do góry. Uciszone się.

— Moje dzieci, — rzekł, — oto marszałek de La Meilleraie obowiązuje się, powróciwszy do Luwru, żądać od królowej w waszem imieniu uwolnienia naszego Brousse-la. Wszak przyrzekasz marszałku? — dodał Gondy zwracając się do La Meilleraie.



— A jakże, przyrzekam. — zawołał tenże.

— Nie myślałem, że mi to tak łatwo przyjdzie...

— Marszałek daje wam słowo szlacheckie — rzekł Gondy.

La Meilleraie wznosił rękę w górę na znak potwierdzenia.

— Niech żyje koadjutor! — wrzasnęła tłuszcza. Kłóka głosów odezwało się nawet: Niech żyje marszałek! — lecz zaraz ogół zawołał chórem:

— Precz z Mazarinim!

Tłumy się rozwarły, otworzono barykady, i marszałek ze swymi niedobitkami ruszył do zamku, poprzedzany przez Friqueta i jego kolegów, z których jedni naśladowali bębny, a drudzy starali się udawać trąbki.

Wyglądało to na pochód triumfalny, ale za strażą barykady zamknęły się napowrót; marszałek zacisnął pięści.

Gdy się to działo, Mazarini, jak już wspominaliśmy, siedział w swoim gabinecie i porządkował skarby. Posłał po d'Artagnana, który też wkrótce wszedł w towarzystwie nieodłącznego Porthosa.

— Chwała Bogu, żeś przyszedł ze swoim przyjacielem, kochany panie d'Artagnan! — zawołał kardynał. — Co się dzieje w tym przeklętym Paryżu?

— Nic dobrego, Eminencjo! — rzekł d'Artagnan, kiwając głową; miasto całe powstało; przed chwilą, gdy wszedł ulicą Montorgeuil z tu obecnym panem du Vallon, który liczy się do sług pana wiernych, — pomimo mego munduru, a może właśnie dlatego, chciano mnie zmusić. bym wołał: Niech żyje Broussel! a czy mam powiedzieć prawdę, czego chciano jeszcze ode mnie?

— Powiedz, proszę.

— Oto, abym wołał: Precz z Mazarinim! Chciałeś, Eminencjo, więc powiedziałem.

Mazarini uśmiechnął się, lecz zbladł okrutnie.

— A pan wołałeś? — zapytał.

— Daję słowo, że nie — odparł d'Artagnan — nie byłem przy głosie; pan du Vallon ma chrypkę, więc także nie krzyczał. Wypada zatem, Eminencjo....

— Co, dokończ?

— Abyś obejrzał mój płaszcz i kapelus.

D'Artagnan wskazał cztery dziury od kuli w płaszczu,

a dwie w kapeluszu. Ubranie Porthosa przecięte było habardą na brzuchu, a pióro na kapeluszu ustrzelone.

— Diavolo! — rzekł kardynał, patrząc na dwóch przyjaciół z uwielbieniem, diavolo! — powtórzył, jaby mi był zawołał, coby mi kazano.

W tej chwili właśnie usłyszano zbliżający się coraz bardziej hałas. Mazarini otarł czoło, zimnym potem zlane; spojrzął dokoła, chciał iść do okna, lecz nie miał odwagi.

— Panie d'Artagnan, — rzekł, — zobacz, co się tam dzieje?

D'Artagnan wyjrzał ze zwykłą sobie obojętnością.

— Oho! co to znaczy? marszałek de La Meilleraie powraca bez kapelusza, Fontrailles z ręką na temblaku, straż pokaleczona, konie krwią oblane... A to co nowego? straż pałacowa bierze na cel, chce strzelać!

— Rozkazano im strzelać do ludu, — rzekł Mazarini, na wypadek, gdy zbliży się do Palais-Royal.

— Jeżeli dadzą ognia wszystko stracone! — zawołał d'Artagnan.

— Są jeszcze przecie kraty żelazne.

— Kraty? wystarczą na pięć minut, wyrwą je, połamię, pokręca!...

— Nie strzelać!... panowie! na Boga! — zawołał d'Artagnan, wychylając się oknem.

Czy to, że nie słyszano zlecenia, czy dla innej przyczyny, kilka wystrzałów padło... Grad kul odpowiedział ze strony ludu, jedna przeleciała pod ręką d'Artagnana i trafiła w lustro, w którym przeglądał się Porthos.

— Oh! — zawołał kardynał — lustro moje weneckie!

— O Eminencjo! — rzekł d'Artagnan, zamykając spokojnie okno — nie masz czego płakać jeszcze, prawdopodobnie za godzinę nie będzie już ani jednego z twoich lusterek weneckich w pałacu!

— Poradz więc, co robić? — rzekł kardynał, trzęsąc się ze strachu.

— Ależ do djabła, oddać im Broussela, kiedy go żądają! Na co, u licha, przyda wam się radca parlamentu? to stworzenie nic nie warte!

— Panie du Vallon, czy też tak radzisz? Cobyś uczynił w takim wypadku?

— Oddałbym Broussela — rzekł Porthos.

— Chodźcie, panowie, za mną — zawołał Mazarini — pomówię o tem z królową.

Na końcu korytarza przystanął.

— Mogę rachować na panów? wszak prawda?—zapytał.

— Zdania swego nie zmieniamy — odparł d'Artagnan, — oddaliśmy się na usługi waszej Eminencji, rozkazuj zatem, będziemy posłuszni.

— Kiedy tak, — rzekł Mazarini, — wejdźciez do tego gabinetu i tam zaczekajcie.

Sam zaś obszedł dokoła i powrócił do salonu królowej innemi drzwiami.

## ROZDZIAŁ VIII

### ZABURZENIE W BUNT SIĘ PRZEMIENIA

D'Artagnan i Porthos weszli do wskazanego gabinetu, położonego obok salonu królowej. Drzwi zastępowały ciężkie firanki, słyhać więc było i widać poprzez te kotary.

Królowa, blada z gniewu, stała na środku pokoju; tyle jednak mocy miała nad sobą, iż można było sądzić, że jest zupełnie spokojna. Poza nią stał Comminges, Villeguier i Guitaut.

Przed nią — w postawie pełnej szacunku — kanclerz Séguier, który przed dwudziestu laty prześladował ją tak okrutnie, stał, i opowiadał, że zatrzymano go na ulicy — karetę pałamano, a jego ścigano, aż wpadł do pałacu Oer, który niebawem zbuntowana czernń napadła, zrabowała, i poniszczyła wszystko, co się tam znajdowało. On sam i brat jego, biskup z Meaux uniknęli śmierci jedynie przez roztropność jakiejś staruszki, która ich ukryła i zamknęła w gabinecie, buntownicy zbliżyli się do gabinetu, grożąc okrutnie, kanclerz sądził, że nadeszła ostatnia chwila i wyspowiadał się przed bratem swoim.

Na szczęście napastnicy, przekonani, że uciekli tylnymi drzwiami, oddalili się, a wtedy oni mogli pomyśleć o ratunku. Przebrali się w suknie margrabiego d'Oer wyszli z pałacu po trupach urzędników swoich i ludzi ze straży, którzy ponieśli śmierć, broniąc bramy od ulicy.

Podczas opowiadania, Mazarini wszedł cicho, stanął przy królowej i słuchał uważnie.

— Co myślicz o tem wszystkiem? zapytała królowa kanclerza.

— Myślę, Najjaśniejsza pani, że to kwestja poważna.

— Jakąż mi radę dać możesz?

— Pani — rzekł kanclerz nieśmiało, — radzę uwolnić Broussela.

Królowa zbladła jeszcze bardziej, twarz jej zadrgała konwulsyjnie.

— Uwolnić Broussela! — wyrzekła — o nie, nigdy!

Na progu sali, bez anonsowania stanął marszałek de La Meilleraie.

— A! jesteś nareszcie, marszałku! — zawołała Anna Austriacka ucieszona, — mam nadzieję, żeś przyprowadził motłoch do porządku?

— Pani! — odparł marszałek — straciłem trzech ludzi na Moście Nowym, czterech na placu przy kulach, szczęściu na ulicy l'Arbre-Sec, a dwóch przy bramie pałacu twojego; razem zabitych piętnastu. Przyprowadziłem dwunastu rannych. Kapelusz kula mi strąciła, i prawdopodobnie głowąbym nałożył, gdyby pan koadjutor nie był mnie wybawił z niebezpieczeństwa.

— Rzeczywiście, — rzekła królowa, — dziwneby było, gdyby ten jamnik krzywonogi nie był wmieszany w całą tę sprawę.

— Najjaśniejsza pani, powróciłem pod warunkiem, że przedstawię żądania ludu.

— Żądania! — powtórzyła Anna marszcząc brwi. — O panie marszałku, musiałeś być w wielkiej trwodze, gdyż się podjął takiego poselstwa.

Powiedziała to z ironją, jaka nie uszła uwagi marszałka.

— Wybacz pani, — odrzekł tenże — nie jestem adwokatem, a żołnierzem, a co za tem idzie, nie rozumiem może znaczenia wyrazów; powinienem był powiedzieć, *życzenia*, a nie *żądania* ludu. To zaś, co miałem zaszczyt usłyszeć od Waszej Królewskiej Mości, miało, zdaje mi się, znaczyć, iż się przeląknęłam.

Królowa uśmiechnęła się.

— Tak, pani, bałem się! po raz pierwszy w życiu się to mi zdarza, a jednak odbyłem dwanaście walnych bitew, niezliczoną ilość potyczek, pojedynków, a teraz jednak strach mnie ogarnął, i wolę tu stać wobec Waszej Królewskiej Mości, tak groźnej, jak obecnie, niż stawić czoło tej tłuszczy piekielnej, która szła za mną aż tutaj, a wyrosła niby z podziemi.

— Brawo! — szepnął d'Artagnan Porthosowi — dobrze odpowiedziane.

— Powiedz pan zatem, — rzekła królowa, przygryzając usta — powiedz pan, czego lud mój pragnie?

— By wrócono mu Broussela, Najjaśniejsza pani.

— Nigdy! — zawołała królowa, — nigdy!

— Zniosę odpowiedź królowej tym, co na nią czeka ją — rzekł la Meilleraie i cofnął się do drzwi.

— Zostań pan, nie chcę, aby sądzono, że parlamentuję z buntownikami.

— Pani, ja dałem słowo...

— To ma znaczyć?...

— Że, jeśli nie każesz mnie pani aresztować, to będę zmuszony pójść do nich.

Oczy Austriaczki ciskały błyskawice.

— O! jeżeli tylko o to chodzi, — rzekła — nie obawiaj się, nie takich, jak ty, aresztowałam... Guitaut!

Mazarini podbiegł do królowej.

— Pani! — wyrzekł, — gdybym się ośmielił dać ci radę...

— Cóż masz na myśli?

— Przywołać pana koadjutora.

— Tego haniebnego burzyciela! — zawołała królowa. — To on zrobił całe to powstanie.

— Właśnie dlatego, że podburzył, może uspokoić...

— O! trafia się dobra sposobność, — zawołał Commin-ges, który stał przy oknie i wyglądał, — pan koadjutor jest właśnie przed pałacem i błogosławi lud.

Królowa pobiegła do okna.

— A! to prawda, rzekła, widzicie go, co za hipokryta!...

— Widzę tylko, — rzekł Mazarini, — że choć jest koadjutorem, wszyscy padają na kolana przed nim, a gdybym ja był na jego miejscu, to chociaż jestem kardynałem, rozszarpanoby mnie w kawały. Obstawę tedy przy mojem *życzeniu* (Mazarini położył nacisk na to słowo), żeby Wasza Królewska Mość przywołała koadjutora.

Królowa myślała przez chwilę, nareszcie podniósłszy głowę do góry:

— Panie marszałku,, — wyrzekła, — idź i przypro-wadź mi koadjutora.

— Co mam powiedzieć ludowi? — zapytał marszałek.

— Niech będzie cierpliwy, — rzekła — ja także jestem cierpliwa.

Dumna kobieta powiedziała to takim głosem, że marszałek uklonił się tylko w milczeniu i wyszedł.

D'Artagnan zwrócił się do Porthosa:

— Jak się to skończy? — zapytał.

— Zobaczymy niedługo, — odparł Porthos obojętnie.

Nareszcie otworzono podwoje, ukazał się marszałek, a za nim koadjutor.

— Najjaśniejsza pani, oto jest pan Gondy, który śpieszy na rozkaz Waszej Królewskiej Mości.

Królowa postąpiła kilka kroków na spotkanie prałata i zatrzymała się zimna i surowa, z pogardliwym wyrazem na ustach.

Gondy skłonił się z wielkiem uszanowaniem.

— Czekam, panie, — odezwała się Anna, — co mi powiecie o tem zaburzeniu?

— Że to już nie zaburzenie, pani, — odparł koadjutor, — to bunt prawdziwy.

— Buntem nazywają to ci, którzy przypuszczają, że lud mój jest w stanie się buntować! — zawołała Anna, nie mogąc ukryć przed koadjutorem, że jego uważa niejako za głównego sprawcę rozruchów. — Sami oni buntują lud ciemny; lecz poczekajcie, panowie, władza królewska położy koniec nieporządkom!...

— Czy po to miałem zaszczyt być przywołany przed oblicze Waszej Królewskiej Mości, — odparł Gondy chłodno, — abym to usłyszał?

— O nie... nie... kochany koadjutorze, — przerwał Mazarini, — królowa wezwała cię, byś dał radę dobrą w tych smutnych okolicznościach.

— Czy naprawdę? — zapytał Gondy, udając zdziwienie, — Jej Królewska Maść przyzwała mnie na naradę?

— Tak, — rzekła królowa — żądano tego ode mnie.

— Najjaśniejsza pani żąda zatem...

— Abyś pan powiedział, jak postąpiłbyś będąc na jej miejscu — rzekł kardynał.

Koadjutor spojrział na królową, która kiwnęła głową potakująco.

— Na miejscu Waszej Królewskiej Mości, — rzekł poważnie koadjutor — uwolniłbym natychmiast Broussela.

— A jeżeli go nie uwolnię, — zawołała królowa, — jak sądzisz, co się stać może?

— Ja myślę, że do jutra kamień na kamieniu nie zostanie z całego Paryża, — odezwał się marszałek.

— Ja nie pana zapytuję, — rzekła królowa ostro, nie patrząc nawet na niego, — chcę usłyszeć zdanie pana de Gondy.

— Jeżeli mnie Wasza Królewska Mość pyta — odrzekł koadjutor z jednakim zawsze spokojem — to odpowiadam, że podzielam zupełnie zdanie pana marszałka.

Krew uderzyła do głowy królowej, piękne błękitne oczy słupem stanęły; usteczka karminowe, porównywane przez poetów do granatu w rozkwicie, zbieleły i drżały z wściekłości.

— Oddać im Broussela! — krzyknęła nakoniec ze strasznym uśmiechem — piękna rada, na honor! — znać, że od księdza pochodzi!

Gondy stał zimny i obojętny, nie drgnął mu nawet żaden muskuł na twarzy. Obelgi dzisiejsze, równie jak sarkazmy wczorajsze, nie dotykały go napozór wcale; lecz w sercu zbierała się po kropli nienawiść i zemsta cicha. Patrzył ostro na królową, która miotała się i pobudzała Mazariniego, aby coś przecie od siebie powiedział. Mądry włos, według zwyczaju, myślał wiele, a mało mówił.

— Tak, — odezwał się nakoniec — dobra, prawdziwie przyjacielska rada. Ja także oddałbym ludowi poczciwego Broussela, żywego lub umarłego, i wszystkoby się skończyło.

— Gdybyś go oddał umarłego, monsiniorze, wszystkoby się skończyło, jak powiedziałeś, lecz zupełnie inaczej, niż przypuszczasz...

— Czyż powiedziałem żywego lub umarłego? — podjął Mazarini — źle się wyraziłem może, ale wiesz przecie, panie koadjutorze, jak słabo władam językiem francuskim, którym, ty, panie, tak pięknie mówisz i piszesz.

Koadjutor zaczął powoli i obojętnie:

— Najjaśniejsza pani zapewne dlatego nie aprobejuje zdania mego, że ma już lepsze, podług którego postąpić zamierza. Znadto znam mądrość królowej i jej doradców, abym mógł przypuszczać, iż pozostawi stolicę państwa swego w takim wzburzeniu, jakie jutro przerodzić się może w rewolucję.



— Zatem, według pana, — mówiła królowa drwiąco i gryząc wargi ze złości, — wczorajsza ruchawka stała się dzisiaj buntem, a jutro będzie rewolucją?

— Tak, pani — rzekł Gondy poważnie.

— Słuchając pana, możnaby sądzić, że lud zapomniał karności i poszanowania dla władzy?

— Zły to rok dla panujących, najjaśniejsza pani, — odrzekł Gondy, — mamy przykład w Anglii...

— Tak, lecz dzięki Bogu, niema jeszcze we Francji Oliviera Cromwella, — odparła królowa.

— Kto wie? — rzekł Gondy, — tacy ludzie, podobni są do gromu; poznamy ich wtedy, gdy już uderzą.

Dreszcz przeszedł po obecnych; nastąpiła chwila ciszy.

Królowa przyciskała ręce do piersi, znać było że powstrzymuje gwałtowne bicie serca.

— Wasza wysokość, — ciągnął koadjutor — raczy przedsięwziąć środki, jakie uważa za stosowne. Przeczuję jednak, że będą okrutne, i zamiast uspokoić zaostrożą stosunki.

— No to wtedy, panie koadjutorze, ponieważ posiadasz władzę nad ludem, a jesteś naszym przyjacielem, — rzekła królowa z ironją — udamy się do ciebie, a ty powrócisz spokój za pomocą twoich błogosławieństw.

— Może już wtedy będzie zapóźno, — rzekł Gondy chłodno — może stracę już wpływ mój, gdy przeciwnie, oddając im Broussela, Wasza Królewska Mość przecina bunt w zarodku i zdobywa prawo karania surowo wicherzycieli.

— Czyż nie posiadam tego prawa?... — zawołała królowa.

— Jeżeli je pani posiada, spróbuj go użyć — odrzekł Gondy.

— To mi się podoba, — rzekł d'Artagnan do Porthosą, — oto człowiek, jakich lubię; o czemuz nie jest ministrem, a ja jego sługą, zamiast tego błazna Mazariniego! Tożbyśmy we dwóch figle płatali!

Królowa pożegnała dwór całym skinieniem. Gondy ukłonił się i zamierzał także wyjść.

— Zostań pan — rzekła królowa.

— Dobrze, — pomyślał Gondy, — teraz pewno ustąpi...

— Ona go każe zabić — rzekł d'Artagnan do Portho-

sa—w każdym razie, ja tego nie spełnię. Klnę się na Boga, że gdyby na niego napadli, ja będę go bronił.

— I ja także — rzekł Porthos.

Królowa wszelkimi siłami starała się gniew w sobie stłumić; wachlowała się, wachała perfumy, i chodziła ciągle tam i napowrót po salonie. Mazarini siedział i rozmyślał. Gondy badał wzrokiem obicia pokoju, dotknął ręką koszulki drucianej, jaką nosił pod sutanną, i co chwila próbował, czy doskonały sztylet hiszpański, ukryty na piersiach, znajduje się na miejscu.

— Jesteśmy sami nareszcie — przemówiła królowa, przestając chodzić, — powtórz mi twoją radę, panie koadjutorze.

— Oto ona: po głębokiem niby zastanowieniu, przyznać się publicznie do winy, bo to jest siłą rządu pewnego siebie,—wypuścić Broussela z więzienia i oddać go ludowi.

— Mamże się do tego stopnia upokorzyć! — krzyknęła Anna. — Jestem królową czy nie? Ta tłuszcza wyjąca pod oknami, czy to nie moi poddani? Czyż nie mam przyjaciół i straży? O! na imię Matki Najświętszej, jak mówiła królowa Katarzyna, — ciągnęła, podniecając się własnymi słowy, — prędzej, niżbym się zdecydowała oddać im tego bezecnego Broussela, prędzejbym go własnymi udusiła rękami.

I rzuciła się z pięściami zaciśniętymi na koadjutora, — którego w tej chwili nienawidziła narówni z Brouselem.

Gondy stał, jak posąg, żaden muskuł nie drgnął mu w twarzy, wzrok tylko zimny skrzyżował z namiętym wzrokiem królowej.

— Już po nim — rzekł gaskończyk — jeżeli się znajdzie drugi Vitry pod ręką. Tylko, że ja zabiję Vitry'ego, z nim będzie miał czas dotknąć zacnego prałata. Kardynał Mazarini będzie mi wdzięczny nieskończenie!

— Sza! — rzekł Porthos, — słuchajmy.

— Pani! — krzyknął kardynał, chwytając wpół Annę Austrjacką i odciągając od koadjutora, — pani, zastanów się, co czynisz?

Następnie dodał po hiszpańsku:

— Anno, czyś oszalała? — ty, królowa, kłócisz się, jak przekupka! czyż nie widzisz, że to przedstawiciel ludu paryskiego, z którym niebezpiecznie zadzierać w tej chwili; skoro ten ksiądz zechce, za godzinę pozbawi cię

korony! Przestań, przy sposobności pokażesz, co potrafisz, teraz nie pora; dzisiaj udawaj, pochlebiaj, obiecuj, albo powiem, że z ciebie kobieta pospolita.

Od pierwszych wyrazów kardynała, d'Artagnan ujął za rękę Porthosa i ścisnął gwałtownie, gdy Mazarini skończył, szepnął mu:

— Porthosie, nie mów nigdy przy Mazarinim, że rozumiem po hiszpańsku, bobyś mnie i siebie zgubił na wieki.

— Dobrze, — rzekł Porthos.

Ostra przestroga, wypowiedziana przez Mazariniego płynnie i z mocą, jaka go odznaczała, gdy mówił po włosku lub hiszpańsku, nie zmieniała bynajmniej rysów twarzy kardynała. Gondy, jakkolwiek biegły ritzjognomista, sądził, że to proste przypomnienie, aby się królowa uspokoiła.

Anna Austrjacka wnet złagodniała... Usiadła, opuściła ręce i głosem przez łyzy tłumionym — przemówiła:

— Wybacz, panie koadjutorze, — przez wzgląd na to, co cierpię. Kobieta słabą jestem, lękam się wojny domowej; jako królowa przyzwyczajona jestem do posłuszeństwa i szacunku ludu mojego, unoszę się zatem, gdy na opór natrafiam...

— Pani — rzekł Gondy, kłaniając się, — myli się Wasza Królewska Mość nazywając oporem moje najszczerze rady. Nie do królowej lud ma nienawiść... on przywołuje Broussela jedynie; owszem szczęśliwy czuje się pod rządami swej pani. — Niech tylko Wasza Królewska Mość zwróci mu Broussela — dodał Gondy z uśmiechem.

Mazarini usłyszawszy: *Nie do królowej lud ma nienawiść*, zaniepokoił się; myślał, że koadjutor będzie mówił o wołaniu: *Precz z Mazarinim!* Wdzięczny też był Gondy'emu, że zamilczał o tem, i odezwał się głosem słodkim i wypogodzoną twarzą:

— Pani! — zaufaj koadjutorowi, jest on najzręczniejszym politykiem, jakiego posiadamy; pierwszy wakujący kapelusz kardynalski należy się jego szlachetnej głowie.

— Bardzo ci muszę być potrzebny, ty chytry łotrze — pomyślał Gondy.

— A nam co przyrzeknie, w dniu, w którym będą chcieli go zamordować? — rzekł d'Artagnan — kiedy już tak ławo kapelusze rozdaje, — wiesz co, Porthosie, zaraz jutro załadajmy każdy dla siebie dowództwa pułku. Do

licha, niech wojna domowa potrwa rok jeden, a każe ozłocić dla siebie szpadę konetablowską.

— A dla mnie co? — rzekł Porthos.

— A tobie każe dać łaskę marszałkowską pana de La Meilleraie, który, jak sądzę, nie bardzo jest w łaskach obecnie.

— Więc pan obawia się powstania ogólnego? — spytała królowa.

— Tak pani, — odparł Gondy. — Obawiam się, bo potok, gdy raz zerwie tamę, może dokonać strasznych spustoszeń.

— Ja zaś, — rzekła królowa, — sądzę, że najlepiej będzie przeciwstawić inną tamę, silniejszą. Pomyślę o tem.

Gondy spojrział zdziwiony na kardynała. W tej chwili usłyszano zgiełk piekielny na placu. Gondy się uśmiechnął, królowa poczerwieśniała, Mazarini zbladł, jak śmierć.

— Co się tam dzieje? — zapytał.

— Wybacz, pani, — zawołał Comminges, wpadając do salonu, — pospółstwo zmiażdżyło straż o kraty żelazne, i zdobywa bramy: co rozkażesz przedsięwziąć?

— Posłuchaj pani — rzekł Gondy.

Ani ryk fal morskich, ani łoskot gromów i wybuch wulkanu nie mogą być porównane do burzy okrzyków, jakie w tej chwili rozległy się w powietrzu.

— Co ja rozkażę? — rzekła królowa.

— Tak, pani, nie można zwlekać!...

— Ilu ludzi masz w pałacu?...

— Sześciuset zbrojnych...

— Stu postaw na straży przy królu, a z resztą rozpuść mi ten motłoch.

— Pani, co czynisz? — odezwał się Mazarini.

— Idź pan spełnić mój rozkaz! — rzekła królowa.

Comminges wyszedł, nic nie odpowiedziawszy, z bierem posłuszeństwem żołnierza. Naraz usłyszano trzask okrutny; jedna z bram dziedzińca pałacowego ustępowała pod naciskiem pospółstwa.

— O! pani, — zawołał kardynał, — gubisz nas wszystkich, króla, siebie i mnie razem!

Anna Austrjacka — na ten krzyk trwogi — zlekła się także i przywołała Comminges'a.

— Za późno! — jęczał Mazarini, rwąc włosy z głowy, za późno!

Wywalono bramę, rozległy się okrzyki zadowolenia. D'Artagnan wziął szpadę do ręki i dał znak Porthosowi, aby to samo uczynił.

— Ratuj królową! — wołał Mazarini, zwracając się do koadjutora.

Gondy poskoczył i otworzył okno; Loviere na czele co najmniej czterech tysięcy ludu stał na dziedzińcu.

— Ani kroku dalej! — zawołał, — królowa podpisuje rozkaz!

— Co mówisz? — zawołała królowa.

— Prawdę świętą, pani, — rzekł Mazarini, podając jej papier i pióro, tak potrzeba. A cicho dodał — podpisz Anno, proszę cię!... rozkazuję!...

Królowa padła na krzesło, ujęła pióro i podpisała. Lud, powstrzymany przez Loviera, stał na miejscu, lecz nie przestawał wydawać okrzyków niezadowolenia.

Królowa podpisała, co następuje:

„Dozorca więzienia Saint-Germain wypuści na wolność radcę Broussela“, następnie położyła podpis.

Koadjutor śledził ruchy królowej; gdy ujrział podpis, schwycił papier, powrócił do okna i ukazał go zgromadzonym.

— Oto jest rozkaz! — zawołał.

Zdawało się, że cały Paryż wydał jeden wielki okrzyk radości; poczem wołano: Niech żyje koadjutor!

— Niech żyje królowa!... — zawołał koadjutor.

Kilka zaledwie głosów odpowiedziało. Prawdopodobnie Gondy umyślnie tak zawołał, aby dowieść Austrjaczce, jak mało jest popularna.

— Masz, czego chciałeś, panie Gondy — rzekła królowa — odejdz teraz, zostaw mnie samą.

— Gdy usługi moje będą potrzebne — rzekł koadjutor z ukłonem — Jej Królewska Mość wie dobrze, że jestem zawsze na rozkazy.

Królowa skinęła głową. Gondy wyszedł.

— Przeklęty klecho!... — zawołała Anna, grożąc pięścią — każę ci kiedyś wypić wszystką żółć, jaką mi dziś ułajeś.

Mazarini chciał się do niej przysunąć.

— Zostaw mnie!... — rzekła — nie jesteś mężczyzną!

Wyszła z salonu.

— To ty nie jesteś kobietą — mruknął Mazarini.

Rozmyślał przez chwilę, następnie przypomniał sobie d'Artagnana i Porthosa. Oni tam byli i musieli wszystko słyszeć! Zmarszczył brwi, podszedł do kotary, podniósł i zajrzał. W gabinecie nie było nikogo. Przy ostatnim słowie królowej, d'Artagnan wziął Porthosa za rękę i wyszedł z nim na galerję. Mazarini udał się tam także i zastał dwóch przyjaciół spacerujących.

— Dlaczego wyszliście z gabinetu, panie d'Artagnan?... — zapytał.

— Królowa rozkazała wyjść wszystkim, sądziłem więc, że i do nas się to stosowało — odpowiedział d'Artagnan.

— Dawno tu jesteście?...

— Blisko kwadrans czasu — rzekł d'Artagnan, patrząc na Porthosa, aby go nie zdradził.

Mazarini spostrzegł to i nabrał przekonania, że d'Artagnan widział i słyszał wszystko, jednak wdzięczny mu był za kłamstwo.

— Coraz więcej przekonywam się, panie d'Artagnan, że jesteś człowiekiem, jakiego oddawna poszukiwałem... możecie zatem rachować na mnie, tak pan, jak i jego przyjaciel.

Pożegnał muszkieterów najmiłszym uśmiechem, na jaki się mógł zdobyć, i wrócił uspokojony do swego gabinetu, albowiem z ukazaniem się koadjutora na dziedzińcu pałacowym, wrzawa ustała, jak za dotknięciem laski czarodziejkiej.

## ROZDZIAŁ IX

### W NIESZCZĘŚCIU ODZYSKUJEMY PAMIĘĆ

Anna powróciła do swej modlitewni—w strasznym usposobieniu.

— Jakto!... — wołała, załamując piękne rączki — lud patrzył, jak Marja Medicis, moja świekra, uwięziła Kondeusza, najpierwszego księcia krwi królewskiej; widział potem ją, swoją dawną regentkę, wypędzoną przez kardynała; widział pana de Vendôme, syna Henryka IV-go, zamkniętego w Vincennes! milczał, patrzył spokojnie, gdy pozbawiono wolności, urągano i grożono dostojnym panom! a teraz, dla jakiegoś tam Broussela robi tyle wrzawy! O Jezul.. w cóż się obrócił majestat królewski?

Anna dotknęła mimowoli kwestji pałacej. Lud nie ujmował się za książętami, a powstawał w sprawie Broussela, bo chodziło o plebejusza, więc, broniąc go, czuł instynktownie, że broni swej własnej sprawy.

Mazarini, po rozstaniu się z królową, zamknął się w gabinecie swoim, a nie mogąc usiedzieć na miejscu, chodził wciąż i spoglądał z żalem na strzaskane piękne lustro weneckie

— O!.. — mówił do siebie — bardzo to boleśnie ulec przemocy; lecz poczekajcie! powetujemy dzisiejszą chwilę. Mniejsza o Broussela! człowiek to pojedynczy, a nie idea ogólna!

Ale, gdy nazajutrz rano Broussel wjeżdżał do Paryża paradną karetą, Lovieres siedział obok niego, Friquet stał za powozem, a ludność, cała pod bronią, cisnęła się na jego przyjęcie, wołając: Niech żyje Broussel! Niech żyje nasz ojciec!“ — Mazariniemu zdało się, że słyszy swój wyrok śmierci.

Wysłańcy i szpiegi kardynała i królowej znosili niepokojące wieście, które ministra przejmowały strachem, a na królowej nie czyniły żadnego wrażenia. Zdawało się, że królowa powzięła jakieś wielkie postanowienie, co podwajało obawy Mazariniego. Znał on dobrze dumę i upór Anny Austriackiej, i obawiał się jej postanowień...

Koadjutor wszedł do parlamentu z większą przewagą niż król, królowa i kardynał, razem wzięci; na wniosek jego, parlament wezwał edyktem mieszczan do złożenia broni i usunięcia barykad. Poznali oni już swoją siłę i przekonali się, że wystarczy jedna godzina do ujęcia za broń, a noc jedna do wzniesienia barykad napowrót.

Planchet powrócił do handlu, nie obawiał się już szubienicy, pewny był bowiem, że, gdyby mu co groziło, lud stanie w jego obronie, jak to czynił dla radcy Broussela.

Rochefort oddał znów swoją konnicę kawalerowi d'Humierès; dwóch wprawdzie brakowało do apelu, lecz kawaler, frondzista z przekonania, ani chciał słyszeć o wynagrodzeniu.

Żebrak znalazł się znowu pod kościołem św. Eustachego i, jakby nic nie zaszło, podawał jedną ręką wodę święconą, a drugą wyciągał po jałmużnę. Nikomu na myśl nie przyszło, że te ręce właśnie pomagały do wyjęcia kamienia z fundamentu władzy monarszej.

Lovieres był u szczytu szczęścia, zemścił się na Mazarinim, którego nienawidził. Cieszył się, że imię jego postrach siało w Palais Royal i ze śmiechem mówił do radcy, otoczonego rodziną:

— Jak sądzisz, ojcze, gdybym teraz zażądał od królowej rangi pułkownika, czyby mi odmówiła?

D'Artagnan skorzystał z chwili spokoju i wyprawił Raula, którego z wielkim trudem udało mu się trzymać w zamknięciu podczas ruchawki. Młody człowiek pragnął koniecznie bić się, nie pytając nawet za czyją sprawę. D'Artagnan przemówił w imieniu hrabiego de la Fère, wtedy dopiero Raul poszedł pożegnać panią de Chevreuse i odjechał do armji.

Rochefort tylko nie był kontent z zakończenia: pisał, ażeby pan de Beaufort przybywał co prędzej; ksiązę przyjedzie i zastanie Paryż uspokojony.

Udał się do koadjutora z zapytaniem, czy nie wypa-



dłoby zatrzymać księcia w drodze? Gondy po krótkim namyśle odpowiedział:

— Pozwól mu przyjechać.

— Czyż to nie koniec jeszcze?... — zapytał Rochefort.

— Dobryś, kochany hrabio, dopiero zaczęliśmy!

— Skąd pan to wnosisz?

— Znam dobrze królowę; nie zechce ona zostać zwyciężoną.

— Czy przygotowuje jaką niespodziankę?

— Tak sądzę.

— Czy wiesz co pewnego?

— Wiem, że pisała do brata królewskiego, aby wracał jak najprędzej.

— A! to tak — rzekł Rochefort — w takim razie zgadzam się na powrót pana de Beaufort.

Tego samego dnia, gdy się odbyła powyższa rozmowa, rozeszła się pogłoska, że książę Orleański powrócił. Nic w tem nie było nadzwyczajnego, a jednak wszyscy powtarzali tę wiadomość z komentarzami rozmaitemi. Mówiono, że pani Longueville, której książę się zwierzył, jako siostrze, wygadała się niebacznie o jakichś strasznych zamiarach królowej. Zaraz po przybyciu księcia, mieszczanie, kupcy znaczniejsi i przywódcy dzielnic zbuntowanych zebrali się i radzili, co następuje:

— Moglibyśmy przecie porwać króla i umieścić w Ratuszu. Źle czynimy, pozwalając wychowywać go naszym wrogom, psują go tylko i bałamuca. Gdyby tak na przykład pan koadjutor zajął się jego wychowaniem, wpoiłby wien zasady narodowe i nauczył kochać swój lud.

W nocy już zaczęto się burzyć, a rano zjawiły się płaszczki szare i czarne, patrole, złożone z mieszczan zbrojnych, i gromady żebraków.

Królowa spędziła noc na naradzie z księciem Orleańskim; o północy wprowadzono go do modlitwni, a o piątej rano wyszedł stamtąd. Zaraz też królowa udała się do kardynała. Ona się jeszcze spać nie położyła, a on już właśnie wstał. Układał odpowiedź do Cromwella; żądał od Mordaunta dziesięciu dni, a sześć już upłynęło.

— Kazałem mu trochę czekać — myślał — lecz Cromwell wybaczy, wie on, co to jest rewolucja.

Odczytywał z uwagą pierwszy paragraf swego dzieła,

gdy pukanie ciche dało się słyszeć u drzwi, prowadzących do apartamentów królowej. Kardynał podniósł się i poszedł otworzyć.

— Co pani jest — zapytał niespokojnie — masz mnie strasznie wyzywającą?

— Tak, Giulio — odrzekła — dumna jestem i szczęśliwa, albowiem znalazłam sposób zgniecenia hydry.

— Wielkim dyplomata jesteś, moja królowo — rzekł Mazarini — cóż to za sposób?

I ukrył pod biały arkusz papieru list, który pisał.

— Chcą mi odebrać króla, czy wiesz o tem?... — mówiła królowa.

— Tak niestety, a mnie chcą powiesić.

— Nie dostaną króla.

— A mnie nie powieszają... mam błogą nadzieję.

— Posłuchaj: wykradnę im syna i siebie i ciebie ze mną; to, co się stanie, zmieni zupełnie postać rzeczy i dlatego chcę, aby się stało w tajemnicy. Nikt wiedzieć nie będzie prócz mnie, ciebie i jeszcze trzeciej osoby.

— Kto jest tą trzecią osobą?

— Księżę.

— Więc przyjechał, więc to prawda, co mi doniesiono? Widziałaś się z nim?...

— Rozstaliśmy się właśnie.

— Czy obiecał pomagać?

— Sam mi to poradził.

— A Paryż?

— Ogłodzi go i zmusi do zdania się na łaskę i niełaskę.

— Pomysł doskonały, jest jednak jedna przeszkoda.

— Jaka?

— Niepodobieństwo.

— Próżne słowo. Niema nic niepodobnego.

— W projekcie...

— W wykonaniu. Czy mamy pieniądze?

— Trochę — rzekł Mazarini w obawie, ażeby Anna nie zechciała przypadkiem czerpać z jego szkatuły.

— A mamy wojsko?

— Pięć do sześciu tysięcy ludzi.

— A odwagę mamy?

— Bardzo dużo...

— Zatem łatwiej pójdzie, niż myślałam. O! Giulio, czy

pojmujesz radość moją? Paryż, ohydne miasto, budzi się pięknego poranku, pozbawione królowej i króla; opasane, obłążone, ogłodzone, na całą obronę i pociechę zostanie mu głupi parlament i koadjutor na krzywych nogach!

— Ślicznie! pięknie!... — rzekł Mazarini — widzę już cudowny efekt, tylko nie widzę sposobu wyjścia do niego.

— Ja znajdę go! ja! rozumiesz?

— A wiesz, co to znaczy? To wojna domowa, — straszna, zaciekła, nieubłagana.

— Tak, wiem, że to taka wojna — rzekła Anna Austriacka — o tak, wiem o tem i chcę zamienić miasto buntownicze w gruzy; pragnę ogień krwią stłumić; pragnę, aby przykład straszny uwiecznił zbrodnię i karę. Paryż!... o!... ja go nienawidzę, brzydzę się nim...

— Śliczna Anno, stałaś się krwi chciwą!... Miarkuj się jednak, nie żyjemy w epoce Malatestów i Castrucich Castracanic; utną ci główkę, moja piękna królowo, a szkoda byłaby jej wielka.

— Żartujesz, jaki widzę.

— Nie żartuję wcale... walka z narodem całym jest niebezpieczna; wspomnij Karola I-go, źle z nim jest, bardzo źle...

— Jesteśmy we Francji, a jam hiszpanka.

— Tem gorzej, *per Bacco*, tem gorzej; wolałbym, żebyś francuzką była, i ja także... mniejby nas nienawidzono.

— Zgadzasz się jednak na mój projekt?...

— Tak, jeżeli wykonalny.

— Ja ci zaręczam; przygotuj się do wyjazdu...

— Ja zawsze gotów jestem; tylko, jak wiesz o tem, nigdy nie wyjeżdżam... i teraz pewnie będzie, jak zawsze...

— A ze mną razem czy pojedziesz?...

— Spróbuję.

— Śmierci się równają te twoje wieczne obawy, Giulio... czegoż ty się boisz?...

— Bardzo wielu rzeczy.

— Jakich naprzykład?...

Oblicze Mazariniego straciło wyraz szydrczy, głęboki smutek malował się na niem, gdy zaczął mówić:

— Anno, ty jesteś kobietą, i jako taka, możesz bezkarne ubliżać mężczyznom: zarzucasz mi tchórzostwo, a jednak mniej się obawiam, niż ty sama, ponieważ nie myślę uciekać. Przeciw komu krzyczano?... Kogo chciano wie-

szuć?... Mnie czy ciebie?... Ja jednak stawiam czoła burzy, ja, którego o strach pomawiasz; nie brawuruję, nie mam tego zwyczaju, lecz trwam przy swoim. Krzyczysz głośno, a niczego nie dokonałeś. Chcesz uciekać!...

Mazarini ujął rękę królowej i zaprowadził ją do okna:

— Co widzisz przez to okno?... Jeżeli się nie mylę, są tam mieszczanie w pancerzach, uzbrojonych w doskonałe muszkiety... jak za czasów Ligi, patrzą śmiało w twoje okna; nie unoś bardzo firanki, bo cię spostrzegą. Chodźmy teraz do drugiego okna: co tutaj widzisz?... Masy ludu z halabardami, strzegące bram twego pałacu. Z każdego okna zobaczysz to samo; drzwi twoje strzeżone, okna piwnic nawet obstawione; powiem ci, co mówił La Ramée panu Beaufort: „Chyba ptakiem stąd wylecisz“.

— A jednak on uciekł.

— Czy masz zamiar w taki sam sposób stąd się wydostać?...

— Chcesz mi zatem dowieść, że jestem uwięziona?...

— Na Boga!... — rzekł Mazarini — od godziny przekonywuję cię o tem.

I zabrał się do pisania depeszy. Anna, drżąc z gniewu i upokorzenia, wyszła z gabinetu, trzasnąwszy gwałtownie drzwiami za sobą. Mazarini nie odwrócił nawet głowy. Królowa, wróciwszy do siebie, padła na fotel i łzami się zalała. — Naraz zerwała się... myśl nowa przyszła jej raptem do głowy.

— Znam człowieka, który mnie ocali!... — zawołała. — On jeden potrafi wydobyć nas z Paryża, a ja o nim zapomniałam!...

Zamyśliła się i mówiła dalej:

— Niewdzięczna jestem, dwadzieścia lat nie pomyślałam o człowieku, którego powinnam była marszałkiem Francji uczynić!... Świekra moja obsypała złotem i zaszczytami Conciniego, który ją zgubił; król mianował Vitryego marszałkiem Francji za jedno zabójstwo, a ja zostawiłam w zapomnieniu, w nędzy, szlachetnego d'Aragnana, który mnie ocalił!...

Pobiegła do stołu założonego papierami, usiadła i zaczęła pisać.

## ROZDZIAŁ X

### WIDZENIE

Tego poranku d'Artagnan spał w pokoju Porthosa. Był to zwyczaj, przyjęty przez obu przyjaciół od czasu zaburzeń. Pod poduszką mieli przy sobie szpady, a na stole, pod ręką, pistolety.

D'Artagnan spał jeszcze i marzył, że niebo pokrywa się wielkim obłokiem żółtym i że z tego obłoku pada deszcz złoty, a on podstawia kapelusz pod rynnę. Porthos znów śnił, że drzwiczki jego karety nie były dość szerokie, aby pomieścić herby, które kazał wymalować.

O godzinie siódmej zbudził ich lokaj bez liberji — z listem dla d'Artagnana.

— Od kogo to? — zapytał gaskończyk.

— Od królowej. — odpowiedział lokaj.

— Co? — rzekł Porthos, podnosząc się na łóżku — co mówisz?

D'Artagnan poprosił lokaja, ażeby przeszedł do sąsiedniego pokoju, i kiedy tenże drzwi zamknął, wyskoczył z łóżka i czytał szybko, podczas gdy Porthos patrzył nań wytrzeszczonymi oczyma, nie śmiąc zadać mu pytania.

— Porthosie — wyrzekł d'Artagnan, podając mu list — tym razem masz już tytuł barona, a ja dyplom kapitana. Czytaj oto i osądź.

Porthos wyciągnął rękę, wziął list i głosem drżącym przeczytał:

„Królowa pragnie pomówić z panem d'Artagnan, niech przyjdzie, z oddawcą listu“.

— No — rzekł Porthos — ja w tem nie widzę nic niezwykłego.

— A ja widzę wiele niezwykłych rzeczy — odparł d'Artagnan. — Jeżeli mnie wzywają, musiały im się szyki pomieszać. Pomyśl sobie, przewrót musiał się odbyć w wielu umysłach, po latach dwudziestu wspomnienie o mnie wypływa na powierzchnię. Wyostrz szpady, mój baronie, nabij pistolety, daj owsa koniom, bo ręczę ci, że będzie wiele nowego do jutra.

— Ale czy to nie jaka zasadzka, ażeby się nas pozbyć! — odezwał się Porthos, wciąż zajęty myślą o swej przyszłej wielkości, która mogła komuś stać na zawadzie.

— Jeżeli to zasadzka — podchwycił d'Artagnan — bądź spokojny, ja to zaraz przeważam. Mazarini jest włochem, ale ja jestem gaskończykiem.

I d'Artagnan ubrał się w mgnieniu oka. Kiedy Porthos, wciąż jeszcze leżąc na łóżku, zapinał mu płaszcz, zapukano po raz drugi do drzwi.

— Proszę — rzekł d'Artagnan.

Wszedł drugi lokaj.

— Od Jego Eminencji kardynała Mazariniego — wyrzekł.

D'Artagnan spojrział na Porthosa.

— O! to się wszystko gmatwa. Od czego tu zacząć?... — rzekł Porthos.

— Ależ to się składa wybornie — odrzekł d'Artagnan. — Jego Eminencja oznacza mi widzenie za pół godziny.

— Mój przyjacielu — odezwał się d'Artagnan — powiedz Jego Eminencji, że za pół godziny jestem na jego rozkazy.

Lokaj ukłonił się i wyszedł.

— To bardzo szczęśliwie, że nie zobaczył tamtego — podchwycił d'Artagnan.

— Więc sądzisz, że przysyłają oboje po ciebie nie o jedno i to samo?

— Nie tylko nie sądzę, ale jestem pewny.

— No, no, d'Artagnanie, prędszej!... Pomyśl, że królowa na ciebie czeka. A po królowej kardynał, a po kardynale ja!

D'Artagnan przywołał lokaja Anny Austriackiej. Ten poprowadził go przez ulicę Małe Pola i zawiódł go przez małą furtkę od ogrodu, wychodzącego na ulicę Richelieu'go, poczem obaj dostali się na boczne schody i d'Artagnan wprowadzony został do modlitewni. Wzruszenie

jakieś, z którego nie mógł sobie zdać sprawy, wstrząsnęło sercem porucznika, nie miał już w sobie pewności młodzieńczej. Niegdyś byłby powitał Annę Austrjacką, jak młodzieniec wita młodą kobietę. Dziś udawał się do niej, jak skromny żołnierz do znakomitego wodza.

Lekki szmer przerwał ciszę w modlitewni. D'Artagnan drgnął i zobaczył białą rękę, unoszącą kotarę, a z kształtu tej ręki poznał tę, która ongiś dana mu była do ucłowania.

Weszła królowa.

— To pan d'Artagnan — rzekła, zatrzymując na oficerze wzrok, pełen tkliwego smutku. — Tak... to pan, poznaję pana dobrze. Teraz pan mnie się przyjrzyj, jestem królową, czy mnie pan poznajesz?

— Nie pani — odpowiedział d'Artagnan.

— A czyż pan także już nie wiesz — mówiła dalej Anna Austrjacka tym akcentem melodyjnym, jaki umiała nadać głosowi — że królowa potrzebowała niegdyś dzielnego i wiernego rycerza, że rycerza tego znalazła i że chociaż pomyśleć już mógł, iż o nim zapomniała, zachowała dlań miejsce w głębi serca?

— Nie, pani, nie wiem o tem — rzekł muszkieter.

— Tem gorzej, panie — rzekła Anna Austrjacka — tem gorzej, dla królowej przynajmniej, bo królowa potrzebuje dziś tej samej odwagi i tej samej wierności.

— Jakto?... — wyrzekł d'Artagnan — królowa, otoczona tylu wiernymi sługami, tylu mądrymi doradcami, tylu ludźmi wielkimi przez swe zasługi lub stanowisko — raczej zwrócić oczy na mizernego żołnierza!

Anna zrozumiała tę przysłoniętą wymówkę; wzruszyła ją ona bardziej, niż rozgniewała. Tyle zaparcia i bezinteresowności ze strony szlachcica gaskońskiego upokorzyło ją teraz, pokonana była tą szlachetnością.

— Wszystko, co mi powiadasz, panie d'Artagnan, o tych, którzy mnie otaczają, jest może prawdą — rzekła królowa — ale ja mam zaufanie tylko do pana. Wiem, że należysz do pana kardynała, ale bądź także i po mojej stronie, a ja pamiętać będę o twoim losie. No, czyżbyś uczynił dla mnie dzisiaj to samo, co uczynił dla królowej ów szlachcic, którego nie znasz?

— Uczyniłbym wszystko, coby rozkazała Wasza Królewska Mość — odrzekł d'Artagnan.

Królowa namyśliła się przez chwilę i, widząc, jak się muszkietier zachowuje ostrożnie, rzekła:

— Może pan lubisz wypoczynek?

— Nie wiem, pani, bo nigdy nie wypoczywałem.

— Masz pan przyjaciół?

— Trzech miałem: dwaj opuścili Paryż, i nie wiem, gdzie się znajdują. Pozostał mi jeden, i to jeden z tych, którzy, jak sądzę, znali rycerza, o którym Wasza Królewska Mość raczyła mi mówić.

— To dobrze — odrzekła królowa — pan i przyjaciel twój, warci jesteście całego wojska.

— Cóż mam uczynić, pani?

— Przyjdź pan o piątej, a powiem ci... ale nie mów pan nikomu a nikomu o schadzce, którą ci oznaczam.

— Nie powiem nikomu.

— Przysięgnij mi na Chrystusa.

— Nigdy, pani, nie złamałem mego słowa... kiedy powiadam, że nie, to nie.

Królowa, jakkolwiek zdziwiona tą mową, do jakiej nie przyzwyczała jej otoczenie, wróżyła sobie dobrze o gorliwości, z jaką d'Artagnan zabierze się do wykonania projektu.

D'Artagnan skłonił się i wyszedł.

— O! do diabła!... — wyrzekł, kiedy był już za drzwiami — muszą mnie djabelnie potrzebować.

Potem, ponieważ pół godziny już upłynęło, przeszedł galerję i zapukał do drzwi kardynała. Bernouin go prowadził.

— Przybywam na rozkazy Jego Eminencji — rzekł.

I — według zwyczaju — rzucił bystre spojrzenie dookoła siebie i zauważył, że Mazarini ma przed sobą jakiś list zapieczętowany. Ale koperta położona była spodem do góry, tak że nie było widać do kogo była zaadresowana.

— Przychodzisz pan od królowej?... — rzekł Mazarini, spoglądając na d'Artagnana badawczo.

— Ja, Wasza Eminencjo? Któż to panu powiedział?

— Nikt, ale wiem.

— Jestem w rozpacz, iż muszę powiedzieć Waszej Eminencji, że się myli — odpowiedział gaskończyk bezczelnie, pomny obietnicy, uczynionej Annie Austrjackiej.

— Ja sam otworzyłem przedpokój, i widziałem, jak się pan szedł z końca galerji.



— Bo mnie wprowadzono bocznymi schodami.

Mazarini wiedział, że nie łatwo było wydobyć od d'Artagnana tego, czego nie chciał powiedzieć; dlatego, jak na teraz, rzekł się wykrycia tajemnicy, jaką się otaczał gaskończyk.

— To pomówmy o moich interesach — rzekł kardynał — skoro pan nie chcesz nic mówić o swoich. Czy pana nie zatrzymuje nic w Paryżu?

— Mógłby mnie zatrzymać tylko najwyższy rozkaz.

— To dobrze. Trzeba ten list oddać pod wskazanym adresem.

— Pod adresem... Wasza Eminencjo? Ależ na kopercie niema żadnego adresu.

Rzeczywiście wierzchnia strona koperty nie była zapisana wcale.

— Tak podchwycił Mazarini — ale to jest podwójna koperta.

— Rozumiem, mam zedrzyć pierwszą dopiero wtedy, gdy przybędę na miejsce.

— Doskonale. Bierz pan i jedź. Masz pan przy sobie przyjaciela, pana du Vallon, ja bardzo go lubię, zabierzesz go z sobą.

— O! do diabła!... — pomyślał d'Artagnan — wie, żeśmy słyszeli jego rozmowę wczorajszą i chce nas oddalić z Paryża.

— Czy się pan wahasz?... — zapytał Mazarini.

— Nie, Wasza Eminencjo, jadę natychmiast. Ale chciałbym tylko...

— Co takiego?

— Ażeby Wasza Eminencja poszedł do królowej.

— Kiedy?

— Natychmiast.

— I po co?

— Ażeby jej powiedzieć tylko te słowa: Posyłam pana d'Artagnana tam i tam; kazałem mu jechać natychmiast.

— A widzisz pan — rzekł Mazarini — widziałeś się z królową.

— Miałem zaszczyt powiedzieć Waszej Eminencji, że musiało zajść jakieś nieporozumienie.

— Czy mogę się ośmielić powtórzyć mą prośbę Waszej Eminencji.

— Dobrze, idę już... zaczekaj tu na mnie.

Mazarini popatrzył uważnie, czy nie zapomniał jakiego klucza w szafach i wyszedł.

Dziesięć minut upłynęło, w ciągu których d'Artagnan czynił wszystko, co mógł, ażeby przejrzeć pierwszą kopertę i przeczytać, co było na drugiej, ale nic nie wskórał.

Mazarini powrócił — blady i żywo czemś zajęty; usiadł przy biurku; d'Artagnan przyglądał mu się, jak przedtem kopercie; ale koperta jego twarzy była równie nieprzenikniona jak koperta listu.

— E!... e!... — rzekł do siebie gaskończyk — minę ma zagniewaną.

— Czyżby na mnie? Namysła się, czyby mnie posłać do Bastylji? Bardzo pięknie, ekscelencjo! Przy pierwszym słowie, uduszę cię i staję się frondystą. Nieść mnie będą triumfalnie, jak Broussela, a Athos ogłosi mnie Brutusem francuskim. To byłoby dopiero zabawne. Gaskończyk przy swej wybujałej wyobraźni widział już wszystkie korzyści, jakie mógł wyciągnąć z takiego położenia. Ale Mazarini nie wydał żadnego rozkazu w tym rodzaju, a przeciwnie zaczął głaskać d'Artagnana.

— Masz słuszość — rzekł do niego — mój drogi mości d'Artagnan — nie możesz jeszcze jechać!

— O!... — rzekł d'Artagnan.

— Oddaj mi tę depeszę, proszę.

D'Artagnan spełnił rozkaz. Mazarini spojrział, czy pieczęć jest nietknięta.

— Będę pana potrzebował dziś wieczorem — rzekł — przyjdź pan za dwie godziny.

— Za dwie godziny, Wasza Eminencjo — rzekł d'Artagnan — mam schadzke, na którą nie mogę się nie stawić.

— Niech cię to nie niepokoi — rzekł Mazarini — to jedno i to samo.

— Dobrze!... — pomyślał d'Artagnan — byłem tego pewny.

— Przychodź więc pan o godzinie piątej i przyprowadź z sobą kochanego pana du Vallon; ale zostaw go w przedpokoju, chcę tylko z tobą pomówić.

D'Artagnan skłonił się. A kłaniając się, mówił do siebie:

— Oboje mają dać ten sam rozkaz, oboje o tej samej godzinie; oboje w pałacu królewskim, zgaduję!... O!... za tę tajemnicę pan de Gondy zapłaciłby sto tysięcy franków.

— Namyślasz się pan?... — rzekł Mazarini niespokojnie.

— Tak, namyślam się, czy mamy przyjść uzbrojeni?...

— Od stóp do głowy — odrzekł Mazarini.

— Będziemy.

D'Artagnan wyszedł i pobiegł powtórzyć Porthosowi te ponętne obietnice Mazariniego, które du Vallonowi sprawiły niewymowną radość.

## ROZDZIAŁ XI

### UCIECZKA

Pałac królewski, pomimo oznak wzburzenia w mieście, kiedy d'Artagnan udał się doń o godzinie piątej po południu, wyglądał bardzo wesoło. Nic w tem dziwnego: królowa oddała Broussela i Blancmesnila ludowi.

Królowa więc nie miała się czego obawiać, ponieważ lud nie miał już czego żądać. Wzruszenie pozostało tylko po wzburzeniu, na którego uspokojenie potrzeba było jeszcze pewnego czasu, jak po burzy kilka dni zwykle mija, zanim ustanie wichur. Wydany został wielki festyn, do którego okazję dał powrót zwycięzcy z pod Lens. Zaproszeni byli książęta i księżne, a karety ich zapełniały podwórze już od południa.

Po obiedzie miała być zabawa u samej królowej. Dnia tego Anna Austrjacka jaśniała wdziękiem i dowcipem... oddawna nie widziano jej wtak wesołym humorze... Zemsta w rozkwicie błyszczała w jej oczach i roztaczała się na ustach.

W chwili, gdy wstawano od stołu, Mazarini znikł. D'Artagnan znajdował się już na swoim stanowisku i czekał w przedpokoju. Kardynał ukazał się z miną uśmiechniętą, ujął go za rękę i poprowadził do swego gabinetu.

— Mój drogi, mości d'Artagnan — rzekł minister, siadając — chcę ci dać dowód największego zaufania, jaki minister dać może oficerowi. D'Artagnan skłonił się.

— Spodziewam się — odrzekł — że Wasza Eminencja daje mi go bez żadnej ubocznej myśli, w tem przeświadczeniu, że jestem tego godny.

— Najgodniejszy ze wszystkich, mój przyjacielu, skoro do ciebie się udaję.

— Otóż — rzekł d'Artagnan — wyznaję, Wasza Eminencjo — że oddawna oczekuję takiej sposobności. Niech pan raczy więc powiedzieć mi jak najprędzej, co ma do powiedzenia.

— Otóż, mój drogi mości d'Artagnanie — podchwycił Mazarini — będziesz miał tego wieczora w swem ręku losy państwa.

Zamilkł.

— Niech Wasza Eminencja raczy dać mi bliższe wyjaśnienia... czekam.

— Królowa postanowiła wraz z królem odbyć małą podróż do Saint-Germain.

— O! o! — odrzekł d'Artagnan — to znaczy, że królowa chce opuścić Paryż.

— Pojmujesz pan — kaprys kobiecy?..

— Tak, pojmuję to bardzo dobrze — rzekł d'Artagnan.

— Po to wezwała cię do siebie dziś zrana i kazała ci przyjść o piątej.

— I trzebaż mi było aż przysięgać, że nikomu nie powiem o tej schadzce!... — wyszeptał d'Artagnan. — Oj! kobiety!... choćbyście nawet były królowemi, zawsze pozostaniecie kobietami.

— Czyżbyś przeciwny był tej małej wycieczce, drogi mości d'Artagnan?... — zapytał Mazarini niespokojnie.

— Ja, Wasza Eminencjo!... — odrzekł d'Artagnan — a to dlaczego?..

— Bo wzruszasz ramionami!..

— To już taki mój sposób mówienia!..

— Więc pochwalasz tę podróż?..

— Nie pochwalam, ani też ganię, Wasza Eminencjo, czekam tylko na rozkazy.

— To dobrze. Na pana właśnie zwróciłem oczy, ażeby przewieźć króla i królowę do Saint-Germain?..

— A to łajdak!... — rzekł do siebie d'Artagnan.

— Widzisz więc dobrze — podchwycił Mazarini — że, jak powiedziałem, losy państwa znajdują się w twojem ręku.

— Tak, Wasza Eminencjo, i czuję całą odpowiedzialność tego obowiązku.

— Przyjmujesz pan jednak?..

- Ja przyjmuję zawsze.
- Czy uważasz pan tę rzecz za możebną?...
- Wszystko jest możebne.
- Czy spodziewasz się pan być napadnięty w drodze?...
- Bardzo być może.
- A cóż pan w takim razie uczynisz?...
- Przejadę mimo tych, którzy mnie zaczepią.
- A jeżeli mimo nich nie będziesz mógł jechać?...
- Tem gorzej dla nich, to po nich przejadę.
- I dowiesz pan całych króla i królowę do Saint-Germain.
- Tak.
- Przysięgasz pan na swe życie?
- Na swe życie.
- Bohaterem jesteś, mój drogi!... — rzekł Mazarini, spoglądając na muszkietera z zachwytem.
- D'Artagnan uśmiechnął się.
- A co ze mną?... — rzekł Mazarini, po chwili milczenia, patrząc na d'Artagnana badawczo.
- Jakto, co z Waszą Eminencją?
- Tak, gdybym i ja chciał pojechać?
- To byłoby trudniej.
- Dlaczego?
- Wasza Eminencja może być poznany.
- Nawet w tem przebraniu?... — spytał Mazarini.
- I podniósł płaszcz, przykrywający fotel, na którym leżało całe ubranie jeźdźca szare-perłowe, z pasmanterją srebrną.
- Jeżeli Wasza Eminencja się przebierze, to chyba prędzej.
- A!... — rzekł Mazarini, oddechając.
- Ale należałoby tylko, żeby Wasza Eminencja czytał to samo, co nam zalecał w podobnym wypadku.
- A cóż należałoby czynić?
- Krzyżeć: Precz z Mazariniem!
- To będę krzychał.
- Po francusku... i to dobrze po francusku; niech Wasza Eminencja zwraca uwagę na wymawianie; w Sycylji zabito sześć tysięcy andegawończyków jedynie dlatego, że mieli zły akcent włoski. Strzeż się, Wasza Eminencjo, ażeby francuzi nie zemścili się na panu za nieszpory sycylijskie.



— Czy to pan, panie d'Artagnan.





— Zrobię wszystko jak najlepiej.

— Na ulicach pełno ludzi zbrojnych — mówił dalej d'Artagnan — czy pewna jest Wasza Eminencja, że nikt nie wie o projekcie królowej?

Mazarini zamyślił się.

— Piękną byłby gratką dla zdrajcy taki interes, jaki mi Wasza Eminencja proponuje; napad przypadkowy nie obudziłby podejrzeń.

Mazarini drgnął, ale się zastanowił, że człowiek, mający zamiar zdradzić, nie uprzedzałby o tem.

— Ja też — odrzekł żywo — nie ufam byle komu, najlepszy dowód, żem pana wybrał, ażebyś trzymał straż przy mnie.

— Więc pan nie jedzie razem z królową?

— Nie — odrzekł Mazarini.

— Al!.. — podchwycił d'Artagnan, poczynając rozumieć.

— Tak, mam swoje plany — ciągnął dalej kardynał — z królową podwajam niebezpieczeństwo dla niej, po królowej wyjazd jej podwaja niebezpieczeństwo dla mnie: zresztą, gdy dwór zostanie ocalony, mogą o mnie zapomnieć, wielcy tego świata są niewdzięczni.

— To prawda — przywodził d'Artagnan, rzucając mimowolnie okiem na djament królowej, który Mazarini miał na placu.

— Chcę więc — podchwycił Mazarini — przeszkodzić im, ażeby nie byli niewdzięczni względem mnie.

— Prawdziwa to miłość chrześcijańska nie prowadzić bliźniego na pokuszenie — rzekł d'Artagnan.

— Właśnie dlatego — odrzekł Mazarini — chcę pojechać przed nimi.

D'Artagnan uśmiechnął się; znał się on bardzo dobrze na chytrości włoskiej.

Mazarini zobaczył, że się uśmiecha, i skorzystał z tej chwili.

— Zacziesz pan od wywiezienia mnie z Paryża, nieprawdaż, kochany mości d'Artagnanie?

— Ciężkie zadanie, Wasza Eminencjo — odrzekł d'Artagnan, przybierając minę poważną.

— Ależ — rzekł Mazarini, patrząc uważnie, ażeby nie uszedł mu żaden odcień na twarzy muszkietera —

ależ takich zastrzeżeń nie czyniłeś pan co do króla i co do królowej.

— Król i królowa są moją królową i moim królem, Wasza Eminencjo — odpowiedział muszkietier — życie moje za nich oddaję, bo ono należy do nich. Jeżeli tego zażądataj, nie będę nic miał przeciw temu.

— Słusznie — szepnął po cichu Mazarini — a ponieważ życie twoje nie należy do mnie, to muszę je kupić, nieprawdaż?

I, wzdychając głęboko, zaczął obracać pierścioneł na palcu kamieniem do góry. D'Artagnan uśmiechnął się. Ci dwaj ludzie równali się sobie pod względem chyłrości.

— Ja też — rzekł Mazarini — skoro proszę cię o tę przysługę, to chcę być ci za to wdzięczny.

— Czy Wasza Eminencja ma dopiero chęci?... — zapytał d'Artagnan.

— Oto, mój kochany mości d'Artagnanie — rzekł Mazarini, zdejmując pierścień z palca — oto brylant, który do ciebie należał niegdys: niech do ciebie powróci, weź go, proszę.

Mazarini nie potrzebował wcale nalegać; d'Artagnan wziął go, przyjrzał się, czy to ten sam kamień, i przekonawszy się o czystości jego wody, włożył go na palec z niewysłowioną przyjemnością.

— Bardzo go sobie cenilem — rzekł Mazarini, z dodaniem ostatniego spojrzenia — ale mniejsza, daję ci go z wielką przyjemnością.

— A ja, Wasza Eminencjo — rzekł d'Artagnan — biorę go tak, jak mi jest dany. A teraz pomówmy o pańskich interesach. Chcesz pan jechać przed wszystkimi?

— Tak, bardzo mi na tem zależy.

— O której godzinie?

— O dziesiątej.

— A o której jedzie królowa?

— O północy.

— O! to możebne; wywozę pana z Paryża, pozostaniesz pan za rogatką, a ja wrócę po królową.

— Doskonale!... Daję panu najzupełniejszą swobodę działania, weź pan tylu ludzi, ilu uznasz za potrzebne.

D'Artagnan potrząsnął głową.

— A mnie się zdaje, że to sposób najbezpieczniejszy — rzekł Mazarini.

— Tak, dla Waszej Eminencji, lecz nie dla królowej.

Mazarini przygryzł sobie wargi.

— Więc — rzekł — jak będziemy działali?...

— Niech Wasza Eminencja już mnie to pozostawi.

— Ale...

— Albo niech tem wszystkiem zajmie się kto inny — podchwycił d'Artagnan, odwracając się tyłem.

— O!... — szepnął do siebie Mazarini — zdaje mi się, że się wynosi i zabiera djament.

Zawołał go więc.

— Mości d'Artagnanie, kochany mój mości d'Artagnanie!... — rzekł głosem pieścizotliwym.

— Wasza Eminencjo?...

— Czy ręczysz mi za wszystko?...

— Za nic nie ręczę; zrobię, jak będę mógł najlepiej.

— Jak będziesz mógł najlepiej...

— Tak.

— No, to powierzani się tobie.

— Bardzo szczęśliwie — rzekł d'Artagnan do siebie.

— Będziesz pan tu więc o godzinie wpół do dziesiątej?

— I zastanę Waszą Eminencję gotowym?...

— Naturalnie, zupełnie już gotowym.

— Zatem rzecz ułożona. A teraz czy Wasza Eminencja pozwoli mi zobaczyć się z królową?...

— Po co?...

— Chciałbym otrzymać rozkazy z ust własnych Jej Królewskiej Mości.

— Poleciała mi, ażebym ja dał je panu.

— Mogła o czem zapomnieć?...

— Pragniesz pan koniecznie ją widzieć?

— To niezbędne, Wasza Eminencjo!...

Mazarini zawahał się na chwilę; d'Artagnan pozostał niewzruszony w swem postanowieniu.

— No — odrzekł Mazarini — to pana zaprowadzę, ale ani słówka o naszej rozmowie.

— To, co powiedziane było między nami, nas tylko obchodzi. Wasza Eminencjo — odrzekł d'Artagnan.

— Przysięgasz mi pan, że będziesz niemy?...

— Ja nie przysięgam nigdy, Wasza Eminencjo. Mówię tak lub nie, a ponieważ jestem szlachcicem, dotrzymuję słowa.

— To widzę, iż trzeba ci zaufać bez żadnych zastrzeżeń.

— Tak będzie najlepiej, niech mi wierzy Wasza Eminencja.

— Więc chodź pan za mną — rzekł Mazarini.

Mazarini wprowadził d'Artagnana do modlitewni i kazał mu zaczekać. W pięć minut później zjawiła się królowa w odświętnym stroju. Wyglądała teraz na lat trzydzieści pięć zaledwie i była zawsze jeszcze piękna.

— To pan, panie d'Artagnan — odezwała się z wdzięcznym uśmiechem — dziękuję, żeś nalegał na widzenie się ze mną.

— Błagam przebaczenia Waszą Królewską Mość — odrzekł d'Artagnan — ale chciałem otrzymać rozkazy z jej ust własnych.

— Wiadomo panu, o co chodzi?...

— Tak, pani.

— Przyjmujesz pan to polecenie, które ci powierzam?...

— Z wdzięcznością.

— To dobrze, bądź pan tutaj o północy.

— Będę.

— Panie d'Artagnan — rzekła królowa — zbyt dobrze znam pańską bezinteresowność, abym ci miała mówić o wdzięczności w tej chwili; ale, przysięgam ci, nie zapomnę tej drugiej przysługi, jak zapomniałam o pierwszej.

— Waszej Królewskiej Mości wolno jest pamiętać i wspominać, i nie wiem, o czem chce mówić...

D'Artagnan skłonił się.

— Idź, panie — rzekła królowa z najczarowniejszym uśmiechem — idź a powróć o północy.

Skinęła mu ręką na pożegnanie i d'Artagnan oddalił się, lecz, oddalając się u dołu portjery, z poza której wyszła królowa spostrzegł koniuszek aksamitnego trzewika.

— Dobryś — rzekł — Mazarini podsłuchiwał, chcąc się przekonać, czy go nie zdradzam. Doprawdy ten hultaj włoski nie wart, ażeby mu służył porządny człowiek.

Pomimo to d'Artagnan stawił się punktualnie na schadzce. O godzinie pół do dziesiątej wchodził już do przedpokoju. Bernouin czekał i zaraz go wprowadził. Zastał kardynała, ubranego po cywilnemu.

Bardzo dobrze wyglądał w tym kostjumie; blady był jednak bardzo i trząsł się trochę.

— Sam pan jesteś?... — spytał Mazarini.

— Tak, Wasza wysokość.

— A gdzie pan du Vallon, czy nie będziemy się cieszyli jego towarzystwem?

— I owszem, Wasza wysokość; czeka on w swej karecie przed bramą ogrodu pałacu królewskiego.

— Więc to w jego karecie pojedziemy? I tylko pod strażą panów dwóch?

— Czyż to nie dość? Jeden z nas dwóch wystarczyłby.

— Doprawdy, mój drogi panie d'Artagnan — rzekł Mazarini — przestraszasz mnie swą zimną krwią.

— A ja sądziłem, że przeciwnie natchnie ona Waszą wysokość ufnością.

— A czy Bernouina nie mogę z sobą zabrać?

— Dla niego niema miejsca, on przyjedzie dopiero później do Waszej Ekscelencji.

— Ha!... — rzekł Mazarini — ponieważ trzeba czynić wszystko tak, jak pan chcesz...

— O! Wasza wysokość, czas jeszcze się cofnąć — rzekł d'Artagnan — wola Waszej Eminencji przedewszystkiem.

— O! nie, nie — rzekł Mazarini — jedźmy.

I obaj wyszli tajemnymi schodami. Mazarini wspierał się na ramieniu d'Artagnana, który czuł, jak kardynał drżał. Przeszli przez dziedzińce pałacu królewskiego, gdzie stało jeszcze kilka karet opóźniających się gości, dostali się do ogrodu, a wreszcie do małej furtki. Mazarini spróbował otworzyć ją kluczem, który wy dobył z kieszeni, ale ręka tak mu drżała, iż nie mógł znaleźć dziurki w zamku.

— Niech pan mi da — rzekł d'Artagnan.

Mazarini oddał mu klucz: d'Artagnan otworzył i schował do kieszeni; zamierzał tedy powrócić. Stopień u karety był opuszczony, drzwiczki otwarte, Mousqueton stał przy drzwiczkach, Porthos znajdował się w głębi karety.

— Niech Wasza wysokość wsiada — rzekł d'Artagnan.

Mazarini nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i wskoczył do karety. D'Artagnan usiadł za nim, Mousqueton zatrzaskał drzwiczki i, ciężko wzdychając, zawiesił się z tyłu u karety.

Powóz ruszył przyzwoitym klusem, nie zdradzającym zresztą, iż mieści w sobie bardzo śpieszące się osoby.

Kardynał otarł czoło chustką i razejrzał się dokoła. Po lewej stronie zobaczył Porthosa, po prawej d'Artagnana; każdy strzegł jednych drzwiczek, każdy służył mu za fortyfikację obronną. Na ławce z przodu leżały dwie pary pistoletów, jedna para przed Porthosem, druga przed d'Artagnanem, a nadto obaj przyjaciele mieli każdy przy sobie szpadę.

O sto kroków od pałacu królewskiego patrol zatrzymał kareteę.

— Kto jedzie?... — zapytał dowódca.

— Mazarini!... — odpowiedział d'Artagnan, wybuchając śmiechem.

Kardynałowi włosy powstały na głowie. Koncept spodobał się wielce mieszczanom, którzy, widząc kareteę bez herbów i bez eskorty, nigdyby nie byli uwierzyli w prawdę tak śmiałego żartu.

— Szczęśliwej podróży!... — zawołali.

I przepuścili kareteę.

— Cóż Wasza wysokość myśli o tej odpowiedzi?... — spytał d'Artagnan.

— To spryt!... — zawołał Mazarini.

— A!... — wtrącił Porthos — już rozumiem...

Pośrodku ulicy Małe Pole drugi patrol zatrzymał kareteę.

— Kto jedzie?... — zawołał dowódca patrolu.

— Niech się Wasza wysokość między nas schowa — rzekł d'Artagnan.

I Mazarini tak się wcisnął między dwóch przyjaciół, że znikł prawie, zasłonięty przez nich.

— Kto jedzie?... — podchwycił ten sam głos niecierpliwie.

I d'Artagnan usłyszał, jak się z przodu rzucono ku koniom. Wychylił się napół z karety.

— Hej! Planchet!... — zawołał.

Dowódca patrolu zbliżył się: był to rzeczywiście Planchet.

— Jako!... — zawołał Planchet — to pan?

— A! mój Boże! to ja, mój kochany przyjacielu. Poczciwy Porthos dostał pchnięcie szpadą i odwożę go do domu jego wiejskiego w Saint - Cloud.

— O! doprawdy? — rzekł Planchet.

— Porthosie — podchwycił d'Artagnan — jeżeli mo-

zesz jeszcze mówić, mój drogi Porthosie, powiedzże choć słówko naszemu wiernemu Planchetowi.

— Planchet, mój przyjacielu — rzekł Porthos zbolalym głosem — jestem bardzo chory, jeżeli spotkasz doktora, bądź mi go łaskaw przysłać.

— O! wielki Boże!... — rzekł Planchet — co za nieszczęście! A jakże się to stało?

— Później ci to opowiem — odezwał się Mousqueton. Porthos głęboko westchnął.

— Każ nas przepuścić, Planchecie — szepnął mu zciha d'Artagnan — albo nie dojedzie żywy; płuca są naruszone, mój przyjacielu.

Planchet pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć:

— O! to kiepsko...

Poczem, zwracając się do swych ludzi wyrzekł:

— Przepuście! to są przyjaciele.

Kareta znów się potoczyła a Mazarini, który oddech powstrzymywał, ośmielił się odetchnąć.

— Bricconi!... — wyszeptał.

O kilka kroków od bramy św. Honorego napotkano trzeci oddział; ludzie, składający go, mieli bardzo podejrzane miny i podobni byli raczej do bandytów, niż do kogo innego, była to istna hałastra, — ludzie żebraka z pod kościoła św. Eustachego.

— Baczność! Porthosie — rzekł d'Artagnan.

Porthos sięgnął ręką ku pistoletom.

— Co to?... — zapytał Mazarini.

— Wasza wysokość, zdaje mi się, żeśmy się dostali w złe towarzystwo.

Jakiś człowiek przystąpił do drzwiczek, trzymając w ręku coś nakształt kosi.

— Kto jedzie?... — zapytał.

— E! głupcze!... — odezwał się d'Artagnan — czyż nie poznajesz karety księcia pana?

— Czy to księżę, czy nie — rzekł człowiek ów — otwierajcie! My pilnujemy bramy i nikt nie pojedzie, dopóki się nie dowiemy, kto to taki.

— Co czynić — zapytał Porthos.

— A cóż! przejechać!... — rzekł d'Artagnan.

— Ale jak przejechać?... — rzekł Mazarini.

— Między nimi, albo po nich.

— Hej! woźnico, galopem!

Woźnica podniósł bat.

— Ani kroku dalej — wyrzekł ów człowiek, wyglądający na dowódcę wojsk — albo podetną łydki koniom.

— O! to byłaby szkoda — rzekł Porthos — te zwierzęta kosztują mnie po sto pistolów.

— Zapłacę je panu po dwieście — syknął Mazarini.

— Tak, ale jak im podetną nogi, to nam zetną głowy.

— Jeden podchodzi już z mojej strony — rzekł Porthos — czy mam go zabić?

— Tak, uderzeniem pięści, jeżeli możesz; ognia damy tylko w ostateczności.

— Mogę — odrzekł Porthos.

— Hej! Sami przyjdźcie otworzyć — rzekł d'Artagnan do człowieka z kosą, już biorąc jeden z pistoletów i gotując się do uderzenia kolbą.

Człek z kosą zbliżył się. W miarę, jak się zbliżał, d'Artagnan, ażeby mieć ruchy swobodniejsze, wychylił się napół przez drzwiczki, a oczy jego zatrzymały się na tym żebraku, którego oświetlił blask jednej z latarek. Widocznie poznał on muszkietera, bo naraz wielce zbladł; widocznie i d'Artagnan go poznał, bo włosy powstały mu na głowie.

— Pan d'Artagnan!... — zawołał tenże, cofając się o krok — pan d'Artagnan!... przepuścić!

Może i d'Artagnan miał się już odezwać, gdy wtem rozległ się odgłos, jakby obucha, uderzającego w łeb wołu; to Porthos ugodził swego napastnika. D'Artagnan obrócił się i zobaczył nieszczęśnika, leżącego tuż.

— Co koń wyskoczy!... — zawołał do woźnicy. — Gnaj! pędź!

Woźnica zaciął konie siarczyście. Szlachetne rumaki skoczyły i słyszeć się dały krzyki jakby przewracanych ludzi. Potem uczucie podwójne wstrząśnienie, koła przeszły po jakimś ciele miękkim i okrągłym. Na chwilę wszystko ucichło. Kareta wyjechała za bramę.

— Do Cours-la-Reine!... — zawołał d'Artagnana do woźnicy.

Poczem, zwracając się do Mazariniego, rzekł:

— Teraz Wasza wysokość może zmówić pięć *Ojcze nasz* i pięć *Zdrowaś Marja* na podziękowanie Bogu za ocalenie.



Ocalony pan jesteś! wolny! Mazarini odpowiedział tylko jękiem; nie mógł uwierzyć w taki cud. W pięć minut później karetka się zatrzymała; przybyła do Cours-la-Reine.

— Czy Wasza wysokość zadowolony ze swej eskorty?... — spytał muszkieter.

— Zachwycony, mości panie — odrzekł Mazarini, ośmielając się wytknąć głowę przez drzwiczki — a teraz to samo uczynicie, panowie, dla królowej.

— To już będzie mniej trudne — rzekł d'Artagnan, wyskakując na ziemię. — Panie du Vallon, polecam ci Jego Eminencję.

— Bądź spokojny — rzekł Porthos, wyciągając rękę. D'Artagnan ujął rękę Porthosa i uścisnął.

— A!... — zawołał Porthos.

D'Artagnan spojrział na przyjaciela zdziwiony.

— Co ci jest?... — zapytał.

— Zdaje mi się, że mam pięść zgniecioną — odrzekł Porthos.

— Cóż u diabła, walisz, jak głuchoniemy.

— Musiałem, on już chciał wypalić do mnie z pistoletu, ale ty jakeś się pozbył swego?

— O!... — odrzekł d'Artagnan — to nie był wcale człowiek.

— A co?

— Widmo!

— Widmo?... więc cóż?

— Zakląłem je tylko.

I, nie tłumacząc się więcej, d'Artagnan wziął pistolety, leżące na przedniej ławeczce, zatknął je za pas, otulił się płaszczem i, nie chcąc wracać tą samą bramą, którą przejeżdżał, udał się w stronę bramy Richelieugo.

## ROZDZIAŁ XII

### KARETA PANA KOADJUTORA

Zamiast powrócić przez bramę Ś-go Honorego, d'Artagnan, mając dość czasu przed sobą, okrążył drogę i wszedł przez bramę Richelieugo. Zaraz go zauważono, a kiedy po kapeluszu jego z piórami i po płaszczu z galonami poznano, że jest oficerem muszkietarów, otoczono go z zamiarem, ażeby zmusić do krzyczenia: „precz z Mazarinim!“

Z początku niepokoila go ta demonstracja, ale kiedy się dowiedział, o co chodzi, krzyknął tak głośno, że zadowolili najwybredniejszych.

Podążył dalej ulicą Richelieugo, rozmyślając, w jaki sposób wywiezie królowę, gdyż o wywiezieniu jej w karecie z herbami Francji, nie można było nawet marzyć, gdy wtem przed bramą pałacu pani de Guemenée spostrzegł pojazd.

Myśl nagła zabłysła mu w głowie.

— O!... to byłoby paradne!... — rzekł.

I zbliżył się do karety, przyjrzał się herbom na drzwiczkach i liberji stangreta. Badanie to było dlań tem łatwiejsze, że woźnica spał na koźle, jak zabity.

— Tak, to kareta pana koadjutora — rzekł — na honor, zaczynam wierzyć, że nam sprzyja Opatrzność.

Po cichu wślizgnął się do karety i, pociągnawszy za sznurek, który przywiązany był do stangreta, zawołał:

— Do pałacu królewskiego!...

Stangret, obudzony zniemacka, pojechał na wskazane miejsce, nie wątpiąc, że rozkaz pochodzi od jego pana. Szwajcar miał już zamykać kraty bramy, ale, widząc ten

wspaniały pojazd, domyślił się, że to musi być dostojna wizyta, i przepuścił karete, która się zatrzymała pod przedsionkiem. Tu dopiero stangret spostrzegł, że niema lokajów z tyłu karety. Myślał, że ich pan koadjutor odeśłał, zeskoczył więc z kozła, nie popuszczając cugli, i otworzył drzwiczki.

D'Artagnan również zeskoczył na ziemię, a w chwili, kiedy woźnica, przestraszony, że nie poznaje swego pana, cofnął się w tył, pochwycił go lewą ręką za kołnierz, a prawą przyłożył mu pistolet do gardła.

— Słówko tylko piśnij!... — rzekł d'Artagnan — a trudem padniesz!

Woźnica po minie mówiącego przekonał się, że wpadł w jakąś zasadzkę, stanął więc nieruchomo z rozdziawioną gębą i wytrzeszczonymi oczyma. Dwaj muszkietierowie przechadzali się po dziedzińcu; d'Artagnan zawołał ich po nazwisku.

— Panie de Bellière — rzekł do jednego z nich — bądź tak łaskaw wziąć cugle z rąk tego zucha, wsiąść na kozioł karety, zawieść ją pod drzwi bocznych schodów i tam poczekać; to ważna sprawa, w służbie królewskiej.

Muszkietier, wiedząc, że jego porucznik nie pozwoliłby sobie żartować z czynności służbowych, spełnił rozkaz, nie mówiąc ani słowa, choć wydał mu się szczególnym. Wtedy d'Artagnan, zwracając się do drugiego muszkietera, rzekł:

— Panie de Verger, pomóż mi zaprowadzić tego człowieka w bezpieczne miejsce.

Muszkietier pomyślał, że porucznik pochwycił jakiegoś przebranego księcia, skłonił się i, dobywszy szpady, skinął, że jest gotów. D'Artagnan wszedł na schody, wraz z więźniem, za którym postępował muszkietier, minął się i wszedł do przedpokoju Mazariniego. Bernouin czekał niecierpliwie na wiadomości o swym panu.

— I cóż, panie?... — zapytał.

— Wszystko idzie dobrze, mój drogi panie Bernouin; ale oto tego człowieka trzeba uwięzić w bezpiecznym miejscu.

— A gdzie?...

— Gdzie pan zechcesz, byleby tam okiennice były zamknięte na kłódki, a drzwi na klucz.

— O!... to mamy, panie — odrzekł Bernouin.

I wprowadzono biednego woźnicę do gabinetu z oknami zakratowanymi, bardzo podobnego do więzienia.

— Teraz, mój drogi przyjacielu — rzekł d'Artagnan — proszę cię, ażebyś mi dał swój kapelusz i płaszcz.

Woźnica, jak łatwo zrozumieć, wcale się nie opierał; zresztą tak był zdziwiony tem, co mu się przytrafiło, że słańiał się na nogach i bełkotał, jak pijany; d'Artagnan całe jego ubranie wpakował pod pachę lokajowi.

— A teraz, panie de Verger — rzekł d'Artagnan — zamknij się z tym człowiekiem, dopóki ci pan Bernouin nie przyjdzie drzwi otworzyć; pilnowanie będzie zapewne dość długie i mało zabawne, wiem o tem, ale — dodał poważnie — to, panie, służba królewska.

— Na... rozkazy wasze, panie poruczniku — odpowiedział muszkieter, widząc, że idzie o poważne rzeczy.

— Ale — dodał d'Artagnan — jeżeli ten człowiek zechce uciekać lub krzyczeć, to go naszpikuj szpadą.

Muszkieter skinął głową — na znak, że rozkaz ten spełni jaknajściślej. D'Artagnan wyszedł, zabrawszy z sobą Bernouina. Biła północ.

— Zaprowadź mnie pan do modlitewni królowej — rzekł — uprzedź ją, że tam jestem i połóż mi pan ten pakiet wraz z dobrze nabitym muszkietem na koźle karety, która czeka przed schodami bocznymi.

Bernouin wprowadził d'Artagnana do modlitewni i muszkieter usiadł tu zadumany.

W pałacu królewskim wszystko szło zwykłym trybem. O godzinie dziesiątej, jak powiedzieliśmy, oddalili się prawie wszyscy goście; ci, którzy uciekać mieli zaraz z dworem, otrzymali wskazówki, i każdy miał między północą a godziną pierwszą zrana, znajdować się w Cours-la-Reine. O godzinie jedenastej Anna Austrjacka udała się do króla. Młody Ludwik bawił się w wojnę z żołnierzami ołowianami, co było jego ulubioną rozrywką. Dwóch przydanvch mu towarzyszków honorowych bawiło się razem z nim.

— Laporte — odezwała się królowa — czas byłoby położyć spać Jego Królewską Mość.

Król prosił, ażeby mógł jeszcze się pobawić, gdyż, jak mówił, nie miał ochoty spać.

Ale królowa nalegała.

— Przecież jutro o godzinie szóstej masz kąpać się w Cruflous, Ludwiku?... Sam mnie o to prosileś.

— Masz pani słusność — rzekł król — i gotów jestem oddalić się do mego pokoju, kiedy mnie zechcesz ucałować. Laporte, daj świece panu kawalerowi de Coislin.

Królowa przytknęła usta do białego i gładkiego czoła, które nadstawiło jej dostojne dziecko z powagą, trącącą już etykietą.

— Zaśnij prędko, Ludwiku — rzekła królowa — bo cię obudzą wcześniej.

— Uczynię, jak tylko będę mógł, ażeby pani być posłusznym — odrzekł młody Ludwik — ale nie mam wcale ochoty spać.

— Laporte — szepnęła Anna Austrjacka — poszukaj dla Jego Królewskiej Mości jakiej bardzo nudnej książki do czytania, ale sam się nie rozbieraj.

Król wyszedł w towarzystwie kawalera de Coislin, niośącego świeczniki. Drugie dziecko do towarzystwa odprowadzono do domu. Wtedy królowa powróciła do swoich pokojów. Damy jej, to jest pani de Brégy, panna de Beaumont, pani de Motteville i Sokratyna, jej siostra, którą tak nazywano dla jej mądrości, przyniosły jej do garderoby resztki obiadu, z których miała zwykle kolację.

Królowa wydała rozkazy, mówiła o uczcie, jaką dla niej wydatkuje nazajutrz margrabia de Villequier, wymieniła osoby, którym czyniła zaszczyt udziału w tym bankiecie, zapowiedziała na dzień następny jeszcze bytność w Valde Grace, gdzie miała zamiar się pomodlić i rozkazała Beringhenowi, swemu pierwszemu kamerdynerowi, ażeby jej towarzyszył.

Po skończeniu kolacji z damami, królowa, udając wielkie znużenie, przeszła do sypialni. Pani de Motteville, która tego wieczora miała przy niej dyżur, podążyła, ażeby pomóc jej przy rozbieraniu. Królowa położyła się do łóżka, porozmawiała z nią uprzejmie przez kilka minut, poczem ją pożegnała.

W tej chwili właśnie d'Artagnan wyjeżdżał na dziedzińiec pałacu królewskiego z karetą koadjutora. W chwili potem karety dam honorowych odjechały i brama się za nimi zamknęła.

Północ biła. W pięć minut później Bernouin zapukał do sypialni królowej, przyszedłszy przejściem sekretne kardynała. Anna Austriacka sama mu otworzyła.

Była już ubrana, to znaczy, że włożyła pończochy i owinęła się długim peniuarem.

— To ty, Bernouinie — rzekła — czy jest pan d'Artagnan?

— Tak, pani, jest w modlitewni; czeka na Waszą Królewską Mość.

— Ja jużem gotowa. Powiedz Laportowi, ażeby obudził i ubrał króla, potem idź do marszałka de Villeroy i uprzedź go ode mnie.

Bernouin skłonił się i wyszedł. Królowa weszła do modlitewni, którą oświetlała zwyczajna lampa ze szkła we-neckiego.

Ujrzała d'Artagnana, który na nią czekał.

— To pan?... — rzekła do niego.

— Tak, pani.

— Gotów pan jesteś?

— Gotów; Wasza Królewska Mość.

— A pan kardynał?

— Wydostał się za miasto bez wypadku; czeka na Waszą Królewską Mość w Cours-la-Reine.

— Ale jaką kareta pojedziemy?

— Wszystko już przewidziałem, kareta czeka na dole.

— Chodźmy do króla.

D'Artagnan skłonił się i podążył za królową. Młody Ludwik był już ubrany, nie miał tylko na sobie jeszcze trzewików i surduta; pozwalał się ubierać, ale z miną zdziwioną, i obsypywał pytaniami Laporta, który odpowiadał mu tylko temi słowami:

— Najjaśniejszy Panie, to z rozkazu królowej.

Królowa weszła, a d'Artagnan zatrzymał się na progu. Dziecko, zobaczywszy królowę, wymknęło się Laportowi i pobiegło do niej. Ta skinęła na d'Artagnana, ażeby się zbliżył.

— Mój synu — rzekła Anna Austriacka, pokazując mu muszkietera, stojącego spokojnie — oto pan d'Artagnan, dzielny, jak owi dawni bohaterowie, o których tak lubisz słuchać. Zapamiętaj dobrze jego nazwisko i przyjrzyj mu się dobrze, ażebyś nie zapomniał jego twarzy, bo tego

wieczora wyświadczy on nam wielką przysługę. — Młody król spojrział na oficera wielkiem dumnem okiem i powtórzył:

— Pan d'Artagnan!

— Tak, mój synu.

Młody król podniósł z wolna drobną rączkę i podał ją muszkieterowi; ten przykląkł i ucałował ją.

— Pan d'Artagnan — powtórzył Ludwik — dobrze, pani.

W tej chwili dał się słyszeć, jakby zbliżający się zgiełk.

— Co to?... — odezwała się królowa.

— O! o!... — odpowiedział d'Artagnan, nadstawiając ucho delikatne i wytyężając wzrok inteligentny — to lud tak hałasuje.

— Trzeba uciekać — rzekła królowa.

— Wasza Królewska Mość powierzyła mi kierownictwo w tej sprawie, trzeba zostać i dowiedzieć się, czego lud chce.

— Panie d'Artagnan!...

— Odpowiadam za wszystko.

Nic się tak prędko nie udziela, jak ufność.

Królowa, pełna siły i odwagi, odczuwała w najwyższym stopniu te dwie cnoty w innych.

— Czyń pan, jak chcesz — rzekła — zdaję się na pana.

— Czy Wasza Królewska Mość pozwoli mi w całej sprawie dawać rozkazy w jej imieniu?

— Rozkazuj pan?

— Czegoż chce ten lud?... — zapytał król.

— Zaraz się dowiemy, Najjaśniejszy Panie.

I wyszedł szybko z pokoju. Wrzawa wzmagała się coraz bardziej, zdawało się, że już ogarnia cały pałac królewski. Słychać było niezrozumiałe krzyki.

Król, napół ubrany, królowa i Laporte — pozostali na miejscu, nadśluchując i czekając. Comminges, który tej nocy był na straży w pałacu królewskim, nadbiegł; miał około dwustu ludzi na dziedzińcach i w stajniach; oddawał ich do rozporządzenia królowej.

— I cóż?... — zapytała Anna Austriacka, widząc powracającego d'Artagnana — i cóż?

— Rozeszła się pogłoska, że królowa opuściła pałac królewski, zabrawszy króla, i lud chce się przekonać, że tak nie jest, albo grozi zburzeniem pałacu.

— O! tego już za wiele — rzekła królowa — ja im pokażę, że nie odjechałam.

D'Artagnan zobaczył z wyrazu twarzy królowej, że ma wydać jakiś rozkaz gwałtowny. Zbliżył się do niej i rzekł pocichu:

— Czy Wasza Królewska Mość mi ufa?

Na ten głos drgnęła.

— Tak, panie, ufam ci zupełnie — rzekła — mów.

— Czy królowa raczy się stosować do mych rad?

— Mów pan.

— Niech Wasza Królewska Mość odprawi pana de Comminges i każe mu się zamknąć ze swymi ludźmi w koszarach i w stajniach.

Comminges spojrział na d'Artagnana tym zazdrosnym wzrokiem, z jakim każdy dworak patrzy na wzrastającego nowego faworyta.

— Słyszałeś, Comminges — rzekła królowa.

D'Artagnan podszedł ku niemu ze zwykłą bystrością i zauważył to niespokojne spojrzenie.

— Panie Comminges — rzekł do niego — wybac mi, obaj służymy królowej, nieprawdaż? Na mnie przyszła kolej być użytecznym, nie zazdrość mi pan.

Comminges skłonił się i wyszedł.

— Ha!... — rzekł do siebie d'Artagnan — o jednego nieprzyjaciela mam więcej.

— A teraz — rzekła królowa, zwracając się do d'Artagnana — lud chce widzieć króla; potrzeba, aby go zobaczył.

— Jakże ma go zobaczyć?

— Gdzie? na balkonie?

— Nie; pani, tutaj w łóżku śpiącego.

— O! Wasza Królewska Mość! pan d'Artagnan ma najzupełniejszą rację!... — zawołał Laporte.

Królowa zastanowiła się i uśmiechnęła, jak kobieta, której przebiegłość nie jest obcą.

— W istocie — szepnęła.

— Panie Laporte — rzekł d'Artagnan — wyjdź pan poza bramę pałacową i oświadczyć ludowi, że będzie zaspokojony i że za pięć minut nietylko ujrzy króla, ale zobaczy go nawet w łóżku; dodaj pan, że król śpi i że królowa prosi, aby go nie budzono hałasowaniem.



— Ale niech wszyscy nie wchodzą, niech wejdzie deputacja z dwóch lub czterech osób.

— Wszyscy, proszę pani.

— Ale pomyśl pan, zatrzymają nas do rana.

— Kwadrans tylko zajmą. Za wszystko odpowiadam, niech mi pani wierzy, znam lud, to wielkie dziecko, które potrzeba tylko głaskać, wobec śpiącego króla będzie cichy, spokojny i lękliwy, jak baranek.

— To idź, Laporcie — rzekła królowa.

Młody król zbliżył się do matki.

— Po co robić to, czego ci ludzie żądają?... — wyrzekł.

— Trzeba, mój synu — rzekła Anna Austrjacka.

— No, jeżeli mówi się do mnie: „trzeba“, to nie jestem już królem?

Królowa nic nie odrzekła.

— Najjaśniejszy Pan pozwoli mi zadać pewne pytanie?... — odezwał się d'Artagnan.

— Mów pan — rzekł.

— Wasza Królewska Mość zapewne sobie przypomina, jak bawiąc się w parku Fontainebleau, lub na dziedzińcach pałacowych w Wersalu, widział niebo, nagle się zachmurzające i rozlegające się grzmoty?

— Tak, bezwątpienia.

— Otóż ten huk piorunów, jakkolwiek Wasza Królewska Mość, miała ochotę jeszcze się bawić, mówił jej: Wracaj do domu, Najjaśniejszy Panie, trzeba.

— Tak, panie, ale powiedziano mi, że huk piorunów jest głosem Boga.

— Najjaśniejszy Panie — podchwycił d'Artagnan — posłuchaj wrzawy ludu, a wyda ci się on bardzo podobny do huków piorunów.

Rzeczywiście w tej chwili starszyny zgiełk doleciał, niesiony nocnym wiatrem. Wtem naraz ustał...

— Ot, Najjaśniejszy Panie, powiedziano ludowi, że Wasza Królewska Mość śpi, widzi więc Najjaśniejszy Pan, że zawsze jest królem.

Królowa patrzyła ze zdumieniem na tego człowieka, który odwagą nieustraszoną równał się z najdzielniejszymi, a rozumem delikatnym i przebiegłym dorównywał wszystkim.

Wszedł Laporcie.

— I cóż Laporcie? — spytała królowa.

— Pani — odpowiedział tenże — przewidywanie pana d'Artagnana sprawdza się. Uciszyli się, jak pod wpływem czarów. Otworzy się im drzwi i za pięć minut będą tutaj.

— Laporte — rzekła królowa — gdybyś przedstawił jednego ze swych synów zamiast króla, my byśmy przez ten czas pojechali.

— Jeżeli Wasza Królewska Mość rozkaże — odrzekł Laporte syn równie, jak ja jest na usługi królowej.

— Nie — rzekł d'Artagnan — bo gdyby kto z nich znał Najjaśniejszego Pana i spostrzegł zamianę, wszystko byłoby stracone.

— Masz pan rację, masz rację — rzekła Anna Austriacka — Laporte, połóż króla do łóżka.

Laporte położył króla w ubraniu tak, jak był, potem przykrył go kołdrą aż pod szyję. Królowa pochyliła się nad nim i ucałowała go w czoło.

— Udawaj, Ludwiku, że śpisz — rzekła.

— Dobrze — odrzekł król — ale nie chcę, aby mnie kto z tych ludzi ruszył.

— Najjaśniejszy Panie, ja tutaj jestem — odezwał się d'Artagnan — i ja ręczę, że, gdyby który z nich odważył się to uczynić, życiemby to przypłacił. — Panie Laporte, idź pan naprzeciw nich i zaleć im znowu milczenie. Pani raczy poczekać tu, przy drzwiach. Stanę przy królu blisko, gotów umrzeć za niego.

Laporte wyszedł, królowa stanęła przy portjerze, d'Artagnan wślizgnął się za kotarę. Dały się słyszeć kroki głucho i ostre, wielkiej gromady ludzi: królowa sama podniosła portjerę u drzwi, kładąc palec na ustach.

Na widok królowej, ludzie ci zatrzymali się w postawie, pełnej szacunku.

— Wejdźcie, proszę, wejdźcie — odezwała się królowa.

Wtedy wśród tego tłumu zapanowało jakby wahanie, podobne do zawstydzenia: spodziewał się oporu, spodziewał się, że będzie musiał gwałtem wyłamywać bramę i przewrócić gwardzistów; tymczasem wszystkie drzwi stały otworem, a król, przynajmniej na pozór, miał za całą straż przy swem łóżku samą tylko matkę.

Ci, którzy wysunęli się naprzód, bełkotali coś niezrozumiale i chcieli się cofnąć.

— Wejdźcie, panowie — rzekł Laporte — skoro królowa pozwala.

Wtedy jeden, śmielszy od innych, odważywszy się, przestąpił próg drzwi i zbliżył się na palcach. Inni poszli w jego ślady i tak pokój zapełnił się wśród ciszy zupełnej, jakby ci ludzie byli najpokorniejszymi i najwierniejszymi dworzanami. Poza drzwiami widniały głowy tych, którzy, nie mogąc się już dostać do pokoju, wspinali się na palcach. D'Artagnan, widział to wszystko przez otwór, który zrobił w kotarze; w człowieku, który wszedł pierwszy, poznał Plancheta.

— Panie — odezwała się doń królowa, domyślając się, że jest wodzem całej tej bandy — pragnęłaś widzieć króla, chciałam więc pokazać go panu sama. Zbliź się pan, popatrz i powiedz czy wyglądamy na ludzi, chcących uciekać.

— Nie, o! nie z pewnością — odpowiedział Planchet, trochę zdziwiony tym niespodziewanym zaszczytem, jakiego doznawał.

— Powiedz więc pan moim poczciwym i wiernym paryzanom — podchwyciła Anna Austriacka — żeś widział króla w łóżku, śpiącego u królowej, gotowej też udać się na spoczynek.

— Powiem to pani, i ci, którzy mi towarzyszą, powiedzą także wszyscy, jak ja, ale...

— Ale co? — zapytała Anna Austriacka.

— Niech Wasza Królewska Mość mi wybaczy — rzekł Planchet — ale czy to naprawdę król leży w tem łóżku? Anna Austriacka drgnęła.

— Jeżeli między panami jest kto, co zna króla — wyrzekła — niech się zbliży i powie, czy to Jego Królewska Mość.

Jakiś człowiek, otulony w płaszcz, z osłoniętą twarzą, zbliżył się i nachylił nad łóżkiem. D'Artagnan sądził przez chwilę, że człowiek ten ma złe zamiary i sięgnął już ręką do szpady, ale, przy poruszeniu człowiek w płaszczu odsłonił część twarzy, i d'Artagnan poznał koadjutora.

— Tak, to król — rzekł człowiek ten, podnosząc się. — Niech Bóg błogosławi Jego Królewskiej Mości.

— Tak — rzekł przewodca półgłosem — niech Bóg błogosławi Jego Królewskiej Mości.

I wszyscy ci ludzie, którzy wtargnęli wściekli, przeszli teraz w uczuciach swych od gniewu do przychylności i błogosławili kolejno dziecię królewskie.

— Teraz — odezwał się Planchet — podziękujmy królowej, moi przyjaciele, i odejdziemy.

Wszyscy skłonili się i wyszli powoli, bez hałasu, tak, jak weszli. Planchet, który wszedł pierwszy, wychodził ostatni.

Królowa go zatrzymała.

— Jak się nazywasz, mój przyjacielu?

Planchet obrócił się, bardzo zdziwiony tem zapytaniem.

— Tak, — rzekła królowa — czuję się tak zaszczyconą tem, żem pana przyjmowała dziś u siebie, tak, jak gdybyś był księciem krwi, i pragnę poznać pańskie nazwisko.

— Tak, — pomyślał Planchet — ażeby mnie tak wykie rować, jak księcia krwi: dziękuję.

D'Artagnan zadrżał, ażeby Planchet, zwiedziony jak kruk w bajce, nie powiedział swego nazwiska, i ażeby królowa, wiedząc jego nazwisko, nie dowiedziała się, że Planchet u niego służył.

— Pani — odpowiedział Planchet pokornie, — nazywam się Dulauries, do usług.

— Dziękuję ci, panie Dulauries — rzekła królowa — a czem się pan trudnisz?

— Mam, proszę pani, handel sukna, przy ulicy Bourdonnais.

— To wszystko już, czego pragnęłam się dowiedzieć — rzekła królowa. — Jestem ci bardzo obowiązana, dobry panie Dulauries; będziesz pan miał o mnie wiadomość.

— No, no, — szepnął d'Artagnan, wychodząc z tyłu kotary — Planchet nie jest wcale głupi... widać zaraz, że w dobrej był szkole.

Szmer — zamiast się zbliżać, — coraz bardziej się oddalał, aż wreszcie zupełnie ucichł.

Królowa odetchnęła, d'Artagnan otarł czoło wilgotne, król wyslizgnął się z łóżka, mówiąc:

— Jedźmy!

W teje chwili zjawił się Laporte z powrotem.

— I cóż?... — zapytała królowa.

— Ha!... proszę Waszej Królewskiej Mości — odpowiedział kamerdyner — odprowadziłem ich do bramy; oświadczyli wszystkim swoim kamratom, że widzieli króla, a królowa z nimi mówiła, i oddalili się potem dumni i triumfujący.

— A!... nędznicy!... — wyszeptała królowa — drogo mi zapłacicie to zuchwalstwo, ja wam to przyrzekam!...

Poczem, zwracając się do d'Artagnana, dodała:

— Dalesz mi pan tego wieczoru najlepsze rady ze wszystkich, jakie otrzymałam w życiu. Dawaj je pan i dalej... Cóż teraz mamy czynić?...

— Panie Laporte — odezwał się d'Artagnan — dokończ ubierać Jego Królewską Mość.

— Więc możemy jechać?... — zapytała królowa.

— Kiedy Najjaśniejsza Pani zechce; niech tylko zjedzie bocznymi schodami, a mnie zastanie na dole.

— Idź, panie — odrzekła królowa — a ja za tobą przybędę.

D'Artagnan wyszedł; karetą stała na swem miejscu; muszkietier siedział na kozle. D'Artagnan wziął zawiniątko, które Bernouinowi polecił położyć u nóg muszkietera. Był w niem, jak sobie przypominamy, kapelusz i płaszcz stangreta pana de Gondy. D'Artagnan włożył płaszcz na ramiona, a kapelusz na głowę. Muszkietier zsiadł z kozła.

— Panie — rzekł doń d'Artagnan — uwolnisz pan teraz swego kolegę, który pilnuje stangreta. Dosiądzicie, panowie, swych koni, a potem udacie się na ulicę Tiquetonne do hotelu pod *Kozą* i zabierzecie mego konia oraz konia pana du Vallon, osiodłacie je i opatrzyte jak na wojnę, a potem wyjedziecie z Paryża, prowadząc je za cugle, i udacie się do Cours-la-Reine. Jeżeli w Cours-la-Reine nie znajdziecie nikogo, pojedziecie dalej do Saint - Germain. Wszystko to w służbie królewskiej.

Muszkietier przyłożył rękę do kapelusza i oddalił się dla spełnienia otrzymanych rozkazów. D'Artagnan wsiadł na kozioł. U pasa miał parę pistoletów, pod nogami muszkiet, u boku obnażoną szpadę.

Zjawiła się królowa; za nią szedł król i brat jego, książę andegawęński.

— Karetą pana koadjutora!... — zawołała, cofając się o krok.

— Tak, Najjaśniejsza Pani — odezwał się d'Artagnan — ale niech Wasza Królewska Mość wsiada śmiało. To ja nią powożę.

Królowa wydała okrzyk zdziwienia i wsiadła do karety. Król i brat królewski wsiadli po niej i obok niej usiedli.

— Chodź, Laporcie — rzekła królowa.

— Jakto, Najjaśniejsza pani!... — rzekł kamerdyner — w tej samej karecie, co Ich Królewskie Moście?...

— Nie chodzi teraz o etykietę, ale o losy króla... Wsiadaj, Laporte.

Laporte spełnił rozkaz.

— Proszę zapuścić firanki u okien — rzekł d'Artagnan.

— Ależ czy to nie obudzi podejrzeń?... — zapytała królowa.

— Niech Wasza Królewska Mość raczy być spokojna... mam odpowiedź gotową.

Zapuszczano firanki i pojechano galopem przez ulicę Richelieugo.

Gdy dojeżdżano do bramy, dowódca posterunku zbliżył się na czele tuzina ludzi, trzymając w ręce latarnię.

D'Artagnan skinął mań, ażeby się zbliżył.

— Czy poznajesz pan karete?... — rzekł do sierżanta.

— Nie — odpowiedział tenże.

— To spójrz pan na herby.

Sierżant zaśwycił latarnią przy drzwiczkach.

— Herby pana koadjutora — rzekł.

— Cicho!.. on ma teraz wesołą awanturkę z panią de Guéménée.

Sierżant zaczął się śmiać.

— Otwórzcie bramę — rzekł — wiem, co to jest.

Poczem, zbliżając się do zasłoniętego firanką okienka, wyrzekł:

— Miłej zabawy, Wasza wysokość!...

— Cicho pan bądź!... — zawołał d'Artagnan — jeszcze przez pana wylecę ze służby.

Rogatka zaskrzypiała na zawiasach, a d'Artagnan, widząc drogę otwartą, zaciął siarczyście konie, które popędziły wyciągniętego kłusa. W pięć minut później dojechano do karety kardynała.

— Mousqueton — zawołał d'Artagnan — otwórz drzwiczki karety Jej Królewskiej Mości.

— To on!... — rzekł Porthos.

— Za stangreta!... — wykrzyknął Mazarini.

— I z kareta koadjutora!... — odezwała się królowa.

— *Corpo di Dio!*... mości d'Artagnanie — wyrzekł Mazarini — wart jesteś na wagę złota!...

## ROZDZIAŁ XIII

### JAK D'ARTAGNAN I PORTHOS ZAROBILI NA SPRZEDAŻY SŁOMY, JEDEN DWIEŚCIE DZIE- WIĘTNAŚCIE, A DRUGI DWIEŚCIE PIĘT- NAŚCIE LUIDORÓW

Mazarini chciał natychmiast jechać do Saint-Germain, ale królowa oświadczyła, iż zaczeka na osoby, którym tu oznaczyła spotkanie. Ofiarowała wszakże miejsce La-porta kardynałowi. Kardynał przyjął i przesiadł się z jednej karety do drugiej.

Nie bez powodu rozeszła się pogłoska, iż król ma Paryż opuścić w nocy; dziesięć czy dwanaście osób było wtajemniczonych w ucieczkę od godziny szóstej wieczorem, i przy całej swej ostrożności nie mogły one przecie zarządzić przygotowań do swego wyjazdu, tak, aby ta rzecz nie wyszła na jaw — choć trochę. Zresztą każda z tych osób miała jedną lub dwie inne, które ją obchodziły, a ponieważ nie wątpiono, że królowa opuszcza Paryż ze strasznymi projektami zemsty, każdy ostrzegł swych przyjaciół i krewnych, tak że wiadomość o wyjeździe wionęła, jak kłęb dymu na całe miasto.

Po karecie królowej najpierwsza nadjechała kareta księcia pana; przybył nią pan Kondeusz, księżna pani i księżna wdowa. Druga kareta mieściła w sobie księcia Orleańskiego, księżnę, księżniczki i opata de la Rivière, ulubienca nierozłącznego i poufnego doradcę księcia. Trzecia była pana de Longueville i księcia Conti brata i szwagra księcia pana. Wysiedli oni i zbliżyli się do boku króla i królowej i złożyli swe uszanowanie Jego Królewskiej Mości. Królowa zapuściła wzrok w głąb ka-

rety, od której drzwiczki pozostały otwarte, i zobaczyła, że jest pusta.

— Ale gdzież jest pani de Longueville? — rzekła.

— W istocie... gdzież jest moja siostra? — zapytał książę pan.

— Pani de Longueville jest cierpiąca — odpowiedział książę — i prosiła, ażebym ją wytłumaczył przed Waszą Królewską Mością.

Anna rzuciła bystre spojrzenie na Mazariniego, który odpowiedział nieznacznym skinieniem głowy.

— Co pan na to mówisz? — zapytała królowa.

— Będzie to oskoma dla Paryża — odrzekł kardynał.

— Dlaczego nie przyjechała? — spytał po cichu książę pan swego brata.

— Sza!... — odpowiedział tenże — musi ona mieć swe powody.

— Ona nas gubi!... — szepnął książę.

— Ona nas ocali!... — rzekł Conti.

Karety nadjeżdżały tłumnie.

Marszałek de la Meilleraye, marszałek de Villeroy, Guitaut, Villequier, Comminges, nadciągnęli kolejno; zjawili się również i dwaj muszkietierowie, prowadząc konie d'Artagnana i Porthosa. Ci usadowili się zaraz na siodle.

Woźnica Porthosa zastąpił d'Artagnana na koźle karety królewskiej. Mousqueton zastąpił woźnicę, powożąc stojący, dla przyczyn nam znanych, podobny do starożytnego automedona.

Królowa, jakkolwiek zajęta tysiącem szczegółów szukała oczyma d'Artagnana, lecz gaskończyk zamieszał się już w tłumie ze zwykłą przezornością.

— Bądźmy strażą przednią — rzekł do Porthosa — i zachowajmy dla siebie mieszkanie w Saint Germain, bo nikt o nas nie pomyśli. Czuję się bardzo znużony.

— Ja — rzekł Porthos — wprost upadam ze znużenia. I pomyśleć, że nie mieliśmy najmniejszej bitwy! O! teraz widzę, że paryżanie są wierutni głupcy!

— A może to tylko dlatego, że jesteśmy tak zręczni! — rzekł d'Artagnan.

— Może.

— A jak się miewa twoja pięść?

— Lepiej! ale, jak sądzisz, czy teraz już je mamy?

— Co?...



— Ty swoją ranę, a ja mój tytuł.

— Tak, dalibóg... mógłbym się założyć prawie. Zresztą, jeżeli pamiętać nie będą, to ja już im przypomnę.

— Słysząc głos królowej — rzekł Porthos — zdaje mi się, że chciałaby jechać konno.

— O! onaby chciała, ale...

— Ale co?

— Ale kardynał nie chce. Panowie — mówił dalej d'Artagnan, zwracając się do dwóch muszkieterów — towarzyszcie karcie królowej i nie odjeżdżajcie od drzwi-czek. My przygotowujemy kwatery.

I d'Artagnan popędził do Saint-Germain wraz z Porthosem.

— Jedźmy, panowie — rzekła królowa.

I karetą królewska ruszyła w drogę, za nią podążyły inne i przeszło pięćdziesięciu jeźdźców. Do Saint-Germain przyjechano bez wypadku. Zstępując na stopień karety, królowa zastała księcia pana, stojącego z odkrytą głową i oczekującego, ażeby jej podać rękę.

— Co za przebudzenie będzie dla Paryżan! — rzekła Anna Austrjacka wesoło.

— To wojna — odrzekł książę.

— A!... niech... będzie wojna. Czyż nie mamy ze sobą zwycięzcy z pod Rockroy, Nordlingen i Lens.

Książę się skłonił na znak podziękowania. Była godzina trzecia zrana. Królowa pierwsza weszła do zamku, za nią wszyscy podążyli, a przeszło dwieście osób towarzyszyło jej w ucieczce.

— Panowie — rzekła królowa zamieszkajcie w zamku, jest on obszerny i miejsca dla was nie zbraknie, ponieważ jednak nie spodziewano się, abyśmy się tu dostali, uprzedzono mnie właśnie, że są tylko trzy łóżka: jedno dla króla, jedno dla mnie...

— I jedno dla Mazariniego — rzekł po cichu książę pan.

— To ja spać mam na podłodze? — odezwał się Gaston Orleański z uśmiechem, bardzo niespokojnym.

— Nie, Wasza wysokość — rzekł Mazarini — gdyż trzecie łóżko jest przeznaczone dla Waszej Królewskiej Mości.

— A pan? — zapytał książę.

— Ja kłaść się nie będę — odrzekł Mazarini — ja mam robotę.

Gaston kazał sobie pokazać pokój, gdzie było łóżko, nie troszcząc się wcale, jak się pomieści jego żona i córka.

— No, to i ja się położę — rzekł d'Artagnan — chodź ze mną, Porthosie.

Szli obok siebie przez plac zamkowy. Porthos zdumionemi oczyma spoglądał na d'Artagnana, który coś liczył na palcach.

— Czterysta, po pistolu sztuka, to czterysta pistolów.

— Tak — przywtórzył Porthos — to czterysta pistolów, ale co to znaczy czterysta pistolów?

— Pistola to za mało, — mówił dalej d'Artagnan, — to warte luidora?

— Co warte luidora?

— Czterysta po luidonze to czterysta luidorów.

— Czterysta? — rzekł Porthos.

— Tak, jest ich dwieście, a potrzeba przynajmniej po dwa na osobę. Po dwa na osobę, to czterysta.

— Czterysta, ale czego?

— Posłuchaj — rzekł d'Artagnan.

A ponieważ snuło się mnóstwo ludzi, przyglądających się ze zdziwieniem przyjazdowi dworu, dokończył zdania szeptem.

— Rozumiem — rzekł Porthos, — rozumiem... wybornie, dalibóg, wybornie!

— Dwieście luidorów na każdego to pięknie, ale co o tem powiedzą?

— Niech mówią sobie, co zechcą, zresztą czyż się dowiedzą, że to my.

— Ale któż się zajmie podziałem?

— Czyż niema tu Mousquetona?

— Ale moja liberja — rzekł Porthos — poznają moją liberję!

— To ubranie wywrócimy spodem.

— Zawsze masz rację, mój drogi! Ale, skąd, do diabła, czerpiesz te wszystkie pomysły.

D'Artagnan uśmiechnął się. — Dwaj przyjaciele udali się pierwszą ulicą którą napotkali; Porthos zapukał do drzwi domu po prawej stronie, gdy d'Artagnan zapukał do drzwi po lewej.

— Słomy!... — wyrzekli.

— Nie mamy, panie — odpowiedzieli ci, którzy otworzyli — ale niech się panowie udadzą do handlarza furazu.

— A gdzież jest ten handlarz?

— Ostatnia duża brama od ulicy.

— Po prawej stronie, czy po lewej?

— Po lewej.

— A czy można jeszcze dostać i u kogo innego?

— A można. U oberżysty pod „*Baranem ukoronowanym*“, u tłustego Ludwika, dzierżawcy.

— Gdzież oni mieszkają?

— Przy ulicy Urszulinek.

Przyjaciele kazali sobie wskazać dokładnie wszystkie te adresy, poczem d'Artagnan udał się do handlarza furazu, i targował się z nim o sto pięćdziesiąt snopków słomy, które nabył za sumę trzech pistołów; następnie zaszedł do oberżysty, gdzie zastał Porthosa, traktującego o dwieście snopków za sumę prawie taką samą; wreszcie dzierżawca Ludwik sprzedał im sto pięćdziesiąt.

Uczyliło to razem czterysta trzydzieści. W Saint-Germain nie było już więcej słomy. Cała ta tranzakcja nie zabrała im więcej, niż pół godziny. Mousqueton, dobrze wytresowany, postawiony został na czele tej spekulacji. Zabroniono mu, ażeby ani odrobinki słomy nie sprzedawał taniej, niż po luidorze za snopek; powierzono mu jej za 430 luidorów. Mousqueton kręcił głową, nie rozumiejąc narazie nic zgoła.

D'Artagnan, niosąc trzy wiązki słomy, powrócił do zamku, gdzie każdy, trzesąc się od zimna i upadając ze snu, patrzył z zazdrością na króla, królową i brata królewskiego, wylegujących się na łożku.

Wejście d'Artagnana na wielką salę wywołało wybuch śmiechu powszechnego; ale d'Artagnan udał, że się nie dorozumiewa wcale, iż jest przedmiotem powszechnej uwagi i zaczął rozkładać swe posłanie ze słomy z taką zręcznością i humorem, że ślinka przychodziła do ust tym biedakom sennym, a nie mogącym spać.

— Słoma!... — zawołali — słoma! gdzie można dostać słomy?

— Ja państwa zaprowadzę — rzekł Porthos.

I zaprowadził amatorów do Mousquetona, który wspa-

niałomyślnie rozdawał wiązki po luidorze. Wprawdzie uważano, że to trochę drogo, ale kiedy się chce spać, któżby dwóch nawet lub trzech luidorów nie zapłacił za kilka godzin dobrego snu?

D'Artagnan ustępował każdemu swego posłania, które rozpoczął słać z dziesięć razy, a ponieważ musiał i on, jak przypuszczano, płacić na równi z innymi wiązkę słomy po luidorze, schował w ten sposób do kieszeni trzydzieści luidorów niespełna w pół godziny.

O godzinie piątej zrana cena słomy doszła już do osiemdziesięciu franków za wiązkę i to nie można już było jej dostać. D'Artagnan nie zapomniał o odłożeniu czterech wiązek dla siebie; włożył do kieszeni klucz od pokoju, gdzie je schował i wraz z Porthosem poszedł policzyć się z Mousquetonem, który z całą maiwnością i jak godny intendent oddał im czterysta trzydzieści luidorów i jeszcze zachował sto luidorów dla siebie.

Mousqueton, nie wiedząc o tem, co się działo w zamku, nie pojmował, jak jemu samemu nie przyszła wcześniej myśl do głowy sprzedawania słomy. D'Artagnan wyspał złoto do kapelusza i w drodze obliczył się z Porthosem. Każdemu z nich przypadło po dwieście piętnaście luidorów.

Wtedy dopiero Porthos spotrzegł się, że niema dla siebie słomy; wrócił do Mousquetona ale Mousqueton wyprzedził wszystko do ostatniego źdźbła, sam nie zatrzymawszy nic dla siebie.

Poszukał wówczas d'Artagnana, który, dzięki swym czterem wiązkom słomy, urządził sobie miękkie posłanie, zawczasu napawając się rozkoszą. Posłanie tak pysznie podniesione było pod głową, tak dobre dawało przykrycie na nogi, że król samby pozazdrościł, gdyby nie spał na swem wygodnem łóżku. D'Artagnan za żadną cenę nie chciał psuć swego posłania dla Porthosa, ale za wyliczone przezeń cztery luidory zgodził się, ażeby Porthos położył się przy nim.

Szpadę położył pod głowę, pistolety położył przy boku, rozciągnął płaszcz na nogi, kapelusz złożył na płaszczu i wyciągnął się rozkosznie na trzeszczącej słomie. Już marzył słodko, co łatwo mu przychodziło przy posiadaniu dwustu dziewiętnastu luidorów, zarobionych w ciągu kwa-

dransa, gdy głos jakiś rozległ się przy drzwiach od sali, aż muszkieter podskoczył.

— Panie d'Artagnan!... — wołał głos — panie d'Artagnan!

— Tutaj — rzekł Porthos — tutaj. Porthos pomyślał, że jeśli d'Artagnan sobie pójdzie, całe posłanie zostanie dla niego samego.

Zbliżył się oficer. D'Artagnan podniósł się na łokciu.

— To pan d'Artagnan?... — rzekł.

— Tak, panie. Czego pan ode mnie chcesz?

— Przychodzę po pana.

— Od kogo?

— Od Jego Eminencji.

— Powiedz mu pan, że śpię i że po przyjacielsku radzę mu to samo uczynić.

— Jego Eminencja nie położył się spać i wcale się nie położy i prosi pana do siebie natychmiast.

— Cholera niech zdusi tego Mazariniego?... — mruknął d'Artagnan. — Czegóż on ode mnie chce? kapitanem mnie zrobić? Tobym mu jeszcze przebaczył.

Muszkieter podniósł się, narzekając, wziął szpadę, kapelusze, pistolety i płaszcz i podążył za oficerem, podczas gdy Porthos, zostawszy sam, starał się nacieszyć posłaniem.

— Mości d'Artagnan — rzekł kardynał — nie zapomniałem, z jaką gorliwością mi służyłeś, i chcę ci tego dać dowód.

— Dobrze!... — pomyślał d'Artagnan — to się wcale nieźle zapowiada.

Mazarini patrzył na muszkietera i widział, jak mu się twarz rozjaśniła.

— O! Wasza wysokość...

— Panie d'Artagnan, czy masz ochotę zostać kapitanem?

— O! tak, Wasza Eminencjo.

— A twój przyjaciel czy ciągle pragnie być baronem?

— W tej chwili nawet śni, że już nim jest.

— W takim razie — rzekł Mazarini, wyjmując z teki list, który już raz pokazał d'Artagnanowi — weź to pismo i zawieź je do Anglii.

D'Artagnan spojrział na kopertę, nie było na niej wcale adresu.

— A czy mogę wiedzieć, komu mam oddać?

— Po przyjeździe do Londynu, dowiesz się; w Londynie dopiero zedrzesz podwójną kopertę.

— A jakież są polecenia?

— Słuchać we wszystkim tego, do kogo jest list adresowany.

D'Artagnan miał nowe uczynić pytania, gdy Mazarini dodał:

— Pojedziesz do Boulogne, zastaniesz tam pod „herbami Angliji“ młodego szlachica, nazwiskiem Mordaunt.

— I cóż mam zrobić z tym szlachcicem?

— Tam podążyć, dokąd on cię zaprowadzi.

D'Artagnan spojrział na kardynała z miną zdumioną.

— Teraz, kiedy już wiesz — rzekł Mazarini — jedź!

— Jechać to łatwo powiedzieć — podchwycił d'Artagnan — ale, ażeby jechać, potrzeba pieniędzy, a ja ich nie mam.

— O!... — rzekł Mazarini, drapiąc się w ucho — powiadasz, że nie masz pieniędzy?

— Nie, Wasza Eminencjo.

— Ależ ten brylant, który dałem ci wczoraj wieczorem!

— Pragnę go zachować na pamiątkę od Waszej Eminencji.

Mazarini westchnął.

— W Angliji życie drogo kosztuje, Wasza wysokość, a zwłaszcza dla specjalnie przysłanego cułzoziemca.

— Co!... — odparł Mazarini — to kraj bardzo wstrzeźmięzliwy i żyje bardzo skromnie od czasu rewolucji, ale mniejsza.

Otworzył szufladę i wyjął worek.

— Cóż powiesz o tysiącu talarów?

D'Artagnan wydał potwornie dolną wargę.

— Powiem, Wasza wysokość, że to mało, bo z pewnością nie pojedę sam.

— Naturalnie — odpowiedział Mazarini — pan du Vallon będzie ci towarzyszył, ten zacny szlachcic, a z pewnością po tobie, drogi panie d'Artagnan, kocham go najbardziej i szanuję ze wszystkich ludzi w całej Francji.

— O! Wasza wysokość — rzekł d'Artagnan, wskazując worek, którego Mazarini nie przestał trzymać — jeżeli go pan tak kocha i szanuje, to pojmuje pan...

— Ha! przez wzgląd na niego dodam 200 dukatów.

— Złodziej!... — mruknął d'Artagnan. Ale — dodał głośno — przynajmniej za naszym powrotem będziemy mogli liczyć, pan Porthos na baronostwo, a ja na rangę?

— Słowo Mazariniego.

— Wolałbym inną rękojmię — szepnął do siebie zcicha d'Artagnan, poczem odezwał się głośno:

— Czy nie mógłbym złożyć szacunku Jej Królewskiej Mości królowej?

— Najjaśniejsza Pani śpi — odpowiedział Mazarini — panowie musicie jechać bez zwłoki; tak! natychmiast.

— Jeszcze słówko, Wasza wysokość, jeżeli tam, gdzie będę, bić się będą, czy mam się bić?

— Uczynisz, co rozkaże osoba, do której się udasz.

— Dobrze, Wasza wysokość — rzekł d'Artagnan, wyciągając rękę po worek z pieniędzmi — moje uszanowanie.

D'Artagnan z wolna włożył worek do obszernej kieszeni i, zwracając się do oficera, rzekł:

— Bądź pan łaskaw obudzić teraz pana du Vallon, w imieniu Jego Eminencji, i powiedzcie mu, że czekam na niego w stajni.

Oficer poszedł z takim pośpiechem, jakby sam był tem zainteresowany wielce.

Porthos właśnie wyciągnął się na łóżku i zaczynał chrapać harmonijnie, według zwyczaju, kiedy uczuł, jak go ktoś trącił w ramię.

Myślał, że to d'Artagnan i nie ruszył się wcale.

— W imieniu kardynała — wyrzekł oficer.

— Co?.. — zawołał Porthos, otwierając oczy — co pan mówisz?

— Powiadam, że Jego Eminencja posyła pana do Anglii, i pan d'Artagnan czeka na pana w stajni.

Porthos głęboko westchnął, podniósł się, wziął kapełusz, pistolety, szpadę i płaszcz, i wyszedł, rzucając pełne żalu spojrzenie na posłanie, gdzie obiecywał sobie tak przyjemnie się wyspać. Załedwie się odwrócił, kiedy oficer już się na niem wyciągnął, a nie przeszedł jeszcze progu pokoju, gdy jego następca chrapał już w najlepsze.

Rzecz naturalna, że zpośród całego towarzystwa, on tylko, — król, królowa i Jego wysokość Gaston Orleański — spali darmo.

## ROZDZIAŁ XIV

### WIADOMOŚCI O ATHOSIE I ARAMISIE

D'Artagnan udał się wprost do stajni. Zaczynało dzień; poznał swego konia i konia Porthosa, przywiązanych do żłoba, ale pustego

Ulitował się nad temi biednemi zwierzętami i poszedł w kąt stajni, gdzie zobaczył trochę błyszczącej słomy, która widocznie wymknęła się nocnym zakupom; zgarniając jednak tę słomę nogą, napotkał końcem buta jakieś okrągłe ciało, które dotknięte w czułe zapewne miejsce, wydało okrzyk i podniosło się na kolanach, przecierając oczy. Był to Mousqueton, który, nie mając już słomy dla siebie, przywłaszczył sobie należącą do koni.

— Mousqueton!... — odezwał się d'Artagnan — dalej!!... dalej!.. w drogę!.. w drogę!...

Mousqueton, poznając głos przyjaciela swego pana, zerwał się prędko, ale, gdy się tak zerwał, wypadło mu kilka luidorów, bezprawnie zarobionych tej nocy.

— Ho!... ho!... — rzekł d'Artagnan, podnosząc jeden z luidorów i obwąchując go — szczególne złoto, czuć je tak słomą.

Mousqueton zarumienił się tak ucziwie i wydał się tak bardzo zakłopotany że gaskończyk roześmiał się i rzekł:

— Porthos dopieroby się złościł, mój drogi panie Mousquetonie, ale ja ci to przebaczam; pamiętajmy tylko, że to złoto, ma nam posłużyć za balsam na naszą ranę i bądźmy weseli.

Mousqueton natychmiast przybrał ucieszoną minę, osiodłał żwawo konia swego pana i wsiadł na niego, nie bardzo się kłzywiąc.



Niebawem przybył i Porthos z miną bardzo chmurną i zdziwił się niezmiernie, widząc d'Artagnana zupełnie spokojnego, a Mousquetona, prawie uradowanego.

— O!... — rzekł — więc mamy wreszcie: ty swoją rangę, a ja moje baronostwo?...

— Tylko musimy pojechać po dyplomy na nie — rzekł d'Artagnan — a za naszym powrotem Mazarini je podpisze.

— A dokąd jedziemy?... — spytał Porthos.

— Najprzód do Paryża — odpowiedział d'Artagnan — muszę tam uregulować kilka interesów.

— To jazda do Paryża!... — rzekł Porthos.

Przybywszy do bram miejskich, zdziwieni zostali groźną postacią stolicy. Dokola karety, połamanej w kawałki, lud miotał przekleństwa, a osoby, które chciały uciec, stały się więźniarni; byli to mężczyzna i dwie kobiety. Kiedy przeciwnie d'Artagnan i Porthos zaządali, ażeby ich wpuszczono do miasta, nie szczędzono im żadnych grzeczności. Brano ich za zbiegów z partji królewskiej i starano się ich sobie ująć.

— Co robi król?... — pytano.

— Śpi.

— A hiszpanka?...

— Marzy.

— A przekłety włoch.

— Czuwa. Trzymajcie się też mocno, bo skoro pojechali, to zapewne po coś. Ale ponieważ ostatecznie jesteście silniejsi — ciągnął dalej d'Artagnan — dajcie spokój kobietom i starcom, pozwólcie tym paniom odejść, a sami pomyślcie o poważniejszych rzeczach.

Lud słuchał tych słów z przyjemnością i puścił damy, które podziękowały d'Artagnanowi wymownem spojrzeniem.

— A teraz naprzód!... — rzekł d'Artagnan.

I szli dalej, przebywając łańcuchy; popychając, popychani, zapytywani i sami wypytyjacy...

Na placu przed Pałacem Królewskim d'Artagnan zobaczył sierżanta, który uczył wojskowych ćwiczeń, pięciuset czy sześciuset mieszczan. Był to Planchet, który na korzyść milicji miejskiej zużytkowywał dawne wspomnienia z pułku piemonckiego. Przechodząc przed d'Artagnanem, poznał swego dawnego pana.

— Dzień dobry, panie d'Artagnan — odezwał się Planchet z miną dumną.

— Dzień dobry, panie Dulaurier — odpowiedział d'Artagnan.

Planchet stanął w miejscu, spoglądając na d'Artagnana oszołomionemi oczyma; pierwszy szereg, widząc, że się wódz jego zatrzymuje, także się zatrzymał, a po nim każdy aż do ostatniego.

— Ci mieszczanie się strasznie śmieszni — rzekł d'Artagnan do Porthosa i ruszył dalej w drogę.

W pięć minut później stanęli w hotelu „pod Kozą”. Piękna Magdalena rzuciła się na spotkanie d'Artagnana.

— Moja droga pani Turquaine — rzekł d'Artagnan — jeżeli masz pieniądze, to je schowaj prędko, jeżeli masz kosztowności, ukryj je jeszcze prędeej; jeżeli masz dłużników, każ im sobie zapłacić, jeżeli masz wierzycieli, to im nie płac.

— A to dlaczego?... — zapytała Magdalena.

— Bo cały Paryż obrócony zostanie w popiół, ni mniej ni więcej, jak Babilon, o którym zapewne słyszałaś.

— I pan mnie opuszcza w takiej chwili?...

— Nawet natychmiast — odrzekł d'Artagnan.

— A dokąd pan jedziesz?...

— O!... gdybyś pani mogła mi to powiedzieć, oddałabyś mi wielką przysługę.

— O!... mój Boże!... mój Boże!...

— Czy masz pani jakie listy do mnie?... — zapytał d'Artagnan, dając gospodyni znak ręką, ażeby oszczędziła wszelkich biadań, gdy biadania te będą zbyteczne.

— Właśnie jędea tylko co przyszedł.

I podała list d'Artagnanowi.

— Od Athosa!... — zawołał d'Artagnan, poznając pismo swego przyjaciela. D'Artagnan otworzył list i przeczytał:

„Kochany d'Artagnanie!... Kochany du Vallon, poczciwi moi przyjaciele, może otrzymujecie odemnie wiadomości po raz ostatni, Aramis i ja jesteśmy bardzo nieszczęśliwi; ale podtrzymuje nas Bóg, odwaga nasza i wspomnienie o naszej przyjaźni. Myśl... o! myśl o Raulu. Polecam ci papiery, które znajdują się w Blois, a jeżeli

w ciągu półtrzecia miesiąca nie będziesz miał od nas wiadomości, to przeczytaj te dokumenty. Ucałuj wicehrabiego z całego mego serca w imieniu waszego wiernego przyjaciela.

*Athos“.*

— O!... naturalnie, że go ucałuję — rzekł d'Artagnan — zwłaszcza że się znajduję po drodze, o gdyby nie szczęściem stracił naszego biednego Athosa, od tego dnia zostanie moim synem.

— A ja — wyrzekł Porthos — czynię go swoim ogólnym spadkobiercą.

— Zobaczmy, co jeszcze pisze Athos?..

„Gdybyście spotkali gdzie na drodze niejakiego pana Mordaunta, strzeżcie się go. Więcej nie mogę wam o nim powiedzieć w mym liście“.

— Pana Mordaunt, to dobrze — rzekł Porthos — będzie się pamiętało. Ale zobacz, może jest jaki przypisek od Aramis.

— Rzeczywiście — rzekł d'Artagnan i przeczytał:

„Ukrywamy przed wami miejsce naszego pobytu, drodzy przyjaciele, znając wasze przywiązanie braterskie i wiedząc dobrze, że zarazbyście przybyli umrzeć wraz z nami“.

— *Sacrebleu!*... — przerwał Porthos z wybuchem gniewu, że aż Mousqueton podskoczył na drugim końcu pokoju — więc im grozi śmiertelne niebezpieczeństwo?..

D'Artagnan czytał dalej:

„Athos zapisuje wam Raula, a ja wam zapisuję zemstę. Gdyby szczęśliwym trafem dostał ci się w ręce niejaki Mordaunt, powiedz Porthosowi, ażeby mu gdzie w kącie skrzył kark. Nie śmiem wam powiedzieć więcej listownie.“

*Aramis“.*

— Jeżeli o to tylko chodzi — rzekł Porthos — to się zrobi łatwo.

— Przeciwnie — podchwycił d'Artagnan z miną ponurą — to niemożliwe.

— A to dlaczego?..

— Bo właśnie z tym panem Mordauntem połączyć się mamy w Boulogne i razem z nim pojechać do Anglii.

— A gdybyśmy, zamiast połączyć się z tym panem Mor-daunt, pojechali połączyć się z naszymi przyjaciółmi — rzekł Porthos, z gestem, mogącym przerazić całą armję.

— I ja o tem pomyślałem — rzekł d'Artagnan — ale na liście niema ani marki, ani stempla.

— To prawda — rzekł Porthos.

I zaczął chodzić po pokoju, jak człowiek nieprzytomny, machając rękoma i co chwila wyciągając szpadę do połowy z pochwy. D'Artagnan zaś stał jak człowiek zgnę-biony i najgłębsze zmartwienie malowało się na jego twarzy.

— O! źle — rzekł Porthos — on nas znieważa, chce umrzeć sam, to źle.

— No, — odezwał się d'Artagnan, — wszystko to nie prowadzi do niczego. Dalej jedźmy ucałować Raula, ja-keśmy sobie powiedzieli, a może on dostał także jakie wiadomości od Athosa.

— Patrz! pyszna myśl! — rzekł Porthos — doprawdy, mój drogi d'Artagnanie, nie wiem, skąd ci się to bierze, ale zawsze masz pełno świetnych pomysłów. Tak, jedźmy ucałować Raula.

— Biada temu, ktoby memu panu wszedł w drogę! — rzekł Mousqueton do siebie, — groszabym nie dał za je-go skórę.

Dosiedli koni i pojechali. Przyjechawszy na ulicę Ś-go Djonizego, przyjaciele napotkali wielkie zbiegowisko ludu. To pan de Beaufort przybył właśnie z Vendômes, a koa-djutor pokazywał go Paryżanom zachwyconego i ucieszo-nego. Z panem de Beaufort na czele uważali się odtąd za niezwycięzonych.

Obaj przyjaciele skęcili w małą uliczkę, ażeby się nie spotkać z księciem i dostali się do rogatki Ś-go Djonizego.

— Czy to prawda? — spytali strażnicy naszych dwóch jeźdźców — że pan de Beaufort przybył do Paryża?

— Prawda zupełna — rzekł d'Artagnan — a nas właś-nie posyła na spotkanie pana de Vendôme, swego ojca, który przyjeżdża również.

— Niech żyje pan de Beaufort, — zawołali strażnicy i usunęli się z uszanowaniem, ażeby przepuścić wysłań-ców wielkiego księcia.

Gdy się wydostali za rogatki, droga się paliła pod ko-pytami koni tych ludzi, którzy nie znali, co to znużenie

lub zniechęcenie; rumaki ich leciały jakby na skrzydłach, oni zaś nie przestawali mówić o Athosie i Aramisie.

Obóz leżał między Saint-Omer i Lambe, przyjaciele dotarli do obozu i pierwsi przynieśli wiadomości o ucieczce króla i królowej, o czem krążyły tu tylko głuche pogłoski. Zastali Raula przy namiocie, leżącego na sianie, które koń jego skubał ukradkiem.

Młodzieniec miał oczy czerwone i wydawał się przygnębiony. Margrabia de Grammont i hrabia de Guiche powrócili do Paryża, a biedne dziecko znajdowało się osamotnione zupełnie.

Po chwili Raul podniósł oczy i zobaczył dwóch jeźdźców, którzy mu się przypatrywali, poznał ich i przybiegł z otwartemi ramionami.

— O! to wy... drodzy przyjaciele! — zawołał — czy mnie szukacie? czyście przyjechali po mnie? a może przynosiecie mi wiadomość o moim opiekunie? Niewiem co się z nim stało. O! tak jestem niespokojny, że mi się na płacz zbiera.

I rzeczywiście dwie grube łzy stoczyły się po ogorzałych licach młodzieńca. Porthos odwrócił głowę, ażeby nie dać poznać po swej pocziwej szerokiej twarzy, co się działo w jego sercu.

— E! do diabła! — rzekł d'Artagnan potężnie wzruszony — nie rozpaczaj tak, przyjacielu mój, jeżeliś ty nie otrzymał listów od hrabiego, to myśmy za to dostali.

— O! doprawdy?... — zawołał Raul.

— I nawet wiadomości są uspakajające — rzekł d'Artagnan widząc radość, jaką ta nowina sprawia młodzieńcowi.

— Czy masz pan list przy sobie?

— Tak, to jest miałem — rzekł d'Artagnan, udając, że go szuka — tak, musi być w kieszeni, pisze do mnie, że wraca, nieprawdaż, Porthosie?

D'Artagnan, chociaż był gaskończykiem, nie chciał brać na siebie całego ciężaru tego kłamstwa.

— Tak, — odrzekł Porthos, chrząkając.

— O! daj mi pan ten list — rzekł młodzieniec.

— E! przed chwilą jeszcze go czytałem, czyżbym go zgubił? A do licha! w kieszeni mam dziurę.

— O! tak, panie Raulu — dorzucił Mousqueton — list był bardzo pocieszający i panowie czytali mi go, aż płakałem z radości.

— To przynajmniej wiecie, panowie, gdzie się znajduje? — zapytał Raul, napół uspokojony.

— Al tak, — odrzekł d'Artagnan — naturalnie że wiem, ale to tajemnica.

— Przecież nie przede mną, spodziewam się?

— Nie; nie przed tobą, to też zaraz ci powiem, gdzie się znajduje.

Porthos patrzył na d'Artagnana zdziwionemi oczyma.

— Gdzież, u diabła, mam oznaczyć miejsce tak, żeby tam do niego nie pojechał? — mruczał d'Artagnan.

— No, panie, gdzież on jest? — zapytał Raul głosem słodkim i pieszczotliwym.

— Jest teraz w Konstantynopolu.

— U turków! — zawołał Raul przestraszony — mój Boże! Co też mi pan mówi?

— Jakto? czy cię to przestrasza! — rzekł d'Artagnan. — Ba! alboż to turcy nie są ludzie, tacy sami, jak hrabia de la Fère i opat d'Herblay.

— O! to przyjaciel jego jest z nim — podchwycił Raul — to mnie trochę uspokaja.

— A to ci ma spryt ten szatański d'Artagnan! — szepnął do siebie Porthos, zachwycony dowcipem przyjaciela.

— A teraz — rzekł d'Artagnan, któremu pilno było zmienić przedmiot rozmowy, oto pięćdziesiąt pistołów, które pan hrabia przysłał dla ciebie przez tego samego posłańca z przypuszczeniem, że już nie masz pieniędzy, i że ci się te bardzo przydadzą.

— Mam jeszcze dwadzieścia pistołów.

— No, weź te, to będziesz miał siedemdziesiąt.

— A jeżeli chcesz pan więcej — rzekł Porthos, sięgając ręką do swego worka.

— Dziękuję panu — odrzekł Raul, rumieniąc się — tysiąckrotnie panu dziękuję.

W tej chwili pokazał się Olivan.

— Ale, — rzekł d'Artagnan tak głośno, ażeby go lokaj słyszał — czy jesteś zadowolony z Olivana.

— Tak, tak sobie.

Olivan udał, że nie słyszy i wszedł do namiotu.

— Troszkę złodziej.

— O! panie! o!

— A nadewszystko wielki tchórz.

— O! ol panie! — pan mi honor odbiera — rzekł Olivan.

— Tfu do licha! — wyrzekł d'Artagnan — dowiedz się, waść Olivan, że u takich, jak my ludzie, tchórze nie mogą służyć. Kradnij swego pana, wyjadaj mu konfitury i wypijaj wino! ale do kroćset, nie bądź tchórzem, bo ci uszy poobrzynam. Spójrz na pana Mousquetona, powiedz mu, ażeby ci pokazał zaszczytne rzeczy, jakie otrzymał, a widzisz, ile właściwe mu męstwo nadało godności jego obliczu.

Mousqueton był w trzecim niebie i byłby ucałował d'Artagnana, gdyby tylko śmiał, a przyrzekał sobie, że da się za niego zabić, jeśli się tylko nadarzy sposobność.

— Odpraw Raulu, tego hultaja — rzekł d'Artagnan — bo jeśli on tchórz, skompromituje cię jeszcze kiedy.

— Pan powiada, że ja tchórz — zawołał Olivan — bo chciał się tu kiedyś bić z kornetem z pułku Grammont, a ja nie chciałem iść.

— Panie Olivan! lokaj nie powinien być nigdy nieposłuszny — rzekł d'Artagnan surowo.

I, odciągającego na bok, dodał:

— Dobrześ zrobił, jeżeli pan twój nie miał racji, weź za to talara; ale gdyby pana twego obraził kto kiedy, a ty nie dałbyś się w kawały porąbać przy nim, język ci obetnę, i gębę ci nim wytrę. Zapamiętaj to sobie.

Olivan skłonił się i schował talara do kieszeni.

— A teraz, przyjacielu Raulu — rzekł d'Artagnan — jedziemy, pan du Vallon i ja, jako ambasadorowie. Nie mogę ci powiedzieć, w jakim celu, sam nie wiem wcale, ale jeśli czego potrzebować będziesz, pisz do pani Magdaleny Turquaine do hotelu „pod Kozą“, i czerp z tej kasy, jak od bankiera, ale jednak umiarkowanie bo uprzedzam cię, że nie jest tak obficie zaopatrzona, jak kasa podskarbiego d'Emmery.

I ucałowawszy chłopca, czasowo oddanego pod opiekę, popchnął go w potężne ramiona Porthosa, które porwały go z ziemi i trzymały przez chwilę zawieszzonego na szlachetnym sercu potężnego olbrzyma.

— No — wyrzekł d'Artagnan — w drogę!...

I pojechali ku Boulogne, gdzie pod wieczór zatrzymali swe konie, mokre od potu i białe od piany. O dziesięć kroków od miejsca, gdzie się zatrzymali przed wjazdem do

miasta, jakiś młodzieniec, czarno ubrany zdawał się jakby na kogoś czekać, a odkąd ich zobaczył, nie spuszczał bawdawczego wzroku.

D'Artagnan zbliżył się do niego i, widząc, że ów człowiek nie przestaje się w niego wpatrywać, rzekł:

— Mój przyjacielu! nie łamię, ażeby mnie kto tak śrubował oczami.

— Przepraszam pana — odezwał się młodzieniec, nie odpowiadając na tę uwagę d'Artagnana — czy nie przybywa pan z Paryża?

D'Artagnan pomyślał, że to jakiś ciekawy pragnie mieć nowiny o stolicy.

— Tak, panie — odrzekł wreszcie łagodniejszym tonem.

— A czy nie ma pan czasem, zatrzymać się „pod herbami Anglii“?

— Tak, panie.

— W takim, razie — odrzekł młodzieniec — to do mnie masz pan interes; jestem Mordaunt.

— A! — szepnął d'Artagnan, — to ten, którego Athos każe mi się strzec.

— A! — szepnął Porthos — to ten, którego Aramis każe mi zadusić.

Obaj spojrzeli bacznie na młodzieńca. Ten omylił się, co do znaczenia ich spojrzeń.

— Czyżby panowie, nie wierzyli memu słowu? — rzekł — gotów jestem złożyć panom dowody!

— Nie, panie — rzekł d'Artagnan, — oddajemy się do pańskiego rozporządzenia.

— Otóż, — podchwycił Mordaunt, — pojedziemy niezwłocznie, bo to dzisiaj ostatni dzień zwłoki, o którą mnie prosił kardynał. Statek mój gotów, i gdybyście, panowie, nie przybyli dzisiaj, byłbym bez was odjechał, bo generał Olivier Cromwell musi niecierpliwie oczekiwać mego powrotu.

— Ha! ha! — rzekł d'Artagnan — więc to do generała Oliviera Cromwella, nas wysłano?

— Alboż panowie nie macie do niego listu? — zapytał młodzieniec.

— Mam list, którego podwójną kopertę mogę zedrzyć dopiero w Londynie ponieważ powiadasz mi pan, do kogo jest adresowany, nie potrzebuję już czekać dłużej.



D'Artagnan rozdarł kopertę listu. List był rzeczywiście zaadresowany „Do p. Oliviera Cromwella, generała wojsk narodu angielskiego“.

— O! — rzekł d'Artagnan — szczególne zlecenie!

— Co to za jeden ten pan Olivier Cromwell! — zapytał Porthos po cichu

— Dawny piwowar — odpowiedział d'Artagnan.

— Czwyżby Mazarini chciał zrobić spekulację na piwie. jak zrobiliśmy na słomie? — zapytał Porthos.

— No, pewnie — odezwał się Mordaunt niecierpliwie, — Jedźmy.

— Ho! ho! — odparł Porthos — tak bez kolacji? Czyż pan Cromwell nie może trochę zaczekać?

— Tak, ale mnie bardzo pilno — rzekł Mordaunt.

— O! jeżeli to tylko o pana idzie — odrzekł Porthos — to mnie nic a nic nie obchodzi i zjem kolację za pozwoleniem pańskim lub bez pańskiego pozwolenia.

Spojrzenie mgliste młodzieńca zapłonęło i gotów był rzucić niem błyskawice, ale się powstrzymał.

— Panie — ciągnął dalej d'Artagnan, — trzeba wybaczyć zgłodniałym podróżnym Zresztą kolacja nasza nie zatrzyma pana bardzo, pojedziemy do oberży. Idź pan pieszo do portu, my tymczasem co przekąsimy, i staniemy tam jednocześnie z panem.

— Jak panowie chcecie, bylebyśmy jechali — rzekł Mordaunt.

— A jak się nazywa okręt? — zapytał d'Artagnan.

— *Sztandar*.

— Dobrze. Za pół godziny będziemy na pokładzie.

I obaj, sniawszy konie, popędzili do hotelu „pod *Herbami Anglii*“.

— Co powiesz o tym młodzieńcu?... — zapytał d'Artagnan, galopując.

— Że mi się wcale nie podoba — odrzekł Porthos — i że miałem gwałtowną ochotę usłuchać rady Aramis.

— Strzeż się tego, mój drogi Porthosie, człowiek ten jest wysłańcem generała Cromwella i chyba kiepski byłby sposób przedstawienia mu się, oznajmiając, żeśmy sknęli kark jego powiernikowi.

— To nie racja — rzekł Porthos — ja zauważyłem zawsze, że Aramis daje dobre rady.

— Posłuchaj — rzekł d'Artagnan — kiedy nasze posłannictwo się skończy...

— To co?...

— To zobaczymy.

Przy tych słowach przyjaciele przybyli do hotelu „pod *Herbami Anglii*“, gdzie zjedli wieczerzę z wielkim apetytem, poczem niezwłocznie udali się do portu.

Statek jakiś rozwijał już żagle, a na pokładzie tego statku Mordaunt przechadzał się niecierpliwie.

— To rzecz dziwna... — odezwał się d'Artagnan kiedy łódka wiozła ich na pokład *Sztandaru* — to rzecz dziwna, jak ten młodzieniec podobny jest do kogoś, którego znałem, ale nie mogę powiedzieć do kogo.

Przybili do schodków i po chwili znaleźli się na statku. Wprowadzenie koni na pokład trwało jednak dłużej, niż ludzi, i statek podnieść mógł kotwicę dopiero o godzinie dziewiątej.

Młodzieniec trzął się z niecierpliwości i kazał rozwinąć wszystkie żagle. Porthos, znużony trzema bezsenne nocami i drogą kilkudziesięciu mil na koniu, poszedł do swej kajuty i spał. D'Artagnan, przewyciężając wstręt do Mordaunta, przechadzał się z nim po pokładzie; i setki histroji opowiadał, ażeby go zmusić do mówienia.

Mousqueton cierpiał chorobę morską.

## ROZDZIAŁ XV

### SZKOT DLA GROSZA MARNEGO SPRZEDAŁ KRÓLA SWEGO

Pomiędzy dwiema rzekami, na granicy szkockiej, ale już na ziemi angielskiej, wznoszą się namioty małej armji.

Północ. Ludzie, w których po nogach nagich, po spodniach krótkich, po pledach i piórach u czapek, poznać można szkotów, czuwają niedbale. Księżyc uwydatnia mury, dachy i dzwonnice miasta, które Karol I-szy oddał wojskom parlamentu, tak, jak Oxford i Newark, co trzymały jeszcze z nim w nadziei jakiegoś pogodzenia. Na jednym z końców obozu, obok dużego namiotu, pełnego oficerów szkockich, odbywających naradę, pod przewodnictwem starego hrabiego Lewen, ich wodza, śpi jakiś człowiek, na murawie, prawą ręką trzymając szpałę. Opodal, inny mężczyzna, ubrany po myśliwsku, rozmawia z placówką szkocką.

Kiedy wybiła godzina pierwsza w mieście Newcastle, śpiący obudził się i, przeciągnawszy się, spojrział uważnie dokoła, a widząc że jest sam, powstał i udał się w stronę mężczyzny, rozmawiającego z placówką. Ten poszedł mu naprzeciw. Spotkali się w cieniu namiotu po drodze.

— I cóż, drogi mój przyjacielu?... — odezwał się najczystszy językiem francuskim.

— A cóż, mój przyjacielu, niema czasu do stracenia, trzeba uprzedzić króla.

— Cóż się więc dzieje?...

— Zbyt długo byłoby opowiadać. Zresztą dowiesz się o tem niebawem. Najmniejsze słówko, tu wymówione, może wszystko zgubić. Idźmy do milorda de Winter.

I obaj podążyli na przeciwległy koniec obozu; przyszli wkrótce do namiotu tego, którego szukali.

— Czy pan twój śpi, Tony?... — zapytał po angielsku jeden z mężczyzn służącego.

— Nie, panie hrabio — odpowiedział lokaj — chyba nie, albo jeżeli śpi, to od bardzo niedawna, bo przeszło dwie godziny po rozstaniu się z królem chodził, a odgłos jego kroków ustał zaledwie od dziesięciu minut; zresztą — dodał lokaj, podnosząc kotarę namiotu — mogą panowie zobaczyć.

W istocie, de Winter siedział przed otworem, zastępującym okno, którędy przenikało powietrze nocne, i przyglądał się melancholijnie księżycowi, gubiącemu się, wśród masy chmur czarnych. Obaj przyjaciele zbliżyli się do Wintera, który nie słyszał wcale, jak weszli, i pozostał w tej samej postawie, dopóki nie uczył, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Odwrócił się, poznał Athosa i Aramis'a i podał im rękę.

— Czyście zauważyli, panowie... — rzekł do nich — jak księżyc tego wieczoru nabrał koloru krwi?...

— Nie — odrzekł Athos — wydał mi się taki, jak zwykle.

— Zresztą — dodał — w położeniu tak groźnem, jak nasze, badać należy ziemię, nie zaś niebo. Czyś badał pan naszych szkotów i jesteś ich pewny?...

— Szkotów?... — zapytał de Winter — co za szkotów?...

— Al... naszych, panie!... — odrzekł Athos — tych, którym się król powierzył; szkotów hrabiego de Lewen?...

— Nie — rzekł de Winter, poczem dodał: — Więc powiedzcie mi, panowie, czy nie widzicie wcale tego czerwonego obłoku, który pokrywa niebo?

— Wcale a wcale — odpowiedzieli razem Athos i Aramis.

— Powiedzcie mi, panowie — ciągnął dalej de Winter, zajęty wciąż tą samą myślą — czy nie krąży we Francji podanie, że w przeddzień swej śmierci Henryk IV, grając w szachy z panem de Bassompierre, widział krwawe plamy na szachownicy.

— Tak — odrzekł Athos — marszałek opowiadał mi to bardzo wiele razy.

— Tak — szepnął de Winter — i nazajutrz Henryk IV został zabity.

— Ale jakież związek ma widzenie Henryka IV z panem, hrabio?... — zapytał Aramis.

— Żadnego, i doprawdy warjat ze mnie, że rozmawiam z panami o takich rzeczach, kiedy przybycie wasze do mego namiotu zwiastuje, że przynosicie jakąś ważną wiadomość.

— Tak, milordzie — odrzekł Athos — chciałbym pomówić z królem.

— Z królem? ależ król śpi.

— Mam mu do powiedzenia bardzo ważne rzeczy.

— To chodźmy, panowie — rzekł de Winter.

Namiot de Wintera znajdował się obok królewskiego; rodzaj korytarza łączył je oba. Korytarz ten strzeżony był nie przez szyldwacha, lecz przez zaufanego lokaja Karola I-go, tak, ażeby w razie potrzeby król mógł natychmiast wezwać wiernego sługę.

— Ci panowie są ze mną — objaśnił de Winter.

Lokaj skłonił się i przepuścił wszystkich. Rzeczywiście na postaniu obozowem, w czarnym surducie, w długich butach, rozpuszczonym pasie — król Karol, ustępując potrzebie nieprzepartego snu, usnął. Trzech ludzi podeszło, i Athos, który zbliżał się pierwszy, popatrzył przez chwilę na tę szlachetną twarz, tak bladą, otoczoną długimi czarnymi włosy, z zamkniętymi oczyma, na których powiekach żyłki niebieskie nabrzmiały, jak gdyby od łez.

Athos westchnął głęboko, wstchnienie to obudziło króla, taki miał słaby sen. Otworzył oczy.

— Al... — rzekł, wspierając się na łokciu — to ty, hrabio de La Fère?

— Tak, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Athos.

— Pan czuwałś, kiedy ja spałem, i przynosisz mi jakąś nowinę?

— Niestety — odpowiedział Athos — Najjaśniejszy Pan zgadł.

— To nowina musi być zła — rzekł król, uśmiechając się smutnie.

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Mniejsza... ale przynoszący ją mile jest witany, bo każde przyjęcie pana sprawia mi przyjemność, choćby już przez to samo, że pana przysłała Henryka, jaka-

kolwiek więc to wiadomość, powiedz ją odrazu śmiało.  
— Najjaśniejszy Panie, pan Cromwell przybył tej nocy do New-Castle.

— O!... — rzekł król — ażeby mnie zwyciężyć?

— Nie, ażeby Najjaśniejszego Pana kupić!

— Co pan mówisz?...

— Powiadam, Najjaśniejszy Panie, że wojsku szkockiemu należy się czterysta tysięcy funtów sterlingów...

— Dawnego żołdu, tak, wiem o tem. Od roku nieomal moi dzielni i wierni szkoci biją się tylko honorowo.

Athos uśmiechnął się.

— Otóż, Najjaśniejszy Panie, jakkolwiek honor piękną jest rzeczą, sprzykrzyło im się już bić za Waszą Królewską Mość — i tej nocy sprzedali cię za dwakroć sto tysięcy funtów, to jest za połowę tego, co im się należy.

— Niepodobna!... — zawołał król — szkoci mieliby sprzedać swego króla za dwakroć sto tysięcy funtów!

— Żydzi sprzedali przecie swego Boga za trzydzieści srebrników!

— I cóż to za Judasz zrobił taki targ!

— Hrabia de Lewen.

— Czyś pan tego pewny?

— Słyszałem na własne uszy.

Król westchnął głęboko, jak gdyby serce mu pękało i opuścił głowę.

— O! szkoci!... — wyrzekł — szkoci! nazywałem was wiernymi — i wam się powierzyłem, gdym mógł uciec do Oxfordu, szkoci! współziomkowie moi! Szkoci! moi bracia!... Ale czyś tego tylko pewny, mój panie?

— Leżąc za namiotem hrabiego de Lewen i uchyliwszy płótno, widziałem wszystko i wszystko słyszałem.

— I kiedy się ma odbyć ten ohydny handel?

— Dziś zrana. Jak widzi więc Wasza Królewska Mość, niema czasu do stracenia.

— A cóż robić, kiedy, jak pan powiadasz, zostałem sprzedany?

— Przeprowadzić się przez Tynę, dostać się do Szkocji, połączyć się z lordem Montrose, a on Waszej Królewskiej Mości nie sprzeda.

— A cóż pocznę w Szkocji? będzie to wojna powstańców, a taka wojna niegodna jest króla.

— Przykład Roberta Bruce rozgrzesza Waszą Królewską Mość.

— Nie! nie!... zbyt długo walczę... jeżeli mnie sprzedali, niech mnie wydadzą, i niech na nich spadnie wieczna hańba zdrady.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Athos — może tak powinien postąpić król, ale nie tak powinien postępować małżonek i ojciec Przybyłem tu w imieniu żony Waszej Królewskiej Mości, i córki... i w imieniu żony i córki i dwojga innych dzieci, które pozostawiłeś królu, w Londynie, wołam: Żyj, Najjaśniejszy Panie, Bóg tego chce!

Król wstał, spiął pas, przypasał szpadę i, ocierając chustką czoło, zroszone potem, rzekł:

— Cóż mam czynić?

— Najjaśniejszy Panie, czy możesz w całym wojsku liczyć choć na jeden pułk?

— De Winter — odezwał się król — czy wierzysz w wierność swego pułku?

— Najjaśniejszy Panie, to są tylko ludzie, a ludzie stali się albo źli, albo bardzo słabi. Wierzę w ich wierność, ale nie mogę ręczyć; powierzyłbym im swe życie ale waham się z powierzeniem życia Waszej Królewskiej Mości.

— Ha!... — rzekł Athos — to w braku pułku jest nas trzech wiernych ludzi... wystarczymy. Niech Wasza Królewska Mość dosiądzie konia, niech się umieści między nami, przeprowimy się przez Tynę, dostajemy się do Szkocji i jesteśmy ocaleni.

— Czy takie twoje zdanie, de Winter?... — zapytał król.

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— I twoje, panie d'Herblay?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Niech więc tak będzie, jak chcecie. De Winter, wydaj rozkazy.

De Winter wyszedł; tymczasem król kończył się ubierać. Pierwsze blaski dzienne jęły sączyć się przez okna namiotu, kiedy de Winter wszedł.

— Wszystko gotowe, Najjaśniejszy Panie — rzekł.

— A my? — zapytał Athos.

— Grimaud i Blaisois trzymają konie osiodłane.

— To nie traćmy chwili, — rzekł Athos — jedźmy.

— Jedźmy, — powtórzył król.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Aramis — czy Wasza Królewska Mość nie uprzedzi swych przyjaciół?

— Przyjaciół moich? — odrzekł Karol I, wstrząsając smutno głową, — mam tylko trzech. Jednego przyjaciela od lat dwudziestu, który o mnie nigdy nie zapomniał, dwóch przyjaciół od sześciu dni, których nigdy nie zapomnę. Chodźcie, panowie, chodźcie.

Król wyszedł z namiotu, przed którym oczekiwał już jego koń, król jeździł na nim od trzech lat i bardzo go lubił. Koń, zobaczywszy go, zarżał z zadowolenia.

— O! — rzekł król — byłem niesprawiedliwy, bo oto jeszcze jedna przynajmniej istota, która mnie kocha. Ty pozostaniesz mi wierny, Arthusie, nieprawdaz?

A koń, jakby zrozumiał te słowa, zbliżył dymiące nozdrza do twarzy królewskiej, podnosząc wargi i pokazując uciesznie białe zęby.

— Tak, tak — rzekł król, głaszcząc go ręką — tak, dobrze, Arthusie, jestem z ciebie zadowolony.

I z tą lekkością, która go czyniła jednym z najlepszych jeźdźców w Europie, Karol wskoczył na siodło i, zwracając się do Athosa, Aramisa i de Wintera rzekł:

— No, panowie, czekam na was.

Ale Athos stał na miejscu, nieruchomy, z oczami wpatrzonemi i ręką, wyciągniętą ku linii czarnej, ciągnącej się wzdłuż brzegu Tyny w długości dwa razy większej od obozu.

— Co to za linja? — rzekł Athos. — Wczoraj jej nie widziałem.

— To zapewne mgła od rzeki, — odparł król.

— Najjaśniejszy panie, to coś namacalniejszego, niż mgła.

— Istotnie, widzę jakby jakąś przegrodę ciemną — rzekł de Winter.

— To nieprzyjaciel wychodzi z Newcastle i otacza nas! — zawołał Athos.

— Nieprzyjaciel? — rzekł król.

— Tak! nieprzyjaciel! już za późno; tam, przy tym promieniu słonecznym, od strony miasta, widać błyszczące „brzegi żelazne“.

Tak nazywano wówczas kirasjerów, z których Cromwell stworzył swoją gwardję.



— O! — rzekł król — zobaczymy, czy to prawda, że szkoci mnie zdradzają.

— Co chcesz uczynić, Najjaśniejszy Panie? — zawołał Athos.

— Chcę dać im rozkaz, ażeby atakowali i razem ze mną przeszli po brzuchach tych nędznych rokoszan.

I król, spiąwszy konia, popędził ku namiotowi hrabiego Lewena.

— Za mną, panowie, — rzekł Athos.

— Za mną — rzekł Aramis.

— Czyżby król był ranny? — spytał de Winter. — Widzę na ziemi plamy krwi.

I popędził za dwoma przyjaciółmi. Athos go zatrzymał.

— Zbierz pan swój pułk — rzekł — przewiduję, że będziemy go potrzebowali za chwilę.

De Winter zawrócił, a dwaj przyjaciele sami jechali dalej. W dwie sekundy król przybył do namiotu naczelnego wodza wojska szkockiego. Zeskoczył na ziemię i wszedł. Generał otoczony był przez głównych dowódców.

— Król!... — zawołałi wszyscy, prostując się i patrząc na siebie ze zdumieniem.

Karol stał przed nimi, w kapeluszu na głowie, ze zmarszczonemi brwiami, smagając szpicrutą po swych butach.

— Tak, panowie — wyrzekł — król we własnej osobie, i król przychodzi do was, ażebyście zdali sprawę z tego, co się dzieje.

— A co się dzieje, Najjaśniejszy Panie? — zapytał hrabia de Lewen.

— A to, mój panie — rzekł król, dając się unieść gniewowi, — że generał Cromwell przybył tej nocy do Newcastle, że wy o tem wiecie, a ja nie jestem przez was uprzedzony; dzieje się to, że nieprzyjaciel wychodzi z miasta i zamyka nam przejście przez Tynę, że wasze straże musiały widzieć ten manewr, a ja nie jestem przez was uprzedzony; dzieje się to, że układem sromotnym sprzedaliście mnie, za dwakroć sto tysięcy funtów parlamentowi, ale o tym układzie zostałem przynajmniej uprzedzony. Oto, co się dzieje, moi panowie, odpowiadajcie i usprawiedliwiajcie się, bo ja was oskarżam.

— Najjaśniejszy Panie, — wyjąkał hrabia de Lewen —

Waszą Królewską Mość w błąd wprowadził jakiś fałszywy raport.

— Własnymi oczyma widziałem wojsko nieprzyjacielskie, rozciągające się między mną a Szkocją — rzekł Karol — i mogę prawie powiedzieć: na własne uszy słyszałem roztrząsane warunki handlu o moją osobę.

Wodzowie szkoccy spojrzeli po sobie, sami teraz z kolei marszcząc brwi.

— Najjaśniejszy panie — mruknął hrabia de Lewen, przygnieciony brzemieniem wstydu — Najjaśniejszy Panie, gotowi ci jesteśmy złożyć wszelkie dowody.

— Ja żądam tylko jednego — wyrzekł król — wojsko do bitwy i dalej na nieprzyjaciela.

— Niepodobna, Najjaśniejszy Panie — rzekł hrabia.

— Jako? niepodobna?... A któż temu przeszkadza? — zawołał Karol I.

— Wasza Królewska Mość wie dobrze, że między nami i wojskiem angielskim jest zawieszenie broni — odpowiedział hrabia.

— Jeżeli jest zawieszenie broni, wojsko angielskie pogwałciło je, wychodząc z miasta wbrew postanowionym warunkom; otóż powiadam wam, macie razem ze mną przebić się przez wojsko do Szkocji; a jeżeli tego nie uczynicie, wybierajcie między temi dwiema nazwami: albo jesteście tchórze!... albo jesteście zdrajcy!...

Oczy szkotom zapałały i, jak się to często zdarza w podobnych okolicznościach, z niezwykłego wstydu przeszli do niezwykłej bezczelności; dwaj wodzowie klanów, podsunąwszy się bliżej do króla, odezwali się:

— A więc tak... przyrzekliśmy uwolnić Szkocję i Anglję od tego, który od lat dwudziestu pięciu pije krew i zło to Anglji i Szkocji. Przyrzekliśmy i dotrzymujemy naszego przyrzeczenia: Królu Karolu Stuarcie, jesteś naszym więźniem...

I obaj jednocześnie wyciągnęli ręce, ażeby pochwycić króla. Ale zanim końcami palców dotknęli jego osoby, obaj padli, jeden ranny, a drugi nieżywy.

Athos ugodził jednego kolbą pistoletu, Aramis drugiego przeszył szpadą na wylot. Potem, gdy hrabia de Lewen i inni wodzowie cofali się, przerażeni tą niespodziewaną pomocą, jakby spadającą wprost z nieba temu, którego uważali już za swego więźnia, Athos i Aramis wyprowa-

dzili króla z namiotu wiarołomnego, gdzie tak nierozważnie się zapędził, i, wskoczywszy na konie, które lokaje trzymali w pogotowiu, galopem ruszyli ku namiotowi królewskiemu. W przejeździe zobaczyli de Wintera, nadbiegającego na czele swego pułku. Król skinął nań, ażeby mu towarzyszył.

## ROZDZIAŁ XVI

### M Ś C I C I E L

Wszyscy czterej weszli do namiotu; nie mieli jeszcze żadnego planu działania, należało coś postanowić. Król padł na fotel.

— Jestem zgubiony!... — wyrzekł.

— Nie, Najjaśniejszy panie — odrzekł Athos — jesteś tylko zdradzony.

Król westchnął głęboko.

— Zdradzony!... zdradzony przez szkotów, wśród których się urodziłem, których zawsze przekładałem nad anglików!... O!... nędznicy.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się Athos — nie czas teraz narzekać, teraz chwila, ażeby pokazać, że jesteś królem i szlachcicem, śmiało!... Najjaśniejszy panie, śmiało!... bo masz tu przynajmniej trzech ludzi, którzy cię nie zdradzają, o to możesz być spokojny. O!... gdyby nas było pięciu!... — szepnął Athos, myśląc o d'Artagnanie i Porthosie.

— Co pan mówisz?... — zapytał Karol, powstając.

— Powiadam, Najjaśniejszy Panie, że jest tylko jeden sposób. Lord de Winter odpowiada za swój pułk, a przynajmniej prawie ręczy, mniejsza o słowa; on staje na czele swych ludzi, my u boku Waszej Królewskiej Mości robimy wyłom w wojsku Cronwela i dostajemy się do Szkocji.

— Jest jeszcze inny sposób — rzekł Aramis — niech jeden z nas przebierze się w strój królewski i weźmie konia królewskiego. Gdy jego głównie ścigać będą, król może ujdzie niepostrzeżony.

— To dobra rada — rzekł Athos — i jeżeli Wasza Królewska Mość raczy jednemu z nas wyświadczyć ten zaszczyt, będziemy bardzo wdzięczni.

— Co myślisz o tej radzie, de Winter?... — pytał król, patrząc z zachwytem na tych dwóch ludzi, których jedyną myślą było ściągnąć na swoją głowę niebezpieczeństwa, które jemu zagrażały.

— Myślę, Najjaśniejszy Panie, że, jeśli jest sposób ocalenia Waszej Królewskiej Mości, to właśnie pan d'Herblay go wskazał. Błagam więc jak najpokorniej Waszą Królewską Mość, ażeby śpiesznie uczynił wybór, bo nie mamy czasu do stracenia.

— A jeśli się zgodzę, to śmierć, a przynajmniej więzienie grozi temu, kto mnie zastąpi.

— I zaszczyt ocalenia króla!... — zawołał de Winter.

Król spojrział na starego przyjaciela ze łzami w oczach; zdjął wstęgę Ś-go Ducha, którą nosił, dla okazania honorów dworu francuzom, którzy mu towarzyszyli, i włożył ją na szyję de Winterowi.

— To słuszne — rzekł Athos — on służy mu dłużej, niż my.

Król usłyszał te słowa i zwrócił się ze łzami w oczach.

— Panowie — rzekł — zaczekajcie chwilkę, mam dla każdego z was także order.

Podszedł do szafy, gdzie zamknięte były jego własne ordery i wyjął dwa ordery *Podwiazki*.

— Te ordery nam nie przysługują — rzekł Athos.

— A to dlaczego?... — zapytał król.

— Bo to ordery prawie królewskie, a myśmy tylko zwyyczajna szlachta.

— O!... — wyrzekł król — znajdź mi pan na świecie serca szlachetniejsze od waszych. Nie, nie, nie oddajecie sobie sprawiedliwości, panowie, ale ja to czynię za was. Uklęknij, hrabio. Athos ukląkł, król włożył mu order z lewej ku prawej stronie, jak zwykle, i, wznosząc do góry szpadę, zamiast zwykłej formuły: „Mianuję cię kawalerem orderu, bądź dzielny, wierny i prawy“ — rzekł.

— Jesteś dzielny, odważny i prawy, mianuję cię kawalerem orderu, panie hrabio.

Poczem, zwracając się do Aramis, rzekł:

— Na ciebie kolej, panie kawalerze.

I zaczęła się ta sama ceremonja, z temi samemi słowy,

gdy tymczasem de Winter zdejmował z siebie pancerz, ażeby lepiej naśladować króla.

Po dokonaniu dekoracji Karol uściskał obu przyjaciół.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł de Winter, który w obliczu wielkiego poświęcenia odzyskał całą siłę i odwagę — jesteśmy gotowi.

Król spojrział na trzech tych panów.

— Więc trzeba uciekać?... — rzekł.

— Uciekać wśród wojska, Najjaśniejszy Panie — rzekł Athos — to nazywa się walczyć.

— Umrę więc ze szpadę w rękę — rzekł Karol. — Panie hrabio, panie kawalerze, jeżeli kiedykolwiek będę królem...

— Najjaśniejszy Panie, zaszczycałeś nas już bardziej, niż przystało na zwyczajnych szlachciców, to od nas należy ci się wdzięczność. Ale nie traćmy czasu, bo już za dużo go straciliśmy.

Król po raz ostatni wyciągnął do wszystkich trzech rękę, zamienił się kapeluszem z de Winterem i wyszedł.

Pułk de Wintera ustawiony był na wzgórzu, które pano wało nad obozem; król wraz z trzema przyjaciółmi skierował się ku wzgórzu.

— Może pożałują jeszcze — rzekł król — i gotowi będą pójść.

— Jeżeli żałują, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Athos — to za nami podążą.

— Cóż mamy czynić?... — spytał król.

— Przyjrzyjmy się wojsku nieprzyjacielskiemu — rzekł Athos.

Oczy całej gromadki skierowały się natychmiast ku owej linji, którą o świcie dnia wzięto za mgłę, a która w świetle pierwszych promieni słońca prezentowała się, jako wojsko, uszykowane do bitwy. Jednocześnie zobaczono na małym wzgórk, przed frontem nieprzyjacielskim małego człowieczka, krępego i ciężkiego w ruchach; otaczało go kilku oficerów.

— Czy ten człowiek zna osobiście Waszą Królewską Mość?... — zapytał Aramis.

Król uśmiechnął się.

— Ten człowiek... to Cromwell — rzekł.

— To niech Wasza Królewska Mość naciśnie kapelusz na czoło, ażeby nie zauważył zamiany.

— O!... — rzekł Athos — straciliśmy dużo czasu.

— Więc — rzekł król — niech będą dane rozkazy i jedźmy.

— Czy sam je dasz, Najjaśniejszy Panie.

— Nie, mianuję pana głównym dowódcą — rzekł król.

— Posłuchaj więc, milordzie de Winter; niech Wasza Królewska Mość raczy się trochę oddalić, proszę; to, o czym mówić będziemy, Waszej Królewskiej Mości nie dotyczy.

Król uśmiechnął się i cofnął o trzy kroki w tył.

— Ja taką rzecz proponuję — mówił dalej Athos — podzielimy pański pułk na dwa szwadrony; pan staniesz na czele jednego, Jego Królewska Mość i my — na czele drugiego; jeżeli nic nam nie stanie na zawadzie, uderzymy razem, ażeby przełamać linię nieprzyjacielską, rzucimy się do Tyny i przebedziemy ją wbród albo wpław; gdyby zaś przeciwnie nasunięto nam jaką przeszkodę na drodze, pan i pańscy ludzie dacie się zabić do ostatniego, a my z królem podążymy dalej; kiedy już staniemy na brzegu rzeki, to choćby stali w trzy szeregi, jeśli szwadron pański spełni swój obowiązek, to już nasza rzecz.

— Na koń!... — rzekł de Winter.

— Na koń!... — rzekł Athos — wszystko jest przewidziane i postanowione.

— Zatem, panowie — rzekł król — naprzód!...

Dosiedli koni: król — konia Wintera, Winter konia królewskiego, potem de Winter pojechał na czele jednego szwadronu, a król, mając po prawej stronie Athosa, po lewej Aramisa, wysunął się w pierwsze szeregi drugiego oddziału.

Całe wojsko szkockie przyglądało się tym przygotowaniom nieruchomie i z ciszą wstydu. Widziano, jak kilku wódzów wystąpiło z szeregów i złamało swe szpady.

— To mnie pociesza — rzekł król — nie wszyscy są zdrajcy.

W tejże chwili rozległ się głos Wintera.

— Naprzód!... — wykrzyknął.

Pierwszy szwadron ruszył z miejsca, potem drugi za nim podążył i zjechał ze wzgórza. Pułk kirasjerów, prawie równy liczebnie, rozwijając się poza wzgórzem, pędził cwałem na spotkanie. Król wskazał Athosowi i Aramisowi, co się dzieje.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Athos — ten wypadek jest przewidziany i zamiast nas zgubić, ocala.

W tej chwili pomimo tętentu koni galopujących i ich rżenia, usłyszano grzmiący głos Wintera:

— Szable do rąk!

Na ten rozkaz wszystkie szable zabłyśły jak błyskawice.

— Dalej, panowie — zawołał z kolei król, upojony tą wrzawą i widokiem — dalej, panowie, szable do rąk!

Ale na ten rozkaz, przy którego wykonaniu król pierwszy dał przykład, tylko Aramis i Athos byli posłuszni.

— Zdradzeni jesteśmy — szepnął król.

— Poczekajmy jeszcze — rzekł Athos — może nie poznali głosu Waszej Królewskiej Mości i czekają rozkazu od dowódcy szwadronu?

— Czyż nie słyszeli głosu swego pułkownika? Ale patrzcie! patrzcie!... — zawołał król, zatrzymując konia swego gwałtownie, że aż zgiął kolana, i chwytając za cugle konia Athosa.

— O! podli!... o! nędznicy!... o! zdrajcy!... — krzyczał de Winter, którego głos było słyhać, gdy tymczasem jego ludzie, opuszczając szeregi, rozpraszali się po równinie.

Zaledwie tuzin ludzi pozostał przy nim i czekał ataku kirasjerów Cromwella.

— Pójdźmy umrzeć z nimi!... — rzekł król.

— Pójdźmy umrzeć!... — rzekli Athos i Aramis.

— Do mnie wierne serca!... — zawołał de Winter.

Głos ten dobiegł aż do dwóch przyjaciół, którzy popędzili galopem.

— To wszystko na nic!... — zawołał po francusku, odpowiadając de Winterowi, głos jakiś, a głos ten przejął ich dreszczem.

Winter zaś na dźwięk tego głosu zbladł i osłupiał. Głos ten należał do jeźdźca na wspaniałym czarnym bachmacie. Jechał on na czele pułku angielskiego i w zapale wyprzedził go o dziesięć kroków.

— To on!... — szepnął de Winter z utkwionemi oczyma i zwieszając szpadę.

— Król! król!... — zawołało kilka głosów, biorąc Wintera za króla, z powodu konia izabelowatego i orderu — wziąć go żywcem!

— Nie! to nie król!... — zawołał jeździec — nie mylicie



się. Nieprawdaż, milordzie de Winter, wszak nie jesteś królem! Jesteś tylko moim stryjem!

I w tejże chwili Mordaunt, bo on to był, wymierzył lufę pistoletu w Wintera. Strzał zagrzmiał; kula przeszła piersi staremu szlachcicowi, który podskoczył na siodle i padł na ręce Athosa, szepcząc:

— Mściciel!

— Przypomnij sobie moją matkę — ryknął Mordaunt, przejeżdżając obok, unoszony galopem rozszałego konia.

— Nędzniku!... — zawołał Aramis, strzelając doń z pistoletu prawie przyłożonego do ciała, bo przelatywał tuż przy nim; ale pistolet spalił na panewce. W tejże chwili pułk cały wpadł na kilku ludzi, którzy pozostali, i dwóch francuzów otoczono i ściśnięto. Athos, przekonawszy się, że de Winter umarł, puścił trupa i unosząc szpadę, zawołał:

— Co Aramisiel!... za honor Francji!...

I dwaj anglicy, którzy znajdowali się najbliżej dwóch szlachciców, padli obaj ugodzeni śmiertelnie. W tejże chwili rozległa się straszliwa wrzawa, i trzydzieści kling zabłysło nad ich głowami. Nagle jakiś człowiek wyrывa się z pośród szeregów angielskich, które przewraca, skacze ku Athosowi, obejmuje go rękoma nerwowemi, wdziera mu szpadę i mówi do ucha:

— Cicho! poddaj się! Mnie się poddać — to nie znaczy się poddać.

Jednocześnie jakiś olbrzym pochwycił za obie pięści Aramisa, który daremnie stara się uwolnić z tego potężnego uścisku.

— Poddaj się! — rzekł, patrząc nań uporczywie.

Aramis podnosi głowę, Athos się obraca.

— D'Artagnan!... — zawołał Athos; gaskończyk zamknął mu usta ręką.

— Poddaję się, — rzekł Aramis, podając szpadę Porthosowi.

— Ognia! ognia! — krzyczał Mordaunt, powracając do gromadki, gdzie byli dwaj przyjaciele.

— Po co? — odrzekł pułkownik — wszyscy się poddali.

— To syn milady — rzekł Athos do d'Artagnana.

— Poznałem go.

— To mnich — rzekł Porthos do Aramisa.

— Wiem.

W tejże chwili szeregi zaczynały się otwierać.

D'Artagnan trzymał za cugle konia Athosa, Porthos konia Aramisa. Każdy z nich starał się uprowadzić swego jeńca zdala od pola bitwy. Ustępujący pułk odsłonił miejsce, gdzie padło ciało Wintera. Instynktem nienawiści Mordaunt je odnalazł i patrzył na nie, nachyliwszy się na koniu z ohydny uśmiechem. Athos, choć spokojny, sięgnął ręką do olster pistoletów.

— Co robisz? — rzekł d'Artagnan.

— Pozwól mi go zabić.

— Ruchem najmniejszym nie zdradź się, że go znasz, albo zgubieni jesteśmy wszyscy czterej.

Poczem, zwracając się do młodzieńca, rzekł:

— Dobra gratka! — zawołał — dobra gratka! przyjacielu Mordaunt.

Mamy każdy po jednym, pan du Vallon i ja, i to kawalerów podwiązki!

— Ale — zawołał Mordaunt, patrząc na Athosa i Aramisa oczyma krwawemi, — to, zdaje mi się, francuzi?

— Dalibóg nie wiem! Czyś pan francuz? — spytał Athosa.

— Jestem francuzem — odpowiedział tenże poważnie.

— A więc, drogi mój panie, jesteś jeńcem ziomka.

— Ale król? — odezwał się Athos z boleścią — król?...

D'Artagnan ścisnął silnie rękę, swemu jeńcowi i rzekł:

— O! mamy i króla!...

— Tak — odezwał się Aramis — nikczemną zdradą!

Porthos o mało co nie zgruchotał pięści, swemu przyjacielowi i rzekł doń z uśmiechem:

— E! proszę pana, na wojnie tyle znaczy zręczność, co i siła: patrz pan.

Właśnie w tej chwili ów szwadron, który miał zasłaniać odwrót Karola, zbliżał się na spotkanie pułku angielskiego, otaczając króla. Król był jeszcze spokojny, ale znać było, ile musiał cierpieć, ażeby się zdobyć na ten pozorny spokój.

— Oto Nabuchodonozor — zawołał jeden z kirasjerów Cromwella, stary purytanin, a oczy mu zabłysły na widok tego, którego nazywał tyranem.

— Nabuchodonozor, co mówisz? — odezwał się Mordaunt z przerażającym uśmiechem — to król Karol I, to

pocziwy król Karol I-y, który łupi swych poddanych, ażeby sobie brać zagrabione.

Karol podniósł oczy ku człowiekowi, który tak przemawiał, ale go nie poznał.

Jednakże spokojny, religijny majestat jego oblicza zniewolił tegoż do spuszczenia wzroku.

— Dzień dobry, panowie — wyrzekł król do dwóch szlachciców, których zobaczył jednego w rękach d'Artagnana, drugiego w rękach Porthosa. — Dzień był nieszczęśliwy, ale nie wasza to wina, chwala Bogu. Gdzież jest mój stary de Winter?

Obaj szlachcice odwrócili głowy i milczeli.

— Poszukaj, gdzie jest Straffort! — wyrzekł głos zło-wrogi Mordaunta.

Karol drgnął; pocisk ugodził celnie; Straffort był jego wiecznym wyrzutem sumienia, cieniem jego w dzień, widmem w nocy. Król spojrział dokoła siebie i zobaczył trupa u swych nóg. Był to trup Wintera. Nie krzyknął Karol, ani łzy jednej nie przelał; tylko bladeść jeszcze większa rozpostarła się na jego obliczu; ukląkł na ziemi, podniósł głowę Wintera i, pocałowawszy go w czoło, i zdjąwszy z niego wstęgę św. Ducha, którą mu założył był na szyję, pobożnie ułożył ją sobie na piersi.

— Winter zabity? — spytał d'Artagnan, patrząc na trupa.

— Tak, — odrzekł Athos, — i to przez swego synowca.

— No! pierwszy z nas odchodzi — szepnął d'Artagnan — niech śpi w spokoju!... dzielny to był człowiek.

— Karolu Stuartcie — wyrzekł pułkownik pułku angielskiego, przystępując do króla, który przywdział już na siebie oznaki królewskośći — czy się poddajesz, jako więzień?

— Pułkowniku Thomlison — rzekł Karol — król się nie poddaje, człowiek ustępuje tylko przed siłą.

— Proszę o pańską szpadę.

Król wydobył szpadę i złamał ją o kolano. W tejże chwili koń jakiś bez jeźdźca, cały mokry od piany z oczyma w płomieniach, z nozdrzami rozwartymi, nadbiegł i poznawszy swego pana zatrzymał się przed nim, łąc z radości. Był to Arthus. Król uśmiechnął się, pogłaskał go ręką i wskoczył lekko na siodło.

— No, panowie — wyrzekł — prowadźcie mnie, dokąd chcecie.

Poczem, zwracając się żywo, rzekł:

— Czekaście, zdawało mi się, że widział, jak się de Winter poruszył; jeżeli żyje jeszcze, na wszystko, co macie najświętszego, nie opuszczajcie tego szlachcica.

— O!... bądź spokojny, królu Karolu — odezwał się Moradunt — kula przeszła mu serce.

— Ani słowa, ani ruchu, ani spojrzenia do mnie lub do Porthosa — rzekł d'Artagnan do Athosa i Aramis — bo milady nie umarła i dusza jej żyje w ciele tego szatana!...

Oddział podążył ku miastu, prowadząc królewskiego jeńca, ale w połowie drogi adjutant generała Cromwella przywiózł rozkaz pułkownikowi Thomlisonowi, ażeby zawieźć króla do Holdenby - Castle.

W tymże czasie kurjerzy rozbiegli się na wszystkie strony, ażeby zwiastować Anglii i całej Europie, że Karol Stuart jest więźniem generała Oliviera Cromwella.

## ROZDZIAŁ XVII

### OLIVIER CROMWELL

— Idziecie, panowie, do generała?... — zapytał Mordaunt d'Artagnana i Porthosa — wiecie, że was wezwał po bitwie.

— Naprzód musimy umieścić swych więźniów w bezpiecznym miejscu — odzekł d'Artagnan Mordauntowi. — Czy wiesz pan, że każdy z tych rycerzy wart jest tysiąc pięćset pistolew?...

— O!... bądźcie, panowie, spokojni — odparł, patrząc okiem, którego okrutne wejrzenie daremnie usiłował złagodzić — jazda moja będzie ich strzegła dobrze! ja za nich odpowiadam.

— Ja jeszcze lepiej sam będę ich pilnował — podchwycił d'Artagnan — zresztą czegoż potrzeba?... dobrego pokoju ze strażą, lub tylko słowa od nich, że nie uciekną. Chcę naprzód to załatwić, a potem będziemy mieli zaszczyt stawić się przed generałem i zapytać go o zlecenia dla Jego Eminencji.

— Zamierzacie więc, panowie, prędko stąd odjechać?... — zapytał Mordaunt.

— Nasze zadanie już skończone, i nic nas nie zatrzymuje w Anglii, chyba dobra wola wielkiego człowieka, do którego zostaliśmy posłani.

Młodzieniec przygryzł sobie wargi i, nachyliwszy się do ucha sierżantowi, szepnął mu:

— Pójdiesz za tymi ludźmi, nie stracisz ich z oczu, a gdy się dowiesz, gdzie mieszkają, przyjdiesz do mnie, będę czekał przy branie miejskiej.

Sierżant skinął na znak posłuszeństwa. Wtedy zamiast podążyć za jeńcami, których prowadzono do miasta, Mor-

daunt skierował się ku pagórkowi, skąd Cromwell przypatrywał się bitwie i gdzie kazał sobie postawić namiot. Cromwell nakazał, ażeby nikogo doń nie wpuszczano; ale sztyldwach znał Mordaunta, jako jednego z najbliższych powierników generała, i pomyślał, że ten zakaz nie dotyczy młodzieńca.

Mordaunt uchylił więc płótno namiotu i zobaczył Cromwella, siedzącego przed stołem, z głową ukrytą w dłoniach; siedział, odwrócony doń tyłem. Mordaunt pozostał przy drzwiach namiotu.

Wreszcie, po upływie chwili, Cromwell podniósł zafrasowane czoło i, jakby poczuł, że ktoś jest w namiocie, obrócił z wolna głowę.

— Powiedziałem, że chcę być sam... — zawołał, widząc młodzieńca.

— Myślałem, że ten zakaz mnie nie dotyczy, panie — wyrzekł Mordaunt — jednak, jeżeli rozkażesz, gotów jestem wyjść.

— A!... to ty, Mordauncie!... — rzekł Cromwell, jakby siłą woli zdejmując zasłonę, zakrywającą mu oczy — skoś to ty, to dobrze, zostań.

— Przynoszę panu powinszowanie.

— Powinszowanie?... a to czego?...

— Wzięcia do niewoli Karola Stuarta... Teraz pan jesteś władcą Anglii.

— Byłem tak samo nim przed dwiema godzinami — wyrzekł Cromwell — a nawet więcej.

— Jakto, generale?...

— Anglja potrzebowała mnie, ażeby pochwycić tyrana, teraz tyran jest już ujęty. Czyś go widział?...

— Tak, panie — odrzekł Mordaunt.

— Jaką ma minę?...

Mordaunt zawahał się, ale prawda przemocą wydobywała mu się z ust.

— Spokojny jest, zachowuje się z godnością — odrzekł.

— Co powiedział?...

— Kilka słów pożegnania z przyjaciółmi.

— Z przyjaciółmi!... — mruknął Cromwell — więc on ma jeszcze przyjaciół?...

Poczem głośno dodał:

— Czy się bronił?...

— Nie, panie, opuszczony został przez wszystkich,



*D'Artagnan spróbował nawiązać rozmowę z Grosslowem.*





z wyjątkiem trzech czy czterech ludzi; nie miał więc możności bronić się.

— Komu oddał szpadę?

— Nie oddał, tylko ją złamał.

— Dobrze zrobił; ale zamiast ją złamać, powinienby był lepiej z niej skorzystać.

Zapanowało chwilowe milczenie.

— Podobno zabity został dowódca pułku, który służył za eskortę Karolowi?... — rzekł Cromwell, badawczo patrząc na Mordaunta.

— Tak, panie.

— Kto go zabił?

— Ja.

— Jak się nazywał?

— Lord de Winter.

— Pański stryj!... — zawołał Cromwell.

— Mój stryj?... — podchwycił Mordaunt. — Zdrajcy Angliji nie należą do mojej rodziny.

Cromwell trwał przez chwilę w zamyśleniu, patrząc na młodzieńca.

Potem z głębokim smutkiem, który Szekspir tak dobrze maluje, rzekł doń:

— Mordaunt, jesteś strasznym sługą.

— Kiedy Pan rozkazuje — rzekł Mordaunt — opierać się nie można Jego rozkazom. Abraham podniósł nóż na Izaaka, a Izaak był jego synem.

— Tak — odrzekł Cromwell — ale Bóg nie chciał spełnienia tej ofiary.

— Rozejrzałem się dokoła siebie — rzekł Mordaunt — i nie zobaczyłem ani jagnięcia, ani kozłęcia, uwikłanego w zaroślach równiny.

Cromwell skłonił głowę.

— Silny jesteś wśród silnych, Mordaunt — wyrzekł. — A jak się sprawiali francuzi?

— Jak ludzie serca — rzekł Mordaunt.

— Tak, tak — szepnął Cromwell — francuzi biją się i rzeczywiście, jeżeli luneta moja dobra, zdaje mi się, że ich widziałem w pierwszym szeregu.

— Tak, byli tam — odrzekł Mordaunt.

— Po tobie jednak — podchwycił Cromwell.

— To wina nie ich, ale koni.

Znów nastało milczenie chwilowe.

— A Szkoci?... — zapytał Cromwell.

— Dotrzymali słowa—rzekł Mordaunt—ani się ruszyli.

— Nędnicy!... — szepnął Cromwell.

— Oficerowie ich chcą się z panem widzieć.

— Nie mam czasu. Czy im zapłacono?

— Tej nocy.

— Niech jadą więc, niech wracają w swe góry, niech ukryją swój wstyd, jeżeli góry ich są na to dość wysokie; nie mam już teraz żadnego do nich interesu, ani też oni do mnie. No, idź już, Mordaunt.

— Zanim odejdę — rzekł Mordaunt — mam jeszcze zadać panu kilka pytań; co więcej, mam pewną prośbę, mój mistrzu.

— Do mnie.

Mordaunt skłonił się.

— Przychodzę do ciebie, bohaterze mój, opiekunie, ojczyzny mój, i powiadam: Mistrzu, czyś ze mnie zadowolony?

Cromwell spojrział nań ze zdziwieniem. Młodzieniec pozostał niewzruszony.

— Tak — wyrzekł Cromwell — odkąd cię znam, spełniałeś nie tylko swój obowiązek, ale więcej jeszcze, niż obowiązek, byłeś moim wiernym przyjacielem, zręcznym dyplomata, dobrym żołnierzem.

— Czy przypominasz sobie, panie, że to ja pierwszy miałem myśl traktowania ze Szkotami, ażeby opuścili swego króla?

— Tak, myśl ta pochodzi od ciebie, to prawda, nie czułem jeszcze takiej pogardy dla ludzi.

— Czy dobrym byłem ambasadorem we Francji?

— Tak, otrzymałeś od Mazariniego, o co go prosiłem.

— Czyż nie walczyłem zawsze gorąco za pańską chwałę i dobro?

— A może nawet za gorąco, jak wyrzucałem ci to przed chwilą. Ale dokąd zmierzasz?

— Ażeby powiedzieć ci, milordzie, że nastąpiła chwila, kiedy jednym słowem wynagrodzić możesz wszystkie moje usługi?

— O!... — odezwał się Olivier z lekkim ruchem wzgardy — to prawda, zapomniałem, że każda usługa wymaga nagrody, żeś mi usługi wyświadczył i że nie jesteś jeszcze wynagrodzony.

— O! panie, mogę nim być natychmiast, i to ponad moje wszelkie życzenia.

— Jakto?

— Mam nagrodę pod ręką, prawie ją trzymam.

— Cóż to za nagroda?... — zapytał Cromwell. — Czy ofiarować ci złoto? A może prosisz o rangę? lub o urząd?

— Czy pan zgodzi się na moją prośbę?

— Zobaczymy naprzód, co to za prośba.

— O! bądź spokojny, panie, — odparł Mordaunt, z ponurym wyrazem twarzy — nie zrujnuje cię ona wcale.

— Więc — rzekł Cromwell — przyrzekam zaspokoić twoją prośbę, o ile to będzie w mojej mocy; mów.

— Panie — odpowiedział Mordaunt — dziś zrana więzio do niewoli dwóch jeńców, otóż ja o nich proszę.

— Więc ofiarowali za siebie okup tak znaczny?

— Przeciwnie, uważam ich za ubogich.

— Więc to są twoi przyjaciele?

— Tak, panie — zawołał Mordaunt — to są przyjaciele moi, przyjaciele drodzy, i życie swe oddałbym za ich życie.

— Dobrze, Mordaunt — rzekł Cromwell, z pewną oznaką radości, odzyskując lepszą opinię o młodym człowieku — dobrze, daję ci ich, a nawet nie chcę wiedzieć, kto oni; uczyni z nimi, co zechcesz.

— Dziękuję panu — zawołał Mordaunt — dziękuję! odtąd życie moje do ciebie należy, a nawet, gdybym je za pana stracił, jeszcze ci pozostanę dłużnym; dziękuję ci, wspaniale zapłaciłeś za moje usługi.

I rzucił się do kolan Cromwellowi i pomimo usiłowań generała purytańskiego, który nie chciał lub udawał, że nie chce przyjąć tego hołdu, prawie królewskiego, ujął go za rękę, pocałował, wybiegł z namiotu generała, z radością, przepelniającą mu serce i promieniającą z oczu:

Cromwell podążył za nim wzrokiem.

— Zabił swego stryja!... — wyszeptał — niestety! ja czyż są ci, którzy mu służą? Może ten, który o nic się u maie nie upomina, zażądał więcej wobec Boga, niż ci, którzy przyjdą żądać złota, rządu i chleba dla nieszczęśliwych: nikt mi nie służy bez wyrachowania. Karol, który jest moim jeńcem, może posiada jeszcze przyjaciół, ja ich nie posiadam wcale.

I zapadł ponownie w marzenie, przerwane mu przez Mordaunta.

## ROZDZIAŁ XVIII

### S Z L A C H C I C E

Kiedy Mordaunt podążał do namiotu Cromwella, d'Artagnan i Porthos prowadzili swych jeńców do domu, który im został wyznaczony na kwaterę w Newcastle. Polecenie, dane przez Mordaunta sierżantowi, nie uszło uwadze gaskończyka; to też spojrzeniem zalecił Athosowi i Aramisowi jak największą przezorność. Aramis i Athos jechali więc w milczeniu przy swych zwycięzcach.

Najbardziej jednak zdziwiony był Mousqueton, gdy z progu drzwi zobaczył zbliżających się czterech przyjaciół, a za nimi sierżanta i z tuzin ludzi. Przetarł sobie oczy, nie wierząc, że widzi Athosa i Aramisa. Miał już nawet sygnąć wykrzyknikami, ale Porthos wymownem spojrzeniem nakazał mu milczenie. Mousqueton czekał więc wyjaśnienia tak dziwnej rzeczy; najbardziej zaś mieszało go to, że czterej przyjaciele robili takie miny, jakgdyby się nigdy nie znali.

Dwaj przyjaciele przepuścili jeńców przed sobą, poleciwszy Mousquetonowi zaprowadzić cztery konie do stajni.

— Dlaczego nie wejdziemy razem z nimi?... — zapytał Porthos.

— Bo — odpowiedział d'Artagnan — bo naprzód trzeba zobaczyć, czego od nas chce ten sierżant i tych ośmiu czy dziesięciu ludzi, którzy mu towarzyszą.

Sierżant i ośmiu czy dziesięciu ludzi rozstawiło się w małym ogródku. D'Artagnan zapytał ich, czego pragną i poco tu stoją.

— Otrzymaliśmy rozkaz — odrzekł sierżant — ażeby panom dopomóc w pilnowaniu więźniów.

D'Artagnan podziękował sierżantowi i dał mu koronę,

ażeby wypił za zdrowie generała Cromwella. Sierżant odpowiedział, że purytanie nie piją nigdy i schował pieniądze do kieszeni.

— O!... — odezwał się Porthos — co za okropny dzień, mój drogi d'Artagnanie!..

— Co ty mówisz, Porthosie?... nazywasz strasznym dzień, w którym odnaleźliśmy naszych przyjaciół?..

— Tak, ale w jakich okolicznościach!

— To prawda, że okoliczności były przykre — rzekł d'Artagnan — ale mniejsza, rozierzujmy się w nich i postarajmy się zastanowić nad położeniem.

— O!... położenie nasze bardzo jest zawikłane — rzekł Porthos — i rozumiem teraz, dlaczego Aramis tak mi zalecał, ażebym udusił tego okropnego Mordaunta.

— Cicho! — nie wymawiaj tego nazwiska!... — odparł d'Artagnan.

— Ależ — rzekł Porthos — ja mówię po francusku, a oni są anglicy...

D'Artagnan troskliwie zamknął drzwi, poczem kolejno uściskał obu przyjaciół. Athos był śmiertelnie smutny, Aramis patrzył to na Porthosa, to na d'Artagnana, nic nie mówiąc, ale spojrzenie jego było tak wyraziste, że d'Artagnan je rozumiał.

— Chciałeś się dowiedzieć, skąd się tutaj wzięliśmy? Bardzo to łatwo zgadnąć: Mazarini polecił nam zawieźć list do generała Cromwella.

— Ale jakim sposobem znaleźliście się obok Mordaunta — rzekł Athos — obok Mordaunta, którego zaleciłem ci się strzedz, d'Artagnanie.

— A którego poleciłem ci zadusić, Porthosie — rzekł Aramis.

— Zawsze w tem Mazarini. Cromwell posłał go do Mazariniego; Mazarini posłał nas do Cromwella; w tem wszystkim jakaś fatalność.

— Tak, masz słuszość, d'Artagnanie, fatalność, która nas rozdziela i gubi. Tak, mój Aramisie, nie mówmy już o tem, a przygotujmy się do poddania losowi.

— *Sadioun!* przeciwnie mówmy o tem, bo raz na zawsze będziemy razem, choćby nawet w sprawach wprost sprzecznych.

— O! tak, i bardzo nawet sprzecznych — rzekł Athos z uśmiechem — bo, zapytuję was, jakiej sprawie służy-

cie? O! d'Artagnanie, patrz, do czego cię używa ten nędznik Mazarini. Czy wiesz, jaką winę dziś na siebie wzięłeś? Winien jesteś uwięzienia króla, jego zniestawienia i śmierci.

— O! o!... — rzekł Porthos — doprawdy?

— Przesadzasz, Athosie — odparł d'Artagnan — do tego jeszcześmy nie doszli.

— Mój Boże! ale już dochodzimy. Po co aresztowano króla? Gdyby go chciano uszanować, jako pana, nie kupowanoby go, jak niewolnika.

• Czy sądzisz, że Cromwell zapłacił dwakroć sto tysięcy funtów szterlingów po to, ażeby przywrócić go na tron? Przyjaciele, bądźcie pewni, że go zabiją i to jeszcze najmniejsza zbrodnia, jaką mogą popełnić. Lepiej ściąć króla, niż go wypoliczkować.

— Wszystko to możebne — odrzekł d'Artagnan — ale co nas to może obchodzić? Ja jestem tutaj, ponieważ jestem żołnierzem, ponieważ służę swym panom, to jest tym, którzy mi płacą żołd. Przysięgłem, że służyć im będę i słucham, ale wy, coście nie przysięgali, dlaczego tam jesteście i czyjej sprawie służycie?

— Sprawie najświętszej, jaka jest na świecie — wyrzekł Athos — sprawie niedoli, sprawie władzy królewskiej i religji. Przyjaciel, małżonka, córka uczynili nam zaszczyt, że wezwali naszej pomocy. Służyliśmy im, w miarę naszych słabych środków i Bóg policzy nam chęć za uczynki. Możesz inaczej myśleć, d'Artagnanie, możesz inaczej zapatrywać się na rzeczy, mój drogi, nie nawracam cię bynajmniej, ale cię ganię.

— O! o!... — odrzekł d'Artagnan — a cóż mnie wreszcie szkodzi, że pan Cromwell, będąc anglikiem, buntuje się przeciw swemu królowi, który jest szkotem? Ja jestem francuzem, i wszystko to mnie nic a nic nie obchodzi; dlaczego więc chciałbyś mnie czynić odpowiedzialnym?

— Rzeczywiście!... — wtrącił Porthos.

— Bo cała szlachta jest braćmi, bo jesteś szlachcicem, bo królowie we wszystkich krajach są pierwsi między szlachtą, bo gmin ślepy, niewdzięczny i głupi, zawsze ma przyjemność obniżyć to, co jest od niego wyższe, i to ty, ty, d'Artagnanie, człowieku ze starego szlacheckiego rodu, z pięknym imieniem, z chlubną szpadą, przyczyniłeś

się do wydania króla handlarzom piwa, krawcom i woźnicom! O! d'Artagnanie, jako żołnierz, może spełniłeś swój obowiązek, ale jako szlachcic, jesteś winien, ja ci to powiadam.

D'Artagnan zuł łodygę kwiatu, nie odpowiadał nic i mieszał się zupełnie, bo, gdy odwracał oczy od wzroku Athosa, napotykał wzrok Aramis.

— A ty, Porthosie — ciągnął dalej hrabia, jakby litując się nad zafrasowaniem d'Artagnana — ty, najlepsze serce, najlepszy przyjacielu, najlepszy żołnierz, jakiego znam; ty, którego dusza czyniła godnym urodzenia na stopniach tronu, ty, co byłbyś prędzej czy później nagrodzony przez jakiego rozsądnego króla; ty mój drogi Porthosie, ty, szlachcicu z obyczajów upodobań i odwagi, tyś także równie winien, jak d'Artagnan.

Porthos zaczerwienił się, ale z przyjemności raczej, niż ze wstydu, a jednak spuścił głowę, jak gdyby był wielce upokorzony.

— Tak, tak, — odezwał się — zdaje mi się, że masz słuszność, mój drogi hrabio.

Athos się podniósł.

— No — rzekł, podchodząc do d'Artagnana i podając mu rękę — no, mój drogi synu, wszystko co ci mówię, z pewnością mówię ci, jeżeli nie głosem, to sercem ojcowskiem. Wierzaj mi, że łatwiej byłoby mi podziękować ci za ocalenie mi życia i ani jednym słówkiem nie podrażnić twoich uczuć.

— Zapewne, zapewne, Athosie — odpowiedział d'Artagnan, sam także ściskając mu rękę — ale bo też ty masz djabelskie uczucia, które nie każdy może mieć. Któżby sobie mógł wyobrazić, że człowiek rozsądny mógłby opuścić swój dom, Francję, swego wychowankę, pięknego młodzieńca (widzieliśmy go w obozie), ażeby biec... dokąd? na pomoc zgniłej władzy królewskiej zmurszałej, która pewnego poranku runie, jak stara szopa. Uczucie, o jakim mówisz, jest piękne bezwątpienia, ale to uczucie tak piękne, że jest aż nadludzkie.

— Jakikolwiek ono jest d'Artagnanie — odpowiedział Athos, nie dając się złapać w zasadzkę, jaką ze swą z pewnością gaskońską zastawiał przyjaciel jego uczuciu ojcowskiemu dla Raula — jakkolwiek jest, przyznacie w głębi serca, że jest sprawiedliwe; ale już nie spieram

się ze swym panem, d'Artagnanie, bo jestem twoim jeńcem, i traktuj mnie, jako jeńca.

— O! do licha!... — rzekł d'Artagnan — wiesz dobrze, iż niedługo będziesz moim jeńcem.

— Nie — odrzekł Aramis — bo postąpią zapewne z nami, jak z tymi, którzy wzięci zostali pod Philipphaus.

— A co z nimi zrobiono?... — spytał d'Artagnan.

— A!... — odrzekł Aramis — połowę powieszono, a połowę rozstrzelano.

— Otóż ja — wyrzekł d'Artagnan — zaręczam wam, że dopóki pozostanie mi choć kropla w żyłach, nie zostaniecie ani powieszoni, ani rozstrzelani. *Sandiou!*... Niechno tylko przyjdą!... Zresztą, czy widzisz te drzwi, Athosie?...

— To cóż?...

— Wyjdiesz temi drzwiami, kiedy zechcesz; bo od tej chwili ty i Aramis jesteście wolni, jak powietrze.

— Poznają cię po tem dobrze, mój dzielny d'Artagnanie — odpowiedział Athos — ale nie jesteś już naszym wyłącznym panem: te drzwi strzeżone są, d'Artagnanie, wiesz o tem dobrze.

— To gwałtem się przedostaniecie — podchwycił Porthos. — Cóż tam?... dziesięciu ludzi najwyżej.

— To nicby nie było dla nas czterech, ale za dużo dla nas dwóch. Nie, tak podzieleni, jak jesteśmy teraz, musimy zginąć. Macie fatalny przykład; na drodze do Vendémois ty, d'Artagnanie, tak dzielny, ty, Porthosie, tak waleczny i silny, zostaliście pobici; dziś kolej przyszła na mnie i Aramis... A nigdy się nam to nie zdarzyło, gdy byliśmy we czterech razem, umrzyjmy więc, jak umarł Winter; co do mnie, oświadczam, że zgadzam się uciec, ale tylko we czterech razem.

— Niepodobna — odparł d'Artagnan — jesteśmy pod rozkazami Mazariniego.

— Wiem i dlatego nie nalegam na was więcej; dowodzenia moje nie odnosiłyby skutku.

— Zresztą, gdyby nawet odniosły skutek — wtrącił Aramis — najlepiej byłoby nie narażać wcale tak zacnych przyjaciół, jak d'Artagnan i Porthos. Co do mnie, czuję się dumny iść naprzeciw kulom, a nawet szubienicy, wraz z tobą, Athosie, bo nigdy nie wydałeś mi się tak wielki, jak dzisiaj.



D'Artagnan nie mówił nic; zgryzłszy łodygę kwiatu, teraz zgryzł własne paznogie.

— Wyobrażacie sobie — odezwał się wreszcie — że was zabiją?... Dlaczego?... Komu zależy na waszej śmierci?... Zresztą, jesteście naszymi jeńcami.

— Szaleńcze!... potrójny szaleńcze!... — rzekł Aramis — czyż nie znasz Mordaunta?... Ja tylko jedno spojrzenie z nim zamieniłem i widziałem w tem spojrzeniu, że jesteście skazani.

— Fakt jest, że sam się gniewam na siebie, iż go nie uduśliłem, jak mi powiedziałeś, Aramisie — podchwycił Porthos.

— A ja kpię sobie z Mordaunta — zawołał d'Artagnan — *cap de Diou!* jeżeli mnie zanadto połączcie, zmiążdżę ten owad!... Nie uciekajcie więc, to zbyt cenne, bo przysięgam wam, że jesteście tak tutaj bezpieczni, jak przed dwudziestu laty, ty Athosie, przy ulicy Féron, a ty Aramisie, przy ulicy Vaugirard.

— Patrzcie — rzekł Athos, wyciągając rękę ku oknom — zaraz będziecie wiedzieli, czego się trzymać, bo oto i on nadbiega.

Rzeczywiście, patrząc w kierunku, wskazanym ręką Athosa, d'Artagnan zobaczył jeźdźca, zbliżającego się galopem. Był to w istocie Mordaunt.

D'Artagnan wybiegł z pokoju. Porthos chciał za nim podożyć.

— Zostań — rzekł d'Artagnan — i przybądź dopiero wtedy, gdy usłyszysz, że zabębnię we drzwi.

## ROZDZIAŁ XIX

### O!... J E Z U!...

Mordaunt, przybywszy przed dom, zobaczył na progu d'Artagnana, a żołnierzy, leżących z bronią na murawie.

— Hola!... — zawołał głosem, zdławionym przez brak tchu skutkiem prędkiej jazdy — czy więźniowie na miejscu?...

— Tak, panie — rzekł sierżant, zrywając się żywo; jego ludzie zaś, ponieśli prędko ręce do kapeluszy.

— Dobrze. Niech czterech ludzi zabierze ich i zaprowadzi zaraz do mego mieszkania.

Czterech ludzi stanęło w pogotowiu.

— A to co takiego?... proszę powiedzieć, jeżeli łaska.

— A to taka rzecz — odparł Mordaunt — że rozkazuję czterem ludziom zabrać jeńców, których wzięliśmy dziś zrana i zaprowadzić do mego mieszkania.

— A to dlaczego?... — zapytał d'Artagnan. — Przepraszam za ciekawość; ale pojmuję pan, że pragnę być (b)znajmiony w tym przedmiocie.

— Bo ci jeńcy są teraz już moi — odpowiedział Mordaunt wyniośle — i że rozporządzam nimi, jak mi się podoba.

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem, mój młody panie — odrzekł d'Artagnan — zdaje mi się, że jesteś w błędzie; mogłeś być zabrać milorda de Winter, który był twoim stryjem, jak powiadają; wolałeś go zabić, to dobrze, otóż my, pan du Vallon i ja, mogąc zabić tych dwóch jeńców, woleliśmy ich wziąć; każdy ma swój gust.

Usta Mordauntowi zbieleły. D'Artagnan zrozumiał, iż rzeczy prędko zaczną się psuć i jął wyębnić marsza na drzwiach. Przy pierwszym takcie wyszedł Porthos i stanął po drugiej stronie drzwi, a zasłonił je prawie całą swą osobą. Ten manewr nie uszedł uwagi Mordaunta.

— Panie — odezwał się, a gniew już przebijał w jego głosie — daremny stawiałbyś opór, więźniowie ci zostali uni przed chwilą dani przez naczelnego wodza, a mego dostojnego protektora, przez pana Oliviera Cromwella.

W d'Artagnana te słowa ugodziły jakby piorun. Krew napłynęła mu do skroni, mgła zasłoniła oczy; pojał nadzieję okrutną młodzieńca, a ręka jego instynktownie poszukała rękojęści szpady.

Porthos zaś patrzył na d'Artagnana, ażeby wiedzieć, co ma czynić, i zastosować swe ruchy do jego w zupełności. To spojrzenie Porthosa zaniepokoiło d'Artagnana; — zaczął sobie wyrzucać, że wezwał do pomocy brutalną siłę Porthosa w sprawie, która wymagała szczególnej przebiegłości.

— Gwałt — mówił do siebie — zgubiły nas wszystkich; d'Artagnanie, mój przyjacielu, dowiedz tej młodej gazdinie, że jesteś nie tylko silniejszy, ale i sprytniejszy od niej...

— O!... — rzekł z głębokim ukłonem — dlaczego nie powiedziałeś tego odrazu, panie Mordaunt! Jakto?... Przychodzisz pan w imieniu pana Oliviera Cromwella, najsłynniejszego wodza naszych czasów?...

— Właśnie od niego przybywam — rzekł Mordaunt, zsiadając na ziemię i oddając konia jednemu z żołnierzy.

— Czemu pan tego odrazu nie powiedziałeś, kochany panie!... — ciągnął dalej d'Artagnan. — Cała Anglja należy do pana Cromwella, a ponieważ żądasz ode mnie moich więźniów w jego imieniu, schylam czoło, panie, oni są pańscy... bierz ich.

Mordaunt posunął się uradowany, a Porthos, zgnębiony, patrząc na d'Artagnana ze zdumieniem głębokiem, otwierał usta, ażeby mówić. D'Artagnan nastąpił na but Porthosowi, który wtedy dopiero zrozumiał, że przyjaciel jego gra komedję. Mordaunt już postawił nogę przy progu drzwi i z kapeluszem w ręku chciał przejść między dwoma przyjaciółmi, skinąwszy na czterech ludzi, ażeby za nim podążyli.

— Ale przepraszam — odezwał się d'Artagnan, z najgrzeczniejszym uśmiechem i opierając rękę na ramieniu młodzieńca — jeżeli znakomity generał Olivier Cromwell rozporządził naszymi jeńcami na rzecz pańską, zapewne uczynił akt tej darowizny na piśmie. Zapewne dał panu jaki liścik do mnie, najmniejszy choćby świstek papieru, jako dowód. Racz mi pan pokazać ten świstek, ażebym miał przynajmniej jakieś usprawiedliwienie, dla czego opuściłem swych ziomków. Bo inaczej pojmujesz pan, że chociaż jestem pewny, iż generał Cromwell nie może im życzyć nic złego, sprawiłoby to wrażenie przykre.

Mordaunt cofnął się i, czując cios, rzucił straszne spojrzenie na d'Artagnana; ale ten odpowiedział miną jak najbardziej uprzejmą i najprzyjaźniejszą na wypogodzonem zupełnie obliczu.

— Kiedy ja panu mówię — rzekł Mordaunt — to mnie pan obraża swem powątpiewaniem.

— Ja? — zawołał d'Artagnan — ja? wątpić miałbym w to, co pan mówisz?... Niech mnie Bóg uchwali, mój drogi panie Mordaunt; przeciwnie — uważam pana za godnego i skończonego szlachcica, sądząc z pozorów,... a zresztą chce pan, ażebym mówił otwarcie?

— Mów pan — rzekł Mordaunt.

— Pan du Vallon, ten, którego oto ma pan przed sobą, jest bogaty, ma czterdzieści tysięcy franków dochodu, a zatem nie dba wcale o pieniądze nie mówię więc za niego, ale za siebie.

— Więc cóż, mój panie?

— Otóż ja nie jestem bogaty; w Gaskonji to nie hańba, mój panie; nikt tam bogaty nie jest, a sam nawet Henryk IV, słynnej pamięci, który był królem gaskończyków, jak Jego Królewska Mość Filip IX jest królem wszystkich hiszpanów, nigdy nie miał grosza w kieszeni.

— Dokończ pan — rzekł Mordaunt — widzę już, do czego zmierzasz, i jeżeli to, o czem myślę, cię powstrzyma, można będzie tę trudność usunąć.

— O! wiedziałem o tem dobrze! — odrzekł d'Artagnan — że z pana rozumny człowiek. Otóż w tem cała rzecz. Jestem oficerem tylko. Mam to tylko, co przynosi mi moja szpada, to jest ciosy i banknoty. Biorąc więc dzisiaj do niewoli dwóch francuzów, którzy mi się wydali

znakomicie urodzonymi, dwóch kawalerów Podwiązki, powiedziałem sobie: los mój już zapewniony. Wspomniałem o dwóch jeńcach, gdyż w podobnych okolicznościach pan du Vallon, będąc bogaty, ustępuje mi zawsze swych jeńców.

Mordaunt, zwiedziony zupełnie prostoduszną gadatliwością d'Artagnana, uśmiechnął się jak człowiek, który doskonale rozumie przedstawiane mu przyczyny, i odpowiedział łagodnie.

— Rozkaz będę miał, panie, podpisany natychmiast, a przy tym rozkazie dwa tysiące pistolów, ale tymczasem niech mi pan pozwoli zabrać tych ludzi.

— Nie — odrzekł d'Artagnan — cóż panu stanowi półgodzinna zwłoka? Ja jestem człowiekiem, lubiącym porządek, prowadźmy więc rzeczy porządkie.

— Jednakże mógłbym pana zmusić — podchwycił Mordaunt — bo ja tutaj dowodzę.

— O! panie — podchwycił d'Artagnan uśmiechając się — zaraz widać, że, chociaż mieliśmy zaszczyt podróżować w towarzystwie pańskim, to jednak nas nie znasz. Jesteśmy szlachtą, jesteśmy francuzami, jesteśmy zdolni we dwóch zabić pana i pańskich ośmiu ludzi! A! mój panie Mordaunt, nie bądź uparty, bo gdy kto się wobec mnie upiera, to i ja się upieram, a wtedy staję się wściekle uparty — a ten oto pan — ciągnął dalej d'Artagnan, wskazując Porthosa, — jest jeszcze bardziej uparty i okrutny ode mnie; a już nie wspomnę nawet, że przysłani jesteśmy przez Mazariniego, który reprezentuje króla francuskiego, z czego wynika, że w tej chwili reprezentujemy króla i kardynała, a więc w naszym charakterze ambasadorów jesteśmy nietykalni, co p. Olivier Cromwell, tak wielki polityk, jak i wódz, rozumie doskonale. Poproś go więc pan o rozkaz na piśmie. Co panu to szkodzi, kochany panie Mordaunt?

— Tak, o rozkaz na piśmie — rzekł Porthos, który zaczynał pojmywać zamiary d'Artagnana — tego tylko żądamy.

Jakkolwiek Mordaunt miał wielką chęć uciec się do gwałtownych środków, jednakże musiał przyznać rację tym względem, jakie mu d'Artagnan wyszczególnił. Zresztą nie powziął wcale podejrzeń. Postanowił więc nie tylko iść po rozkaz, ale jeszcze i po dwa tysiące pistoli, na

jakie oszacował sam obu więźniów. Wsiadł więc na konia i, zaleciwszy sierżantowi, ażeby dobrze pilnował jeńców, zawrócił rumaka i znikł.

— To dobrze! — odezwał się d'Artagnan — kwadrans na jazdę do namiotu, kwadrans na powrót — więcej nie trzeba; potem zwracając się do Porthosa, rzekł z całym spokojem:

— Przyjacielu Porthosie, posłuchaj uważnie. Naprzó ani słowa przyjaciołom naszym o tem, coś słyszał; nie trzeba, aby wiedzieli jaką im wyświadczamy przysługę.

— Dobrze — rzekł Porthos — rozumiem.

— Idź do stajni; zastaniesz tam Mousquetona; osiodłacie konie, włożycie pistolety do olster i rumaki nasze wyprowadzicie niepostrzeżenie na ulicę, tak, iżby odrazu można ich dosiąść.... reszta już moja rzecz.

Porthos nie uczynił żadnej uwagi i zastosował się do rozkazu z tem ślepem zaufaniem, jakie zawsze pokładał w swym przyjacielu. Na rogu ulicy spotkał Mousquetona, którego zabrał ze sobą.

Wtedy d'Artagnan wszedł do pokoju, gwizdząc kuplety, które rozpoczął po odejściu Porthosa.

— Mój drogi Athosie, zastanowiłem się nad twojemi rozumowaniami: i one mnie przekonały; stanowczo żałuję, że się zaplątałem w tę sprawę. Rzeczywiście, jak powiedziałeś, Mazarini jest gałgan. Postanowiłem więc uciec razem z wami, bądźcie gotowi; szpady wasze stoją w kącie, nie zapomnijcie o nich, takie narzędzie bywa czasem nader użyteczne, a zwłaszcza w takich okolicznościach, w jakich się znajdujemy... to mi przypomina worek Porthosa. A! jest!

I d'Artagnan włożył worek do swej kieszeni. Dwaj przyjaciele patrzyli nań ze zdumieniem.

— I cóż w tem dziwnego?... — rzekł d'Artagnan — pytam was. Ślepy byłem, Athos pomógł mi przejrzeć, ot i wszystko, chodźcie tu. — Dwaj przyjaciele zbliżyli się.

— Widzicie tę ulicę?... — rzekł d'Artagnan — tam będą konie, wyjdziecie furtką, zwróćcie się na lewo, wskoczycie na siodła i po wszystkim; słuchajcie tylko mego sygnału, a będzie nim: „O! Jezu!“

— Ale ty dajesz słowo, że także przyjdiesz, d'Artagnanie?... — podchwycił Athos.

— Przysięgam ci, na Boga.

— Zatem rzecz skończona — zawołał Aramis. — Na okrzyk „o Jezu!“ wychodzimy, przewracamy wszystko, co nam zawadzać będzie na drodze, biegniemy do koni, wskakujemy na siodła i dalej galopem! nieprawdaż?

— Doskonale!

— A widzisz, Aramisie, czy nie mówiłem ci, że d'Artagnan jest najlepszy z nas wszstkich!

— Dobryś!.. — podchwycił d'Artagnan — teraz komplementy! Uciekam, do widzenia!

— Ale z nami uciekasz?... nieprawdaż?

— Naturalnie. A nie zapomnijcie sygnału: O! Jezu!

I wyszedł takim samym krokiem, jakim wszedł, pogwiżdżając rozpoczętą przy wejściu arjetkę.

Żołnierze grali lub spali; dwóch z nich śpiewało fałszywie w kącie psalm: *Super flumina Babylonis*. D'Artagnan przywołał sierżanta.

— Mój drogi panie — rzekł doń — generał Cromwell wezwał mnie przez pana Mordaunta, czuwał, więc proszę cię dobrze nad więźniami. Sierżant kiwnął głową potwierdzająco. D'Artagnan udał się do stajni; znalazł pięć koni osiodłanych, w tej liczbie i swego.

— Niech każdy z was weźmie konia za uzdę — rzekł do Porthosa i Mousquetona — i wykręćcie na lewo, tak, ażeby Athos i Aramis widzieli was z okna.

— Więc i oni przyjdą?... — spytał Porthos.

— Za chwilę.

— Nie zapomniłeś niego worka...

— Nie, bądź spokojny.

I Porthos i Mousqueton, prowadząc konie za cugle, udali się na swoje stanowiska. Wtedy d'Artagnan, zostawszy sam, zapalił hubkę, wsiadł na konia i zatrzymał się wśród żołnierzy, naprzeciw furtki. Tu, głaszcząc konia, włożył mu kawałek palącej się hubki do ucha. Trzeba było być tak dobrym jeźdźcem, jak d'Artagnan, ażeby się na coś podobnego odważyć, bo zwierzę zaledwie uczuło palący płomień stanęło dęba i skoczyło, jak oszalone. Żołnierze, którym groziło stratowanie odskoczyli szybko.

— Do mnie! do mnie!... — wołał d'Artagnan. — Trzymajcie! trzymajcie! mój koń zwarjował.

Rzeczywiście w jednej chwili oczy zwierzęcia nabiegły krwią, a całe pokryło się pianą.

— Do mnie!... — krzyczał wciąż d'Artagnan, a żoł-

rierze nie śmieli pośpieszyć mu z pomocą. — Do mnie! czy dacie mi tak umrzeć, o Jezu!

Zaledwie d'Artagnan wydał ten okrzyk, drzwi się otworzyły i wybiegli Athos i Aramis ze szpadami w ręku. Ale dzięki fortelowi d'Artagnana, droga była wolna.

— Więźniowie uciekają! więźniowie uciekają!... — krzyknął sierżant.

— Tzymaj! tzymaj!... — wołał d'Artagnan, puszczając cugle swemu rozszalałemu koniowi, który poskoczył, przewracając dwóch czy trzech ludzi.

— Stop! stop!... — wołali żołnierze, biegnąc do broni.

Ale więźniowie już byli na siodle, i także nie tracili czasu; popędzili na najbliższą ulicę.

Pośrodku ulicy spostrzegli Grimauda i Blaisois, którzy właśnie szukali swych panów. Jednym skinieniem Athos dał do zrozumienia Grimaudowi, o co chodzi, ten podążył za małym oddziałem, który pędził, jak huragan, d'Artagnan jeszcze go bardziej podniecał wołaniem. Przejechał bramę, jak cienie, a strażnicy ani nawet pomyśleli ich zatrzymywać, i znaleźli się na czystym polu.

Tymczasem żołnierze krzyczeli ciągle: Stop! stop! a sierżant, zaczynając się domyślać podstępu, rwał sobie włosy. Wtem ujrzano przybywającego galopem jeźdźca, który trzymał papier w ręce. To Mordaunt powracał z rozkazem

— Więźniowie!... — zawołał, zeskakując z konia.

Sierżant nie miał siły mu odpowiedzieć i wskazał tylko otwarte drzwi i pusty pokój. Mordaunt pobiegł, zrozumiał wszystko, krzyknął, jakby mu kto wyszarpywał wnętrzności i padł zemdlony na kamienie.



## ROZDZIAŁ XX

GDZIE DOWIEDZIONE JEST, ŻE W NAJCIEŻ-  
SZYCH NAWET OKOLICZNOŚCIACH, SZLA-  
CHETNE SERCA NIE TRACĄ ODWAGI  
A DOBRE ŻOŁĄDKI APETYTU

Mały oddział, nie spojrzawszy poza siebie, pędził tak szybkim galopem, przebywając wpław małą rzeczkę i zostawiając na lewo miasto Durham. Wreszcie ujrzano las i po raz ostatni dano ostrogi koniom, kierując się w tę stronę.

Skoro tylko znikli za zasłoną zieleni, dość gęstą, ażeby ich zakryć przed wzrokiem tych, którzy mogli ich ścigać, zatrzymali się, ażeby odbyć naradę; konie kazano trzymać dwom lokajom, ażeby wypoczęły w siodłach i uprzęży, a Grimauda postawiono na straży.

— Pójdź, przyjacielu mój, niech cię ucałuję — rzekł Athos do d'Artagnana — tyś naszym zbawcą, tyś prawdziwym bohaterem wśród nas.

— Athos ma słusność i ja cię podziwiam — rzekł z kolei Aramis, ściskając go w swych objęciach — czegoś ty mógł dokazać, mając nad sobą pana mądrego i dzielnego!

— Teraz — rzekł gaskończyk — wszystko idzie dobrze; przyjmuję dla siebie i dla Porthosa wszelkie ucałowania i podziękowania.

Obaj przyjaciele, gdy d'Artagnan przypominał im, co winni również Porthosowi, z kolei i jemu uściskali ręce.

— Teraz — rzekł Athos — należałoby pomyśleć, ażeby nie lecieć na los przypadku, jak jacy szaleńcy, ale ułożyć plan. Co mamy uczynić?

— Co mamy zrobić? *mordioux!* To nie tak trudno powiedzieć.

— Ty powiedz, d'Artagnanie.

— Dostaniemy się do najbliższego portu morskiego, zbierzemy wszystkie nasze drobne środki, najmiemy statek i powrócimy do Francji. Daję wszystko co do ostatniego grosza. Najpierwszym skarbem jest życie, a nasze, powiedzmy to sobie, wisi tylko na włosku.

— Co mówisz o tem, du Vallon?... — zapytał Athos.

— Ja — odrzekł Porthos — jestem zupełnie tego samego zdania, co d'Artagnan! Obrzydliwy to kraj ta Anglja!

— Więc gotów jesteś ją opuścić?... — zapytał Athos d'Artagnana.

— *Sandiou!*... — odrzekł d'Artagnan — nie widzę, co mogłoby mnie tu zatrzymać.

Athos zamienił spojrzenie z Aramisem.

— To jedźcie, moi przyjaciele — odezwał się z westchnieniem.

— Iakto, jedźcie!... — podchwycił d'Artagnan — chyba jedźmy.

— Nie, przyjacielu mój — odrzekł Athos — musimy się rozstać.

— Rozstać!... — zawołał d'Artagnan, oszołomiony tą niespodziewaną nowiną.

— Ba!... — rzekł Porthos — dlaczego mamy się rozstać, kiedy jesteśmy razem?

— Bo wasze zadanie już spełnione, i możecie, a nawet powinniście powrócić do Francji, ale z nami co innego!

— Zadanie wasze jeszcze nie spełnione?... — spytał d'Artagnan, patrząc na Athosa ze zdziwieniem.

— Nie, przyjacielu mój — odpowiedział Athos głosem słodkim a zarazem stanowczym. — Przybyliśmy tu, ażeby bronić króla Karola, źleśmy go bronili, teraz musimy go ocalić.

— Ocalić króla!... — wyrzekł d'Artagnan, spoglądając z kolei na Aramisa.

Aramis poprzestał tylko na kiwnięciu głową. Twarz d'Artagnana przybrała wyraz głębokiego współczucia; zdawało mu się, że ma do czynienia z dwoma warjatami.

— Ależ to niemożliwe, ażebyś mówił poważnie, Athosie — odezwał się d'Artagnan — król znajduje się wśród

wojska, które go prowadzi do Londynu. Armją tą dowodzi rzeźnik, czy też syn rzeźnika, mniejsza, pułkownik Harrison. Jego Królewskiej Mości wytoczony zostanie proces, po przybyciu do Londynu, ręczę za to; dosć się o tem nasłuchałem z ust pana Oliviera Cromwella.

Athos i Aramis zamienili z sobą drugie spojrzenie.

— A po skończeniu procesu, wyrok niezwłocznie będzie wykonany — ciągnął dalej d'Artagnan — o! ci purytanie prędcy są w robocie.

— A na co, jak sądzisz, zostanie król skazany?... — zapytał Athos.

— Bardzo się boję, że na śmierć; za wiele zrobili przeciw niemu, aby im to kiedykolwiek przebaczył, jedno im więc tylko pozostaje: zabić go.

— Tak, jestem tego pewny; ale tembardziej nie należy opuszczać zagrożonej głowy królewskiej.

— Athosie, tyś chyba oszalał!

— Nie, przyjacielu mój — odparł łagodnie szlachcic. De Winter przyjechał do Francji po nas, zaprowadził nas do Pani Henryki. Jej Królewska Mość uczyniła nam zaszczyt, panu d'Herblay i mnie, prosząc o naszą pomoc dla swego małzonka; daliśmy jej nasze słowo; słowo wszystko w sobie mieściło. Była w niem nasza siła, nasz rozum, życie wreszcie swe oddawaliśmy; słowa dotrzymać musimy. Wszak takie i twoje zdanie, d'Herblay?

— Tak — odrzekł Aramis — przerzekaliśmy.

— Zresztą — ciągnął dalej Athos — mamy jeszcze i inny powód, a mianowicie—posłuchajcie dobrze: wszystko jest mizerne i nędzne we Francji w tej chwili. Mamy króla dziesięcioletniego, który nie wie jeszcze, czego chce; mamy królowę, którą spóźniona namiętność czyni ślepą; mamy ministra, który rządzi Francją, jak ekonom dużym folwarkiem, to znaczy, myśląc tylko o tem, co może dać mu złoto, i orząc tę ziemię intrygą i chytryością włoską; mamy książąt, którzy stanowią opozycję osobistą i sainolubną, a są w stanie conajwyżej wydrzeć z rąk Mazariniego trochę pieniędzy i jakiś łachman władzy. Służyłem im nie z zapałem... Bogu wiadomo, że ich oceniam tak, jak są warci, i że nie wysoko stoją w mojej opinji... służyłem im tylko z zasady. Dzisiaj rzecz inna; spotykam na swej drodze wysoką niedolę, niedolę królewską, niedolę europejską; przywiązuję się do niej. Jeżeli nam się uda oca-

lic króla, będzie to piękne; jeżeli umrzemy za niego, będzie to wielkie... Jedyłą naszą boleścią będzie umierać zdala od was.

— Co poczniecie tu w kraju obcym, nieprzyjacielskim?

— O! gdybyśmy was mieli, przyjaciele moi! Z tobą, d'Artagnanie, z tobą, Porthosie, we czterech znów razem po raz pierwszy od lat dwudziestu, stawilibyśmy czoło nietylko Anglii, ale trzem nawet królestwom!

— A czyście obiecali też królowej — podchwycił d'Artagnan z goryczą — że zburzycie więzienie londyńskie, zaopieczycie sto tysięcy żołnierzy, że walczyć będziecie zwycięsko przeciw życzeniu narodu i dążnościom człowieka, który nazywa się Olivierem Cromwell? Wyście go nie widzieli, Athosie i Aramisie! O! to genjusz, który mi wielce przypomniał tamtego wielkiego kardynała — wiecie, Richelieu! Nie przesądzajcie więc swych obowiązków. W imię nieda! drogi mojej Athosie, nie czyn bezużytecznych poświęceń. Kiedy na cię patrzę, doprawdy, zdaje mi się, że wzięę człowieka rozsądnego; kiedy mi opowiadasz, zdaje mi się, że mam, do czynienia z warjatem. No, Porthosie przyłączcie się do mnie. Co myślisz o tej sprawie, powiedz szczerze?

— Nic dobrego — odpowiedział Porthos.

— No, — mówił dalej d'Artagnan, zniecierpliwiony, że Athos, zamiast go słuchać, słuchał jakoby głosu, w nim samym mówiącego — nigdy jeszcze nie pożałowaliście moich rad. Wierźaj mi zatem, Athosie, zadanie twoje już skończone i to skończone szlachetnie, powracaj z nami do Francji.

— Przyjacielu — odrzekł Athos, uśmiechając się — postanowienie nasze niewzruszone.

D'Artagnan uderzył się po biodrze ze złością: podawał względy najbardziej przekonywające, jakie tylko mógł odnaleźć; ale na wszystkie te rozumowania Athos uśmiechał się spokojnie i słodko, a Aramis kiwał głową.

— A! — zawołał wreszcie d'Artagnan rozżarty — kiedy tak chcesz, zostawmy nasze kosci w tym hultajskim kraju, gdzie zawsze zimno, gdzie pogoda jest mgłą, mgłą deszczem, a deszcz potopem; gdzie słońce podobne do księżycy a księżyc do kawałka sera śmietankowego... zresztą

tu lub gdzieindziej umrzeć, skoro trzeba umierać, to już mniejsza!

— Ale pomyśl, drogi przyjacielu! — wtrącił Athos — że tu mamy umrzeć wcześniej.

— Ba! trochę wcześniej, czy trochę później, na to nie warto się łaścić

— Ja zaś — rzekł Porthos — zrobię, co zechcecie. Zresztą, mnie się to bardzo podoba, co powiedział Athos przed chwilą.

— Ale twoja przyszłość, d'Artagnanie? Twoje marzenia Porthosie?

— Przyszłość nasza, nasze marzenia — wyrzekł d'Artagnan z gorączkowym zapalem — czy potrzebujemy się tem wszystkim troszczyć, skoro ratujemy króla? gdy król zostanie ocalony, zbieramy jego przyjaciół, bijemy purytanów, zdobywamy Anglię, wkraczamy do Londynu razem z nim i przywracamy go na tron.

— A on nas mianuje książętami i parami — wyrzekł Porthos, a oczy mu się zaświeciły z radości, na myśl o tej przyszłości, jak w bajce.

— Albo o nas zapomni — wtrącił d'Artagnan.

— O! — zawołał Porthos.

— O? to się już widziało, przyjacielu Porthosie, bo, zdaje mi się, wyświadczyliśmy kiedyś królowej Annie Austrjackiej przysługę, która wcale nie ustępowała tej, jaką chcemy wyświadczyć dzisiaj Karolowi I, co nie przeszkadzało królowej Annie Austrjackiej nie pamiętać o nas w ciągu prawie lat dwudziestu.

— A czy tego żałujesz, d'Artagnanie, żeś jej wyświadczył przysługę? — rzekł Athos.

— Nie, dalibóg nie — odrzekł d'Artagnan — i przyznaję nawet, że w przystępach najgorszego humoru znajdowałem pociechę w tem wspomnieniu.

— Zatem — podchwycił Athos, wyciągając rękę do d'Artagnana.

— Zatem rzecz ułożona — rzekł d'Artagnan — Anglię uważam za kraj uroczy i zostaję tu, ale pod jednym warunkiem...

— Pod jakim?...

— Ażeby mnie nie zmuszano do uczenia się po angielsku.

— O! teraz — wyrzekł Athos triumfująco — przysięgam ci, przyjacielu mój, na Boga, który nas słyszy, i na

imię, które noszę, jak sądzę bez skazy, wierzę, że czuwa nad nami jakaś moc i mam nadzieję, że wszyscy czelej ujrzymy Francję.

— Oby tak było — odrzekł d'Artagnan — ale ja mam przekonanie wprost przeciwne.

— Drogi d'Artagnan — odezwał się Aramis — on reprezentuje pośród nas opozycję parlamentarną, która mówi zawsze *nie*, a robi zawsze *tak*.

— Tak, ale która tymczasem ocala ojczyznę — wtrącił Athos.

— Otóż kiedy wszystko już ułożone — odezwał się Porthos, zacierając ręce — możebyśmy pomyśleli o obiedzie? Zdaje mi się, że w najkrytyczniejszych okolicznościach w życiu zawsze jedliśmy obiad.

— A! tak, mów o obiedzie w kraju, gdzie raczą cię baraniną gotowaną, a piją tylko piwo. Tfu! po co u diabła ten kraj sobie wybrałeś, Athosie? Ale mniejsza; no, Porthosie, zobaczmy, jaki masz plan obiadu?

— Plan? Ja mam żołądek pusty, jeść mi się chce i tyle.

— Ale — zauważył d'Artagnan — czyż nie mamy z sobą Mousquetona, który cię tak znakomicie żywił, Porthosie, w Chantilly?

— Rzeczywiście — odrzekł Porthos — mamy Mousquetona ale odkąd został intendentem, strasznie ościężał, ha, wezwijmy go!

I zawołał uprzedzająco:

— Hej!... Mousquetonie!...

Mouston zjawił się; minę miał wielce żalosaną.

— Co ci jest, mój drogi panie Moustonie?... — spytał d'Artagnan — czyżbyś był chory?...

— Panie!... jeść mi się bardzo chce.

— A to właśnie dlatego przywołaliśmy cię, mój drogi panie Moustonie. Czyżbyś nie mógł złapać za kołnierz kilku z tych królików miłych i tych ślicznych kuropatw, z których przyrządzałeś pieczone i pasztety w hotelu... Dalibóg nie pamiętam, jak się nazywał. To zresztą wszystko jedno; i możebyś złapał na lasso kilka butelek wina burgundzkiego, które tak doskonale leczyło twego pana podczas choroby.

— Niestety!... proszę pana — odrzekł Mousqueton — boję się, czy to wszystko, czego pan ode mnie żąda, nie jest wielką rzadkością w tym strasznym kraju, i zdaje mi

się, że lepiej byłoby gdybyśmy poprosili o gościnność gospodarza tego domku, który tam widać na końcu lasu.

— Ha!... to idźmy, mój przyjacielu, zaprosić się na obiad do gospodarza domku. Co o tem myślicie panowie?..

— A!... — odezwał się Aramis — jeżeli gospodarz jest purytaninem?..

— Tem lepiej, *mordoux* — odrzekł d'Artagnan — jeżeli jest purytaninem, przywieziemy mu wiadomość o wzięciu króla, a on na cześć tej nowiny da nam białe kapłony.

— A jeżeli jest stronnikiem królewskim?... — wtrącił Porthos.

— W takim razie przybierzemy miny żałobne i oskubiemy jego czarne kury.

— Jakiś ty szczęśliwy — odezwał się Athos mimowoli uśmiechając się z konceptu niepowściągliwego gaskończyka — patrzysz na wszystko z humorem.

— Cóż chcesz?... — rzekł d'Artagnan — pochodzę z tej dzielnicy kraju, gdzie chmurki niema na niebie. No, ale ruszajmy w drogę. — Hola, Grimaud, mój przyjacielu, czy widziałeś co?... — zapytał d'Artagnan.

— Nic — odpowiedział Grimaud.

— A to bydło!... — odezwał się Porthos — nawet nas nie ścigają. O!... gdybyśmy my byli na ich miejscu!...

— A szkoda!... — rzekł d'Artagnan — byłbym chętnie powiedział dwa słówka Mordauntowi w tej małej Tebaidzie. Widzicie, jakie to ładne miejsce, ażeby zwalić człowieka na ziemię!...

— Rzeczywiście — odezwał się Aramis — ja sądzę, moi panowie, że syn pod względem siły, nie może się równać matce.

— E!... drogi przyjacielu!... — odpowiedział Athos — poczekaj trochę, rozstaliśmy się z nim zaledwie przed dwiema godzinami, nie wie, w którym zdążamy kierunku, nie wie, gdzie jesteśmy. Powiemy, że nie dorównywa matce, dopiero wtedy, gdy nogę postawimy na ziemi francuskiej, jeżeli nas przedtem nie zabiją lub nie otrują.

— Tymczasem warto byłoby zjeść obiad — zauważył znow Porthos.

I czterej przyjaciele, poprzedzani przez Mousquetona, podążyli ku domkowi, prawie już wolni od troski, jak za dawnych czasów, bo znowu teraz byli wszyscy czterej razem i w zgodzie, jak oświadczył Athos.

## ROZDZIAŁ XXI

### CZEŚĆ MAJESTATOWI UPADŁEMU!

W miarę, jak zbliżali się do domu, zbiegowie nasi spostrzegli ziemię potratowaną, jakby tędy przejeżdżał znaczny oddział konny; przed bramą ślady były jeszcze wyraźniejsze, śnać oddział ten musiał tu się zatrzymać.

— Tak — odezwał się d'Artagnan — to rzecz jasna, król i jego eskorta przejeżdżali tędy.

— O!... do diabła!... podchwycił Porthos — to musieli wszystko pożreć!...

— E!... — rzekł d'Artagnan — musieli przecie zostać choćby jedną kureę.

Zeskoczył z konia i zapukał do bramy; ale nikt nie odpowiedział. Popchnął drzwi, które nie były zamknięte, i zobaczył, że pierwszy pokój był pusty.

— I cóż?... — zapytał Porthos.

— Nie widzę nikogo — odrzekł d'Artagnan. — O!.. o!..

— Co?...

— Krew!...

Na to słowo trzech przyjaciele zeskoczyli z koni i weszli do pierwszego pokoju, ale d'Artagnan już dostał się do drugiego, a z miny jego znać było, że zobaczył tam coś wielce niezwykłego.

Trzej przyjaciele zbliżyli się i ujrzeli młodego człowieka, leżącego w kałuży krwi. Przypuszczać możnaby, iż chciał się dowlec do łóżka, ale nie miał dość siły i upadł.

Athos pierwszy przystąpił do nieszczęśliwego; zdawało mu się, że biedak się poruszył.

— Jeżeli umarł — rzekł Athos — to niedawno, bo jeszcze ciepły. Ale nie, serce mu bije. Hej!... mój przyjacielu?...



Ranny westchnął; d'Artagnan nabrał wody w garść i chlusnął mu w twarz. Młodzieniec otworzył oczy, poruszył się, ażeby podnieść głowę i znowu opadł. Wtedy Athos spróbował położyć mu głowę na swem kolanie, ale spostrzegł, że rana była nieco ponad mózdzkiem i przecinała mu czaszkę; krew płynęła obficie. Aramis umaczał serwetę w wodzie i przyłożył ją do rany; świeży chłód ocucił rannego; po raz drugi otworzył oczy. Ze zdziwieniem patrzył na tych ludzi, którzy jakby się nad nim litowali i go ratowali.

— Jesteś pan wśród przyjaciół — rzekł Athos po angielsku — uspokój się pan i, jeżeli sił ci starczy, opowiedz nam, co się stało.

— Król — wyszeptał ranny — król jest więźniem.

— Czyś go pan widział?... — zapytał Aramis tym samym językiem.

Młodzieniec nie odpowiedział.

— Bądź spokojny — podchwycił Athos — jesteśmy wiernymi sługami Jego Królewskiej Mości.

— Czy to prawda?... — zapytał ranny.

— Słowo szlacheckie.

— Więc mogę panom wszystko powiedzieć?...

— Możesz pan.

— Jestem bratem Parry'ego, lokaja Jego Królewskiej Mości.

Athos i Aramis przypomnieli sobie, że Winter tak nazywał lokaja, którego zastali na korytarzu w namiocie królewskim.

— Znamy go — odezwał się Athos — nie opuszczał on nigdy króla.

— Tak, tak — odrzekł ranny. — Otóż, kiedy król został wzięty do niewoli, pomyślał on o mnie; przejeżdżano przed domem moim właśnie, i zażądał w imieniu króla, ażeby się zatrzymano. Żądanie zostało uwzględnione. Królowi, jak mówiono, chciało się jeść; wprowadzono go do pokoju, tutaj, gdzie jestem, ażeby się posilił; straż umieszczono przy oknach i drzwiach. Parry znał ten pokój, bo kilka razy, gdy Jego Królewska Mość znajdował się w Newcastle, przychodził mnie odwiedzić. Wiedział, że w tym pokoju są drzwi w podłodze, prowadzące do piwnicy można się przedostać do ogrodu. Dał mi znak. Zrozumiałem. Ale zapewne znak ten dostrzeżony też został

przez straż, pilnującą króla, i obudził w niej podejrzenia. Nie wiedząc wcale, że się czegoś domyślają, jedno tylko miałem pragnienie, ocalić Jego Królewską Mość. Udałem, że wychodzę po drzewo do lasu, a myślałem tylko o tem, że niema czasu do stracenia. Wszedłem do przejścia potajemnego, prowadzącego do piwnicy, z którą miała łączność kłapa ruchoma w podłodze.

Głową podniosłem deskę, a gdy Parry pocichu zarygłował drzwi, dałem znak królowi, ażeby za mną podążył. Niestety!... nie chciał, jak gdyby ta ucieczka była mu wstrętną. Lecz Parry błagał ze złożonymi rękami i ja również go błagałem, ażeby nie tracił takiej sposobności. Nareszcie zgodził się pójść za mną. Na szczęście szedłem pierwszy; król szedł o kilka kroków za mną, gdy nagle w przejściu podziemnem, ujrzałem jakby podnoszący się wielki cień. Chciałem krzyknąć, jak gdyby cały dom walił się na moją głowę, i zemdlałem.

— Dzielny i zacny anglik!... — wierny sługa! — wyrzekł Athos.

— Kiedy się ocknąłem, leżałem na tem samym miejscu. Zawlokłem się na podwórze; król i eskorta jego już odjechali. Godzinę może szedłem z podwórza tutaj; ale tu mi zabrakło sił i zemdlałem po raz drugi.

— A teraz jak się pan czujesz?...

— Bardzo źle — odrzekł ranny.

— Czy możemy co dla pana uczynić?... — zapytał Athos

— Pomóżcie mi, panowie, położyć się na łóżku; tam zdaje mi się, będzie lepiej.

— A czy masz pan kogo, coby cię pielęgnował?

— Żona moja jest w Durham i powróci lada chwila. Ale wy, panowie, może czego sobie życzycie?

— Myśmy tu wstąpili poprosić pana, ażebyś nam dał co zjeść.

— Niestety! zabrali wszystko, kawałka chleba nie zostało w domu.

— Słyszysz, d'Artagnanie?... — rzekł Athos — trzeba nam gdzieś indziej poszukać obiadu.

— Dla mnie teraz to rzecz obojętna — odrzekł d'Artagnan — już mi się jeść nie chce.

— I mnie nawet nie, dalibóg!... — dodał Porthos.

I przenieśli rannego na łóżko, poczem zawołali Gri-

mauda, który mu przewiązał ranę. Grimaud, w usługach czterech przyjaciół, miał sposobność tyle razy skubać szarpie i robić okłady, że nabrał pewnej wprawy w chirurgji. Tymczasem zbiegowie odbywali naradę.

— Teraz — rzekł Aramis — wiemy, czego się mamy trzymać; to nie ulega już wątpliwości, że tędy przejeżdżał król i jego strażnicy; trzeba się udać w przeciwną stronę. Czy takie twoje zdanie, Athosie.

Athos namyślał się.

— Tak — wyrzekł Porthos — udajmy się w przeciwną stronę. Gdybyśmy jechali za eskortą, zastawalibyśmy po drodze wszystko pożarte i wreszcie umarlibyśmy z głodu. Co za przeklęty kraj ta Anglja? pierwszy raz w życiu obejdę się bez obiadu. A dla mnie obiad jest najlepszą ucztą.

— Co myślisz, d'Artagnanie?... — spytał Athos — czy jesteś zdania Aramisa?

— Bynajmniej — odrzekł d'Artagnan — ja jestem właśnie wprost przeciwnego zdania.

— Jakto! chcesz jechać za eskortą?... — zawołał Porthos przestraszony.

— Nie, ale odbywać podróż razem z nią.

Oczy Athosa zabłysły radością.

— Odbywać drogę razem z eskortą!... — wykrzyknął Aramis.

— Pozwól d'Artagnanowi mówić, bo on ma zawsze dobre rady — rzekł Athos.

— Przyznacie niezawodnie — wyrzekł d'Artagnan — że trzeba udać się tam, gdzie nas szukać nie będą. Otóż przedewszystkiem szukać nas nie będą między purytanami.

— Dobrze, przyjacielu, dobrze, wyśmienita rada!... — rzekł Athos — chciałem z nią wystąpić, aleś mnie uprzedził. Tak! Będą myśleć, że chcemy opuścić Anglję i szukać nas będą w portach; tymczasem my przybywamy do Londynu razem z królem, a gdy staniemy w Londynie, nikt już nas nie znajdzie, wśród miljona ludzi nie trudno się ukryć, nie licząc już tych szans, jakie nam daje taka podróż.

— Ale — odezwał się Aramis — czy nie wydamy się podejrzani pułkownikowi Harrissonowi?

— E! *mordioux!*... — wyrzekł d'Artagnan — ja wła-

śnie na niego liczę; pułkownik Harrison należy do naszych przyjaciół; widzieliśmy się z nim dwa razy u generała Cromwella, wie o tem, że przysłani zostaliśmy z Francji przez Mazariniego, patrzeć będzie na nas, jak na braci. Zresztą, czyż to nie syn rzeźnika? Otóż, Porthos pokaże mu, jak się zabija wołu jednym uderzeniem pięści, a ja, jak się przewraca go, wzięwszy tylko za rogi; — to zjedna nam jego zaufanie.

— Jesteś, d'Artagnanie, najlepszym towarzyszem, jakiego znam — rzekł Athos, wyciągając rękę do gaskończyka — i bardzo jestem rad, że cię odnalazł, mój synu drogi!

Mały oddział wyruszył znów w drogę. Po upływie dwóch godzin podróży w milczeniu, d'Artagnan, jadący na czele, zatrzymał się przy zakręcie gościńca.

— O! o!... — rzekł — otóż i nasi ludzie.

Rzeczywiście duży oddział jazdy ukazywał się przed nimi.

— Drodzy moi przyjaciele — odezwał się d'Artagnan — oddajcie swe szpady panu Moustonowi, który je wam zwróci w odpowiednim czasie i miejscu i nie zapominajcie wcale, że jesteście naszymi więźniami.

Potem pojechano kłusem i wkrótce dogoniono oddział. Król, otoczony częścią pułku Harrisona, jechał na czele niewzruszony i, jak zawsze, pełen godności. Gdy spostrzegł Athosa i Aramis, z którymi nie dano mu nawet czasu pożegnać się, i kiedy wyczytał w ich spojrzeniach, że ma jeszcze przy sobie kilku przyjaciół, chociaż uważał ich za więźniów, rumieniec zadowolenia okraślił blade policzki króla. D'Artagnan podjechał na przód kolumny wojska, pozostawivszy swych przyjaciół pod strażą Porthosa, i udał się wprost do Harrisona, który rzeczywiście przypomniał sobie, że widywał go u Cromwella, i przyjął go dość grzecznie. Jak d'Artagnan przewidywał, pułkownik nie miał i nie mógł mieć żadnego podejrzenia.

Zatrzymano się; na tym przystanku król miał jeść obiad. Tym razem przedsięwzięto większe ostrożności, ażeby nie próbował uciec. W wielkiej izbie oberży postawiony został dla niego mały stolik, a wielki stół — dla oficerów.

— Czy zjesz pan ze mną obiad?... — spytał Harrison d'Artagnana?

— Do diabła!... — rzekł d'Artagnan — wielką to sprawiłoby mi przyjemność, ale mam towarzysza, pana du Vallon, i dwóch moich jeńców, których nie mogę opuścić, a za dużo ich byłoby wszystkich przy pańskim stole. Ale zróbmy tak: niech pan każe dla mnie postawić stół w jakim kacie i niech mi pan przyśle, co zechce, bo gotowiśmy umrzeć z głodu. A zawsze będzie to obiad razem, bo jeść będziemy obiad w tym samym pokoju.

— Niech i tak będzie — rzekł Harrison.

Tak się stało, jak pragnął d'Artagnan, a kiedy powrócił do pułkownika, zastał króla, siedzącego już przy małym stoliczku; obsługiwał mu Parry. Harrison i jego oficerowie zasiedli razem przy wspólnym stole, w kącie zaś zachowano miejsce dla niego i dla jego towarzyszków. Stół, przy którym siedzieli oficerowie purytańscy, okrągły był i czy to przypadkiem, czy naumyślnie Harrison usiadł tyłem do króla.

Król spostrzegł wchodzących czterech szlachciców, ale jakby nie zwrócił na nich uwagi wcale. Usiedli przy stole, dla siebie przeznaczonym, tak, ażeby do nikogo nie być zwróconymi tyłem. Naprzeciw siebie mieli stół oficerski i króla. Harrison, z uprzejmości dla gości, posyłał im najlepsze potrawy ze swego stołu. Niestety jednak dla czterech przyjaciół brakowało wina. Dla Athosa było to zupełnie obojętne, ale d'Artagnan, Porthos i Aramis wykrzywiali się za każdym razem, gdy im przychodziło przełknąć łyk piwa, tego napoju purytańskiego.

— Dalibóg, pułkowniku, wdzięczni ci jesteśmy za uprzejme zaprosiny — rzekł d'Artagnan — bo gdyby nie pan, narażeni byłibyśmy na niejedzenie obiadu, jak musieliśmy się już obyć bez śniadania.

— Mnie i teraz jeść się chce — rzekł Porthos, kłaniając się pułkownikowi Harrisonowi.

— A jakże się to stało, żeście panowie nie jedli śniadania? — zapytał pułkownik ze śmiechem.

— Dla bardzo prostej przyczyny, pułkowniku — rzekł d'Artagnan. — Pilno mi było pana dogonić, i dlategojechałem tą samą drogą, co i pan, a taki stary wjadacz nie powinien był tego zrobić, bo powinien był wiedzieć że tam, którędy przejdzie pański poczywy i dzielny pułk, nie pozostanie już ani odrobinki do zjedzenia. Pojmujesz więc pan, jakie było nasze rozczarowanie, gdy, przybywszy

do ładnego domku, położonego na skraju lasu, zamiast znaleźć kury, które szykowaliśmy się już upiec, i szynki, które mieliśmy apetyt usmażyć, zobaczyliśmy tylko jakiegoś nieboraka, skąpanego we krwi. O! mordioux! pułkowniku, powinszuj ode mnie temu ze swych oficerów, który tak się, spisał gracko; mój przyjaciel du Vallon, aż się zdumiał na widok takiego uderzenia, a on potrafi dobrze rozdawać ciosy na lewo i na prawo.

— Tak! tak! — rzekł Harrison ze śmiechem spoglądając na oficera, siedzącego przy stole — kiedy Grosslow bierze się do takiej roboty, nie trzeba już po nim poprawiać.

— Al to pan — wyrzekł d'Artagnan, kłaniając się oficerowi, — żałuję że pan nie mówi po francusku, bo nie mogę mu powinszować.

— I owszem — odezwał się oficer niezłą francuzczyzną — trzy lata mieszkałem w Paryżu.

— A to pośpieszam panu powiedzieć — mówił dalej d'Artagnan — że cios był tak dobrze zadany, żeś pan prawie zabił tego człowieka.

— A ja myślałem, żeś go zabił na miejscu — odrzekł Grosslow.

— Nie. Mało, co prawda, brakowało, ale nie umarł.

I, mówiąc te słowa, d'Artagnan, rzucił okiem na Parry'ego, który stał przed królem, z trupio bladą twarzą, ażeby dać mu do zrozumienia, że ta wiadomość jest pod jego adresem.

Król słuchał tej rozmowy, z sercem ściśniętem i z niewysłowioną boleścią, bo nie wiedział, do czego oficer francuski zmierza, a oburzały go te okrutne szczegóły, tak jowialnie na pozór traktowane. Dopiero przy ostatnich słowach odetchnął swobodniej.

— O!... do diabła!... — rzekł Grosslow — myślałem, że lepiej mi się udało. Gdyby nie było tak daleko do domu tego nędznika, wróciłbym sam, ażeby się z nim załatwić.

— I dobrzebyś pan zrobił, jeżeli boisz się, ażeby nie wyzdrowiał — rzekł d'Artagnan — bo, jak panu wiadomo, kiedy rany w głowie odrazu nie zabijają, w ciągu tygodnia dają się wyleczyć.

I d'Artagnan rzucił drugie spojrzenie w stronę Parry'ego, na którego twarzy zajaśniała taka radość, że Ka-

rol podał mu rękę z uśmiechem. Parry skłonił się przed królem i ucałował rękę jego ze czcią.

— Ty, d'Artagnanie — rzekł Athos — umiesz i pomyśleć i powiedzieć. Ale, jakże ci się widzi król?...

— Fizjognomja jego bardzo mi się podoba — rzekł d'Artagnan — oblicze ma zarazem szlachetne i dobre.

— Tak, ale dał się wziąć — rzekł Porthos — to już źle.

— Mam wielką ochotę wypić za zdrowie króla — rzekł Athos.

— To mnie pozostaw wzniesienie zdrowia — podchwycił d'Artagnan.

— I owszem — odrzekł Aramis.

Porthos patrzył na d'Artagnana, oszołomiony nowemi pomysłami, jakich umysł gaskoński dostarczał nieustannie jego koledze. D'Artagnan wziął kubek, napelnił go i powstał.

— Panowie — rzekł do swych towarzyszy — pijmy, jeżeli łaska, za zdrowie tego, który przewodniczy przy uczcie. za zdrowie naszego pułkownika, niechaj wie, że jesteśmy na jego usługi tak dobrze w Londynie, jak i po za Londynem.

A ponieważ d'Artagnan przy tych słowach patrzył na Harrisona, Harrison sądził, że toast jest za niego, wstał i ukłonił się czterem przyjaciółom, którzy z oczyma, utkwionemi w króla Karola, pili razem, gdy Harrison, wychylał kielich bez żadnego podejrzenia. Karol podał też kieliszek swój Parry'emu, który nalał weń kilka kropli piwa, bo król miał wspólny obiad ze wszystkimi, i poniosłszy do ust, spoglądając również na czterech szlachciców, wypił z uśmiechem, pełnym szlachetności i wdzięczności.

— No, panowie — zawołał Harrison, stawiając kieliszek, bez żadnych względów dla dostojnego więźnia, którego miał przy sobie — dalej w drogę!...

— Gdzie będziemy nocowali, pułkowniku?...

— W Tirsku — odpowiedział Harrison.

— Parry — rzekł król, powstając także i zwracając się do swego lokaja — daj mi konia, chcę pojechać do Tirsku.

## ROZDZIAŁ XXII

### D'ARTAGNAN WYNAJDUJE PROJEKT

Noc już zapadła, gdy przybyli do Tirska.

Czterej przyjaciele byli jakby zupełnie obojętni na wszelkie środki ostrożności, jakie przedsiębrano dla pilnowania osoby króla. Sami udali się do oddzielnego domku, a ponieważ obawiać się musieli każdej chwili o własne osoby, razem umieścili się w jednym pokoju, zabezpieczając sobie wyjście w razie napadu.

Lokajom polecono różne stanowiska: Grimaud położył się na wiązce słomy wpoprzek drzwi. D'Artagnan wydawał się zamyślony i nawet przestał być rozmowny. Nie mówił nic, tylko gwizdał ciągle, chodząc od łóżka do okna. Porthos, który na rzeczy patrzył zawsze tylko powierzchownie, rozmawiał, jak zazwyczaj. D'Artagnan odpowiadał półsłówkami. Athos i Aramis spoglądali po sobie z uśmiechem.

Dzień był męczący, a jednak prócz Porthosa, któremu sen, jak i apetyt zawsze dopisywał, przyjaciele spali źle. Nazajutrz pierwszy wstał d'Artagnan. Zajrzał już do stajen, obejrzał konie, wydał już wszelkie polecenia, potrzebne w ciągu dnia a jeszcze Athos i Aramis nie wstali i Porthos chrapał jeszcze.

O godzinie ósmej zrana udano się w drogę w tym samym porządku, jak w przeddzień. Tylko d'Artagnan pozostawił swych przyjaciół samych, a postarał się odnowić znajomość z panem Grosslowem, zawiązaną w przeddzień. Ten, pomny pochwał jego, które mu pogłaskały serce, przyjął go z wdzięcznym uśmiechem.

— Doprawdy, panie — rzekł d'Artagnan — rad jestem, że znajduję kogoś mówiącego biednym moim ję-



zykiem. Pan du Vallon, mój przyjaciel, jest usposobienia bardzo melancholijnego, tak że trudno z niego wydobyć cztery słowa na dzień; co zaś do naszych jeńców, pojmuje pan, że nie mają oni ochoty gawędzić.

— To są zagorzali królewscy — rzekł Grosslow.

— Tem bardziej skorzy są do zrządzenia na nas, żeśmy schwytali Stuarta, któremu, jak się spodziewam, wytoczycie panowie porządną proces.

— A tak!... — odrzekł Grosslow — po to przecież prowadzimy go do Londynu.

— I spodziewam się, że go panowie nie tracicie z oczu.

— Ba! naturalnie!... — Wszak widzisz pan — dodał oficer ze śmiechem — że ma eskortę prawdziwie królewską.

— O! w dzień niema niebezpieczeństwa, ażeby się wam wymknął, ale w nocy.

— W nocy ostrożność jest podwojona.

— A jakiego systemu używacie, panowie?

— Ośmiu ludzi jest ciągle w jego pokoju.

— Do djabła!... — podchwycił d'Artagnan — dobrze strzeżny. Ale oprócz tych ośmiu ludzi, zapewne stawiacie straż jeszcze nazewnątrz? Z takimi więźniami nigdy nie dość środków ostrożności.

— O! nie. Pomyśl pan tylko, co mogą poradzić dwaj ludzie bez broni przeciw ośmiu uzbrojonym?

— Jako dwaj ludzie?

— Tak, król i jego kamerdyner.

— Więc pozwolono lokajowi, ażeby go nie opuszczał?

— Tak, Stuart prosił, ażeby mu zrobiono tę łaskę, i pułkownik Harrison zgodził się. Jako król, nie może podobno ani sam się ubrać, ani rozebrać.

— Doprawdy, kapitanie — rzekł d'Artagnan, postanowiwszy dalej używać względem oficera angielskiego systemu pochlebstwa — im dłużej pana słucham, tem bardziej dziwię się łatwości i elegancji, z jaką się wyrażasz po francusku. Pan mieszkałeś w Paryżu przez trzy lata, a ja mógłbym całe życie przemieszkać w Londynie, i jestem pewny, że nigdybym się nie wykształcił do tego stopnia. Cóż pan porabiał w Paryżu?

— Mój ojciec, kupiec, umieścił mnie u swego korespondenta, który w zamian posłał ojcu swego syna, to już w zwyczaju u kupców czynić takie zamiany.

— I cóż, podobał się panu Paryż?

— O! tak. Ale państwu potrzeba rewolucji, w rodzaju naszej nie przeciw królowi, który jest jeszcze dzieckiem, ale przeciw temu hultajowi włoschowi, który jest kochankiem waszej królowej.

— O! jakże się zgadzam z panem na to, i dałoby się to prędko zrobić, gdybyśmy mieli tylko dwunastu oficerów takich, jak pan, bez przesądów, czujnych, niesprzedajnych! o! prędkobyśmy się załatwili z Mazarinim i zrobilibyśmy mu porządny proces, jak wy, panowie, królowi.

— Ale — odezwał się oficer — myślałem, że pan jesteś w jego służbie i że to on pana przysłał do generała Cromwella?

— Ja jestem w służbie króla, a kiedy się dowiedziałem, że ma kogoś posłać do Anglii, błagałem o to polecenie, i tak wielce pragnąłem poznać człowieka genialnego, który rządzi teraz trzema królestwami. Gdy więc nam zaproponował, mnie i panu du Vallon, dobyć szpady na cześć starej Anglii, widziałeś pan, jak przyjąłem propozycję.

— Tak, wiem, żeście panowie walczyli obok pana Mor-daunta.

— Tak, panie! Ot i to także dzielny młodzieniec. Czyś pan widział, jak się zwinął ze swym stryjaszkiem?

— Znasz go pan?... — zapytał oficer.

— Bardzo dobrze; mogę nawet powiedzieć, że jesteśmy z sobą w bliskich stosunkach; pan du Vallon i ja przyjechaliśmy z nim z Francji.

— Podobno nawet długo kazaliście mu na siebie czekać w Boulogne.

— Ha! co robić?... — rzekł d'Artagnan — ja tak, jak pan, miałem pod swą opieką króla.

— O! o!... — podchwycił Grosslow — jakiego króla?

— A naszego! małego króla Ludwika czternastego.

I d'Artagnan zdjął kapelusz; Anglik to samo uczynił przez grzeczność.

— I jak długo pan go strzegłeś?

— Trzy noce, i, dalibóg, zawsze będę sobie wspominał te trzy noce z przyjemnością wielką.

— To młody król jest taki miły?

— Król spał sobie w najlepsze.

— Więc?

— Ale oficerowie z gwardji i muszkietarów dotrzymi-

wali mi kompanji i nocę całe spędzaliśmy przy kieliszku i kartach.

— A tak! — rzekł Anglik z westchnieniem — to prawda, wy, francuzi, jesteście wesołymi kolegami.

— A pan czy nie grasz, kiedy jesteś na straży?

— Nigdy — odparł Anglik.

— To musisz się pan bardzo nudzić, mocno pana żałuję — podchwycił d'Artagnan.

— Faktem jest — rzekł oficer — że kiedy kolej przychodzi na mnie, aż mię przejmują dreszcze. Noc taka wydaje mi się bardzo długą.

— Tak, kiedy człowiek jest sam albo z głupimi żołnierzami ale kiedy się ma wesołego partnera, kiedy na stole toczy się złoto i kości, noc przemija, jak sen. Czyż pan nie lubisz grać?

— I owszem.

— W lancknechta, naprzykład?

— Do szaleństwa, grałem w niego co wieczór we Francji.

— A odkąd jesteś pan w Anglii?

— Nie trzymałem karty w ręku.

— Mocno żałuję — odrzekł d'Artagnan z miną pełną współczucia.

— Posłuchaj pan — rzekł Anglik — zrób jedną rzecz.

— Co takiego?

— Jutro jestem na straży.

— Przy Stuarcie?

— Tak. Przyjdź pan do mnie na noc do kompanji.

— Niepodobna.

— Niepodobna! Dlaczego?

— Bo co noc gram z panem du Vallon. Czasem wcale się spać nie kładziemy, dziś zrana naprzykład, jeszcze graliśmy o świcie.

— Więc cóż z tego?

— A tożby on się zanudził, gdybym z nim nie grał.

— A czy dobry z niego gracz?

— Widziałem, jak przegrywał dwa tysiące pistołów, śmiejąc się do łez.

— To go pan przyprowadź.

— Alboż ja mogę? A nasi więźniowie?

— A! do djabła! prawda, to kaźcie, panowie, ich pilnować swoim lokajom.

— Tak, ażeby uciekli! — rzekł d'Artagnan — o! tego nie chcę.

— Więc tak panu na nich zależy?

— O! jeden z nich jest bogatym magnatem z Turenji, drugi kawalerem maltańskim z wysokiego rodu. Traktowaliśmy już o okup za każdego po 2.000 funtów szterlingów.

— O! o! — rzekł Grosslow.

— Pojmujesz więc pan teraz, co, mnie zmusza do odmówienia pańskiej grzeczności, którą tembardziej biorę do serca, że nic niema nudniejszego, jak grać z tą samą osobą; szanse równoważą się wiecznie i w końcu miesiąca człowiek ani nic nie wygrał, ani nic nie przegrał.

— O! — rzekł Grosslow z westchnieniem — jeszcze nudniej jest nie grać wcale.

— Pojmuję to dobrze — odparł d'Artagnan.

— Ale — podchwycił anglik — czy ci wasi ludzie są niebezpieczni?

— Pod jakim względem?

— Czy zdolni są rzucić się?

D'Artagnan wybuchnął śmiechem.

— O! Jezu! — zawołał — jeden z nich trzęsie się z febrzy, nie mogąc się przyzwycząić do waszego pięknego kraju, drugi jest kawalerem maltańskim, lękliwy, jak panienka, zresztą dla pewności, zabraliśmy im nawet scyzoryki.

— No, to ich przyprowadźcie z sobą — rzekł Grosslow.

— Jakto, chciałbyś pan?... — podchwycił d'Artagnan.

— Tak, mam ośmiu ludzi.

— Więc?

— To czterech będzie pilnowało ich, a czterech pilnować będzie króla.

— Rzeczywiście — odrzekł d'Artagnan — tak można zrobić, chociaż wielki będzie z tem dla pana kłopot.

— E! przyjdźcie, panowie, tylko, a zobaczycie, jak wszystko urządzię.

— O! ja się o to nie boję — odrzekł d'Artagnan — z takim człowiekiem, jak pan, gotów jestem iść wszędzie z zamkniętymi oczyma.

To pochlebstwo wywołało wielkie zadowolenie.

— Ale! — odezwał się d'Artagnan — myślę nad tem, co nam przeszkadza zacząć tego wieczora?

— Co takiego?

— Naszą partyjkę.

— Nic w świecie — rzekł Grosslow.

— A no to przyjdź pan dziś do nas, a jutro my ci złożymy wizytę.

— Doskonale! Dziś u was, jutro u Stuarta, pojutrze u mnie.

— A potem w Londynie? *mordieux* — rzekł d'Artagnan — widzisz pan, że wszędzie można pędzić wesołe życie.

— Tak, kiedy człowiek spotka francuzów i to francuzów takich, jak pan — rzekł Grosslow.

— I jak pan du Vallon, zobaczysz, co to za zuch! frondysta zagorzały! o mało nie zadusił Mazariniego w drzwiach; używają go, bo się boją.

— Tak — rzekł Grosslow — dobrą ma minę, i chociaż go jeszcze nie znam, bardzo mi się podobał.

— O!... a dopiero go poznasz!... Ale właśnie mnie woła. Przepraszam, tak przywykliśmy do siebie, że nie może się bezemnie obejść. Darujesz więc pan...

— Zatem, jak będzie?

— Dzisiaj wieczorem.

— U pana?...

— U mnie.

Obaj ukłonili się sobie wzajemnie, i d'Artagnan powrócił do swych towarzyszy.

— O czym u diabła rozmawiać mogłeś z tym buldogiem?... — rzekł Porthos.

— Mój drogi przyjacielu, nie mów tak o panu Grosslowie, to jeden z moich serdecznych przyjaciół.

— Jeden z twoich przyjaciół — podchwycił Porthos — ten morderca wieśniaków...

— Cicho!... mój drogi Porthosie. A tak!... Pan Grosslow jest trochę żywy, to prawda, ale w głębi jego duszy odkryłem dwa dobre przymioty: głupi jest i dumny. Zresztą sam go ocenisz.

— Jakto?...

— Zapoznam cię z nim dziś wieczorem, przyjdzie grać z nami.

— Ho!... ho!... — rzekł Porthos, a oczy mu zapłonęły na te słowa — a czy bogaty?

— To syn jednego z największych kupców w Londynie.

— I umie grać w lancknehta.

— Ubóstwia go.

— Dobrze!... — zawołał Porthos — a to będziemy mieli przyjemną noc.

— Tem przyjemniejszą, że będzie ona zapowiedzią nocy jeszcze lepszej.

— Jakto?...

— Dziś u nas grać będzie, jutro my będziemy u niego grali.

— Gdzież to?...

— Powiem ci później. Teraz o jednym tylko pomyślmy, ażebyśmy godnie pana Grossłowa przyjęli za zaszczyt, jaki nam czyni. Dziś, wieczorem zatrzymamy się w Derba; niech Mousqueton pojedzie naprzód, i choćby była tylko jedna butelka wina w całym mieście, niech ją kupi. Dobrze byłoby, ażeby przygotował także piękną kolację, w której nie weźmiesz wcale udziału ani ty, Athosie, bo masz febrę, ani ty, Aramisie, ponieważ jesteś kawalerem Maltańskim i rumienić się musisz przy takich rozmowach, jakie my prowadzimy. Słyszycie?...

— Tak — odrzekł Porthos — ale niech mnie djabli porwą, jeżeli co rozumiem.

— Porthosie, mój przyjacielu, wiesz, że pochodzę z proroków po ojcu, a od Sybilli przez matkę, że dlatego mówię tylko przenośniami i zagadkami: że ci, co mają uszy, słyszają, a ci, co mają oczy, widzą; więcej nie mogę powiedzieć narazie.

— Rób, jak chcesz, mój przyjacielu — rzekł Athos — a ja jestem pewien, że wszystko, co uczynisz, będzie jak najlepsze.

— Czy i ty tak myślisz, Aramisie?...

— Najzupełniej, mój drogi d'Artagnanie.

— A tak to co innego; ci prawdziwie wierzą, nie tak, jak ten niedowiarek Porthos, który musi dopiero wszystko zobaczyć i wszystkiego się dotknąć, ażeby uwierzyć.

— A tak — odrzekł Porthos z miną zadowoloną — ja jestem bardzo niedowierzający.

D'Artagnan klapnął go po ramieniu, a ponieważ przybywano na popas, rozmowa na tem się urwała.

## ROZDZIAŁ XXIII

### PARTJA LANCKNECHTA

Okolo godziny piątej wieczorem, jak się ułożono, wysłano Mousquetona naprzód.

Mousqueton po angielsku nie umiał wcale, ale zauważył, odkąd się znajdował w Anglii, że Grimaud doskonale gestami zastępował mowę. Uczył się więc tych gestów od Grimauda i w kilku lekcjach, dzięki umiejętności nauczyciela, doszedł do pewnej wprawy.

Blaissois mu towarzyszył.

Czterej przyjaciele, przejeżdżając główną ulicą Derby, spostrzegli Blaissois przed domem pięknej powierzchni; tam było przygotowane ich mieszkanie.

Przez cały dzień nie zbliżyli się wcale do króla, ażeby nie ściągać żadnych podejrzeń i zamiast jeść obiad, jak w przeddzień przy stole pułkownika Harrissona, obiadowali sami oddzielnie. O godzinie umówionej przyszedł Grosslow. D'Artagnan go przyjął, jak przyjaciela od lat dwudziestu. Porthos zmierzył go od stóp do głowy i uśmiechnął się, poznając, że, pomimo potężnego ciosu, jaki zadał bratu Parry'ego, nie mógł się z nim równać siłą.

Athos i Aramis czynili, co mogli, ażeby ukryć wstręt, jaki w nich budziła ta natura brutalna i ordynarna. Grosslow zaś wydawał się zadowolonym z przyjęcia. Athos i Aramis trzymali się swych ról. O północy odeszli do swego pokoju, od którego pod pozorem grzeczności pozostawiono drzwi otwarte. Zresztą d'Artagnan im towarzyszył, pozostawiając Porthosa w zapasach z Grosslowem. Porthos wygrał pięćdziesiąt pistołów od Grosslowa i, kiedy tenże odszedł, utrzymywał, że Anglik jest daleko przy-

jemniejszy w towarzystwie, niż przypuszczał. Co do Grosslowa, obiecywał on sobie odbić nazajutrz na d'Artagnanie to niepowodzenie, jakiego doznał przy Porthosie, i pożegnał gaskończyka, przypominając mu wieczorne odwiedziny.

Dzień minął jak zwykle; d'Artagnan był u kapitana Grosslowa, potem u pułkownika Harrissona, a potem wrócił do swych przyjaciół. Kto nie znał d'Artagnana, nie byłby w nim zauważył nic szczególnego, ale Athosowi i Aramisowi wesołość jego wydawała się gorączkową.

— Co on zamierza zrobić?... — powtarzał Aramis.

— Czekajmy — odpowiedział Athos.

Porthos nie mówił nic, tylko z miną zadowoloną rachował pięćdziesiąt pistolew, które wygrał od Grosslowa. Wieczorem, gdy przyjechano do Ryston, d'Artagnan zebrał swych przyjaciół. Twarz jego straciła ten wyraz spokojny, jakim się maskował od rana.

Athos ścisnął Aramisa za rękę.

— Chwila się zbliża — wyrzekł.

— Tak — odrzekł d'Artagnan, który to usłyszał — tak, chwila się zbliża; tej nocy, panowie, ocalimy króla.

Athos drgnął, oczy mu zapłonęły.

— D'Artagnanie — rzekł — wszakże to nie żart?... byłby on zbyt bolesny.

— Dziwnyś, Athosie — odrzekł d'Artagnan — że tak powątpiewasz o mnie. Powiedziałem ci już i powtarzam, że tej nocy uwolnimy Karola I-go. Zdałeś się na mnie z wynalezieniem sposobu i sposób został już znaleziony.

Porthos patrzył na d'Artagnana z uczuciem głębokiego podziwu. Aramis uśmiechał się, jak człowiek mający nadzieję. Athos błady był, jak śmierć i trząsł się całym ciałem.

— Mów — wyrzekł Athos.

Porthos otworzył szeroko oczy; Aramis, że tak powie- dzieć, zawisł na ustach d'Artagnana.

— Jesteśmy zaproszeni na noc do Grosslowa; wiecie o tem?...

— Tak — odpowiedział Porthos — musieliśmy mu przyrzec, że damy mu rewanż.

— Tak. Ale czy wiecie, gdzie mamy mu dać rewanż?...

— Nie.

— U króla.



— U króla?... — zawołał Athos.

— Tak, panowie, u króla. Pan Grosslow tego wieczora jest na straży przy Jego Królewskiej Mości i, ażeby się rozerwać na dyżurze, zaprasza nas do kompanji. Pójdziemy więc do Grosslowa, my ze szpadami, wy ze sztyletami; we czterech poradzimy sobie z tymi ośmiu głupcami i z ich dowódcą idjotą. Cóż ty na to, panie Porthos?...

— Powiadam, że to bardzo łatwe — rzekł Porthos.

— Przebierzemy króla za Grosslowa; Mousqueton, Grimaud i Blaissois poczekają na nas z końmi na zakręcie pierwszej ulicy i przed świtem będziemy o kilkanaście mil od miasta?... A co?... czy dobrze pomyślane, Athosie?...

Athos położył obie ręce na ramionach d'Artagnanowi i spojrział nań ze spokojnym i łagodnym uśmiechem.

— Oświadczam ci, przyjacielu — wyrzekł — że niema na świecie istot, które mogłyby ci dorównać w szlachetności i odwadze: kiedy my mieliśmy cię za obojętnego dla naszych cierpień, ty tylko z pośród nas znalazłeś, czego nam potrzeba. Powtarzam ci więc, d'Artagnanie, jesteś najlepszym z nas. D'Artagnanie, błogosławię cię i kocham cię, jak drugiego syna.

— No! że ja tego nie wymyśliłem?... — wyrzekł Porthos — a przecie to takie proste! — dodał, uderzając się po czole.

— Ale — odezwał się Aramis — jeżeli dobrze zrozumiałem — to zabić mamy wszystkich, nieprawdaż?

Athos drgnął i zbladł.

— Mordieux!... — wyrzekł d'Artagnan — tak, myślałem długo nad tem, czy nie da się tego uniknąć, ale nie znalazłem środka.

— Tak — dodał Aramis — tu nie można targować się z położeniem; jakże się weźmiemy do rzeczy?

— Mam plan dwojaki — odpowiedział d'Artagnan. — Jeżeli wszyscy czterej razem się zbierzemy, wtedy na moje hasło, a będzie niem wyraz „nareszcie“, każdy z was zatopi sztylet w sercu żołnierza, najbliżej stojącego, mamy więc na początek już czterech ludzi nieżywych; siły stają się równe, bo znajdziemy się czterej przeciw pięciu; tych pięciu poddaje się i związujemy ich, albo też bromi się, a wtedy zabijamy ich wszystkich; gdyby jednak amfitrjon nasz zmienił przypadkiem projekt i przyjął tylko Porthosa i mnie, o! wtenczas trzeba będzie działać dwa

razy energiczniej i trochę głośniej, ale wy stać będziecie w pobliżu ze szpadami i przybiegniecie, gdy usłyszycie hałas.

— Ale gdyby was samych ugodzono?... — rzekł Athos.

— Niepodobna — odparł d'Artagnan — ci amatorzy piwa za ciężcy są i za niezgrabni, zresztą, Porthosie, uderzać będziesz w gardło, w ten sposób zabija się człowieka równie szybko, a nie pozwala mu się krzyczeć.

— Bardzo dobrze — odrzekł Porthos — ładna będzie rzeź.

— To okropne! okropne!... — wyrzekł Athos.

— E! panie tkliwy — podchwycił d'Artagnan — przecież to samo uczyniłbyś w bitwie. Zresztą, przyjacielu mój — ciągnął dalej — jeżeli sądzisz, iż życie króla nie warte tego, co ma kosztować, nic się jeszcze nie stało, uprzedzę pana Grosslowa, żem chory.

— Nie — odrzekł Athos — nie ja, lecz ty masz słusność, przebacz mi.

W tejże chwili drzwi się otworzyły a w nich ukazał się żołnierz.

— Pan kapitan Grosslow — rzekł z kiepską po francusku — uprzedza panów d'Artagnan i du Vallon, że ich oczekuje.

— Gdzie?... — zapytał d'Artagnan.

— W pokoju Nabuchodonozora angielskiego — odpowiedział żołnierz purytański.

— Dobrze — odrzekł z wyborowym akcentem angielskim Athos, któremu krew uderzyła do głowy na tę znie wagę dla Jego królewskiej mości. — Dobrze, powiedz kapitanowi, że idziemy.

Gdy żołnierz wyszedł, został dany lokajom rozkaz, ażeby osiodłali osiem koni i czekali razem na rogu ulicy o jakie dwadzieścia kroków od domu, gdzie osadzony był król.

Była godzina dziewiąta wieczorem. Straże zmienione zostały o ósmej, i od godziny rozpoczął dyżur kapitan Grosslow. D'Artagnan i Porthos uzbrojeni w szpady, Athos zaś i Aramis mając sztylety ukryte na piersiach zbliżali się do domu, który służył za więzienie Karolowi Stuartowi. Dwaj ostatni szli za swymi zwycięzcami, spokojni, napozór bezbronni, jak jeńcy.

— Dalibóg — rzekł Grosslow, zobaczywszy ich — już prawie przestałem na panów liczyć.

D'Artagnan przystąpił doń i szepnął mu do ucha pocichu.

— Rzeczywiście pan du Vallon i ja wahaliśmy się już przez chwilę.

— Dlaczego?... — zapytał Grosslow.

D'Artagnan wskazał mu oczyma Athosa i Aramis.

— O! o!... — rzekł Grosslow — z powodu przekonań? Mniejsza o to! I owszem — dodał ze śmiechem — jeżeli chcą zobaczyć swego Stuarta, to go zobaczą.

— Czyż przepędzimy noc w pokoju króla?... — zapytał d'Artagnan.

— Nie, ale w sąsiednim pokoju, a ponieważ drzwi będą otwarte, to będzie tak samo, jak gdybyśmy byli razem z nim. Macie, panowie, przy sobie pieniądze? Z góry wam zapowiadam, że ja dziś będę piekielnie grał.

— Słyszysz pan?... — odrzekł d'Artagnan, potrząsając złotem w kieszeni.

— „Very god“!... — rzekł Grosslow. I otworzył drzwi od pokoju.

— Chcę wam pokazać drogę, panowie — rzekł i wszedł pierwszy.

D'Artagnan zwrócił się ku przyjaciołom. Porthos był spokojny, jak gdyby szło o zwyczajną grę. Athos był bładny, ale stanowczy, Aramis ocierał pot z czoła, lekko zroszonego.

Ośmiu strażników było na swych miejscach: czterech w pokoju królewskim, dwóch przy drzwiach łączących i dwóch przy drzwiach, które weszli nasi przyjaciele. Na widok obnażonych szpad żołnierskich, Athos się uśmiechnął, miała to więc być walka, a nie rzeź. Od tej chwili powrócił mu dobry humor.

Karol, którego można było widzieć przez uchylone drzwi, leżał na łóżku zupełnie ubrany, narzuciwszy tylko na siebie wełnianą kołdrę. Przy łóżku jego siedział Parry, czytając pocichu (a jednak dość głośno, ażeby go usłyszał Karol z zamkniętymi oczyma), jakiś ustęp z biblii katolickiej.

Świeca z ordynarnego łoju, stojąca na czarnym stole, oświetlała zrezygnowaną twarz króla i o wiele mniej spokojną twarz jego wiernego sługi. Parry od czasu do czasu przestawał czytać, przypuszczając, że król na dobre za-

snął; ale wtedy za każdym razem król otwierał oczy i mówił doń z uśmiechem:

— Czytaj dalej, poczciwy mój Parry, słucham cię.

Grosslow podszedł do drzwi pokoju królewskiego, przekonał się, że każdy żołnierz znajduje się na wskazanem mu miejscu i, obróciwszy się do d'Artagnana, spojrział tryumfująco na Francuza, jak gdyby chciał zebrać o pochwałę dla swej taktyki.

— Cudownie!... — rzekł gaskończyk. — „Cap de Diou“! byłby z pana znakomity generał.

— Doprawdy — podchwycił Grosslow — musisz pan wierzyć, że dopóki będę na straży przy Stuarcie, nie ucieknie on wcale.

— Nie, z pewnością — odpowiedział d'Artagnan — chyba, że z nieba spadną mu przyjaciele.

Twarz Grosslowa wypogodziła się.

Ponieważ Karol Stuart w ciągu całej tej sceny miał oczy wciąż zamknięte, nie można było powiedzieć, czy usłyszał przechwałki purytańskiego kapitana.

Ale gdy usłyszał wyrazisty ton głosu d'Artagnana, powieki same mu się uniosły. Parry też drgnął i przerwał czytanie.

— Nad czem się tak zamyśliłeś?... — odezwał się król — czytaj dalej, mój poczciwy Parry, jeżeliś tylko nie zmęczony.

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział kamerdyner i czytał dalej.

W pierwszym pokoju stał stół przykryty dywanem, a na nim dwie świece zapalone, karty, dwa kubki i kości.

— Panowie — rzekł Grosslow — siadajcie, proszę; ja naprzeciw Stuarta, na którego lubię patrzeć, a ty, panie d'Artagnan, siadaj naprzeciw mnie.

Athos poczerwieniał z gniewu, d'Artagnan spojrział nań, marszcząc brwi.

— Tak — odezwał się d'Artagnan — panie hrabio de la Fère, siadaj po prawej ręce pana Grosslowa, ty, kawalerze d'Herblay, po lewej, ty, panie du Vallon, przy mnie. W ten sposób d'Artagnan miał Porthosa przy sobie i mógł mu dawać znaki kolanem, Athosa zaś i Aramis naprzeciw i mógł się z nimi porozumiewać spojrzeniem.

Na imię hrabiego de la Fère i kawalera d'Herblay,

znów otworzył oczy i jednym spojrzeniem objął aktorów tej sceny. W tejże chwili Parry przewrócił kilka kartek bibliji i przeczytał głośno następujący psalm Jeremiasza:

„I rzekł Bóg: słudzy moi, słuchajcie słów proroków, których wam posłałem i przywiodłem do was“.

Czterej przyjaciele zamienili ze sobą spojrzenie. Słowa, które wymówił Parry, wskazywały, że obecność ich została spostrzeżona i zrozumiana. Oczy d'Artagnana zaiskrzyły się z radości.

— Pytałeś mnie pan przed chwilą, czy jestem przy funduszach — rzekł d'Artagnan, kładąc na stole ze dwadzieścia pistolów.

— Tak — odrzekł Grosslow.

— To ja teraz powiem panu — podchwycił d'Artagnan — strzeż dobrze swego skarbu, mój drogi panie Grosslow, bo ręczę ci, że nie wyjdziemy stąd, dopóki c go nie zabierzemy.

— O! ale ja go będę bronił — odrzekł Grosslow.

— Tem lepiej — rzekł d'Artagnan. — Walczyć, kochany kapitanie, walczyć!... Czyż nie wiesz, że my tylko tego pragniemy.

— A tak! wiem dobrze — odparł Grosslow, wybuchając głośnym śmiechem — wy panowie francuzi, szukacie tylko guzów i ran.

Karol wszystko słyszał i wszystko rozumiał. Lekki rumieniec uderzył mu na twarz. Żołnierze, którzy nań patrzyli, zobaczyli, że trochę prostuje znużone członki; potem, jak gdyby mu było za gorąco, odrzucił koldrę szkocką, którą, jak powiedzieliśmy, był przykryty. Athos i Aramis drgnęli z radości, widząc, że król leżał nierozebrany.

Zaczęła się gra. Tego wieczora fortuna obróciła się na rzecz Grosslowa; wygrywał ciągle. Sto pistolów przeszło z jednego końca stołu na drugi. Grosslow był szalenie wesół. Porthos, który przegrał pięćdziesiąt pistolów, wygrane przeddzień, a nadto jeszcze swoich trzydzieści, był bardzo kwaśny i trącał d'Artagnana kolanem, jak gdyby zapytywał, czy nie byłaby już pora przejść do innej gry; Athos zaś i Aramis spoglądali od czasu do czasu okiem badawczem, ale d'Artagnan pozostawał niewzruszony. Dziesiąta wybiła. Słychać było przechodzący patrol.

— Ile razy u panów patrol tak obchodzi?... — spytał d'Artagnan, wyjmując z kieszeni nowe pistole.

— Pięć razy — odrzekł Grosslow — co dwie godziny.

— To wyborna ostrożność — podchwycił d'Artagnan.

I tym razem rzucił okiem na Athosa i Aramisa. Słyszano kroki, oddalającego się patrolu.

D'Artagnan po raz pierwszy odpowiedział kolanem Porthosowi na jego zaczepki.

Tymczasem zwabieni pociąganiem do gry i urokiem złota, tak potężnym dla wszystkich ludzi, żołnierze, którzy mieli rozkaz pozostania w pokoju królewskim, zbliżyli się powoli do drzwi i wspinając się na palce, zaglądali przez ramię d'Artagnana i Porthosa; inni znów, stojący przy drzwiach, także się przesunęli, przychyłając się w ten sposób do życzeń czterech przyjaciół, którzy woleli ich mieć pod ręką.

Dwaj strażnicy przy drzwiach trzymali wciąż obnażone szpady, ale teraz opierali się na nich i przyglądali się grającym.

Athos jakby się uspakajał, im bardziej zbliżała się chwila; ręce jego białe i arystokratyczne bawiły się luidorami; Aramis, mniej panując nad sobą, ciągle się macał po piersiach; Porthos, zniecierpliwiony ciąglem przegrywaniem, nie przestawał trącać kolanem coraz silniej. D'Artagnan obrócił się, spoglądając machinalnie po za siebie, i zobaczył między dwoma żołnierzami Parry'ego, stojącego i Karola wspartego na łokciu i jakby zasylającego do Boga gorącą modlitwę. D'Artagnan zrozumiał, że nastąpiła odpowiednia chwila, że każdy ma się na baczności i że czekano tylko słowa: „nareszcie“, będącego, jak wiadomo, umówionym sygnałem. Rzucił spojrzenie przygotowawcze na Athosa i Aramisa i obaj oni odsunęli lekko krzesła swe, ażeby mieć większą swobodę ruchu.

Drugi raz trącił Porthosa kolanem, a ten podniósł się, jakby dla wyprostowania nóg, ale podnosząc się, upewnił zarazem, czy szpada z łatwością może wychodzić z pochwy.

— Sacrebleu!... — wyrzekł d'Artagnan — jeszcze dwadzieścia pistolew przegranych!... Doprawdy, kapitanie Grosslow, masz za dużo szczęścia, to nie może tak dłu-

go potrwać. I znowu dobył z kieszeni dwadzieścia pistołów.

— Ostatni raz, kapitanie. Dwadzieścia pistołów od razu, po raz ostatni...

— Niech będzie dwadzieścia pistołów — odrzekł Grosslow.

I odwrócił dwie karty, jak zwykle, króla dla d'Artagnana, asa dla siebie.

— Król — rzekł d'Artagnan — to dobra wróżba. Pannie Grosslow — dodał — strzeż się króla.

Pomimo panowania nad sobą, d'Artagnan nie mógł powstrzymać dziwnego drżenia w głosie, które partnera przejęło dreszczem. Grosslow zaczął ciągnąć karty, jedne po drugich; jeżeli padnie król, przegra. Odkrył króla.

— Nareszcie!... — rzekł d'Artagnan.

Na to słowo, Athos i Aramis powstali, Porthos cofnął się o krok.

Zabłysnąć miały sztylety i szpady. Ale nagle drzwi się otworzyły i ukazał się na progu Harrison, a z nim jakiś człowiek, otulony płaszczem. Za tym człowiekiem zamigotały muszkiety pięciu czy sześciu żołnierzy. Grosslow zerwał się żywo, zawstydzony, że go zastano przy winie, kartach i kościach.

Ale Harrison wcale nie zwrócił nań uwagi i, wchodząc do pokoju królewskiego ze swym towarzyszem, rzekł:

— Karolu Stuarcie, przyszedł rozkaz, ażeby cię zawieźć do Londynu, nie zatrzymując się ani w dzień, ani w nocy. Przygotuj się natychmiast do odjazdu.

— A czyj to jest rozkaz?... — zapytał król.

— Generała Oliwiera Cromwella — odrzekł Harrison — a przynosi go oto pan Mordaunt, któremu też powierzone jest niezwłocznie jego wykonanie.

— Mordaunt!... — szepnęło czterech przyjaciół, zamieniając spojrzenia.

D'Artagnan zgarnął ze stołu wszystkie pieniądze, które on jak i Porthos przegrali, i schował je do obszernej kieszeni. Athos i Aramis stanęli za nim.

Na to poruszenie, Mordaunt odwrócił się, poznał ich i wydał okrzyk dzikiej radości.

— Zdaje mi się, żeśmy się złapali — rzekł cicho d'Artagnan do swych przyjaciół.

— Jeszcze nie — rzekł Porthos.

— Pułkowniku, pułkowniku!... — zawołał Mordaunt — każ otoczyć ten pokój, jesteś zdradzony, ci czterej francuzi uciekli z Newcastle i chcą niewątpliwie porwać króla. Niechaj ich aresztują.

— O!.. mój młodzieńcze — rzekł d'Artagnan, wyciągając szpadę — łatwiej to wydać taki rozkaz, niż go wykonać. Poczem opisując szpadą straszliwy młynek:

— Za mną!... przyjaciele — zawołał — za mną!... — i rzucił się ku drzwiom, przewrócił dwóch pilnujących żołnierzy, zanim ci zdążyli nabić muszkiety; za nim podążyli Athos i Aramis, Porthos stanowią straż tylną, a żołnierze, oficerowie i pułkownik jeszcze się nie opatrzyli gdy wszyscy czterej byli już na ulicy.

— Ognia!... — wrzasnął Mordaunt — ognia do nich!...

Dwa czy trzy strzały z muszkietów padły rzeczywiście, ale taki tylko odniosły skutek, że pokazały, jak zbiegowie zdrowi i cali znikali na rogu ulicy. Konie znajdowały się w umówionem miejscu, lokaje czekali, a panowie ich za chwilę znaleźli się na siodłach z lekkością wytrawnych jeźdźców.

— Naprzód!... — rzekł d'Artagnan — galopem!...

Minawszy o jakie pięćdziesiąt kroków dom ostatni, d'Artagnan zatrzymał się, wołając:

— Stój!... Z pewnością będą nas ścigać: Niech więc wyjadą sobie z miasta i niech pędzą za nami po drodze do Szkocji; my zaś, gdy już nas miną, udamy się w stronę przeciwną.

O kilka kroków od miejsca, gdzie się zatrzymali, wznosił się most niewielki, lecz wysoko rzucony nad rzeczką, przecinającą drogę. D'Artagnan sprowadził konia pod arkadę owego mostu, trzej przyjaciele poszli za jego przykładem. Nie upłynęło nawet dziesięciu minut, gdy usłyszeli zbliżający się szybko odgłos kopyt końskich. Oddział kawalerji pędził galopem, a po pięciu minutach przebiegł nad ich głowami nie domyślając się, że ci, których szukano, znajdują się tuż, ukryci pod sklepieniem mostu.



## ROZDZIAŁ XXIV

### L O N D Y N

Gdy już zamilkł w oddali odgłos kopyt końskich, d'Artagnan powrócił na brzeg rzeki i puścił się pędem przez pola kierując się w stronę Londynu. Towarzysze podążali za nim w milczeniu. Miarkując, iż dostatecznie oddalili się, d'Artagnan, zwalniając bieg swego konia, rzekł:

— Sądzę, iż jak na teraz wszystko już stracone, i nie pozostaje nam nic innego, jak wracać do Francji. Co powiesz na tę propozycję, Athosie? czy masz jej co do zarzucenia?

— Nieinaczej, przyjacielu drogi — odparł Athos — wszak niedawno temu wypowiedziałeś słowa więcej niż mądre, bo wzniosłe i szlachetne; mówiłeś: „Tutaj umrzemy!“ To ci tylko przypomnę.

— O!... — odezwał się Porthos — śmierć to fraszka, lecz prawdopodobieństwo porażki dręczy mnie okrutnie. Z obrotu, jaki przybierają rzeczy widzę, że walczyć nam wypadnie w Londynie, na prowincji i w całej Anglii; i koniec końców będziemy pobici.

— Winniśmy być obecni do końca tej wielkiej tragedji — mówił Athos. — Czy zgadzasz się ze mną, Aramisie?

— Całkowicie, drogi hrabio; wreszcie przyznaję, iż radbym spotkać Mordaunta; mamy z nim rachunki do załatwienia, nie leży to w naszym zwyczaju opuszczać stanowiska, nie zapłaciwszy długów tego rodzaju.

— A! to znowu co innego — odezwał się d'Artagnan — i to jedyna racja, mająca według mnie wszelkie pozory

słuszności. Co do mnie, przyznaję, że chętnie rok cały przesiedziałbym w Londynie na to, aby spotkać tego Mor-daunta. Athosie, czy znasz w całym tem mieście choć jedną dobrą oberżę?

— Zdaje mi się, iż mam czego żądasz — odparł tenże. — De Winter zaprowadził nas do jakiegoś, jak on mówił, niegdyś hiszpana, naturalizowanego w Anglii z pomocą nowych jego współziomków. Cóż ty na to, Aramisie?

— Ależ natrafniejszym wydaje mi się zamiar pomieszczenia się u senora Pereza, najzupełniej zgadzam się na niego. Wezwiemy na pomoc wspomnienie biedaka Wintera, którego on zdawał się cenić wielce; powiemy mu, że tak sobie, z amatorstwa przybywamy dla przypatrzenia się wypadkom, będącym na dobie.

— Zapominasz o jednej najważniejszej ostrożności, Aramisie.

— O jakiej?

— Trzeba zmienić ubrania.

— Ba!... — odezwał się Porthos — na co się przyda zmieniać ubranie, kiedy w naszych tak nam wygodnie!

— Aby nas nie poznano — rzekł d'Artagnan. — Odzież nasza ma krój i barwę jednolitą prawie, co na pierwsze wejście zdradza w nas muszkieterów.

— A czy zdołasz odnaleźć swego hiszpana?... — zagadnął Aramis.

— O! z wszelką pewnością; mieszkał on na Green-Hall-street, Bedford's tawern; trafiłbym wreszcie w City z zamkniętymi oczami.

— Chciałbym już tam być — odezwał się d'Artagnan — i radziłbym przybyć do Londynu przededniem, choćbyśmy mieli nasze konie na śmierć zajeździć.

— Słuchajcie — rzekł Athos — jeżeli moje obliczenia mnie nie zawodzą, pozostaje nam nie więcej nad osiem do dziesięciu mil angielskich do przebycia.

Popędzili konie i istotnie około piątej rano stanęli na miejscu. Przy bramie, do której podjechali, zatrzymała ich warta; lecz Athos odpowiedział wyborną angielszczyzną, jakoby byli wysłani przez generała Harrisona dla doniesienia panu Pridge, jego koledze, o bliskim przybyciu króla. Dozwolono zatem czterem przyjaciółom

przejechać i nawet dodano im na drogę czysto purytańskie błogosławieństwa.

Athos zawiódł ich prosto do Bedford's tawerny i przypomniał się gospodarzowi, który, zachwycony powrotem jego w tak licznej i świetnej kompanji, natychmiast przygotować kazał najpiękniejsze, jakie miał, pokoje.

Podana myśl zmiany ubrania została przyjęta, pomimo lekkiej opozycji ze strony Porthosa. Postarano się zatem wprowadzić ją w czyn. Oberżysta, jakgdyby pragnął odświeżyć całą garderobę swoją, kazał sobie sprowadzić wszelkie rodzaje ubiorów.

Athos wziął ubranie czarne, nadające mu wygląd uczciwego mieszczanina; Aramis, o wojskowym kroju; czerwony kaftan i zielone spodnie skusiły Porthosa; d'Artagnan, w tabaczkowym ubraniu stał się uosobieniem kupca kolonialnego, który wycofał się z handlu. Grimaud i Mousqueton nie nosili liberji, przebranie ich zatem było zbyteczne.

— A teraz — rzekł d'Artagnan — przejdźmy do najważniejszej rzeczy; obetnijmy włosy. Pozbywszy się wraz ze szpadą szlachectwa, stańmy się purytanami i ze sposobu noszenia włosów.

Na tym punkcie d'Artagnan spotkał silny opór ze strony Aramisa; wszelkiemi sposobami chciał on zachować swoje piękne i długie włosy, które utrzymywał z najwyższą starannością, i trzeba było, aby Athos, obojętny na kwestje tego rodzaju, zachęcił go własnym przykładem. Porthos bez trudności oddał na pastwę swój potężny łeb Mousquetonowi, który ściał mu bez ceremonji gęstą i twardą jego czuprynę. D'Artagnan sam dokonał swoich postrzyżyn, nadając swej głowie fantastyczny kształt, zbliżony nieco do medaljonu z czasów Franciszka I-go, lub Karola IX-go.

— Wstrętni jesteście — rzekł Athos.

— A mnie się wydaje, że cuchniemy przerażająco purytanami — dodał Aramis.

— A ja czuję, że nabieram chęci do palnięcia kazania — odezwał się d'Artagnan.

— Teraz więc, skoro sami poznać się nie możemy, przez co usunięta już obawa, aby nas poznano, chodźmy przypatrzeć się wjazdowi króla: ponieważ całą noc był w drodze, niedaleko Londynu być musi.

Rzeczywiście, dwie godziny upłynęły zaledwie, odkąd

czterej przyjaciele zmieszali się z tłumem, kiedy krzyki i wielkie poruszenie oznajmiły zbliżanie się Karola. Wyślano na jego spotkanie karetę, a olbrzymi Porthos, który głową wszystkich przenosił, obwieścił, iż widzi nadjeżdżającą powóz królewski.

Minęła kareta, a po bokach jej d'Artagnan poznał jadących Harrisona i Mordaunta. Lud zaś, którego wrażenia badał Athos z Aramisem, przekleństwami i nienawiścią obrzucał Karola.

Athos powrócił zrozpaczony.

— Mój drogi — rzekł do niego d'Artagnan — upierasz się daremnie, a ja ci przysięgam, że to jest położenie bez wyjścia. Prócz ciebie jednego, nic mnie z tą sprawą nie wiąże, chyba niejakić zajęcie budzące we mnie jako zwolenniku polityki prowadzonej po muszkietersku; czuję, iż przyjemnie byłoby nad wyraz zadrwić sobie z tych krzykaczy i wyrwać im z rąk ofiarę. Pomyślę o tem.

Nazajutrz Athos, stanąwszy w oknie, wychodzącem na najludniejszą część City, usłyszał obwoływany bill parlamentu, stawiający przed sądem ex-króla Karola I-go, jako winnego dowiedzionej zdrady i nadużycia władzy. D'Artagnan stał przy nim, Aramis rozpatrywał mapę geograficzną, a Porthos pogrążony był w rozkoszach kończącego się obfitego śniadania.

— Parlament!... — wykrzyknął Athos — to niepodobieństwo, ażeby parlament podobny bill wydał.

Na to wszedł gospodarz; Athos przywołał go skinieniem.

— Bill ten przez parlament został wydany?... — zapytał go po angielsku.

— Tak, milordzie, przez czysty parlament.

— Jakto, czysty! czyż są dwa parlamenty.

— Przyjacielu — przerwał d'Artagnan — ponieważ obcą mi jest angielska mowa, a hiszpańską rozumiemy wszyscy, bądź łaskaw, mówić z nami swym ojczystym językiem.

— A! wybornie — odezwał się Aramis.

O Porthosie powiedzieliśmy już iż cała jego uwaga skupiona była na kostce kotleta, którą usiłował obnażyć z jej mięsnej powłoki.

— Pytaliście zatem, panowie?... — odezwał się oberżysta po hiszpańsku.

— Pytałem — odpowiedział tym samym językiem Athos — czyby miały być dwa parlamenty, jeden czysty, a drugi nieczysty?

— O! jakie to dziwaczne!... — odezwał się Porthos, zwolna podnosząc głowę ze spojrzeniem, pełnem zdziwienia, zwróconą do przyjaciół — teraz już rozumiem po angielsku, pojmuję, o czem rozmawiacie.

— Bo rozmawiamy po hiszpańsku, drogi przyjacielu — powiedział Athos ze zwykłym sobie spokojem.

— Tam do diabła!... — zaklął Porthos — przykro mi to bardzo, inaczej bowiem przybyłby mi jeden więcej język.

— Senor — ciągnął dalej gospodarz — gdy mówię parlament czysty, to znaczy ten, który oczyścił pułkownik Pridge.

— Co to takiego ten pułkownik Pridge?... — zapytał Aramis — i na jaki wziął się sposób, aby parlament oczyścić?

— Pułkownik Pridge — mówił Hiszpan — jest to dawny woźnica, człowiek wielce mądry, który zauważył pewną rzecz, gdy woził swoim wozem: że, gdy kamień znajdzie się na drodze, krótsza sprawa, usunąć go, aniżeli próbować przejechać przez niego. Tedy, na dwustu pięćdziesięciu jeden członków, z których parlament się składa, stu dziewięćdziesięciu jeden było mu niedogodnych i mogło spowodować wywrócenie jego politycznego wozu. Wziął się więc do nich jak niegdyś do kamienia, i z Izby precz wyrzucił.

— Ślicznie!... — odezwał się d'Artagnan — który jako człowiek rozumu, cenił go wszędzie, gdziekolwiek natykał.

— Czy wykluczeni wszyscy byli stronnikami Stuarda?... — zapytał Athos.

— Bez żadnej wątpliwości, senor, i ozumie się, iż byliby ocalili króla.

— I sądzisz, iż on się zgodzi stanąć przed takim trybunałem?... — zapytał Aramis.

— Musi — odparł hiszpan — gdyby chciał stawić opór, lud go do tego zniewoli.

— Dziękuję ci, panie Perez — odezwał się Athos — jestem już powiadomiony dostatecznie.

— Czy uwierzysz już raz nakoniec, że sprawa stra-

cona zupełnie — przemówił d'Artagnan do Athosa — i że z takimi jak Harrison, Joyce, Pridge i Cromwell mierzyć się nam trudno?

— Wybawią króla z trybunału — rzekł Athos — samo milczenie jego stronników dowodzi istnienia spisku.

D'Artagnan wzruszył ramionami.

— Lecz jeżeli tamci ośmielą się wydać wyrok na swego króla, to drudzy wydadzą go, czyby był na wygnaniu, czy też w więzieniu — zapoważył Aramis.

D'Artagnan począł pogwizdywać z miną, pełną niedowierzania.

— Przekonamy się sami — rzekł Athos — pójdziemy bowiem na posiedzenia, jak miemam przynajmniej.

— Niedługo przyjdzie panom czekać na to — odezwał się gospodarz — od jutra się zaczynają.

— To tak?... — odezwał się Athos — więc sporządzono akta sądowe, zanim pojmano króla?

— Bezwątpienia — rzekł d'Artagnan — zaczęto tę czynność z dniem, w którym król został sprzedany.

— Wiedźcie — odezwał się Aramis — że to Mordaunt, nasz przyjaciel, jeżeli nie dobił targu, to co najmniej wstęp do tej sprawki ułatwił.

— Wiedźcie — rzekł d'Artagnan — iż, gdziekolwiek wpadnie mi w ręce, utłukę tego pana Mordaunta.

— Fe! — odezwał się Athos — takiego nędznika!

— Dlatego właśnie, że jest nędznikiem, zabiję go — ciągnął d'Artagnan, oświadczam, że Mordaunt z niczyjej ręki nie zginie tylko z mojej własnej.

— I z mojej — rzekł Aramis.

— I z mojej — odezwał się Porthos.

— Jednomysłność rozczulająca — zawołał d'Artagnan — jak przystoi na poczciwych mieszczuchów, jakimi jesteśmy. Wyjdźmy przejść się po mieście; sam Mordaunt nie poznałby nas o cztery kroki wśród takiej mgły. Chodźmy lyknać jej trochę.

— Zapewne — przemówił Porthos — dla urozmaicenia tego piwa.

Wybrali się więc we czterech, aby, jak to mówią po prostu, zwąchać, co się święci.

## ROZDZIAŁ XXV

### P R O C E S

Nazajutrz liczna straż poprowadziła Karola I-go przed sąd wyższego trybunału.

Tłumy zalewały ulice i domy, sąsiadujące z pałacem; z tego powodu czterej przyjaciele, uszedłszy kilka kroków zaledwie, spotkali zaporę prawie niemożliwą do przebycia, jaką stanowiły te żywe mury; kilku mężczyzn z ludu, barczystych i zuchwałych, tak grubjańsko odepchnęli Aramisą, że Porthos, podniósłszy pięść swoją, potężną, opuścił ją na zamączone oblicze piekarza, które natychmiast zmieniło barwę właściwą, pokrywając się krwią, jak rozdeptane dojrzałe winne grono.

Zajście to wywołało wielkie wzburzenie, znalazło się trzech takich, co chcieli się na Porthosa rzucić, lecz jednego odepchnął Athos, d'Artagnan drugiego, a trzeciego Porthos jak piłkę przerzucił sobie przez głowę. Kilku anglików, amatorów walki na pięści, oceniwszy szybkość i łatwość w wykonaniu obrotu, sypnęło oklaski.

Cały Londyn tłoczył się na trybuny; kiedy więc czterej przyjaciele docisnęli się do jednej z nich, zastali już trzy pierwsze ławki zajęte.

Było to pół biedy dla ludzi, którym głównie o to chodziło, aby ich nie poznano; zajęli więc miejsca, zadowoleni bardzo, z wyjątkiem Porthosa, który żałował, iż nie zasiądzie w pierwszych rzędach dla pokazania swego czerwonego kaftana i zielonych spodni.

Ławki ustawione były amfiteatralnie tak, że czterej przyjaciele górowali nad całym zgromadzeniem. Przypadek zrządził, iż zajęli trybunę środkową i tym sposobem

znaleźli się wprost fotelu, przygotowanego dla Karola I-go.

Około jedenastej przed południem król ukazał się we drzwiach sali. Wszedł otoczony strażą, lecz z głową nakrytą i postawą spokojną.

Sędziowie, dumni, że króla poniżyli, przygotowywali się widocznie do korzystania z przywłaszczonego sobie prawa.

Wkrótce też przystąpił do Karola woźny trybunału, by mu powiedzieć, iż zwyczaj wymaga, aby obwiniony stał przed sądem z odkrytą głową.

Król, nie odrzekłszy słowa, nacisnął jeszcze kapelusz i odwrócił głowę; następnie, gdy woźny się oddalił, zasiadł na fotelu umieszczonym wprost przydującego, smagając po swoich butach trzcinką trzymaną w ręku.

Nieodstępny Parry stanął za nim.

D'Artagnan, zamiast przypatrywać się ceremonjałowi, śledził wyraz twarzy Athosa, na której odbijały się wszystkie te wzruszenia, jakie król siłą panowania nad sobą ukrył w głębi duszy.

— Spodziewam się, — szepnął, nachylając się — że pójdziesz za przykładem Jego Królewskiej Mości, i nie dasz się po głupiemu zabić w tej klatce?

— Bądź spokojny, — rzekł Athos.

— A! a! — ciągnął d'Artagnan, — boją się czegoś widocznie, bo oto warti zdwajają; mieliśmy halabardy tylko, a teraz i muszkiety. Będzie teraz dla wszystkich: halabardy na słuchaczy z parteru, a muszkiety to już na naszą intencję.

— Trzydziestu, czterdziestu, pięćdziesięciu, siedemdziesięciu ludzi, — rzekł Porthos, rachując przybyłych.

— E! Porthosie, — szepnął Aramis, — zapominasz o oficerze: wart on, o ile mi się zdaje, aby go policzyć.

— Zapewne — mruknął d'Artagnan. I pobladł z wściekłości, gdyż poznał Mordaunta, który z obnażoną szpadą postępował za królem na czele muszkietierów, tuż naprzeciw trybuny.

— Miałby nas poznać? — mówił dalej d'Artagnan; — jeżeli tak, to zmykam co tchu. Nie pragnę wcale zostać rozstrzelanym w pudełku.

— Nie — rzekł Aramis — on nas nie widział. W króla



wpatrzony. Zuchwalec! miałaby go tak jak i nas nienawidzieć?

— Przebóg! — rzekł Athos, — my pozbawiliśmy go matki, a król odsądził go od nazwiska i majątku.

— To prawda, — odezwał się Aramis, — lecz cicho! oto prezydujący przemawia do króla.

W rzeczy samej prezydujący Branshawe zainterpelowwał dostojnego obwinionego.

— Stuarcie, — przemówił, — słuchaj wezwania imiennego twoich sędziów i przedstaw trybunałowi uwagi, jakie masz do zrobienia.

Król, jak gdyby te słowa nie do niego się stosowały, odwrócił od niego głowę.

Na stu sześćdziesięciu trzech członków ustanowionych, siedemdziesięciu trzech tylko było w stanie głos zabrać, gdyż reszta przerażona współnictwem tego zbrodniczego czynu, powstrzymała się od udziału.

— Wnoszę sprawę, — zagadnął Branshawe, udając że nie spostrzeżę nieobecności trzech piątych zgromadzenia.

I począł kolejno wymieniać z nazwiska wszystkich obecnych i nieobecnych członków.

Przyszła kolej na pułkownika Fairfax, i znowu krótka lecz uroczysta cisza, dowodząca nieobecności członków, którzy osobiście nie chcieli przyjąć udziału w tym sądzie.

— Pułkownik Fairfax? — powtórzył Branshawe.

— Fairfax? — odpowiedział drwiący lecz srebrzysty głos kobiety — nadto on ma rozumu, aby się tu znajdować.

Wybuch homerycznego śmiechu przyjął te słowa, wypowiedziane z zuchwałstwem, które kobiety czerpią we własnej swej słabości, chroniącej je od zemsty.

— To głos kobiety, — wykrzyknął Aramis. — A! daję słowo, dużobym dał za to, by młoda była i ładna.

I wspiął się na ławkę, usiłując przejrzeć trybunę, z której głos pochodził.

— Klnę się na duszę, — wybuchnął Aramis — że jest czarująca! Patrzaj, d'Artagnan, wszystkich oczy na nią zwrócone, i nie zbladła, choć ją Branshaw wzrokiem przeszywa.

— To lady Fairfax we własnej swojej osobie, — odezwał się zagadnięty — przypominasz ją sobie, Porthosie? widzieliśmy ją z mężem u generała Cromwella.

Po chwili powróciła cisza, zakłócona tym niezwykłym

po bocznym wypadkiem, i prowadzono w dalszym ciągu wokandę.

— Gotowi ci hultaje zamknąć posiedzenie, gdy się spostrzegą, że nie są w dostatecznej liczbie, — rzekł hrabia de La Fère.

— Nie znasz ich, Athosie, zauważ uśmiech Mordaunta, zobacz, jak patrzy na króla. Jest że to wzrok człowieka, lękającego się, aby mu ofiara jego nie uszła?

Po skończeniu wokandy, prezydujący nakazał odczytanie aktu oskarżenia.

Athos pobladł: raz jeszcze zawiódł się w oczekiwaniu.

Pomimo iż brakowało sędziów, proces przeprowadzono... król z góry był skazany.

— Ja ci mówiłem przecie, Athosie — odezwał się d'Artagnan, wzruszając ramionami. — Lecz ty mi wierzyć nie chcesz. A teraz zdobądź się na odwagę, nie psuj sobie krwi zbyt cieżko, proszę, i wysłuchaj tych szelmostw, które ów czarny jegomość z całą swobodą i przysługującym mu przywilejem wygłosi o królu swoim.

Rzeczywiście, równie brutalne zarzuty, niskie wymysły, wnioski nikczemne, nigdy jeszcze nie dotknęły królewskiego dostojenstwa. Karol przysłuchiwał się temu oskarżeniu, z wyjątkową uwagą, pomijając wymysły, zastanawiając się nad krzywdzącymi pociskami, a gdy już nieważność poczęła przebierać miarę, odpowiadał śmiechem, pełnym pogardy. W końcu odczytany był akt, w którym nieszczęsny król odnajdywał wszystkie nierozważne czyny swoje zamienione w podstęp, a błędy przeistoczone w zbrodnie.

D'Artagnan, który słuchał tego potoku wymysłów ze wzgardą, na jaką zasługiwały, zastanowił się jednak swym trzeźwym umysłem nad niektórymi z zarzutów oskarżającego.

— Jeżeli jest kara za nieroztropność i lekkomyślność, to ani słowa, że król zasługuje na nią; lecz zdaje mi się, że kara ta jest zbyt okrutną.

— W każdym razie — odparł Aramis, — kara nie może osiągnąć króla, lecz ministrów jego, gdyż najpierwszem prawem konstytucji angielskiej jest: *Król błędzić nie może.*

— Co do mnie, — myślał Porthos, zajęty głównie widokiem Mordaunta, — gdyby to nie było zakłóceniem po-

wagi chwili obecnej, zeskoczyłbym z trybuny, trzema susami wpadłbym na Mordaunta i udusił; potem porwałbym go za nogi i pozabijał nim tych wszystkich lichych muszkieterów, będących karykaturą muszkieterów francuskich. Przez ten czas d'Artagnan, który jest pełen trafnych pomysłów, znalazłby może sposób uratowania króla. Dobrzeby pomówić z nim o tem.

Athos zaś, z płomienną twarzą, z zaciśniętymi pięściami, z wargami do krwi przygryzionymi, pieniał się, siedząc na ławce, wściekły na tę nieskończoną obelgę parlamentarną i niewyczerpaną cierpliwość królewską.

W tejże chwili oskarżyciel kończył temi słowy:

„Obecnie oskarżenie wniesione jest przez nas w imieniu ludu angielskiego“.

Na te słowa szmer powstał w trybunach, i znowu głos, lecz nie kobiecy tym razem, ale męski i silny, zagrzemiał po za d'Artagnanem.

— Łesz! — krzyknął, — a to, coś powiedział, jest wstrętnem dziewięciu dziesiątym ludu angielskiego.

Był to głos Athosa, który, nieprzytomny prawie, stojąc z podniesioną ręką, przerwał mowę oskarżycielowi publicznemu.

Na okrzyk ten król, sędziowie, widzowie, wszyscy zgółta zwrócili oczy na trybunę, gdzie znajdowali się czterej przyjaciele.

Mordaunt poszedł za innymi i poznał szlachcica, otóżonego trzema nieodstępnyimi towarzyszami, którzy stali bladzi i groźni.

Gwałtownem skinieniem przywołał do siebie dwudziestu muszkieterów i, wskazując palcem trybunę, gdzie stali jego wrogowie, — krzyknął:

— Ognia do tej trybuny!

Lecz wtedy, jak myśl szybki, d'Artagnan pochwycił Athosa wpół, Porthos Aramisa, skoczyli z ławek, i niktą w korytarzach, zbiegli ze schodów i zmieszani z tłumem, przepadli.

Poznał i Karol czterech dzielnych francuzów; jedną ręką przycisnął serce, jakby chciał bicie jego powstrzymać, a drugą przysłonił oczy, aby nie widzieć, jak mordować będą jego wiernych przyjaciół.

Mordaunt, blady i drżący z wściekłości, wypadł z sali z obnażoną szablą, za nim dziesięciu halabardników; py-

tał, szukał wśród zbitego tłumu i, dysząc z nadmiaru złości, powrócił z próżnymi rękami.

Powstał zamęt nie do opisania.

Sędziowie przekonani byli, iż gotuje się wybuch ze strony widzów; ci zaś, przerażeni lufami muszkietów, skierowanymi ku sobie, pod wpływem bojaźni i zaciekawienia sprawiali okropne zamieszanie.

Nareszcie spokój został przywrócony.

— Co masz do powiedzenia na swoją obronę? — zapytał króla Branshawe.

Wtedy nie jak obwiniony, lecz tonem sędziego, z głową nakrytą, powstawszy nie z pokory, lecz z wyniosłością władzy, Karol I-szy rzekł:

— Odpowiedzcie mi, zanim pytać zaczniecie. Wolny byłem w Newcastle i tam zawarłem umowę z izbami. Zamiast ją spełnić, tak jak ja to uczyniłem, kupiliście mnie u Szkotów, nie nazbyt drogo, wiem o tem, co przynosi zaszczyt ekonomicznym zaletom waszego rządu. Lecz, nabywszy mnie za cenę prostego niewolnika, sądzicie, iż przestałem być waszym królem? Bynajmniej. Odpowiadać wam byłoby to samo, co zapomnieć o tem. Nie uczynię więc tego, dopóki nie dowiedziecie mi praw, przysługujących wam do badania mnie. Gdybym wam odpowiadał, uznawałbym was tym sposobem za sędziów moich, a ja was jedynie za katów uznaję.

I wśród milczenia grobowego, spokojny, wyniosły, z nakrytą głową, zajął Karol napowrót miejsce w fotelu.

— Czemuż ich tu niema, tych francuzów moich! — rzekł półgłosem Karol, z dumą zwracając oczy ku trybunie, gdzie ukazali mu się przed chwilą — widzieliby, że przyjaciel ich żyw, godzien jest obrony; umarli zaś wart, by po nim płakano.

— A zatem, — odezwał się prezydujący, widząc w Karolu niezwalczone postanowienie milczenia — niech i tak będzie, osądzimy cię, pomimo iż mówić się wzbranasz, obwiniony jesteś o zdradę, nadużycie władzy i zabójstwo. Świadkowie złożą na to przysięgę. Odejdź a posiedzenie następne dopełni tego, czego dzisiaj uczynić odmawiasz.

Powstał Karol; zwrócił się do wiernego swego Parry, a widząc go bladego z kroplami potu na skroniach:



*Jeśli nie jesteś zmęczony, mój drogi Parry, to czytaj dalej.*



— Cóż znowu! mój drogi Parry, co ci jest i czego tak jesteś wzruszony?

— O! Najjaśniejszy Panie, — odpowiedział tenże z oczami łez pełnem: i głosem błagalnym; — Najjaśniejszy Panie, gdy będziesz wychodził z sali, nie obejrzyj się czasem na lewo.

— A to czemu, Parry? Cóż tam jest takiego? mówże, — odezwał się Karol, usiłując dojrzeć przez szpał straży, po za nim stojącej.

— Jest tam, jest tam na stole topór, którym ścinają złoczyńców. Okropny to widok; nie patrz, królu, zmiłuj się.

— Głupcy! — rzekł Karol, — czyż mają mnie za takiego tchórza, jakim są sami? Dobrze, żeś mnie ostrzegł; dziękuję ci, Parry.

Nadeszła wreszcie chwila odejścia, król więc postępować zaczął w ślad za swoją strażą.

— Doprawdy, Parry — ciągnął król odchodząc dalej, — Panie odpuść; ci ludzie biorą mnie za kupca bawełny indyjskiej, a nie szlachcica, przywykłego do widoku polyskującej stali; czyż sądzą, iż wart jestem mniej, niż pierwszy lepszy rzeźnik?

Z temi słowy do drzwi doszedł: tam nadciągnęły nieprzebite szeregi ludu, który nie mogąc mieć miejsca w trybunale, pragnął napaść oczy zakończeniem widowiska. Tłum ten niezliczony, w którym groźne przeglądały oblicza, podniósł pierś królewską lekkim westchnieniem.

— Co tu ludzi, a ani jednego wiernego przyjaciela! — pomyślał.

Kiedy wymawiał w duchu te słowa, pełne zwątpienia, jak gdyby w odpowiedzi na nie, tuż przy nim odezwał się głos:

— Cześć upadłemu monarsze!

Żywo obejrzał się król ze łzami w oczach. Był to stary żołnierz z jego gwardji, niemogący tego znieść, aby nie złożyć hołdu przechodzącemu królewskiemu więźniowi.

Lecz jednocześnie prawie zbito nieszczęsnego uderzeniami rękojeści szabel.

Pomiędzy pastwiącemi się nad żołnierzem poznał król kapitana Grossłowa.

— Niestety! — odezwał się król, — to zbyt wielka kara za tak małe przewinienie.

I postępował dalej z ciężkim smutkiem na duszy; lecz i stu kroków jeszcze nie uszedł, kiedy szaleniec jakiś, wychyliwszy się z pomiędzy dwóch żołdaków, stanowiących szpaler, plunął w twarz królowi, jak niegdyś bezecny i przekłety żydowin plunął w twarz Jezusowi Nazareńskiemu. Wybuchy śmiechu i głuche szemrania mieszały się spodem; tłuszcza rozstępowała się, ścieśniała, falowała, jak morze wzburzone, a królowi się zdało, iż z pośród tej żywej spiętrzonej fali ujrzał błyszczące oczy Athosa.

Karol otarł oczy i rzekł ze smutnym uśmiechem.

— Nieszczęsny! za pół gwinei zrobiłby to samo ojcu swojemu.

Nie mylił się król; widział w rzeczy samej Athosa i jego przyjaciół, którzy, znowu zmieszani z tłumem, spojrzeniem chociaż towarzyszyli królowi męczennikowi. Gdy żołnierz powitał Karola, serce Athosa rozplynęło się z radości; i biedak, oprzytomniawszy, znalazł w kieszeni dziesięć gwinei, które wsunął mu szlachcic francuski. A na widok jak nikczemny wyrzutek obryzgał śliną oblicze króla męczennika, Athos ścisnął kurczowo rękojeść pułgnału. Lecz powstrzymał mu rękę d'Artagnan, i rzekł głosem ochryplym.

— Zaczekaj!

D'Artagnan nigdy dotąd nie mówił „ty“ do Athosa. Athos zastanowił się. D'Artagnan, wsparty na Athosie, skinął na Porthosa i Aramis, by tuż przy nim stanęli, a sam zajął miejsce poza plecami człowieka z rękami, obnażonemi wyżej łokci, który dotąd śmiał się jeszcze z nikczemnego żarciku swego, a inni szaleńcy mu tego winszowali. Człowiek ten wraz z dwoma towarzyszami począł iść w kierunku City. D'Artagnan, ciągle wsparty na Athosie, krok w krok szedł za nim, dając znak Porthosowi i Aramisowi, aby ich nie odstępowali.

D'Artagnan puścił ramię Athosa i szedł za naigrywawczem.

Gdy już byli w pobliżu rzeki, trzech ci ludzie spostrzegli, że są śledzeni, stanęli więc i, zuchwale patrząc na Francuzów, poczęli z nich pomiędzy sobą drwinkować.

— Athosie, ja nie umiem po angielsku — odezwał się d'Artagnan — lecz ty umiesz i służyć mi będziesz za tłumacza.

Z temi słowy, przyspieszywszy kroku, wyminęli ich.



Lecz nagle d'Artagnan zawróciwszy puścił się prosto na parobka rzeźniczego, który się zatrzymał, a przyłożywszy mu palec wskazujący do piersi:

— Powtórz mu to, Athosie — rzekł do przyjaciela: „Byłeś nikczemny, zelżyłeś człowieka bezbronnego, znie-ważyłeś oblicze swojego króla, giń więc!...”

Blady jak widmo Athos, przełożył te niezwykłe słowa człowiekowi, który na widok tych przygotowań i przerażających oczu d'Artagnana, usiłował się bronić. Widząc to, Aramis sięgnął do szpady.

— Daj pokój z żelazem!... — rzekł d'Artagnan — to broń szlachecka. — Porthos — zawołał — zwał tego nędznika jednym uderzeniem pięści.

Porthos wznosił potężne ramię, świsnął niem jak procą w powietrzu, i ciężka masa z głuchym odgłosem spadła na czaszkę nikczemnika, którą zmiażdżyła odrazu.

Człowiek ten padł, jak pada wół pod uderzeniem obucha.

Towarzysze jego zabierali się do ucieczki, próbowali wołać, lecz głos zamarł im w gardle, a nogi wypowiedziały posłuszeństwo.

— To im powiedz jeszcze, Athosie — ciągnął d'Artagnan: — „Podobną śmiercią zginą ci wszyscy, co zapominają, że głowa człowieka w okowach staje się świętością, że król niewolnik jest przedstawicielem podwójnym Pana nad Pany“.

Znowu Athos powtórzył słowa d'Artagnana.

Dwaj ci ludzie, odzyskując naraz głos i siły, uciekli krzycząc na całe gardło.

— Sprawiedliwość wymierzona!... — przemówił Porthos, ocierając czoło.

— A teraz — odezwał się d'Artagnan do Athosa — nie wążp we mnie i spokojnie się zachowaj, ja biorę na siebie wszystko, co dotyczy króla.

## ROZDZIAŁ XXVI

### W H I T E - H A L L

Stało się, co łatwe było do przewidzenia, parlament skazał Karola Stuarta na śmierć.

Jakkolwiek bohaterowie nasi przygotowani byli na taki wyrok, jednak ostateczna wieść o nim napełniła ich ciężkim bólem.

D'Artagnan, którego umysł nigdy tak twórczym nie bywał, jak w chwilach stanowczych, poprzysiągł znowu, iż wszelkie sprężyny poruszy, aby przeszkodzić rozwiązaniu tej strasznej tragedji.

Lecz jakim sposobem?...

Jedynym środkiem na teraz było usunięcie kata z Londynu. Gdy jego zabraknie, wyrok spełniony być nie może.

Niezawodnie posłanoby po innego do najbliższego miasta, lecz stanowiłoby to zwłokę najmniej jednodniową, a w takich razach dzień jeden to ocalenie prawdopodobne!

D'Artagnan podjął się tego, więcej niż trudnego, zadania.

Niemniej ważną rzeczą było uprzedzić Karola Stuarta, iż przedsięwzięte zostaną środki ocalenia go, aby nie popełnił nic takiego, coby plany ich mogło pokrzyżować.

Aramis wziął to na siebie.

Karol Stuart zażądał, aby dozwolono biskupowi Juxon odwiedzić go w więzieniu White - Hall.

Tegoż wieczora jeszcze Mordaunt stawił się u biskupa, aby mu przedstawić pragnienie religijne, objawione przez króla, jako też i upoważnienie Cromwella. Aramis postanowił bądź groźbą, bądź perswazją nakłonić biskupa, aby mu pozwolił przedostać się do White - Hall w przebraniu duchownem ze wszelkimi oznakami kapłaństwa.

Athos nakoniec podjął się, na wszelki wypadek, przygotować środki do opuszczenia Anglii.

Oznaczono sobie schadzkę w oberży o godzinie jedenastej, skąd każdy w swoją stronę ruszył, dla wykonania tego niebezpiecznego planu.

Pałac White - Hall strzeżony był przez trzy pułki konnicy. Cromwell, którego wszędzie było pełno, co chwila rozsyłał swoich agentów. Sam jeden w swoim ulubionym pokoju przy dwóch świecach tylko, monarcha, skazany na śmierć, rozważał ze smutkiem blask ubiegłej swojej wielkości. Parry nie odstępował pana, a od chwili wyroku oczy jego z łez nie osychały.

Karol Stuart, łokciami wsparty na stole, wpatrywał się w medaljon, w którym były przy sobie portrety żony jego i córki.

Najpierw oczekiwał Jaxona, a po Jaxonie męczeństwa.

Myśl jego zatrzymywała się czasami na dzielnych szlachcicach francuskich, którzy wydawali mu się teraz postaciami bajecznymi, urojonemi.

Niekiedy sam zadawał sobie pytanie, czy obecna chwila snem tylko nie jest lub szałem gorączkowym.

— Niestety!... — mówił w duchu — gdybym przynajmniej miał za spowiednika jedną z tych światłości kościoła, kapłana którego dusza zgłębiła wszelkie tajniki życia, wszelkie małości wielkości, może głos jego stłumiłby skargi, rozdzierające mi duszę!... Lecz ja będę miał kapłana umysłu pospolitego, którego karierę zламаłem własnym mojem nieszczęściem. On powie mi o Bogu i śmierci tak samo, jak do innych umierających przemawiał, nie pojmując wcale, iż ten umierający monarcha pozostawia tron uzurpatorowi, a dzieci jego chleba kawałka nie mają.

Następnie, do ust portret zbliżając, szeptał imiona każdego z dzieci kolejno.

Jak powiedzieliśmy, noc była ciemna i mglista. Zegar na sąsiednim kościele zwolna wydzwaniał godzinę.

Karola opanował smutek bezbrzeżny. Ukrył czoło w dłoniach, śnił o świecie tak pięknym, gdy go porzucić mamy, a raczej gdy on nas opuszcza, o słodkich pieśczołach dziecięcych, tem rozkoszniejszych, że oddalonych, których nigdy oglądać nie będzie mu dano; o żonie wresz-

cie szlachetnej i mężnej istocie, podtrzymującej go do ostatniej chwili.

Wydobył spoczywający mu na piersiach krzyżyk dżamentowy i order podwiązki, który przysłała mu przez tych francuzów szlachetnych, i ucałował; a na myśl, że nie ujrzy ona tych przedmiotów wpierv, aż kiedy spocznie z głową odciętą w zimnym grobie, uczuł w sobie dreszcz lodowaty, którym darzy śmierć, zanim ofiarę swoją czarnym całunem przykryje.

Nagle w korytarzu odezwały się kroki, drzwi się rozwarły, pochodnie zalały pokój przydymionem światłem, i wszedł duchowny w szatach biskupich, a za nim straż, którą Karol oddalił rozkazującym ruchem ręki.

Z odejściem straży, pokój pozostał jak przedtem, napół oświetlony zaledwie.

— Jaxon!... — wykrzyknął Karol — Jaxon!... Dzięki ci, przyjacielu ostatni; w porę przychodzisz do mnie.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł biskup — pozwól niech hołd mój złożę Waszej wysokości, i powiem, kim jestem i po co przychodzę.

Na głos ten Karol omało nie wydał okrzyku, lecz Aramis położył palec na ustach i głęboki ukłon złożył królowi Anglii.

— Rycerzu — wyszeptał Karol.

— Tak, Najjaśniejszy Panie — przerwał Aramis, podnosząc głos — tak, jestem biskupem Jaxon, wiernym rycerzem Chrystusa, i przychodzę na żądanie Waszej Królewskiej Mości.

Karol splótł dłonie jak do modlitwy; poznał d'Herblay'a.

— Ty tutaj, rycerzu!... — rzekł — jakim sposobem się tu dostałeś?... Mój Boże, zginąłbyś, gdyby cię poznano.

Parry stał jak wryty, a cała jego postać wyrażała uczucie niekłamane, najgłębszego uwielbienia.

— Nie troszcz się o mnie, Najjaśniejszy Panie — odezwał się Aramis, dając królowi znak milczenia — pomyśl o sobie tylko; widzisz, że przyjaciele twoi czuwają; co uczynimy, tego nie wiem jeszcze; lecz czterech ludzi, gotowych na wszystko, dużo zdziałać może. Tymczasem nie zmróż oka przez całą noc, niczemu się nie dziw i bądź przygotowany na wszystko.

Karol potrząsnął głową.

— Przyjacielu — rzekł — czy wiecie, że nie macie cza-

su do stracenia?... Czy wiecie, że już jutro o dziesiątej mam umrzeć?...

— Najjaśniejszy Panie, w ciągu tego czasu musi stać się coś takiego, co uniemożliwi spełnienie wyroku.

Król wpatrzył się w Aramisa ze zdziwieniem.

W tejże samej chwili, pod oknem królewskim ozwał się straszny trzask, jakby się łamał wóz, naładowany drzewem.

— Czy słyszysz?... — odezwał się król.

Za tym trzaskiem dał się słyszeć okrzyk bolesny.

— Słucham — odparł Aramis — lecz nie pojmuję, co to za hałas, a nadewszystko co to za okrzyk.

— Nie wiem, kto go wydał — mówił król — lecz z tego trzasku mogę ci zdać sprawę; to drzewo, są to belki i wiązania, z których mój szafot zbudują. Robotnik jakiś musiał się skaleczyć, wyładowując je z wozu.

Dreszcz mimowolny przeszedł Aramisa.

— Przekonaj się teraz — mówił Karol — że daremnie jest, byście upierali się dłużej; jestem skazany... zostawcie mnie mojemu losowi.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się Aramis, odyskując na chwilę spokój, — niechaj wznoszą rusztowanie, ale nie znajdą wykonawcy wyroku.

— Co chcesz przez to powiedzieć?... — zapytał król.

— To, Najjaśniejszy Panie, że o tej godzinie, kat jest już pojmany, lub przekupiony; jutro szafot będzie gotowy, lecz kata nie stanie, na pojutrze więc egzekucję odłożą.

— A potem?... — odezwał się król.

— A potem — rzekł Aramis — nocy jutrzejszej wykradniemy Waszą Królewską Mość.

— Jakim sposobem?... — wykrzyknął król, którego twarz zajaśniała blaskiem mimowolnej radości.

— O!... panie — wyszeptał Parry, składając ręce — bądź błogosławiony wraz ze wszystkimi twoimi.

— Jakimże sposobem?... — powtórzył król pytanie — chcę wiedzieć, aby dopomódz wam, jeśli będzie tego potrzeba.

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie; lecz najzręczniejszy, najodważniejszy i najwięcej Wam oddany z nas czterech, powiedział, rozstając się ze mną: „Kawalerze, powiedz królowi, że wykradniemy go jutrzejszej nocy, o godzinie dziesiątej“. Skoro on tak powiedział, uczyni to.

— Powiedz mi nazwisko tego szlachetnego przyjaciela — rzekł król — abym mu wieczną wdzięczność zachował, czy powiedzie mu się lub nie.

— D'Artagnan, Najjaśniejszy Panie, ten sam, który o mało nie ocalił cię, kiedy tak nie w porę wszedł pułkownik Harrison.

— Doprawdy, jesteście ludźmi nieocenionymi! — mówił król — gdyby mi opowiadano coś podobnego, nigdybym nie uwierzył.

— A teraz, wysłuchaj mnie, Najjaśniejszy Panie. Nie zapominaj ani na chwilę, że czuwamy nad twojem ocaleniem, badaj, słuchaj, rozbieraj najmniejszy gest, śpiew, znak, pochodzący od tych, co zbliżać się będą do ciebie, niech nic uwagi twojej nie ujdzie.

— O!... kawalerze!... — zawołał król. — Kawalerze, połów twą rękę na dłoni mojej... jest to dłoń przyjaciela, który kochać cię będzie do ostatniego tchnienia.

Aramis chciał ucałować tę rękę, lecz król pochwycił dłoń jego i złożył ją sobie na sercu.

W tej chwili, nie zastukawszy nawet do drzwi, wszedł jakiś człowiek; Aramis chciał rękę usunąć, król ją zatrzymał.

Wchodzący był jednym z purytanów, pół ksiądz, pół żołnierz, jakich dużo namnożyło się przy Cromwellu.

— Czego żądasz, mój panie?... — zapytał król.

— Wszyscy ludzie są braćmi — odrzekł purytanin. — Skoro więc jeden z braci moich ma umrzeć, przychodzę przygotować go na śmierć.

— Dość tego — odezwał się Parry — królowi na nic się nie przydadzą wasze kazania.

— Najjaśniejszy Panie — szepnął Aramis — ostrożnie z nim, to niezawodnie jakiś szpieg.

— Po przewielebnym doktorze biskupie — rzekł król — wysłucham cię, panie, z przyjemnością.

Odszedł człowiek z zezowatemi oczami, nie omieszkawszy z wielką pilnością przypatrzeć się Juxonowi, co bynajmniej nie uszło uwagi króla.

— Kawalerze — rzekł on, gdy drzwi się już zamknęły — sądzę, iż miałeś słuszną przysięgę, człowiek ten przyszedł ze złemi zamiarami: wychodząc stąd miej się na baczności, aby nie spotkało cię nieszczęście.

— Dziękuję Waszej Królewskiej Mości — odparł Ara-

mis, lecz zechciej się uspokoić, pod tą suknią mam koszulkę drucianą i puginał.

— Odejdź więc, i niech Bóg czuwa nad tobą, jak miałem w czasach, gdy byłem jeszcze królem.

Wyszedł Aramis, król odprowadził go do progu. Przechodząc, siał błogosławieństwami, pod którymi chyliły się głowy gwardzistów, majestatycznie przebył przedpokoje, przepelnione żołdactwem, wsiadł do karety, za którą straż podążyła aż stanął przed arcybiskupstwem.

Juxon z wielkim niepokojem oczekiwał jego powrotu.

— I cóż?... — odezwał się spostrzegając Aramisa.

— Otóż — odparł tenże — udało się wszystko według mego życzenia; szpiegi, straż, poplecznicy, wzięli mnie za Waszą Wielebność a król błogosławi Was, oczekując Waszego błogosławieństwa.

— Boże ci dopomóż, mój synu, gdyż przykład twój dodał mi nadziei i odwagi zarazem.

Aramis przebrał się w swoje suknie i płaszcz i wyszedł, zapowiadając Juxonowi, że jeszcze raz do niego się odwoła. Zaledwie kilka kroków uszedł ulicą, zauważył, iż jest śledzony przez człowieka w ogromnym płaszczu; chwycił za sztylet i stanął. Człowiek poszedł prosto ku niemu. Był to Porthos.

— A!.. to ty, przyjacielu!... — rzekł Aramis, wyciągając ku niemu rękę.

— Widzisz — mój kochany, każdy z nas miał swoje posłannictwo: mojem było strzedz ciebie, a więc cię strzegłem. Widziałeś króla?...

— Widziałem... wszystko dobrze idzie... A teraz, nasi przyjaciele, gdzie oni?...

— O jedenastej mamy się zejść w zajeździe.

— Niema więc czasu do stracenia — rzekł Aramis.

Rzeczywiście, na kościele Ś-go Pawła biło w pół do jedenastej. Lecz ponieważ dwaj przyjaciele spieszyli się bardzo, pierwsi stanęli na miejscu.

Zaraz po nich powrócił Athos.

— Wszystko idzie dobrze — rzekł, nie dając im czasu na pytania.

— Co zrobiłeś?... — zagadnął Aramis.

— Mały statek, wąski jak piroga, a jak jaskółka lekki czeka nas w Greenwich, wprost Psiej wyspy. Dostaśmy się tylko z królem na pokład, a skorzystamy z odpływu

i z biegiem Tamizy wprzeciągu dwóch godzin, znajdziemy się na pełnym morzu. Gdybym został zabity wiedzcie, że kapitan nazywa się Roger, a statek *Błyskawica*. Z pomocą tego ostrzeżenia, z łatwością jednego i drugą odnajdziecie. Umówionym znakiem jest chusteczka z węzłami na czterech rogach.

Za chwilę wszedł znowu d'Artagnan.

— Wypróżniajcie kieszenie — zawołał — aż do ilości stu funtów szterlingów, bo, co do moich... — i d'Artagnan wyrzucił swoje kieszenie najzupełniej puste.

W sekundę suma była zebrana; d'Artagnan wszedł i zaraz powrócił.

— Ha!... — odezwał się — skończone. Uf!... nie bez trudu.

— A gdzie jest kat?... — pytał Athos.

— W piwnicy...

— W jakiej piwnicy?...

— W piwnicy naszego gospodarza!... Mousqueton siedzi tam na progu, a tu jest klucz.

— Bravo!... — odezwał się Aramis — lecz jakim sposobem skłoniłeś go, żeby się ukrył?...

— Jak wszystko na tym świecie, pieniędzmi; kosztowało mnie to drogo, ale się zgodził.

— Ile, na przykład, przyjacielu?... — odezwał się Athos — bo, pojmujesz, teraz gdy nie jesteśmy już temi gołemi muszkietierami bez komina i kąta, wszelkie wydatki winny być wspólne.

— Kosztowało mnie to dwanaście tysięcy liwrów — rzekł d'Artagnan.

— A skąd je wzięłeś?... — pytał Athos — czyś był w posiadaniu tej sumy?...

— A pamiętny djament królowej!... — rzekł z westchnieniem d'Artagnan.

— Ah!... prawda — odezwał się Aramis — poznałem go u ciebie na palcu.

— Odkupiłeś go więc od pana des Essarts?... — zagadnął Porthos.

— Eh!... tak, mój Boże; lecz tam w gónze napisano, że nie będę go mógł utrzymać. Cóż chcesz!... trzeba przypuścić, że djamenty, tak samo jak ludzie, mają swoje sympatje i antypatje; ten niecierpi mnie widocznie.

— Lecz z katem dobrze się powiodło — rzekł Athos —



jednak każdy z nich ma pomocnika, parobka, trudno wiedzieć.

— I ten miał także swojego; lecz szczęście nam sprzyja.

— Jakto?...

— W chwili, gdy myślałem, iż z drugim użyję zachodu, przyniesiono zucha ze złamaną nogą. Przez zbytek gorliwości puścił się aż pod okna królewskie. za wozem naładowanym belkami i wiązaniami, jedna z nich spadła mu na piszczel i złamała.

— Ah!... — rzekł Aramis — więc to on tak krzyknął, aż słyszałem z pokoju króla?...

— Prawdopodobnie — odparł d'Artagnan — lecz ponieważ jest człowiekiem dobrze myślącym, przyrzekł przysłać czterech robotników na swoje miejsce, doświadczonych i zręcznych, do pomocy tym, co już są przy pracy, i wróciwszy do swego patrona, jakkolwiek okaleczony, bezzwłocznie napisał do imci pana Tomasza Low, terminatora ciesielskiego, a swego przyjaciela, z prośbą, aby udał się do White - Hall, dla spełnienia jego obietnicy. Oto list został wysłany umyślnym za dziesięć pensów, a odprzedany mi za luidora.

— Co u diabła chcesz zrobić z tym listem?... — zapytał Athos.

— Nie zgadujesz?... — rzekł d'Artagnan, ze spojrzaniem błyszczącym przebiegłością.

— Nie, na moją duszę!...

— Słuchaj więc!... drogi Athosie, ty, co mówisz po angielsku, jak sam John Bull, ty będziesz imci panem Tomaszem Low, a my trzej twoimi towarzyszami; rozumiesz teraz?...

Athos wykrzyknął z radości i podziwu, pobiegł do schowanka, skąd dobył ubramia robotników, które przywdzieli czterej przyjaciele; wyszli następnie z zajazdu, Athos niosąc piłę, Porthos drąg żelazny, Aramis siekiere, a d'Artagnan młotek i gwoździe.

List pomocnika katowskiego znalazł wiarę u majstra ciesielskiego, uwierzył, iż to byli ci sami, na których oczekiwał.

## ROZDZIAŁ XXVII

### R O B O T N I C Y

Około północy Karol posłyszał ogromny łoskot pod oknem: były to uderzenia młota i siekiery, szcęk lewara i zgrzyt piły. Sam jeden w ciemności i opuszczeniu, nie czuł sił do przetrwania tej nowej męczarni, nie zawartej w programie jego katuszy, posłał więc Parry do stojących na warcie, aby ci poprosili robotników o zmniejszenie hałasu, przez litość nad ostatnim snem tego, co niedawno był ich królem.

Warta nie chciała opuścić stanowiska, lecz zgodziła się na to, aby Parry poszedł sam. Okrążywszy pałac, dostał się Parry w pobliże okna i zobaczył na równi z balkonem, dokoła którego oderwano sztachety, szerokie rusztowanie jeszoze nie wykończone, które zaczęto pokrywać obiciem z czarnej kitajki.

Rusztowanie to, wzniesione do wysokości okna, czyli na dwadzieścia stóp najmniej, miało dwa niższe piętra. Jakkolwiek odpychającym był widok ten dla Parry'ego, wyszukał pomiędzy kilkunastu robotnikami, tych co swym hałasem najwięcej nużyli króla.

Parry wspiął się do nich po drabinie.

— Przyjaciele — odezwał się — czy zechcecie choć trochę mniej hałasu sprawiać, proszę was? Król śpi, a potrzebuje spoczynku.

Człowiek walący drągiem zawiesił go chwilę w powietrzu, i obejrzał się tylko; lecz że znajdował się w postawie stojącej, nie mógł Parry dojrzeć jego twarzy z powodu otaczających ją ciemności.

Człowiek na klęczkach obejrzał się także; lecz ten niżej

był, niż jego stojący towarzysz, na twarz jego zatem padało światło latarni; Parry przyjrzał mu się dokładnie.

Człowiek wpatrzył się w niego bystro i położył palec na ustach.

Parry cofnął się zdumiony.

— Dobrze, dobrze — odparł robotnik wyborną angielszczyzną, idź i powiedz królowi, że jeżeli źle będzie spał tej nocy, na przyszłą zato wyśpi się doskonale.

Cierpka ta odpowiedź, wzięta dosłownie, przerażające miała znaczenie; przez pracujących obok i na niższym piętrze robotników przyjęta została wybuchem okrutnej wesołości.

Parry odszedł, sądząc, że we śnie jakimś się znajduje.

Karol czekał z niecierpliwością na jego powrót.

Gdy wchodził, warta czuwająca u drzwi ciekawie zaglądała co król porabia.

Leżał on na łożu wsparty na łokciu.

Parry zamknął drzwi i podchodząc ku niemu z twarzą promieniejącą szczęściem:

— Najjaśniejszy Panie — rzekł przyciszonym głosem — czy wiesz, kto są ci robotnicy, co czynią tyle hałasu?

— Nie wiem — rzekł król, smutnie potrząsając głową — skąd chcesz bym wiedział o tem? czyż ja znam tych ludzi?

— Najjaśniejszy Panie — ciszej jeszcze mówił Parry, pochylając się nad łóżkiem swego pana — to hrabia de la Fère i jego towarzysz.

— Ci co szafot stawiają dla mnie?... — zdziwiony rzekł król.

— Tak, a stawiając go, wiercą w murze otwór.

— Cicho!... — odezwał się król, z przerażeniem patrząc dokoła. Widziałeś ich?

— Mówiłem z nimi.

Król złożył dłonie i oczy wzniosł do nieba.

Nie omylił się Parry, poznając Athosa.

On to istotnie z pomocą Porthosa wydrążył dziurę, w której umocowana być miała belka poprzeczna.

Otwór ten miał łączność z rodzajem antresoli znajdującej się tuż pod podłogą pokoju królewskiego. Raz się tam dostawszy, można było z pomocą lewara i silnych ramion, a to należało do Porthosa, wyważyć jedną taflę posadzki; król przesunąłby się przez ten otwór, i schronił wraz

z wybawcami swemi w jednym z przedziałów rusztowania, osłoniętych szczelnie czarną draperją, narzuciły na siebie także ubranie robotnika przygotowane tam już dla niego, i bez żadnej przeszkody ani strachu, zszedł na dół wraz z czterema swemi towarzyszami. Straże, ujrawszy robotników pracujących przy rusztowaniu do chwili ostatniej, przepuściłyby ich bez podejrzenia.

Athos tedy zdierał swoje piękne, białe ręce przy podnoszeniu kamieni, które Porthos wywazał z posady.

Przy pierwszym brzasku poranka otwór był skończony.

Athos wszedł tam, zabrawszy ubranie przeznaczone dla króla, owinięte w skrawki czarnej kitajki. Porthos podał mu drąg żelazny; a d'Artagnan przygwoździł, jako ozdobę zbytkowną, firankę zewnętrzną z kitajki, poza którą otwór z tem, co wewnątrz zawierał, stał się niewidoczny.

Dwóch godzin tylko trzeba było na to, by Athos mógł skomunikować się z królem; a, według przewidywań czterech przyjaciół, cały dzień mieli przed sobą, skoro w braku miejscowego kata wypadnie posłać po innego aż do Bristolu.

D'Artagnan powrócił do siebie dla przebrania się w tabaczkowe ubranie, a Ponthos w swój kaftan czerwony; Aramis zaś udał się do Juxona, by przedostać się z nim, jeżeli to będzie możebnem, do uwięzionego króla.

Wszyscy trzej nazaczyli sobie na południe schadzkę na placu White-Hall, aby zobaczyć, co się tam dzieć będzie.

Przed odejściem z rusztowania, Aramis zbliżył się do otworu, gdzie był ukryty Athos, by mu oznajmić, iż postara się zobaczyć z królem.

Athos objął szyję Aramisa i serdecznie go ucałował.

— To dla ciebie — rzekł. — A teraz, jeżeli umrę, powiedz d'Artagnanowi, że kocham go, jak własne dziecko, i uściskaj go ode mnie. A także naszego zacnego i dzielnego Porthosa. Żegnaj.

— Żegnaj — powtórzył Aramis. — Jestem teraz tak pewny, że król będzie ocalony, jak przekonany jestem, iż trzymam w uścisku najuczciwszą w świecie rękę.

Rozstawszy się z Athosem, Aramis zszedł z rusztowania i powrócił do zajazdu, pogwizdując nutę jednej z piosenek utworzonych na cześć Cromwella.

Aramis zdał sprawę z tego, co należało; d'Artagnan potakiwał głową a Porthos głosem.

— Brawo!... — zawołał — wreszcie i my będziemy tam podczas jego ucieczki: ukryć się pod rusztowaniem wybornie można.

D'Artagnan, ja, Grimaud i Mousqueton, wystarczymy na czterech: Blaissois nie liczę, on tylko do koni przydatny. Po dwie minuty na zabicie jednego, czyni cztery minuty; Mousquetonowi wystarczy jedna, to już pięć minut przez ten czas możecie ćwierć mili upalić!

— A teraz — rzekł Aramis — idę do Jego Wielbności. Zajmij się przygotowaniem broni, Porthos; a ty, d'Artagnan, pilnuj swego kata.

Aramis rozstał się z nimi tak samo, jak z Athosem, czyli uściskawszy ich serdecznie; następnie, udał się do biskupa Juxona, któremu przedstawił swoją prośbę.

Juxon tem łatwiej przystał na zabranie Aramis, że uprzedził już władzę o zapotrzebowaniu księdza, w razie gdyby król zechciał komunikować, lub pragnął wysłuchać mszy świętej.

W tem samem abramiu, co Aramis wczoraj, wsiadł biskup do karety.

Aramis, więcej zmieniony bladością i smutkiem, niż szatą djakona, zajął miejsce obok niego.

Powóz stanął przed bramą Whitehall; była godzina dziewiąta rano. Nie było żadnej widocznej zmiany; tak jak przedtem korytarze i przedpokoje roiły się żołnierstwem.

Król pełen był nadziei, ponowny widok Aramis nadzieję zamienił w radość. Juxona ucałował, Aramisowi uściskał rękę. Juxon zwrócił się do obecnych z prośbą, aby pozostawili go samego z królem.

Usunęli się wszyscy. Skoro tylko drzwi się zamknęły za nimi:

— Najjaśniejszy Panie — rzekł z pośpiechem Aramis — jesteś ocalony. Kat londyński przepadł; pomocnik jego złamał nogę wczoraj pod oknem. Waszej Królewskiej Mości. To jego krzyk słyszeliśmy. Bezwątpienia spostrzeżono zniknięcie wykonawcy; lecz nigdzie, prócz Bristolu, niema innego kata, a by posłać po niego, na to potrzeba czasu. My zaś mamy go najmniej do jutra.

— A hrabia de la Fère?... — zapytał król.

— O dwie stopy od ciebie, Najjaśniejszy Panie. Weź cęgi z kominka i uderz trzy razy, usłyszysz jak ci odpowie.

Król drżącą ręką, ujął narzędzie i uderzył niem trzy razy w równych odstępach. Natychmiast w odpowiedzi na dany sygnał rozległy się pod posadzką trzy miarowe uderzenia.

— Więc ten, co mi tam odpowiada...

— Jest hrabią de la Fère, Najjaśniejszy Panie — rzekł Aramis. — On toruje drogę do ucieczki Waszej Królewskiej Mości.

— Weź ten pugiinał, Parry — rzekł Aramis — podważysz nim tę marmurową płytę, uważaj tylko, byś go nie stępił zbyt, gdyż może w czem innym niż w kamieniu wypadnie ci nim wiercić.

— O! Juxon — odezwał się król, ujmując obydwie ręce biskupa, — Juxon, zachowaj w pamięci prośbę tego, co królem był twoim... — Módl się całe życie za tego oto szlachcica, za tego, co pod stopami twojemi go słyszysz, i za dwóch innych jeszcze, którzy gdziekolwiek są, czuwają, jestem tego pewny, nad mojem wybawieniem.

— Najjaśniejszy Panie — odparł Juxon — rozkaz twój będzie spełniony. Dopóki życia mojego, co dnia Bogu ofiaruję modły za tych wiernych przyjaciół Waszej Królewskiej Mości.

Nagle hałas niespodziany rozległ się w galerji. Aramis chwycił za szczyptę i dał niemi znak zawieszenia pracy.

Hałas przybliżał się: były to kroki liczne zgodne i miarowe. Czterej mężczyźni stanęli nieruchomi, z oczami utkwionemi we drzwiach, które rozwarły się zwolna.

Czarno ubrany komisarz parlamentu pełen złowróznej powagi, wszedł, skłonił się królowi, i rozwijając pargamin, odczytał mu wyrok.

— Co to znaczy?... — zagadnął Aramis Juxona.

Juxon uczynił gest wyrażający, że i on pod tym względem również jest nieświadomy.

— Więc to na dzisiaj?... — zapytał król ze wzruszeniem, zrozumiałem tylko dla Juxona i Aramisa.

— Czyż nie uprzedzono cię, Najjaśniejszy Panie, że to na dzisiaj rano?... — odparł czarno ubrany.

— I ja mam ginąć, jak prosty przestępca, z ręki kata londyńskiego?... — przemówił król.

— Kat londyński przepadł, Najjaśniejszy Panie — odparł komisarz parlamentu — lecz inny człowiek podjął się tej czynności.

Lekkie krople potu, co zwilżyły czoło Karola, były jedyną oznaką wrażenia jakiego na wieść tę doznał. Ale Aramis zzieleniał. Serce mu w piersiach bić przestało: przymknął oczy i ręką o stół się oparł. Na widok tej głębokiej boleści, Karol zdawał się zapominać o swojej. Podszedł ku niemu, wziął jego rękę i uścisnął serdecznie.

— Odwagi, przyjacielu — rzekł z łagodnym i smutnym uśmiechem.

A potem zwróciwszy się do komisarza:

— Panie — rzekł — jestem gotowy. Wszak widzisz, pragnę tylko dwóch rzeczy, przyjąć komunię i pożegnać moje dzieci; będzie mi to dozwolone?

— Tak, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział komisarz i wyszedł.

Aramis, oprzytomniawszy, zatapiał sobie w ciało paznogie. Jęk straszny z piersi mu się wydarł.

— O! monsieurze — wykrzyknął — chwytając za rękę Juxona — gdzie jest Bóg? gdzie?...

— Synu mój — z mocą rzekł biskup, — ty go nie widzisz, bo zakryły go namiętności tej ziemi.

— Moje dziecię — przemówił król do Aramisa — nie rozpaczaj tak bardzo. Ty pytasz gdzie jest Bóg? On widzi poświęcenie twoje i moje męczeństwo, do ludzi, a nie do Boga miej urazę za to, co się dzieje.

— Usiądź, Juxon — ciągnął król padając na kolana, pozostaje ci tylko wysłuchać mnie, a ja spowiedź odbędę przed tobą. Pozostań — rzekł on do chcącego się oddalić Aramisa; i ty, Parry, nie odchodź, nawet pod pieczęcią pokuty nic nie mam takiego, co by nie mogło wobec wszystkich być powiedziane; pozostaniecie, gdyż jednej rzeczy tylko żałuję, to jest, że razem z wami cały świat usłyszeć mnie nie może.

Usiadł Juxon, a król na klęczkach przed nim, jak najprostszy prawowierny katolik, począł się spowiadać.

## ROZDZIAŁ XXVIII

### R E M E M B E R <sup>1)</sup>)

Po skończonej spowiedzi, przyjął Karol komunię, a potem zapragnął widzieć się z dziećmi. Była właśnie godzina dziesiąta; nie spóźnił się zbyt. Był to: księżniczka Karolina i księżę Gloucester, mała jasnowłosa dziewczynka z oczkami zapłakanymi, i chłopiec, mający około dziewięciu lat, którego oczy suche i usta pogardliwie wyduńczone, zdradzały budzącą się dumę.

Chłopiec płakał noc całą, lecz wobec wszystkich ani jednej łzy nie uronił.

Na widok dwojga dzieci swoich uczuł Karol, iż opuszcza go odwaga. Łzy mu do oczu napłynęły, lecz otarł je ukradkiem, chciał bowiem być silnym w przytomności tych, którym pozostawiał ciężki spadek cierpienia i niedoli. Do dziewczątka przemówił najpierw; przyciągnąwszy ją sobie, zalecał pobożność, rezygnację i miłość dziecięcą; potem otoczywszy się obojgiem, księcia Gloucester posadził na kolano, by móc jednocześnie przytulić go do serca i ucałować twarzyczkę:

— Synu mój, — mówił do niego, jadąc tu, widziałeś dużo ludzi na ulicach i w przedpokojach; ludzie ci zetnęli ci głowę, nie zapomnij tego nigdy. Nadejdzie może dzień, w którym zechcą uczynić cię królem z wykluczeniem księcia Walji lub księcia Yorku, starszych braci twoich, lecz ty, mój synu, nie jesteś królem, i tylko z ich śmiercią możesz nim zostać. Przysięgnij mi więc, że nie

<sup>1)</sup> Remember! Pamiętajcie!



pozwołisz włożyć na głowę twoją korony, dopóki prawnie należeć ci się nie będzie.

Dziecię złożyło drobną rączkę swoją w dłoni ojcowskiej i rzekło:

— Najjaśniejszy Panie, przysięgam Waszej Królewskiej Mości...

Przerwał mu Karol.

— Henryku, — powiedział — nazwij mnie ojcem twoim.

— Mój ojcze, — powtórzyło dziecko, — przysięgam ci, że w pierw zabiją mnie, niż królem swoim zrobią.

— Dobrze, mój synu, — rzekł Karol, — a teraz uściśnij mnie i ty także, Karolino, i nie zapominajcie o mnie.

— Oh! nigdy! nigdy! — wykrzyknęły dzieci oplatając rączkami szyję królewską.

— Żegnam was, żegnam, moje drogie dzieci. Wyprowadź ich, Juxon; ich łzy odjęłyby mi odwagę do śmierci.

Biedne dzieci! Juxon wydarł je z objęć ojca i oddał tym, co je przyprowadzili.

Athos tymczasem nasłuchiwał, i rozpacz go zdejmowała, że nie było sygnału; od czasu do czasu w zniecierpliwieniu, znowu poczynał nacinać kamień, lecz z obawy, by go nie dosłyszano, przestawał natychmiast.

Okrutna ta bezczynność trwała dwie godziny. Milczenie śmierci zaległo pokój królewski.

Nareszcie Athos postanowił odkryć przyczynę tego głuchego i ponurego spokoju, który zakłócał tylko bezmierny szum, sprawiany przez tłumy. Uchylił draperję, zasłaniającą otwór wyłomu, zszedł na pierwsze piętro rusztowania, — rozchylił wprost oczu swoich zasłonę i ujrzał konnicę opasującą dokoła straszną tę budowę; za konnicą rząd hałabardników i muszkietarów, a po za muszkietarami pierwsze szeregi ludu, który na podobieństwo posępnego oceanu, bałwaniał się i ryczał.

— Co to się stało? — pytał samego siebie Athos, drżąc, jak ta zasłona, targana jego nerwową ręką.

Tłumy się cisną, wojsko pod bronią, a pomiędzy widzami, którzy stoją z oczami wlepionymi w okno, dostrzegam d'Antagnana! Na co on czeka? Czemu się tak przypatruje? Wielki Boże! miałżeby dozwolić uciec katorżowi!

Naraz na placu uderzono w bębny głucho i żałobnie; odgłos ciężkich kroków rozległ się nad głową Athosa.

Rzucił na plac ostatniem spojrzeniem, a postawa zgromadzonych widzów odkryła mu to, czego resztki nadziei pozostałe na dnie serca odgadnąć nie dozwalały.

Szmery ucichły dokoła. Wszystkie oczy utkwione były w okna White - Hallu; usta na w pół otwarte i oddech powstrzymany oznajmiały oczekiwanie jakiegoś strasznego widoku.

— Panie pułkowniku, życzę sobie przemówić do ludu.

Athos zdrzął na całym ciele: to król na rusztowaniu mówił.

Rzeczywiście, przełknąwszy kilka kropel wina i przełamawszy chleba kawałek, Karol, znużony oczekiwaniem śmierci, zdecydował się nagle pójść na jej spotkanie i dał znak do pochodu.

Wtedy rozwarły się podwoje okna, wychodzącego na plac, z głębi obszernego pokoju ukazał się ludowi postępujący w milczeniu najpierw mężczyzna zamaskowany, w którym po toporze trzymanym w ręce poznano kata. Mężczyzna ten podszedł do pnia i złożył na nim topór.

Za tym mężczyzną, bladym zapewne, lecz idącym krokiem spokojnym i stanowczym, szedł Karol Stuart pomiędzy dwoma księżmi, a za nim kilku oficerów wyższego stopnia, upełnomocnionych do przydowania podczas egzekucji, a za nimi eskorta dwóch szeregów halabardników, którzy uszykowali się po dwóch stronach szafotu. Widok zamaskowanego mężczyzny wywołał przeciągły okrzyk.

Każdego paliła ciekawość dowiedzenia się kto był tym katem nieznanym, lecz nic więcej nie można było widzieć, prócz tego, że był nim człowiek wzrostu średniego, czarno ubrany, i zdający się być nie pierwszej młodości, gdyż z pod maski zakrywającej mu całą twarz, spływała siwiejąca broda.

Lecz na widok króla pełnego spokoju, szlachetności i do stojeństwa, taka cisza powróciła na nowo, że każdy mógł słyszeć wyjawione przez niego życzenie przemówienia do ludu.

Ten, do którego żądanie to było zwrócone, odpowiedział widocznie znakiem potwierdzającym, król przemówił gło-

sem stanowczym i dźwięcznym, którego brzmienie wstrząsnęło do głębi sercem Athosa.

Tłumaczył ludowi postępowanie swoje i dawał mu rady dla dobra Anglii.

Dał się nareszcie słyszeć szmer, podobny do tego, jak gdyby ktoś poruszył narzędzie śmierci na pniu leżące.

Król przerwał.

— Nie tykaj topora!... — rzekł.

I ciągnął dalej przerwana mowę.

Skończywszy przemowę, król powiódł po tłumie wzrokiem pełnym przebaczenia; a odpinając z piersi swej order, który był tą samą gwiazdą djamentową, przysłaną mu przez królową, oddał go księdzu, który towarzyszył Juxonowi. Następnie wy dobył z pod zwierzchniego ubrania krzyżyk także z brylantów.

I ten, jak poprzedni, pochodził od królowej Henryki.

— Panie, — rzekł zwracając się znów do niego, — krzyżyk ten do statniej chwili w rękę zatrzymam, odbierzesz mi go, gdy życie przestanę.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, — odpowiedział głos, po którym Athos poznał Aramisa.

Wtedy Karol, który dotąd stał z nakrytą głową, zdjął z niej kapelusz i rzucił go obok; potem jeden po drugim odpiął wszystkie guziki kaftana, zdjął go z siebie i rzucił obok kapelusza; a że zimno było przejmujące, zażądał sukni porannej, którą mu podano.

Wszystkie te przygotowania czynione były z przerażającym spokojem.

Rzecby można, że król przygotowywał się do łóżka zamiast do trumny swojej. Podniósłszy nakoniec włosy rękami:

— Może przeszkadzać ci będą? panie? — zapytał kata. Jeżeli tak, możnaby je sznurkiem przytrzymać.

Karol wypowiedział te słowa z takim spojrzeniem, jakby chciał przeniknąć nieznanemu oblicze, maską zakryte. Wzrok ten, tak szlachetny, spokojny i pewny, zmusił tego człowieka do odwrócenia głowy. Lecz unikając głębokich oczu króla, spotkał się z ognistym spojrzeniem Aramisa.

Król oczekując daremnie odpowiedzi, — powtórzył pytanie.

— Dostatecznym będzie, gdy rozgarniesz je na szyi, — odpowiedział nareszcie głosem bezdźwięcznym.

Król dwoma rękami rozdzielił włosy, a spojrzawszy na pień:

— Ten pień jest za niski, — rzekł, czy wyższy by się nie znalazł?

— Jest to pień zwyczajny, — odparł człowiek w masce.

— Czy pewny jesteś, że zetniesz mi głowę za jednym zamachem?

— Spodziewam się, — odparł wykonawca.

Tak dziwna intonacja była tych dwóch słów: *Spodziewam się*, że wszystkich, z wyjątkiem króla, dreszcze przeszły.

— To dobrze, a teraz, kacie posłuchaj. Nie chcę, byś mnie z nienacka zachodził — mówił Karol. Uklęknę, by się pomodlić, wtedy nie uderzaj jeszcze.

— A kiedy? — zapytał zamaskowany.

— Gdy głowę położę na pniu i wzniosę rękę do góry mówiąc: *Remember*, tnij wtedy śmiało.

Zamaskowany skłonił się lekko.

— Nadeszła już chwila, by świat ten porzucić, — przemówił król do otaczających. — Panowie, zostawiam was wśród zawieruchy, i udaję się do ojczyzny, która nie zna, co to burze. Żegnajcie.

Spojrzał nakoniec na Aramisę i pożegnał go wyłącznym skinieniem głowy.

— A teraz, odstąpcie, i pozwólcie mi, proszę, pomodlić się cicho. I ty odstąp także, — rzekł do zamaskowanego; — chwilkę tylko... wiem, że do ciebie należę; ale, pamiętaj — na moje hasło.

To powiedziawszy Karol ukląkł, przeżegnał się, zbliżył usta do desek, jakby chciał pomost ucałować; następnie, wsparłszy się jedną ręką na podłogę, a drugą na pniu:

— Hrabio de La Fère, — odezwał się po francusku, czy jesteś tam i czy mogę mówić?

Głos ten jak zimnem żelazem przeszył serce Athosa.

— Tak, Wasza Królewska Mość, — odparł ze drżeniem.

— Przyjacielu wierny, serce szlachetne, — mówił król. nie mogłem być ocalonym, tak być powinno widocznie. A teraz, powiem ci, choćbym miał świętokradztwo popełnić: Tak, przemawiałem do ludzi, potem do Boga, a teraz do ciebie ostatniego przemawiam. Dla podtrzymania sprawy, którą miałem za świętą, utraciłem tron ojców moich

i rozproszyłem dziedzictwo moich dzieci. Pozostał mi jeden miljon w złocie, który zakopałem w piwnicach zamku Newcastle, w chwili, gdym miał to miasto opuścić. Ty jeden wiesz o tem, że skarb ten istnieje. Zrób z niego użytek, kiedy osądzisz, że pora po temu, dla dobra mojego syna; a teraz, hrabio de La Fère, pożegnaj mnie.

— Żegnaj mi, święty i męczeński królu, — wyjąkał Athos.

I znowu chwila milczenia, w ciągu której zdawało się Athosowi, że król się odchylił i zmienił pozycję.

Nareszcie głosem pełnym i dźwięcznym w ten sposób, aby nie tylko na rusztowaniu, lecz i na placu go słyszano:

— *Remember!* — zawołał król.

Zaledwie słów tych dokończył, gdy straszne uderzenie zachwiało podłogą szafotu; pył dobyty wstrząśnieniem zasypał oczy nieszczęśliwemu hrabiemu. Lecz nagle mimowolnym ruchem podniósł do góry głowę, a kropla gorąca spadła mu na czoło. Cofnął się Athos z dreszczem przerażenia, a w tejże chwili krople zmieniły się w czarną kaskadę rozpryskującą się u jego nóg.

Athos padł na kolana i pozostał tak przez chwilę oszalały i obezwładniony.

Nareszcie, umaczał róg chustki swojej we krwi króla męczennika; nakoniec, ponieważ tłumy coraz bardziej się oddalały, spuścił się na dół, rozerwał draperję, prześlizgnął się pomiędzy koźmi, zmieszał się z ludem, którego ubranie nosił, i pierwszy stanął w zajeździe.

Wszedłszy do swego pokoju, stanął przed lustrem, zobaczył krwawą plamę na czole, przesunął po niem ręką, a ujrzawszy ją skrawioną, zemdlał.

## ROZDZIAŁ XXIX

### CZŁOWIEK W MASCE

Chociaż była dopiero czwarta, ściemniać się poczyniło na dobre; gęsty śnieg z wiatrem chłostał powietrze. Drugi z kolei powrócił Aramis.

— I cóż?... — odezwał się Aramis, zwyciężeni rządzeniem losu.

— Zwyciężeni!... — powtórzył Athos. — Szlachetny i nieszczęśliwy król!...

— Czyś ty raniony?... — zapytał Aramis.

— Nie, to jego krew.

I otarł czoło.

— Gdzieżeś ty był?...

— Tam, gdzie pożegnałeś się zemną, pod rusztowaniem.

— Widziałeś wszystko?...

— Nie; ale słyszałem.

— Wiesz zatem, że m go nie odstępowałem?...

— Do ostatniej chwili głos twój słyszałem.

— Oto order, który mi oddał — rzekł Aramis — a to krzyżyk, który mu z ręki wyjąłem; pragnął, aby zostały zwrócone królowej.

— A to chustka do zawinięcia tych rzeczy — rzekł Athos. I wyjął z kieszeni chustkę, we krwi króla zmoczoną.

— Powiedz mi teraz — pytał Athos — co zrobili z tym biednym trupem?...

— Z rozkazu Cromwella, oddane mu będą honory królewskie.

— Urągowisko!... — szepnął Athos ponuro; królewskie honory temu, którego sami zamordowali!

— To dowodzi, że król umrzeć może, lecz monarchja jest nieśmiertelna.

— Niestety!... — westchnął Athos — kto wie, czy to nie ostatni król-rycerz, jakiego na tym świecie mieć będą. Nie dręcz się tak, hrabio, — odezwał się gruby głos ze schodów, na których rozlegały się ciężkie kroki Porthosa, — wszyscyśmy śmiertelni, mili moi przyjaciele.

— Lecz co z d'Artagnanem się dzieje — odezwał się Aramis — czyś go nie widział, miałooby mu się co przytrafić?...

— Zgubiliśmy się w tłumie — rzekł Porthos, i pomimo wszelkich usiłowań, nie mogłem za nim podążyć.

— O!... — przemówił z goryczą Athos — ja go widziałem: stał w pierwszych rzędach tej cizby, wybornie umieszczony, aby nic nie stracić, a że bądź co bądź, widok był ciekawy, chciał widocznie przypatrzeć mu się do końca.

— O!... hrabio de la Fère — odezwał się głos spokojny, choć przytłumiony nieco, przyspieszonym biegiem, tyżes to, co spotwarzasz nieobecnych?...

Wymówka ta w samo serce ugodziła Athosa. Jednakże tak głębokie było wrażenie, jakie sprawił na nim d'Artagnan, w szeregach tego bezmyślnego i dzikiego ludu, że odpowiedział tylko:

— Nie spotwarzam cię, przyjacielu. Lecz niepokojono się tu o ciebie, ja też powiedziałem, gdzie byłeś. Tyś nie znał króla Karola, niczem on był dla ciebie, i kochać go nie byłeś obowiązany.

I mówiąc to, dłoń wyciągnął ku niemu. Lecz d'Artagnan udawał, że gestu Athosa nie widzi, i rękę swą ukrył pod płaszczem.

Ramię Athosa z wolna opadło ku ziemi.

— Uf!... znudzony jestem — rzekł d'Artagnan i rzucił się na krzesło!

— Napij się wina — odezwał się Aramis, biorąc ze stołu butelkę i napełniając kieliszek; wypij, to cię orzeźwi.

— Tak, napijmy się — rzekł Athos — który, czując się dotknięty niezadowoleniem gaskończyka, chciał trącić się z nim kieliszkiem — napijmy się i porzucmy ten kraj obrzydły. Wiecie że statek nas oczekuje; ruszajmy zaraz dziś wieczorem, nie mamy już tutaj co robić!...

— Bardzo ci pilno, panie hrabio — odezwał się d'Artagnan.

— Ta krwią przesiąkła ziemia pali moje stopy — rzekł Athos.

— Śnieg nie sprawia na mnie tego wrażenia — spokojnie wymówił d'Artagnan.

— Lecz co chcesz, abyśmy robili teraz, gdy król nie żyje?... — zapytał Athos.

— A więc, panie hrabio — odezwał się niedbale gaskończyk, nie widzisz wcale tego, co pozostaje ci do spełnienia w Anglii?...

— Nic zgoła, prócz zwątpienia w miłosierdzie boskie i pogardy dla sił własnych.

— Otóż ja — rzekł d'Artagnan — ja, lichy parafianin, chciwy widoku krwi, który obrałem sobie stanowisko o trzydzieści kroków od rusztowania, aby móc się lepiej przypatrzeć spadającej głowie króla, którego nie znałem wcale i który, jak się okazuje, obojętny mi był zupełnie, ja myślę zupełnie inaczej, aniżeli pan hrabia... i zostaję!...

Athos pobladł okrutnie; każda z tych wymówek przyjaciela, boleśnie targała jego sercem.

— O!... ty zostajesz w Londynie?... — zagadnął Porthos d'Artagnana.

— Tak — odparł tenże, a ty?...

— Cóż robić!... — rzekł Porthos, lekko zakłopotany wobec Athosa i Aramis, — co robić!... jeżeli ty zostajesz, ponieważ z tobą przybyłem, bez ciebie się stąd nie ruszę, nie zostawiłbym cię samego w tym obrzydłym kraju.

— Dzięki ci, przyjacielu niezrównany. Mam tedy do zaproponowania ci małe jedno przedsięwzięcie, które wspólnie w czyn wprowadzimy, gdy już pan hrabia odjedzie, a które przyszło mi do głowy w czasie, gdy miałem przed oczami wiadomy ci widok.

— Cóż to za przedsięwzięcie?... — zapytał Athos.

— By zbadać, jak się nazywa ten człowiek zamaskowany, który podjął się tak uprzejmie przecięcia szyi królewskiej.

— Człowiek zamaskowany!... — wykrzyknął Athos — nie dałeś więc uciec katowi?...

— Co, kat-by miał uciec?... — odparł d'Artagnan — siedzi on jeszcze w piwnicy, gdzie o ile przypuszczam, zabrał znajomość z butelkami naszego gospodarza. Ale przywiódłeś mi na myśl...

Poszedł ku drzwiom.



— Mousqueton!.. — zawołał.

— Panie?... — odpowiedział głos, zdający się wychodzić z głębokości ziemi.

— Uwolnij twego więźnia — rzekł d'Artagnan — już po wszystkim.

— Lecz cóż to za nędznik, co podniósł rękę na króla?... — mówił Athos.

— Jakiś kat z upodobania, który zresztą wprawnie włada toporem, wtrącił Aramis.

— Czy nie widziałeś jego twarzy?... — zapytał Athos.

— Był w masce — rzekł d'Artagnan.

— A ty, Aramisie, który blisko niego byłeś?..

— Widziałem tylko brodę siwiejącą, co wyglądała z pod maski.

— Oh!... to nie ma żadnego znaczenia — odezwał się d'Artagnan. — Nakładając maskę, można i brodę przyprawić.

— Żałuję, że nie poszedłem w ślad za nim — rzekł Porthos.

— Otóż, drogi Porthosie — ciągnął dalej d'Artagnan — mnie to właśnie przyszło do głowy.

Teraz dopiero wszystko zrozumiał Athos; powstał z krzesła.

— Przebacz mi, przyjacielu.

— Zobaczymy to zaraz — rzekł d'Artagnan.

— A zatem — podchwycił Aramis.

— A zatem — ciągnął d'Artagnan — podczas gdy przypatrywałem się zamaskowanemu katowi, przyszło mi do głowy, jak mówiłem, dowiedzieć się, kto taki nim był. Potrzebowałem jednak pomocy. Nagle ujrzałem z prawej strony głowę dobrze nadrabaną, która jako taka załatana była czarną materją. Do licha!... myślę sobie, zdaje mi się, że to ścieg mojej roboty, i że to ja gdzieś tę czaszkę zszywałem. Rzeczywiście, to był ów nieszczęśliwy szkot, brat Parry'ego, może go sobie przypominacie.

— Doskonale pamiętam — odezwał się Porthos — posiadacz czarnych kur.

— Nie mylisz się, on sam; mówił coś na migi z kimś, co stał po lewej stronie; ogłądałem się, i poznaję zacnego Grimauda, jak ja pożerającego oczami zamaskowanego kata.

— O!... — odezwał się do niego, wiedząc, iż ta sy-

laba jest skróceniem, którego pan hrabia używa w dniach, kiedy przemawia do niego; zrozumiał Grimaud, że to jego wołają; obrócił się jak na sprężynie; poznał mnie także; wtedy wskazując palcem zamaskowanego:

— He?... — bąknął. Co miało znaczyć: Widziałeś pan?...

— Do licha!... — odrzekłem.

Porozumieliśmy się wyśmienicie. Spojrzałem na szkota; oczy jego także dużo mówiły. Gdy tłumy się rozpierzchły, usunąłem się w kąt placu z Grimaudem i szkotem, któremu dałem znak, aby przy nas pozostał, obserwowałem kata, który wróciwszy do pokoju, zmieniał ubranie; to co miał na sobie, z pewnością krwią było zbryzgane.

Poczem włożył kapelusz czarny na głowę, osłonił się płaszczem i zniknął. Domyśliłem się, że wyjdzie i pędem pobiegłem do bramy. I istotnie, w pięć minut potem ujrzeliśmy, jak schodził ze schodów.

— Poszliście za nim?... — wykrzyknął Athos.

— Parbleu!... — zaklął d'Artagnan — nie tak to łatwo poszło, jak myślisz. Oglądał się co chwila; wtedy zmuszeni byliśmy kryć się lub udawać obojętność. Nareszcie, po dwugodzinnym pochodzie najbardziej krętymi ulicami City, stanął przed małym odosobnionym domkiem, w którym najmniejszy choćby szmer, lub światelko nie zdradzały obecności człowieka.

Grimaud wy dobył pistolet ze swoich szerokich szarawarów.

— He!... — bąknął, pokazując go.

— Nie trzeba — rzekłem. — I przytrzymałem mu rękę.

Ten, któregośmy śledzili, obejrzał się raz jeszcze, lecz nas nie dostrzegł, sądził, że jest sam; dosłyszałem zgrzyt klucza obracającego się w zamku; drzwi otworzyły się i zamknęły za nim.

— Nędznik!... — odezwał się Aramis — podczas kiedyś tu powracał, on uszedł z pewnością, i nie znajdziemy go więcej.

— Słuchaj no, Aramisie, za kogo mnie bierzesz?...

— A jednak, w nieobecności twojej... — rzekł Athos.

Wszak mówiłem, że było nas trzech. Jak tylko wszedł do wnętrza, zbadałem dom dokoła. Przy drzwiach, które mi wszedł, postawiłem szkota, pokazując mu na migi, że

gdyby człowiek zamaskowany wyszedł, należało iść za nim wszędzie, gdy tymczasem Grimaud poszedłby za nim także, a potem powrócił na miejsce oczekiwać na nas. Przy drugim wyjściu znowu postawiłem Grimauda zaleciwszy mu to samo, a sam tu podążyłem. Zwierz osaczony; a teraz, kto chce być uczestnikiem obławy?...

Athos rzucił się w ramiona d'Artagnana.

— Przyjacielu — rzekł — zbyt dobrym byłeś, przebacząc mi; zawiniłem, stokrotnie zawiniłem, należało mi przecie znać ciebie lepiej; lecz w głębi naszej jest coś niedobrego, co nieustannie wąpi.

— Czy masz jeszcze zamiar wyjechać, Athosie?... — zapytał d'Artagnan.

— Zostaję — odparł hrabia z gestem pełnym groźby, nie obiecującym nic dobrego temu, do kogo się odnosił.

— A zatem, do broni!... — zawołał Aramis — do broni!... a nie traćmy czasu.

Czterej przyjaciele szybko przywdzieli ubiór szlachecki, przypasali szpady, a wezwawszy Mousquetona i Blasois, rozkazali im uregulować rachunki z gospodarzem zajazdu i mieć się w pogotowiu do podróży, gdyż prawdopodobnie wypadnie im tej nocy opuścić Londyn.

Zakutani w płaszcze czterej towarzysze przebyli wszystkie place i wszystkie ulice City, tak gwarne dnia tego, a w nocy opustoszałe.

Prowadził ich d'Artagnan, od czasu do czasu rozpoznając krzyże, nacięte przez niego na murach, lecz takie zaległy ciemności, że z trudem dopatrywać mu przyszło te ślady. Jednakże tak wbił sobie w pamięć każdy słupek, szyld nad sklepem, każdą fontannę, że po półgodzinnym pochodzie dobił wraz z towarzyszami do odludnego domu.

Myślał zrazu d'Artagnan, że brat Parry'ego zniknął; onylił się jednak: krzepki szkot, nawykły do lodowców swych rodzinnych gór, rozciągnął się przy słupie, i jak posąg z podstawy strącony, nieczuły na zawieruchę, nie dbał o to, że śnieg grubą warstwą wali się na niego; lecz posłyszawszy kroki przybywających, zerwał się natychmiast.

— Niech co chce będzie — rzekł Athos — oto jeden więcej uczciwy sługa. Jak mi Bóg miły!... nie tak trudno

jeszcze o dobrych ludzi, jakby można sądzić; to dodaje otuchy.

— Nie śpieszmy się tak ze splataniem wieńców dla naszego szkota — rzekł d'Artagnan — coś mi się zdaje, że hultaj z nami trzyma, lecz we własnym interesie. Słyszałem ja, że ci ichmoście co po drugim brzegu Twedy światło dzienne ujrzeli, są okrutnie zawzięci. Bacność, mości Grosslow!... gorzką pigułkę rozgryźć ci przyjdzie, jeżeli spotkasz go kiedy.

Wyprzedziwszy przyjaciół zbliżył się do szkota, aby mu się dać poznać. Następnie skinął na nich, aby przyszedli.

— Jakże tam?... — odezwał się Athos poangielsku.

— Nikt nie wychodził — odpowiedział brat Parry'ego.

— Dobrze, zostań z nim, Porthos, i ty, Aramis, także. D'Artagnan zaprowadzi mnie do Grimauda.

Ten ostatni nie mniej przebiegły, niż szkot, przyparł się do wypróchniałej wierzby, zastępującej mu budkę szylwachy. Znowu przestraszył się d'Artagnan, nie widząc Grimauda, sądził bowiem, że człowiek zamaskowany wyszedł, a ten udał się za nim.

Nagle z lekkim gwizdnięciem ukazała się głowa.

— O!... — odezwał się Athos.

— Tak — odpowiedział Grimaud.

Podeszli do wierzby.

— A co tam — zapytał d'Artagnan — wychodził kto?...

— Nie, ale ktoś przyszedł.

— Mężczyzna, czy kobieta?...

— Mężczyzna.

— O!... — bąknął d'Artagnan — jest ich dwóch teraz.

— Chciałbym czterech — odezwał się Athos — gra byłaby równa, przynajmniej.

— A może są we czterech — rzekł d'Artagnan.

— Jakim sposobem?...

— Czyż inni nie mogliby czekać na nich w tym domu?...

— Można zobaczyć — bąknął Grimaud, ukazując okno, poprzez okiennice którego przesiewało się światło.

— Słusznie — rzekł d'Artagnan — przywołajmy tamtych.

I obeszedli dom dokoła, dając znak Porthosowi i Aramisowi, aby połączyli się z nimi.

— Widzieliście co?... — zapytali tamci.

— Nie, ale zobaczymy — odrzekł d'Artagnan, ukazując Grimauda, który czepiając się chropowatości muru, wspiął się już na kilka stóp od ziemi.

Zebrałi się wszyscy trzej. Grimaud wspinał się dalej ze zręcznością kota; wreszcie doszedł do celu.

Przyłożył oko do szpary w okiennicy.

— A co?... — zapytał d'Artagnan.

Grimaud ukazał rękę z dwoma tylko wystawionemi palcami.

— Mów — rzekł Athos — znaków twoich nie widać.

— Dwóch — przemówił Grimaud — jeden przodem do mnie, a drugi plecami odwrócony.

— Dobrze. A kto jest ten co twarzą do ciebie stoi?...

— Człowiek; którego widziałem gdy wchodził.

— Znasz go?...

— Zdawało mi się, że znam i nie omyliłem się: gruby i krótki...

— Kto to jest?... — zapytali po cichu czterej przyjaciele razem.

— Generał Olivier Cromwell.

Spojrzeli po sobie.

— A drugi?... — zapytał Athos.

— Chudy i wysmukły.

— To kat — powiedzieli razem d'Artagnan i Aramis.

— Ah!... I Grimaud, jak gdyby ugodzony w samo serce, rzucił się w tył, wydając głuchy jęk. Porthos pochwycił go w ramiona.

— Widziałeś go?... — zapytali wszyscy razem.

— Tak — odparł Grimaud z najeżonemi z przerażenia włosami.

— Kata?

— Tak..

— Któż nim jest?...

— On!... on!... — bełkotał Grimaud, jak trup błądy i drżąc cały chwycił pana swego za rękę.

— Co za on?... — zagadnął Athos.

— Mordaunt!... — wyszeptał Grimaud.

D'Artagnan, Aramis i Porthos wydali okrzyk radości.

Athos cofnął się w tył i ręką przesunął po czole.

— Przeznaczenie!... — wyszeptał.

## ROZDZIAŁ XXX

### DOM CROMWELLA

Ten, którego śledził d'Artagnan, Mordauntem był istotnie.

Zamknąwszy za sobą drzwi, zdjął maskę, odpiął siwiejącą brodę, której użył dla zmiany wyglądu, wszedł na schody, otworzył drzwi i znalazł się, w pokoju oświetlonym jedyną lampą, słabo rozjaśniającą ciemne obicia, oko w oko z mężczyzną, który siedział przy biurku i pisał.

Mężczyzną tym był Cromwell.

Skoro wszedł, Cromwell przerwał pisanie.

— To ty, Mordaunt, — rzekł podnosząc głowę, — późno przychodzisz!...

— Generale, — odezwał się Mordaunt, — chciałem przypatrzeć się ceremonji do końca i to mnie opóźniło.

— Ach! — rzekł Cromwell, — nie posądzałem cię, byś był do tego stopnia ciekawy.

— Zawsze nim jestem, gdy chodzi o zobaczenie upadku którego z nieprzyjaciół Waszej Dostojności, a ten do mniej znaczących zaliczonym być nie mógł. Lecz ty, generale, nie byłeś wcale w White - Hall?

— Nie, — odparł Cromwell.

Milczeli przez chwilę:

— Czy miałeś, generale, szczegółowe sprawozdania?

— Żadnych. Siedzę tu od rana. Tyle tylko wiem, że istniał spisek dla ocalenia króla.

— Ah! to wiedziałeś o tem, generale, — odezwał się Mordaunt.

— Mniejsza z tem. Czterej ludzie przebrani za robotników uprowadzić mieli króla z więzienia do Greenwich, gdzie oczekiwał ich statek.

— I wiedząc o tem wszystkim, pozostał tu Wasza Dostojność, tak oddalony od City, spokojny i beczynny?

— Spokojny, zapewne, — odparł Cromwell, — lecz kto ci powiedział, że beczynny?

— Jednakże, gdyby się był powiódł ten spisek?

— Pragnałem tego.

— Sądziłem, że Wasza Dostojność uważała śmierć Karola I-go za nieszczęście nieuniknione dla dobra Anglii.

— Nie inaczej! — rzekł Cromwell, — zawsze jestem tego zdania. Lecz, byle umarł, tego nam tylko było potrzeba; kto wie, czyby nie lepiej było, by śmierć jego nie nastąpiła na rusztowaniu. Mówionoby, że skazałem go dla sprawiedliwości, a przez miłosierdzie uciec dozwoliłem.

— Lecz gdyby istotnie był uciekł?

— Niepodobieństwo.

— Niepodobieństwo?

— Rozumie się, przedsięwziąłem ostrożności po temu.

— A czy zna Wasza Dostojność tych czterech ludzi, którzy postanowili ocalić króla?

— Są to ci czterej francuzi, z których dwaj przysłani byli królowi przez panią Henrykę, a dwaj przez Mazarińskiego do mnie.

— Dwóch z tych francuzów oddał mi Wasza Dostojność wtedy, gdy zawinili, służąc zbrojnie sprawie Karola I-go. Dziś zaś, kiedy są winni spisku przeciwko Anglii, czy zechce Wasza Dostojność wszystkich czterech mi oddać?

— Weź ich, — rzekł Cromwell.

Skłonił się Mordaunt, z wyrazem dzikiego triumfu.

— Lecz, — przerwał mu Cromwell, widząc że Mordaunt zbiera się do podziękowań, — powróćmy, jeżeli łaska, do tego nieszczęśliwego Karola.

— Czy lud wydawał okrzyki?

— Bardzo niewiele, chyba: niech żyje Cromwell.

— Gdzie byłś wówczas?

Mordaunt popatrzył chwilę na generała, by z oczu jego wyczytać, czy pytał bez potrzeby, wiedząc już o wszystkim.

Lecz płomienne oczy Mordaunta nie były w stanie przeniknąć ponurej głębi wzroku Cromwella.

— Umieściłem się tak, by wszystko widzieć i słyszeć.

Na Cromwella przyszła teraz kolej wpatrzeć się bystro

w Mordaunta, a na tego ostatniego uczynić wzrok swój nieprzeniknionym.

Po kilku sekundach badania, odwrócił oczy z wyrazem obojętności.

— Widocznie, — odezwał się Cromwell, — zaimprovizowany kat spełnił zadanie swoje doskonale. Według doniesień moich, cięcie po mistrzowsku było wykonane.

Przypomniawszy sobie Mordaunta słowa Cromwella, jakoby nie znał żadnych szczegółów, a teraz przekonany był, że generał był przytomny egzekucji, ukryty gdzieś za firanką.

— Rzeczywiście, — odparł Mordaunt głosem pewnym i z niewzruszonym wyrazem twarzy, — jedno cięcie wystarczyło.

— Może to jest jego rzemiosłem, — zauważył Cromwell.

— Tak myślisz, panie?

— Czemużby nie?

— Człowiek ten nie wyglądał na kata.

— A któż inny jak nie kat, — zapytał Cromwell, — chciałby się podjąć tego wstrętnego rzemiosła?

— Lecz, — mówił Mordaunt, może to jaki wróg osobisty króla Karola, który poprzysiągł zemstę i ślub ten wykonał.

— Być może, — rzekł Cromwell.

— A gdyby tak było istotnie, — pytał Mordaunt, — czy Wasza Dostojność potępiłby jego czyn?

— Sąd o tem nie do mnie należy, — rzekł Cromwell. To sprawa między nim a Bogiem.

— Lecz gdyby Wasza Dostojność znał tego szlachcica?

— Nie znam go, i znać nie chcę, mój panie. Co mnie obchodzić może, czy to ten, czy ów? Odkąd Karol został skazany nie człowiek żaden a topór uciął mu głowę.

— Jednakże gdyby nie człowiek ten, król zostałby ocalony.

Cromwell się uśmiechnął.

— Zapewne, tak mówiłeś przynajmniej, wykraść go miano. Uprawdzonoby go do Greenwich. Stamtąd odpłynąłby statkiem wraz z czterema swoimi wybawcami. Ale na statku było czterech moich ludzi i pięć baryłek prochu, będącego własnością narodu. Wypłynawszy na morze, czterej ci ludzie przesiadają się do szalupy, a na to,



bym ci resztę tłumaczył, zbyt zręcznym politykiem jesteś, Mordauncie.

— Tak, wylecieliby w powietrze.

— Nie inaczej. Wybuch dokonałby tego, czego topór spełnićby odmówił. Powiedzianoby wtedy, że uszedłszy sprawiedliwości ludzkiej, zemsty niebios ujść nie zdołał; rola sędziów pozostałaby naszym udziałem, a katem jego byłby Bóg.

Oto czego mnie pozbawił twój zamaskowany szlachcic, Mordauncie. Pojmujesz teraz, dlaczego mówiłem, że nie chcę go znać zupełnie; gdyż, prawdziwie, nie mam mu za co być wdzięczny, pomimo najlepszych jego chęci.

— Panie, — rzekł Mordaunt, — jak zawsze uchylam z pokorą czoło przed tobą, jesteś myślicielem głębokim. i, — ciągnął dalej, — pomysł twój statku podminowanego jest wzniosłym.

— Niedorzecznym, — rzekł Cromwell, — skoro stał się bezużytecznym. W polityce te tylko pomysły są wzniosłe, które przynoszą owoce; każda myśl poroniona jest szaloną i bezpłodną.

— Dziś wieczorem udasz się do Greenwich, Mordauncie, — mówił Cromwell powstając; — zapytasz o patrona statku *Błyskawica*, pokażesz mu chustkę białą z węzłami na czterech rogach taki był znak umówiony; powiesz ludziom, by na ląd wysiedli, a proch każesz odnieść do arsenału, chyba że...

— Chyba że... — powtórzył Mordaunt, którego twarz, podczas mowy Cromwella zajaśniała dziką radością.

— Chyba, że statek, taki jakim jest, mógłby służyć twoim osobistym zamiarom.

— Ah! milordzie, milordzie! — wykrzyknął Mordaunt, — Bóg, czyniąc cię wybrańcem swoim, wzroku ci swego użyczył, któremu nic ujść nie może.

— Jeżeli się nie mylę, nazwałś mnie milordem! — śmiejąc się powiedział Cromwell. — Nic to, gdy sami jesteśmy, lecz należy się mieć na baczności, by nie wymknęło ci się podobne słowo, w obecności naszych głupich purytanów.

— Czyż nie tak Wasza Dostojność wkrótce nazwaną będzie?

— Tak się spodziewam przynajmniej, — rzekł Cromwell, — lecz jeszcze nie nadszedł czas.

Cromwell wstał z miejsca i wziął swój płaszcz.

— Odchodzisz, panie? — zapytał Mordaunt.

— Tak, — odpowiedział, — nocowałem tu wczoraj i onegdaj, a wiesz przecie, iż nie mam zwyczaju sypiać tnzy noce z rzędu na jednym i tem samym łożku.

— A zatem, Wasza Dostojność udziela mi swobody na całą noc dzisiejszą?

— A nawet i na dzień jutrzejszy, jeżeli tego potrzeba, — rzekł Cromwell. Od wczorajszego wieczoru, — z uśmiechem dodał, — dość byłeś czynny na usługach moich, skoro masz zatem do załatwienia swoje własne sprawy, udzielam ci na to czasu.

— Dzięki ci, panie; mam nadzieję, iż dobrze użytym zostanie.

Cromwell skinął mu głową; potem, zawróciwszy:

— Czy jesteś uzbrojony? — zapytał.

— Mam szpadę, — rzekł Mordaunt.

— I nikogo, coby czekał na ciebie za drzwiami?

— Nikogo.

— Powinieneś tedy pójść zemną, Mordauncie.

— Dziękuję ci, panie, kręta droga w podziemiu, którą przebywać jesteś zmuszony, za wiele czasuby mi zabrała, a według tego, coś mi powiedział, może straciłem go już za wiele. Wyjdę drugimi drzwiami.

— Idź zatem, — rzekł Cromwell.

I dotknąwszy ręką ukrytego guzika, otworzył drzwi, tak dobrze ukryte w obiciu ściany, że najbystrzejsze oko nie byłoby wstanie dostrzedz ich śladu.

Drzwi te, obracające się na stalowej sprężynie, zamknęły się same.

Wyjście przechodziło pod opustoszałą ulicą, kończąc się otworem w głębi grotty w ogrodzie innego znowu domku, o sto kroków położonego od tego, który przed chwilą opuścił przyszyły protektor Anglii.

Podczas tej ostatniej sceny właśnie, Grimaud, przez niedokładnie zapuszczoną firankę, dojrzał tych dwóch mężczyzn i poznał w nich następnie Cromwella i Mordaunta.

Znane nam jest wrażenie, jakie wiadomość ta wywarła na czterech przyjaciółach.

Najpierwszy d'Artagnan odzyskał w pełni władze myślenia.

— Mordaunt! — rzekł; ah! litościwe nieba! sam Bóg nam go zsyła.

— Tak, — odezwał się Porthos, — wysadźmy drzwi i wpadnijmy na niego.

— Przeciwnie, — mówił d'Artagnan — nic nie wysadzajmy, nie róbmy hałasu, bo hałas sprowadza ludzi.

— Hola! Grimaud, chodź tutaj, i staraj się krzepko trzymać na nogach.

Grimaud nadbiegł. Przyjście do zmysłów wróciło mu energję i wściekłość, lecz panował nad sobą.

— Dobrze, — mówił dalej d'Artagnan. — A teraz, wdrap się tam znowu, i powiedz nam, czy Mordaunt w towarzystwie jest jeszcze, czy do wyjścia, czy też do snu się gotuje.

Grimaud w milczeniu począł wspinać się do okna.

— Athos, Aramis, strzeżcie drugiego wyjścia; my z Porthosem tu zostaniemy.

Dwaj przyjaciele spełnili rozkaz.

— I cóż, Grimaud? — pytał d'Artagnan.

— Sam.

— Jesteś tego pewny?

— Tak.

— Co robi ten?

— Okrywa się płaszczem i nakłada rękawiczki.

— Baczność! — szeptem zakomenderował d'Artagnan.

— Cicho! — szepnęła Grimaud; — gotuje się teraz do wyjścia. Idzie do lampy. Zdmuchnął ją. Już nic nie widzę.

— Idź ostrzedz Athosa i Aramisa, niech staną po dwóch stronach drzwi, jak my z Porthosem zrobimy; na znak, że go mają, niech w dłonie uderzą, jeżeli nam wpadnie w ręce, to samo hasło oni usłyszą.

Grimaud pospieszył z rozkazem.

— Porthos, Porthos, — przemówił d'Artagnan, — zbierz do kupy swoje szerokie ramiona, drogi przyjacielu; trzeba, by wyszedł nic niedostrzegłszy.

— Byle tylko tędy!

— Cicho! — rzekł d'Artagnan.

Porthos przyparł się do muru, tak że sądzić by można, iż dziurę w nim sobą przewiercił; d'Artagnan zrobił to samo. Naraz rozległy się na schodach głośne kroki Mordaunta. Uchylił się łufcik nieznacznym, skrzypiącym na zawiasach. Mordaunt wyjrzał, i, dzięki ostrożności przed-

siewziętym przez dwóch przyjaciół, nic zgoła nie zobaczył. Wtedy drzwi otworzył i stanął na progu. W jednej chwili znalazł się oko w oko z d'Artagnanem. Chciał drzwi zatrzasać. Porthos skoczył do klamki i rozwarł je szeroko. Porthos uderzył w dłonie po trzykroć. Nadbiegli Athos i Aramis. Mordaunt zzieleniał, lecz głosu nie wydał, nie wołał o pomoc.

D'Artagnan szedł prosto na Mordaunta, własnymi pierściami nieledwie zmuszając go cofania się na schody oświetlone lampą, co dozwalało gaskończykowi nie spuszczać z oczu rąk Mordaunta; lecz zrozumiał to Mordaunt, że, zabiwszy d'Artagnana, miałby jeszcze ciężką przeprawę z pozostałymi trzema wrogami. Nie okazał też najmniejszej chęci obrony, najlżejszego gestu groźnego.

Gdy doszli do drzwi uczuł się Mordaunt przyparty do nich, i myślał z pewnością, że wszystko już z nim skończone; omylił się jednak, d'Artagnan wyciągnął rękę i otworzył drzwi: obaj się więc znaleźli w pokoju, w którym przed dziesięcioma minutami Mordaunt rozmawiał z Cromwellem.

Za d'Artagnanem wszedł Porthos; podniósłszy rękę odczepił lampę z sufitu; z pomocą tego światła zapalił drugą lampę w pokoju.

Athos i Aramis zjawili się we drzwiach i na klucz je za sobą zamknęli.

— Zechciej pan usiąść, — przemówił d'Artagnan, podając młodemu człowiekowi krzesło.

Przyjął je z rąk d'Artagnana i usiadł błądy, lecz zupełnie spokojny. Aramis podsunął trzy siedzenia w bliskości niego, dla siebie, d'Artagnana i Porthosa. Athos zajął miejsce w rogu pokoju, wyglądając tak, jak gdyby postanowił pozostać widzem nieruchomym, wobec wszystkiego, co się dzieć miało. Porthos zajął miejsce po lewej, Aramis zaś po prawej stronie d'Artagnana. Athos zdawał się przybity. Porthos zacierał dłonie z gorączkową niecierpliwością. Aramis, uśmiechając się niby, do krwi zagryzał wargi. Jeden d'Artagnan miarkował się, pozornie przy najmniej.

— Panie Mordaunt, — przemówił nareszcie, — ponieważ po tylu dniach upędzania się bezskutecznego jednych za drugimi, złączył nas w końcu wypadek, porozmawiajmy, jeżeli łaska, troszeczkę.

## ROZDZIAŁ XXXI

### R O Z M O W A

Mordaunt zniecka zaskoczony, wszedł z powrotem na schody pod wrażeniem uczuć tak nieokreślonych jeszcze, że nie był w stanie zdobyć się na rozagę; pierwszym jego rzeczywistym uczuciem było wzruszenie, jakie nim zafadało, zdziwienie i boażń niezwalczona, która ogarnia kaędego człowieka, gdy wróg jego śmiertelny i siłą przewyższający, chwyci go za ramię, w chwili, gdy on sądzi wroga tego dalekim i czem innym zgoła zajęтым.

Lecz gdy usiadł już i zmiarkował, że udzielono mu zwłoki, mniejsza w jakich zamiarach, odzyskał jasność myśli.

Ogniste spojrzenie d'Artagnana, zamiast go onieśmiec, zelektryzowało go prawie, gdyż wzrok ten groźbą palący szczerym był w całej swej nienawiści i gniewie.

Mordaunt, przygotowany, aby pochwycić kaędą sposobność wybrnięcia z tej sprawy, bądź siłą, bądź wykrętem, skupił się sam w sobie; jak niedźwiedź w kniei przyparty, nieruchomy pozornie śledzi jednym okiem najmniejszy ruch myśliwego, który go osaczył. Siedział milczący; upewniwszy się tylko, że ma pod ręką szpadę, z miną niewzruszoną, nogę na nogę założył i czekał.

D'Artagnan zrozumiał, iż przedłużanie podobnego milczenia śmiesznością trącićby mogło; skoro więc on poprosił Mordaunta o zabranie miejsca dla porozmawiania, jemu wypadało zacząć tę rozmowę.

— Zdaje mi się, mój panie, — począł z piekielną swoją grzecznością, — że postać swą zmieniasz z równą łatwo-

ścią, jak to widziałem u komedjantów włoskich, których i pan zapewne widziałeś w czasie podróży twojej po Francji.

Mordaunt nie odpowiadał.

— Przed chwilą — ciągnął d'Artagnan — byłeś przebrany, ubrany raczej jako morderca, a obecnie...

— A obecnie, wprost przeciwnie, ubrany jestem jak człowiek, którego mają zamordować, wszak prawda?... — odparł Mordaunt krótko i węzłowato.

— O! panie, jak możesz to mówić znajdując się w towarzystwie szlachty i mając tak dobrą szpadę przy boku!

— Najlepsza nawet szpada nie dorówna czterem szpadom i tyluż puginałom; nie licząc zbirów waszych, oczekujących pod drzwiami.

— Przepraszam, mój panie, mylisz się mocno, ci, co tam czekają nie są bynajmniej zbirami, lecz służącymi naszymi. Bardzo mi na tem zależy, aby kwestja postawioną została wiernie, w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu.

Za całą odpowiedź usta Mordaunta wykrzywiły się kurczowo szyderskim uśmiechem.

— Lecz nie o to bynajmniej idzie w tym razie — ciągnął dalej d'Artagnan — i wracam do rzeczy. Miałem więc zaszczyt zapytać pana, czemu zmieniłeś swój zewnętrzny wygląd. O ile mi się zdaje, dość ci dogodną była maska; siwa broda bardzo ci była do twarzy, a co się tyczy topora, którym tak świetne cięcie zadałeś, sądzę, że i w tej chwili doskonaleby ci przypadła. Czemuż się go pozbyłeś?

— Gdyż przypomniawszy sobie scenę z Armentières sądziłem, że w miejsce jednego zastanę ich cztery, skoro znaleźć się miałem pośród czterech katów.

— Panie, to, coś powiedział, przytaczając Armentières, niema styczności najmniejszej z obecnem położeniem: W rzeczy samej, nie mogliśmy milady, matce twojej, podać do ręki szpady, prosząc, aby pojedynkowała się z nami; lecz panu, młodemu kawalerowi, który, jak to powiedzieliśmy, tak dobrze włada puginałem i pistoletem, i który taką, jak ta, nosi szpadę u boku, niktby nie zechciał odmówić sobie prawa zaproponować rycerskiego spotkania.

— A! a!.. — odezwał się Mordaunt — zatem pojedynku żądasz?

I zerwał się z oczami roziskrzonymi, jak gdyby gotów był odrazu przyjąć wyzwanie.

Porthos także powstał, gotów jak zwykle w wypadkach tego rodzaju.

— Bardzo przepraszam — rzekł d'Artagnan tak samo chłodno; — spieszyć się nie mamy potrzeby, gdyż każdy z nas winien życzyć sobie tego, aby wszystko poszło, jak się należy. Siadaj więc, drogi Porthosie, i pan także, panie Mordaunt, zechciej zachować się spokojnie. Ułożymy tę sprawę jak można najlepiej, gdyż chcę być z panem otwarty. Przyznaj, panie Mordaunt, iż masz ochotę wielką pozabijać nas wszystkich.

— Wszystkich — odrzekł Mordaunt.

D'Artagnan zwrócił się do Aramis, mówiąc:

— Przyznasz, drogi Aramisie, że to bardzo szczęśliwie, iż pan Mordaunt zna najłżejsze odcienie języka francuskiego; nie będzie przynajmniej nieporozumień, i wszystko jaknajlepiej się ułoży. A zwracając się do Mordaunta:

— Kochany panie Mordaunt — prowadził dalej — wyznać ci muszę, iż szlachetne twoje uczucia względem tych panów, wzajemność u nich znajdują, i zachwyceni by byli zabijając cię także. I z temi słowy d'Artagnan rzucił kapelusz na dywan, krzesło odepchnął, skinął na przyjaciół, aby zrobili to samo, i skłoniwszy się Mordauntowi z wdziękiem iście francuskim:

— Jestem na twoje rozkazy, panie.

— Stój!... — odezwał się Porthos podchodząc do nich — to ja zacznę, na bok retoryka.

— Porthos, za pozwoleniem — rzekł Aramis.

— Panowie, panowie — przemówił d'Artagnan — uspokójcie się, przyjdzie i na was kolej. Spójrzcież w oczy tego pana i wyczytajcie z nich błogosławioną nienawiść, jaką go natchnęliśmy; patrzcie, jak zręcznie chwycił za szpadę; podziwiajcie jak baczenie patrzy dokoła, czy nie ma jakiej przeszkody, któraby mu szyki popsła. Dozwólcie mi pierwszeństwa w skorzystaniu z mojego pomysłu. Wreszcie, dodał, podnosząc szpadę z przeraźliwym ruchem, ja mianowicie mam sprawę z tym panem, a więc ja zaczynam. Ja pragnę tego, ja tak chcę!

Pierwszy raz się zdarzyło, że d'Artagnan wymówił te słowa, odzywając się do swoich przyjaciół. Jak dotąd zadowalał się myślą.

Porthos się cofnął, Aramis wziął szpadę pod pachę, Athos tylko pozostał w pokoju nieruchomy, lecz z gardłem ściśniętem i dyszący.

— Włóż szpadę do pochwy, kawalerze — rzekł d'Artagnan Aramisowi — ten pan mógłby podejrzewać złe zamiary, których bynajmniej nie mamy.

Następnie, zwracając się do Mordaunta:

— Panie — rzekł — czekam.

— Podziwiam was, panowie. Sprzeczcacie się, który bić się ze mną zacznie, a nie zapytacie o moje zdanie, mnie, którego rzecz ta obchodzi trochę, o ile mi się wydaje. Żądam prawa wyboru przeciwnika. Jeżeli odmówicie mi tego, zabijcie mnie, a ja bić się nie myślę.

Czterej przyjaciele spojrzeli po sobie.

— Słusznie — odezwali się razem Porthos i Aramis, tusząc, że na nich padnie wybór.

Athos i d'Artagnan nic nie rzekli; lecz samo to milczenie było przyzwoleniem.

— A zatem!... — przemówił Mordaunt pośród głębokiego i uroczystego milczenia, panującego w tym tajemnym domu; a zatem! jako pierwszego przeciwnika mojego wybieram tego z was, który, nie czując się godnym imienia hrabiego de la Fère, Athosem kazał się nazywać.

Athos zerwał się z krzesła, jak podrzucony sprężyną i stanął na równe nogi: lecz ku wielkiemu zdziwieniu przyjaciół, po chwili odrętwienia i ciszy:

— Panie Mordaunt — przemówił — potrząsając głową, pomiędzy nami wszelki pojedynek jest niemożliwym, racz innemu a nie mnie, uczynić ten zaszczyt.

I usiadł napowrót.

— Słyszałeś pan — rzekł d'Artagnan — hrabia de la Fère nie chce uczynić ci zaszczytu pojedynkowania się z tobą. Wybierz z pomiędzy nas jednego, by go zastąpił.

— Jeżeli nie mam się bić z nim, mało mnie obchodzi z kim mi wypadnie. Włóżcie kartki z nazwiskami do kapelusza, ja będę ciągnął losy.

— Dobra myśl — rzekł d'Artagnan.

— Rzeczywiście, sposób ten wszystko pogodzi — odezwał się Aramis.

— Mnieby to na myśl nie przyszło — zauważył Porthos — a jednak to całkiem proste.

— Dalej, Aramis — rzekł d'Artagnan — napisz no tem



swoim ładniutkiem pisemkiem, którem do Marji Michon pisałeś, aby ją ostrzedz, że matka tego oto pana, zamierza kazać zamordować lorda Buckinghama.

I tę nową napaść zniósł Mordaunt, brwi nie zmarszczywszy.

Aramis zbliżył się do biurka Cromwella, uderzył trzy kawałki papieru równej wielkości, na pierwszym z nich napisał swoje imię, a na dwóch pozostałych imiona swoich towarzyszy, niezłożone pokazał Mordauntowi, który nie przeczytawszy, skinął głową, jakby chcąc powiedzieć, że w tym względzie zdaje się na nich zupełnie; zwinąwszy je następnie włożył do kapelusza i podał młodzieńcowi. Ten jeden ze zwitków wyciągnął i, nie czytając, rzucił na stół z pogardą. Aramis rozwinał papier, lecz pomimo spokoju i obojętności jaką udawał, czuć było w jego głosie drżenie żądzy i nienawiści.

— D'Artagnan!... przeczytał.

D'Artagnan wydał okrzyk radości.

— A!... — zawołał — więc jest sprawiedliwość w niebie!

I zwracając się do Mordaunta:

— Mam nadzieję, panie — rzekł — że nic nie masz przeciwko temu?

— Najzupełniej, panie — odparł Mordaunt dobywając szpady i oparłszy ją na bucie.

Z chwilą jak d'Artagnan nabrał pewności, że pragnienie jego zostało spełnione i że przedmiot jego nienawiści z rąk mu się nie wyślizgnie, odzyskał spokój i pewność siebie i opieszalność sobie właściwą w przygotowaniach do tej ważnej sprawy, zwanej pojedyńkiem. Odwinął starannie mankiety, podeszwą prawej nogi potarł o posadzkę, co nie przeszkodziło mu jednak poraz wtóry zauważyć, że Mordaunt dziwnym wzrokiem rzucał w około siebie.

— Czy gotowy jesteś, panie?... — zapytał nakoniec.

— To ja czekam na pana — odpowiedział Mordaunt podniósłszy głowę i patrząc na d'Artagnana wzrokiem, którego wyrazu niepodobna byłoby opisać.

— A zatem, strzeż się, mój panie — rzekł gaskończyk — bo szpadą władam niezgorzej.

— Ja także — odparł Mordaunt.

— Tem lepiej; uspokaja to moje sumienie. Baczość!

— Chwilę — rzekł młodzieniec: zobowiążcie się sło-

wem, panowie, że nie będziecie nacierać na mnie razem, tylko jeden po drugim.

— Żądasz tego dla przyjemności znieważenia nas chyba, ty wężu!... — odezwał się Porthos.

— Nie... tylko dla spokoju sumienia, jak mówił ten pan przed chwilą.

— Musi to być dla czegoś innego — mruknął d'Artagnan z przeczącym ruchem głowy, obejrzawszy się z pewnym niepokojem dokoła siebie.

— Słowo szlacheckie!... — razem wymówili Aramis i Porthos.

— W takim razie, panowie — rzekł Mordaunt — usunie się na stronę, jak to pan hrabia de la Fère uczynił.

— Niech i tak będzie — rzekł Aramis.

— Co tu zachodów!... — odezwał się Porthos.

— Usunie się, panowie — przemówił d'Artagnan: nie należy dać temu panu najmniejszego pretekstu do wybiegu, na co, z przeproszeniem, wydaje mi się mieć wielką ochotę.

Ostre szyderstwo to, stępiło się na kamiennem obliczu Mordaunta.

Porthos i Aramis stanęli w rogu przeciwległym temu, jaki zajmował Athos, tak że dwaj przeciwnicy zajęli środek pokoju, czyli że znajdowali się w pełnem świetle dwóch lamp stojących na biurku Cromwella.

Rozumie się, że światło słabło w miarę oddalania się od punktu, z którego rzucało promienie.

— Dalejże, mój panie — odezwał się d'Artagnan — czyś gotów nareszcie?

— Służę — rzekł Mordaunt.

Obaj postąpili krok naprzód i jednym ruchem skrzyżowali szpady. Zbyt wytrawnym graczem był d'Artagnan, aby się bawić, jak to mówią, w próbowanie sił przeciwnika.

Wykonał świetny i krótki zwodzony cios. Cios został odparty przez Mordaunta.

— A! a... — wykrzyknął d'Artagnan z uśmiechem zadowolenia.

I nie tracąc czasu skorzystał z chwili, w której Mordaunt się odsłonił, i z błyskawiczną szybkością wymierzył szalone pchnięcie.

Mordaunt sparował cios kwartą tak drobną, że mógłby

ją wykonać w pierścionku z małego paluszka młodej dziewczynki.

— Zaczynam przypuszczać, że pobawimy się trochę — rzekł d'Artagnan.

— Tak — mruknął Aramis — lecz bawiąc się, miej się na baczności.

— Sangdieu! uważaj przyjacielu — odezwał się Porthos.

Teraz Mordaunt się uśmiechnął.

— A!... mój panie — odezwał się d'Artagnan — jaki paskudny masz uśmiech! Sam djabeł cię chyba nauczył tak się uśmiechać, nieprawdaż?

Mordaunt krokiem w tył skoczył.

— A! widzisz, kręcisz się? jak ci się podoba, ja nawet coś na tem skorzystam: nie widzę przynajmniej twego wstrętnego uśmiechu. Otóż zupełnie w cieniu się znajdujesz; tem lepiej. Pojęcia nie masz, jakie masz fałszywe spojrzenie, mój panie, nadewszystko jak jesteś w strachu. Spójrz tylko w moje oczy, a ujrzysz to, czego ci lustro twoje nigdy nie pokaże, to jest spojrzenie prawe i otwarte.

Na ten potok słów, być może nie w dobrym tonie, (lecz było to zwyozajem d'Artagnana, mającego zasadę sprawić przeciwnikowi roztargnienie), Mordaunt nie odpowiadał i słowa; lecz ustępował ciągle kołując, i tym sposobem pozycję swoją z d'Artagnanem zamienił.

Uśmiechał się coraz częściej.

Uśmiech ten począł niepokoić gaskończyka.

— Dalejże, dalej, raz trzeba z tem skończyć — rzekł d'Artagnan — ten ptaszek ma podkolania z żelaza, naprzód a śmiało!

I natarł na Mordaunta, który ciągle ustępował, lecz z taktyki widocznie, bez żadnego błędu, z którego d'Artagnan mógłby skorzystać; szpada jego nie zeszła ani na chwilę z linji właściwej.

Jednakże, ponieważ walka miała miejsce w pokoju, wkrótce Mordaunt dotknął nogą ściany, lewą ręką oparł się na niej.

— A!... — zawołał d'Artagnan, tym razem już się nie cofniesz, mój piękny! Panowie — mówił z zębami zaciśniętymi i marszcząc brwi, czy widzieliście skorpiona przygwożdżonego do muru? Nie. Otóż zobaczcie...

I w jednej sekundzie, potrzykroć straszliwie na Mordaunta uderzył. Lecz za każdym razem ułócia musnęły go tylko.

Nie pojmował d'Artagnan tej dziwnej mocy.

Wreszcie, d'Artagnan zbyt blisko się zapędziwszy, cofnął się krokiem w tył dla przygotowania czwartego pchnięcia, dla wykonania go raczej; miał on bowiem w sztuce robienia szpada, tak jak w grze w szachy, rozległe kombinacje, których szczegóły tworzyły jeden łańcuch.

Lecz, w chwili gdy złożył się szybko i ściśle i natarł jak błyskawica, zdawało się, iż ściana się rozstała.

Mordaunt zniknął w otworze, a szpada d'Artagnana utkwiwszy w zawiasach, pękła. D'Artagnan rzucił się w tył. Ściana się zamknęła.

Mordaunt broniąc się tak manewrował, aby plecami oprzeć się o ścianę, gdzie były tajemne drzwiczki, któremi wyszedł Cromwell. Wykonawszy ten plan, namacał lewą ręką guzik i nacisnął; zniknął nareszcie, jak znikają w teatrze złe genjusze, obdarzone władzą wsiąkania w mury.

Gaskończyk zaklął z wściekłości, na co z drugiej strony ściany odpowiedział mu dziki grobowy śmiech, który dreszczem przejął do szpiku niedowiarka Aramis.

— Panowie, do mnie!... — krzyczał d'Artagnan — wysadźmy te drzwi.

— Chyba to sam szatan!... — rzekł Aramis, spiesząc na wezwanie przyjaciela.

— Uszedł nam, sangdiou, uciekł!... — krzyczał Porthos — prąc szerokimi barkami przepierzenie, które nie ustąpiło bynajmniej.

— Tem lepiej — ponuro wyszeptał Athos.

— Ja to podejrzewałem, mordioux!... — mówił d'Artagnan — robiąc daremne wysiłki, aby pomódz Porthosowi, podejrzewałem; kiedy ten nędznik tak kołował, przewidywałem wybieg jakiś nikczemny, odgadłem, że knuje coś, ale któż mógł to przypuścić?

— Straszne nieszczęście, od szatana przyjaciela jego nam zesłane!... — zawołał Aramis.

— Oczywiście szczęście od Boga nam zesłane!... — rzekł Athos z nieukrywaną radością.

— Prawdziwie, Athos, ty słabniesz!... — odparł d'Ar-

tagnan wzruszywszy ramionami i odchodząc od drzwi, które stanowczo nie chciały ustąpić. Jak możesz mówić coś podobnego, takim jak my ludziom, mordioux! Nie rozumiesz więc stanu rzeczy?

— Co takiego? jaki stan rzeczy?... — spytał Porthos.

— W grze takiej, kto nie zabija, zabitym zostaje — odparł d'Artagnan. A teraz, radziłybyśmy wiedzieć, mój drogi, czy i to należy do pokutniczych jeremiad twoich, aby pan Mordaunt poświęcił nas na ołtarzu miłości synowskiej? Jeżeli takie twoje zdanie, powiedz je nam otwarcie.

— O! d'Artagnanie, przyjacielu mój!

— Bo doprawdy, litość bierze na twoje zapatrywanie się na rzeczy z tego stanowiska! Nędznik ten naśle na nas stu zbrojnych, którzy na proch nas stłuką w mózdzierzu pana Cromwella. Dalej! ruszajmy w drogę! pięć minut zostaniemy tu jeszcze, a będzie po nas.

— Tak, masz słuszość, w drogę!... — powtórzyli Athos i Aramis.

— A dokąd?... — zapytał Porthos.

— Do oberży, przyjacielu, zabrać manatki i nasze konie; a stamtąd, jeżeli Bóg pozwoli, do Francji, gdzie przynajmniej nie potrzebuję pytać o drogę. Nasz statek tam czeka; i to szczęście, na honor.

I łącząc słowa z czynem, d'Artagnan wpakował odłamek szpady swej do pochwy, podniósł z ziemi kapelusz, otworzył drzwi na schody i zbiegł szybko a za nim jego trzech towarzysze. U drzwi spotkali służących i zapytali o Mordaunta; lecz oni nie widzieli nikogo.

## ROZDZIAŁ XXXII

### ZAGŁOWIEC „BŁYSKAWICA“

Mordaunt starannie drzwi za sobą zamknął i wszedł do podziemnego korytarza, przeprowadzonego do sąsiedniego domu. Schował szpadę do pochwy, przystanął, by odetchnąć i przekonać się, czy jest ranny.

— Wyśmienicie! — rzekł, — nic mi prawie nie jest; małe zadraśnięcia, dwa na rękach, jedno w piersi, ot i wszystko.

O! ja lepiej potrafię!

Proszę zapytać kata z Bethune, lorda Wintera mojego wuja i króla Karola!

A teraz spieszmy się, każda sekunda stracona może ich ocalić... a muszą zginąć razem, wszyscy czterej, od jednego ciosu; niech ich pochłonie ogień ziemski, w braku piorunów z nieba... Niech przepadną poszarpani w kawały, niech kości ich nawet znikną bez śladu.

Mordaunt szybkim krokiem udał się do pierwszych koczów kawaleryjskich, oddalonych prawie o pół mili.

Pięć minut mu na to wystarczyło.

Przybywszy na miejsce, nazwał się, rozkazał podać najlepszego konia, skoczył na siodło i puścił się w drogę. Za kwadrans był już w Greenwich.

— Otóż i port, — mruknął; — ten punkt ciemny w oddali, to Psia Wyspa. Dobrze! o pół godziny ich uprzędziłem... a może, o całą godzinę... Jakiż głupiec ze mnie! o mało się nie zadusiłem niedorzecznym pośpiechem?

— No teraz, — dodał stając w strzemiionach, by dalej widzieć w masie nagromadzonych lin i masztów — „*Błyskawica!*“ gdzie jest *Błyskawica?*

W chwili, gdy głośno wymówił te słowa jakby odpowia-

dając myśli swojej, człowiek jakiś, leżący na kupie żagli, podniósł się i postąpił kilka kroków do Mordaunta. Mordaunt wyjął chustkę z kieszeni i potrząsnął nią w powietrzu.

Nieznajomy patrzył uważnie, lecz nie ruszył się z miejsca.

Mordaunt zawiązał węzły na czterech rogach chustki; nieznajomy przystąpił do niego.

Był to, jak wiemy, znak umówiony. Marynarz otulony był szeroką opończą wełnianą, zakrywającą całą osobę i twarz nawet.

— Panie, — odezwał się, — czy przybywasz z Londynu dla przejechania się po morzu?

— Tak, umyślnie, — odparł Mordaunt, — w stronę Psiej Wyspy.

— Rozumiem. Zapewne pan nie pojedzie pierwszą lepszą łodzią? Wołałby pan sam wybrać? Naprzykład statek pewny, szybki?...

— Jak *Błyskawica* — odparł Mordaunt.

— Widzę, że pan mojego statku poszukuje a ja jestem kapitanem, jakiego mu potrzeba.

— Tak i mnie się zdaje, — rzekł Mordaunt, — nadeszły, jeżeli pamiętasz pewne znaki porozumienia.

— Oto są, — odrzekł marynarz, wyjmując z kieszeni opończy chustkę z węzłami na czterech rogach.

— Wybornie! — wykrzyknął Mordaunt, zeskoczywszy z konia. Nie mamy czasu do stracenia. Każ zaprowadzić konia do pierwszej lepszej oberży, i dawaj tu swój statek.

— A towarzysze pańscy? — zapytał marynarz. — Sądzilem, że będzie was czterech, oprócz waszych lokajów.

— Posłuchaj, — rzekł Mordaunt zbliżając się, — nie jestem tym, którego oczekujesz, tak samo, jak ty nie jesteś człowiekiem, jakiego oni spodziewają się zastać tutaj... Zająłeś miejsce kapitana Roggers, wszak prawda? zrobiłeś to z rozkazu generała Cromwella; ja także przez niego jestem przysłany.

— Rzeczywiście, poznaję cię teraz. Nazywasz się kapitan Mordaunt.

Mordaunt zatrząsnął się.

— Oh! nie obawiaj się, — rzekł marynarz odkrywając głowę, — patrz, jam twój przyjaciel...

— Kapitan Grosslow! — zawołał Mordaunt.

— We własnej osobie... Generał przypomniał sobie, iż

byłem niegdyś oficerem marynarki. Czyż to zmienia twoje zamiary?

— Nie, nie, przeciwnie, wszystko zostaje jak być miało.

— Myślałem na chwilę, że śmierć króla...

— Śmierć króla przyśpieszyła ich ucieczkę. Za kwadrans, może nawet za dziesięć minut, będą już tutaj.

— Co zatem myślisz robić?...

— Wsiąść z tobą razem na statek. Czy masz tu kogo, coby zabrał konia mojego?

Grosslow gwizdnął; natychmiast ukazał się majtek.

— Petrich — rzekł Grosslow — zaprowadź konia do najbliższej oberży. Na zapytanie, czyj to wierzchowiec, odpowiesz, że jakiegoś pana irlandzkiego.

Majtek oddalił się, nie uczyniwszy żadnej uwagi.

— Czy nie obawiasz się, że cię poznają?... — zapytał Mordaunt.

— Spokojny jestem, noc ciemna, opończą się zakryję; przecież ty mnie nie poznałeś, choć znasz dobrze, tembardziej oni!...

— To prawda — rzekł Mordaunt — w dodatku na myśl im nie przyjdiesz... Czy wszystko gotowe?

— Tak.

— Doskonale. Prowadź mnie na pokład statku, a sam wracaj na stanowisko, ponieważ oni przybędą niezadługo.

— Gotów jestem.

— Koniecznym jest, by mnie żaden z twoich ludzi nie widział wchodzącym...

— Mam tylko jednego, i ufam mu, jak sobie samemu.

A przytem, nie zna cię wcale; posłuszny i gotów spełnić rozkazy, lecz o niczem nie wie...

— Dobrze. A zatem w drogę.

Poszli w dół Tamizy, stała tam mała barka, przymocowana łańcuchem do słupa kamiennego. Grosslow przyciągnął ją i trzymał, podczas gdy Mordaunt wchodził, potem sam wskoczył, uchwycił wiosło i wiosłował. Po upływie pięciu minut wydostali się z lasu przeróżnych statków, a Mordaunt ujrzał na horyzoncie mały żaglowiec, kołyszący się na kotwicy o pięć węzłów najdalej od Psiej Wyspy. Podpłynęli ku *Błyskawicy*. Grosslow gwizdnął w sposób umówiony.

— Czy to ty, kapitanie? — zapytał cichy głos.

— Tak, spuść drabinę.



Grosslow lekko jak jaskółka przesunął się pod przednim masztem i stanął na krawędzi.

— Wchodź prędzej, — rzekł do towarzysza.

Mordaunt bez odpowiedzi uchwycił sznur i wdrapał się po bokach statku ze zręcznością rzadką u ludzi żyjących na stałym lądzie. Pragnienie zemsty zastępowało mu przyzwyczajenie, czyniło go zdolnym do wszystkiego.

Jak to przewidywał Grosslow, strażnik na pokładzie *Błyskawicy* nie zauważył nawet, że patron jego powrócił z towarzyszem.

Mordaunt i Grosslow udali się do izby kapitana. Była to kajuta tymczasowa, sklecona z desek na pomoście. Wygodne i obszerniejsze pomieszczenie kapitan Roggers ustąpił swoim pasażerom.

— Gdzie oni będą?... — zapytał Mordaunt.

— Na przeciwnym brzegu statku — odparł Grosslow.

— Nie mają nic wspólnego z tą kajutą?

— Nic, zupełnie...

— Przewybornie! Ukryję się tutaj... Wracaj do Greenwich i przywieź ich... Czy masz szalupę?

— Tak, którą tu przybyliśmy.

— Zdaje się być lekką i dobrze zbudowaną.

— Lekka jak czółno...

— Przywiąż ją z tyłu statku, włóż wiosła, niech płynie za nami, jak nadejdzie chwila, pozostanie nam linę tylko przeciąć. Naładuj ją rumem i sucharami. Na wypadek gdyby morze było burzliwe, ludzie twoi nie rozgniewają się, gdy będą mieli czem się posilić.

— Zrobię, jak mówisz. Chcesz obejrzeć prochownię?

— Nie, jak powrócisz. Założę lont własnoręcznie, aby się upewnić, że długo palić się nie będzie. Przedewszystkiem zakryj dobrze twarz, ażeby cię nie poznali.

Słychać było właśnie dziesięć uderzeń dzwonu, ponuro rozbrzmiewającego w ciężkiem powietrzu, pod niebem zakrytem czarnymi chmurami.

Grosslow otworzył drzwi kabiny, Mordaunt wszedł i zamknął się wewnątrz. Następnie przykazał majtkowi największą czujność, a sam zszedł do barki, i oddalił się śpiesznie, prując gwałtownie bałwany morskie.

W chwili gdy właśnie Grosslow wysiadał na ląd, rozległ się odgłos koni, biegnących galopem po brukowanej drodze.

— O!... — pomyślał — Mordaunt miał rację, nagląc mnie... W sam czas przybyłem... otóż i oni...

W samej rzeczy, byli to nasi przyjaciele, a mianowicie straż przednia złożona z d'Artagnana i Athosa. Dotarli do miejsca, gdzie stał Grosslow, i zatrzymali się, jak gdyby odgadli, że to właśnie ten, którego szukali. Athos zsiadł z konia, rozwinął powoli chustkę ze związanymi rogami, potrząsając nią w powietrzu, podczas gdy d'Artagnan zawsze ostrożny, schylił się tylko z konia, z ręką na pistoletach.

Grosslow niepewny, czy jeźdźcy są tymi, na których oczekiwał, skrył się za słup, służący do zwijania lin okrętowych; ujrawszy jednak umówiony znak, podniósł się i szedł prosto do przybyłych. Płaszcz okrywał go od stóp do głowy, twarzy nie było widać zupełnie. Zresztą ciemna noc czyniła nawet te ostrożności zbyt uczynnymi. Pomimo to, przenikliwe oko Athosa odgadło, że to nie Roggers przed nim stoi.

— Czego chcesz ode mnie?... — zapytał Grosslowa.

— Chcę wam powiedzieć, milordzie — odparł Grosslow, starając się przybrać akcent irlandzki — że poszukujesz patrona statku, Roggersa, lecz napróżno go upatrujesz.

— A to dlaczego?... — zapytał Athos.

— Dziś rano spadł z maszty i złamał nogę. Jestem jego krewnym; wtajemniczył mnie w całą sprawę, polecił przyjąć zamiast niego i przeprowadzić, gdzie będą chcieli, szlachciców, którzy mi okażą chustkę związaną na czterech rogach, jak ta, którą pan trzymasz w ręku, i jaką ja mam w kieszeni.

To mówiąc Grosslow wyjął chusteczkę, jaką już pokazywał Mordauntowi.

— Czy to wszystko?... — zapytał Athos.

— Nie, milordzie; chodzi jeszcze o siedmdziesiąt pięć funtów szterlingów, obiecanych mi, jeżeli wysadzę was szczęśliwie na ląd w Boulogne, lub w jakim innym punkcie Francji, przez was wskazanym.

— Cóż ty na to, d'Artagnan?... — zapytał Athos po francusku.

— Chciałbym najprzód wiedzieć, co on mówi?... — odparł tenże,



*Noga Mordaunta dotknęła ściany...*

1874

W. H. ... ..

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

— A! prawda, zapomniałem, że nie rozumiesz po angielsku.

Athos powtórzył rozmowę, jaką miał z patronem.

— Zdaje mi się, że to dosyć prawdopodobne — rzekł gaskończyk.

— I mnie także — dodał Athos.

— W dodatku — podjął d'Artagnan — jeżeli ten człowiek nas oszukuje, możemy w każdej chwili w łeb mu palnąć.

— A kto nas wtedy poprowadzi?

— Ty, Athosie; tyle rzeczy potrafisz, nie wątpię, że i statkiem umiesz kierować.

— Na honor — rzekł Athos, śmiejąc się żartobliwie — prawie zgadłeś, kochany przyjacielu. Ojciec przeznaczył mnie do służby morskiej, posiadam zatem niektóre wiadomości potrzebne żeglarzowi.

— A widzisz!... — zawołał d'Artagnan.

— Idź teraz, d'Artagnan, i przyprowadź przyjaciół naszych; jest już jedenasta, nie mamy czasu do stracenia.

D'Artagnan podjechał do Porthosa i Aramis, którzy z pistoletami w ręku stali na końcu miasta, bacząc pilnie na drogę, oparci o jakiś stary budynek; lokaje znów i Parry trzymali straż z boku, gotowi na każde zawołanie.

D'Artagnan wezwał przyjaciół, aby się za nim udali, oni znów dali znak swoim służącym, aby zsiadli z koni i zdjęli z nich pakunki.

Parry z wielkim żalem rozstawał się z przyjaciółmi; proponowano mu, ażeby pojechał do Francji, lecz odmawiał uparcie.

— To bardzo proste — powiedział Mousqueton — ma on bowiem pewne zamiary względem Grossłowa.

Trzeba pamiętać, że to Grossłow rozciął głowę Parry'emu.

Mały orszak podążył do Athosa. D'Artagnana napadła znów wrodzona nieufność; znajdował wybrzeże zanadto pustem, noc za ciemną, a patrona zanadto łatwo zgadzającym się na wszystko. Opowiedział Aramisowi swoje przypuszczenia, lecz ten, sam będąc podejrzliwym, nie uspokoił go bynajmniej. Athos usłyszał mruczenie gaskończyka i domyślił się jego obaw.

— Nie pora na nieufność — odezwał się — łódź czeka, siadajmy.

— Cóż nam przeszkadza wsiąść — rzekł Aramis, można niedowierzać, a jednak robić swoje? Będziemy pilnować naszego przewodnika.

— Jeżeli tylko poznamy, że nas oszukuje, zaduszę go, i po wszystkim.

— Dobrześ powiedział, Porthosie — podjął d'Artagnan. Siadajmy zatem do łodzi. Mousqueton, idź naprzód.

D'Artagnan powstrzymał przyjaciół, każąc iść naprzód służbie, aby wypróbowali moc deski, po której trzeba było iść z wybrzeża do łodzi.

Trzej lokaje przeszli bez wypadku.

Athos poszedł za nimi, potem Porthos i Aramis. D'Artagnan był ostatnim; szedł i ciągle z niedowierzaniem kiwał głową.

— Nie podoba mi się — rzekł — nie widzę na wybrzeżu ani inspektora, ani straży nadmorskiej.

— Masz też na co narzekać!... — przerwał Porthos — wszystko przecież idzie, jak po maśle.

— Zanadto dobrze i łatwo, Porthosie. Lecz niech się dzieje wola Boska...

Deskę odsunęto, patron siadł u steru i dał znak jednemu z majtków, który ujął za bosak i starał się wydostać z labiryntu statków, jakimi mała barka była otoczona.

Drugi majtek stał na przodzie z wiosłem w ręku.

Gdy tylko można już było użyć wiosel — obydwaj zaczęli silnie robić niemi i łódź sunęła dość szybko.

— Nakoniec płyniemy!... — odezwał się Porthos.

— Jeszcześmy nie dojechali — rzekł d'Artagnan — nie wiemy, co nas może spotkać.

— E, mój kochany — mówił Porthos — śpiewasz ciągle na trwogę, jak ptak złowróźbny. Kogóż spotkać możemy w noc tak ciemną, że o dwadzieścia kroków nic dojrzeć niepodobna.

— Tak, lecz jutro rano?

— Jutro rano będziemy w Boulogne.

— Pragnę tego z całego serca — rzekł gaskończyk, i przyznaję się do obawy. Będiesz się śmiać ze mnie, Athosie, lecz dokąd byliśmy na odległość strzału od lądu, oczekiwałem ciągle strasznej jakiejś kanonady, która nas miała zaprzepaścić.

— Niepodobieństwo, mój drogi — odezwał się Por-

thos, przecieży zabito jednocześnie i kapitana i marynarzy.

— Ba! wielka historja! Czy sądzisz, że pan Mordaunt zważałby na taką bagatelę?

— „Błyskawica“ — zawołał kapitan.

— Już przybyliśmy?... — zapytał Athos.

— Tak panie.

Po kilku pchnięciach zrównali się z małym żagłowcem. Majtek oczekiwał z drabiną, ponieważ poznano podpływającą łódź.

Athos szedł pierwszy z całą zręcznością wprawnego marynarza; Aramis ze znajomością, jaką miał oddawna ze sznurem, drabiną i innymi mniej więcej dowcipnymi sposobami, wynalezionymi dla dostania się do miejsc uzbrojonych; d'Artagnan zwinnie, jak strzelec kóz alpejskich; Porthos z siłą, jaką zawsze wszystkie przeszkody zwalczał.

Lokajom nie poszło tak łatwo; nie mówimy tu o Grimaudzie, chudym i cienkim, jak kot żyjący na dachu, który wszędzie się wciśnie, lecz o Mousquetonie i Blaisois, których majtkowie musieli podsadzać i podawać Porthosowi a ten ich chwycił garścią za kołnierze kaftanów i stawiał na pomoście.

Kapitan zaprowadził swoich pasażerów do przygotowanego apartamentu, składającego się z jednej izby dla wszystkich; następnie oddalił się pod pozorem wydania potrzebnych rozporządzeń.

— Zatrzymaj się pan chwilę — rzekł d'Artagnan — jak liczną załogę masz na statku?

— Nie rozumiem — odparł tenże po angielsku.

— Zapytaj go, Athosie.

Athos zrobił, jak chciał d'Artagnan.

— Trzech — odpowiedział Grosslow — oprócz mnie, ma się rozumieć.

D'Artagnan domyślił się, ponieważ kapitan odpowiadając podniósł trzy palce.

— O!... — powiedział — tylko trzech, zaczynam się uspokajać. Lecz pomimo to, podczas gdy wy tu się ulokujecie, pójdę obejrzeć nasz statek.

— A ja się zajmę kolacją — rzekł Porthos.

— Piękny i szlachetny pomysł, Porthosie, tylko go wykonaj... Pożycz mi Grimauda, Athosie, który w towarzy-

stwie swego przyjaciela Parry'ego nauczył się bełkotać po angielsku; posłuży on mi za tłumacza.

— Grimaud, idź za panem — rzekł Athos.

D'Artagnan wziął w jedną rękę latarnię, w drugą pistolet i przemówił do kapitana:

— „Come“.

Słowo to i drugie „goddam“, oto wszystko, co się nauczył po angielsku. D'Artagnan otworzył klapę i wszedł pod pokład.

Dół statku podzielony był na trzy oddziały. Ten do którego d'Artagnan się spuścił i który ciągnął się od trzeciego małego masztu do tyłu okrętu, był położony pod kajutą, w której Athos, Porthos i Aramis mieli noc spędzić; drugi oddział przeznaczono dla służących; trzeci szedł aż do przodu statku, to jest pod tymczasową kabiną kapitana, gdzie Mordaunt był ukryty.

— O! o!... — zawołał d'Artagnan schodząc na dół i świecąc latarnią, co tu beczek!

— Co pan mówi?... — zapytał kapitan po angielsku.

D'Artagnan domyślił się z intonacji głosu.

— Chciałbym wiedzieć, co się znajduje w tych beczkach — zapytał d'Artagnan, zbliżając latarnię.

Kapitan uczynił ruch, jakby chciał wskoczyć na drabinę, lecz powstrzymał się.

— Porto — odpowiedział.

— A! wino Porto — rzekł d'Artagnan — dobrze o tem wiedzieć — przynajmniej nie pomrzemy z pragnienia.

Następnie, zwracając się do Grosslowa, który ocierał czoło potem zlane:

— I wszystkie pełne?... — zapytał.

Grimaud przetłumaczył zapytanie.

— Niektóre pełne, lecz są i próżne — rzekł Grosslow, w którego głosie, pomimo wysiłku, niepokój przebijał.

D'Artagnan uderzył ręką po beczkach i przekonał się, iż pięć jest pełnych, reszta zaś puste, następnie świecił latarnią pomiędzy beczkami, (z wielkiem przerażeniem anglika), a zobaczywszy, że nic tam niema groźnego:

— Idźmy dalej — powiedział — i skierował się do drugiej przegrody.

— Wstrzymaj się pan — rzekł Anglik stojący w tyle z widocznym pomieszaniem, ja mam klucz od tych drzwi.

Minął szybko d'Artagnan i Grimauda i drżącą ręką



otworzył z klucza przegrodę, w której Mousqueton i Blaisois przygotowywali wieczerzę.

Nic tu nie było do oglądania, kąty puste, a latarnia zawieszona oświecała dwóch towarzyszy.

Przeszli prędko do trzeciej przegrody, zajętej przez załogę.

Kilka hamaków, stół przymocowany sznurem, dwie ławki spleśniałe, tworzyły całe umeblowanie.

D'Artagnan przetrząsł jeszcze stare żagle zawieszone na ścianach, a nie znalazłszy nic podejrzanego, powrócił na pokład.

— A to co za pokój?... — zapytał d'Artagnan.

Grimaud przetłumaczył anglikowi słowa muszkietera.

— To mój pokój — rzekł kapitan — czy chcesz pan wejść?

— Otwórz drzwi — rzekł d'Artagnan.

Anglik był posłuszny: d'Artagnan wyciągnął rękę uzbrojoną w latarnię, wsadził głowę przez drzwi uchylone, a zobaczywszy, że to prawdziwa ciupa zarzucona gratami:

— Dobrze — powiedział — jeżeli jest armja na pokładzie, to pewnie nie tutaj ukryta. Chodźmy zobaczyć, czy Porthos znalazł cokolwiek do jedzenia na kolację.

Podziękował kapitanowi skinieniem głowy i udał się do pokoju, gdzie znajdowali się jego towarzysze.

Porthos nic widać nie znalazł do jedzenia, a jeżeli znalazł, to zmęczenie wzięło górę nad głodem, ponieważ, gdy d'Artagnan wszedł, spał twardo, otulony płaszczem.

Athos i Aramis kołysani słodko pierwszymi falami morza, zaczęli drzemać, lecz przebudzili się na odgłos kroków przyjaciela.

— Co słychać?... — zapytał Athos.

— Wszystko dobrze — odparł d'Artagnan — możemy spać spokojnie.

Na takie zapewnienie, Athos spuścił głowę i przymknął oczy; Aramis z wdziękiem swoją skłonił, a d'Artagnan, który, jak Porthos, więcej pragnął snu niż jedzenia, odprawił Grimauda, położył się w płaszczu, z gołą szpadą w rękę a umieścił się w ten sposób, iż niepodobna było wejść do pokoju, aby go nie potrącić.

## ROZDZIAŁ XXXIII

### W I N O P O R T O

W dziesięć minut panowie już spali, lecz nie tak było ze służbą zgłodniałą, a w dodatku niespokojną z powodu niepewności położenia.

Blaisois i Mousqueton zajęci byli szykowaniem posiłka, składającego się z deski i tłumoka; na wiszącym stole leżał bochenek chleba, stał dzban piwa i trzy szklanki.

— Przekłęte kołysanie!... — mówił Blaisois — czuję, że już mnie porywa to samo, co przy pierwszej przeprawie.

— A w dodatku na pokonanie choroby morskiej — odparł Mousqueton — mamy jedynie chleb jęczmienny i piwo z chmielu! pfe!

— Grimaud?... — zapytał Mousqueton wchodzącego towarzysza, czy i ty masz pragnienie?

— Jak rodowity szkot — odparł Grimaud krótko.

Usiadł przy Blaisois i Mousquetonie, wydobył z kieszeni notatnik i zajął się obrachunkiem wydatków dziennych.

— Oj! oj!... — mówił Blaisois — otóż zaczyna mnie kręcić koło serca!

— Jeżeli tak — rzekł Mousqueton poważnie — to zjedz trochę...

— Nazywasz to jedzeniem?... — odparł Blaisois, wskazując z pogardą na chleb jęczmienny i piwo.

— Blaisois — przerwał Mousqueton — pamiętaj, że chleb jest najwłaściwszem pożywieniem francuza; a i tego nie zawsze ma pod dostatkiem; zapytaj Grimauda.

— Tak, ale piwo — odparł Blaisois, z przytomnością czyniącą honor bystrości jego umysłu — ale piwo, czy także jest najwłaściwszym napojem?

— Co do tego — rzekł Mousqueton zaambarasowany — muszę wyznać, że nie, i że piwo jest tak samo wstrętne francuzowi, jak wino anglikowi.

— Jakto, panie Mouston — mówił Blaisois, jakto, więc według pana anglicy nie lubią wina?

— Nienawidzą, a na dowód — ciągnął Mousqueton prostując się z dumą — na dowód powiem ci, że pewien książę angielski umarł, gdy go wpakowano w beczkę małmazji. Słyszałem jak opowiadał to zdarzenie pan opat d'Herblay.

— A to głupiec ten anglik!... — rzekł Blaisois — chciałbym być na jego miejscu.

— Możesz — odezwał się Grimaud, pisząc swoje rachunki.

— Jakto, mogę?... — zapytał Blaisois.

— Tak — ciągnął Grimaud, nie przerywając cyfr sumować.

— Ja mogę? Wytłomacz się, panie Grimaud.

Grimaud rachował dalej i właśnie skończył ogólną sumę.

— Porto — mruknął Grimaud, zaczynając nową kombinację rachunkową.

— Gdybyśmy poprosili anglików aby nam sprzedali buteleczkę? — zapytał uczciwy Blaisois.

— Sprzedali! — zawołał Mousqueton, w którym odezwały się dawne złodziejskie instynkty; — znać zaraz, młodzieńcze, że nie masz doświadczenia życiowego. Na co kupować, kiedy wziąć można.

— Wziąć! — rzekł Blaisois, — pożądać dobra bliźniego! ależ to wzbronione, zdaje mi się...

— Gdzieżeś to wyczytał? — zapytał Mousqueton.

— W przykazaniach Boskich, czy kościelnych, nie pamiętam już w jakich. Lecz to wiem, że napisano: *Nie będziesz pożądał żony bliźniego twego, ani żadnej rzeczy jego...*

— Otóż to głupia racja, panie Blaisois, dzieciństwo prawdziwe, — rzekł Mousqueton tonem wyższości; — tak, dzieciństwo; nie cofam słowa. Pytam, w którym Piśmie Świętem wyczytałeś, że anglicy są nasi bliźni?

— Wprawdzie nie pamiętam, gdzie to stoi, — rzekł Blaisois.

— Dzieciństwo, jeszcze raz powtarzam, — ciągnął Mousqueton. — Gdybyś przez dziesięć lat wojował, ko-

chany Blaisois, jak ja i Grimaud, umiałbyś odróżnić własność cudzą, od własności nieprzyjaciela. Przecież anglik, to wróg nasz, jak sądzę, a wino Porto należy do anglików. Zatem do nas należy, bo jesteśmy francuzami. Czy znasz przysłowie: *Zabieraj co możesz nieprzyjacielowi?*

— A nasi panowie, — zapytał jeszcze Blaisois, — czy byliby takiego samego zdania, panie Mousqueton?

Mousqueton uśmiechnął się pogardliwie.

— Potrzeba może, bym szedł przerywać sen tym zacnym panom, żeby im oznajmić: „Panowie, wasz sługa Mousqueton, ma pragnienie, czy pozwolicie mu się napić?” Pytam was, co obchodzi pana de Bracieux, czy ja mam pragnienie, lub nie?...

Mousqueton powstał, ujął dzbanek z piwem, wylał co do kropli przez okienko i zbliżył się poważnie do drzwi, prowadzących do przyległej izby.

— Ah! ah! zamknięte, — wyrzekł. — Djabelscy anglicy, jacyż oni podejrzliwi!

— Zamknięte! — odezwał się Blaisois, niemniej jak Mousqueton rozczarowany. — Do diabła! to wcale nie-dobrze; a mnie coraz bardziej nudzi koło serca.

Mousqueton odwrócił się do Blaisois z miną miłosierną, znać było, że podziela zawód zacnego chłopaka.

— Zamknięte! — powtórzył

— Lecz, — odważył się Blaisois, — słyszałem jak opowiadałeś, panie Mousqueton, iż będąc młodym, pewnego razu, zdaje mi się w Chantilly, żywiłeś pana i siebie, łapiąc kuropatwy w sieci, łowiąc karpie na wędkę a butelki na lasso.

— To prawda, — odparł Mousqueton. Lecz w piwnicy było okienko, a wino w butelkach. Nie mogę przecie zarzucić lasso przez ścianę, ani wyciągnąć na szpagacie beczki z winem.

— No tak, lecz możesz oderwać kilka desek z przepierzenia, — rzekł Blaisois, — i przewiercić beczkę świderkiem.

Mousqueton wytrzeszczył oczy, i patrzył na Blaisois z uwielbieniem, szczęśliwy z odkrycia w nim zdolności, o jakie go nie posądzał.

— To prawda, — powiedział, — lecz skąd wziąć dłuta do podważenia desek, i świdra do przedziurawienia beczki?

— Wytrychy, — rzekł Grimaud, cały zajęty równaniem rachunków.

— Ah! tak, wytrychy, — powtórzył Mousqueton; — a mnie to na myśl nie przyszło.

Grimaud był nie tylko gospodarzem zgromadzenia, lecz i mechanikiem; oprócz regestrów, posiadał i wytrychy,

Grimaud był człowiekiem przewidującym, w pęku wytrychów schowanych starannie w tłumoku, znajdowały się przeróżne narzędzia, mogące być przydatnymi w danym razie. Był tam i świderk wcale gruby. Mousqueton zabrał go zaraz. Dłuta nie potrzebował szukać daleko: sztylet, jaki nosił u pasa, mógł je wybornie zastąpić. Mousqueton wyszukał miejsce, w którym deski się nie schodziły, co mu przyszło z łatwością i zabrał się zaraz do dzieła. Blaisois patrzył z podziwem i niecierpliwością zarazem, od czasu od czasu udzielał dobrej rady, jak prężej gwóźdź wyjąć lub deskę podważyć. Po niedługiej chwili, Mousqueton oderwał trzy deski.

— Oho! — wyrzekł Blaisois.

Mousqueton nie był podobny do owej żaby w bajce, która sądziła się większą, niż była rzeczywiście.

Niestety, potrafił nazwisko swe zmniejszyć o jedną trzecią, lecz nie mógł tego dokazać z żołądkiem.

Próbował wtłoczyć się w otwór zrobiony, lecz przekonał się ze smutkiem, iż potrzeba wyjąć jeszcze kilka desek, aby dziura odpowiadała jego objętości.

Westchnął ciężko i zabrał się do roboty.

Grimaud skończył właśnie rachować, podniósł się, z wielkiem zajęciem patrzył na usiłowania Mousquetona, aby się dostać do ziemi obiecanej.

— Ja przejdę — wymówił nakoniec.

— To prawda, — rzekł Mousqueton, obrzucając wzrokiem długą i cienką postać przyjaciela, — ty przejdiesz, z łatwością nawet.

— Idź zatem, Grimaud, — dodał, podając mu dzbanek i świderk.

— Umyj szklanki. — wymówił Grimaud.

Następnie uśmiechnął się przyjacielsko do Mousquetona, jakby przepaszając, iż dokończy dzieła tak świetnie zaczętego przez przyjaciela; pochylił się, wślizgnął jak jaszczurka przez otwór i znikł z oczu towarzyszy.

Blaisois gębę otworzył z podziwu.

— Płaszcz — odezwał się Grimaud z głębi piwnicy.  
— Ma rację, — rzekł Mousqueton.  
— Czego on chce? — zapytał Blaisois.  
— Aby zakryć otwór płaszczem.  
— A to na co?  
— Niewiniątko, — rzekł Mousqueton, — a jak kto wejdzie?

— Ah! prawda, — zawołał Blaisois z coraz większą admiracją. — Lecz ciemno mu tam będzie?

— Grimaud zawsze widzi, — odparł Mousqueton, — tak samo w nocy, jak wśród dnia.

— Zazdroszczę mu, — rzekł Blaisois: — ja zaś jak nie mam świecy, co krok się muszę o coś potknąć.

— Dlatego, że nie służyłeś w wojsku, tam nauczyły się znaleźć igłę w stogu siana. Lecz cicho! zdaje mi się, że ktoś nadchodzi.

Mousqueton zagwizdał cichutko na alarm, sposobem znanym jeszcze z dawnych czasów, usiadł na swoim miejscu przy stole i skinął na Blaisois, by zrobił to samo.

Drzwi się otworzyły; dwóch mężczyzn okrytych płaszczami, ukazało się na progu.

— Oho! — rzekł jeden z nich, — już kwadrans na dwunastą, a wy jeszcze czuwacie? nie zgadza się to z regułą okrętową. Proszę, aby za kwadrans było tu cicho i ciemno.

Dwaj mężczyźni poszli do drzwi przegrody, w której siedział Grimaud, otworzyli, weszli i zamknęli za sobą.

— O Boże! już po nim! — szepnął Blaisois, trzęsąc się ze strachu.

— Chytry to lis z tego Grimauda, — mruknął Mousqueton.

Upłynęło dziesięć minut, a nic nie zdradzało, by Grimauda odkryto.

Drzwi znów się rozwarły, dwaj mężczyźni w płaszczach wyszli, zamknęli je równie starannie, jak przedtem, i odchodząc ponowili rozkaz udania się na spoczynek i zgaszenia światła.

— Czy posłuchamy? — odezwał się Blaisois; — jakoś mi się to nie podoba.

— Zostawili nam kwadrans czasu, mamy zatem jeszcze pięć minut.

— A gdybyśmy zawiadomili panów?

— Czekaјmy na Grimauda.

- A jak go zabili?
- Byłby choć krzyknął.
- Wiesz przecie, że on prawie niemy.
- Słyszelibyśmy chociaż, jak go zabijali.
- A jak nie powróci?
- Oto jest...

Właśnie w tej chwili Grimaud odgarnął płaszcz, zasłaniający otwór, i ukazał się blady, z oczami w słup przewróconemi.

W rękę trzymał dzban pełny jakiejś substancji niezna-nej, zbliżył go pomału do światła i szepnął tylko: *Oh!* z takim strasznym wyrazem przerażenia, że Mousqueton przewrócił się ze strachu, a Blaisois o mało nie zemdlął.

Pomimo to, obaj zajrzeli ciekawie do dzbana: dzban napełniony był prochem!

Jak tylko Grimaud przekonał się, że statek zamiast winem naładowany jest prochem, skoczył na schody, i jednym susem znalazł się przy pokoju, gdzie zasypiali nasi muszkietierowie. Pchnął lekko drzwi, a te otwierając się, obudziły natychmiast d'Artagnana, leżącego pod niemi.

Zaledwie d'Artagnan ujrzał zmienioną twarz Grimauda, zrozumiał, iż przytrafiło się coś nadzwyczajnego, i chciał zawołać na towarzyszy.

Grimaud szybkim ruchem, położył palec na ustach, oraz dmuchnął na lampkę stojącą o trzy kroki.

D'Artagnan uniósł się na łokciu, Grimaud zaś ukląkł na jedno kolano, i z szyją wyciągniętą, drżący cały, jął opowiadać do ucha, co widział i słyszał.

Przez ten czas Athos, Porthos i Aramis spali jak ludzie, którzy od ośmiu dni oka nie zmrużyli; pod pomostem Mousqueton przez ostrożność pakował manatki, a Blaisois, z włosami powstałemi na głowie, próbował to samo.

Oto co się stało.

Zaledwie Grimaud zniknął w otworze i znalazł się w piwnicy z winem, rozpoczął zaraz poszukiwania beczułek. Uderzył w jedną: pusta. Poszedł do drugiej, także pusta, trzecia dopiero, na której powtórzył kilka razy doświadczenie, okazała się pełną.

Został więc przy tej i poszukiwał miejsca stosownego, gdzieby najlepiej zapuścić świderk. Macając dokoła ręką, natrafił na kran.

— Dobrze — pomyślał — obejdzie się bez świdrowania

Podstawił dzbanek, odkręcił kran, i czuł że zawartość powoli cieknie w podstawione naczynie.

Nagle usłyszał sygnał Mousquetona. Domyślił się, że pewno ront nocny nadchodzi, osunął się na ziemię i ukrył pomiędzy dwie beczki. Rzeczywiście, za chwilę drzwi się otworzyły i weszło dwóch mężczyzn otulonych w płaszcze.

Jeden z nich niósł latarnię szczelnie zamkniętą, a tak wysoką, by płomień świecy nie dostawał do wierzchu. W dodatku, szyby osłonięte były białym papierem, przyciemniającym blask i absorbującym gorąco.

Był to Grosslow. Drugi trzymał w rękę, coś długiego i miękkiego, zwiniętego, jak sznurek białawy. Twarz mu zasłaniał kapelusz o szerokich skrzydłach.

Przyszedłszy do beczki, za którą siedział Grimaud, dwaj mężczyźni stanęli.

— Czy masz lont? — zapytał ten, który niósł latarnię.

— Oto jest, — odpowiedział drugi.

Na dźwięk głosu tego ostatniego, Grimaud zadrżał i poczuł zimno przejmujące do szpiku kości. Wyjrzał z za beczki, i pod szerokimi skrzydłami kapelusza poznał bladą twarz Mordaunta.

— Jak długo tlić się może ten lont? — zapytał tenże.

— Około pięciu minut, — odpowiedział patron.

Ten głos nie obcym był także Grimaudowi, spojrzał na mówiącego: był to Grosslow.

— Uprzedzisz zatem swoich ludzi, — rzekł Mordaunt, niech będą w pogotowiu, nie mów im jednak do czego. Szalupa jest poza statkiem?

— Idzie za nim, jak pies za swoim panem, uwiązana na linie konopnej.

— Gdy zegar wskaże kwadrans po północy, weźmiesz załogę i cicho, bez hałasu, zejdziecie do szalupy.

— Po zapaleniu lontu?...

— To do mnie należy, Chcę być pewnym mojej zemsty. Wiosła są w łodzi?

— Wszystko gotowe.

Mordaunt ukląkł i przymocował lont do kрана w beczce, aby już tylko ogień założyć z przeciwnego końca.

Po dokonaniu tej czynności, wyjął zegarek.

— Słuchaj dobrze, kwadrans po północy — rzekł wstając — to jest... za dwadzieścia minut.

Grimaud słyszał wszystko, choć może niekoniecznie ro-



zumiał, wzrok mu dopomógł, gdzie nie pojął języka. Widział i poznał dwóch śmiertelnych wrogów swoich panów; widział jak Mordaunt lont zakładał; słyszał przysłowie wypowiedziane po francusku. Nakoniec czuł pod ręką zawartość dzbana, w którym zamiast płynu oczekiwanego przez Mousquetona i Blaisois, skrzypiały pod palcami grube ziarenka prochu.

Mordaunt wychodził wraz z kapitanem, przy drzwiach stanął i nasłuchiwał:

— Czy słyszysz, jak śpią?... — powiedział.

Po przez deski pułapu dochodziło rzeczywiście chrapanie Porthosa.

— Sam Bóg oddał ich w twoje ręce!... — rzekł Grosslow.

— O! tym razem — dodał Mordaunt — nawet djabeł ich nie uratuje!

Wyszli. Grimaud zaczekał, aż klucz obrócił się w zamku, a przekonawszy się, że niema już nikogo, podniósł się i oparł o ścianę.

Śpiesznie wyszedł dziurą, z uczuciem jakby śnił jeszcze, lecz spojrzał na proch w dzbanie i przekonał się, że to nie sen, a okrutna rzeczywistość.

D'Artagnan, jak można się domyślać, słuchał tych szczegółów z wzrastającym zajęciem, i, nie czekając aż Grimaud skończy, podniósł się ostrożnie, przyłożył usta do ucha Aramis, który spał z lewej strony, dotknął go ręką, aby uprzedzić wszelkie głośnie poruszenia:

— Kawalerze — powiedział — wstań i nie czyn najmniejszego hałasu.

Aramis ocknął się. D'Artagnan powtórzył zlecenie, ścisnąc mu ramię. Aramis zrobił co mu kazał.

— Masz obok Athosa, uprzedź go, jak ja ciebie.

Aramis obudził z łatwością Athosa, który miał sen lekki, odznaczający natury delikatne i nerwowe; najtrudniej poszło z Porthosem.

Chciał wypytywać o przyczyny, dla jakich mu sen przerwano, lecz d'Artagnan zamiast odpowiedzi położył mu dłoń na ustach.

Wtedy nasz gaskończyk objął ramieniem głowy przyjaciół i przysunął do siebie:

— Przyjaciele — powiedział — opuścimy bezzwłocznie statek, inaczej śmierć nas czeka.

— Czy wiesz kto jest kapitanem statku?

— Nie.

— Pułkownik Grosslow.

Trzej muszkietierowie zadrżeli, a d'Artagnan przekonał się, że jego opowiadanie czyni niejakię wrażenie na kolegach.

— A wiecie, kto jest jego porucznikiem?

— Porucznikiem?... — przerwał Athos — niema przecie porucznika na statku obsługiwany przez czterech ludzi.

— Tak, lecz pan Grosslow nie jest zwyczajnym kapitanem. Ma on porucznika, a nim jest Mordaunt!

Tym razem okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi muszkietarów.

— Co robić?... — rzekł Athos.

— Opanować statek — rzekł Aramis.

— A Mordaunta zabić — dodał Porthos.

— Statek podminowany — powiedział d'Artagnan. Te beczki niby z winem Porto, napełnione są prochem. Mordaunt, jak zobaczy, że odkryliśmy prawdę, wysadzi w powietrze wrogów i przyjaciół razem.

— Jaki jest twój plan? — zapytał Athos.

— Czy mi ufacie?

— Rozkazuj — odrzekli jednogłośnie trzej muszkietarowie.

— Chodźcie zatem tutaj.

D'Artagnan otworzył niskie okno, przez które jednak człowiek mógł się przecisnąć.

— Oto nasza droga — powiedział.

— Nie dostaniemy się przecie wplaw do lądu!

— Szalupa uwiązana za statkiem; dostaniemy się do niej i przetniemy linę. Dalej, panowie...

— Chwilkę tylko — rzekł Athos: a lokaje?

— Jesteśmy — odezwali się — Mousqueton i Blaisois, których Grimaud sprowadził, aby wszystkie siły w jednym miejscu skoncentrować.

Nasi przyjaciele stali jednak nieruchomi, patrząc w małe okienko, przez które widniała czarna otchłań.

— Cordieu!... — rzekł d'Artagnan — wahamy się, jak widzę. Jeżeli my się wahamy, co uczynią służący?

— Ja się nie waham — rzekł Grimaud.

— Ja umiem pływać tylko w rzekach, proszę pana — odezwał się Blaisois.

— A ja wcale nie umiem — rzekł Mousqueton.

Przez ten czas d'Artagnan wylazł na okienko.

— Przyjacielu, ty się już zdecydowałeś?... — zapytał Athos.

— Tak — odparł gaskończyk. — Athosie! ty człowiek wyższy, doskonały, rozkaż, aby duch zapanował nad materją. Aramisie, przemów do lokajów: a ty, Porthos, zabij każdego, ktoby się opierał.

D'Artagnan uściśnął rękę Athosa, upatrzył chwilę, gdy statek przez ruch bałwanów na tył się pochylił i spuścił się w wodę, która go już do pasa objęła.

Athos poszedł za nim, statek jeszcze nie miał czasu podnieść się; po wyskoczeniu Athosa tył statku poszedł w górę ponad wodę, widać było linę przytrzymującą szalupę.

D'Artagnan popłynął do liny, uchwycił ręką i tak wisiał z głową ponad wodą jedynie.

Za sekundę może Athos był obok niego.

Następnie koło statku ukazały się dwie głowy: byli to Aramis i Grimaud.

— Blaisois mnie niepokoi — rzekł Athos.

— Słyszałeś, d'Artagnan, mówił, że pływa tylko w wodzie rzecznej?

— Kto umie pływać, pływa wszędzie — rzekł d'Artagnan — do szalupy! do szalupy!

— Porthosa nie widać?

— Porthos się znajdzie, bądź spokojny, pływa, jak sam Lewiatan.

Rzeczywiście, Porthosa nie było widać, ponieważ pomiędzy nim a Mousquetonem i Blaisois, rozgrywała się scena napół śmieszna i dramatyczna. Służący przerażeni szumem wody, wyciem wiatru, widokiem przepaści czarnej, cofali się zamiast iść naprzód.

— Dalej, dalej, do wody!... — wołał Porthos.

— Będę panom zawadzał, szalupa taka mała — tłumaczył Mousqueton.

— Ja z pewnością utonę, nim dopłynę — dodał Blaisois.

— Wyłaście, bo zduszę was obydwóch!... — mówił Porthos, chwytając ich za gardła. — Blaisois, naprzód!

Jęk stłumiony żelazną ręką Porthosa, był odpowiedzią

Blaisois, ponieważ olbrzym wziął go za głowę i za nogi, wysunął jak deskę przez okno i cisnął łbem na dół do wody.

— Na ciebie kolej, Mouston — rzekł Porthos — spodziewam się, że nie opuścisz swojego pana.

— O!.. panie—odparł Mousqueton ze łzami w oczach—poco wstąpiłeś do wojska z powrotem, tak dobrze nam było w zamku Pierrefonds. — Lecz stał się bierny i posłuszny, choć pewny był, że żyw nie wyjdzie.

Porthos niezdolny był opuścić tak wiernego sługi. Skoczył za nim do wody, tak, że obydwaj ciała wpadły jednocześnie. Dlatego też, gdy Mousqueton wypłynął na wierzch oślepiiony wodą, uczuł, że go podtrzymuje silne ramię Porthosa. Nie potrzebował żadnego poruszenia uczynić i dostał się majestatycznie do liny, jak jakie bóstwo wodne.

W tej chwili właśnie Porthos spostrzegł, że coś mu pod ręką szamocze się w wodzie. Złapał to coś za włosy: był to Blaisois, któremu już Athos śpieszył na pomoc.

— Wracaj, hrabio, wracaj — rzekł Porthos — nie potrzebuję ciebie wcale.

Porthos pchnął silnie nogami, wydostał się na wierzch fali, i jak olbrzym Adamastor, trzema pchnięciami zrównał się z przyjaciółmi.

D'Artagnan, Aramis i Grimaud wyciągnęli Mousquetona i Blaisois, lecz gdy przyszła kolej na Porthosa, o mało nie przewrócił barki, gdy nogę przełożył przez poręcz i wchodził.

— Gdzie Athos?... — zapytał d'Artagnan.

— Oto jestem — odrzekł Athos, który jak dobry generał, ostatni wsiadał do barki. — Czy wszyscy jesteście?..

— Wszyscy — rzekł d'Artagnan. — Athos, czy masz swój pugiinał?..

— Mam.

— Przetnij linę i chodź do nas.

Athos wyjął sztylet z za pasa i przeciął linę; statek popłynął dalej, szalupa stała na miejscu, kołysana falą.

— Chodź, Athos — rzekł d'Artagnan.

Podał rękę hrabiemu de la Fère, który z kolei zajął miejsce w szalupie.

— Wielki czas!.. — rzekł gaskończyk — ujrzyście teraz ciekawe rzeczy!..

## ROZDZIAŁ XXXIV

### PRZEZNACZENIE

Właśnie gdy d'Artagnan przestał mówić, odezwała się gwizdawka na statku pogrążającym się we mgle i ciemności.

— O!... to już coś znaczy, jak się domyślacie pewno— odezwał się gaskończyk.

Latarnie zabłyśły na pokładzie a poza nimi sylwetki dwóch ludzi.

Nagle krzyk straszny, krzyk rozpachy rozległ się w powietrzu; zdawało się, że krzyk ten rozdarł chmury, bo oto księżyc wyjrzał i oświecił białe żagle i liny czarnego małego statku, rysujące się na tle nieba zimowego.

Cienie jakieś uwijały się na pokładzie, potrącając się i wydając żalosne jęki.

Na tyle okrętu stanął Mordaunt z pochodnią w rękę.

Cienie te biegające bez pamięci po pomoście, to był Grosslow i jego ludzie, którzy na godzinę oznaczoną przez Mordaunta zgromadzili się; podczas, gdy on sam poszedł do drzwi posłuchać, czy muszkietierowie śpią jeszcze, a uspokojony ciszą panującą w kajucie, spuścił się na dno okrętu.

Mordaunt otworzył drzwi składu i pobiegł do lontu; pałający żądzą zemsty i pewny swego, jak człowiek, którego sam Bóg zaślepił, przyłożył ogień do siarki.

Przez ten czas Grosslow i majtkowie oczekiwali na pokładzie.

— Ściągnąć linę — rzekł Grosslow — i holować szalupę do nas.

Jeden z majtków przechylił się przez burtę i uchwycił za linę; lina bez oporu dała się podnieść.

— Sznur obcięty!... — wrzasnął marynarz — niema szalupy!...

Wtedy to Grosslow wydał ten okrzyk straszny, jaki muszkietierowie słyszeli.

— Co się stało?... — zawołał Mordaunt, który wyszedł z pod pomostu z pochodnią w rękę i także biegł na tył statku.

— Stało się, że wrogowie nasi uciekli, odcięli linę i zniknęli z szalupą.

Mordaunt skoczył do kajuty i uderzeniem nogi drzwi wywalił.

— Pusto!... — zaryczał. — O!... Szatany!...

— Puścimy się w pogoń — rzekł Grosslow, — nie mogą być chyba daleko, zatopimy ich z łatwością, skierowawszy statek na szalupę.

— Tak, lecz ogień!... — rzekł Mordaunt — już go podłożyłem!...

— Gdzie?...

— Lont zapaliłem!...

— Krocset djabłów!... — zawył Grosslow, rzucając się do drabiny. — Może czas jeszcze?...

Mordaunt odpowiedział śmiechem piekielnym, z twarzą wykrzywioną, pochodnię cisnął do morza i sam rzucał się za nią.

W tej samej chwili, gdy Grosslow wchodził na drabinę, wnętrze statku rozwarło się, jak krater wulkanu, snop ognia wystrzelił pod niebiosa z hukiem, jak gdyby sto armat zagrzmiało.

Łuna czerwona oślepiła patrzących; po chwili przerażająca światłość znikła, szczątki statku spadły w morze i pogasły. Statek zniknął z powierzchni, a Grosslow i trzej jego ludzie przepadli na wieki.

Czterej przyjaciele widzieli wszystko, nie uszedł im żaden szczegół krwawego dramatu. Przez jakąś chwilę, można ich było widzieć, w różnych pozach, wyrażających przerażenie, jakie owdądęto nimi, pomimo serc zahartowanych w kolejach życia.

Milczeli czas jakiś, nie mogąc się opamiętać. Porthos i d'Artagnan trzymali wiosła w rękach zaciśniętych kurczowo, zapominając nawet w wodę je zanurzyć.

— Na honor — rzekł Athos, przerywając pierwszy ci-

szą śmiertelną — zdaje mi się, że tym razem wszystko skończone.

— Do mnie, milordzie!... na pomoc!... ratujcie!... — dał się słyszeć głos żalorny.

Spojrzeni po sobie... Athos nawet zdrzął.

— To on, to jego głos!... — powiedział.

Wszyscy milczeli, bo wszyscy, jak Athos głos ten poznali.

Za chwilę można było odróżnić głowę ludzką. Człowiek zbliżał się, prując gwałtownie fale.

Athos wyciągnął rękę i wskazał go towarzyszom.

— Tak, tak — rzekł d'Artagnan — widzę go...

— Jeszcze on!... — odezwał się Porthos — oddychając, jak miech kowalski. Do licha!... czyż on z żelaza?...

— O mój Boże!... — szepnął Athos.

Aramis i Athos rozmawiali po cichu.

Mordaunt dał kilka pchnięć i podnosząc rękę do góry na znak, iż wzywa ratunku:

— Litości!... panowie, litości, błagam w imię nieba!... siły mnie opuszczają, śmierć się zbliża!...

Głos wzywający ratunku drgał tak boleśnie, iż obudził współczucie w sercu Athosa.

— O!... nieszczęśliwy!... — mruknął.

— Dobryś!... — rzekł d'Artagnan — brakuje tylko, ażebyś go żałował!... Zdaje mi się na prawdę, że ku nam płynie. Myśli może, że go zabierzemy!... Wiosłuj, Porthos, wiosłuj.

Dla przykładu d'Artagnan zanurzył wiosło w morze; dwa silne pchnięcia odsunęły barkę o jakie dwadzieścia sążni.

— O!... wy nie opuście mnie!... nie dacie zginąć!... zlitujecie się nad nieszczęśliwym!... — zawołał Mordaunt.

— O!... O!... — rzekł Porthos do Mordaunta — zdaje mi się, że nakoniec masz na coś zasłużył, mój zuchu, i nie ma dla ciebie innego wyjścia, jak drzwi do piekła...

— O!... Porthos!... — szepnął hrabia de la Fère.

— Daj mi pokój, Athosie; doprawdy, śmiesznym się stajesz z wiecznymi twojami szlachetnościami!... Otóż oświadczam ci, niech się poważy zbliżyć o dziesięć kroków do barki, a rozwałę mu łeb uderzeniem wiosła.

— Łaski!... panowie... nie uciekajcie... łaski błagam.. zlitujecie się nademną!... — wołał młody człowiek oddy-

chając tak gwałtownie, iż gdy fala głowę mu nakrywała, woda się burzyła.

D'Artagnan śledził poruszenia Mordaunta, a skończywszy rozmowę z Aramisem, podniósł się:

— Mój panie — powiedział zwracając się do Mordaunta — bądź łaskaw oddalić się od nas, twoje obecne położenie jest łożem różami zasłanem, w porównaniu z tem coć dla nas gotował, i z tem, coś zrobił z Grosslowem i jego towarzyszami.

— Panowie — zaczął znów Mordaunt z akcentem rozpaczony — przysięgam, żal mój jest szczerzy. Zlitujcie się, młody jestem, mam zaledwie dwadzieścia trzy lata!... Panowie!... popchnęło mnie do tego uczucie bardzo naturalne, chciałem pomścić matkę moją!...

— O!.. — rzekł d'Artagnan, widząc że Athos coraz bardziej mięknie — to zależy...

Mordaunt kilkoma poruszeniami mógł szalupy osiągnąć; widmo śmierci dodawało mu sił nadludzkich.

— Niestety!... — jęczał — więc umrzeć muszę. Zabijacie syna, jak matkę zabiliście!... A jednak jam nic nie zawinił. Według praw boskich i ludzkich, syn powinien mścić się za matkę. A wreszcie — dodał składając ręce, — jeżeli to zbrodnia... ponieważ żałuję za nią... ponieważ błagam przebaczenia... powinniście mi przebaczyć...

— O!... serce mi się kraje!... — rzekł Athos.

— A ja powiadam — odparł d'Artagnan — że trzeba z nim skończyć. Słyszysz, panie zabójco własnego wuja, kacie króla Karola I-go, panie podpalaczu, radzę ci, idź do dna, bo jak zbliżysz się jeszcze choć trochę do barki, roztrzaskam ci głowę tem oto wiosłem.

Mordaunt, jak gdyby w rozpaczony, podsunął się. D'Artagnan ujął wiosło w dwie ręce; Athos się podniósł.

— D'Artagnan!... d'Artagnan!... — zawołał — d'Artagnan!... mój synu... błagam cię!... Ten nieszczęśliwy umiera... to okrutne jest pozwolić ginąć człowiekowi i rękę mu nie podać, kiedy tego tylko trzeba dla ocalenia go... Serce moje nie pozwala na czyn podobny... Nie mogę się oprzeć... on żyć musi!...

— Mordieux!... — odparł d'Artagnan — dlaczego nie powiążesz nam nóg i rąk, i nie wydasz nas temu nędznikowi?... Prędeżyj się skończyło. Ah!... hrabio de la



Fère, chcesz zginąć przez niego, otóż ja, twój syn, jak mnie nazywasz, nie pozwolę na to.

Pierwszy to raz d'Artagnan odmówił prośbie Athosa, jaką ten do niego zanośli, nazywając synem swoim.

Aramis z zimną krwią dobył szpady, którą w zębach wyniósł ze statku.

— Jeżeli ujmie ręką za krawędź — rzekł — utnę mu ją, jako należy się królobójcy.

— O panowie!... — zawołał Athos głosem, któremu nie podobna się było oprzeć, — bądźmy ludźmi, chrześcijanami!..

D'Artagnan westchnął, a raczej jęknął; Aramis opuścił szpadę, Porthos usiadł napowrót.

— Przypatrzcie się — ciągnął Athos — śmierć wyrzyła swe piętno na jego twarzy; chwila jeszcze, a pójdzie na dno przepaści. O!... nie obciążajcie mnie strasznym wyrzutem; przyjaciele moi, nie zmuszajcie, abym umarł ze wstydu; darujcie mi życie tego biedaka; będę was błogosławił, będę was...

— Umieram!... — mruczał Mordaunt — ratunku!... ratunku!...

— Odwlecmy to choć na minutę — rzekł Aramis, nachylając się na lewo do d'Artagnana; — rób wiosłem — dodał — pochylając się na prawo do Porthosa.

Porthos uderzył wiosłem, lecz ponieważ sam tylko to zrobił, łódź zakręciła się jedynie i zbliżyła jeszcze Athosa do tonącego.

— Panie hrabio de la Fère!... — krzyknął Mordaunt — do ciebie się udaję!... ciebie błagam jedynie!... Zmiłuj się nademną!... Gdzie jesteś hrabio de la Fère... Nie widzę już... umieram!... ratujcie!... ratujcie!...

— Oto jestem — rzekł Athos, wychylając się, i podał rękę Mordauntowi, z godnością i szlachetnością właściwą mu w każdym poruszeniu — ujmij pan tę rękę i wejdź ło nas.

— Wolę nie patrzeć — rzekł d'Artagnan — wstręt mam do takiej słabości.

Odwrócił się do dwóch przyjaciół, którzy wcisnęli się w głąb barki, jak gdyby bali się dotknąć tego, któremu Athos rękę podawał.

Mordaunt uczynił wysiłek ostatni, porwał rękę wycią-

gniętą ku sobie, i uczepił się jej z gwałtownością ostatniej nadziei.

— Dobrze!... — odezwał się Athos — a drugą połóż tutaj...

I podał mu ramię, jako drugi punkt oparcia, tak, że głową dotykał prawie głowy Mordaunta, a dwaj śmiertelni wrogowie, trzymali się w uścisku, jak bracia rodzeni.

Mordaunt uchwycił palcami odrętwiałemi za kołnierz Athosa.

— Uspokój się panie — rzekł hrabia — jesteś uratowany.

— Ach!... matko moja — krzyknął Mordaunt ze spojrzeniem płomiennem i wyrazem nieopisanej mienawiści w głosie—jedną tylko ofiarę mogę ci poświęcić; lecz przynajmniej tę, którą ty samabyś także wybrała!...

I podczas gdy d'Artagnan krzychał z przerażenia, Porthos podnosił wiosło, Aramis upatrywał, gdzieby cios zadać Mordauntowi, szalupa przechyliła się gwałtownie i Athos wpadł do wody Mordaunt wydał okrzyk triumfu, ścisnął szyję ofiary i jak wąż oplątał ją nogami, aby ruchy paraliżować.

Athos nie krzyknął, nie wołał o ratunek i przez jakąś chwilę starał się utrzymać na powierzchni; lecz ciężar go pociągnął i zapadał powoli. Widać było już tylko długie włosy bujające po fali... potem wszystko zniknęło, woda się zagotowała, potem wygladziła, tylko szerokie koła oznaczały miejsce, w którym obaj na dno poszli.

Przyjaciele oniemieli z przerażenia. Stali jak posągi kamienne, słyhać było tylko gwałtowne uderzenia serc.

Porthos pierwszy przyszedł do siebie i rwąc włosy pełnemi garściami.

— O!... — zawołał ze łkaniem rozzdzierającym u takiego jak on człowieka — o!... Athosie!... Athosie!... szlachetne serce!... Przekleństwo nam!... którzy dopuściliśmy, byś zginął!...

W tejsze chwili, przy bladym świetle księżyca, o kilkanaście stóp od barki woda zawrzała tak samo, jak w chwili zanurzenia się topielców.

Ujrzano najprzód włosy na powierzchni, potem twarz bladą z oczami otwartymi a jednak martwymi, następnie wypłynął korpus ludzki do połowy, wyprostował się, i bezwładnie opadł znów płynąc z ruchem bałwanów.

W piersiach trupa zagłębiony był sztylet, którego złocena klinga pobłyskiwała.

— Mordaunt!... Mordaunt!... Mordaunt!... — wołali trzej przyjaciele: To jest Mordaunt!...

— Gdzie Athos?... — rzekł d'Artagnan.

Nagle barka przechyliła się na lewo, pod jakimś ciężarem niespodzianym, a Grimaud zawył z radości.

Wszyscy się obrócili i ujrzeli Athosa, bladego, z okiem zagasłym i ręką drgającą, opartego na burcie dla wytchnienia.

— Czy przynajmniej nie jesteś ranny?... — zapytał d'Artagnan.

— Nie — odrzekł Athos — a on?...

— O!... on, dzięki Bogu, tym razem zginął na dobre. Zobacz tylko!

I d'Artagnan pokazał ciało Mordaunta unoszone falą, zdawało się, że nawet po śmierci Mordaunt przeszywa czterech przyjaciół spojrzeniem nienawiści. Nareszcie poszedł na dno morza.

Athos patrzył za nim ze smutkiem i politowaniem.

— Brawo!... Athos!... — zawołał Aramis, z rzadkiem u niego uniesieniem.

— Pyszny cios!... — krzyknął Porthos.

— Mam syna — rzekł Athos — pragnąłem żyć jeszcze. To nie ja go zabiłem — to przeznaczenie.

## ROZDZIAŁ XXXV

### MOUSQUETON NIE UPIEKŁ SIĘ W OGNIU, A TRAFEM SZCZĘŚLIWYM, NIE ZJEDZONO GO ŻYWCEM

Po okropnych scenach przez nas opowiedzianych, cisza nastąpiła w szalupie. Wszystko ogarnęły ciemności nieprzejrzane, tak straszne w każdej pustyni a głównie w tej pustyni wodnej, zwanej oceanem. Słychać było jedynie wycie wiatru i szum fal morskich.

Porthos pierwszy przerwał milczenie.

— Dużo już okropności w życiu widziałem — powiedział — lecz nic mnie do tego stopnia nie wzruszyło, jak to, na co obecnie patrzyłem.

A jednak, chociaż jestem cały wzburzony, oświadczam wam, drodzy przyjaciele, iż czuję się bardzo szczęśliwym. Sto funtów co najmniej ubyło mi ciężaru z piersi, i na koniec, oddycham swobodnie. Mówiąc to Porthos odechnął potężnie, co świadczyło o sile jego płuc.

— Co do mnie — rzekł Aramis — innego jestem zdania, niż ty, Porthosie; nie mogę otrząsnąć się z przerażenia i co chwila spodziewam się ujrzeć tego nędznika, wynurzającego się z wody ze sztyletem w rękę.

— O! ja jestem spokojny — odparł Porthos — dostał pod szóste żebro, i dosyć głęboko; sztylet wepchnięty był po samą rękojęść. Nie czynię ci wyrzutów, Athosie, przeciwnie, gdy się cios zadaje, tak właśnie powinno się uderzać. To też czuję, że żyję, oddycham, jestem wesoly...

— Nie opiewaj jeszcze zwycięstwa, Porthosie — rzekł d'Artagnan — nigdy podobno nie znajdowaliśmy się w większym niebezpieczeństwie, jak obecnie. Człowiek człowiekowi da radę, lecz co pocznie z żywiołem? Otóż

my w tej chwili jesteśmy sami na morzu, pośród nocy, bez przewodnika, w wątej łodzi. Niech tylko wiatr silniejszy przewróci szalupę — a jesteśmy zgubieni!

Mousqueton westchnął ciężko.

— Niewdzięczny jesteś, d'Artagnanie — rzekł Athos — wątpisz w Opatrzność w chwili, gdy właśnie ocaliła nas cudownym sposobem. Czy sądzisz, że wyprowadziła nas z tyłu okropnych niebezpieczeństw, aby opuścić następnie? O nie!... Od samego początku wieje wiatr zachodni... nie zmienia się... to nas uratuje. Athos poszukał gwiazdy polarnej.

— Oto Wóz Wenery, a zatem Francja w tamtej stronie. Oddajmy się na wolę wiatru, dopóki nie zmieni kierunku, popychać nas będzie do brzegów Calais lub do Boulogne. Jeżeli szalupa się przewróci, poradzimy sobie przecie; silni jesteśmy, pływamy dobrze, oprócz jednego; odwrócimy ją, lub uczepimy się do niej, jeśli odwrócenie będzie nad siły nasze. Jesteśmy na szlaku wszystkich okrętów, idących z Duwru do Calais, i z Portsmouth do Boulogne: gdyby na wodzie zostawały ślady, widzielibyśmy tu dolinę, wyrżniętą ich przejściami. Niepodobna także, abyśmy do rana nie napotkali choćby łodzi rybackiej, która nas zabierze...

— A jak nie napotkamy i wiatr zacznie dąć z północy?

— Wtedy — rzekł Athos — będzie co innego zupełnie, dostaniemy się do lądu po drugiej stronie Atlantyku.

— To znaczy, że pomrzemy z głodu — odezwał się Aramis.

— To więcej, niż prawdopodobne — rzekł hrabia de la Fère.

Mousqueton westchnął po raz drugi, lecz boleśniej, niż pierwszym razem.

— Co ulicha! Mouston — zapytał Porthos — co ci jest, jęczysz i jęczysz ciągle? stajesz się nudny, mój kochany!...

— Żimno mi, proszę pana — odparł Mousqueton.

— To niepodobna — rzekł Porthos.

— Niepodobna?...

— Ma się rozumieć. Jesteś cały oblany sadłem, a to zimna nie przepuszcza. Coś innego w tem jest, no dalej, powiedz otwarcie.

— Otóż tak, proszę pana, przyznam się; właśnie to sadio, które pan wychwala, nabawia mnie niepokoju.

— Dlaczegoż to? no Mouston, śmiało, panowie pozwalają ci mówić.

— Dlatego proszę pana, że w bibliotece w zamku de Bracieux, jest masa książek z opisami podróży, a pomiędzy niemi Jana Moquet, opis sławnej podróży króla Henryka IV...

— Cóż dalej?...

— Otóż te książki mówią dużo o różnych przygodach morskich, okrutnie podobnych do tego, co nam grozi...

— Mów dalej, Mouston — rzekł Porthos. — Bardzo zajmująca jest ta analogja.

— W podobnym wypadku, podróżnicy zgłodnieli (tak pisze Jan Moquet) mają ohydny zwyczaj zjadać się nawzajem, zaczynając od...

— Od najtłuściejszego!... — zawołał d'Artagnan, nie mogąc wstrzymać się od śmiechu, pomimo grozy położenia.

— Tak, panie — odrzekł Mousqueton, przerażony trochę tą wesołością — pozwól pan, że osmielę się zapytać, co w tem jest śmiesznego?

— O! to poświęcenie uosobione, ten zacny Mouston!... — odezwał się Porthos. — Założę się, iż widział się już obdartym ze skóry i jedzonym przez swojego pana?

— Tak, panie; chociaż przyznam się, że radość moja z tego powodu zmieszana była z niejakim smutkiem. Jednak, nie płakałbym bardzo nad sobą, gdybym miał pewność, iż umierając przydam się na cokolwiek panu mojemu.

— Mouston — rzekł Porthos wzruszony — jeżeli powrócimy kiedy do „mojego“ zamku de Pierrefonds, podaruję na własność tobie i twoim potomkom winnicę na górze, ponad folwarkiem.

— Nazwiesz ją „Winnicą Poświęcenia“, Moustonie — rzekł Aramis — aby w najdalsze wieki przekazać pamięć twojego poświęcenia się dla pana.

— Kawalerze — rzekł d'Artagnan, śmiejąc się ciągle — byłbyś napoczął Mousquetona bez wielkiej odrazy, wszak prawda? a jeszcze po dwóch lub trzech dniach postu?

— O! nie, na honor — odparł Aramis — wolałbym Blaisois — nie tak dawno go znamy.

Grimaud, milczący jak zawsze, wywijał z całych sił wiosłami.

— To ty wiosłujesz?... — zapytał go Athos.

Grimaud skinął, że tak.

— Dlaczego?

— Żeby się rozgrzać.

I rzeczywiście, wszyscy dzwoniли zębami z chłodu, a z cichego Grimauda pot się lał kroplisty.

Nagle Mousqueton krzyknął radośnie, podnosząc rękę uzbrojoną w butelkę.

— O panie!... — rzekł, podając butelkę Porthosowi — jesteście ocaleni! barka zaopatrzona w żywność!

Wydostał z pod ławki jedną po drugiej tuzin podobnych butelek, chleb i kawał solonej wołowiny.

To przypadkowe odkrycie powróciło dobry humor wszystkim, wyjąwszy Athosa.

— Mordieu!... — odezwał się Porthos — który, jak wiemy, był głodny już, gdy siadał na okręt; zadziwiającem jest doprawdy, jak wzruszenia działają na żołądek!

Wypróżnił butelkę, zjadł sam trzecią część chleba i tyleż wołowiny.

— A teraz — rzekł Athos — śpijcie, lub starajcie się zasnąć; ja będę czuwać.

Po chwili ufnego baczności sternika, ułożyli się jak który mógł próbując korzystać z rady udzielonej przez Athosa, który siedząc u steru z oczami utkwionymi w niebo, szukał nie tylko drogi do Francji... W samotności szukał Boga tam wysoko, a tu na ziemi otaczał opieką przyjaciół. Zamyślony a jednak przytomny, kierował barką tam, gdzie iść powinna. Po kilku godzinach pokrzepiającego snu, Athos zbudził towarzyszy.

Pierwsze blaski dnia srebrzyły modrą toń wody, a o jakie dziesięć strzałów widniał w dali punkt czarny, nad którym powiewał żagiel trójkątny, wąski, a długi jak skrzydło jaskółcze.

— Łódź!... — zawołali trzej przyjaciele jednocześnie, podczas gdy służący wyrażali radość swą na różne tony.

Był to statek z Dunkierki, wiozący żywność do Boulogne.

W kwadrans potem łódź odcepiona od statku — ciągnęła za sobą szalupę z rozbitkami; dostali się nareszcie na pokład małego okrętu.

Grimaud, w imieniu swego pana, ofiarował kapitanowi dwadzieścia gwinei, a o dziewiątej rano, pchani pomyślnym wiatrem, nasi Francuzi wysiadali na ziemię ojczy-  
stą.

— Boże! jakżeż się tu pewnie stoi!... — rzekł Porthos, zagłębiając swe szerokie stopy w piasku. Niech no mnie teraz kto zaczepi, niech krzywo spojrzy, albo się dotknie, zobaczy z kim będzie miał do czynienia! Morbleu! wyzwałbym całe królestwo!

— A ja — rzekł d'Artagnan — proszę cię, Porthosie, nie rzucaj tak głośno wyzwania, zdaje mi się bowiem, że strasznie nam się tu przypatrują.

— Podziwiają nas przecie — rzekł Porthos.

— Otóż ja — odparł d'Artagnan — nie dbam zupełnie o próżną chwałę. Spostrzegam tylko, że kręcą się tu ludzie czarno ubrani, a w naszym położeniu, tacy ludzie strachem mnie przejmują, nie zapieram się tego wcale...

— To urzędnicy portowi, spisujący towary nadeszłe — rzekł Aramis.

— Za rządów tamtego, wielkiego kardynała — rzekł Athos — uważano by więcej na nas, niż na towary. Za rządów zaś obecnego, uspokójcie się przyjaciele, stanie się zupełnie przeciwnie.

— Nie ufam temu — mówił d'Artagnan — i uciekam po za wzgórze piaszczyste.

Mały orszak podążył za nim i znikł niebawem poza wzgórzami, jednak nie bez zwrócenia na siebie uwagi ludzi, znajdujących się w porcie.

— Ponieważ ubieглиśmy już z pół mili — odezwał się Aramis — usiądźmy i pogadajmy.

— Nie, nie — rzekł d'Artagnan — uciekajmy jeszcze. Wymknęliśmy się Cromwellowi, Mordauntowi i morzu, trzem przepaściom, które nas pochłonąć chciały, nie wymknijemy się Imć panu Mazariniemu.

— Masz rację, d'Artagnan — rzekł Aramis — a według mego zdania, dla większego bezpieczeństwa, powin-  
niśmy się rozłączyć.

— Tak, tak, Aramisie — odparł d'Artagnan — rozłączmy się...

— Dlaczego mamy się rozłączyć?... — zapytał Athos.

— Dlatego — odrzekł d'Artagnan — że Porthos i ja wysłani byliśmy od Mazariniego do Cromwella — a słu-



zyliśmy Karolowi I-mu. Jeżeli wracamy razem z panem hrabią de la Fère i kawalerem d'Herblay, zbrodnia nasza jest dowiedziona; jeżeli jednak wracamy sami, zbrodnia nasza staje się wątpliwą; wątpliwością zaś można ludziom doskonale zamydlać oczy. A w dodatku chciałbym naciągnąć pana Mazariniego, tak, chciałbym szczerze...

— Widzicie!... — rzekł Porthos — jest racja, a mnie to na myśl nie przyszło!

— Zapominasz — odezwał się Athos — że wzięłeś nas do niewoli na polu walki; nie uważamy się za zwolnionych z danego słowa, i sądzimy że gdy odprowadzisz nas jako jeńców do Paryża...

— Doprawdy, Athosie — przerwał d'Artagnan — przykro mi, że człowiek taki rozumny, wygaduje głupstwa, jakich wstydziliby się uczeń z trzeciej klasy. Kawalerze — ciągnął d'Artagnan zwracając się do Aramis, charakter mój podejrzliwy przesadza może niebezpieczeństwo. Porthos i ja nie ryzykujemy nic zgoła. Lecz jeżeli by trafem chciano nas aresztować w waszej obecności! Dobylibyśmy wszyscy nasze szpady, i sprawa stałaby się złą bardzo... tak złą, iż zgubiłaby nas wszystkich czterech. A w dodatku, jeżeli dwóch z nas nieszczęście spotka, czyż nie lepiej, aby drudzy zostali swobodni i wyciągnęli tamtych z biedy? Kto wie, czy rozłączeni nie otrzymamy przebaczenia, wy od królowej, my od Mazariniego? przebaczenia, którego odmówionoby nam, gdybyśmy pokazali się razem. Dalej, Athos i Aramis, zawracajcie na prawo; Porthos, chodź ze mną na lewo; pozwól tym panom iść ku Normandji, a my najkrótszą drogą dostaniemy się do Paryża.

— Lecz, gdy nas złapią w drodze, jakim sposobem zawiadomimy się o wypadku?... — zapytał Aramis.

— Nic łatwiejszego — odparł d'Artagnan: ułożmy marszrutę, z której nie zboczymy. Idźcie do Saint-Valéry, potem do Dieppe, a potem prostą drogą z Dieppe do Paryża. My zaś pójdziemy na Abbeville, Amiens, Peronne, Compiègne i Senlis. W każdej oberży, w każdym domu gdzie przystaniemy, wypiszemy na ścianie ostrzem noża, lub na szybie djamentem, objaśnienia ułatwiające poszukiwania tym, którzy będą wolni.

— O mój przyjacielu — rzekł Athos — jakżebyś wy-

chwalał twój rozum i pomysłowość, gdybym nie był zmuszony uwielbiać twoje serce.

I wyciągnął ręce do d'Artagnana.

— Czyż lis ma genjusz, Athosie?... — rzekł gaskończyk, wzruszając ramionami; — nie potrafi chrupać kury, zmylić pogoń myśliwych i znaleźć swoją drogę tak w dzień, jak w nocy, ot i wszystko. Czy dobrze? zgadzasz się?

— Zgadzam.

— Zatem podzielmy pieniądze — podjął d'Artagnan — Grimaud, ile tam pozostało?

— Sto osiemdziesiąt i pół luidora, proszę pana.

— Tak myślałem... Dzielmy tedy pieniądze i jedźmy.

Czterej przyjaciele poczęli ścisnąć się i całować jeden drugiego. Ludzie ci, złączeni w uścisku braterskim, jedną tylko duszę w tej chwili posiadali.

Blaisois i Grimaud mieli iść z Athosem i Aramisem.

Mousqueton wystarczał dla Porthosa i d'Artagnana.

Jak zawsze tak i teraz, podzielono się pieniędzmi z braterską skrupulatnością; następnie po ostatniem uściśnieniu i zaprzysiężeniu wiecznej przyjaźni, czterej szlachcice rozstali się i poszli w swoją drogę. Długo jeszcze oglądali się za sobą i posyłali serdeczne słowa, które echa powtarzały po górach.

Nakoniec stracili się z oczu...

— Sacrebleu! d'Artagnan — przemówił Porthos — muszę ci to odrazu powiedzieć, nie umiem bowiem chować w sercu urazy do ciebie, nie poznawałem cię w całej tej sprawie.

— Dlaczego?... — zapytał d'Artagnan z chytrym uśmiechem.

— Dlatego, że jeżeli jak powiadasz, Athosowi i Aramisowi grozi niebezpieczeństwo, to pocóż ich opuszczać? Przyznam się, iż byłem gotów udać się z nimi, a nawet teraz chciałbym ich dogonić i strzec, pomimo wszystkich Mazarinich tej ziemi.

— Miałbyś istotnie słusność, Porthosie, gdyby tak było, lecz dowiedz się wprzód jednej małej rzeczy, która chociaż jest bardzo małą, zmieni do szczętu twoje przekonania. Otóż, nie tym panom grozi niebezpieczeństwo, a nam samym, kochanku; nie przez żadną obojętność ich opuszczamy, lecz ażeby ich nie kompromitować.

— Naprawdę?... — rzekł Porthos ze zdziwieniem.

— Niema najmniejszej wątpliwości; jak ich zaaresztują, to wpakują do Bastylji; z nami inaczej postąpią, nas czeka plac Grève...

— Oho!... — rzekł Porthos — strasznie daleko stamtąd do baronowskiej korony, którąś mi obiecał, kochany d'Artagnan!

— Ba! może nie tak daleko, jak przypuszczasz: Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu...

— Dłaczegóż to nam grozi więcej, niż Athosowi i Aramisowi?... — zapytał Porthos.

— Całą ich winą, że udali się do Anglji z polecenia królowej Henryki, my zaś zdradziliśmy Mazariniego; ponieważ wysłał nas do Cromwella, a my przyłączyliśmy się do partji króla Karola.

— Na honor, to wszystko prawda — rzekł Porthos — lecz jak możesz przypuszczać, kochany przyjacielu, ażeby przy tyłu ważnych zajęciach, generał Cromwell miał czas myśleć...

— Cromwell myśli o wszystkim, Cromwell ma czas na wszystko; wierz mi, kochany przyjacielu, my też nie tracimy naszego czasu, bo jest bardzo dla nas droгим. Będziemy bezpieczni, dopiero po widzeniu się z Mazarinim, i to jeszcze...

— Do diabła!... — rzekł Porthos — co my powiemy temu Mazariniemu?

— Pozwól działać, mam ja plan gotowy: ten zwycięża, kto ma ostatnie słowo. Cromwell jest bardzo silny, Mazarini bardzo chytry, lecz wolę z nimi mieć do czynienia, niż z nieboszczykiem Mordauntem.

— Na honor, bardzo przyjemnie powiedzieć „nieboszczyk Mordaunt“, lecz dalej, w drogę.

Nie tracąc czasu obaj skierowali się przez pola w stronę drogi wiodącej do Paryża. Mousqueton szedł za nimi; drżał on z zimna noc całą, lecz zato teraz, po kwadransie marszu, było mu już za ciepło.

## ROZDZIAŁ XXXVI

### P O W R Ó T

Athos z Aramisem pośpieszyli drogą wytkniętą przez d'Artagnana.

W każdej oberży, gdzie zatrzymywano się na nocleg, kreślili na szybach lub ścianach umówione znaki, oczekując uwięzienia podczas snu, a co rano budzili się zdziwieni, że nikt ich nie zaczepiał.

W miarę zbliżania się do stolicy, zostawiali po za sobą wspomnienia strasznych wypadków, w jakich brali udział, zdawały im się, one tylko snem okrutnym. Przewroty zaś, które nastąpiły podczas ich nieobecności w Paryżu i na prowincji, pochłaniały całą ich uwagę.

Paryżanie znaleźli się niespodzianie pozbawieni królowej i króla, co ich bardzo niepokoiło. Nawet tak upragniona od dawna nieobecność Mazariniego, nie była w stanie pocieszyć ich po ucieczce dostojnej matki z synem.

Uczucie paryżan po wyjeździe królowej i króla do Saint-Germain, podobne było do przestachu, jakiego doświadczą dzieci, gdy zostaną same, w nocy i bez światła. Parlament poruszył się i zatrzwożył. Uchwalono wysłać deputację do królowej, prosząc, aby nie pozbawiała Paryża szczęścia posiadania w swych murach Jej Królewskiej Mości.

Poselstwo jednak nie dostało przyjęcia, musiało oczekiwać na gościńcu po za murami, dokąd ten sam kanclerz Séguier, którego widzieliśmy w pierwszej części naszego opowiadania, jak prześladował królową i szukał listu od Buckingham, aż po za stanikiem jej sukni, zaniósł obecnie deputacji ultimatum rządu. Według tegoż, parlament powinien upokorzyć się przed władzą

królewską, i ukarać wszystkich, którzy wywołali zamieszki i rozdzielenia. W przeciwnym razie zaraz nazajutrz Paryż będzie obleżony.

Gdyby królowa odpowiedziała na akt pokory ze strony wysłańców miasta nieco umiarkowaniej, byłaby może otrzymała choć w części zadośćuczynienie.

Lecz groźby wywarły skutek zupełnie przeciwny. Obraziła parlament, mający za sobą całe mieszczaństwo, które w sprawie z Brousselem pokazało, co umie.

Odpowiedział też parlament na wyrok królowej, oznajmiając, że kardynał Mazarini był główną przyczyną zamieszek w mieście, i że jako wrogowi króla i kraju, rozkazuje mu opuścić dwór natychmiast, a Francję w przeciągu osmiu dni. Po tym zaś czasie, jeżeli nie będzie posłuszny, rozkazuje wszystkim poddanym króla, ścigać go i zmusić do wyjazdu.

Po takiej odpowiedzi, niespodziewanej zupełnie u dworu, nagle, Paryż z jednej strony — z drugiej Mazarini, znaleźli się wyjęci z pod prawa. Chodziło tylko o to, która strona zwycięży.

Dwór robił przygotowania do ataku, Paryż zaś do obrony. Mieszczanie zabrali się do przygotowania barykad, gdy niespodzianie przybyła im pomoc.

Koadjutor nie chciał pozostać wtyle i sprowadził księcia Conti, brata księcia Kondeusza i księcia de Longueville, jego szwagra.

Od tej pory mieszczanie nabrali pewności, mając za sobą dwóch książąt krwi królewskiej, a co więcej znaczący przewagę liczby.

Po nader burzliwych rozprawach, księżę de Conti został obrany naczelnym wodzem armji królewskiej zewnątrz Paryża, z pp.: księciem d'Elbout, de Bouillon i marszałkiem de La Mothe, jako pomocnikami ogólnymi. Księżę de Longueville, nie dostał rangi ani tytułu, dosyć mu było iść razem ze szwagrem.

Co się tyczy pana de Beaufort, ten przybył z Vandei, przynosząc ze sobą, jak opiewa kronika, minę wielkopañską, przepyszne długie włosy i ogólną popularność, które czyniły go ulubieńcem i królem pospólstwa.

Armja paryska, organizowała się z szybkością właściwą mieszczaństwu, opanowanemu gorączkowem jakimś przedsięwzięciem. 19 stycznia improwizowane zastępy

spróbowały wycieczki poza mury miasta, nietylko, by stoczyć jakąkolwiek potyczkę, ile dla upewnienia siebie i innych, że są nareszcie zorganizowani! Na czele oddziału, powiewała wysoka chorągiew, z napisem: „,Poszukujemy naszego króla“.

Tak przeszło do pierwszych dni lutego, a właśnie 1-go tego miesiąca, czterej muszkietierowie wylądowali w Boulogne i udali się do Paryża różnemi drogami.

Przy schyłku czwartego dnia podróży, omijali, jak jedni, tak drudzy Nanterre, by nie wpaść w ręce partji stronników królowej.

Athos z niechęcią poddawał się wszelkim ostrożnościom, lecz Aramis zrobił mu słuszną uwagę, iż nie mają prawa narażać się na niebezpieczeństwa, ponieważ król Karol zlecił im święte posłannicwo, które przyjęte przez nich u stóp rusztowania, może być dokonane tylko u stóp nieszczęśliwej królowej, jego żony. Athos zmuszony był ustąpić. Nasi podróżni zastali przedmieścia obsadzone wojskiem, a cały Paryż pod bronią. Straż odmówiła przejścia dwom szlachcicom. Sierżant wyszedł i przybrawszy postawę pełną godności i znaczenia, jak zwykle robią mieszczanie, gdy mają szczęście przywdziać mundur wojskowy.

— Coście za jedni, moi panowie? — zapytał.

— Jesteśmy szlachtą, — odrzekł Athos.

— Co za interes macie w Paryżu?

— Ważne zlecenia, do Jej Wysokości królowej angielskiej.

— Oho! wszyscy teraz z interesami do królowej angielskiej! — odparł sierżant. — Mamy tu właśnie na naszym posterunku trzech szlachciców, których paszporty sprawdzamy, udających się także do Jej Królewskiej Mości.

— Gdzie pańskie paszporty?

— Nie posiadamy żadnych.

— Jakto! żadnych?

— Jak już powiedzieliśmy, przybywamy z Anglii; nie mamy pojęcia, co się dzieje w kraju, ponieważ opuściliśmy Paryż przed wyjazdem króla.

— A! — rzekł sierżant z miną domyślną, — to wy jesteście mazaryńczykami, chcecie się przedostać, by nas szpiegować!

— Kochany przyjacielu, — odezwał się Athos, który

dotąd milczał, pozwalając mówić Aramisowi; — gdybyśmy byli mazaryńczykami, posiadalibyśmy wszelkie możliwe paszporty. Wierzcie mi, panowie, że w waszem położeniu wypada obawiać się się tych właśnie, co mają papiery w porządku.

— Proszę panów na odwach, tam przedstawicie swoje żądania naczelnikowi posterunku.

Kordegarda zapchana była mieszczaństwem, i ludem; jedni grali, drudzy pili, inni znów krzyczeli i sprzeciali się głośno. W kącie odwachu, strzeżeni pilnie, siedzieli trzej panowie, których paszporty oficer przeglądał. Oficer ten miał osobny pokój obok, jak tego wymagała jego ranga i ważność spełnianych obowiązków. Gdy wprowadzono naszych muszkieterów, siedzący w kącie panowie bacznie się im przypatrywali; nawzajem nasi przyjaciele starali się przeniknąć, kto się ukrywa pod szerokimi płaszczami i kapeluszami na oczy naciśniętymi. Jeden szczególnie, najniższy wzrostem, starał się być ciągle w cieniu. Na oświadczenie sierżanta, iż prawdopodobnie przyprowadził mazaryńczyków, trzej panowie nadstawili uszu... Najniższy postąpił parę kroków naprzód, lecz cofnął się natychmiast. W kordegardzie utrzymywano jednogłośnie, iż nowoprzybyłych nie wpuszczą do Paryża bez paszportów.

— Ja sędzę przeciwnie, — odezwał się Athos, — zdaje mi się bowiem, iż mamy do czynienia z ludźmi rozsądnymi. Nic łatwiejszego przecie, jak przedstawić Jej łaskawości, królowej angielskiej nazwiska nasze, a jeżeli zaręczycy za nas, mam nadzieję, że przepuścicie nas bez oporu.

Na te słowa zdwoiła się ciekawość szlachcica ukrywającego się w kącie, uczynił poruszenie mimowolne, a chcąc się lepiej płaszczem osłonić, zrzucił kapelusz z głowy; nachylił się zaraz i podniósł go pośpiesznie.

— Na Boga! — rzekł Aramis, trącając Athosa, — czyś widział?

— Co takiego? — zapytał Athos.

— No, twarz najmniejszego z trzech szlachciców?...

— Nie.

W tej chwili właśnie sierżant powrócił, wręczył papiery trzem szlachcicom.

— Paszporty w porządku — powiedział. — Przepuścić tych panów.

Nie dali sobie dwa razy powtarzać, skłonili się i, korystając z pozwolenia, wynieśli się coby prędzej.

Aramis patrzył za nimi, a gdy najmniejszy przechodził koło niego, uściskał mocno rękę Athosa.

— Co ci się stało?... — zapytał tenże.

— To... lecz to pewno' przywidzenie.

Zwrócił się do sierżanta:

— Proszę pana, powiedz mi, czy znasz tych panów co stąd wyszli?...

— Znam ich podług paszportów, to są panowie: de Flammarens, de Chatillon i de Bracy, należący do Frondy a obecnie udający się do księcia de Longueville.

— To dziwne, niepojęte — mówił Aramis więcej do swej myśli, niż do sierżanta — zdawało mi się, iż poznaje kardynała Mazariniego.

Sierżant wybuchnął głośnym śmiechem.

— Co!... on odważyłby się przyjść do nas?... wie przecie, że go tu szubienica czeka!... Oho!... nie taki on głupi!...

— O!... — mruzczał Aramis. — Mogłem się pomylić, nie posiadam bystrego wzroku d'Artagnana.

— Kto tu wspomina d'Artagnana?... — zapytał oficer, który właśnie stanął na progu swej izby.

— O!... — wybełkotał Grimaud, wytrzeszczając oczy.

— Co mówisz?... — zapytali jednocześnie Athos i Aramis.

— Planchet!... — odparł Grimaud — Planchet ze szli-fami.

— Hrabia de la Fère i kawaler d'Herblay, — zawołał oficer — już wracają do Paryża!... O!... co za radość!... zapewne panowie pragniecie połączyć się z naszymi książętami?...

— Zgadłeś, kochany Planchet — rzekł Aramis, podczas gdy Athos uśmiechał się na widok znaczenia, jakie posiadał w armji mieszczańskiej dawny towarzysz Mousquetona, Bazina i Grimauda.

— Czy mogę zapytać, panie d'Herblay, co się dzieje z panem d'Artagnanem?...

— Rozstaliśmy się z nim przed czterema dniami, kochany przyjacielu, i według wszelkiego prawdopodobieństwa, jest już w Paryżu.



— Nie panie, pewny jestem, że nie powrócił do stolicy; a zresztą, może został w Saint - Germain.

— Wątpię, albowiem naznaczyliśmy sobie spotkanie w oberży pod „Kozłęciami“.

— Wstępowałem tam dziś właśnie.

— Czy piękna Magdalena nie miała od niego żadnej wiadomości?... — zapytał Aramis z uśmiechem.

— Nie, panie, a nawet nie będę ukrywał, że zdawała się być bardzo zaniepokojoną.

— Nic w tem dziwnego, że go jeszcze niema — rzekł Aramis — my bardzo prędko podróżowaliśmy. A teraz pozwól, drogi Athosie, nie będę już pytał o naszego przyjaciela, tylko powinszuję panu Planchetowi.

— O!... łaskawy panie — rzekł Planchet z ukłonem.

— Jesteś, jak widzę, porucznikiem.

— Porucznikiem, z obietnicą zostania kapitanem.

— Bardzo pięknie — mówił Aramis — jakimże sposobem tyle zaszczytów spadło na ciebie?...

— Panowie wiecie zapewne, że ja to pomogłem do ucieczki hrabiemu de Rochefort.

— A jakże... wiemy!... sam opowiadał nam o tem.

— Przy tej sposobności, o mało mnie Mazarini nie powiesił, co, ma się rozumieć, wyrobiło mi ogromną popularność.

— Słyszałem — odezwał się Athos — iż macie za sobą bardzo wielu dostojnych panów.

— Oczywiście. Mamy, jak panowie wiecie zapewne, księcia de Conti, księcia de Longueville, księcia de Beaufort, księcia d'Elboeuf, księcia de Bouillon, księcia de Chevreuse, pana de Brissac, marszałka de La Mothe, pana de Luynes, margrabiego de Vitry, księcia de Marsillac, margrabiego de Noirmoutier, hrabiego de Fisque, margrabiego de Laigues, hrabiego de Montrésor, margrabiego de Sévigné, i wielu, wielu innych!

— A pan Raul de Bragelonne?... — zapytał Athos głosem wzruszonym, — d'Artagnan mówił mi, iż wyjeżdżając polecił go tobie, kochany Planchecie?...

— Tak, panie hrabio, jak własnego syna, i mogę za ręczyć, iż nie spuszczałem go z oka, ani na jedną chwilę...

— A zatem — podjął Athos, zmienionym z radości głosem — zatem zdrów jest?... nic mu się nie przytrafiło?.

— Nie, panie.

- A mieszka?...  
— Pod „Karolem Wielkim“, jak zawsze.  
— Co porabia?...  
— Przesiaduje u królowej angielskiej, to znów u pani de Chevreuse. Nie rozłączają się z hrabią de Guise.  
— Dziękuję ci, Planchet, dziękuję — rzekł Athos, podając mu rękę.  
— O!... panie hrabio — powiedział Planchet, dotykając końcami palców podanej ręki.  
— Co robisz, hrabio?... podajesz rękę dawnemu lokajowi?... — szepnął Aramis.  
— Ah!... przyjacielu — odparł Athos — on mówi mi o Raulu.  
— A teraz, panowie — zapytał Planchet, który nie słyszał uwagi Aramisa — co zamýślacie robić?...  
— Powrócić do Paryża, jeżeli pozwolisz!...  
— Żartujesz panie hrabio... ja zawsze pozostałem pańskim sługą.  
I ukłonił się nisko. Następnie zwrócił się do podkomendnych:  
— Przepuścić tych panów — powiedział — znam ich, to przyjaciele pana de Beaufort.  
— Niech żyje pan de Beaufort!... — krzyknął jednocześnie cały posterunek, rozstępując się przed Athosem i Aramisem.  
Sierżant zbliżył się do Plancheta.  
— Uwważaj, kapitanie — odezwał się, tytułując go na-przód obiecaną rangą — uważaj tylko, co mi powiedział jeden z trzech panów, których pierw przepuściliśmy: nie wiercie tym oto, którzy obecnie weszli.  
— Ja ich znam — odrzekł Planchet z powagą — znam, i odpowiadam za nich.  
To powiedziawszy, ścisnął Grimauda za rękę, co zda- wało się bardzo uszczęśliwiać tego ostatniego.  
— Do widzenia, kapitanie — zaczął Aramis tonem drwiącym — jeżeli nas co spotka, udamy się do ciebie.  
— Panowie — odrzekł Planchet — w każdej chwili je- stem na wasze usługi.  
— Ten hulaj ma rozum — rzekł Aramis dosiadając konia.  
— Cóż dziwnego — dodał Athos, skacząc na siodło — tyle lat czyścił nakrycie głowy swojego pana!

## ROZDZIAŁ XXXVII

### POŚLANNICY

Dwaj przyjaciele ruszyli w drogę, spuszczać się z wyniosłości przedmieścia. Przybywszy nadół, ujrzeli ze zdziwieniem ulice Paryża zamienione w potoki, a place w istne jeziora. W następstwie ulewnych deszczów, trwających przez miesiąc luty, Sekwana wystąpiła z brzegów i zalała połowę stolicy. Athos i Aramis wkroczyli odważnie w wodę na koniach, lecz wkrótce biedne zwierzęta zagłębiły się powyżej piersi tak, że dwaj panowie zdecydowali się wsiąść do łodzi, a konie oddali służącym i rozkazali oczekiwać na siebie przy halach targowych. Łodzią zatem dostali się do Luwru. Dotarli nareszcie do mieszkania królowej, lecz nie wpuszczono ich zaraz przed jej oblicze. Jej Królewska Mość dawała właśnie posłuchanie dwóm dygnitarzom, przybyłym z wiadomościami z Anglii.

— I my także — rzekł Athos do służącego, który oznajmił im tę odpowiedź — my nietylko przynosimy wieści, lecz sami prosto z Anglii przybywamy.

— Jak się nazywacie, panowie?... — zapytał służący.

— Hrabia de la Fère i kawaler d'Herblay, — odparł Aramis.

— O, jeżeli tak — rzekł służący, znający te imiona, gdyż królowa często je wspominała, — w takim razie to zupełnie co innego, pewny jestem, że Jej Wysokość nie darowałaby mi nigdy, gdybym pozwolił panom czekać w przedpokoju. Raczkcie, szanowni panowie, udać się za mną...

Athos i Aramis poszli, poprzedzani przez służącego.

Przy drzwiach pokoju monarchini poprosił ich, aby zaczekali, a sam otwierając je:

— Najjaśniejsza Pani — rzekł — spodziewam się, iż Wasza Królewska Mość wybaczy mi postąpienie wbrew jej rozkazom, gdy się dowie, że wprowadzam hrabiego de la Fère i kawalera d'Herblay.

Królowa, usłyszawszy te dwa nazwiska, wykrzyknęła radośnie, a nasi przyjaciele, stojąc za drzwiami, szepnęli:

— Biedna, nieszczęśliwa królowa!...

— Prosić, prosić, niech wejdą jak najprędzej!... — zawołała młoda księżniczka, biegnąc naprzeciw.

Biedne dziecię nie odstępowało matki i starało się pieszczołami i przywiązaniem zastąpić nieobecność dwóch braci i siostry...

— Wejdźcie, panowie — rzekła, sama roztwierając podwoje.

Athos i Aramis stanęli przed królową, która siedziała na fotelu, a przed nią, w postawach pełnych szacunku, stali dwaj panowie, których przyjaciele widzieli w kordegardzie. Byli to panowie: de Flamerens i Gaspard de Coligny, de Longueville. Na widok dwóch przyjaciół, cofnęli się kilka kroków i zamienili ze sobą parę słów cichych.

— Co mi przynosicie, panowie?... — zawołała królowa Angielska, patrząc na Athosa i Aramisa — jesteście nakonieć, wierni przyjaciele, wyprzedził was jednak kurjer rządowy. Dwór francuski dowiedział się o wszystkim, co zaszło w Londynie, i oto panowie de Flamarens i de Chatillon, z rozkazu królowej Anny Austrjackiej przynoszą mi najświeższe wiadomości.

Athos i Aramis spojrzeli na siebie; spokój i radość w oczach królowej była dla nich zagadką.

— Kończcie, panowie — rzekła do Flamarena i Chatillona — mówiliście więc, że Jego Królewska Mość Karol I-szy, mój dostojny pan i mąż, skazany został na śmierć, wbrew woli większości jego poddanych.

— Tak, pani — wyjąkał Chatillon.

Athos i Aramis patrzyli na siebie, coraz więcej zdziwieni.

— I że wprowadzonego na szafot — ciągnęła królowa — na szafot!... o mój panie! mój królu!... że wprowadzonego na szafot, uratował lud oburzony....

— Tak, pani — odrzekł Chatillon cicho, że go zaledwie dosłyszeli dwaj przyjaciele.

Królowa wzniosła ręce ku niebu z wdzięcznością, gdy córka otoczyła jej szyję ramieniem i całowała w oczy, zalane łzami radości.

— Pożegnamy już Waszą Królewską Mość — rzekł Chatillon, któremu ciążyła jego rola i pokrywał się rumieńcem pod przenikliwym spojrzeniem Athosa.

— Chwilkę jeszcze, panowie — wymówiła królowa, zatrzymując ich skinieniem — chwilkę jeszcze, błagam was! oto panowie de la Fère i d'Herblay, którzy, jak słyszeliście, powracają z Londynu i jako naoczni świadkowie, mogą wam wiele rzeczy opowiedzieć, o jakich nie wiecie. Zaczynajcie, panowie, słucham was z uwagą. Nie oszczędzajcie mnie, proszę, nie ukrywajcie prawdy. Odkąd wiem, że Karol I-szy żyje, a honor królewski pozostał nieskałany, wszystko inne obojętne mi jest zupełnie.

Athos zbladł i przyłożył rękę do serca.

— Co to znaczy?... — rzekła królowa, widząc bladłość i gest Athosa — mów pan nareszcie, czy nie słyszysz mej prośby?

— Wybacz pani — odparł Athos — nie mogę i nie chcę nic dodać do opowiadania tych panów, aż sami wpierv uznają swoją pomyłkę.

— Więc to nieprawda!... — krzyknęła królowa, odchodząc, od zmysłów... — Oni się mylą?... Cóż się stało, o mój Boże!

— To, co wiemy — rzekł de Flamarens do Athosa — wiemy od naszej królowej, a jeżeli ona jest w błędzie, przypuszczam, że panowie nie macie zamiaru prostować jej zdania, gdyż byłoby to zadawanie kłamu Jej Królewskiej Mości.

— Od królowej, panowie?... — odparł Athos głosem spokojnym i dźwięcznym.

— Tak — mruknął Flamarens, spuszcżając oczy.

Athos westchnął głęboko.

— Prędzej ze strony tego, co wam towarzyszył, panowie, a którego widzieliśmy na posterunku wojskowym, przy rogatec du Roule, prędzej od niego pochodzi ta pomyłka — rzekł Aramis z grzecznością wyzywającą — albowiem jeżeli hrabia de la Fère i ja nie mylimy się, było was wtedy trzech?

Chatillon i Flamarens zadrżeli.

— Wytłumacz się, hrabio, nareszcie!... — zawołała królowa z niepokojem wzrastającym — na czole twojem rozpacz wypisana... usta wahają się wymówić okrutne słowa, a ręce drżą ci ze wzruszenia... O! Boże! mój Boże!... cóż więc usłyszę!...

— Panie — odezwał się Chatillon — jeżeli przynosisz wieści grobowe, postępujesz jak człowiek okrutny, oznajmiając je królowej.

Aramis przysunął się do Chatillona, a zacisnąwszy usta i miotając błyskawice wzrokiem rzekł:

— Sądzę, mój panie, iż nie masz zamiaru uczyć mnie i hrabiego de la Fère, co mamy tutaj mówić.

Tymczasem Athos, zawsze z ręką na sercu, zbliżył się do królowej i zaczął głosem wzruszonym:

— Racz pamiętać, o pani, że osoby, na tronie zrodzone, posiadają wyższe serca nad pospolite natury, otrzymują bowiem od Boga serca hartowne, zdolne znieść wielkie nieszczęścia... Królowo, której przeznaczeniem męczeństwo na tej ziemi, oto rezultat posłannictwa, jakim raczyłaś nas zaszczycić!

To mówiąc, Athos ukląkł przed królową, skamieniała z bóleści, dobył pudełko, w którym był order brylantowy, dany przez królową lordowi de Winter, gdy odjeżdżał do Londynu, i obrączka ślubna, jaką znów Karol I-szy wręczył przed śmiercią Athosowi.

Otworzył pudełko i podał królowej w milczeniu.

Nieszczęśliwa Henryka wyciągnęła rękę, schwyciła obrączkę, przycisnęła do ust konwulsyjnie i, nie westchnąwszy nawet, bez łez, bez krzyku opuściła ramiona i padła zemdlna na ręce córki i kobiet służebnych.

Athos powstał z kolan z powagą, czyniąc postawą swą głębokie wrażenie na obecnych.

— Ja, hrabia de la Fère — wyrzekł szlachcic, którego ust nigdy kłamstwo nie splamiło — przysięgam naprzód przed Bogiem, następnie przed tą nieszczęśliwą królową, że wszystko, co było możebne dla ocalenia króla, jej małżonka, wszystko to uczyniliśmy na ziemi angielskiej.

— A teraz kawalerze — dodał, zwracając się do d'Herblay — odejźmy, spełniliśmy bowiem powinność naszą.

— Jeszcze nie — rzekł Aramis — pozostaje nam rzecz słówko tym oto panom.

Podszedł do Chatillona.

— Czy nie zechcesz pan — rzekł mu — wyjść ze mną na chwilę, aby usłyszeć to, czego nie mogę powiedzieć w obecności królowej?

Chatillon skłonił głowę na znak zgody: Athos z Aramisem wyszli pierwsi, Chatillon i Flamarens za nimi. Szli tak w milczeniu przedpokojem, galerją, aż do wyjścia na taras. W tem miejscu, zupełnie samotnem, Aramis przystanął i odezwał się do księcia de Chatillon:

— Ośmieliłeś się pan przed chwilą odezwać do nas niestosownie. W każdym razie było to niewłaściwe — a tembardziej pan nie miałeś do tego prawa, jako człowiek, przynoszący królowej nieprawdziwe wieści.

— Panie!... — krzyknął Chatillon.

— Gdzieżeście podzieli pana de Bray?... — zapytał Aramis z ironją. Czy nie poszedł przypadkiem zmienić swej twarzy, zanadto podobnej do pana Mazariniego?

— Zdaje mi się, że pan szukasz zaczepki z nami?... — rzekł Flamarens.

Aramis się uklonił.

— Kto inny niż ja, hrabia de la Fère — powiedział — kazałby was aresztować, ponieważ mamy przyjaciół i stronników w Paryżu, lecz my proponujemy panom inny sposób wyjścia. Chodźcie, proszę, porozmawiać z nami ze szpadą w ręku, na tym tu oto opuszczonym tarasie.

— Z największą chęcią — odrzekł de Chatillon.

— Chwilkę! państwo — zawołał Flamarens. — Propozycja jest mader ponętna, przyznaję, lecz dziś niepodobna jej przyjąć.

— A to dlaczego?... — rzekł Aramis lekceważąco — czyżby sąsiedztwo pana Mazariniego czyniło was tak przezornymi?

— Słyszysz, Flamarens?... — rzekł Chatillon — gdybym nie przyjął wyzwania, splamiłbym honor i nazwisko moje.

— Jestem tego samego zdania — rzekł Aramis chłodno.

— Nie przyjmujesz wyzwania, a jednak ci panowie zgodzą się w tej chwili na moje zdanie.

Aramis potrząsnął głową z niedowierzaniem.

Chatillon widział to i położył rękę na szpadzie.

— Książę — odezwał się Flamarens — zapominasz,

że jutro stajesz na czele wyprawy wielkiej doniosłości, a mianowany będąc przez księcia pama i zatwierdzony przez królową, do jutra wieczorem nie możesz sobą rozporządzać.

— Niech i tak będzie — rzekł Aramis. — Zatem pojutrze rano się spotkamy.

— Pojutrze rano — przerwał Chatillon — to za długo czekać, moi panowie.

— Nie moja to wina — rzekł Aramis — nie ja oznaczam termin, nie ja żądam zwłoki; tem bardziej — dodał — iż prawdopodobnie moglibyśmy się spotkać w onej potyczce?

— Tak, masz pan rację — zawołał Chatillon — z całą przyjemnością, jeżeli zadacie sobie fatygę i przyjdziecie aż pod bramy Charenton.

— O! panie, aby mieć zaszczyt spotkać się z tobą, poszedłbym na koniec świata, tem bardziej pójdę te parę mil...

— Więc do jutra, panie.

— Niezawodnie. Teraz idźcie, panowie, do swojego kardynała, lecz wpierw przysięgnijcie na honor szlachecki, iż nie powiecie mu o naszym powrocie do Paryża.

— Jakto, stawiacie warunki?

— Cóż w tem dziwnego?

— Zwycięzcom jedynie to prawo służy, a panowie przecie nie jesteście nimi.

— A zatem rozstrzygnijmy tę sprawę na miejscu. Nam to wszystko jedno, nie dowodzimy jutro żadną wyprawą.

Chatillon i Flamarens spojrzeli na siebie; tyle było ironji w słowach i gestach Aramisa, iż Chatillon głównie z trudnością hamował gniew i oburzenie.

— Niech-że już tak będzie — rzekł nakoniec — kimkolwiek byłby nasz towarzysz, nie dowie się o niczem. Lecz przyrzeknijcie, panowie, stawić się jutro w Charenton.

— O! bądź pan spokojny — odparł Aramis.

Czterej panowie pożegnali się ukłonem.

— Nie gniewam się wcale — rzekł Aramis — że odłożyli rozprawę do jutra. Coś lepszego mamy do zrobienia dziś wieczorem.

— Cóż takiego?



— A przez Bóg żywy, toż powinniśmy ująć Mazari-niego!

Athos wydał usta z pogardą.

— Wiesz dobrze, Aramisie, że nie lubię takich awan-tur.

— Dlaczego?

— Strasznie to pachnie podejściem.

— Doprawdy, Athosie, dziwny byłby z ciebie gene-rał armji; biłbyś się tylko przy świetle słońca, kazałbyś uprzedzić nieprzyjaciela o chwili ataku i strzegłbyś się napadać w nocy, aby cię nie posądzono o podejście.

Athos uśmiechnął się.

— Myślę, że nie powinienes być wymagać od tych pa-nów przysięgi, iż nic nie powiedzą kardynałowi, bo tym sposobem przyjąłeś zobowiązanie, że także będziesz sie-dział cicho.

— Nie zobowiązywałem się do niczego... Lecz chodźmy już, Athosie, chodźmy co żywo...

— Dokąd?

— Do pana de Beaufort, lub do pana de Bouillon, przedstawimy im całą sprawę.

— Dobrze, lecz pod warunkiem, że zaczniemy od koa-djutora. To przecież ksiądz i rozumny, zna się na tem, co zgadza się z sumieniem.

— A!... — rzekł Aramis — on wszystko popsuje, wszystko obróci na swoją korzyść; proszę cię, zamiast za-czynać, skończmy na jego zdaniu.

Athos znów się uśmiechnął.

— Dobrze już, dobrze! od kogóż więc zaczniemy?

— Jeżeli pozwolisz, od pana de Bouillon, do niego ma-my najbliżej.

— Pozwól mi tylko na rzecz jedną.

— Na jaką?

— Wstąpię naprzód do hotelu pod „Karolem Wiel-kim“ i uściskam Raula.

— Z największą chęcią; idę z tobą, uściskamy razem tego drogiego chłopaka.

Lecz nie zastał już Raula w hotelu pod „Karolem Wielkim“; dostał on tego samego dnia wezwanie od księ-cia, dowodzącego armją królewską, i wyjechał natych-miast razem z Olivanem.

ROZDZIAŁ XXXVIII  
TRZECH NAMIESTNIKÓW  
WODZA NACZELNEGO

Athos i Aramis, według poprzedniej umowy, prosto z hotelu pojechali do księcia de Bouillon. Noc była ciemna, godzina późna; lecz, zamiast ciszy, zwykłej o tej porze, tysiączne szmery i odgłosy zdradzały, że miasto jest otoczone.

Co paręset kroków spotykali barykady, na rogach ulic łańcuchy pozaciągane, a na wszystkich placach ognie biwakowe. Patrole krzyżowały się, zamieniając hasła, kurjerzy, roznoszący polecenia dowódców przeróżnych partji, snuli się po placach i rynkach, nie ujechali więc nawet stu kroków, a już ich zatrzymała warta przy barykadach, domagając się hasła. Nie znając go, oświadczyli, iż udają się do pana de Bouillon z bardzo ważnym i pilnym doniesieniem.

Uwierzono im niby, lecz pod pozorem wskazania drogi i ułatwienia przejścia, dodano przewodnika, aby ich miał na oku. Przewodnik ten pojechał przodem, wyśpiewując:

*Walecznemu panu de Bouillon,  
Podagra dokucza okrutnie...*

Był to trjolet świeżo skomponowany, składający się z bardzo wielu kupletów, w których każdej z ówczesnych wyżej pozostawionych osobistości, łatkę przypięto.

Przed pałacem de Bouillon minęli nasi muszkietierowie trzech jeźdźców, którzy widocznie znali wszystkie

hasła, ponieważ bez przewodnika i eskorty jechali śmiało.

Na ten widok, Athos i Aramis przystanęli.

— O! o! — rzekł Aramis, — czy widzisz, hrabio?

— Widzę — odparł Athos.

— Jak ci się zdaje, co to są za jedni?

— A ty co myślisz?

— Że to nasi znajomi.

— Nie omyliłeś się, poznałem pana de Flamarens.

— A ja pana de Chatillon.

— Ten trzeci zaś w szarym płaszczu...

— To kardynał.

— Tak, we własnej osobie.

— Skąd, u licha, przyszła mu ochota kręcić się koło pałacu de Bouillon? — zapytał Aramis.

Athos uśmiechnął się, lecz zostawił to zapytanie bez odpowiedzi. W pięć minut później kołatali do bramy pałacu książęcego.

Jak opiewał trjolet, książę de Bouillon cierpiał na podagrę i nie opuszczał łóżka. Pomimo jednak ciężkiej choroby, od czterech tygodni nie pozwalającej mu dosiąść konia, to jest właśnie od czasu gdy Paryż obleżono, kazał natychmiast prosić do siebie hrabiego de La Fère i kawalera d'Herblay.

Wprowadzono tedy naszych przyjaciół do księcia. Chory pan leżał w swoim pokoju, otoczony przyborami wojennymi przeróżnego gatunku.

— O! panowie, — zawołał na widok przybyłych, a chcąc się podnieść, skrzywił się i jęknął straszliwie; — o! o! panowie jesteście bardzo szczęśliwi. Możecie dosiąść konia, jechać, dokąd wam się spodoba... możecie walczyć za sprawę ludu... A ja, jak sami widzicie, złożony chorobą, ruszyć się nie mogę. A! djabelska podagra! — dodał wykrzywiając się na nowo.

— Mości książę, — rzekł Athos, — przybywamy z Anglii, a pierwszym naszym staraniem, wstąpiwszy na ziemię francuską, jest złożyć uszanowanie i dowiedzieć się o zdrowiu pańskim.

— Bardzo panom dziękuję! — odparł książę. — Słaby jestem, jak widzicie, słaby... Z Anglii więc przybywacie! król Karol zdrów jest, jak mi właśnie doniesiono?

— Król Karol nie żyje, szanowny panie — wyrzekł Aramis.

— Co słyszę? — zawołał książę.

— Ścięto go w naszych oczach.

— Cóż więc opowiadał mi pan de Flamarens?

— Pan de Flamarens? — zawołał Aramis.

— Tak, tylko co wyszedł stąd.

Athos znów się uśmiechnął i zapytał:

— Z dwoma towarzyszami?

— Tak, z dwoma towarzyszami, — ciągnął książę. — Po chwili dodał zaniepokojony widocznie: — Czyście ich spotkali?

— Spotkaliśmy na ulicy, — rzekł Athos, i spojrzał, śmiejąc się na Aramisa, który patrzył na niego, nie mogąc wyjść z podziwienia.

— Przekłęta podagra! — syknął de Bouillon, czując się w fałszywym położeniu.

— Mości książę, — odezwał się Athos — potrzeba wielkiego poświęcenia z jego strony dla sprawy paryżan, ażeby trwać przy dowództwie armji, znosząc takie katusze z powodu choroby. Ja i pan d'Herblay podziwiamy wytrwałość księcia.

— Cóż chcecie, panowie? to obowiązek święty, trzeba wiernie i wytrwale służyć sprawie dobra publicznego. To też, jak widzicie, poświęcam się, lecz, co prawda, sił mi już braknie. Serce mam dobre, głowę niezłą, tylko ta nieszczęśliwa podagra zabija mnie... Muszę przyznać, że, gdyby dwór uwzględnił moje żądania, bardzo słuszne zresztą, ponieważ wymagam jedynie indemnizacji za odebrane mi księstwo Sedanu; (indemnizacji, przyrzeczonej solennie przez byłego kardynała). Gdyby mi przyznano posiadłość ziemską równej wartości i zwrócono dochody, nie pobierane z księstwa przez czas nieużywalności, to jest przez osiem lat, gdyby tytuł książęcy nadany został całej rodzinie mojej, a bratu mojemu Turenjuszowi przywrócono dowódctwo, wtedy usunąłbym się niezwłocznie do dóbr moich, a dwór i parlament niech by się układali, jakby im się żywnie spodobało.

— Postąpiłbyś bardzo racjonalnie, mości książę, — rzekł Athos.

— Takie jest twoje zdanie, wszak prawda, hrabio de La Fère.

— Najzupełniej.

— A pan co na to, kawalerze d'Herblay?

— Uznaję to za bardzo słuszne.

— Otóż upewniam was, panowie, — ciągnął ksiązę — że prawdopodobnie uczynię według tego, co mówiłem. Dwór robił mi obecnie propozycje, odemnie tylko zależy przyjąć je...

— Przyjmij, ksiązę, przyjmij, — rzekł Athos.

— Na honor, zrobię tak... Żałuję nawet, że dziś wieczór tego nie zrobiłem... lecz jutro będą narady, a wtedy zobaczymy...

Athos i Aramis pożegnali księcia.

— Idźcie, panowie, — rzekł tenże — musicie być okrutnie zmęczeni podróżą. Biedny król Karol! Trzeba jednak przyznać, że sam trochę temu winien; to jedno powinno nas pocieszać, że Francja nie ma sobie nic do wyrzucenia w całym tym smutnym dramacie i że robiła, co mogła, ażeby go ocalić.

— O co do tego, — rzekł Aramis — jesteśmy najlepszymi świadkami; pan Mazarini przede wszystkim...

— Bardzo rad jestem, że mu oddajecie sprawiedliwość. Ma on dużo dobrego ten nasz kardynał, i gdyby nie był cudzoziemcem... z pewnością znalazłby uznanie. Aj! aj! znów ta piekielna podagra!...

Wyszli nareszcie; do samego przedsiönka towarzyszyły im jęki pana de Bouillon; nie ulegało wątpliwości, że biedny ksiązę cierpiał jak potępieniec.

Gdy wyszli na ulicę:

— No cóż, co myślisz? — zapytał Aramis.

— Mój przyjacielu, myślę to, co śpiewał nasz przewodnik:

*Walecznemu panu de Bouillon,  
Podagra dokucza okrutnie...*

— To też — rzekł Aramis, — uważałeś, nie pisałem słówkiem o tem, co nas tu sprowadziło.

— Bardzo rozsądnie postąpiłeś: byłby dostał nowego ataku podagry.

— Chodźmy do pana de Beaufort.

Dwaj przyjaciele zawrócili w stronę pałacu Vendôme. Dziesiąta biła w chwili, gdy stanęli u celu.

Pałac Vendôme nie mniej był strzeżony i nie mniej wojenny miał wygląd, jak pałac de Bouillon.

Dwóch jeźdźców wyjeżdżało z bramy, tak, że Athos i Aramis musieli cofnąć konie, chcąc wjechać.

— Oho! panowie — rzekł Aramis, stanowczo noc dzisiejsza przeznaczona na spotkania, przyznaję, że czułbym się bardzo nieszczęśliwym, gdybyśmy po tylokrotnych spotkaniach wieczorem, nie znaleźli sposobności *spotkania* się jutro rano.

— O! co do tego, — odpowiedział Chantillon (albowiem to on z Flamarens'em wyjeżdżali od księcia de Beaufort)— możesz pan być spokojny, jeżeli spotykamy się w nocy, nie pragnąc tego, z pewnością znajdziemy się pośród dnia, szukając się wzajemnie.

— Mam nadzieję — rzekł Aramis.

— A ja, pewien jestem, — odparł Chatillon.

Panowie Flamarens i Chatillon odjechali, Athos i Aramis zsiadli z koni.

Zaledwie oddali lejce służącym i pozbyli się płaszców, gdy mężczyzna jakiś podszedł do nich, i, popatrzawszy przez chwilę przy bładem świetle latarni, zawieszonej w pośrodku dziedzińca, wydał okrzyk zdziwienia i jął ich witać i ścisnąć w objęciach.

— Hrabia de la Fère, — wołał — kawaler d'Herblay! Jakim sposobem dostaliście się do Paryża?

— Rochefort! — odezwali się jednocześnie dwaj przyjaciele.

— Tak, ja sam. Przybyliśmy tu z księciem już od pięciu dni i gotujemy się zalać sadła za skórę Mazariniemu. Należycie do naszej partji, jak zawsze, spodziewam się?

— Bardziej niż kiedykolwiek.

— A książę?

— Wściekły jest na kardynała. Wiecie pewno o powodzeniach naszego kochanego księcia! został prawdziwym królem Paryża; nie może się pokazać na ulicy, bo go zaraz otaczają, i nieomal duszą!...

— Tem lepiej — rzekł Aramis; — lecz powiedz mi, wszak to Flamarens i Chatillon stąd wyjechali?

— Tak, mieli właśnie audjencję u księcia, Mazarini z pewnością ich przysłał, lecz omylił się; trafił swój na swego, zaręczam...

— Ciesz się mnie to! — rzekł Aramis. — Czy mogli-

byśmy dostąpić zaszczytu widzenia się z księciem bezzwłocznie?

— A jakże! w tej chwili. Wiecie, że dla was jest zawsze widzialny. Chodźcie za mną, chcę mieć szczęście osobiście was przedstawić.

Rochefort poszedł naprzód. Wszystkie drzwi z kolei otwierały się przed przybyłymi. Zastali pana de Beaufort, siadającego do stołu. Tysiączne zajęcia tego wieczoru opóźniły kolację aż do tej godziny. Lecz pomimo ważności położenia, jak tylko książę usłyszał nazwiska, wymówione przez Rocheforta, zerwał się z krzesła, z którym się właśnie do stołu przysuwał i pobiegł żywo naprzeciw dwóch przyjaciół:

— A! przebóg! witajcie mi, panowie. Zjemy razem kolację, dobrze? Boisjoli, uprzedź Noirmonta o przybyciu dwóch współbiesiadników.

— Miłościwy książę, — przemówił Athos — nie czyni kłopotu swemu znakomitemu kuchmistrzowi, którego zdolności w różnych kierunkach znane nam są wybornie. Za pozwoleniem waszej książęcej mości, dzisiaj będziemy mieli jedynie zaszczyt zapytać o jego zdrowie i odebrać jego rozkazy.

— O! zdrów jestem zupełnie, jak to panowie sami widzicie. Zdrowie, które wytrzymało pięć lat Bastylji z dodatkiem miłego Chavigny, zdolne jest wszystko przetrwać. Co się tyczy rozkazów, na honor, przyznaję, że byłbym w wielkim kłopotcie, jakie mianowicie być mają. Trzeba panom wiedzieć, że tu wszyscy rozkazują, i jeżeli to potrwa dłużej, ja skończę na tem, że wcale rozkazywać nie będę.

— Doprawdy? — rzekł Athos — ja sądziłem jednak, że parlament rachował na związek z księciem?

— A! tak, śliczny ten nasz związek. Z księciem de Bouillon to ujdzie jeszcze, chory na podagrę, więc leży w łóżku, można go zatem zastać i z nim się porozumieć; lecz z panem d'Elbeuf i jego synami, ogromnymi jak słonie... nie, tych nigdy niema tam, gdzie są potrzebni!

Z koadjutorem jeszcze gorsza sprawa. Niech Bóg zachowa od prałatów swarliwych, a nadewszystko takich co noszą pancierz pod sutanną. Zamiast siedzieć cicho w pałacu biskupim, zamiast śpiewać „Te Deum“ za zwycięstwa, w których jesteście pobici, wiecież co on robi?

— Nie.

— Formuje pułk nowy i nazywa cieniem swej djecezji: „pułk Koryncki“. Mianuje poruczników, kapitanów, ni mniej ni więcej, jak marszałek Francji, a pułkowników jak sam król...

— No tak — rzekł Aramis — lecz, jak trzeba wystąpić do boju, spodziewam się, że wtedy siedzi w pałacu?

— O, wcale nie, mylisz się pan, kochany d'Herblay! Jak trzeba się bić, to i on się bije. Książę de Conti jest generałem malowanym i jeszcze jak malowanym! Książę garbaty! widział to kto? O! wszystko źle idzie, moi panowie, bardzo źle!...

— A zatem wasza wysokość jest niezadowolony? — rzekł Athos, zamieniając spojrzenie z Aramisem.

— Niezadowolony, hrabio! powiedz raczej, że moja wysokość jest wściekła. Do tego stopnia, (mówię to wam, nikomu innemu nie powiedziałbym) do tego stopnia, że gdyby królowa uznała niesprawiedliwość swoją względem mej osoby, pozwoliła wrócić mej matce z wygnania a mnie dała prawo objęcia admiralstwa, które było własnością mego ojca — a które mi przyrzeczono po jego śmierci, otóż powiadam, możebym jeszcze wytresował psa i nauczył go mówić, iż są we Francji daleko więksi złodzieje, niż Mazarini...

— Mości książę — rzekł Athos, — wiemy, co chcieliśmy wiedzieć! Przychodząc o tej godzinie do Waszej wysokości, mieliśmy jedynie na celu dowieść naszego oddania i zapewnić, że zawsze jesteśmy na rozkazy, jako najwierniejsi jego słudzy.

— Jako najwierniejsi moi przyjaciele, panowie, jako przyjaciele! dowiedziacie mi tego... I ja pozostanę na zawsze waszym przyjacielem, tak samo jak i tamtych panów; jakże u diabła się nazywają... d'Artagnan i Porthos?

— Tak, d'Artagnan i Porthos.

Athos i Aramis skłonili się i wyszli.

— Kochany Athosie — rzekł Aramis, — niech mi Bóg wybaczy, jeżeli się mylę! lecz zdaje mi się, że tylko dla tego zgodziłeś się towarzyszyć mi w tych odwiedzinach, ażeby mi dać nauczkę?

— Zaczekaj, mój drogi, — odparł Athos, — będziesz miał dość czasu na spostrzeżenia, gdy wyjdziemy od koadjutora.



— Chodźmy zatem do rezydencji biskupiej, — rzekł Aramis.

I obaj pojechali ku staremu miastu. Pałac arcybiskupi, wodą oblany, z masą łodzi poprzyczepianych dokoła robił wrażenie Wenecji a nie Paryża. Nasi przyjaciele przeszliżgnęli się pomiędzy nagromadzonemi statkami i przybili do brzegu. Cały dół pałacu arcybiskupiego woda zabrała: urządzono rodzaj schodów tymczasowych, przytwierdzonych do murów. Zamiast drzwiami, wchodzono do pałacu oknami. Takim też sposobem Athos i Aramis znaleźli się w przedpokoju prałata. Przedpokój ten wypełniony był lokajami różnej liberji, gdyż co najmniej tuzin dygnitarzy oczekiwało na posłuchanie w sali przyjąć.

— O! naprawdę, — zawołał nagle Aramis, — czy mnie wzrok nie myli... tak... nie... ależ tak, Bazin; chodź no tu, hultaju!

Bazin, odziany w suknie kościelne, szedł z powagą przez pokój, i odwrócił się z brwią namarszczoną, chcąc zobaczyć, co to za impertynent ośmielił się nazwać go w ten sposób. Poznał Aramisa, w jednej chwili z lamparta stał się barankiem, i podszedł co prędzej do niego.

— Jakto, — rzekł, — to pan, panie kawalerze! o!.. i pan hrabia! Oh! co za radość, że was mogę oglądać!

— Dobrze już, dobrze, mości Bazin, — rzekł Aramis; dosyć tych komplementów. Chcemy widzieć się z panem koadjutorem, lecz śpieszno nam, nie mamy czasu; potrzeba, aby nas w tej chwili przyjął.

— A jakże, — rzekł Bazin, — natychmiast. Tylko, że teraz ma naradę sekretną z panem de Bruy.

— De Bruy?... — wykrzyknęli razem Athos i Aramis.

— Tak, sam go wprowadziłem i pamiętam doskonale nazwisko. Czy pan go zna? — dodał Bazin, zwracając się do Aramisa.

— Zdaje mi się, że znam.

— Idę zaanonsować panów, — rzekł Bazin.

— Nie potrzeba już, — rzekł Aramis, — zrzekamy się widzenia koadjutora dziś wieczorem; prawda, Athosie?

— Jak chcesz, — odparł Athos.

Przebili się przez zastęp lokajów, wyszli z pałacu w towarzystwie Bazina, który chcąc okazać ich znaczenie, nie ustawał w niskich ukłonach.

— No cóż, — zapytał Athos Aramisa, gdy już siedzieli

w łodzi, — wierzysz teraz, kochany przyjacielu, że areztując Mazariniego, wypłatalibyśmy niemiłego figla tym wszystkim panom?

— Athos, ty jesteś mądrością wcieloną, — odrzekł Aramis.

Dwaj przyjaciele nazaczyli sobie schadzkę nazajutrz o dziesiątej rano, pomimo bowiem spóźnionej pory, Aramis utrzymywał, że ma w mieście ważną wizytę do złożenia, i u drzwi hotelu pożegnał Athosa.

Nazajutrz punkt o dziesiątej byli już razem.

— Czy masz jakie nowiny?... — zapytał Athos.

— Żadnych; nie widziano nigdzie d'Artagnana, Porthos także się nie pokazał. A ty?...

— Nic nie wiem. D'Artagnan spodziewał się, jeżeli sobie przypominasz, być tutaj piątego dnia od rozstania się naszego.

— A dziś mamy siódmego lutego. Dziś wieczorem oznaczony termin upływa.

— Co myślisz przedsięwziąć — zapytał Athos — jeśli dziś wieczorem nie będziemy mieli żadnej wiadomości?...

— Ależ, na Boga!... zacząć poszukiwania.

— Dobrze — odrzekł Athos. — A co poczniemy aż do wieczora?... Nie mamy nic a nic do roboty.

— Zapominasz, przyjacielu, że mamy gotowe zajęcie.

— A to gdzie?...

— Koło Charenton, do licha!... Będzie tam za chwilę gwarno.

— Przypuszczam — rzekł Athos — iż konferencje nocne ochłodzą nieco zapędy wojownicze...

— No tak, z pewnością, lecz bić się będą, choćby dla odwrócenia uwagi od tych konferencji...

— Biedni ludzie — rzekł Athos ze smutkiem — idą na rzeź, ażeby oddano Sedan panu de Bouillon, admiralstwo panu de Beaufort, a koadjutorowi kapelus kardynalski!...

— Przyznaj, kochany Athosie, iż nie bawiłbyś się w filozofa, gdyby twój Raul nie należał do tych rozruchów.

— Może to i prawda, drogi Aramisie.

— Spieszmy więc tam, gdzie się biją, najpewniejszy to sposób odszukania d'Artagnana, Porthosa, a może nawet Raula. Patrz na tych dzielnych mieszczan, na ich mawet miny; doprawdy, to zachęcające!... Widzisz kapitana?... wygląda nieomal, jak prawdziwy wojak!...

— Wychodzą z ulicy Barana...

— Dobosze na czele, zupełnie jak rzeczywista armja; spojrzij na tego zucha, jak się kołysze, jak się przegina!...

— Hm!... — mruknął Grimaud.

— Co?... — zapytał Athos.

— Planchet, panie.

— Wczorajszy porucznik — rzekł Aramis — dzisiaj kapitanem, a jutro z pewnością będzie pułkownikiem; za tydzień najdalej nasz zuch zostanie generałem.

Athos i Aramis w tę samą stronę dążyli, pojechali zatem razem z Planchetem.

Planchet wcale zręcznie manewrował swoim oddziałem na placu i ustawił go za długą linią mieszczan, zgromadzonych na ulicach przedmieścia Ś-go Antoniego i oczekujących wezwania do boju.

— Gorący będziemy mieli dzień — odezwał się Planchet wyzywająco.

— Z pewnością — odparł Athos — tylko strasznie jakoś daleko od nieprzyjaciela stoicie.

— O, panie!... zbliżymy się — rzekł jeden z dziesiętników.

Aramis salutował po rycersku i zwrócił się do Athosa.

— Nie myślę wcale obozować na placu, razem z tą lotą; czy zgodzisz się wysunąć trochę naprzód?... zobaczymy przynajmniej, co się dzieje.

— A wreszcie, pan de Chatillon nie przyjdzie szukać cię na Placu Królewskim, wszak prawda?... Ruszajmy zatem, mój przyjacielu.

Athos dał ostrogę koniowi i pomknął ku Charenton, jadąc wzdłuż przedmieścia, potem doliną Fécamp, pokrytą czarną masą zbrojnego mieszczaństwa. Aramis nie pozostał w tyle.

## ROZDZIAŁ XXXIX

### BITWA POD CHARENTON

W miarę posuwania się ku Charenton, pomiędzy różnemi oddziałami wojsk rozstawionych przy drodze, Athos i Aramis zauważyli pancerze świetnie błyszczące i muszkiety nowe, zamiast starej, zardzewiałej broni, jaką w mieście widzieli.

— Co to wszystko znaczy, kochany Aramisie, gdzieś ty mnie zaprowadził?... Poznają dokoła oficerów z armji królewskiej. Wszak to pan de Chatillon ku nam podjeżdża, w towarzystwie dwóch brygadjerów?...

Athos ujął za szpadę, podczas gdy Aramis, sądząc, iż przekroczyli linję demarkacyjną, położył rękę na olstrach.

— Dzień dobry, panowie — odezwał się książę, podjeżdżając — widzę wasze zdziwione miny i czuję, iż nie możecie pojąć, co się tu dzieje; jednym słowem wyjaśnię wam położenie. Otóż, mamy obecnie zawieszenie broni; toczą się narady... Książę pan, koadjutor, pan de Beaufort i pan de Bouillon, prowadzą w tej chwili układy. A zatem jedno z dwojga: albo nie nastąpi porozumienie i spotkamy się według umowy, albo przyjdzie do zgody, a my i tak się znajdziemy.

— Mówisz pan, jak wyrocznia — rzekł Aramis. — Pozwól tylko, książę, uczynić jedno zapytanie.

— Owszem, proszę pana.

— Gdzie się znajdują pełnomocnicy do prowadzenia układów?...

— W Charenton, w drugim domu na prawo jadąc do Paryża.

— Czy te narady nie były przewidziane?...

— Nie, panie; zdaje się, że wynikły wskutek nowych

propozycji, jakie pan Mazarini kazał przedstawić wczoraj wieczorem paryżanom.

— A jeżeli układy zostaną zerwane — rzekł Athos — będziecie próbowali zająć Charenton?...

— Taki otrzymałem rozkaz; dowodzę pierwszym szturmem i będę dokładał wszelkich starań, ażeby mi dobrze poszło.

— Panie — rzekł Athos — ponieważ dowodisz oddziałem kawalerji...

— Przepraszam!... jestem wodzem naczelnym.

— Tem lepiej. Znasz pan zapewne wszystkich swoich oficerów; przynajmniej tych, którzy się czemś odznaczają.

— O tak, prawie wszystkich.

— Bądź tak dobry powiedzieć mi, czy nie masz pod swoimi rozkazami kawalera d'Artagnana, porucznika muszkietarów.

— Nie, panie, niema go pomiędzy nami; od sześciu tygodni opuścił Paryż, i udał się do Anglii.

— Wiedziałem o tem, lecz sądziłem, że już powrócił.

— Nikt z nas nie widział go jeszcze. Mogę panom tem pewniej zaręczyć, że muszkietarowie do nas należą, i że pan Cambon zastępuje d'Artagnana.

Przyjaciele spojrzeli na siebie.

— Słyszysz?... — rzekł Athos.

— To dziwne!... — odparł Aramis.

— Musiało im się coś złego w drodze przytrafić.

— Dziś mamy ósmy; wieczorem upływa termin naczynony. Jeżeli wieczór nie dowiemy się czego, jutro rano wyruszymy i odwracając się — cóż to za hałas za nami!... — dodał.

— Rzeczywiście, oddział kawalerji tu idzie — rzekł Chatillon.

— Poznają pana koadjutora, po kapeluszu z godłami Frondy.

— A ja pana de Beaufort, po białych piórach.

— Pędzą galopem... Księżę pan z nimi... Ah!... otóż ich opuszcza.

— Biją pobudkę!... — zawołał Chatillon. — Słyszycie?... trzeba się dowiedzieć, co to znaczy.

Żołnierze biegli do broni w kozłach, kawalerja siadała na konie, trąbki grały, bębny biły na alarm.

— Panowie — rzekł Chatillon — widocznie zawieszenie

bronii zniesione; bić się będą. Wracajcie do Charenton, albowiem za chwilę przypuszczę szturm. Oto już sygnał dany przez księcia pana.

Właśnie trębacz po trzykroć wygłosił pobudkę księżącą.

Athos i Aramis zawrócili na miejscu i pojechali przywitać koadjutora i pana de Beaufort. Pan de Bouillon zaś, przy końcu układów dostał tak strasznego ataku podagry, iż musiano go w lektyce odstawić do Paryża. Lecz za to księżę d'Elboeuf, otoczony jak sztabem swemi czterema synami, przebiegał szeregi armii paryskiej.

— Ten Mazarini jest prawdziwą hańbą Francji!... — mówił koadjutor, ścigając pas od pałusza, jaki, według mody dawnych prałatów wojskowych, nosił na sukni arcybiskupiej, — to jest przybłęda, chcący rządzić krajem, jak krowiarnią. Niema nadziei spokoju dla Francji, póki on się tu znajduje.

— Widocznie, nie porozumiano się jeszcze co do koloru kapelusza — mruknął Aramis.

W tej samej chwili pan de Beaufort podniósł szpadę w górę.

— Panowie — wyrzekł — napróżnośmy dyplomatyzo wali, pragnęliśmy uwolnić się od tego mazgaja Mazariniego, lecz królowa tak jest obalamucona, iż chce koniecznie, by nadal był ministrem; pozostaje nam zatem jedyna ucieczka, a tą jest przetrzepać mu skórę...

— Dobryś! — rzekł koadjutor, — otóż to zwykle krasomówstwo pana de Beaufort!

— To tylko szczęśliwie, — odezwał się Aramis, że wady wymowy naprawia ostrzem szpady.

— Eh! — rzekł koadjutor z pogardą, — przysięgam wam, że w całej tej wojnie bardzo blado wygląda.

I podniósł także szpadę:

— Panowie! — zawołał, — oto nieprzyjacieli idzie na nas, spodziewam się, że spotkamy go na pół drogi?

I nie patrząc, czy ma kogo za sobą, czy nie, puścił się naprzód. Po upływie pół godziny, bój wrzał we wszystkich punktach. Koadjutor, którego sława odwagi pana de Beaufort do wściekłości doprowadzała, rzucił się w odmet i osobiście dokazywał cudów waleczności.

Z osmiuset ludźmi rzucił się na trzy tysiące wojska, które cofnęło się narazie, a potem całą masą napadło na



*Wysunął głowę bladą, jak śmierć*





koadjutorskich, bijąc ich na łeb, i w nieporządku przyparło do okopów. Ogień artylerji pana Chanleu powstrzymał armję królewską, która zachwiała się na chwilę. Niedługo to jednak trwało, gdyż sformowała się napowrót za laskiem i kilkoma domami. Chanleu myślał, że teraz właśnie chwila stosowna: poskoczył na czele dwóch pułków ścigać armję króla; lecz, jak powiedzieliśmy, sformowana w szeregi, wracała do boju, prowadzona osobiście przez pana de Chatillon. Szarżował on ostro i umiejętnie, i otoczył prawie Chanleu i jego ludzi. Chanleu zakomenderował odwrót, który rozpoczął się krok za krokiem. Na nieszczęście Chanleu, ugodzony kulą, padł śmiertelnie ranny.

Naraz oddział kawalerji wypadł na spotkanie zwycięzców, którzy, zmieszani z uciekającymi, cisnęli się do okopów. Athos i Aramis pędzili na czele. Aramis ze szpadą i pistoletem dobytym, Athos ze szpadą w pochwie, z pistoletem w olstrach. Athos był spokojny i zimny, jak na paradzie wojskowej, tylko wzrok jego piękny i szlachetny posmutniał, gdy widział tyłu ludzi mordujących się, których poświęcała z jednej strony zawziętość królewska, a z drugiej urazy i pretensje książąt. Aramis przeciwnie, bił, zabijał, i według swego zwyczaju upajał się stopniowo widokiem krwi i mordów. Z przeciwnej strony, z szeregów królewskich, dwóch jeźdźców jechało na czele, jeden z nich derzył Aramisa i wymierzył szpadą cios, który Aramis odparł ze zwykłą sobie zręcznością.

— Ah! to pan jesteś? panie Chatillon, — zawołał; — witam, oczekiwałem niecierpliwie!

— Zdaje się, niedługo kazałem czekać na siebie, — rzekł książę; — w każdym razie, służę panu.

— Panie de Chatillon, — rzekł Aramis, wyjmując drugi pistolet, zachowany na ten właśnie wypadek; — jeżeli twój pistolet nie jest nabity, to, jak sędzę, możesz uważać się za umarłego.

— Dzięki Bogu! — odrzekł Chatillon, — tak źle nie jest.

Książę podniósł pistolet, wycelował i dał ognia. Aramis pochylił głowę w chwili, gdy książę kładł palec na cynglu; kula poszła górą, nie drasnawszy go nawet.

— Oh! chybiłeś pan, — rzekł Aramis, — lecz klnę się na Boga, ja nie chybię!

— Jeżeli zdążysz! — krzyknął Chatillon, dawszy koniowi ostrogę i nacierając z dobytą szablą.

Aramis stał w miejscu nieruchomy, ze straszliwym uśmiechem na ustach; padł strzał... a pan de Chatillon opuścił ręce, przewrócił się na wznak, na grzbiet swego wierzchowca.

Kula przebiła pancerz i utkwiała w piersiach.

— „Umieram!“ — wyszeptał księżę i zsunął się z konia.

Aramis zamierzał właśnie zsiąść z konia, gdy niespodziewanie otrzymał silne pchnięcie w bok szpadą: Na szczęście pancerz wytrzymał uderzenie. Odwrócił się gwałtownie i schwycił napastnika za rękę, gdy naraz krzyknął prawie jednocześnie z Athosem „Raul“. Młodzieniec poznał twarz kawalera d'Herblay i głos ojca swojego, wskutek czego opuścił szpadę.

Kilkunastu jeźdźców z armji paryskiej w jednej chwili otoczyło Raula, lecz Aramis zasłonił go sobą.

— Na bok! — zawołał, — ten jeniec do mnie należy!

Przez ten czas Athos ujął za uzdę konia swego syna i odprowadził na stronę.

Księżę pan ukazał się na placu boju. Na jego widok, cały pułk arcybiskupa Korynckiego, jakiego koadjutor pomimo usilnych starań nie mógł zorganizować na nowo, wpadł w sam środek armji paryskiej, przewracał i gniół co napotkał, dostał się do Charenton w tej ucieczce i posunął dalej, nie zatrzymując się w mieście. Koadjutor, pociągnięty przez tłumy, musiał przejeżdżać obok Athosa, Aramisa i Raula.

— Ah! ah! — rzekł Aramis, kontent potrosze z porażki koadjutora; — jako arcybiskup, musisz znać monsignorze Pismo Święte?

— Cóż ma wspólnego Pismo Święte z tem, co mnie spotkało? — zapytał koadjutor.

— Księżę pan przecież obszedł się z wami jak Święty Piotr, pierwszeństwo oddał Karyntjanom.

— Dosyć tego, — odezwał się Athos; — udało ci się, przyjacielu, lecz nie czas to i miejsce na komplementy.

— Dalej, naprzód! a raczej cofnijmy się, bo strasznie mi tu coś pachnie przegraną frondystów.

Co powiedziawszy, wszyscy trzej ruszyli w drogę.

Młody człowiek drżał z radości, odnalazłszy ojca. Jechali też obok siebie, trzymając się za ręce z Athosem.

Po znacznem oddaleniu się od miejsca potyczki, Athos zapytał młodzieńca.

— Co cię spowodowało, mój przyjacielu, żeś tak się zapuścił na pole bitwy? nie tu twoje miejsce, jak sądzę z twego ubrania i braku uzbrojenia.

— Ja też nie miałem należeć wcale do dzisiejszego spotkania. Polecono mi udać się do kardynała w ważnem bardzo poselstwie, jechałem zatem do Reuil. Naraz ujrzałem pana Chatillon wysuwającego się naprzód i wzięła mnie ochota walczyć przy jego boku. Wtedy dowiedziałem się do niego, że dwóch rycerzy pragnie się ze mną widzieć; wymienił jednego, hrabiego de La Fère.

— Wiedziałeś zatem, że to my jesteśmy i chciałeś zabić twego przyjaciela, kawalera d'Herblay?

— Nie poznałem pana d'Herblay pod zbroją, — odparł Raul zawstydzony, — chociaż powinienem był przeczuć go po zręczności i zimnej krwi.

— Dziękuję za komplement, młody mój przyjacielu; znać zaraz kto cię uczył grzeczności. Powiadasz, że jechałeś do Reuil?

— Tak.

— Do kardynała?

— Zapewne, mam bowiem depeszę od księcia pana dla Jego Eminencji.

— Trzeba ją koniecznie doręczyć kardynałowi, — rzekł Athos.

— Oho! co do tego, to pozwól, kochany hrabio, że pogadamy trochę; pozbądźmy się fałszywych skrupułów... Cóż u diabła! czy nie rozumiesz, że nasz los, a co ważniejsza los naszych przyjaciół, zawisł może od tej depeszy.

— Raul nie powinien uchybić swej powinności — odrzekł Athos.

— Zapominasz, hrabio, że ten młody człowiek jest moim jeńcem wojennym, a to, do czego należymy, jest prawdziwą wojną. Następnie, zwyciężeni nie mogą i nie mają prawa przebierać w sposobach. Oddaj mi depeszę, Raulu.

Raul zawahał się: patrzył na Athosa pytająco; szukał wskazówki w oczach ojca.

— Oddaj depeszę, Raulu, jesteś wszak jeńcem kawalera d'Herblay.

Raul z niechęcią to uczynił, lecz Aramis, mniej skrupulatny, niż hrabia de La Fère, porwał chciwie depeszę, przeczytał i podał Athosowi.

— Hrabio — powiedział — czytaj i rozważ sam, że w liście tym jest coś, co Opatrzność chce, abyśmy wiedzieli.

Athos ujął papier, marszcząc swoje piękne brwi, lecz myśl, iż dowie się może czego o d'Artagnanie, zwyciężyła wstręt jaki uczuwał przy czytaniu tej depeszy.

Oto co było napisane:

Monsigniorze!

„Dla wzmocnienia oddziału pana Comminges, przyślę Waszej Eminencji wieczorem żądanych dziesięciu ludzi.

„Wybrałem dobrych żołnierzy, zdolnych utrzymać w karcach dwóch nie lada przeciwników, przejmujących strachem Waszą Eminencję, z powodu zręczności i odwagi, jaką posiadają“.

— O!... — mruknął Athos.

— Jak myślisz Aramis — kim mogą być dwaj przeciwnicy, dla pilnowania których zamały jest oddział Comminga, i potrzeba dodawać dziesięciu dobrych żołnierzy?... Czyż nie podobni oni, jak dwie krople wody, do d'Artagnana i Porthosa?... Wracajmy do Paryża, szukajmy wszędzie, a głównie wypytajmy Plancheta, czy nie słyszał o swoim dawnym panu.

— O!... biedny, nieszczęśliwy Planchet, mówisz o nim, Aramisie, a on z pewnością nie żyje. Wszyscy ci waleczni mieszczanie stanęli do boju, musiano ich wyrznąć do nogi...

Przyjaciele, bardzo niespokojni, wrócili do Paryża bramą Temple i skierowali się na plac królewski, gdzie zastali na placu królewskim kapitana i jego oddział, biwakujących wesoło, pijących i śpiewających. Athos i Aramis wypytawali znów Plancheta, lecz ten nic nie wiedział o d'Artagnanie. Chcieli zabrać ze sobą walecznego kapitana; wymówił się jednak, iż bez rozkazu wyższego nie może zejść ze stanowiska.

## ROZDZIAŁ XL

### POSZUKIWANIA W PIKARDJI

W Paryżu nie było zupełnie spokojnie; dawał się uczuć brak żywności — a stosownie do tego, który z generałów księcia Conti pragnął wybić się na wierzch, stwarzał małe zaburzenie, następnie uśmierzał je, co mu dawało czasową wyższość nad kolegami.

W jednej z takich zamieszek, pan de Beaufort rozkazał zrabować dom i bibliotekę Mazariniego, aby, jak się wyraził, dać choć jaki taki ogryzek biednemu ludowi.

Po tym wypadku, jaki miał miejsce wieczorem tego samego dnia, w którym paryżanie zostali pobici w Charenton, Athos i Aramis puscili stolicę.

Nasi szlachcice obrali drogi ustronne, nasamprzód aby nie wpaść w ręce Mazarynczyków, rozsianych w prowincji Ile de France, a następnie, aby uniknąć frondystów, zajmujących Normandję, którzy nie omieszkaliby ująć ich i zaprowadzić do pana de Longueville, ażeby sam sprawdził czy są przyjaciółmi czy wrogami.

Tracili jednak nadzieję trafienia na ślad przyjaciół. Zwiedzili już kilka oberży, wy pytali kilku oberżystów a nic nie rozjasniło niepewności, nic nie wskazywało, że byli tu przed nimi; dopiero w Montreuil, siedząc przy stole, Athos uczuł pod delikatnymi palcami coś wyłobionego. Podniósł obrus, i przeczytał wyrżnięte na drzewie ostrzem noża, następujące hieroglify:

PORT... — D'ART... — 2 LUTY.

— Wybornie — rzekł Athos, pokazując napis Aramisowi — mieliśmy zamierzać zanoćować tutaj, lecz teraz już to niepotrzebne. Jedźmy dalej...

Dosiedli co żywo koni i pojechali do Abbeville. Tu znów ich wielka niepewność ogarnęła, z powodu znacznej ilości hoteli i domów zajezdnych. Niepodobieństwem było wszystkie zwiedzić, a trudno znów odgadnąć, w którym z nich zatrzymali się poszukiwani przyjaciele.

— Wierz mi, hrabio — rzekł Aramis — dajmy pokój poszukiwaniom w Abbeville, bo nic nie znajdziemy. My wahamy się od której oberży zacząć, nasi przyjaciele tak samo nie byli pewni, do której zajechać. Gdyby o Porthosa chodziło jedynie, ten ulokowałby się w hotelu najwspanialszym, a udając się doń, z pewnością natrafilibyśmy na ślad jego pobytu... Lecz d'Artagnan nie podlega podobnym słabostkom; choćby Porthos używał wszelkich możliwych sposobów dla dowiedzenia, że umiera z głodu, d'Artagnan pojechałby dalej, niewzruszony, jak przeznaczenie, i zdaje mi się, że gdzieindziej trzeba go szukać.

Nie zatrzymując się tedy, pojechali dalej, lecz nic nie spostrzegli, niczego się nie dowiedzieli. Trudne zadanie przedsięwzięli Athos i Aramis, a nadewszystko nużące okrutnie i gdyby nie potrójna sprężyna poruszająca, to jest: honor, przyjaźń i wdzięczność, wyrte w głębi duszy, nasi podróżni stokroć razy już wyrzekliby się odgrzebywania śladów na piasku, wypytywania przechodniów, odgadywania znaków przeróżnych i śledzenia wyrazu twarzy nieznanomych. Jechali tak aż do Perony. Athos tracił nadzieję i desperował. Szlachetny i wzniosły charakter hrabiego obwinił siebie i Aramisa o brak inteligencji i przebiegłości. Zapewne źle szukali, myślał, zapewne nie umieli dość zręcznie wypytywać, za mało starań i wytrwałości okazali w badaniu okolicy.

Mieli zamiar powrócić tą samą drogą i zacząć na nowo, gdy, przejeżdżając przedmieście do bram miasta prowadzące, Athos rzucił okiem na ścianę domu narożnego przy ulicy, idącej ponad wybrzeżem, i spostrzegł narysowanych czarnym kamieniem, z całą prostotą dziecięcą, próbującą sił swoich na tem polu, spostrzegł, mówimy, narysowanych dwóch jeźdźców, galopujących zawzięcie: jeden z nich trzymał w ręku ogromny papier, na którym wypisane były po hiszpańsku następujące słowa:

„Gonią za nami“...

— Otóż to, jak dzień jasne — zawołał Athos. — Po-

mimo pogoni, d'Artagnan zatrzymał się tutaj przez chwilę; dowodzi to, że pogoń nie była zbyt bliską, a może nawet zdołali się wymknąć.

Aramis potrząsnął głową:

— Gdyby był umknął, jużby się z nami połączył, a przynajmniej dał znać o sobie.

— Masz rację, Aramisie; jedźmy dalej.

Trudno wypowiedzieć niepokój i niecierpliwość dwóch przyjaciół. Czułe i przywiązane serce Athosa drżało z obawy, nerwowy zaś Aramis niecierpliwił się i przeklinał. To też lecieli z wiatrem w zawody przez jakie cztery godziny, zupełnie jak jeźdźcy, narysowani na murze. Aż oto nagle w wąskim przesmyku, pomiędzy drzewami, ujrzeli przed sobą drogę, zawałoną ogromnym kamieniem. Widać było pod drzewami z boku miejsce, skąd go poruszono, ślad wyryty dowodził, że sam się nie potoczył, a wielkość i ciężar wskazywały, że chyba ramię jakiegoś olbrzyma ruszyło go z miejsca, gdzie może od stworzenia świata leżał spokojnie.

Aramis przystanął.

— O!... — rzekł przyglądając się kamieniowi — musiał tu być Ajax, Télamon lub Porthos. Zsiądźmy z koni, hrabio, i obejrzyjmy tę skałę.

Tak też uczynili. Oczywiście kamień położono, ażeby drogę zagrodzić. Leżał trochę na boku, dwaj przyjaciele obeszl go i obejrzel ze wszystkich stron, nie mogąc znaleźć nic nadzwyczajnego.

Przywołali zatem Blaissois i Grimauda i we czterech zaledwie go przewrócili.

Na spodzie kamienia wypisane było:

„Ośmiu konnych ściga nas. Jeżeli zdołamy dojechać do Compiègne, staniemy pod „Panem w koronie“, gospodarz jest naszym przyjacielem“.

— Chwała Bogu, mamy przynajmniej jakąś wiadomość — rzekł Athos — cokolwiek ich spotkało, będziemy wiedzieli, czego się trzymać. Prędzej zatem, pod „Pana w koronie“.

Po upływie sześciu godzin, Athos i Aramis wjeżdżali do Compiègne i pytali o „Pana w koronie“. Wskazano im sztyl, na którym namalowany był bożek „Pan“ w świetnej koronie na głowie.

Dwaj przyjaciele zsiedli z koni, nie zważając na malo-

widło szyldu, które w innym czasie Aramis byłby krytykował i wyśmiewał z pewnością. Przyjął ich zacny oberżysta, łysy i brzuchaty jak chiński mandaryn. Zapytali go, czy nie przyjmował czasem u siebie dwóch szlachciców, ściganych przez oddział lekkiej konnicy.

Gospodarz nic nie odpowiedział, tylko poszedł i wyjął ze skrzyni połowę długiej szpady.

— Czy znacie to, panowie?... — zapytał.

Athos raz tylko spojrzął na ostrze.

— To jest szpada d'Artagnana — powiedział.

— Czy tego wielkiego, czy małego?... — zapytał znów gospodarz.

— Małego — odrzekł Athos.

— Widzę, że jesteście przyjaciółmi tych panów.

— Co się z nimi stało?

— Wpadli na moje podwórze na koniach, zmęczonych już zupełnie, i zanim zdążyli zamknąć bramę, ośmiu kawalerzystów, goniących za nimi, wpadło także na dziedziniec.

— Ośmiu tylko!... — rzekł Aramis. — Dziwi mnie, że takie zuchy jak Porthos i d'Artagnan pozwolili ująć się ośmiu ludziom.

— Z pewnością, proszę pana, tych ośmiu nie dałoby im rady, gdyby nie przywołali dwudziestu żołnierzy z pułku Królewsko - Włoskiego, stojącego garnizonem w mieście, tak, że dwaj przyjaciele panów musieli ulec przeważającej liczbie.

— Za cóż ich aresztowano — rzekł Athos — czy nie wiecie czasem?

— Nie wiem, proszę łaski pana, uprowadzono ich natychmiast, nie mieli czasu nic powiedzieć, jak już wyjechali, ja, pomagając wwnosić dwa trupy i sześciu rannych, znalazłem ten ułamek szpady na miejscu walki.

— A oni — zapytał Aramis — czy cało wyszli?

— Tak mi się zdaje, proszę pana.

— Mamy chociaż tę pociechę — rzekł Aramis.

— W którą stronę ich poprowadzono?... — zapytał Athos.

— W stronę Luwru.

Przyjaciele odesłali Blaisois i Grimauda z końmi do Paryża i udali się śpiesznie do Luwru. W Luwrze nie było zajazdu tylko szynk, w którym sprzedawano napój,



sławny jeszcze dzisiaj, a wyrabiany już w owej epoce.

— Zatrzymajmy się tu — rzekł Athos — d'Artagnan nie ominałby sposobności, nie mówię skosztowania napoju, lecz pozostawienia nam jakiegokolwiek wskazówki.

Weszli i zażądali przy bufecie dwóch szklanek napoju, jak to zapewne wprzód byli uczynili d'Artagnan z Porthosem.

Bufet, przy którym goście pili, nakryty był blachą miedzianą. Na tej blasze wyryte było grubą szpilką:

Reuil, D.

— Oni napewno są w Reuil — rzekł Aramis, który pierwszy spostrzegł napis.

— Jedźmy zatem do Reuil — rzekł Athos.

Dosiedli świeżych koni i pojechali do Reuil.

Athos, nie domyślając się wcale, obrał najlepszą drogę.

Deputowani parlamentu przybyli właśnie do Reuil na owe sławne konferencje, jakie trwały przez trzy tygodnie i sprowadziły ten pokój sromotny, wskutek którego aresztowano księcia pana. Reuil zalane było ze strony Paryżan prawnikami, radcami i sędownikami różnego rodzaju; ze strony zaś dworu królewskiego gościła tam szlachta, oficerowie i straż przyboczne. Łatwo zatem było w tym świetnym tłumie przejść niepostrzeżenie. W dodatku, z powodu konferencji, ogłoszono czasowe zawieszenie broni; zatrzymywać więc dwóch szlachciców podróżujących, choćby nawet frondystów pierwszej wody, byłoby pogwałceniem praw ludzkości.

Athos był za tem, aby iść wprost do głównego ministra.

— Przyjacielu — sprzeciwił się Aramis — bardzo pięknie dowodisz, strzeż się jednak; pótyśmy bezpieczni, póki działamy w ukryciu. Jeżeli damy się poznać tym lub owym sposobem, pójdziemy dotrzymywać towarzystwa naszym przyjaciołom w jakim podziemnem więzieniu, skąd nas i sam djabeł nie wyciągnie. Starajmy się odnaleźć ich sprytem, przebiegłością, ale tylko sami, nie zwierając się nikomu. Oni pochwyceni zostali w Compiègne i przyprowadzeni do Reuil, jak o tem upewniliśmy się w Luwrze; tu, w Reuil, indagował ich sam kardynał, poczem albo uwięził na miejscu, albo odesłał do Saint-Germain. Do Bastylji ich nie wsadził, pewny tego jestem. Bastylja należy do frondystów, a syn Broussela jest w niej komendantem. Nie uśmiercił ich także, ponieważ śmierć

d'Artagnana głośnaby była, onby się nie poddał bez oporu. Co do Porthosa, ten według mnie jest nieśmiertelny jak sam Bóg, chociaż daleko mniej cierpliwy. Nie traćmy nadziei, siedzmy w Reuil, gdyż mam przekonanie, że oni tu się znajdują. Lecz co ci jest, hrabio? zbladłeś straszliwie!

— Nic, nic — rzekł Athos drżącym głosem — tylko przyszło mi na myśl, że kardynał Richelieu kazał zrobić w Reuil jakąś okropną skrytkę podziemną!...

— O! bądź spokojny — rzekł Aramis — Richelieu był szlachcicem, równym nam urodzeniem, a wyższym stanowiskiem. Mógł zatem, jak król, dotknąć głowy największego z nas, a dotykając zachwiać tę głowę na karku. Lecz Mazarini jest przybłądą, dorobkiewiczem, może nas co najwyżej wziąć za kołnierza, jak łucznik na służbie. Uspokój się zatem, kochany przyjacielu, trwam przy swoim i mówię raz jeszcze, że d'Artagnan i Porthos żyją, zdrowi i weseli.

— Daj, Boże!... — rzekł Athos — trzeba jednak koniecznie otrzymać od koadjutora pozwolenie należenia do konferencji, bo w takim razie dostaniemy się do samego zamku Reuil.

— Razem z tymi obrzydliwymi sędziakami! Czyż możesz to przypuścić, kochany hrabio? czyż sądzisz, iż tam radzić będą o wolności lub uwięzieniu d'Artagnana i Porthosa? O nie, mojem zdaniem, trzeba szukać innego sposobu.

— A więc powracam do mojej myśli — zaczął Athos — nie znam lepszego sposobu nad działanie szczere i otwarte. Nie pójdę do Mazariniego, a wprost do królowej i tak jej powiem: Pani! powróć nam dwóch wiernych i oddanych ci ludzi, a naszych przyjaciół!

Aramis potrzęsnał głową.

— Ostatni to środek, którego wolno ci użyć, Athosie; i wierz mi, użyj go tylko w ostateczności, a zawsze na to będzie dość czasu. Teraz zaś prowadźmy dalej poszukiwania.

Tak też uczynili; tyle się nasłuchali, tak przeróżnemi fortelami ciągnęli za język kogo mogli, że nareszcie trafili na pewnego żołnierza z kawalerji, który im wyznał, iż należał do eskorty, jaka odprowadziła d'Artagnana i Porthosa z Compiègne do Reuil.

Athos powracał wciąż do projektu udania się prosto do królowej.

— Kochany przyjacielu, ponieważ upierasz się przy tem szaleństwie, uprzedź mnie proszę, choć o jeden dzień wcześniej — rzekł Aramis.

— Dlaczegoż to?

— Skorzystam ze sposobności i wyjadę złożyć wizytę w Paryżu.

— Komu?

— Albo ja wiem? Może pani de Longueville. Ma ona tam wielką władzę i nie odmówi swej pomocy. Donieś mi tylko przez kogo, czy jesteś uwięziony, a wtedy postaram się uczynić, co tylko będę mógł...

— Dlaczego razem ze mną nie chcesz być uwięziony?

— Nie chcę, nie, dziękuję...

— Gdy złączeni będziemy we czterech, sądzę, że nawet w więzieniu nic nie ryzykujemy. Po upływie dwudziestu czterech godzin będziemy wolni.

— Mój drogi, odkąd zabiłem Chatillona, bożyszcze pań z przedmieścia Saint-Germain, za wiele blasku otacza moją osobę, abym się nie bał więzienia podwójnie.

Przy tej okazji, królowa gotowaby była usłuchać rady Mazariniego, a on poradziłby z pewnością, aby mnie pod sąd oddać.

— Więc myślisz, Aramisie, że ona tak bardzo kocha tego Włocha?

— Przecież kochała Anglika.

— E! mój drogi, i ona jest kobietą!

— O nie, mylisz się, Athosie, ona jest królową!

— Kochany przyjacielu, poświęcam się i idę prosić o posłuchanie u Anny Austriackiej.

— Bądź zdrow, Athosie, zajmę się zebraniem oddziału zbrojnego.

— Co myślisz robić?

— Powrócić i oblegać Reuil.

— Gdzież się spotkamy?

— U stóp szubienicy dla kardynała.

Dwaj przyjaciele rozstali się; Aramis powracał do Paryża, Athos poszedł starać się o audjencję u królowej.

## ROZDZIAŁ XLI

### WDZIĘCZNOŚĆ ANNY AUSTRJACKIEJ

Athos nie spodziewał się tak łatwego dostępu do Anny Austrjackiej; po pierwszych krokach przedsięwziętych wszystko ułożyło się wybornie, a tyle upragniona audjencja oznaczona została na dzień następny, z okazji raniego przyjęcia u królowej, na które Athos miał prawo wstępu, jako szlachcic i magnat wysoko urodzony.

Ogromne rzesze zapełniały apartamenty w Saint-Germain; nigdy w Luwrze ani w Palais-Royal Anna Austrjacka nie miała większej liczby dworaków.

Dwór królewski przedrwiwał w kupletach paryżan, którzy znów śpiewali zabawne piosenki o dworze i dworakach, nie wyjmując Mazariniego; a chociaż raniono się nie śmiertelnie, nie mniej przeto boleśnie czuli się dotkniętymi ci, których dosięgały ciosy śmieszności. Lecz pośród wesołości ogólnej i czczości powierzchownej, wielka niepewność i troska nurtowała umysły. Czy Mazarini pozostanie ministrem, czy ulubieńcem?... lub czy Mazarini, przybyły jak chmura z południa, odejdzie, pchany wiatrem, który go przypędzi?... czego wszyscy pragnęli. Książę pan nawet, który walczył za niego, nie ominął nigdy sposobności, aby podrwać z niego. Mazarini pokilkakroć chciał wobec zwycięzcy z pod Rocroy okazać władzę swoją, lecz ten zmierzył go wzrokiem w taki sposób, jakby chciał dać poznać, iż bronił go nie z przekonania, ani też z entuzjazmu.

Wtedy kardynał zwracał się do królowej, jedynej swej podpory. Lecz zdawało mu się już parę razy, że podpora ta chwiać się zaczyna.

Nadeszła nareszcie godzina przyjęcia; oświadczone hra-

biemu de La Fère, by zaczekał chwilę, gdyż królowa zajęta jest naradą z ministrem. Athos nastawał koniecznie, aby go wpuszczono, mówiąc, że choć nie jest posłem od pana Conti, ani od pana de Beaufort, de Bouillon, d'Elbeuf, ani od koadjutora, pani de Longueville, pana de Broussel, ani też od parlamentu, niemniej przeto ma bardzo ważne rzeczy opowiedzieć Jej Królewskiej Mości.

Po skończonej konferencji, królowa wezwała go do swego gabinetu.

— Więc chcesz nam oddać jakąś usługę, panie hrabio? — zapytała Anna Austrjacka po chwili milczenia.

— Tak, pani, jeszcze jedną usługę, — rzekł Athos, niemile dotknięty tem, że królowa zdawała się go niepoznać.

Athos był człowiekiem wielkiej zacności, lecz bardzo lichym dworakiem. Anna brwi zmarszczyła. Mazarini, który, siedząc przy stoliku, przerzucał papiery, jakby prosty sekretarz stanu, podniósł głowę.

— Mów pan — rzekła królowa.

Mazarini zajął się znów papierami.

— Pani — zaczął Athos, — dwaj przyjaciele moi, dwaj wierni i nieustraszeni słudzy Waszej Królewskiej Mości, pan d'Artagnan i pan du Vallon, wysłani do Anglii przez pana kardynała, zniknęli nagle w chwili, gdy stanęli z powrotem na ziemi francuskiej, — i nie wiadomo co się stało z nimi.

— Cóż dalej?... — rzekła królowa.

— Otóż — rzekł Athos, — udaję się do łaski Waszej Królewskiej Mości z zapytaniem, gdzie są ci dzielni rycerze, a jeżeli zajdzie tego potrzeba, udam się do Jej sprawiedliwości.

— Mój panie, — odrzekła Anna, — to rzecz policji! Wiesz, mój panie, lub powinieneś wiedzieć, że nie posiadamy policji, odkąd nie jesteśmy w Paryżu.

— Sądzę, Wasza wysokość — mówił Athos, — że pan kardynał mógłby odpowiedzieć, nie pytając nikogo, prócz swej własnej pamięci.

— Niech Bóg mi wybaczy! — rzekła Anna, skrzywiwszy wargi pogardliwie, jej tylko właściwym sposobem; — zdaje mi się, że pan nas indagujesz?

— Tak, Najjaśniejsza Pani, mam poniekąd prawo do

togo, ponieważ chodzi o panów d'Artagnana i Porthosa; o pana d'Artagnan, czy słyszysz, Najjaśniejsza Pani? — rzekł w taki sposób, by wspomnienia kobiety kazały spuścić głowę królowej.

Mazarini zrozumiał, iż czas przyjść z pomocą Annie Austrjackiej.

— Panie hrabio — odezwał się — pańscy koledzy wykroczyli przeciw posłuszeństwu i są pod aresztem.

— Błagam tedy Waszej Królewskiej Mości, — rzekł Athos, nie odpowiadając Mazariniemu — błagam, aby kazała zdjąć areszt z panów: d'Artagnana i du Vallon.

— To, czego pan żądasz, jest rzeczą karności wojskowej, a do mnie wcale nie należy — odparła królowa.

— Pan d'Artagnan nie odpowiadał nigdy w ten sposób, gdy szło o usługi dla Waszej Królewskiej Mości — rzekł Athos, kłaniając się z godnością. — Drugi to raz pan d'Artagnan jeździł do Anglii. Pierwszym razem w sprawie czci i honoru wielkiej królowej; drugim zaś w sprawie życia wielkiego króla.

— Panie — przemówiła królowa do Mazariniego, nie mogąc pokryć wzruszenia — pomyśl, czy można co zrobić dla tych szlachciców?

— Najjaśniejsza Pani, — odparł Mazarini, — uczynię wszystko, co się podoba Waszej Królewskiej Mości.

— Zrób to, czego żąda hrabia de La Fère. Wszak tak się pan nazywa?

— Mam jeszcze drugie nazwisko, pani miłościwa, a tem jest Athos.

— Najjaśniejsza Pani — zaczął znów Mazarini z chytrym uśmiechem, dowodzącym, jak łatwo z półsłówek domyśla się wszystkiego — niech się Wasza Królewska Mość uspokoi, życzenia Jej będą spełnione.

— Odejdź pan już — rzekła królowa, żegnając Athosa skinieniem — otrzymałeś, coś pragnął otrzymać.

Następnie zwracając się do Mazariniego, gdy portjera opadła już za odchodzącym:

— Kardynale — rzekła — każ aresztować tego zuchwałego szlachcica, zanim jeszcze wyjdzie z dziedzińca!

— Myślałem już o tem — zaczął Mazarini — i cieszy mnie, że Wasza Królewska Mość wydaje rozkaz, o jaki ją prosić zamierzałem.

Athos niczupełnie wierzył królowej.

Było coś w głosie Anny, co go uderzyło, czuć było groźbę pod obietnicą. Oczekiwał więc w jednej z komnat przylegających do gabinetu, w którym otrzymał posłuchanie, aby mu przyprowadzono d'Artagnana i Porthosa, lub ażeby mu drogę do nich wskazano. Oczekując tak, zbliżył się do okna i patrzył bezmyślnie na podwórze. Zobaczył deputację paryżan, która przychodziła oznaczyć stanowczo miejsce do narad i zarazem pożegnać królową. Byli tam radcy parlamentu, prezydujący, adwokaci, a pomiędzy nimi kilku ludzi uzbrojonych. Liczna eskorta oczekiwała ich za kratą pałacową.

Athos patrzył uważniej, bo ktoś w tłumie wydał mu się znany; wtem uoził lekkie dotknięcie ramienia.

Odwrócił się szybko.

— O!... pan de Comminges!... — powiedział.

— Tak, panie hrabio, ja sam, i obarczony sprawą, za którą zgóry przepraszam szanownego pana.

— Cóż to takiego?... — zapytał Athos.

— Racz oddać mi szpadę, panie hrabio.

Athos uśmiechnął się i okno otworzył.

— Aramisie!... — zawołał.

Jakiś szlachcic obrócił się, ten sam właśnie, któremu Athos się przyglądał. Ukłonił się hrabiemu przyjaźnie.

— Aramisie — powiedział Athos — jestem aresztowany.

— Dobrze — odparł flegmatycznie Aramis.

— Panie — mówił Athos, zwracając się do Comminges'a i podając mu z elegancją rękojeść szpady — oto broń moja. Dokąd mnie pan zaprowadzisz?...

— Do mego pokoju — odparł Comminges. — Królowa sama wskaże, gdzie mam pana umieścić.

## ROZDZIAŁ XLII

### KRÓLEWSKOŚĆ MAZARINI'EGO

Anna Austriacka raczyła przyjąć deputację paryżan milcząca i wspaniała jak zawsze. Wysłuchiwała skarg i błagania posłów; lecz, gdy skończyli przemowę, nikt nie był pewny, czy słyszała, co mówili, twarz jej bowiem pozostała zimną i obojętną.

Mazarini, obecny przyjęciu, rozumiał doskonale, czego domagali się deputowani: ani mniej ani więcej, tylko odsunięcia go od rządów, natychmiast i bezpowrotnie.

— „Panowie — przemówił Mazarini — połączę prośby moje z waszemi i błagać będę królową, aby położyła koniec cierpieniom ludu swojego. Robiłem, co mogłem, aby stać się użytecznym i dolę ludu osłodzić — a jednak, według zdania waszego, głos ogółu mnie obwinia, mnie, skromnego przybysza, który nie potrafił podobać się francuzom! Uznaję się za zwyciężonego... Uczynię wszystko czego naród pragnie. Jeżeli Paryżanie zawinili, a któż jest bez winy, panowie?... Paryż jest już ukarany... Dostyc już krwi popłynęło, dostyc nędzy cierpi miasto, pozbawione króla i sprawiedliwości. Ponieważ żądacie, bym się odsunął od władzy, dobrze zatem, odsuwam się...

— Panie kanclerzu — przemówiła królowa do pana Sèguier, dawnego naszego znajomego — pan rozpoczniesz rokowania; Reuil będzie miejscem posiedzeń. Co się tyczy wyjazdu lub pozostania pana kardynała, oświadczam, iż za wiele mu zawdzięczam, abym mogła wolność jego krępować. Pan kardynał uczyni, co uzna za stosowne.

Chwilowa bladeść pokryła inteligentną twarz pierwszego ministra. Patrzył na królową niespokojnie, lecz nie mógł odgadnąć, co się dzieje w jej sercu.



— Teraz zaś — dodała królowa, oczekując postanowienia pana Mazariniego — proszę radzić tylko o królu...

Deputowani opuścili salę.

Anna spuściła głowę i popadła w zadumę, tak u niej zwyczajną. Przypomniała sobie Athosa... Śmiała postawa szlachcica, mowa ostra a pełna godności zarazem, mury przeszłości, wywołane jednym jego słowem, przywiodły jej na pamięć tę przeszłość, pełną upajającej poezji, młodość i ciężkie walki jej obrońców, i krwawy zgon Buckingham, jedyne go człowieka prawdziwie ukochanego, i heroizm ukrytych w cieniu rycerzy, którzy wybawili ją od zemsty króla i Richelieugo.

— Trzeba zatem ustąpić burzy — szeptała Anna Austriacka — trzeba drogo pokój okupić, czekać cierpliwie i z rezygnacją lepszych czasów...

Mazarini gorzko się uśmiechnął: Więc królowa wzięła na serjo jego propozycję? — pomyślał.

Anna siedziała z głową spuszczoną, nie widziała więc tego uśmiechu; lecz, nie słysząc odpowiedzi na to, co mówiła, podniosła głowę.

— No cóż, nie odpowiadasz, kardynale; nad czem rozmyślasz?

— Myślę nad tem, że ten zuchwały szlachcic, którego kazaliśmy Commingowi aresztować, uczynił aluzję do Buckingham, którego pozwoliłaś zamordować; do pani de Chevreuse, którą pozwoliłaś skazać na wygnanie; do pana de Beautort, przez ciebie uwięzionego.

Lecz, jeżeli mówiąc to, o mnie myślał, to dlatego, że nie wie, czem jestem dla ciebie...

Anna Austriacka zadrżała, jak zawsze, gdy dumę jej raniono; twarz jej poczerwieniała i, ażeby nie odpowiedzieć, zatopiła paznogie w piękne białe rączki.

— To człowiek dobry do rady — ciągnął kardynał — honorowy i rozumny, a szczególnie człowiek odważny i stały w postanowieniach. Wiesz pani cośkolwiek o tem, wszak prawda? Otóż, oceniając te przymioty, pójdę do niego i powiem, w czem pomylił się co do mojej osoby. Przyznaj pani sama, że to, co mi proponują, to prawie abdykacja... a rzecz taka zasługuje na zastanowienie i głęboki namysł.

— Mówisz o abdykacji, mój panie! .. — rzekła Anna — sądziłam, że królowie tylko abdykują.

— Czyż nie jestem królem prawie — ciągnął Mazarini — a nawet królem Francji? Zareczam pani, że moja sutanna, rzucona w nocy na łożo królewskie, podobna jest bardzo do płaszcza królewskiego.

Było to jedno z upokorzeń, jakie Mazarini najczęściej w twarz jej ciskał, i pod którym zawsze ugięła się dumna i wstyd królowej.

Anna patrzyła z rodzajem trwogi w groźne oblicze kardynała, który w tej chwili urósł niejako.

— Panie — rzekła — czyż nie powiedziałam, i czyż nie słyszałeś, co mówiłam, że zrobisz, co ci się tylko podoba?

— W takim razie — odparł Mazarini — sądzę, iż powinno mi się podobać zostać tam, gdzie jestem. Nietylko to mój interes, lecz, ośmielę się powiedzieć, w tem jest zbawienie pani.

— Zostań pan zatem, niczego więcej nie pragnę; lecz, zostawszy, nie pozwól, aby mnie znieważano.

— O! rozumiem panią. Mówisz o wspomnieniach, jakie wywołują wiecznie ci czterej szlachcice... Mamy ich przecież w ręku, uwięzionych — a dosyć oni nabroili, abyśmy ich potrzymani, jak długo nam to będzie potrzebne. Jeden z nich jeszcze umknął nam i zucha udaje. Lecz, do diabła! damy i temu radę i zdołamy go połączyć z kolegami.

-- Dopóki są w więzieniu — rzekła Anna Austrjacka, dopóty będzie dobrze — lecz przecież wyjdą kiedyś?

-- Tak, jeżeli Wasza Królewska Mość rozkaże wolność im powrócić.

— A!... — ciągnęła Anna, odpowiadając myślom swoim — ah! tutaj można dopiero żałować Paryża.

— Dlaczegoż to?

— Bastylji, mój panie, silnej i jak grób milczącej.

— Pani, przy konferencjach odzyskujemy pokój; z pokojem mamy już Paryż, z Paryżem Bastylję; naszych czterech rycerzy zgnije w niej ze szczętem!

Anna Austrjacka zmarszczyła nieco czoło, podczas gdy Mazarini całował jej rękę na pożegnanie.

## ROZDZIAŁ XLIII

### O S T R O Ź N O Ś C I

W podwórzcu starego zamku kardynał wsiadł do karety, pojechał i przebył Sekwanę w Chatou. Książę pan udzielił mu eskorty, złożonej z pięćdziesięciu konnych, nie tyle do pilnowania jego osoby, ile dla okazania deputacji, że dowódcy wojsk królowej z łatwością rozporządzają siłą zbrojną i mogą ją wysyłać, gdzie im się żywnie podoba.

Athos, strzeżony pilnie przez Comminga, konno, bez szpady, jechał za kardynałem.

Grimaud, zostawiony przy bramie przez swego pana, dowiedział się o aresztowaniu wtedy, gdy Athos oknem zawołał do Aramis, a na znak hrabiego, ust nie otworzywszy — przysunął się do d'Herblay i został przy nim.

Deputowani, zaraz po audjencji powrócili do Paryża, to jest, poprzedzali kardynała o jakie pięćset kroków. Athos mógł zatem widzieć tył figury Aramis, którego złożony pas i szlachetna postawa zwracały uwagę w pospolitym tłumie.

Aramis znów udawał, że lic go nie obchodzi, iż Athos za nim jedzie. Jeden jedyny raz tylko się obejrzał; było to wówczas, gdy dojeżdżali do pałacu.

Athos minął Chatou razem ze świętą kardynalską.

Na rozstajnych drogach Aramis znów się obejrzał. Tym razem nie omyliło go przeczucie: Mazarini skreślił w prawo i Aramis zobaczył przyjaciela znikającego poza drzewami. W tej samej chwili Athos jakby poczuł wzrok Aramis — spojrzął poza siebie.

W dziesięć minut potem, Mazarini wjeżdżał ze świętą w podwórze pałacu.

W chwili gdy zsiadał z konia u drzwi pałacowych, Comminges przystąpił do niego.

— Monsignorze — zapytał — gdzie Wasza eminencja rozkaże umieścić pana de la Fère?

— W pawilonie oranżeryjnym, naprzeciw pawilonu, w którym się znajduje odwach. Pragnę, by oddawano hrabiemu de la Fère honory wojskowe, ponieważ jest więźniem Jej Królewskiej Mości.

— Monsignorze — odważył się Comminges — hrabia chce być zaprowadzonym do pana d'Artagnana, który, według rozkazu Waszej eminencji, zajmuje pawilon myśliwski, naprzeciw oranżerji.

Mazarini myślał chwilę. Comminges widział, że się waha.

— Odwach jest silny — dodał — czterdziestu pewnych ludzi, żołnierzy wypróbowanych, prawie samych Niemców, a co zatem idzie, nie mających nic wspólnego z Frondą.

— Jeżeli umieścimy tych trzech ludzi razem, mości Comminges — rzekł Mazarini — musimy chyba straż podwoić; nie posiadamy zaś obrońców do zbytku, aby nimi szafować w ten sposób.

Comminges uklonił się i powrócił do Athosa, czekającego napozór obojętnie, lecz z prawdziwą obawą, wyniku narady kardynała z oficerem.

— Na czym stanęło?... — zapytał porucznika gwardji.

— Panie hrabio — odrzekł Comminges — to czego pan żadasz, jest niepodobieństwem.

— Panie Comminges — zaczął Athos — całe życie byłem żołnierzem, wiem, co znaczy rozkaz; lecz nie wykraczając przeciw karności, mógłbyś mi oddać jedną usługę.

— Z największą chęcią — odparł Comminges — możesz pan na mnie rachować, oprócz jedynie złamania dzisiejszego rozkazu.

— Ponieważ wolno mi jest wiedzieć, że pan d'Artagnan tu się znajduje, sądzę, iż nie będzie to zdrożnem, jak on się dowie, że i ja tu jestem?

— Nie odebrałem żadnego rozkazu w tym względzie, panie hrabio.

— Otóż chciej pan pozdrowić go ode mnie i oznajmić, że jestem jego sąsiadem. Powiesz mu także to, co od ciebie usłyszałem, mianowicie, że pan Mazarini zamknął mnie w pawilonie oranżeryjnym, aby mi złożyć wizytę, do

dasz także, że skorzystam z tego zaszczytu, aby otrzymać niejakię ulgi w naszej niewoli...

— Która nie może trwać długo — dodał Comminges — pan kardynał sam mi to mówił: a zresztą, tu niema wcale więzienia.

— Są pułapki, w które wtrącają zdradziecko.

— O! to co innego—rzekł Comminges.—Wiem, że jest tradycja w tym względzie; lecz człowiek niskiego urodzenia jak nasz kardynał, który przyszedł z Włoch, aby zrobić fortunę we Francji, nie ośmieliłby się używać podobnych sposobów z ludźmi naszego pokroju... toż byłoby krzyżące! Pod tym względem, nie miej żadnej obawy. Ja ze swej strony, uprzedzę pana d'Artagnana o przybyciu pańskim. Kto wie, za kilka dni możesz mi pan oddać podobną przysługę?

— Ja, panie?

— E! bez wątpienia, czyż nie mogę z kolei zostać więźniem pana koadjutora?

— Wierz mi pan, że w takim razie—rzekł Athos z ukłonem — zrobię wszystko, aby stać się panu użytecznym

— Czy będziesz łaskaw zjeść ze mną kolację, panie hrabio?... — zapytał Comminges.

— Dziękuję panu, smutny wieczór spędziłbyś, niewesoły ze mnie współ - biesiadnik. Dziękuję raz jeszcze!

Comminges zaprowadził tedy hrabiego do pokoju na dole, w pawilonie przytykającym do oranżerji i będącym na równym z nią poziomem.

Athos, wszedłszy do pokoju przeznaczonego dla siebie, ujrzał przez okno szczelnie zakratowane mury tylko i dachy.

— Co to za budynek?... — zapytał.

— Tylna ściana pawilonu myśliwskiego, gdzie zamknięci są pańscy przyjaciele.

— Czy jesteś pewien, panie Comminges, że kardynał zaszczyci mnie swemi odwiedzinami?

— Tak przynajmniej zapewniał.

Athos westchnął, patrząc na zakratowane okna.

— Tak, prawda — odezwał się Comminges — to wygląda na więzienie, nic nie brakuje, nawet krat żelaznych.

— Oto przyjemny rezultat służby kardynalskiej! — rzekł Athos. — Spójrz pan na te mury bez okien, panie

Comminges, one ci opowiedzą piękne historie o wdzięczności Mazariniego.

— O tak — odparł Comminges ze śmiechem — przede wszystkim, jeśli powtórzą wszystkie przekleństwa, jakie od tygodnia pan d'Artagnan rzuca na niego.

— Biedny d'Artagnan!... — rzekł Athos, — taki waleczny, zacny, dobry; taki straszny dla tych, co nie lubią jego przyjaciół! Masz twarde więźniów, panie Comminges, żałuję cię serdecznie, jeżeli na pana włożono odpowiedzialność za tych dwóch niewycięzonych.

— Niewycięzonych!... — rzekł śmiejąc się także Comminges — e! panie, chcesz mi strachu napędzić. Pierwszego dnia niewoli pan d'Artagnan wyzywał wszystkich żołnierzy i oficerów niższych stopni, zapewne, aby mu szpadę oddano; trwało to nawet na drugi dzień; lecz potem uspokoił się i złagodniał jak baranek.

— A pan du Vallon?... — zapytał Athos.

— O! ten, zupełnie się różni. Przyznam się, że jest to przerażający szlachcic. Pierwszego dnia powywał wszystkie drzwi, jednym podważeniem ramienia; oczekiwałem tylko jak uwolni się z Reuil, na podobieństwo Samsona, gdy wyszedł z Gaza.

Lecz usposobienie jego zmieniło się, równie jak pana d'Artagnana.

— Tem lepiej — rzekł Athos — tem lepiej!

Athos doszedł do przekonania, że dobry humor powrócił przyjaciółom jego z powodu jakiegoś planu powziętego przez d'Artagnana. Nie chciał im zatem szkodzić, chwając zbytecznie.

— O! oni, proszę pana — powiedział — to gorące głowy; jeden gaskończyk, drugi rodem z Pikardji; obaj zapalają się łatwo, lecz stygną bardzo prędko. Masz pan dowód z tego, coś mi opowiadał w tej chwili, że prawdą jest, co mówię.

Tego samego zdania był i Comminges. Athos pozostał sam w wielkim pokoju, gdzie, według rozkazu kardynała, traktowany był z uszanowaniem należnym szlachcicowi.

## ROZDZIAŁ XLIV

### R O Z U M I S I Ł A

Przejdźmy teraz z oranżerji do pawilonu myśliwskiego.

W tym to budynku, na dole, zamknięci, Porthos z d'Artagnanem spędzali długie godziny niewoli w przymusowej bezczynności, tak wstrętnej ich naturze. D'Artagnan, jak tygrys w klatce zamknięty, chodził z dzikiem spojrzaniem, wydając niekiedy ryk głuchy przez kratę okna, wychodzącego na służbowy dziedzińiec.

Porthos trawił w cichości wybonny obiad, co tylko sprzątnięty. Pierwszy zdawał się być pozbawionym rozumu, a jednak przemyślał; drugi zdawał się rozmyślać głęboko, a spał tylko; musiała go jednak zmora dusić, sądząc ze straszneho, urywanego chrapania.

— Otóż i wieczór nadchodzi — mówił d'Artagnan. — Musi być około czwartej godziny. Niedługo będzie sto osiemdziesiąt i trzy godziny, jak tu siedzimy.

— Hm! — mruknął Porthos, udając że odpowiada.

— Rozumiesz, ty wieczny śpiochu? — rzekł d'Artagnan, zniecierpliwiony, że ktoś może spać w dzień, kiedy on nawet w nocy oka zmrużyć nie jest w stanie.

— Co? — zapytał Porthos.

— Czy rozumiesz, co mówię?

— A coś ty mówił?

— A to, że prawie sto osiemdziesiąt i trzy godziny, jak tu siedzimy.

— Twoja w tem wina, — rzekł Porthos.

— Jakto! moja wina?...

— Tak, proponowałem ci wyjście natychmiastowe.

— Przez wyrwanie sztaby żelaznej i wywalenie drzwi?

— Ma się rozumieć!

— Porthos, zastanów się, tacy ludzie jak my, w ten sposób się nie uwalniają.

— O, na honor, — odparł Porthos, — jabym tam użył z czystym sumieniem tego sposobu, jakim ty zdajesz się gardzić tak bardzo.

D'Artagnan wzruszył ramionami.

— A potem, — rzekł, — wyjść z tego pokoju to jeszcze nie wszystko...

— Kochany przyjacielu, — rzekł Porthos, — zdaje mi się, żeś w trochę lepszym humorze, niż wczoraj. Wytlumacz mi zatem, dlaczegóż to nie dosyć, aby wyjść stąd tylko?

— Dlatego, że, nie mając broni, ani hasła, nie uszlibyśmy pięćdziesięciu kroków i wpadli w ręce straży.

— Pomordowalibyśmy strażę i broń im zabrali.

— Tak, lecz przed zamordowaniem... a wierz mi, szwajcary, to twarde łby... krzyczeliby, lub chociaż jęczeli, a to sprowadziłoby cały odwach; obsadzonoby nas i wzięto jak lisy w jamie, nas, którzy za lwy uchodzimy, i rzuconoby w jakie podziemie forteczne, skąd nie widzielibyśmy nawet ołowianego nieba Reuil.

— Mojem zdaniem, uchodźmy stąd — rzekł Porthos.

— Czy wiesz, mój drogi, dlaczego pasztetnicy nigdy nie pracują własnymi rękami?

— Nie wiem, — rzekł Porthos, — lecz bardzo chciałbym się dowiedzieć.

— Ponieważ wobec czeladników swoich boją się skompromitować, przypalić jakie ciastko, zwarzyć śmietankę...

— A dalej?

— Wyśmieliby ich, a panowie majstrzy nie powinni być śmieszni, nigdy...

— Jakaż jest styczność pomiędzy nami a panami majstrami?

— Ponieważ każde przedsięwzięcie powinno nam się udać, nie zaś na wyśmianie narazić. W Anglii ostatecznie spudłowaliśmy, pobito nas, a to jest wielka plama na naszej reputacji.

— Ktoż taki nas pobił? — zapytał Porthos.

— Mordaunt.

— Tak, lecz za to utopiliśmy pana Mordaunta.

— Wiem o tem; to was reharilituje w opinii potomności, jeżeli potomność będzie się nami zajmować. Lecz po-



— słuchaj Porthosie: chociaż Mordaunt był nie do pogardzenia, Mazarini jest z wielu względów mocniejszy od Mordaunta, nie utopimy go tak łatwo. Otóż, strzeżmy się i trzymajmy ostro, albowiem, — dodał d'Artagnan z westchnieniem, — we dwóch warci jesteśmy ośmiu może, lecz nie znaczymy tyle, co tych czterech, co to wiesz...

— O prawda! — rzekł Porthos, wdychając także.

— A zatem, Porthosie, zrób tak jak ja, spaceruj i łaż wzdłuż i wszerz, dopóki nie usłyszymy o naszych przyjaciółach, lub dopóki ci jaka dobra myśl nie przyjdzie do głowy; lecz, na miły Bóg, nie śpij ciągle, jak dotąd: nic tak, jak sen, nie wpływa na ociężałość umysłu. Co się tyczy tego, co nas spotkać może, to zapewne nic tak straszniejszego, jak sądziliśmy z początku. Myślę, że Mazarini nie utnie nam głowy, bo w takim razie musiałyby wprzód proces wytoczyć; proces narobiłby hałasu, a hałas ściągnąłby naszych przyjaciół; nie pozwolą oni Mazariniemu na swoim postawić...

— Ah! jak ty ślicznie dowodzisz! — rzekł Porthos z uwielbieniem.

— O tak, wcale nieźle. — odparł d'Artagnan. — A potem, widzisz, mój drogi. jeżeli procesowi nie wytoczą, jeżeli nam łbów nie pościnają, to muszą nas tu trzymać, lub gdzieindziej przetransportować.

— Tak, muszą koniecznie, — rzekł Porthos.

— Otóż niepodobna ażeby Aramis, ten chytry szermierz, i Athos, mądry szlachcic, nie odkryli miejsca pobytu naszego. A wtedy, na honor, będzie czas na wszystko...

— Uspokoifeś mnie, d'Artagnanie.

— Zatem naśladowaj mnie i bądź wesoły; żartujmy ze strażą; bawmy żołnierzy, ponieważ nie mamy sposobu ich przekupić. Bądź z nimi przyjemny i łagodny, Porthosie, gdy przyjdą pod nasze okna. Dotąd zawsze pokazywałeś im pięść; a wierzaj mi, o ile ta pięść jest większą i wzbudzającą szacunek, o tyle mniej przyjemną przy zawieraniu przyjaznych stosunków. Ah! wielebym dał za to, by posiadać obecnie choć pięćset luidorów!

— I ja także, — rzekł Porthos, chcąc dorównać d'Artagnanowi w hojności, — ja dałbym za to... sto pisto'łów.

Dwaj więźniowie rozmawiali tak właśnie, gdy wszedł Comminges, przed nim sierżant i dwóch ludzi nieśli kolecję, w koszu pełnym półmisków.

— Panowie, — rzekł Comminges — mam dla was nowinę przyjemną!

— Czyżby pan Mazarini umarł? — zapytał Porthos.

— Nie!... choć z żalem, lecz muszę przyznać, iż zdrów jest zupełnie.

— Tem gorzej! — rzekł Porthos.

— Cóż to za nowina? — zapytał d'Artagnan. — Tak rzadki to owoc, nowina w więzieniu, iż mam nadzieję, że wybaczysz ciekawość moją, wszak prawda, panie Comminges? tembardziej, jeżeli ióbra nowina.

— Czy radbyś dowiedzieć się, że hrabia de la Fère zdrów jest?... — odparł Comminges.

Małe oczki d'Artagnana rozszerzyły się bezmiernie.

— Więcej, niż uradowany!... — zawołał — byłbym szczęśliwy!...

— Otóż, polecił mi sam, osobiście, oświadczyć wam ukłony i donieść, że zdrów jest zupełnie...

D'Artagnan omal nie podskoczył z radości. Spojrzał porozumiewająco na Porthosa, co miało znaczyć: Athos wie, gdzie jesteśmy, mówilo spojrzenie; ponieważ kazał nam się kłaniać, niedługo Athos zacznie działać.

Porthos nie celował domyślnością, lecz tym razem, wzruszony wiadomością o przyjacielu, zrozumiał odrazu.

— Mówiłeś pan — zapytał gaskończyk nieśmiało — jakoby pan hrabia de la Fère, zlecił panu pozdrowienia dla mnie i pana du Vallon?...

— Tak, panie!...

— Czy wolno zapytać, gdzie to miało miejsce?...

— Tak blisko, że gdyby okna wychodzące na oranżerję, nie były zabite deskami, moglibyście stąd go widzieć.

— Kręci się koło zamku — pomyślał d'Artagnan.

Potem głucho dodał:

— Spotkałeś go pan na polowaniu, w parku zapewne?...

— O nie, bliżej jeszcze. Patrz pan, za tą ścianą — rzekł Comminges, uderzając w mur ręką.

— Za tą ścianą?... Co tam jest?... W nocy mnie tu przyprowadzono, i niech djabli porwą, jeżeli wiem, gdzie się znajdują.

— Otóż — dodał Comminges — przypuść pan jedną rzecz...

— Przypuszczam wszystko, co pan chcesz tylko.

— Z okna tego mógłbyś zobaczyć pana de la Fère.

— Więc pan de la Fère mieszka w tym zamku?...

— Tak.

— Na jakich prawach?...

— Na takich, jak panowie.

— Athos uwięziony?...

— Wiesz pan przecie — rzekł Comminges śmiejąc się — że w Reuil nie mamy więźniów, ponieważ niema więzienia.

— Nie bawmy się grą słów, łaskawy panie; Athos aresztowany?...

— Wczoraj w Saint-Germain, gdy wychodził od królowej.

D'Artagnanowi ręce opały. Rzekłbyś, piorun w niego uderzył. Ciemna jego twarz zbladła chwilowo.

— Uwięziony!... powtórzył.

— No, no — przerwał Comminges, — nie martw się pan, nie chciałem przecie zasmucić was... Podczas wojny obecnej wszyscyśmy jutra niepewni. Śmieć się pan lepiej z trafu, który zbliżył przyjaciela waszego do ciebie i pana du Vallon, zamiasz i rozpaczć.

Przemowa ta nie odniosła skutku; d'Artagnan ciągle stał jak niezwywy.

— A jak wyglądał, jak się zachowywał?... — zapytał Porthos, który, widząc, że d'Artagnan milczy, skorzystał, by też coś powiedzieć.

— Z początku tak samo, jak panowie, zdawał się być bardzo zmartwiony, lecz jak się dowiedział, że pan kardynał odwiedzi go zaraz dziś wieczorem...

— A!... — odezwał się d'Artagnan, — pan kardynał odwiedzi hrabiego de la Fère...

— Tak jest, hrabia de la Fère, dowiedziawszy się o tem, polecił mi, bym panom powiedział, iż skorzysta z zaszczytu, jaki pan kardynał mu czyni i przedstawi łascę jego was i siebie...

— O!... drogi, kochany hrabia!... — rzekł d'Artagnan.

— Śliczna sprawa — mruzczał Porthos, — wielka łaska. Przebóg!... toż pan hrabia de La Fère, spokrewniony z Montmorencymi i Rohanami, wart tyle a może więcej, niż jakiś tam Mazarini.

— Nic to nie szkodzi, — rzekł d'Artagnan filuternie; — rozważywszy dobrze, kochany du Vallon, zawsze to wielki zaszczyt dla hrabiego de la Fère, a nadto wielce to jest

obiecujące; odwiedziny!... to nawet według mego zdania tak wielki honor dla więźnia, że chyba pan de Comminges myli się...

— Jaktor... ja się mylę?...

— Z pewnością to nie pan Mazarini pójdzie do hrabiego de La Fère, lecz hrabiego wezwą do pana Mazarniego.

— O nie, nie, — rzekł Comminges, któremu szło o to, aby dowieść, iż dobrze jest powiadomiony. — Słyszałem przecie, jak kardynał mówił do mnie, że sam pójdzie do hrabiego de La Fère.

D'Artagnan patrzył na Ponthosa, chcąc się przekonać, czy pojmuje ważność tej wizyty, lecz Porthos patrzył w inną stronę.

— Więc kardynał ma zwyczaj spacerowania po swej oranżerji?... — zapytał d'Artagnan.

— Co wieczór zamyka się w niej, — rzekł Comminges. Prawdopodobnie rozmyśla tam nad sprawami państwa.

— Kiedy tak, — mówił d'Artagnan, — zaczynam wierzyć, że Jego Eminencja odwiedzi hrabiego de La Fère; z pewnością jednak nie sam pójdzie?

— O nie, z dwoma żołnierzami.

— I rozmawiać będzie wobec dwóch obcych?

— Żołnierze ci są szwajcarami, mówią tylko po niemiecku. A może nawet za drzwiami będą oczekiwać.

— Niech się pan Mazarini strzeże. niech sam jeden nie wchodzi do hrabiego de La Fère, — rzekł d'Artagnan, — bo hrabia musi być wściekle zły.

Comminges wybuchnął śmiechem.

— Doprawdy, moi panowie, możnaby sądzić, żeście ludożercy. Pan de La Fère jest pełen ugrzecznienia, a przytem broni nie posiada. Na pierwsze zaś wezwanie Jego Eminencji nadbiegną zaraz żołnierze, nieodstępni jak zawsze.

— Dwaj żołnierze. — mówił d'Artagnan jak gdyby coś sobie przypominając; tak, dwaj żołnierze; więc to ich wołają co wieczór, a potem widzę, jak spacerują pod naszym oknem?...

— Tak, to oni, czekają na kardynała, a raczej na Bernouina, który ich przywołuje, gdy kardynał wychodzi.

— O!... proszę pana, — rzekł d'Artagnan, jak gdyby cała rozmowa do tego tylko dążyła — żeby tylko Jego

Eminencja zmiękł trochę i raczył uwolnić nas i hrabiego de La Fèrel...

— Z całego serca pragnę tego, — rzekł Comminges.

— A gdyby zapomniał o tej wizycie, czy mógłbyś mu pan przypomnieć?...

— Dlaczego nie, mogę...

— Otóż to mnie uspokaja trochę. Jeszcze o jedną łaskę, proszę cię, mój drogi panie de Comminges.

— Jestem na twoje usługi, panie d'Artagnan.

— Będziesz się zapewne widział z hrabią de La Fère?...

— Jutro rano.

— Życz mu ode mnie dnia dobrego, i powiedz, niech prosi o taką samą łaskę dla mnie, jaką otrzyma dla siebie.

— Chce pan, ażeby kardynał przyszedł tutaj?

— Nie; znam siebie i nie jestem wymagającym zupełnie. Niech Jego Eminencja raczy mnie wysłuchać, to jest wszystko, czego pragnę.

— Powiem to panu kardynałowi — rzekł Comminges.

— Zapewnij także pana hrabiego, że zdrow jestem i że znalazłeś mnie smutnym, lecz zrezygnowanym.

— Z całą przyjemnością! Adieu, panom — rzekł Comminges. — Spijcie dobrze i spokojnie

Zaledwie jednak drzwi zaniknęły się za kapitanem gwardji, d'Artagnan rzucił się do Porthosa, i ścisnął go w objęciach z wyrazem szalonej radości.

— O!.. O!... — rzekł Porthos — co ci się stało?... Czyś zwarjował, biedny przyjacielu?...

— A to się stało — rzekł d'Artagnan — żeśmy ocaleni!... Porthosie, mój przyjacielu; pułapka dla dwóch była dobra, dla trzech zaś jest za słaba.

— Nic nie rozumiem — rzekł Porthos.

— Niema potrzeby, żebyś rozumiał, siadajmy do stołu i nabierajmy sił... zdadzą się nam dziś w nocy.

— Cóż nas czeka tej nocy?... — pytał Porthos mocno zaniepokojony.

— Prawdopodobnie będziemy podróżować.

— Ale...

— Siadajmy do stołu, kochany przyjacielu, najlepsze pomysły przychodzą mi przy jedzeniu.

## ROZDZIAŁ XLV

### SILA I ROZUM

Kolacja przeszła w milczeniu, lecz wcale nie smutno, bowiem od czasu do czasu chytry uśmiech, zwykły w chwilach dobrego humoru, rozjaśniał twarz d'Artagnana. Przy deserze d'Artagnan rozparł się na krześle i bujał się z miłą człowieka zadowolonego z siebie.

— I cóż?... — odezwał się d'Artagnan po chwili.

— I cóż?... — powtórzył Porthos.

— Mówiłeś zatem, drogi przyjacielu....

— Ja?... ja nic nie mówiłem.

— Tak, prawda; aha, mówiłeś, iż masz wielką ochotę wydostać się stąd co prędzej.

— A!... co do tego, zaręczam ci, że mi na chęciach nie zbywa.

— Dodawałeś także, że dla uwolnienia się potrzeba tylko ścianę lub drzwi wywalić.

— Prawda, mówiłem, i jeszcze powtarzam to samo.

— Ja zaś odpowiadałem, że to zły sposób; o sto kroków bowiem ujętoby nas i zamordowano; chyba żebyśmy posiadali przebrania i muszkiety do obrony.

— Masz rację... potrzebujemy ubrania i broni.

— Otóż — powiedział d'Artagnan, wstając, — mamy już wszystko, przyjacielu Porthosie, a nawet coś jeszcze lepszego.

— Ba!... — rzekł Porthos, rozglądając się dokoła.

— Nie szukaj, kochanku, to próżno; wszystko to samo przyjdzie w danej chwili. O której godzinie widzimy spacerujących dwóch szwajcarów ze straży?....

— Zdaje mi się, że tak w godzinę po zapadnięciu zmroku.

— Jeżeli dziś wyjdą tak samo jak wczoraj, najwyżej kwadrans czekać będziemy na przyjemność ujrzenia ich pod oknem.

— Masz rację, najwyżej kwadrans.

— Porthosie, wszak zawsze masz równie silne ręce?

— No tak, dosyć silne.

— A zatem, mój przyjacielu, chodź:ny do okna i użyj swej siły do wyrwania jednej sztaby żelaznej... Poczekaaj, aż lampę zagaszę.

Porthos stanął przy oknie, ujął sztabę w obie ręce, uwiesił się, przyciągnął ku sobie i zgiął jak łuk, tak mocno, że oba końce wyszły z osady kamiennej, gdzie od trzydziestu lat przeszło siedziały wmurowane.

— Widzisz, przyjacielu — rzekł d'Artagnan — tego pan kardynał z całym swoim rozumem nigdy nie potrafi.

— Czy więcej trzeba wyrwać?... — zapytał Porthos.

— Dosyć, i to wystarczy: jeden człowiek przejdzie z łatwością.

— Co mam czynić teraz?..

— Nic.

— Na tem więc koniec?....

— Niezupełnie.

— A jednak chciałbym zrozumieć — rzekł Porthos.

— Posłuchaj, kochany przyjacielu w dwóch słowach ci wytłumaczę. Otwierają się drzwi odwachu, jak widzisz...

— Tak, widzę.

— Na nasze podwórze, przez które musi przechodzić pan Mazarini, udając się do oranżerji, przysła dwóch gwardzistów, ażeby mu towarzyszyli.

— Już wychodzą.

— Byleby tylko zamknęli za sobą drzwi odwachu!... Dobrze!... zamykają...

— Cóż dalej?..

— Sza!... mogliby usłyszeć!...

Porthos zamilkł i stał nieruchomy. Dwóch żołnierzy szło ku oknu, zacierając ręce, ponieważ, jak mówiliśmy, było to w lutym, i zimno było okrutnie. W tej chwili otworzyły się drzwi kordegardy, i zawołano jednego z żołnierzy. Żołnierz zostawił kolegę i powrócił na odwach.

— Cóż?... dobrze jest?... — zapytał Porthos.

— Jak nigdy — odpowiedział d'Artagnan. — Teraz

uważaj dobrze... Zawołam tego żołnierza, zacznę z nim pogawędkę, jak to wozoraj zrobiłem, pamiętasz?...

— Tak; tylko nie rozumiałem ani słowa z tego, co on mówił.

— Dlatego, że źle wymawiał. Lecz uważaj dobrze na to, co będę mówił: wszystko zależy od wykonania, Porthosie. Przywołam żołnierza, i będę z nim rozmawiał.

— Już mi to powiedziałeś!...

— Odwróć się na lewo, tym sposobem będzie on na prawo od ciebie, w chwili, gdy wejdzie na ławkę.

— A jak nie wejdzie?...

— Bądź spokojny, wejdzie. Ty zaś natychmiast wyciągnij swoją straszną łapę i za kark go uchwyc. Następnie unieś go w górę i wciągnij do pokoju; ściśnij mu jednak mocno gardło, aby nie mógł krzyżeć. I oto mieć będziemy zaraz jeden mundur i jedną szpadę.

— Wyśmienicie, cudownie!... — rzekł Porthos, patrząc na d'Artagnana z uwielbieniem — lecz...

— Co mówisz?... — odezwał się gaskończyk.

— Że jeden mundur i jedna szpada to dla dwóch za mało.

— A czyż niema towarzysza?...

— Prawda — rzekł Porthos.

— Zatem, gdy kasznę, wyciągaj rękę.

— Dobrze!...

Dwaj przyjaciele zajęli wskazane miejsca. Porthosa zakrywała framuga okna.

— Dobry wieczór, kolego — odezwał się d'Artagnan słodkim głosem.

— Topry wieczór panu — odpowiedział żołnierz.

— Wcale nie ciepło na przechadzkę — mówił d'Artagnan.

— Brrr!... — syknął żołnierz

— Sądzę, że szklaneczka wina wcaleby nie zaszkodziła.

— Szklanka fina byłaby bardzo poszondana.

— Rybka chwyta przynętę, chwyta! — mruknął d'Artagnan do Porthosa.

— Rozumiem — rzekł Porthos.

— Mam ja tu buteleczkę — ciągnął d'Artagnan.

— A pełną?...



— Pełniuteńką; ofiaruję ją koledze, jeżeli za moje zdrowie wypijesz.

— O pardzo proszę — rzekł żołnierz, przysuwając się.

— Przyjdź i weź ją, przyjacielu — dodał gaskończyk.

— Najchętniej. Zdaje się, że tam jest ławka.

— O!... mój Boże, tak; możnaby sądzić, że ją umyślnie postawiono... Wejdz na nią... Tak, dobrze... trafiłeś, przyjacielu.

D'Artagnan zakaszłał.

W tej samej chwili Porthos spuścił rękę; uchwycił pięścią żelazną, jak obcęgi, za kark żołnierza, uniósł go, ściskając za gardło, przeciągnął przez otwór, nie zważając, że może go zadusić, i złożył na podłodze.

D'Artagnan pozwolił mu tylko schwycić powietrza i zaraz go zakneblował pasem swoim i zabrał się do zdejmowania ubrania, z wprawą nabytą na polu bitwy.

— Ot jeden mundur i jedna szpada — przemówił Porthos.

— Zabieram je dla siebie — rzekł d'Artagnan. Jeśli chcesz mieć drugi mundur i szpadę, musisz zacząć na nowo. Bacność!... Otóż drugi żołnierz wychodzi z odwachu, i zmierza w tę stronę.

— Zdaje mi się — rzekł Porthos — iż byłoby nieroztropnie używać tego samego sposobu. Do razu sztuka, jak powiadają. Nie uda się i wszystko przepadło. Sam wyjdę, porwę go niespodzianie i podam zakneblowanego.

— To daleko lepiej — odrzekł gaskończyk.

— Bądź gotów — rzekł Porthos, wylażąc otworem.

Stało się, jak Porthos obiecał. Olbrzym zaczął się na drodze, któregoż żołnierz musiał przejść, złapał go za szyję, zakneblował usta, przesunął, jak mumję, przez wylamaną kratę i sam wszedł za nim. Tak samo jak pierwszego, rozebrano i drugiego.

— Otóż — rzekł d'Artagnan — udało się... Przymierzno, Porthosie, ubranie tego zucha. Wątpię, czy będzie w sam raz; na wypadek gdyby było za ciasne, nie kłopotcz się, wystarczy ci płaszcz a przede wszystkim kapelusz z czerwonymi piórami. Drugi żołnierz był na szczęście dosyć rosły, zatem oprócz kilku szwów, które popękały, reszta wcale dobrze przypadła. Przez jakąś chwilę słychać było jedynie szelest sukna; Porthos i d'Artagnan ubierali się śpiesznie.

Żołnierze leżeli spokojnie. Wiedzieli już, że niema żartów z pięścią Porthosa.

— Obecnie — rzekł d'Artagnan — miałbyś może ochotę zrozumieć, wszak prawda, Porthosie?...

— Tak, chciałbym...

— Zajmiemy miejsca tych dwóch zuchów...

— Dobrze.

Za chwilę kamerdyner zawoła żołnierzy, jak wczoraj i onegdaj.

— My odpowiadamy?...

— Nie, nie odzywamy się, nasywamy jedynie kapelusze na czoło i eskortujemy Jego Eminencję...

— Dokąd?...

— Tam, dokąd się uda, do Athosa. Czy sądzisz, że Athos rozgniewa się, gdy nas zobaczy?...

— O!... — wykrzyknął Porthos — o!... teraz zrozumiałem!...

— Wstrzymaj się z okrzykami, Porthosie, ponieważ, na moją ucziwość, daleko jeszcze do końca — mówił gaskończyk żartobliwie.

— Cóż jeszcze nastąpi?... — zapytał Porthos...

— Dalej za mną — odpowiedział d'Artagnan. — Kto nie zginie, zobaczy...

Przesunął się przez otwór i skoczył lekko na ziemię.

Porthos poszedł tą samą drogą.

Zaledwie d'Artagnan i Porthos stanęli na ziemi, gdy jakieś drzwi otworzono, a kamerdyner krzyknął:

— Służba!...

Jednocześnie z odwachu zawołano:

— La Bruyère, du Barthois, ruszajcie!...

— Okazuje się, że moje nazwisko brzmi la Bruyère — rzekł d'Artagnan.

— A moje... du Barthois — dodał Porthos.

— Gdzie jesteście?... — zapytał kamerdyner, który wyszedł ze światła i w ciemności nie był w stanie dojrzeć naszych bohaterów.

— Jesteśmy — rzekł d'Artagnan.

Następnie zwrócił się do Porthosa:

— Cóż ty na to, panie du Vallon.

— Na honor, gdyby tak dalej trwało — powiedział — rzekłbym, że nie można lepiej.

## ROZDZIAŁ XLVI

### TAJEMNICZE SKRYTKI PANA MAZARINIEGO

Dwaj zaimprovizowani żołnierze, postępowali poważnie za kamerdynerem; otworzył on im drzwi od sieni, potem drugie, które zdawały się prowadzić do sali gdzie zwykle czekali ci, co chcieli mieć posłuchanie u kardynała, a pokazując im dwa taburety rzekł im:

— Wasza służba jest bardzo prosta, wpuścicie tu jedną tylko osobę, jedną tylko, rozumiecie? nikogo więcej; tej osobie bądźcie we wszystkim posłuszni. Co do powrotu, nie macie się o co troszczyć, poczekacie aż przyjdę po was.

Kamerdyner odszedł, zamknąwszy drzwi za sobą.

— Oh! oh! — rzekł Porthos, słysząc obracający się klucz w zamku, — widzę, że tu jest moda zamykać ludzi. Zdaje mi się, żeśmy tylko zmienili więzienie; to jest zamiast tam, jesteśmy uwięzieni w pomarańczarni. Nie wiem, czy co na tem zyskamy.

— Porthosie, kochany przyjacielu, — rzekł zcicha d'Artagnan — nie wążp o Opatrzności, i pozwól mi namyślić się i rozpatrzyć.

— Myśl więc i rozpatruj — mówił Porthos zmartwiony, że rzeczy taki obrót wzięły.

— Uszliśmy osiemdziesiąt kroków, — szepnął d'Artagnan — weszliśmy po sześciu schodach; więc to tu jest ten drugi, przeciwległy naszemu, pawilon, który nazywają pawilonem pomarańczarni. Hrabia de la Fère nie powinien być stąd daleko, tylko że drzwi są zamknięte.

— Wielka mi przeszkoda!... — powiedział Porthos — jednym uderzeniem ramienia...

— Na Boga, Porthosie, mój przyjacielu — mówił zcicha d'Artagnan — czyś nie słyszał, że tu ma przyjść ktoś?

— I owszem.

— A więc ten ktoś otworzy nam drzwi.

— Ależ mój kochany — rzekł Porthos — jeśli ten ktoś poznawszy, że to my, zacznie krzyczeć, zgubieni będziemy, bo przecież, spodziewam się, nie masz zamiaru kazać mi zabić, albo zadusić członka kościoła. Takie obojętne uchodzi tylko z anglikami i z Niemcami.

— Oh! niech mnie Bóg broni, i ciebie także — odpowiedział d'Artagnan. — Młody król możeby nam był za to wdzięczny, ale królowa nie przebaczyłaby tego nigdy, a my powinniśmy ją sobie ujmować; potem krew przelana bez potrzeby — nigdy! o nigdy! Mam plan gotowy. Spuść się więc na mnie, będziemy się śmieli.

— Tem lepiej, — rzekł Porthos.

— Cicho! — szepnęła d'Artagnan — oto przybywa ten ktoś, na którego czekamy.

Słysząc było właśnie w sieni odgłos lekkiego stąpania. Zawiasy u drzwi zaskrzypiały, i ukazał się człowiek w ubraniu rycerskim, ciemnym płaszczem owinięty, miał duży kapelusz, dobrze naciśnięty na oczy i latarnię trzymał w ręku.

Porthos przysunął się do ściany, ale nie mógł się o tyle ukryć, żeby człowiek w płaszczu nie spostrzegł go; podał mu on swoją latarnię i rzekł:

— Zapal lampę wiszącą u sufitu.

A zwracając się do d'Artagnana zapytał:

— Wiecie co macie czynić?

— *Ja*, — odpowiedział gaskończyk, — który postanowił ograniczyć się na tej próbie niemieckiego języka.

— *Tedesco*, rzekł rycerz. *Va bene*.

A postępując ku drzwiom, będącym naprzeciw tych, którymi wszedł, otworzył je i znikł zamykając za sobą.

— A teraz — rzekł Porthos — cóż uczynimy.

— Przyszedł czas zastosowania siły twoich ramion. Pchaj, przyjacielu Porthosie, ale cichutko, bez trzasku; nie wyważaj, rozdziel tylko podwoje.

Porthos oparł potężne ramię na jednej połowie drzwi, które się wygięły, a wtedy d'Artagnan wsunął koniec

szpady w otwór, podważył rygiel i drzwi stanęły otworem.

— Nieraz ci przecież mówiłem, przyjacielu Porthosie, że łagodnością wszystko można zrobić z kobietą i drzwiami.

— Nikt temu nie zaprzeczy, że wielki z ciebie moralista — odezwał się Porthos.

— Naprzód — rzekł d'Artagnan.

Weszli. Poza oszklonem przepierzeniem latarnia kardynała, postawiona na środku galerji, oświecała rzędem ustawione drzewa pomarańczowe i granaty, tworzące główną ulicę i dwie mniejsze cieplarnie zamku de Reuil.

— Ani śladu kardynała — odezwał się d'Artagnan — latarnia tylko po nim została... gdzie on jest u djabła?

I, dając znak Porthosowi, aby zwiedził jedną z bocznych ulic, sam w drugą się zapuścił i ujrzał nagle jeden z wazonów wysunięty z rzędu, a na jego miejscu odsłonięty w podłodze otwór. Do poruszenia z miejsca tego wazonu dziesięciu ludzi wystarczyłoby za ledwie, lecz obracał się on widocznie za pomocą jakiegoś mechanizmu razem z taflą, na której był ustawiony. W otworze tym d'Artagnan dostrzegł kręcone schodki, prowadzące nadół. Przywołał skinieniem ręki Porthosa i pokazał mu to tajemne wejście. Oba spojrzeli po sobie mocno zmieszani.

— Gdybyśmy tylko złota pragnęli — szepnął d'Artagnan — mielibyśmy go pod dostatkiem zostając bogatymi na całe życie.

— Jakim sposobem?

— Czyż nie rozumiesz, Porthosie, iż tam na dole, według wszelkiego prawdopodobieństwa spoczywają owe sławne skarby kardynała i dość nam byłoby zejść tam, wypróżnić skrzynię, zamknąć w niej na dwa spusty kardynała i wynieść się, zabierając tyle złota, ile udźwignąć bylibyśmy w stanie, i wazon ustawić na miejscu, a niktby nie mógł nas zapytać, sam nawet kardynał, skąd na nas spadła taka olbrzymia fortuna?

— Byłaby to gratka dla chłopstwa — odparł Porthos — lecz szlachty niegodna, o ile mi się zdaje.

— Zgadzam się z tobą zupełnie — rzekł d'Artagnan — powiedziałem też: gdybyśmy złota pragnęli tylko... lecz nam czego innego potrzeba. I, pochyliwszy się nad otworem, posłyszał dźwięk metaliczny, jakby poruszonego worka ze złotem; zadrżał. Naraz doszedł jego uszu od-

głos zamykających się drzwi i na najniższych stopniach schodów ukazało się mdłe światełko.

Mazarini zostawił latarnię w cieplarni, jakgdyby przechadzał się po niej. Świeczkę zaś woskową miał ze sobą dla przyjrzenia się skarbowi, zamkniętem w skrzyni.

— He!... — mruzczał do siebie po włosku, niosąc pod górę worek, wypchany realami, z utkwionym w nim wzrokiem — he! będzie czem opłacić pięciu radców parlamentu i dwóch generałów Paryża. Ja także jestem wodzem znakomitym; ale wojnę prowadzę na swój sposób...

D'Artagnan i Porthos ukryli się każdy z osobna w bocznych alejach za wazonami i czekali.

O trzy kroki od d'Artagnana Mazarini nacisnął ukrytą w murze sprężynę. Wazon, razem z płytą, na której był umieszczony, powrócił z wolna na miejsce.

Wtedy kardynał, zdmuchnąwszy świeczkę, schował ją do kieszeni i, biorąc latarnię z ziemi:

— Teraz odwiedzimy pana de La Fère — rzekł.

— Tego nam właśnie potrzeba — pomyślał d'Artagnan — pójdziemy razem.

Wszyscy trzej ruszyli z miejsca, Mazarini środkową, a d'Artagnan i Porthos bocznymi alejami. Potem zwrócił na lewo, i zapuścił się w korytarz, którego d'Artagnan i Porthos nie zauważyli, lecz stanął zamyślony.

— A! diavolo!... — rzekł — zapominam, co mi Comminges zalecił. Należało wziąć ze sobą żołnierzy i postawić ich tutaj, idąc do tego szaleńca. Chodźmy.

I niecierpliwym ruchem zawrócił.

— Nie trudź się, Eminencjo — przemówił d'Artagnan z całą dworskością, z kapeluszem w rękę i nogą naprzód wystawioną — krok w krok za waszą Eminencją postępowaliśmy i oto jesteśmy.

— Tak, jesteśmy na usługi — powtórzył Porthos.

I przybrał tę samą pełną uprzejmości postawę.

Mazarini spojrział na obydwóch błędnymi oczyma, poznał ich nareszcie i wydał głuchy jęk przerażenia.

— Pan d'Artagnan! — wyszeptał.

— Nie mylisz się, monsinjorze, to ja jestem i mam zaszczyt przedstawić ci pana du Vallon, mojego dobrego przyjaciela, którym Wasza Eminencja raczyłeś niegdyś zajmować się tak bardzo.

I skierował światło latarni na rozradowane oblicze Por-

thosa, poczynającego pojmować i dumnym być z tego, co zaszło.

— Eminencjo, szedłeś do pana de la Fère?... — ciągnął d'Artagnan. — Nie zważaj na nas, monsiniorze. Zechciej wskazać nam drogę, a pódziemy za tobą.

Mazarini zwolna wracał do przytomności.

— Czy dawno jesteście, panowie, w cieplarni?... — zapytał drżącym głosem, myśląc o swoich odwiedzinach ukrytego skarbu.

— Tylko co tu przyszliśmy, monsiniorze — odparł d'Artagnan.

Mazarini odetchnął: pozbył się obawy o swoje skarby; lękał się tylko o siebie. Coś nakształt uśmiechu przemknęło mu po ustach.

— A zatem wpadłem w waszą zasadzkę, panowie, i uznaję się za zwyciężonego. Żądacie, bym was wypuścił na wolność, wszak prawda? Zgadzam się na to.

— O! zbyt łaskaw jesteś, monsiniorze — odparł d'Artagnan — lecz my już jesteśmy wolni, i czego innego chcemy żądać od ciebie.

— Wolni jesteście?... — odezwał się z przerażeniem Mazarini.

— Bez wątpienia, gdy przeciwnie ty, monsiniorze, jesteś w niewoli i teraz, jak chce prawo wojenne, idzie o to, abyś się wykupił.

Mazariniego dreszcz przejął aż do szpiku kości. Bystry jego wzrok daremnie świdrował drwiące oblicze gaskończyka i obojętną twarz Porthosa.

Stali obaj w cieniu, a nawet Sybilla kumejska nicby z oblicza ich wyczytać nie była w stanie.

— Wolność moją okupić!... — powtórzył Mazarini.

— Tak, monsiniorze.

— A ileż mnie to ma kosztować, panie d'Artagnan?

— Nie wiem jeszcze, monsiniorze. Zapytamy hrabiego de La Fère, jeżeli zechcesz na to zezwolić, Eminencjo. Racz tylko otworzyć drzwi, prowadzące do niego, a za dziesięć minut cena zostanie oznaczona.

D'Artagnan dał znak Porthosowi, aby podwoił baczność, a następnie, zwracając się do Mazariniego, rzekł:

— Monsiniorze, wejdźmy, jeżeli łaska.

## ROZDZIAŁ XLVII

### U K Ł A D Y

Mazarini odsunął rygle podwójnych drzwi i zastał na progu Athosa, gotowego na przyjęcie odwiedzin znakomitego gościa, jakiego zapowiedział mu Comminges.

Na widok Mazariniego, skłonił głowę.

— Wasza Eminencja mogłaby się obejść bez straży — rzekł — zbyt wielkim jest zaszczyt, jaki mnie spotka, abym choć na chwilę mógł o nim zapomnieć.

— To też, drogi mój hrabio — odezwał się d'Artagnan — Jego Eminencja niekoniecznie życzył sobie naszego towarzystwa: tylko du Vallon i ja bardzośmy o to prosili, może nawet w sposób niekoniecznie przystojny, ale pragnęliśmy cię ujrzeć.

Na ten głos z drwiącym tonem i na tak dobrze znany mu ruch, towarzyszący tym słowom, Athos skoczył z podziwu.

— D'Artagnan! Porthos!... — wykrzyknął. — Co to ma znaczyć?...

— To ma znaczyć — odparł Mazarini, próbując znowu uśmiechu a zarazem zagryzając wargi — to ma znaczyć, że role zostały zamienione i że ci panowie, zamiast być moimi więźniami, mają mnie za jeńca; i zamiast dyktować im prawa, zmuszony się widzę stosować do nich najściślej. Ostrzegam was, panowie, że chyba uśmiercić mnie zechcecie, w przeciwnym bowiem razie zwycięstwo wasze niedługo potrwa; przyjdzie kolej i na mnie; a wtedy...

— O! monsiniorze — przerwał mu d'Artagnan — na co te groźby; zły przykład dajesz. Wszak obchodzimy się z Waszą Eminencją tak łagodnie i uprzedzająco! Na bok



z dąsami, na bok wszelkie urazy, pogawędźmy grzeczniutko.

— Z całą przyjemnością, panowie — rzekł Mazarini — nie chcę jednak, abyście w ciwili rozprawy nad moim okupem przesadzali korzyści waszego położenia, gdyż biorąc mnie w sidła, samiście wraz zemną w nie wpadli.

Jakże wyjdziecie stąd? Spójrzcie na kraty, spójrzcie na bramy, a raczej pomyślcie o wartach, które czuwają poza bramami i kratami temi, o żołnierstwie, co dziedzińce zapełnia, a teraz wejdźmy w układy. Słuchajcie, pragnę wam pokazać, iż jestem prawym człowiekiem.

— Dobryś!... — pomyślał d'Artagnan — trzymajmy się ostro, bo inaczej spleta on nam figła.

— Ofiarowałem wam wolność — ciągnął dalej minister — i ofiarowuję ją jeszcze. Przyjmujecie ją? Zanim upłynie godzina, zostaniecie odkryci, zaaresztowani i zmuszeni mnie zabić, co by było zbrodnią niesłychaną i niegodną tak zacnej szlachty, jaką jesteście.

— My też — odezwał się d'Artagnan — gwałtu tego możemy się dopuścić jedynie w ostateczności.

— Przeciwnie zaś — ciągnął Mazarini — gdy pozostawicie mnie w spokoju, przyjmując swoje uwolnienie...

— Jakże to — przerwał mu d'Artagnan — chcesz, monsiorze, abyśmy z wolności naszej korzystali, jeśli pozbawić jej nas możesz, jak sam to powiedziałeś, w pięć minut po jej udzieleniu? A, o ile cię znam, Eminencjo, zrobiłbyś to na pewno.

— A... — rzekł Mazarini — jeżeli zapewnię wam bezpieczeństwo w sposób niezbity, dotykalny?...

— A! to co innego — odezwał się Porthos.

— Słuchamy — rzekł Athos.

— Słuchamy — powtórzył d'Artagnan.

— Najpierw, czy przyjmujecie?... — zapytał kardynał.

— Wyjaśnij swój plan, monsiorze, a zobaczymy.

— Zważcie, że jesteście zamknięci, pochwyceni.

— Wiesz dobrze, monsiorze — rzekł d'Artagnan, że pozostaje nam zawsze ostatnia ucieczka.

— Jaka?

— Umrzeć razem.

Mazarini się wstrząsnął.

— Słuchajcie — rzekł — w końcu korytarza znajdują

się drzwi, od których klucz mam przy sobie, drzwi te prowadzą do parku. Ruszajcie z tym kluczem. Jesteście ostrożni, silni i uzbrojeni. Uszedłszy w lewo sto kroków, znajdziecie mur, otaczający park; przesadzicie go i w trzech skokach znajdziecie się na drodze, wolni jak ptaki. Teraz znam was już dosyć, i wiem, że choćby was napadnięto, nie znajdziecie w tem żadnej przeszkody do ucieczki.

— A! przebóg! monsiniorze — odezwał się d'Artagnan — zechciej nas sam do tych drzwi doprowadzić!

— Jak najchętniej — odparł minister — jeżeli to Ma waszej spokojności potrzebne.

Mazarini, nie spodziewając się, aby mu tak łatwo poszło, rozpromieniony cały wszedł do korytarza, i otworzył drzwi, o których mówił. Istotnie prowadziły one do parku, wiatr bowiem ze śniegiem wpadł do korytarza, wionąwszy na twarze naszych trzech zbiegów, co ich upewniło o prawdziwości słów kardynała.

— O... do diabła!... — mruknął d'Artagnan — paskudna noc, monsiniorze. Nie znamy miejscowości i w żaden sposób nie znajdziemy drogi. Skoro Wasza Eminencja tyle już zrobiłaś aby tutaj przyjść z nami, jeszcze kilka kroków, monsiniorze... doprowadź nas do muru.

— Zgoda — rzekł kardynał.

I wpoprzek drogi, szybkim krokiem szedł w stronę muru, u którego znaleźli się za chwilę.

— Zadowoleni jesteście, panowie?... — zagadnął Mazarini.

— Ja myślę, że zbytecznie bylibyśmy wybredni! Peste! jakież to zaszczyt trzech chudych szlachciców, eskortowanych przez księcia kościoła! Ale! ale! monsiniorze, przed chwilą mówiliś, że jesteśmy dzielni, przezorni i uzbrojeni?

— Tak.

— Mylisz się, Eminencjo, jeden tylko du Vallon i ja uzbrojeni jesteśmy; pan hrabia zaś jest z gołemi rękami, a na wypadek spotkania z patrolem, musimy mieć się czem bronić.

— Aż nadto słusznie.

— Skądże weźmiemy szpady?... — zapytał Porthos.

— Monsinior pożycz mi szpadę, boć mu ona wcale nie potrzebna — rzekł d'Artagnan.

— Z miłą chęcią — odezwał się kardynał — będę na-

wet prosił pana hrabiego, aby zechciał ją zachować na pamiątkę.

— Teraz, Athosie, wspinaj się, żywo — rzekł d'Artagnan.

Athos przy pomocy Porthosa, który porwał go jak piórko, znalazł się na zwierzchniej płaszczyźnie muru.

— A teraz skacz, Athosie.

Athos skoczył i zniknął po drugiej stronie muru.

— Teraz ja się drapię, Porthosie; nadstaw mi swoje plecy, nie puszczając pana kardynała.

— Trzymam go.

Porthos nadstawił plecy d'Artagnanowi, który dzięki tej pomocy znalazł się w jednej chwili na wierzchołku muru, jak na koniu.

Mazarini udawał, że się śmieje.

— Jesteś już?... — zapytał Porthos.

— Tak, przyjacielu, a teraz...

— Teraz co?

— Teraz podaj mi pana kardynała, a gdyby miał ochotę krzyknąć, uduś go natychmiast.

Mazarini chciał zawołać; lecz Porthos oburącz go schwycił i podrzucił d'Artagnanowi, który, porwawszy go za kołnierz, koło siebie posadził. Następnie groźnie do niego przemówił:

— Panie, natychmiast zeskakuj nadół, tam do pana de la Fère, albo, słowo szlacheckie, zabiję!

— Monsou, monsou — zawołał Mazarini — nie dotrzymujesz przyrzeczenia.

— Ja? monsiniorze, czyż obiecywałem ci cokolwiek?

Mazarini jęknął.

— Panie — rzekł — jesteś wolnym, a wolność twoja była moim okupem.

— Zgoda; lecz gdzie okup za ten niezmierny skarb, zagrzebany w galerji, do którego się schodzi, naciskając ukrytą w murze sprężynę, jaką odsuwa wazon osłaniający schody? czy nie należałoby o tem pomówić trochę, monsiniorze?

— Jezu!... — jęknął Mazarini, krztusząc się i składając ręce — Jezu, mój Boże! jestem zgubiony!...

D'Artagnan wziął go pod pachy i spuścił leciutko na ręce Athosa, który obojętnie stał pod murem.

Wtedy, zwracając się do Porthosa:

— Uczep się mojej ręki — zawołał d'Artagnan — ja mocno trzymam się muru.

Porthos zrobił wysiłek, od którego aż mur zatrzeszczał i znalazł się także na jego wierzchołku.

— Panowie, dotrzymujcie kardynałowi towarzystwa — odezwał się d'Artagnan — a ja pójdę wy badać grunt.

Dobyl szpady i ruszył naprzód.

— Monsiniorze — rzekł — któredy iść należy, aby dostać się do gościńca? Zanim odpowiesz, rozważ należycie; bo gdybyś, Eminencjo, omylił się wypadkiem, pociągnęłoby to za sobą ważne niedogodności nietylko dla nas, lecz i dla ciebie, monsiniorze.

— Idź pan wzdłuż muru — rzekł Mazarini — a nie zabłądzisz z pewnością.

Trzej przyjaciele podwoili kroku, lecz wkrótce zmuszeni byli zwolnić; kardynał, pomimo najlepszych chęci, nie mógł za nimi nadążyć!

Naraz d'Artagnan natknął się na coś ciepłego, a to coś poruszyło się.

— Patrzcie!... — zawołał — koń!... konia znalazłem, panowie!

— I ja także!... — odezwał się Athos.

— I ja też!... — rzekł Porthos, wierny nakazowi nie wypuszczania z ręki kardynała.

— To się nazywa szczęście, monsiniorze — przemówił d'Artagnan — w chwili, gdy Wasza Eminencja uskarżała się, iż musi iść pieszo...

Nie dokończył tych słów, gdy lufa pistoletu dotknęła jego piersi i ktoś z powagą odezwał się:

— Nie ruszaj!

— Grimaud!... — wykrzyknął — Grimaud! co ty tu robisz? Niebo cię nam zsyła!

— Nie, panie — odparł zacny sługa — to pan Aramis kazał mi pilnować koni.

— Więc i Aramis jest tutaj?

— Tak, panie, od wczoraj.

— A co tu robicie?

— Stoimy na czatach.

— Ilu was jest?

— Sześćdziesięciu.

— Daj mu znać.

— Natychmiast, panie.

## ROZDZIAŁ XLVIII

### GDZIE POCZYNAMY WIERZYĆ, IŻ PORTHOS BĘDZIE NARESZCIE BARONEM, A D'AR- TAGNAN KAPITANEM.

Po upływie dziesięciu minut nadszedł Aramis. Uszczęśliwiony rzucił się na szyję swoich przyjaciół.

— Bracia moi! wolni jesteście nareszcie! wolni bez mojej pomocy! nic więc dla was uczynić nie mogłem, pomimo wszelkich wysiłków!...

— Nie trap się tak, przyjacielu drogi. Co się odwlecze, nie uciecze. Jeżeli nie mogłeś teraz, przyjdzie czas na to.

— Jednakże byłem dobrze przygotowany, na wszystko — rzekł Aramis. — Sześćdziesięciu ludzi otrzymałem od koadjutora; dwudziestu strzeże muru parku, tyłuż drogi z Reuil do Saint-Germain, a reszta rozproszona w zaroślach. Dzięki tym rozporządzeniom strategicznym przejąłem dwie depesze Mazariniego do królowej.

Mazarini nadstawił uszu.

— Lecz mam nadzieję — rzekł d'Artagnan — iż z całą względnością odesłałeś je panu kardynałowi?

— A! zapewne!... — zaśmiał się Aramis — właśnie też z nim zażywałbym tyle grzeczności! W jednej z tych depesz, oświadcza kardynał królowej, że skarb pusty a Jej wysokość nie ma wcale pieniędzy; w drugiej zawiadamia, że więźniów swych do Melun przeniesie, gdyż Reuil nie wydaje mu się dość pewną miejscowością. Pojmujesz, że ten ostatni list natchnął mnie nadzieją. Stałem na czatach z moimi ludźmi i czekałem na ukazanie się wasze; liczyłem na nie, nie wcześniej jak jutro rano; nie sądziłem, aby uwolnienie wasze obeszło się bez utarczki. Dziś wolni

jesteście, wolni bez walki, tem lepiej! Jakim sposobem wymknęliście się temu tchórzowi Mazariniemu? Musiał on wam dopiec nielada.

— Nie za bardzo — odparł d'Artagnan.

— Doprawdy!

— Co więcej, powiem nawet, że zasłużył na naszą pochwałę.

— Niepodobna!

— Monsiniorze — przemówił d'Artagnan, nie będąc w stanie panować dłużej nad sobą — pozwól niech ci przedstawię pana kawalera d'Herblay, który, jak słyszałeś, pragnie złożyć swoje pełne szacunku powinszowania Waszej eminencji.

I usunął się na bok, odsłaniając zawstydzonego kardynała pełnym zdziwienia oczom Aramisa.

— O! o!... — wykrzyknął tenże — kardynał? Piękna zdobycz! Hola! przyjaciele! koni! koni!

Nadbiegło kilku jeźdźców.

— Panie hrabio! panie hrabio!... — wołał głos młody i świeży, na który Athos zadrżał.

— Raul! Raul!... — wykrzyknął hrabia de la Fère.

Młodzieniec zapomniał na chwilę o względach przynależnych: rzucił się w ojcowskie ramiona.

— Patrz, panie kardynale, czyżby to nie szkoda była rozdzielać ze sobą ludzi, którzy się tak, jak my, kochają! Panowie — przemówił Aramis do jeźdźców, których coraz więcej napływało — panowie, otoczcie Jego Eminencję, aby mu cześć przynależną oddać: zgadza się on sprawić nam przyjemność swoim towarzystwem; spodziewam się, iż za ten zaszczyt potraficie mu się odwdziżyć. Porthosie, nie spuszczaaj z oczu Jego Eminencji. Dalej, w drogę!...

— A dokąd?... — zapytał Porthos.

— Do ciebie, do Pierrefonds, drogi przyjacielu; piękny twój zamek godzien jest ofiarować Jego Eminencji swoją magnacką gościnność.

— Jedźmy, monsiniorze, będziesz przyjęty tak, jak książę, którym być nie przestałeś.

— Książę upadły — płaczliwie rzekł Mazarini.

— Wojna ma swoje prawa, monsiniorze — rzekł Athos — lecz bądź przekonany, iż nie nadużyjemy ich bynajmniej.

— Użyjemy ich tylko — odezwał się d'Artagnan.

Resztę nocy pędzili zdobywcy z tą samą, co niegdyś niezmordowaną szybkością; Mazarini, zamyślony i ponury, brał udział bezwiednie prawie w tym wyścigu jakoby widm zaświatowych; w Emernoville eskorta została; czterej przyjaciele zaś, zmieniwszy tylko konie, pędzili z nowym zapalem, eskortując pana Mazariniego.

W południe byli już we wjazdowej alei zamku Porthosa.

— Czterech nas jest — rzekł d'Artagnan do towarzyszy — będziemy się zmieniali w pilnowaniu kardynała, a każdy z nas trzy godziny przy nim będzie.

Athos zbada zamek, który na'eży wzmacnić na wypadek oblężenia, Porthos czuwać będzie nad zaopatrzeniem go w żywność, Aramis zaś obejmie dowództwo nad załogą; czyli Athos będzie głównym inżynierem, Porthos dostawcą ogólnym, a Aramis komendantem placu.

Tymczasowo osadzono Mazariniego w najpiękniejszej części zamku.

— Panowie — rzekł on po ukończonej instalacji — przypuszczam, iż nie zamierzacie długo mnie tu trzymać w ukryciu?

— Bynajmniej, monsiniorze, a nawet wprost przeciwnie, mamy zamiar ogłosić niebawem, iż cię tu trzymamy.

— To zostaniecie oblężeni.

— Liczymy na to.

— I cóż wtedy zrobicie?

— Będziemy się bronili. Ale przed bitwą milczkiem przewieziemy monsiniora do innego zamku pana du Vallon, a on ma trzy takich, jak ten. Nie chcemy narażać Waszej Eminencji na niebezpieczeństwa wojny.

— Co robić — odezwał się Mazarini — widzę, iż jestem zmuszony poddać się.

— Przed oblężeniem?

— Tak, być może, iż lepiej będzie wejść w układy.

— A! monsiniorze, co do warunków, przekonasz się jak mało wymagający jesteśmy.

— Jakież to warunki, ciekawy jestem?

— Monsiniorze — odezwał się Athos — dla siebie nie mam żadnych, lecz dla Francji mam ich aż nadto wiele. Wylączęm się zatem, i ustępuję głosu panu kawalerowi d'Herblay.

I, złożywszy ukłon, Athos cofnął się i stanął wsparty o kominek.

— Mów zatem, kawalerze d'Herblay — rzekł kardynał. — Cóż mi powiesz? Ty, ko bez czczej gadaniny, bez dwuznaczników. Krótko i węzł wato.

— Ja, monsiniorze, gram w odkryte karty. Mam w kieszeni program warunków, jakie przedwczoraj w Saint-Germain przedstawiła ci, monsiniorze, deputacja, do której należałem. Najsampierw uszanujmy prawa starożytne; żądania zanoszone, według programu, muszą być wysłuchane.

— Dalej żądam, monsiniorze, aby Normandję i pięćset tysięcy liwrów dano pani de Longueville wraz z pcną i bezwarunkową amnestję. Żądam, aby Jego Wysokość król raczył być ojcem chrzestnym syna, którego powiła świeżo; nakoniec, abyś monsiniorze, dopełniwszy ceremonji chrztu tego, udał się do naszego Ojca Świętego papieża dla złożenia mu swojej czołobitności.

— To znaczy, abym zrzekł się stanowiska ministra, opuścił Francję i skazał się na wygnanie?

— Żądam, monsiniorze, abyś za pierwszym wakansem został papieżem, zastrzegając sobie natenczas możność domagania się u Waszej Eminencji, udzielenia odpustów dla mnie i moich przyjaciół.

Mazarini dziwnie jakoś wykrzywił usta.

— A pan?... — zapytał d'Artagnana.

— Ja, monsiniorze?... — odparł gaskończyk — zgadzam się co do joty, ze zdaniem kawalera d'Herblay, prócz warunku ostatniego, co do którego różnię się z nim najzupełniej.

— Dalekim będąc od tego, abyś monsiniorze, Francję opuszczał, żądam, abyś został w Paryżu; zamiast papieżem, chcę, abyś pozostał nadal pierwszym ministrem, gdyż monsinior jest wielkim politykiem. Postaram się nawet, o ile ode mnie zależeć będzie, abyś nad całą Frondą wziął górę; lecz pod warunkiem, iż pamiętać będziesz, Eminencjo, o wiernych sługach królewskich, i że komuś, kogo ja wskażę, oddasz pierwszą kompanję muszkieterów. A teraz ty, du Vallon?

— Tak, na ciebie kolej, panie — odezwał się Mazarini.

— Ja — rzekł Porthos — chciałbym, aby pan kardynał, dla uczczenia mego domu, który udzielił mu schronienia,



zechciał łaskawie, przez pamięć na to zdarzenie, podnieść  
ziemię moję do godności baronostwa, z przyrzeczeniem  
oznaki rycerskiej dla jednego z moich przyjaciół, za  
pierwszą promocją, jaką Jej Królewska Mość wyznaczy.

— O ile mi się wydaje, wszystko to bardzo niedobrze  
się składa, moi panowie, — odparł Mazarini — bo, gdy  
zadowolę jednych, drugich nieuniknienie obrażę. Jeżeli  
zostanę w Paryżu, nie mogę jechać do Rzymu, gdy mam  
być papieżem, temsamem przestaję być ministrem, a go-  
dność tę złożywszy, nie mogę pana d'Artagnana uczynić  
naczelnym wodzem muszkietarów, a pana du Vallon ba-  
ronem.

— To prawda — odezwał się Aramis — a jako stano-  
wicy mniejszość, cofam propozycję moją, dotyczącą po-  
dróży do Rzymu oraz dymisji monsiniora.

— Więc zostaję nadal ministrem?... — odezwał się Ma-  
zarini.

— Zostajesz nim nieodwołalnie, monsiniorze — rzekł  
d'Artagnan — Francja cię potrzebuje!...

— A ja odstępuję od roszczeń moich — wtrącił Ara-  
mis. — Jego Eminencja zostanie pierwszym ministrem,  
a nawet ulubieńcem Jej Królewskiej Mości, jeśli zgodzi  
się na to, czego dla siebie wymagamy.

— Zajmujcie się sobą, panowie, a Francję pozostaw-  
cie, niechaj ułoży się ze mną, jak będzie uważała za sto-  
sowne — rzekł Mazarini.

— O! co nie, to nie!... Oto jest! monsiniorze — rzekł  
Aramis — traktat, przedstawiony przez deputację frondy-  
stów; zechciej Eminencjo odczytać go i rozważyć.

— Znam go.

— Podpiszesz go zatem.

— Zważcie, panowie, że podpis, położony w okoliczno-  
ściach takich, w jakich się znajdujemy obecnie, mógłby  
być uważany za wymuszony.

— Ale ty, monsiniorze, powiesz, iż dany był dobro-  
wolnie.

— Jakżeż teraz niepokoić się muszą w Reuil i w Saint-  
Germain!... — mówił Aramis — jak tam jeden drugiego  
pytać musi, gdzie kardynał, co się z ministrem stało, gdzie  
się podział ulubieniec?... Jak tam po wszystkich kątach  
szukają! ile tam komentarzy, a jeżeli Fronda dowiedzia-  
ła się o zniknięciu monsiniora, o! to musi tryumfować!...

— Okropnie!... — wyszeptał Mazarini.

— Podpisz więc traktat, monsiniorze — mówił Aramis.

— A jeśli ja podpiszę, a królowa odmówi potwierdzenia?

— Ja podejmuję się jechać do królowej — odezwał się d'Artagnan — i potwierdzenie otrzymać. Wiem o rzeczach dość — ciekawych. Naprzykład skarb w cieplarni — to może wpłynie na królową.

— Dość już, dość! mój panie — wyszeptał kardynał — Gdzie jest traktat?...

— Tutaj — rzekł Aramis.

— Widzisz, monsiniorze, iż jesteśmy wspaniałomyślni — przemówił d'Artagnan — gdyż z pomocą tej tajemnicy wielu rzeczy dokazaćbyśmy mogli.

— A zatem podpisz, Emincncjo — rzekł Aramis, podając mu pióro.

Podniósł się Mazarini, chwilę przechadzał się, zamysłony więcej, niż przybity. Naraz, zatrzymując się nagle:

— A gdy już podpiszę, panowie, jakąż będzie moja gwarancja?

— Moje słowo honoru, panie — odezwał się Athos.

Mazarini zadrżał, obejrzał się na hrabiego de la Fère, wpatrzył się chwilę w to szlachetne i prawe oblicze, a biorąc pióro do ręki:

— To mi wystarczy, panie hrabio — rzekł.

I podpisał.

— A teraz, panie d'Artagnan — dodał — przygotuj się w podróż do Saint - Germain, aby zawieźć list mój do królowej.

## ROZDZIAŁ II

### JAK PIÓREM I GROŻBĄ, WIĘCEJ, NIŻ SZPADĄ I POŚWIĘCENIEM, DOKONAĆ MOŻNA

D'Artagnan ułożył system podróży szybkiej i pewnej wyprawivszy naprzód konie rozstawne do Chantilly, tak, żeby w przeciągu sześciu godzin mógł stanąć w Paryżu.

Lecz zanim wyruszył, zastanowił się, iż, jak na człowieka sprytnego i doświadczonego, pozycja jego była dość dziwna, pędzić tak na niepewne, pozostawiając za sobą stanowcze zwycięstwo.

— Istotnie — pomyślał w chwili, gdy miał już siadać na konia dla spełnienia tego, niezbyt bezpiecznego, posłannictwa. — Athos pod względem szlachetności jest istnym bohaterem romansu, Porthos, uczciwa natura, lecz łatwo podlegająca wpływom; Aramis, to hieroglificzne oblicze, czyli nic z niego wyczytać nie można. Kto wie, czy kardynał się im nie wymknie?...

Poszedł do Aramisa.

— Ty jesteś, drogi kawalerze d'Herblay, — rzekł mu — uosobieniem prawdy. Nie ufaj więc zbyt wiele Athosowi, który niczyjemi a nawet swojemi własnymi sprawami nie chce się zajmować. A przede wszystkim strzeż się Porthosa, który dla przypodobania się hrabiemu, będącemu jego bóstwem na ziemi, pomoże mu do ucieczki kardynała, jeżeli Mazariniemu przyjdzie do głowy płakać lub bawić się w rycerskość.

Uśmiechnął się Aramis z miną, pełną pewności siebie.

— Niczego się nie lękaj, — odparł on, — mam ja swoje warunki do postawienia. Nie dla siebie, ale dla innych pracuję, a postanowiłem dopiąć swego celu na korzyść tych, którym z prawa się to należy.

— Dobrze — pomyślał d'Artagnan — z tej strony jestem już spokojny. — Uścisnął Aramis i do Porthosa poszedł.

— Przyjacielu, — rzekł mu, — cobyś na to powiedział, gdyby zaproponowano ci uwolnienie Mazariniego?

— Ależ powiedziałbym, że zawiele kosztowało nas pochwycenie, aby go tak łatwo wypuścić.

— Brawo! Porthosie, i miałbyś słuszość przyjacielu; z nim razem bowiem wymknęłoby ci się baronostwo, które masz w rękę; nie licząc już, że gdyby Mazarini wydostał się stąd, kazałby cię natychmiast powiesić.

— Masz tobie!... tak sądzisz?...

— Przekonany jestem.

— To jabym pozabijał raczej wszystkich, zanimbym go wypuścił.

— I dobrzebyś zrobił. Pojmujesz, iż nie idzie tu o to, byśmy ubijając swój własny interes, nie mieli także na względzie sprawy frondystów, którzy wreszcie nie są tak biegli w kwestjach politycznych, jak my, stare wiarusy.

— Nie obawiaj się, drogi przyjacielu, — rzekł Porthos; — popatrzę tylko przez okno, jak będziesz siadał na konia i nie ruszę się, dopóki mi z oczu nie znikniesz. następnie usadawiam się przy drzwiach kardynalskich, i za najmniejszym ruchem podejrzanym zgładzę go z tego świata.

— Brawo!... — pomyślał d'Artagnan, — z tej strony kardynał będzie należycie strzeżony.

Uścisnął więc rękę dziedzica Pierrefonds i poszedł do Athosa.

— Odjeżdżam, drogi Athosie — rzekł; — jedno ci tylko mam do powiedzenia: ty znasz Annę Austrjacką; życie moje zabezpiecza jedynie niewola Mazariniego; uwalniając go, skazujesz mnie na niechybną śmierć.

— Jedyny ten wzgląd mi wystarcza, drogi mój d'Artagnanie, bym zgodził się na pełnienie rzemiosła stróża więziennego. Masz moje słowo, iż za twoim powrotem zastaniesz kardynała na miejscu.

— To więcej pewności mi daje, niż wszelkie królewskie podpisy, — mówił w duchu d'Artagnan. — Mając słowo Athosa mogę odjechać w spokoju.

W sześć godzin po wyjeździe z Pierrefonds, stanął wśród murów Saint - Germain.

Nic jeszcze nie wiadano o zniknięciu Mazariniego; jedna tylko Anna Austriacka znała stan rzeczy, lecz niepokój swój przed najbliższymi nawet ukrywała starannie.

W pokoju d'Artagnana i Porthosa odnaleziono związanych żołnierzy.

Powrócono im natychmiast władze ruchów i słowa; lecz ci nic więcej powiedzieć nie mogli nad to, jak że zdradziecko wciągnięto ich przez okno, rozbrojono i związane.

Lecz co potem Ponthos z d'Artagnanem zrobili, wyszedłszy tędy, którędy oni się tu dostali, tego wiedzieć nie mogli, narówni ze wszystkimi mieszkańcami zamku. Jeden tylko Bernouin więcej od innych wiedział.

Widząc bowiem, że pan jego nie wraca, a północ już bije, zajrzał do cieplarni i do korytarza, gdzie wszystkie drzwi stały otworem. To samo było z drzwiami od pokoju Athosa i temi, które prowadziły do parku. Stamtąd już łatwo było iść za śladami, pozostawionemi na śniegu.

Popędził więc, aby uwiadomić królową.

Anna Austriacka zaleciła mu milczenie, którego Bernouin sumiennie dochował. Gdy d'Artagnan wjechał na dziedziniec starego zamczyska, pierwszym przedmiotem, jaki mu wpadł w oczy, był Bernouin we własnej osobie, stojący na rogu i oczekujący na nowiny o zaginionym panu. Na widok d'Artagnana, wjeżdżającego na koniu na główny dziedziniec pałacowy, Bernouin przetarł oczy, sądząc, że go wzrok myli. Lecz d'Artagnan skinął mu przyjaźnie głową, zeskoczył z konia, a rzuciwszy cugle jednemu ze służby pałacowej, który przechodził tamtędy, prosto do pokojowca się skierował, i przystąpił do niego z uśmiechem na ustach.

— Pan d'Artagnan?... — wykrzyknął tenże głosem człowieka, przez sen mówiącego, gdy zmora go dusi — pan d'Artagnan!...

— On sam, panie Bernouin.

— POCO tu pan przybywasz?

— By przynieść najświeższe wiadomości o panu Mazarinim.

— Więc nie przytrafiło mu się nic złego?

— Nic zgoła. Uczuł tylko potrzebę przejażdżki do Ile-de-France, i prosił nas, pana hrabiego de la Fère, pana du Vallon i mnie, byśmy mu towarzyszyli. Zbyt usłużni

jestesmy, by podobnemu żądaniu odmówić. Wczoraj wieczorem wyruszyliśmy, a ja tu oto jestem.

— Pan...

— Jego Eminencja miał coś do powiedzenia Jej Królewskiej Mości, coś wielce poufnego, coś, co powierzone jedynie być może człowiekowi pewnemu, i z tej przyczyny wyprawił mnie do Saint-Germain. A zatem, drogi mój panie Bernouin, donieś Jej Królewskiej Wysokości, że przybyłem, i w jakim celu.

Czy poważnie, czy żartem było to mówione, dość że w okolicznościach obecnych d'Artagnan był jedynym człowiekiem, mogącym położyć tamę niepokojom królowej. Bernouin bez żadnych trudności poszedł ją uwiadomić o tem niezwykłym posłannictwie i, jak to przewidział, Anna Austrjacka kazała natychmiast wprowadzić d'Artagnana. Zbliżył się on do swojej władczyni z oznakami najgłębszego uszanowania. Gdy znalazł się na trzy kroki od niej, podał list, przyklękawszy na jedno kolano. Odczytała go królowa, odrazu poznawszy pismo kardynałskie, chociaż widocznie drżąca ręka je kreśliła; a że nic zgoła nie zawierał w sobie, żądała opowiedzenia szczegółów. D'Artagnan zdał ze wszystkiego sprawę z miną prostoduszną i skromną, jaką przybierać umiał po mistrzowsku w podobnych okolicznościach. W miarę opowiadania, królowa patrzyła na niego ze wzrastającym zdziwieniem; pojąć nie była w stanie, aby ktokolwiek ośmielił się przedsięwziąć coś podobnego, a tembardziej zdobyć się na tyle bezczelnej mowy do tej, której interesem a nawet obowiązkiem było ukarać go za to.

Gdy d'Artagnan skończył opowiadanie, królowa, czerwona z oburzenia, zawołała:

— I ty śmiesz, mój panie, przyznawać się przede mną do swojej zbrodni!... zdradę swoją rozgłaszać!...

— Przepraszam... lecz mnie się zdaje, że chyba tłumaczyłem się niejasno, lub też Wasza Królewska Mość nie zrozumiała mnie zupełnie; ani zbrodni, ani zdrady w tem niema. Pan Mazarini zatrzymał w więzieniu mnie i pana du Vallon za to, żeśmy pojąć nie mogli, iż na to do Anglii nas posłał, abyśmy patrzyli najspokojniej, jak zetną głowę królowi Karolowi I-mu, szwagrowi nieboszczyka króla a pani męża, małżonkowi pani Henryki, która jest bratową i gościem Waszej Królewskiej Mości,

a my robiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby królewskiemu męczennikowi ocalić życie. Przedstawiliśmy mu więc dowody niezbitę, że nie tak było, jak sądził, a gotowi jesteśmy przedstawić je Waszej Wysokości. Dowody nasze tak go zadowolniły, iż sam mnie tu przysłał, jak Wasza Królewska Mość widzi, aby się z nią naradzić nad zadośćuczynieniem, jakie słusznie należy się szlachcie, źle ocenionej i niewinnie prześladowanej.

— Słucham cię, i podziwiam, mój panie, — odezwała się Anna Austrjacka. — Prawdziwie, rzadko widuję podobny szczyt bezczelności.

— Otóż znowu Wasza Królewska Mość tak samo, jak pan Mazarini, myli się co do naszych najlepszych zamiarów.

— Pan jesteś w błędzie, — odparła królowa, — a ja jasno widzę, że za dziesięć minut będziesz aresztowany a za godzinę osobiście na czele armji pojedę dla wywobodzenia mojego ministra.

— Przekonany jestem, iż Wasza Królewska Mość nie postąpi tak niebacznie — odparł d'Artagnan — bo czyn podobny na nicby się nie przydał, a pociągnąłby za sobą ważne następstwa. Jeżeli nie powrócę jutro na oznaczoną godzinę, pojutrze rano pan kardynał zostanie odstawiony do Paryża.

— Znać to, mój panie, iż żyjesz zdala od wypadków i ludzi; inaczej bowiem wiedziałbyś, iż od czasu wyjazdu naszego z Paryża, pan kardynał był tam pięć albo sześć razy i widział się z panem de Beaufort, panem de Bouillon, panem koadjutorem, panem d'Elbouf, i zaaresztować go nikomu nie przyszło do głowy.

— Przepraszam, Najjaśniejsza Pani, ale wiem o wszystkim; to też ani do pana de Beaufort, ani do panów: de Bouillon, de Gondy i d'Elbouf przyjaciele moi nie zaprowadzą kardynała, gdyż wiadomo, iż ci panowie na swój własny rachunek wojnę prowadzą, i pan kardynał, zgadzwszy się na ich żądania, niedrogo się ich pozbędzie; lecz zaprowadzą go do parlamentu, którego członków niewątpliwie kupić można pojedynczo, lecz sam pan Mazarini nie jest dość bogatym na to, aby zjednać ich wszystkich ryczałtem.

— O ile mi się zdaje, — rzekła Anna Austrjacka, mierząc go wzrokiem, który u kobiety byłby pogardliwym,

u królowej zaś przerażającym się stawał, — zdaje mi się, że śmiesz grozić matce twojego króla.

— Najjaśniejsza Pani, — mówił d'Artagnan — zmuszają mnie do tego, więc grozę. Podnoszę się, gdyż potrzeba, bym stanął na wysokości wypadków i ludzi. Nie dla siebie robię to, co robię! Na lud swój spojrzij, co dla królowej ma duże znaczenie, lud, który cię miłuje, a cierpi jednakże, który ty kochasz, królowo, a on pomimo tego mrze z głodu i, pragnąc cię błogosławić, będzie cię jednak... Nie, ja się mylę; lud twój nigdy cię, pani, nie będzie przeklinał. Zastanów się, rzeknij tylko słowo, a wszystko się skończy, spokój zasiądzie na miejscu, gdzie wojna wichrzy, radość łzy osuszy, a szczęście zagłuszy klęski.

Anna Austriacka patrzyła z pewnem zdziwieniem na marsowe oblicze d'Artagnana, na którym malowało się niezwykle wzruszenie.

— Czemuż wpraw nie powiedziałaś tego; zanim zaczęłaś działać!... — rzekła.

— Gdyż chodziło nam o dowiedzenie tego, o czem, o ile mi się zdaje Wasza Królewska Mość wątpiła: że mamy jeszcze cokolwiek watości i chcemy słusznie, aby liczono się z nami.

— I w razie odmowy, wartość ta, natrafiwszy na opór, posunęłaby się do porwania mnie samej z pośród mego dworu, dla wydania mnie Frondzie, tak jak z ministrem moim chcecie uczynić?...

— Najjaśniejsza Pani!... nic podobnego przez myśl nam nie przeszło — rzekł d'Artagnan z junakierją czysto gaskońską, będącą szczytem prostoduszności — lecz gdybyśmy we czterech postanowili coś podobnego, niechybnie byłoby wykonane.

— Więc jeżeli wiem nareszcie, co sądzić mam o was...

— W takim razie Wasza Królewska Mość odda nam sprawiedliwość; to jest, traktować nas będzie inaczej, niż ludzi pospolitych; a we mnie widzieć zechce posłannika, godnego spraw wysokiej wagi, któremu polecono roztrząsnąć je wraz z Jej Królewską Mością.

— Gdzież ten traktat?...

— Oto jest.



Królowa przebiegła oczami traktat podany sobie przez d'Artagnana.

— Widzę tu tylko ogólne warunki — rzekła. — Roszczenia panów de Conti, de Beaufort, de Bouillon, d'Elboeuf i pana Koadjutora, są tu wyluszczone. A wasze?...

— Wiedząc, co komu należy, stawiamy się na miejscu właściwym. Sądziłiśmy bowiem, iż nazwiska nasze nie są godnymi pomieszczenia w rządzie imion tak znakomitych.

— Pomimo tego, przypuszczam, iż nie zrzekł się pan ustnego przedstawienia mi roszczeń swoich?...

— Wierzę w to, Najjaśniejsza Pani, iż jesteś wielką i wszechwładną królową i, że niegodnymby było wielkości i władzy Twojej, nie wynagrodzić sownie rąk, które powrócą do Saint - Germain Jego eminencję.

— Jest to moim zamiarem — rzekła królowa — mów zatem, słucham.

— Ten, co układy zawierał (przepraszam, iż zaczynam od siebie, lecz wypada, abym przyznał sobie znaczenie, którego nie przywłaszczam bynajmniej, bo obdarzono mnie niem z ufnością), ten, co układy zawierał w sprawie okupu pana kardynała, pomyślał, aby nagroda godną była Waszej Wysokości i według mego zdania, winien być mianowany wodzem naczelnym gwandji, coś jakby kapitan muszkietarów.

— Żądasz pan ode mnie stanowiska pana de Tréville!..

— Wakuje właśnie, Najjaśniejsza Pani, gdyż od roku pan de Tréville opuścił je, i nikt go w tem nie zastępuje

— Ależ to najwyższa ranga wojskowa domu królewskiego!..

— Pan de Tréville, tak jak i ja, był ubogim szlachcicem gaskońskim, a nosił tę rangę przez lat dwadzieścia.

— Na wszystko masz odpowiedź, mój panie — rzekła Anna Austrjacka.

Wzięła dyplom z biurka, wpisała w próżne miejsca, co należy, i przyłożyła pieczęć królewską.

D'Artagnan przyjął go z ukłonem, mówiąc:

— Wspaniała nagroda, ani słowa, lecz rzeczy świata tego są wielce zmienne, a człowiek, któryby miał nieszczęście popaść w niełaskę Waszej Królewskiej Mości, urząd ten mógłby postradać jutro.

— Czegóż więc żądasz jeszcze, mój panie?... — zapy-

tała królowa, czerwona z gniewu, czując się odgadniętą tym umysłem, równie jak ona przenikliwym.

— Stu tysięcy liwrów dla biednego kapitana muszkietarów, płatnych w dniu, w którym służby jego odrzucone zostaną przez Waszą Królewską Mość.

Zawahała się królowa.

— Ktoby to uwierzył — ciągnął d'Artagnan — że przed niedawnym czasem paryżanie dekretem parlamentu, wyznaczyli sześćset tysięcy liwrów temu, kto wyda kardynała umarłego lub przy życiu; żywego, aby go powiesili, umarłego, aby go wywlekli na widok publiczny.

— To słuszne — odezwała się Anna — skoro żądasz od królowej szóstej części tego, co ofiarował parlament.

— Co dalej?... — zapytała.

— Najjaśniejsza Pani, du Vallon, mój przyjaciel, bogaty jest, nie pragnie zatem nagrody pieniężnej; lecz przypominam sobie, iż była pomiędzy nim a panem Mazari-nim mowa, o podniesieniu posiadłości jego do tytułu baronostwa. Tak, pamiętam nawet, iż rzecz ta przyobiecana mu była.

— Dorobkiewicz!... — rzekła Anna. — Śmiać się będą z tego.

— Niechaj i tak będzie!... Ci, co tego spróbują, po raz drugi śmiać się nie będą już mogli.

— Zgoda na baronostwo — rzekła Anna Austrjacka i podpisała.

— A teraz pozostaje nam kawaler czy też opat d'Herblay, jak się Waszej Królewskiej Mości podoba.

— Czy chce zostać biskupem?...

— Nie, Najjaśniejsza Pani, on pragnie o wiele łatwiejszej rzeczy.

— Cóż to takiego?...

— Aby król raczył trzymać do chrztu syna pani de Longueville.

Uśmiechnęła się królowa.

— Pan de Longueville pochodzi z krwi królewskiej — rzekł d'Artagnan.

— Niezaprzeczenie; ale syn jego?...

— Syn jego, Najjaśniejsza Pani... skoro ojciec to i syn krew królewską mieć musi w żyłach.

— Czy przyjaciel pański nic więcej dla pani Longueville nie żąda?...

— Nic więcej, Najjaśniejsza Pani; mniema on bowiem, iż Jego Królewska Mość, racząc być ojcem chrzestnym dziecięcia, matkę jego obdarzy nie mniejszym, jak pięćset tysięcy liwrów, podarkiem, rozumie się, ojcu pozostawiając wielkorządztwo Normandji.

— Co do wielkorządztwa Normandji, sądzę, iż przyrzec je mogę — mówiła królowa — lecz pięćset tysięcy liwrów, to rzecz inna, pan kardynał powtarza mi bezustannie, iż kasa państwowa świeci pustkami.

— Poszukamy razem, jeżeli Wasza Królewska Mość pozwoli, a znajdziemy z pewnością.

— Cóż więcej?...

— Wszystko już, Najjaśniejsza Pani!

— Wszystko już.

— Czyż nie masz czwartego towarzysza, mój panie?...

— Nieinaczej, Najjaśniejsza Pani, pana hrabiego de la Fère.

— Jakiegoż jego żądania?...

— Żadne.

— Żadne?...

— Tak.

— Jest więc na świecie człowiek, który, mając sposobność, niczego nie żąda?...

— Jest, Najjaśniejsza Pani, hrabia de la Fère! o!... ten nie jest zwykłym człowiekiem.

— Czemu więc?...

— Hrabia de la Fère jest pół - bogiem.

— Wszak on ma syna, krewnego, czy też siostrzeńca, o którym opowiadał mi Comminges jako o dzielnym młodzieńcu, który wraz z panem de Chatillon przywiózł zabrane pod Lens sztandary?...

— Ma rzeczywiście wychowanka, który nazywa się wicehrabią de Bragelonne.

— Coby na to powiedział jego opiekun, gdyby młodzieńcowi dano dowództwo pułku.

— Przyjąłby może.

— Może?...

— Tak, w razie gdyby Wasza Królewska Mość sama go o to prosiła.

— Słusznie pan powiedziałeś, że to człowiek niezwykły. Namyślmy się zatem i poprosimy go... może. Czyś pan zadowolony?...

— Tak, Wasza Królewska Mość. Jedno tylko pozostało, czego nie podpisała królowa.

— Co takiego?...

— Najważniejsze.

— Przyzwolenie na traktat?...

— Tak.

— Na co?... wszak jutro mam je podpisać.

— Zachodzi tu okoliczność, za którą ręczyć Waszej Królewskiej Mości mogę, a mianowicie: że jeżeli Jej Królewska Mość dziś nie podpisze traktatu, jutro już będzie zapóźno. Zechciej więc, błagam cię o to, napisać u dołu ugody, własnoręcznie ułożonej przez pana Mazarińskiego, jak sama to widzisz, Najjaśniejsza Pani:

„Zgadzam się potwierdzić traktat, przedstawiony przez Paryżan“.

Zrozumiała Anna, iż nie wywikła się z tej matni i podpisała. Za ledwie jednak zdążyła ostatnią literę nakreślić, wzburzona jej duma łzami wybuchnęła. Na widok łez tych, zdrzął d'Artagnan. Łzy te paliły mu serce.

— Odbierz — rzekł — pani, uświęcone królewskim twoim majestatem podpisy; zwrócisz mi je, gdy uznasz to za właściwe. Lecz od tej chwili, one cię nie obowiązują do niczego.

— Miałeś pan słusność, — odezwała się królowa — nie poznałam się na tobie. Oto akta z podpisem, które ci dobrowolnie oddaję: odejdz już i przywieź mi kardynała coprędzej.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł d'Artagnan — dwadzieścia lat temu, a ja dobrą mam pamięć, z poza draperji w ratuszu miałem zaszczyt ucałować twoją piękną rękę.

— Oto masz drugą, — rzekła królowa, — i ażeby lewa nie była mniej hojna, niż prawa (zsunęła z palca pierścień z djamentem, prawie takim samym jak poprzedni) — weź i zachowaj ten djament na pamiątkę.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł d'Artagnan, powstając, — jedno mam tylko pragnienie, aby najpierwszą rzeczą, której zażadasz ode mnie, było moje życie.

I, z ruchem sobie tylko właściwym, powstał i wyszedł z komnaty.

— Nie poznałam się na tych ludziach, — rzekła Anna, patrząc za oddalającym się d'Artagnanem, — a teraz za-

późno, jużby im spożytkować nie mogła: za rok król będzie pełnoletni!

Zanim doba upłynęła, d'Artagnan i Porthos odwieźli królowej Mazariniego i otrzymali jeden z nich dyplom na głównego dowódcę muszkietarów, drugi dyplom barona.

— I cóż? czy jesteście zadowoleni, panowie?

D'Artagnan skłonił się nisko. Porthos zaś obracał swój dyplom na wszystkie strony, patrząc na Mazariniego.

— O cóż tam chodzi jeszcze? — zapytał minister.

— O to, monsiniorze, iż była mowa o obietnicy kawalera orderów Ś-go Michała i Ś-go Ducha, przy pierwszej otwierającej się promocji.

— Wiesz przecież, panie baronie, — rzekł Mazarini, — iż potrzebne na to dowody szlachectwa.

— O!... — odparł Porthos, — nie dla siebie, monsiniorze, żądałem tej honorowej oznaki.

— A dla kogóż to? — pytał Mazarini.

— Dla przyjaciela, pana hrabiego de la Fère.

— Oh... jeżeli o to chodzi, to rzecz inna — odezwała się królowa, — dowody gotowe.

— Dostanie?...

— Już je ma.

Tegoż dnia jeszcze podpisany został traktat paryski, i wszędzie głośzono, że kardynał zamknął się na trzy dni, by go opracować staranniej.

## ROZDZIAŁ I

GDZIE DOWIEDZIANO, ŻE NIEKIEDY TRUDNIEJ  
JEST KRÓLOM POWRÓCIĆ DO STOLICY SWEGO  
KRÓLESTWA, ANIŻELI JĄ OPUŚCIĆ

Podczas kiedy d'Artagnan z Porthosem odprowadzali kardynała do Saint-Germain, Athos i Aramis, rozstawszy się z nimi w Saint - Denis, powrócili do Paryża.

Jeden i drugi miał na celu odwiedziny.

Aramis, zaledwie zdążył zmienić buty na trzewiczki, pośpieszył do Ratusza, gdzie mieszkała pani de Longueville. Na wieść o zawarciu pokoju, piękna księżna krzyczała na całe gardło. Podczas wojny bowiem królowała, pokój zaś zmuszał ją do abdykacji; oświadczyła więc, iż nigdy nie podpisze traktatu i że niczego więcej nie pragnie nad nieustającą wojnę. Lecz gdy Aramis przedstawił jej ten pokój we właściwym świetle, czyli wszelkie korzyści, skoro jej ukazał wicekrólestwo całej Normandji wzamian za królowanie, jak gdyby z łaski, a wciąż przez Paryżan zaprzeczane, zadzwieczał nad uszkiem temi słodkimi wyrazami: pięćset tysięcy liwrów, przyrzeczonych przez kardynała; gdy błysnął przed oczami świetnym zaszczytem, jaki uczynić jej ma król, trzymając dziecię jej do chrztu, pani de Longueville opierała się jeszcze, lecz znać było, iż broni się dlatego jedynie by nie ulec odrazu. Aramis udawał, iż wierzy w jej opór, nie chcąc we własnych oczach ująć sobie zasługi, że ją przekonał.

— Pani — mówił on — pragnęłaś choćby raz zwyciężyć księcia pana, brata twojego, najznakomitszego wodza naszej epoki; a kobiety genjalne, jak ty, pani, czego zapragną, tego dopiąć muszą. Dopięłaś swego, księżę pobity już, bo nie może wojny w dalszym ciągu prowadzić.

A teraz przeciągnij go do naszego stronnictwa. Stopniowo, pomaleńku, oderwij go od królowej, której nie lubi, i od nienawistnego Mazariniego. Fronda jest komedją, której pierwszy akt odegraliśmy dopiero. Ostatecznem jej rozwiązaniem Mazarini być musi, czyli dzień, w którym książe pan za twoją sprawą stanie przeciwko dworowi.

Pani de Longueville dała się nareszcie przekonać. Księżna frondystka tak silnie wierzyła w moc swoich pięknych oczu, że nie wątpiła ani na chwilę w potężne ich wpływy na pana de Condé nawet, a ówczesna kronika skandaliczna twierdzi, iż nie daremnie ufała sobie w tym razie.

Athos, rozstawszy się z Aramisem przy placu królewskim, udał się do pani de Chevreuse. Jeszcze jedna frondystka, równie nieprzejednana, jak i młoda jej rywalka. O niej, mowy nie było przy układach ogólnych. Pani de Chevreuse nie została mianowaną wielkorządcą żadnej prowincji, a gdyby królowa zgodziła się zostać matką chrzestną, to chyba którego z jej wnuków lub wnuczek.

To też na pierwsze słowo o pokoju, pani de Chevreuse ściągnęła brwi, i pomimo całej logiki Athosa, by dowieść jej, że dalsza wojna była już niepodobieństwem, stała po stronie kroków nieprzyjacielskich.

— Piękna moja przyjaciółko, — mówił Athos, pozwól powiedzieć sobie, że wszyscy są już wojną znużeni i że, z wyjątkiem ciebie, a może i pana koadjutora, gorąco pragną pokoju. Skażesz się na wygnanie, jak za czasów króla Ludwika XIII. Wierzaj mi, iż minął już dla nas wiek powodzenia w intrygach, a piękne twoje oczy nie na to przeznaczone, aby zagasnąć we łzach za Paryżem, w którym zawsze dwie królowe będą, dopóki ty go nie opuścisz.

— O!... — westchnęła księżna — sama jedna wojny prowadzić nie mogę, lecz mogę się zemścić nad tą niewdzięczną królową i chciwym ulubieńcem, i... zemszczę się, słowo książece!...

— Pani, błagam cię, nie gotuj ciężkiej przyszłości panu de Bragelonne; wszak już karierę rozpoczął, książe pan jest mu życzliwy, młody jest, niechaj i młody król rządy obejmie!...

Przebacz mi, pani, moją słabość!... lecz przychodzi ten czas, kiedy człowiek w dzieciach swoich żyje.

Uśmiechnęła się księżna nawpół z rozrzewnieniem, nawpół ironicznie.

— Lękam się, hrabio, że zdobyto cię dla dworu. Może masz jaki order w kieszeni?...

— Tak, pani, mam order podwiązki, dany mi przez Karola I-go, na dzień przed jego śmiercią.

Prawdę mówił hrabia: nie znał żądania Porthosa, nie wiedział więc, iż i drugi posiada.

— Co robić, trzeba pogodzić się z myślą o starości, — rzekła w zamyśleniu księżna.

Athos ujął jej rękę i pocałował.

Ona spojrzała mu w oczy i westchnęła.

— Hrabio — rzekła, — Bragelonne musi być milutką siedzibą. Jesteś człowiekiem wykwiśniętym, musisz tam mieć wodę, gaje i kwiaty.

Westchnęła znowu i wsparła ładną swą główkę na pończotnie przegiętej rączce, zawsze zachwycającej kształtem i białością.

— Pani — odparł hrabia — nie pojmuję tego, co powiedziałaś, nigdy cię młodszą i piękniejszą nie widział.

Księżna pokiwała głową.

— Czy pan de Bragelonne pozostaje w Paryżu?... — zapytała.

— Dlaczego pytasz o to?...

— Daj mi go — mówiła księżna.

— Nie, pani, jeżeli ty zapomniałaś historję Edypa, ja dobrze ją pamiętam.

— Doprawdy, zachwycający jesteś, hrabio, chciałabym przeżyć w Bragelonne choć jeden miesiąc.

— Czyż nie obawiasz się ściągnąć na mnie zawiści innych?... — odparł z galanterją Athos.

— Wcale nie, pojedę tam incognito, pod nazwiskiem Marji Michon.

— O pani, jesteś czarująca.

— Lecz nie zabieraj ze sobą Raula.

— A to dlaczego?...

— Bo jest zakochany.

— On, dziecko prawie!...

— To też dziecko pokochał!...

Athos zamyślił się.

— Masz słuszość, księżno, dziwna ta miłość dla siedmioletniej dziewczynki, stać się może z czasem fatalną



dla niego: mają się bić we Flandrji, niechaj i on tam idzie.

— A gdy powróci, przyślesz mi go, ja go opancerzę przeciw miłości.

— Niestety!... pani, dzisiaj miłość, to jak wojna, pan-cerz stał się nieużytecznym.

Na to wszedł Raul; przychodził z oznajmieniem do hrabiego i księżnej, że przyjaciel jego, hrabia de Guiche, doniósł, iż jutro ma odbyć się wjazd uroczysty króla, królowej i ministra.

Istotnie dnia tego, równo ze świtaniem, dwór cały przygotowywał się do wyjazdu z Saint - Germain.

Wieczorem dnia poprzedzającego wjazd królowa rozkazała przywołać d'Artagnana.

— Panie — rzekła do niego, — utrzymują, że Paryż nie jest bynajmniej spokojny. Obawiać się będę o króla; bądź przy drzwiczkach po prawej stronie powozu.

— Niech Wasza Królewska Mość będzie spokojną — odparł d'Artagnan; — ja odpowiadam za króla.

I, skłoniwszy się królowej, wyszedł.

Po drodze spotkał Bernouina, który właśnie szedł mu powiedzieć, iż kardynał go wzywa w sprawie wielce ważnej.

Poszedł więc do kardynała.

— Panie — rzekł do niego tenże — przebąkują o zaburzeniach w Paryżu. Ja będę po lewej stronie króla, a że moja osoba głównie zagrożoną będzie, trzymaj się u drzwiczek po lewej stronie powozu.

— Niech Wasza eminencja się uspokoi, — odparł d'Artagnan — włos z głowy jego nie spadnie.

— Co tu robić, u diabła?... — rzekł do siebie znalazłszy się w przedpokoju, — naraz przecie nie mogę znajdować się z lewej i prawej strony karety. Już wiem... ja będę strzegł króla, a Porthos kardynała.

Układ ten wszystkim przypadł do smaku, co zresztą bywa rzeczą rzadką.

Królowa ufała w znaną jej odwagę d'Artagnana, a kardynał w siłę Porthosa, której sam doświadczył.

Orszak wyruszył w drogę do Paryża. Już przy rogatce, krzyki: niech żyje król! niech żyje królowa! powitały powóz, kilka głosów: niech żyje Mazarini! przebrzmiało bez echa. Skierowano się wprost do katedry Panny Marji, gdzie miano śpiewać „Te Deum“. Wszystek lud paryski

wyległ na ulicę. Mazarini, który tysiące na to wyrzucił, aby krzyczano: niech żyje Mazarini! słyszane dotąd okrzyki ocenił na dwadzieścia pistolów najwyżej, tak że z niepokojem spoglądał na Porthosa; lecz olbrzymi gwardzista w odpowiedzi na te spojrzenia, odzywał się pięknym swoim basowym głosem: „Bądź spokojny, monsiniorze“ i rzeczywiście Mazarini nabierał coraz więcej pewności siebie.

Przybywszy do Palais - Royal, jeszcze większe spotkanie tłumy; rozbrzmiewały tysiączne okrzyki: Niech żyją! Ich Królewskie Moście! Mazarini wychylił się z powozu: ukazanie się jego powitano wołaniem: Niech żyje kardynał! lecz jednocześnie prawie zagłuszyły je bezlitośnie gwizdania i pełne szyderstwa hukanie. Mazarini zbladł i cofnął się.

— Ha! strasza!... — mruknął Porthos.

D'Artagnan nic nie powiedział, pokręcił tylko wężą z rękem sobie właściwym, który oznaczał, iż fantazja gaskońska grać w nim poczyna.

Anna Austriacka pochyliła się do ucha młodego króla szepcząc:

— Bądź uprzejmym, mój synu, i przemów parę słów do pana d'Artagnana.

Młody król zbliżył głowę do drzwiczek powozu.

— Nie powiedziałem ci jeszcze dzień dobry, panie d'Artagnan — rzekł — a poznałem cię jednak odrazu. Pan byleś za kotarą mego łóżka, kiedy paryżanie chcieli mnie widzieć śpiącego.

— Jeżeli król na to zezwoli — odparł d'Artagnan — będę przy nim zawsze, ile razy grozić mu będzie niebezpieczeństwo.

— Mój panie — zagadnął Mazarini Porthosa — co byś począł, gdyby ta tłuszcza na nas się zwała?

— Nazabijałbym ich ilebym tylko mógł, monsiniorze — odparł Porthos.

— Hm!... — chrząknął Mazarini — choć odważny i krzepki jesteś, nie mógłbyś jednak wszystkich pozabijać.

— To prawda — rzekł Porthos, stając w strzemionach, aby lepiej zmierzyć okiem nieskończoność tłumów — to prawda, jest tu tego dużo.

— Wolalbym tamtego — mruknął Mazarini i zagłębił się w karecie.

Królowa i jej minister, ten ostatni szczególnie, słusznie

zywili obawy. Tłum, zachowując pozory szacunku a nawet przywiązania, począł się jednak miotać burzliwie. Słychać było wśród niego przebiegający szmer głuchy, który, gdy wydobywa się z fali, oznacza burzę, a kiedy wśród tłumów powstaje, zwiastuje rozruchy.

D'Artagnan zwrócił się ku muszkietierom, i, mrugnąwszy okiem, dał im znak niedostrzegalny dla tłuszczy, lecz dużo mówiący dla tych dzielnych wybrańców. Ścisnęły się konne szeregi i lekkie wstrząśnienie przebiegło wśród jeźdźców.

Przy rogatce Sierżantów orszak zmuszony był się zatrzymać; Comminges opuścił czoło eskorty i podążył do karety królowej. Królowa zwróciła pytające spojrzenie na d'Artagnana, ten dał jej odpowiedź oczami.

— „Ruszajcie naprzód“ — rzekła.

— Naprzód!... — powtórzył d'Artagnan.

Zdawało się, że na to tylko oczekiwały tłumy, aby z powściąganą dotąd niechęcią wybuchnąć. Rozległy się okrzyki: „Precz z Mazarinin! śmierć kardynałowi!“ —

Jednocześnie z ulic de Grenelle-Saint-Honoré i du Coq wylała się fala podwójna, łamiąc słabe szeregi gwardji szwajcarskiej i wirując, przypadła tuż pod nogi koni d'Artagnana i Porthosa. Dwa te tłumy miały każdy swego przywódcę, jeden mocno zakrawał na członka czcigodnego stowarzyszenia żebraków; w drugim zaś, pomimo przebrania, łatwo było poznać cechy wyższego pochodzenia. Wstrząśnienie to zachwiało powozem królewskim; potem dały się słyszeć tysięczne okrzyki, które się w jeden ogłuszający wrzask zlały, z pośród których padło kilka strzałów.

— „Do mnie, muszkietierowie!...“ — krzyknął d'Artagnan.

Orszak utworzył dwie linje, jedna z prawej, druga z lewej strony karety stanęła, jako posiłki dla d'Artagnana i Porthosa. D'Artagnan chciał podnieść nakrycie powozu, lecz król zagroził ramieniem, mówiąc:

— Nie trzeba, panie d'Artagnan, ja chcę widzieć.

— Wasza Królewska Mość chce widzieć, niech patrzy zatem!

I z furją, która go czyniła tak okrutnym, rzucił się na wodza powstańców, który z pistoletem w jednej a szeroką

szablą w drugiej ręce, walczył z dwoma muszkietierami, usiłując się przebić do drzwiczek powozu.

— Z drogi, mordioux!... — wrzasnął d'Artagnan — z drogi!

Na krzyk ten, wódz podniósł głowę, lecz już zapóźno: cios d'Artagnana dobrze był wymierzony; rapir przeszył mu piersi.

— A! ventre-saint-gris!... — krzyknął d'Artagnan, lecz nie czas już było cofnąć uderzenie — hrabio — co tu robisz — u diabła?

— Spełniam moje przeznaczenie — rzekł Rochefort, padając na jedno kolano. — Z trzech pchnięć twej szpady wyszedłem szczęśliwie, czwarte dobiło mnie nareszcie.

— Hrabio — z niejakim wzruszeniem przemówił d'Artagnan — uderzyłem, nie wiedząc, że to ty jesteś. Nie zniósłbym tego, byś umarł z uczuciem nienawiści dla mnie.

Rochefort wyciągnął do niego rękę. Ujął ją d'Artagnan. Hrabia chciał mówić, lecz potok krwi z ust mu się rzucił; wyprężył się i skonał.

— Precz, halastro!... — krzyknął d'Artagnan. — Wódz wasz zabity, nie macie tu co robić.

D'Artagnan z dwudziestoma muszkietierami przypuścił szarżę do ulicy du Coq, a zaburzenie jak dym się rozwiało. Pośpieszył teraz d'Artagnan z pomocą Porthosowi, lecz i ten spełnił zadanie swoje równie sumiennie, jak d'Artagnan.

Lewa strona powozu, równie jak prawa, uprzątnięta była należycie, i podniesiono już firankę po stronie Mazariniego, który, mniej wojowniczego ducha, aniżeli młodziutki król, przezornie rozkazał ją zapuścić.

Porthos wielce melancholijną miał minę.

— Po jakimu wyglądasz, u diabła, Porthosie? jak na zwycięzcę dziwną przybrałeś postać?

— Ależ i ty wydajesz mi się wzruszony?... — odparł Porthos.

— Jest czego, mordioux! starego druha zabiłem.

— Doprawdy; kogóż to?

— Hrabiego de Rochefort!...

— Tak samo zupełnie, jak ja; zabiłem człowieka, którego twarz nie była mi nieznana; nieszczęściem, przez łeb go palnąłem i w jednej chwili twarz mu krwią spłynęła.

— A co tam, panie?... — zapytała królowa.

— Pani — odparł d'Artagnan — droga oczyszczona, i Wasza Królewska Mość może wyruszyć.

Bez żadnego już wypadku przybył orszak do katedry a przed jej portykiem cały kler z koadjutorem na czele, oczekiwał króla, królowej i ministra, za których powrót szczęśliwy miano odśpiewać „Te Deum“.

Bazin, przybrany w szatę błękitną, z laską srebrem kutą w dłoni, i z miną wielce poważną strzegł wejścia do chóru. Nagle uczuł, iż ktoś ciągnie go za rękaw. Spuścił ku ziemi pobożne wejnzenie, w niebo przedtem wzniesione, i ujrzał Friqueta.

— Głupcze, jak śmiesz mi przeszkadzać w pełnieniu moich obowiązków?... — zapytał.

— Panie Bazin — szepnął Friquet — pan Maillard, wiesz przecie, ten, co wodę święconą podawał u św. Eustachego w całym tem zamieszaniu dostał szpadą w głowę; umierający, a chciałby wypowiadać się, nim umrze, przed panem koadjutorem, który, jak mówią, ma władzę odpuszczania śmiertelnych grzechów.

— I on wyobraża sobie, że dla niego pan koadjutor będzie sobie przerywał?

— Bezwątpienia, gdyż, o ile się zdaje, koadjutor mu to obiecał.

— Kto ci powiedział?

— Sam pan Maillard.

— Widziałeś się z nim?

— Rozumie się: byłem przy tem, jak padł.

— Co tam robiłeś?

— Patrzcie państwo, krzychałem: precz z Mazarinim! śmierć kardynałowi! na szubienicę włocha! Wszak pan tak mi krzycheć kazałeś.

— Będziesz ty cicho, głupcze!... — szepnął Bazin, patrząc z niepokojem dokoła.

— Powiedział mi zatem pan Maillard: Ruszaj po pana koadjutora, Friquet, uczynię cię moim spadkobiercą, jeżeli mi go sprowadzisz. Sam powiedz, ojczu Bazinie, spadkobiercą pana Maillarda, podawacza wody święconej od św. Eustachego! he? potem to już tylko ręce założyć! W każdym razie, wszystko mi jedno, chciałbym mu tę przysługę wyświadczyć; cóż wy na to, ojczu?

— Oznajmię panu koadjutorowi — odparł Bazin.

Wolniutko i pełen uszanowania podszedł do prałata szepnął mu parę słów do ucha, na co tenże dał znak twierdzący, a powróciwszy tym samym krokiem:

— Idź, powiedz konającemu, niechaj poczeka, za godzinę monsinior będzie u niego.

— Dobra!... — rzekł Friquet — los mój zapewniony

— Ale, ale, gdzie on się kazał zanieść?

— Do wieży Saint-Jacques-la-Boucherie.

Skoro tylko „Te Deum“ zostało odśpiewane, koadjutor, nie zdjawszy nawet sukni kapłańskiej, tak jak obiecał, udał się do znanej mu dobrze starej wieży. Przyszedł w porę, raniony oddychał jeszcze.

Otwarto drzwi izby, w której dogorywał żebrak.

Wkrótce potem wyszedł stamtąd Friquet, niosąc w rękę wypchany skórzany worek, a ledwie drzwi zamknął za sobą, otworzył go natychmiast i, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, znalazł w nim pełno złota.

Żebrak dotrzymał słowa i uczynił Friqueta swoim spadkobiercą.

— A!... matko Naneto!... — wykrzyknął zdławionym z radości głosem — a!... matko Naneto!... I naólep popędził na ulicę, wreszcie, przypadłszy do progu domostwa Broussela, zachwiał się na nogach i rozciągnął się jak długi, rozsypując luidory, przepelniające worek.

Matka Naneta najpierw luidory pobierała, następnie podniosła Friqueta. Nie wiedział Friquet, że stary żebrak po którym odziedziczył bogactwo, nosił ongiś nazwisko pana Bonacieux...

W trakcie tego orszak królewski wstępował do pałacu królewskiego.

— Dzielny człowiek z tego pana d'Artagnana, matko — mówił młody król.

— Tak, mój synu, i wielkie usługi oddał ojcu twojemu. Jedną go sobie na przyszłość.

— Panie kapitanie — odezwał się młody król do d'Artagnana, wysiadając z powozu — królowa pani zobowiązała mnie prosić dziś na obiad pana i przyjaciela jego, pana barona du Vallon.

Wielki to był zaszczyt dla d'Artagnana i Porthosa; ten ostatni wpadł w najwyższy zachwyty.

## ZAKOŃCZENIE

Dwaj przyjaciele, wróciwszy do siebie, zastali list od Athosa, oznaczający im spotkanie w hotelu „Karola Wielkiego“, na dzień następný zrana.

Pokładli się spać, lecz żaden z nich oka nie zmrużył. Nazajutrz, o oznaczonej godzinie, poszli obaj do Athosa.

Zastali hrabiego i Aramis, ubranych po podróżnemu

— Patrzcie państwo — odezwał się Porthos — wszyscy więc wyjeżdżamy?... I ja pakuję się dzisiaj.

— O!... tak, mój Boże — odparł Aramis — niema już co robić w Paryżu, z chwilą gdy Frona upadła. Dostałem zaproszenie od pani de Longueville na przepędzenie kilku dni w Normandji, a poleciła mi także, aby, zanim ochrzczą jej syna, urządzić jej w Rouen mieszkanie. Wywiąże się więc z tego zlecenia; potem, jeśli nic mowego nie będzie, powrócę zagrzebać się w swoim klasztorze Noisy-le-Sec.

— A ja — rzekł Athos — do Bragelonne powracam. Wiesz przecie, drogi mój d'Artagnanie, iż teraz już wyszedłem na prawdziwego wieśniaka. Raul nie ma nic, prócz mojego mienia, biedne dziecię!... muszę więc nad niem czuwać. skoro nazwisko moje mam mu przekazać.

— A co postanawiasz z Raulem?...

— Oddaję ci go, przyjacielu. Będą się bić we Flandrji, zabierzesz go ze sobą i nauczysz być takim walecznym i prawym, jakim sam jesteś.

— A ja nie będę cię miał już, Athosie?... — mówił d'Artagnan — pozostanie mi przynajmniej ta główka jasna; a chociaż to prawie dziecko jeszcze, lecz dusza twoja, drogi Athosie, odżywa w nim w pełni, będę więc

miał złudzenie, iż jesteś przy mnie, że towarzyszysz mi i wspierasz przyjaźnią.

Wszyscy czterej rzucili się sobie w objęcia, a marsowe ich spojrzenia zaćmiły łzy za przeszłością.

I rozstali się, nie wiedząc, czy spotkają się jeszcze.

D'Artagnan z Porthosem powrócili na ulicę Tiquetonne.

Przed zajazdem zastali cugi barona gotowe do drogi a Mousquetona siedzącego na siodle.

— Słuchaj, d'Artagnanie, porzuć szpadę i jedź ze mną do Pierrefonds, do Bracieux, albo do du Vallon: razem będziemy starzeć się, gawędząc o naszych wyprawach.

— Ani myślę — odparł d'Artagnan. — Pestel... mają wojnę rozpocząć, chcę do niej należeć; mam nadzieję iż skorzystam coś na niej!...

— A czemu jeszcze chcesz zostać?...

— Pardieu!... marszałkiem Francji.

— O!... o!... — odezwał się Porthos, przypatrując się d'Artagnanowi, nie mógł bowiem nigdy dobrze zrozumieć gaskonady przyjaciela.

— Jedź ze mną, Porthosie — odparł d'Artagnan — księciem cię zrobię!...

— Nie — rzekł Porthos — Moustonowi sprzykrzyła się wojna. Wreszcie, przygotowano mi uroczysty wjazd do moich dóbr, na widok którego sąsiedzi moi pozdychają z zazdrości.

— Na to nie mam już odpowiedzi — mówił d'Artagnan, znający próżność nowo-kreowanego barona. — Do zobaczenia zatem, przyjacielu mój.

— Do widzenia, drogi kapitanie — odparł Porthos.

Rozstali się więc, uściskawszy sobie dłonie.

Długo stał we drzwiach d'Artagnan, wiodąc smętnym wzrokiem za mnikającym mu w oddali orszakiem.

Ocknął się nakoniec i ujrzał piękną Magdalenę, która zaniepokojona świeżą wielkością d'Artagnana stała za nim na progu.

— Magdaleno — przemówił do niej — przygotuj mi apartament pierwszego piętra; teraz, gdy jestem kapitanem muszkietarów, należy mi żyć wystawniej. Zachowaj mi jednak mój pokójk na piątym piętrze; nikt nie wie co go czeka w przyszłości.



## SPIS RZECZY

Rozdział I. Ojcostwo . . . . .	7
Rozdział II. Jeszcze jedna królowa, potrzebująca ratunku . . . . .	15
Rozdział III. Gdzie powiedziano, że pierwsze natchnienie jest zawsze dobre. . . . .	23
Rozdział IV. Te Deum na cześć zwycięstwa pod Lens . . . . .	29
Rozdział V. Żebrak od Ś-go Eustachego. . . . .	44
Rozdział VI. Wieża kościoła Ś-go Jakóba. . . . .	55
Rozdział VII. Zaburzenia uliczne . . . . .	61
Rozdział VIII. Zaburzenie w bunt się przemienia. . . . .	68
Rozdział IX. W nieszczęściu odzyskujemy pamięć. . . . .	79
Rozdział X. Widzenie . . . . .	85
Rozdział XI. Ucieczka. . . . .	92
Rozdział XII. Karetą pana koadjutora. . . . .	106
Rozdział XIII. Jak d'Artagnan i Porthos zarobili na sprzedaży słomy, jeden dwieście dziewiętnaście, a drugi dwieście piętnaście luidorów. . . . .	119
Rozdział XIV. Wiadomości o Athosie i Aramisie. . . . .	128
Rozdział XV. Szkot dla grosza marnego sprzedał króla swego . . . . .	139
Rozdział XVI. Mściciel . . . . .	148
Rozdział XVII. Olivier Cromwell . . . . .	157
Rozdział XVIII. Szlachcice. . . . .	164
Rozdział XIX. O!... Jezu!... . . . .	170
Rozdział XX. Gdzie dowiedzione jest, że w najcięższych nawet okolicznościach, szlachetne serca nie tracą odwagi a dobre żołądki apetytu. . . . .	177
Rozdział XXI. Cześć majestatowi upadłemu! . . . . .	184
Rozdział XXII. D'Artagnan wynajduje projekt. . . . .	192
Rozdział XXIII. Partja lancknechta . . . . .	199
Rozdział XXIV. Londyn . . . . .	209

Rozdział XXV. Proces . . . . .	215
Rozdział XXVI. White - Hall. . . . .	226
Rozdział XXVII. Robotnicy. . . . .	234
Rozdział XXVIII. Remember. . . . .	240
Rozdział XXIX. Człowiek w masce. . . . .	246
Rozdział XXX. Dom Cromwella. . . . .	254
Rozdział XXXI. Rozmowa . . . . .	261
Rozdział XXXII. Żaglowiec „Błyskawica“. . . . .	270
Rozdział XXXIII. Wino Porto. . . . .	282
Rozdział XXXIV. Przeznaczenie. . . . .	293
Rozdział XXXV. Mousqueton nie upiekł się w ogniu, a trafem szczęśliwym nie zjedzo- no go żywcem . . . . .	300
Rozdział XXXVI. Powrót. . . . .	308
Rozdział XXXVII. Posłannicy. . . . .	315
Rozdział XXXVIII. Trzech namiestników wodza naczelnego . . . . .	322
Rozdział XXXIX. Bitwa pod Charenton . . . . .	332
Rozdział XL. Poszukiwania w Pikardji. . . . .	341
Rozdział XLI. Wdzięczność Anny Austrjackiej. . . . .	348
Rozdział XLII. Królewskość Mazariniego . . . . .	352
Rozdział XLIII. Ostrożności . . . . .	355
Rozdział XLIV. Rozum i siła . . . . .	359
Rozdział XLV. Siła i rozum . . . . .	366
Rozdział XLVI. Tajemnicze skrytki Pana Maza- riniego . . . . .	371
Rozdział XLVII. Układy . . . . .	376
Rozdział XLVIII. Gdzie poczynamy wierzyć, iż Porthos będzie nareszcie baronem, a d'Arta- gnan kapitanem . . . . .	381
Rozdział IL. Jak piórem i groźbą, więcej, niż szpa- dą i poświęceniem, dokonać można . . . . .	387
Rozdział L. Gdzie dowiedziono, że niekiedy tru- dniej jest królom powrócić do stolicy swego królestwa, aniżeli ją opuścić . . . . .	398
Zakończenie . . . . .	407











Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000026973



I 862316